

Trzej muszkietierowie





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC)

Trzej muszkietierowie

TŁUM. NIEZNANY

Trzej muszkietierowie

TOM I

ŻYCIE I DZIEŁO ALEKSANDRA DUMASA

Alexandre Davy de la Pailleterie Dumas urodził się dnia 24 lipca 1803 r.¹ w Villers-Cotterêts, w departamencie Aisne. W jego żyłach złączyła się błękitna krew francuskiego szlachcica z burzliwą krwią Murzynki z San Domingo². Ojciec, piastujący w armii francuskiej godność generała, osierocił chłopca wczesnie, nie zostawiając rodzinie środków do życia, ponieważ nieustanne konflikty z Napoleonem stały na przeszkodzie jego karierze materialnej. Aleksander odziedziczył po nim atletyczną strukturę³, żelazne zdrowie, usposobienie szerokie, radosne, fantazję i wielki spryt. Matka-wdowa nie mogła ponieść kosztów wykształcenia chłopca; jeżeli młody Dumas rozporządzał pewnymi wiadomościami z dziedziny historii i językoznawstwa, to jest to wyłącznie zasługą pastora Abbé Grégaine. Zresztą chłopiec nie okazywał zamiłowania do umysłowej pracy, mało interesował się nauką, jeszcze mniej literaturą, pociągaly go natomiast wolne przestrzenie pól i rozległe obszary lasów, był zapalonym fehmistrzem⁴ i nieporównanym strzelcem, opanował wszystkie sporty, wszystkie rodzaje cielesnych ćwiczeń. Poza tym żył wesołym życiem hulaki i nieroba. Punktem wyjścia dla jego kariery literackiej stała się przyjaźń z młodym, zdolnym Szwedem, Adolfem de Leuven, który rzucił propozycję napisania do spółki kilku sztuk teatralnych. Dumas się zgodził: rzecz jasna, że pierwsze twory jego młodzieńczej muzy nie znalazły uznania w oczach paryskich dyrektorów.

Tymczasem położenie majątkowe rodziny pogorszyło się znacznie. W r. 1822 Aleksander zbiera dokumenty, pozostawione w spuściźnie przez ojca, zaopatruje się w polecające listy i wyjeżdża do Paryża, tam też znajduje posadę w kancelarii księcia Orleanu⁵. Zarabia 1500 franków rocznie, zdobywa mocną pozycję materialną, sprowadza do siebie matkę. Równocześnie zdaje sobie sprawę ze swego niedostatecznego wykształcenia, bierze się energicznie do pracy, czyta, studiuje, robi plany, chodzi do teatru — obserwuje efekty sceniczne, poczyną się orientować w budowie sztuki teatralnej. Ogromne wrażenie wywierają na nim Szekspir⁶ i Schiller⁷, ulega wpływom niemieckich romantyków. Wreszcie sam wstępuje w krąg działalności dramatycznej. Sztuką *Henryk IV i jego dwór*⁸ zdobywa sobie publiczność, usuwając czasowo w cień młodego Wiktora Hugo⁹. Od tej chwili spod pióra Dumasa wychodzi jeden dramat za drugim. Najpopularniejsze są: *Christine, Antony, Napoleon Bonaparte, Richard Darlington* itd. Jako powieściopisarz wystąpi dopiero później.

W międzyczasie wydaje szereg szkiców podróżniczych, olśniewających grotesek, wypełnionych po brzegi najefektowniejnymi nieprawdopodobieństwami: z podziwu godną bezczelnością zdaje szczegółowe relacje o krajach, w których nigdy nie był. Następnie rzuca na rynek księgarski kilka tomów nowel, za którymi idą powieści. *Rycerz z Hermentalu*, romans wydany w roku 1843, pasuje go na mistrza powieści historycznej. *Hrabia de Monte Christo* i *Trzej Muszkietierowie* zdobywają mu wielką sławę.

Nieprawdopodobne rozmiary jego dzieła (napisał 1200 tomów) dają pole dla sporów o autentyczność wielu spośród najlepszych jego powieści. Są podstawy, aby sądzić, że miał szereg współpracowników, którym powierzał opracowywanie swych potężnych po-

¹urodził się dnia 24 lipca 1803 r. — Aleksander Dumas urodził się 24 lipca, ale w roku 1802. [przypis edytorski]

²*San Domingo* (fr. *Saint-Domingue*) — dawna francuska kolonia (1659–1804) w zach. części karaibskiej wyspy Hispaniola; obecnie terytorium Republiki Haiti. [przypis edytorski]

³struktura — tu: budowa ciała. [przypis edytorski]

⁴fehmistrz — mistrz fechtunku, czyli sztuki walki bronią białą (szablą, szpadą, floretem); mistrz szermierki. [przypis edytorski]

⁵książę Orleanu — chodzi o Ludwika Filipa (1773–1850): ostatniego króla Francji z dynastii Burbonów, który panował w latach 1830–1848. [przypis edytorski]

⁶Szekspir, *William*, właśc. *Shakespeare, William* (1564–1616) — angielski poeta, dramaturg i aktor, jeden z najwybitniejszych pisarzy literatury angielskiej oraz reformatorów teatru. [przypis edytorski]

⁷Schiller, *Friedrich* (1759–1805) — niemiecki poeta, filozof, historyk i dramaturg, autor *Ody do radości*. [przypis edytorski]

⁸*Henryk IV i jego dwór* — prawidłowa nazwa tej sztuki to: *Henryk III i jego dwór*. [przypis edytorski]

⁹Hugo, *Wiktor* (1802–1885) — francuski pisarz, poeta, dramaturg i polityk, czołowy prozaik francuskiego romantyzmu, autor m.in. *Nędzników*. [przypis edytorski]

mysłów, podobnie jak wielki malarz powierza wykonanie draperii lub mało znaczących grup uczniom. Umysł Dumasa był nazbyt rozległy, aby gubić się w drobiazgowej pracy, temperament nazbyt żywy, aby jednemu zagadnieniu poświęcić więcej niż jedną chwilę.

Rzecz jasna, że tak olbrzymi dorobek literacki dawał wielkie dochody, ale te były niczym wobec wydatków. Wydatki były niczym wobec potrzeb, a potrzeby przewyższały wytrzymałość tego herkulesowego¹⁰ organizmu. W roku 1870 autor *Trzech Muszkieterów*, zniszczony życiem, wyczerpany pracą, umiera w Puys, w posiadłości ziemskiej swego syna, przeżywszy lat 68.

Obok dramatów, komedii, podróży i powieści, obejmuje spuścizna literacka Dumasa także: kilka pamiętników, w których z dochodzącą nieraz do cynizmu szczerością opowiedziane są karkołomne przygody autora. Jakim był w życiu, takim pozostał w dziełach: człowiekiem bujnym, beztroskim, zaczepnym, pełnym fantazji i humoru, siły i przedsiębiorczości, człowiekiem żywym. Jego postacie są pełnokrwiste, takim też jest jego język. Konstrukcja powieści Dumasa wyrosła z jego dramatu, jak kwiat wyrasta z łodygi, nic więc dziwnego, że dramat ten swoją wartością nieskończenie przewyższa. W perspektywie historycznej Dumas jest pierwszym romantykiem francuskim, jakkolwiek romantyzm ten ogranicza się tylko do zewnętrznego ujęcia wydarzeń. Jądro jego dzieła to ani romantyzm, ani klasycyzm, tylko życie.

ROZDZIAŁ I. CZYM STARY D'ARTAGNAN WYPOSAŻA SYNA NA DROGĘ?

Pewnego kwietniowego poniedziałku roku 1625 w miasteczku Meung¹¹ panował ruch tak niezwykle, jak gdyby na przykład wtargnęli doń¹² hugenoci¹³ i zamierzali powtórzyć tego rodzaju krwawą scenę jak w La Rochelle¹⁴.

Wielu mieszczan widząc, jak kobiety uciekają w stronę ulicy Wielkiej, słysząc, jak dzieci wrzeszczą w drzwiach domów, co prędzej przywdziało pancerze i pokrzepiwszy swoją wątpliwą odwagę muszkietem¹⁵ lub halabardą¹⁶, podążyło w kierunku oberży¹⁷ „Pod Wolnym Młynarzem”, dokąd zbiegały się z głośnym zgiełkiem coraz większe, przejęte ciekawością tłumy.

W owych czasach popłoch tego rodzaju był chlebem powszednim. Żaden dzień nie mijał bez wypadku. To panowie darli się między sobą, to król z kardynałem wojował, to Hiszpan wojował z królem. Wreszcie poza tymi wojnami, głuchymi lub głośnymi, jawnymi lub tajnymi, byli jeszcze złodzieje, żebracy, hugenoci, wilki i lotrzy, rzucający się na wszystkich. Mieszczanie musieli ciągle uzbrajać się przeciw złodziejom i wilkom, często przeciw panom i hugenotom, a czasami nawet przeciwko królowi; ale przeciw kardynałowi i Hiszpanowi nie chwytały za broń nigdy. Dlatego też, w ów pierwszy kwietniowy poniedziałek 1625 roku, mieszczanie, usłyszawszy krzyki, a nie widząc ani czerwonożółtych żandarmów, ani barw księcia de Richelieu¹⁸, które by ich przestraszały, rzucili się śpiesznie ku oberży „Pod Wolnym Młynarzem”. Dopiero na miejscu każdy mógł zobaczyć i zrozumieć przyczynę zamieszania.

Wojna

¹⁰herkulesowy — taki jak u Herkulesa, mitycznego starożytnego bohatera słynącego z nadludzkiej siły i dokonania wielu niezwykłych czynów. [przypis edytorski]

¹¹Meung, właśc. *Meung-sur-Loire* — miejscowość i gmina w środkowej Francji. [przypis edytorski]

¹²doń (daw.) — do niego. [przypis edytorski]

¹³hugenoci a. *hugonoci* — protestanci francuscy, wyznawcy kalwinizmu. Po okresie domowych wojen religijnych na mocy edyktu nantejskiego (1598) mieli zapewnioną swobodę wyznania. Za panowania Ludwika XIV, od 1681, zaczęto ich brutalnie prześladować w celu zmuszenia do przejścia na katolicyzm (dragonady), co spowodowało emigrację wielu hugenotów jeszcze przed oficjalnym odwołaniem w 1685 edyktu nantejskiego. Swobodę wyznania i prawa cywilne odzyskali dopiero w 1787, zaś rewolucja roku 1789 przyniosła im pełne równouprawnienie z katolikami. [przypis edytorski]

¹⁴La Rochelle — miasto w zach. Francji nad Zatoką Biskajską, od XII w. także port morski; od połowy XVI w. przez kilkadziesiąt lat polityczny i militarny ośrodek hugenotów. [przypis edytorski]

¹⁵muszkiet — ciężka strzelba lontowa, gładkolufowa, ładowana odprzodowo. [przypis edytorski]

¹⁶halabarda — broń kłująca na długim drzewcu. [przypis edytorski]

¹⁷oberża (daw.) — zajazd przy głównym trakcie, oferujący podróżnym posiłek i nocleg. [przypis edytorski]

¹⁸Richelieu, *Armand-Jean du Plessis de* (1585–1642) — francuski książę, kardynał, od 1624 pierwszy minister Francji; faktycznie kierował polityką państwa; w latach 1625–1628 prowadził wojnę z hugenotami. [przypis edytorski]

Był to młodzieniec... nakreśliłmy jego wizerunek jednym pociągnięciem pióra. Wyobraźcie sobie Don Kichota¹⁹ w osiemnastym roku życia, Don Kichota bez pancerza i nagolenników, Don Kichota w kaftanie wełnianym, którego kolor niebieski przeszedł w odcienie to brudnozielonkawę, to brudnobłękitne. Twarz pociągła i śniada, kości na policzkach wystające, wymowny znak przebiegłości, szczęki nadmiernie rozwinięte, nieomylna wskazówka pochodzenia gaskońskiego²⁰, oko rozwarte i rozumne, wreszcie nos zagięty, lecz o liniach wykwintnych, za duży na młokosa, na człowieka zaś dojrzałego za mały. Mniej wprawnemu oku wydałby się on może podróżującym synem zagrodnika²¹, gdyby nie długa szpada, która zwieszona na skórzanym pasie biła go po nogach, i gdyby nie wierzchowiec z najeżoną sierścią, którego dosiadał.

Bo młodzieniec nasz miał wierzchowca, i to tak niezwyklego, że zwracał powszechną uwagę: był to podjezdek²² bearneński²³, mający już dwanaście do czternastu lat, maści żółtej, z ogonem pozbawionym włosa, którego brak nagradzały suto zarośnięte pęciny²⁴. Ten wspaniały rumak, choć głowę nosił niżej kolan, mógł jednak przebyć z osiem mil francuskich²⁵ dziennie. Niestety, wszelkie zalety tej szkapy były tak ukryte pod sierścią niezwyklej barwy, tak były zamaskowane jego dziwaczną postawą, ani trochę nieczyliącą zadość wymaganiom regularności kształtów, że w owych czasach, kiedy wszyscy znali się na koniach, zjawienie się takiego podjezdka w Meung, od strony Beaugency, sprawiło wrażenie źle usposabiające i względem samego jeźdźcy.

A wrażenie to tym przykrzejsze było dla młodego d'Artagnana (tak się bowiem nazywał ten nowy Don Kichot na swoim Rosynancie²⁶), iż czuł dobrze, że zabawny wierzchowiec ośmieszał nawet tak dzielnego jeźdźcy jak on. Wzdychał też okrutnie w głębi ducha, przyjmując ten dar od pana d'Artagnana ojca. Wiedział, iż bydlę warte było najwyższej dwadzieścia liwrów²⁷, lecz słowa ojcowskie towarzyszące temu darowi posiadały nieskończenie wyższą cenę.

— Synu mój — prawil szlachcic gaskoński tym narzeczem²⁸ czysto bearneńskim, którego nawet Henryk IV²⁹ nigdy nie zdołał się pozbyć — synu mój, koń ten zrodzony jest w domu ojca twojego, będzie temu trzynaście lat, i dotąd w nim przebywał, więc kochać powinieneś to zwierzę. Nigdy się z nim nie rozstawaj, dozwól mu spokojnie i uczciwie umrzeć ze starości; a jeśli na wojnę z nim pójdiesz, oszczędzaj go, jakbyś staroego sługę oszczędzał. Przy dworze — ciągnął dalej stary pan d'Artagnan — jeżeli tylko będziesz miał zaszczyt tam się dostać, do czego daje ci prawo twoje stare szlachectwo, godnie utrzyjmaj imię szlachcica, które przez przodków twoich zaszczytnie było noszone od pięciuset przeszło lat. Nie ustępuj nikomu, nikomu nic nie puszczaj płazem, prócz panu kardynałowi i królowi. Odwagą tylko, rozumiesz mnie, tylko odwagą szlachcic dziś sobie toruje drogę. Kto stchórzy na jedną sekundę, na zawsze wymyka mu się los, jaki mu zsyła fortuna. Młody jesteś i winieneś być waleczny dla dwóch powodów: najpierw, że jesteś Gaskończykiem, po wtóre, że jesteś moim synem. Okazji nie unikaj, goń za przygodami. Kazałem ci wyćwiczyć we władaniu szpadą; żelazną masz nogę, a dłonie ze stali; bij się o byle co, bij się tym bardziej, że pojedynki są zakazane, więc z tego wynika, że aby się bić, trzeba mieć podwójną odwagę. Na drogę, mój synu, mogę ci dać tylko

Koń

Rycerz, Szlachcic, Odwaga,
Koń

¹⁹*Don Kichot* — tytułowy bohater powieści Miguela de Cervantesa; szlachcic, który motywowany wzniosłymi ideami postanawia ruszyć w świat i wcielić w życie średniowieczny ideał rycerski, jest jednak pozbawiony poczucia rzeczywistości, przez co często naraża się na śmieszność (zasłynął m.in. walką z wiatrakami, który wydawał mu się olbrzymem). [przypis edytorski]

²⁰*pochodzenia gaskońskiego* — z Gaskonii: krainy historycznej w pld.-zach. Francji. [przypis edytorski]

²¹*zagrodnik* (daw.) — ubogi gospodarz wiejski, właściciel jednej zagrody. [przypis edytorski]

²²*podjezdek* (daw.) — niewielki koń wierzchowy używany przez służbę obozową i postauńców. [przypis edytorski]

²³*bearneński* — przym. od *Béarn*: historyczna prowincja w pld.-zach. Francji, która z czasem weszła w skład Gaskonii. [przypis edytorski]

²⁴*pęcina* — część kończyny konia nad kopytem. [przypis edytorski]

²⁵*mila francuska* — dawna miara odległości równa ok. 4 km. [przypis edytorski]

²⁶*Rosynant* — koń Don Kichota. [przypis edytorski]

²⁷*liwr* — dawna srebrna moneta francuska. [przypis edytorski]

²⁸*narzeczce* — odmiana języka mówionego charakterystyczna dla określonej grupy społecznej, używana na pewnym terytorium. [przypis edytorski]

²⁹*Henryk IV* (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

piętnaście talarów³⁰, mego konia i te rady, których wysłuchałeś. Matka twoja daje ci jeszcze przepis na balsam, który od Cyganki dostała, a ma on cudowną własność gojenia wszelkich ran, które nie dosięgły serca. Korzystaj z tego wszystkiego i żyj szczęśliwie przez długie lata. Już nic mi nie pozostaje ci udzielić, chyba dorzucić jeszcze ten przykład, wprawdzie nie z mego życia, bo ja nigdy na dworze nie byłem. Mówię tu o panu de Tréville³¹, który ongiś³² był moim sąsiadem, a dzieckiem już miał zaszczyt dzielić zabawę z królem naszym Ludwikiem XIII³³ — niech go Bóg najdłużej nam zachowa! Niekiedy zabawy te w bitwę się przeistaczały, a król nie zawsze był silniejszy. Szturchańce, które odbierał, przejmowały go wielkim szacunkiem i przyjaźnią dla pana de Tréville. Później, w podróży swej do Paryża, pan de Tréville pojedynkował się aż pięć razy; od czasu śmierci starego króla aż do pełnoletności młodego, nie licząc wojen i oblężeń, w których brał udział, bił się jeszcze siedem razy; no a od czasu pełnoletności swej aż do dziś bił się razy ze sto! Dlatego, widzisz, dzisiaj, pomimo wszelkich zakazów królewskich, pomimo rozporządzeń i wyroków na pojedynkujących się, jest on kapitanem muszkietierów³⁴, co tyle znaczy, jak gdyby był wodzem legionu³⁵ cesarów³⁶, i król go wielce ceni, a strachem przejmuje on nawet kardynała, który, jak wszystkim wiadomo, niełatwo czego się złączyć. Co więcej, pan de Tréville doszedł do dziesięciu tysięcy talarów rocznego dochodu, zatem jest panem nie lada. A zaczynał tak jak ty dzisiaj. Otóż przedstaw mu się z tym listem i wzoruj się na panu de Tréville, abys, jak on, pokierował się w życiu.

To rzekłszy, pan d'Artagnan ojciec własną ręką przypasał mu szpadę, ucałował czule w oba policzki, dodając błogosławieństwo ojcowskie.

Wychodząc z pokoju, młodzieniec zastał matkę czekającą nań³⁷ z ową słynną receptą zbawiennego balsamu.

Tutaj pożegnania były czulsze i przeciągnęły się, nie dlatego, aby pan d'Artagnan nie kochał syna, który był jego jedynym potomkiem, ale że jako mąż³⁸ stateczny uważałby za niegodne siebie dać się opanować wzruszeniu. Pani d'Artagnan zaś była tylko kobietą, a nadto była matką. Wylewała więc łzy obfite. I przyznać musimy na pochwałę pana d'Artagnan syna, że chociaż silił się być niewzruszony, jak na przyszłego muszkietera przystało, wzięło w nim górę uczucie wrodzone i łzy rzęsiste puściły się z jego oczu, a ledwie połowę ich udało mu się ukryć.

Jeszcze tego dnia młodzieniec wyruszył w drogę zaopatrzony w trzy ojcowskie dary składające się, jak powiedzieliśmy, z piętnastu talarów, konia i listu do pana de Tréville; rady zaś uważamy za dodatek do nich.

Z podobnym „vadecum”³⁹ d'Artagnan stał się dokładną kopią bohatera Cervantesa⁴⁰, z którym przy naszkicowaniu portretu porównaliśmy go, jak nakazywał nam obowiązek historyka. Don Kichot brał wiatraki za olbrzymów, a za armię stado owiec, d'Artagnan postanowił poczytywać każdy uśmiech za zniewagę, a każde spojrzenie za wyzwanie. Z tego wynikło, że przez całą drogę od Tarbes aż do Meung trzymał zaciśnięte pięści i bez ustanku sięgał do rękojeści swej szpady, wszelako pięścią nie natrafił na żadną szczękę, a szpada ani razu nie była z pochwy dobyta. Nie znaczy to, aby na widok niefortunnego żółtego podjezdka nie wykwitał uśmiech na obliczach przechodniów; ponieważ jednak ponad tą szkapą pobrzękiwała szabla poważnego wyglądu, a ponad nią świeciły oczy

Błogosławieństwo, Ojciec,
Matka, Syn, Rozstanie

³⁰talar — duża moneta srebrna, bita w Europie od XV w. [przypis edytorski]

³¹pan de Tréville — pierwowzorem tego bohatera była postać francuskiego oficera, hrabiego de Troisville (1598–1672). [przypis edytorski]

³²ongis (daw.) — kiedyś. [przypis edytorski]

³³Ludwik XIII, zw. *Sprawiedliwym* (1601–1643) — król Francji (od 1610), syn Henryka IV z dynastii Burbonów; do czasu jego pełnoletności realne rządy sprawowała jego matka, Maria Medycejska, potem kardynał Richelieu, który stał się twórcą systemu rządów absolutnych. [przypis edytorski]

³⁴muszkietier — żołnierz oddziałów specjalnych francuskiej gwardii królewskiej w XVII- i XVIII-wiecznej Francji. [przypis edytorski]

³⁵legion — podstawowa i największa jednostka taktyczna armii rzymskiej, licząca 5000–6000 żołnierzy. [przypis edytorski]

³⁶cesar — jeden z tytułów władców państwa rzymskiego, pierwotnie rodowe miano Gajusza Juliusza Cezara oraz Oktawiana, jego adoptowanego syna i pierwszego cesarza rzymskiego. [przypis edytorski]

³⁷nań — na niego. [przypis edytorski]

³⁸mąż — tu: mężczyzna. [przypis edytorski]

³⁹vadecum (z łac.) — przewodnik. [przypis edytorski]

⁴⁰Cervantes, Miguel de (1547–1616) — hiszpański pisarz renesansowy, autor *Don Kichota*. [przypis edytorski]

bardziej dzikie niż dumne, powściągnano uśmiechy, a gdy wesołość brała górę nad przecznością, usiłowano przynajmniej śmiać się półgębkiem tylko, na podobieństwo masek starożytnych. Tak d'Artagnan, pomimo drażliwości, w nienaruszonym majestacie swoim dobił do nieszczęsnego miasta Meung.

Gdy zsiadał z konia przed bramą „Wolnego Młynarza”, a nie było tam nikogo, ani stajennego, ani gospodarza, by strzeżenie mu przytrzymał, d'Artagnan spostrzegł przy otwartym oknie na dole szlachcica postawy pięknej i wyniosłej, z twarzą nieco pomarszczoną, który rozmawiał z dwiema osobami słuchającymi go z widocznym szacunkiem. Rzecz prosta, iż według przyjętego zwyczaju d'Artagnan zaraz pomyślał, że on jest przedmiotem tej rozmowy. Słuchał więc. Tym razem pomylił się tylko do połowy, albowiem nie o niego, lecz o jego konia tam chodziło. Szlachcic wyliczał swoim słuchaczom wszystkie jego przymioty, a jak już mówiliśmy, słuchacze wyglądali na przejętych niemalym szacunkiem dla opowiadającego i co chwila wybuchali śmiechem. Jeden półuśmiech, jak wiemy, wystarczał do rozbudzenia zapalczowości młodego d'Artagnana, łatwo pojmujemy więc, jakie sprawiła na nim wrażenie ta hałaśliwa wesołość.

Najpierw jednak d'Artagnan zapragnął zobaczyć, jak wygląda impertynent⁴¹, który pozwala sobie stroić z niego żarty. Utkwił w nieznanym dumne spojrzenie i zauważył, iż był to mężczyzna od czterdziestu do czterdziestu pięciu lat, o oczach czarnych i przenikliwych, cerze bladej, z nosem mocno wydatnym i czarnymi, pięknie ułożonymi wąsami; miał on na sobie kaftan i spodnie fioletowe z plecionkami tegoż koloru, bez żadnej ozdoby prócz zwykłych nacięć na rękawach, przez które przeglądała koszula. Ubranie to, jakkolwiek nowe, zmięte było tak, jak gdyby długo spoczywało w walizie podróźnej. D'Artagnan uczynił to spostrzeżenie szybko, ale drobniaczkowo, jak gdyby przeczuwając, że osobistość owa ma w przyszłości wywrzeć wielki wpływ na jego życie.

Gdy wpatrywał się w szlachcica w fioletowym ubraniu, ten był zajęty najuczestniejszym i najbieglejszym wskazywaniem przymiotów bearneskiego podjezdka, zaś dwaj słuchacze śmiali się hałaśliwie, a dokoła ust opowiadającego, wbrew zwyczajowi, zarysował się widoczny, acz blade jeszcze uśmiech. Tym razem nie zachodziła już żadna wątpliwość, d'Artagnan był istotnie znieważany. Przeświadczony o tym najzupełniej, beret na oczy nacisnął i usiłując naśladować ruchy wielkopańskie, podpatrzone w Gaskonii u przejeżdżających dostojników, zbliżył się z ręką na rękojeści szpady, a drugą wspartą na biodrze. Na nieszczęście, w miarę jak podchodził bliżej, gniew go zaślepił coraz gwałtowniej i zamiast pełnej godności przemowy, którą przygotował sobie dla rzucenia wyzwania, nie znalazł na końcu języka nic prócz obelgi grubiańskiej, z towarzyszeniem gestu wściekłości.

— Hej! Panie — zawołał — panie, co się tam za okiennicą chowasz! Powiedz mi, jeśli łaska, co cię tak bardzo śmiesz, a pośmiejemy się razem!

Zagadnięty przeniósł spokojnie wzrok z wierzchowca na jeźdźca, jak gdyby potrzebował pewnego czasu dla zrozumienia, że ta dzika przymówka jest skierowana do niego, następnie, gdy znikła wszelka wątpliwość, jego brwi naciągnęły się lekko i po dość długim milczeniu, tonem ironii i nieopisanego zuchwalstwa, odpowiedział:

— Nie do ciebie mówię, mój panie.

— Ale ja mówię do ciebie, ja! — krzyknął chłopak, zrozpaczony tym połączeniem czelności i pięknych manier, konwenansu i pogardy.

Nieznajomy jeszcze chwilę popatrzył na niego i oddalając się od okna, powoli wyszedł z zajazdu i stanął przed koniem o parę kroków od d'Artagnana. Spokój i drwiący wyraz jego twarzy podwoiły wesołość towarzyszy pozostałych przy oknie.

D'Artagnan widząc, że się zbliża, chwycił szpadę i do połowy obnażył ją z pochwy.

— Koń ten stanowczo jest, a raczej był, barwy jaskra polnego — ciągnął nieznajomy, zwróciwszy się do swoich słuchaczy z okna i jakby nie widząc d'Artagnana albo wcale nie zważając na niego. — Kolor ten jest bardzo znany w botanice, lecz u koni, przynajmniej jak dotąd, był nader rzadki.

— Łatwo to z konia się śmiać, na to nie trzeba takiej odwagi, jak śmiać się z jego pana! — wykrzyknął z wściekłością współzawodnik pana de Tréville.

Pojedynek, Honor, Koń,
Odwaga, Gniew, Obcy

Śmiech, Koń

⁴¹ *impertinent* — człowiek zachowujący się arogancko, obraźliwie wobec kogoś. [przypis edytorski]

— Ja nieczęsto się śmieję, mój panie — odrzekł nieznajomy — możesz to odgadnąć z mej twarzy; ale śmieję się wtedy, kiedy mi się podoba.

— A ja — krzyknął d'Artagnan — nie pozwalam, aby się śmiano wtedy, gdy ja nie chcę i gdy mi się nie podoba.

— Doprawdy? — ciągnął nieznajomy z większym niż dotąd spokojem. — A to najzupełniej słuszne.

I wykręciwszy się na pięcie, zmierzał z powrotem ku bramie zajazdu, gdzie stał jego osiodłany koń.

Lecz czyż d'Artagnan mógł puścić płazem takie drwiny? Porwał za szpadę i popędził za nieznajomym, krzyząc:

— Obróć no się, obróć, panie wesoly, bo mogę cię wypadkiem uderzyć z tyłu.

— Ty chcesz mnie uderzyć! — odparł ten, naraz zwracając się do młodzieńca szybko z miną zdziwioną, a zarazem wzgardliwą. — Zwariowałeś widocznie, mój kochanku! — Potem dodał do siebie półgłosem: — Szkoda wielka! Pyszny byłby nabytek dla Jego Królewskiej Mości, który ze wszystkich stron szuka takich śmiałków do swoich muszkietierów.

Zaledwie domawiał te słowa, kiedy d'Artagnan tak gwałtownie na niego natarł, że gdyby nagle nie uskoczył w tył, byłby prawdopodobnie żartował po raz ostatni w swym życiu. Wtedy nieznajomy zrozumiał, że to już przechodzi granicę żartów, dobył więc szpady i przesadnie kłaniając się przeciwnikowi, stanął w pogotowiu, lecz w tejże chwili owi dwaj słuchacze wspomagani przez gospodarza wpadli na d'Artagnana, z całych sił łomocąc go kijami, pogrzebaczami i szczypcami kuchennymi. Napad ten tak dalece zmienił postać rzeczy, że kiedy d'Artagnan odwrócił się, aby stawić czoło temu gradowi pocisków, jego przeciwnik z tą samą przesadą schował szpadę do pochwy i z aktora walki, którym o mało co nie został, stał się tylko widzem i z roli tej wywiązując się ze zwykłą sobie obojętnością, mruczał tylko przez zęby:

— Niech ich powietrze ogarnie, tych Gaskończyków! Wpakujcie go na tego pomarańczowego konia i niechaj jedzie z Bogiem.

— Nie prędjey, aż cię zatłukę, nikczemniku! — wrzeszczał d'Artagnan, nie ustępując ani kroku napastnikom nacierającym na niego ze wszystkich stron.

— Zawsze ta gaskonada⁴²! — mruknął szlachcic. — O! Na honor, Gaskończycy zawsze są niepoprawni. Kończcie już ten taniec, kiedy chce koniecznie. On wam sam powie, jak będzie miał dosyć.

Ale nie wiedział, z jakim zapaleńcem ma do czynienia; d'Artagnan był z tych, co nie ustępują nikomu ani na krok. Walka trwała jeszcze kilka chwil; na koniec, wyczerpany, upuścił szablę, którą uderzenie kijów przełamało na dwoje. Od innego znów uderzenia jednocześnie zraniony w czoło padł na wznak skrwawiony i prawie zemdlony.

Wtedy to właśnie nadbiegano ze wszystkich stron na miejsce, gdzie się ta scena rozgrywała. Oberżysta⁴³, lękając się głośniejszej awantury, przeniósł przy pomocy stajennych rannego do kuchni, gdzie go zaraz opatrzone.

Szlachcic zaś wrócił na dawne miejsce u okna i z pewnym rozdrażnieniem przypatrywał się tej tłuszczy⁴⁴, która jakby go gniewała niepomiernie.

— I cóż?! Jak się miewa szaleniec? — zapytał, zwracając się do oberżysty, który przyszedł go o zdrowie zapytać.

— Czy nic się Waszej Ekscelencji nie stało? — odezwał się oberżysta.

— Ja się zupełnie dobrze czuję, gospodarzu kochany, ale pytam właśnie, co się dzieje z naszym młokosem.

— Już mu lepiej — odrzekł gospodarz — ale wpród zupełnie omdlał.

— Doprawdy? — pochwycił szlachcic.

— Lecz przed zemdleniem, zebrawszy wszystkie siły, wymyślał i odgrażał się panu.

— Toż ten śmiałek to widocznie diabeł wcielony — zawołał nieznajomy.

— O nie, ekscelencjo, on diabłem wcale nie jest — odparł oberżysta z pogardliwym skrzywieniem — bo kiedy zrewidowaliśmy go, zanim odzyskał przytomność, w jego zawiniątku znaleźli tylko jedną koszulę, a w torbie marne dwanaście talarów. Nie

⁴²gaskonada — pyszałkowatość. [przypis edytorski]

⁴³oberżysta — właściciel oberży. [przypis edytorski]

⁴⁴tłuszcza (pogard.) — zgraja. [przypis edytorski]

przeszkodziło mu to jednak przed zemdleniem powiedzieć, że gdyby to było w Paryżu, pożałowałbyś pan tego zaraz, lecz co się odwlecze, to nie uciecze.

— Więc to musi być jakiś przebrany książę — odrzekł nieznajomy chłodno.

— I ja tak myślę, dostojny panie — odrzekł oberżysta. — I powinieneś się mieć na baczności.

— A czy w gniewie jakiego nazwiska nie wymienił?

— I owszem, uderzał się po kieszeni i mówił: „Zobaczmy, co powie pan de Tréville na zniewagę, jaką wyrządzono jego protegowanemu”.

— Pan de Tréville? — podchwycił nieznajomy z zajęciem. — Uderzał się po kieszeni, wymawiając nazwisko pana de Tréville?... Słuchaj, gospodarzu, pewny jestem, że nie omieszkałeś przetrząsnąć tej kieszeni, kiedy był zemdlony. Co tam w niej było?

— List do pana de Tréville, kapitana muszkietierów.

— Doprawdy?

— Tak jak to powiedziałem Waszej Ekscelencji.

Oberżysta, zbytnią bystrością nieobdarzony, nie zauważył wyrazu, jaki jego słowa wywołały na obliczu nieznajomego. Ten zaś, opuszczając okno, o którego framugę był oparty, zmarszczył brwi z wyrazem niepokoju.

— Co, u diabła? — syknął przez zęby. — Czyżby Tréville nasłał mi tego Gaskończyka? Młokos to, co prawda! Pchnięcie szpady jednak nie przestaje być pchnięciem, bez względu na wiek tego, który je zadaje; a na dzieciaka mniej się zwykle uważa niż na kogo innego!... Czyż nieraz drobna na pozór przeszkoda nie pokrzyżowała wielkich zamiarów?

I nieznajomy pograżył się w zamyśleniu.

— Słuchaj, gospodarzu — rzekł — czy nie mógłbyś uwolnić mnie od tego zapaleńca? Co prawda zabić go nie mogę, a jednak — dodał z groźnym spokojem — a jednak zawadza mi. Gdzież on jest?

— W pokoju mojej żony, na pierwszym piętrze, opatrują go tam.

— Czy są przy nim jego łachmany i zawiniątko? Czy nie zdjął kaftana?

— Przeciwnie, w kuchni na dole wszystko to się znajduje. Lecz skoro panu ten szaleniec zawadza...

— Bez wątpienia. Jest on w twoim zajęzdzie przyczyną awantury z ludźmi przyzwotymi. Wracaj do siebie, przygotuj rachunek i uprzedź mojego służącego.

— Jak to?! Pan już nas opuszcza?

— Widzisz to przecie⁴⁵, skoro dałem ci rozkaz osiodłać mego konia. Czy nie zrobiono tego jeszcze?

— I owszem, i, jak to Wasza Ekscelencja mogła zauważyć, koń Jego stoi w bramie, gotowy do podróży.

— Zrób zatem, co ci mówiłem.

„U! — rzekł w duchu oberżysta. — Miałżeby⁴⁶ on istotnie bać się tego chłopaka?”

Lecz groźne spojrzenie nieznajomego zbiło go z tropu. Skłonił się nisko i wyszedł.

— Nie trzeba, ażeby milady⁴⁷ była przez tego dudka⁴⁸ widziana — rzekł do siebie nieznajomy. — Powinna by tu już niedługo nadjechać; spóźnia się nawet trochę. Najlepiej będzie, gdy wsiądę na konia i pojedę na jej spotkanie... Gdybym tylko mógł wiedzieć, co zawiera ten list do Tréville'a!

I mrużąc tak, skierował się do kuchni.

Oberżysta tymczasem, nie przypuszczając, by obecność młodego chłopca wypędzała nieznajomego z zajazdu, zaszedł do swojej żony, gdzie zastał d'Artagnana już najzupełniej przytomnego. Dał mu więc do zrozumienia, że mógłby mieć jakąś nieprzyjemność z policją za szukanie przezeń zaczepki z wielkim panem, gdyż, według oberżysty, nieznajomy był niezawodnie magnatem. Przekładając to wszystko, gospodarz oberży wreszcie namówił go tak, że młodzieniec, pomimo osłabienia, powstał, by puścić się w dalszą drogę. D'Artagnan, na pół ogłuszony, z owiązaną głową i bez kaftana, ruszył się z miejsca i nagłony przez gospodarza, zwłókl się powoli ze schodów, lecz pierwszą osobą, którą

⁴⁵przecie (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

⁴⁶miałżeby — dawna konstrukcja z partykulą *-że-*; znaczenie: czyżby miał. [przypis edytorski]

⁴⁷milady (ang.) — dawny tytuł grzecznościowy używany wobec arystokratek. [przypis edytorski]

⁴⁸dudek (pot.) — głupiec. [przypis edytorski]

sposzregł, wszedłszy do kuchni, był jego wróg rozmawiający najspokojniej w świecie przy drzwiczkach karety podróżnej zaprzężonej w dwa wielkie konie normandzkie.

Kobieta, z którą rozmawiał, a której główka wyglądała z okna pojazdu, jak w ramki oprawna, mogła mieć dwadzieścia do dwudziestu dwóch lat najwyżej.

Mówiliśmy już o tym, z jaką szybkością baczne oko d'Artagnana zdawało sobie sprawę z każdego oblicza, więc od razu spostrzegł on też, że kobieta jest młoda i piękna. Piękność ta tym więcej go uderzyła, iż nie miała nic wspólnego z południową prowincją, gdzie dotąd zamieszkiwał.

Była to blondynka, blada, z długimi włosami w lokach, spadającymi na jej cudne ramiona, o dużych a smętnych niebieskich oczach; ręce miała śnieżnej białości, a usta jak świeżo rozkwitła różę. Rozmawiała z nieznanym, wielce ożywiona.

— Jego Eminencja zatem rozkazuje mi... — mówiła.

— Niezwłocznie powrócić do Anglii i donieść mi bezpośrednio, czy książę wyjeżdżał z Londynu.

— A co do innych zleceń? — zapytała piękna podróżna.

— Są one zawarte w tym oto pudełku, które pani otworzy, ale dopiero po tamtej stronie kanału.

— Dobrze... a co pan ze sobą zrobi?

— Ja powracam do Paryża.

— Nie ukarawszy tego zuchwałego chłopaka? — zapytała dama.

Nieznanomy zabierał się do odpowiedzi, lecz zanim otworzył usta, d'Artagnan, który słyszał to wszystko, skoczył i stanął na progu.

— Oto jest właśnie ten zuchwały chłopak, który sam innych karze — zawołał — a jak na teraz mam nadzieję, że ten, którego ukarać powinien, nie wymknie mu się jak za pierwszym razem.

— Czy tak? — odparł nieznanomy, marszcząc brwi.

— Nie, nie śmiałyś wobec kobiety uciekać, tak przypuszczam przynajmniej.

— Zastanów się — krzyknęła milady, widząc, że szlachcic już chwyta za szpadę — pomyśl, że najmniejsza zwłoka może wszystko zgubić.

— Masz słuszność — zawołał — jedźmy więc, każde w swoją stronę.

I skinąwszy jej głową na pożegnanie, skoczył na konia, a jednocześnie woźnica karety śmignął potężnie batem nad swoim zaprzęgiem. Ruszyli galopem, każde z nich pędząc w przeciwnym kierunku.

— Hej! Hej! A rachunek niezapłacony — wrzeszczał gospodarz, którego względy dla podróżnego we wzgardę się zamieniły, na widok, że odjeżdża, nie zapłaciwszy należności.

— Zapłać, gamajdo⁴⁹! — krzyknął w pełnym galopie podróżny na swego pacholka⁵⁰, który rzuciwszy parę sztuk srebra pod nogi oberżysty, podążył za swoim panem.

— A! Łotr. A! Łajdak, szlachcicem podszyty! — krzyczał d'Artagnan, goniąc za obydwoma.

Lecz ranny nie odzyskał jeszcze o tyle sił, ażeby wytrzymać podobne wstrząśnienia. Zaledwie ubiegł kilka kroków, poczuł szum w uszach, świat zawirował mu przed oczami, nareszcie krwawa chmura zasłoniła mu oczy i padł na środku drogi, wołając jeszcze:

— Podły! Podły! Podły!...

— To prawda, że podły — mamrotał oberżysta, podszedłszy do d'Artagnana i próbując jemu się teraz przypodobać i pogodzić się z biedakiem, jak owa czapla ze ślimakiem w bajce.

— Podły! Podły!... — powtarzał d'Artagnan. — Ale ona bardzo piękna!

— Co za ona? — zapytał oberżysta.

— Milady — wybełkotał d'Artagnan i zemdlął po raz drugi.

— A! I tej milady nie mam — rzekł do siebie gospodarz. — Ha! Chociaż ten mi pozostaje z pewnością, na kilka dni co najmniej. W każdym razie jedenaście talarów w zysku.

Wiadomo, że taka suma znajdowała się w sakiewce d'Artagnana.

Oberżysta liczył na jedenaście dni choroby, czyli po talarze na dobę.

⁴⁹gamajda — ciamajda, osoba powolna i przesadnie łagodna. [przypis edytorski]

⁵⁰pacholek (daw.) — człowiek spełniający różne posługi lub pomocnik. [przypis edytorski]

Ale osoby chorego nie wziął wcale w rachubę.

Nazajutrz o piątę z rana d'Artagnan podniósł się, zeszedł sam do kuchni, zażądał, prócz innych rzeczy, których spis nie doszedł do nas, wina, oliwy, rozmarynu i z receptą macierzyńską w ręce sporządził sobie balsam, którym namaściwszy swoje liczne rany, sam je opatrywał, nie chcąc dopuścić żadnego lekarza. Dzięki zbawiennym skutkom balsamu cygańskiego, a być może i nieobecności lekarzy, stanął na nogi jeszcze tego wieczora, a nazajutrz był już prawie wyleczony.

Kiedy przyszło płacić za rozmaryn, wino i oliwę, jego jedyny wydatek, sam bowiem zachował najściślejszą dietę, gdy przeciwnie żółty konik, jak dowodził oberżysta, zjadł trzy razy więcej, niż można było przypuścić, d'Artagnan znalazł wprawdzie w kieszeni swój podarty woreczek aksamitny z jedenastoma talarami, lecz list adresowany do pana de Tréville zniknął bez śladu. Począł więc z największą cierpliwością poszukiwać listu, po dwadzieścia razy wywracał kieszenie, szperał po mniejszych kieszonkach, grzebał w zawiniątku, otwierał i zamykał woreczek; ale gdy nabrał przekonania, że trzeba uważać list za stracony, wpadł w trzeci paroksyzm⁵¹ gniewu, co omal znów nie spowodowało powtórnego użycia wina i oliwy rozmarynowej, bo na widok tego zapaleńca grożącego, że wszystko, co napotka w domu, potłucze w drobne kawałki, jeżeli nie znajdzie listu, gospodarz znowu pochwyił za oszczep, jego połowica⁵² za miotłę, a parobcy za kije, te same, które poprzedniego dnia były w robocie.

— List! Mój list polecający! — krzyczał d'Artagnan. — Albo klnę się, że wszystkich nadzieję na szpadę jak jarzabki na rożen.

Nieszczęściem jednak pewna okoliczność sprzeciwiała się spełnieniu tej groźby, bo w pierwszej walce jego szpada, jak mówiliśmy, została złamana na dwoje, o czym najzupełniej zapomniał. Z tego wynikło, że gdy d'Artagnan chciał ją wydobyć z pochwy, znalazł się uzbrojony, lecz tylko w odłamek na sześć czy osiem cali⁵³ długi, który gospodarz najstaranniej wsunął mu do pochwy, resztę obciętej klingi⁵⁴ dla siebie sprzątnął i potem obrócił na szpikulec.

Prawdopodobnie jednak rozczarowanie to nie byłoby powstrzymało młodego zapaleńca, gdyby nie uwaga uczyniona przez oberżystę, że jego gość słusznie tak ubolewa nad utratą listu:

— Ale, to prawda — odezwał się, opuszczając oszczep — gdzie może być ten list?

— Tak, gdzie ten list? — krzyczał d'Artagnan. — Powiadam wam, że to list do pana de Tréville i musi się znaleźć, już on na to poradził! No! On na to poradził!...

Groźba ta ostatecznie opamiętała oberżystę. Bo po królu i kardynale pan de Tréville był człowiekiem, którego imię najczęściej powtarzali zarówno wojskowi, jak i mieszczanie. Wprawdzie Ojciec Józef⁵⁵ żył jeszcze, lecz jego imię tylko po cichu wymawiano, taką grozą przejmowała szara eminenca⁵⁶, jak nazywano samego kardynała. Odrzuciwszy więc oszczep na stronę i zalecając żonie, aby to samo uczyniła z miotłą, a parobkom z kijami, oberżysta pierwszy dał przykład szukania zatraconego listu.

— Czy ten list zawiera coś ważnego? — spytał po chwili nadaremnych szperań.

— Spodziewam się! — krzyknął Gaskończyk, który miał nadzieję utorować nim sobie drogę do dworu. — List ten stanowi o moim losie.

— Może w nim były obligi⁵⁷ hiszpańskie? — pytał zaniepokojony oberżysta.

— Obligii na osobisty skarbiec królewski — odparł d'Artagnan, który obiecując sobie przy pomocy listu wejść do służby Jego Królewskiej Mości, sądził, iż śmiało mógł tak odpowiedzieć.

— Tam do diabła! — jęknął zrozpaczony oberżysta.

⁵¹paroksyzm — nagle wystąpienie lub zaostrenie się objawów chorobowych; atak, napad; w odniesieniu do uczuć: krótki, gwałtowny i silny przejaw jakichś przeżyć. [przypis edytorski]

⁵²połowica (żart.) — żona. [przypis edytorski]

⁵³cal — dawna jednostka miary długości, równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

⁵⁴klinga — część broni siecznej, od rękojeści w dół, służąca do klucia lub cięcia. [przypis edytorski]

⁵⁵Ojciec Józef a. François Joseph Le Clerc du Tremblay (1577–1638) — francuski duchowny, kapucyn, poeta, bliski doradca kardynała Richelieu. [przypis edytorski]

⁵⁶szara eminenca — osoba mająca wpływ na ważne decyzje lub kierująca czymś z ukrycia. [przypis edytorski]

⁵⁷oblig (daw.) — zobowiązanie, zwłaszcza na piśmie. [przypis edytorski]

— Mniejsza o to — kończył d'Artagnan z zacięciem cechującym jego pochodzenie — pieniądze to jeszcze nic! Wolalbym stracić tysiąc pistoli⁵⁸ aniżeli to pismo.

Tak samo mógł powiedzieć o dwudziestu tysiącach, lecz wstrzymała go nieśmiałość młodzieńcza.

Zmożonemu poszukiwaniami oberżyscie nagle myśl strzeliła do głowy.

— Ten list wcale nie zginął — zawołał.

— A! — odezwał się d'Artagnan.

— Nie, on tylko został zabrany.

— Zabranym! A to przez kogo?

— A przez tego wczorajszego szlachcica. On był w kuchni i to sam jeden, a kaftan pański tam leżał. Założyłbym się, że to on ukradł.

— Tak myślisz? — odparł d'Artagnan, słabo jednak przekonany, bo lepiej niż kto inny znał rzeczywistą doniosłość listu i nie widział w nim nic takiego, co by mogło obudzić cudzą pożądlivość. Bo cóż by kto, czy to z pacholków, czy z podróżnych, zyskać mógł na posiadaniu tego świstka.

— Mówisz zatem — ciągnął d'Artagnan — iż tego grubiańskiego szlachcica posadzasz...

— Mówię panu, bo jestem tego pewny — kończył oberżysta. — Kiedy mu oznajmiłem, że Wasza Dostojność jest protegowanym pana de Tréville i że nawet posiadasz list do tego znakomitego męża, wielce się zaniepokoił, pytając, gdzie może znajdować się ten list, po czym niezwłocznie udał się do kuchni, gdzie leżał pański kaftan.

— Więc to on jest tym złodziejem, który mnie okradł — odparł d'Artagnan. — Poskarżę ja się panu de Tréville, a ten poskarży się królowi. — Potem, z miną majestatyczną, wydobyl z kieszeni dwa talary i dał je oberżyscie, który z kapeluszem w ręce odprowadził go do drzwi. Tam d'Artagnan dosiadł żółtego rumaka, który już bez żadnego wypadku doniósł go do bramy Saint-Antoine w Paryżu, gdzie został sprzedany przez swego właściciela za trzy talary, co znaczyło, że zapłacony był dobrze, bo d'Artagnan pędził go niemilosiernie od ostatniego popasu. Handlarz koni, który go nabył, nie ukrywał też, że taką sumę daje tylko dla jego niezwykłej maści.

Teraz, bez konia, d'Artagnan wszedł do Paryża piechotą, z węzełkiem⁵⁹ pod pachą, i póty chodził, aż znalazł pokój do wynajęcia, odpowiedni do jego szczupłych funduszy. Siedziba ta była rodzajem poddasza i znajdowała się przy ulicy des Fossoyeurs, w pobliżu Luksemburga⁶⁰. Skoro tylko dał zadatek, zajął swoje mieszkanie i resztę dnia przepędził na zaszywaniu kaftana i naszywaniu spodni galonami⁶¹, które matka odpruła od kaftana starego pana d'Artagnana i dała mu po kryjomu. Następnie udał się na bulwar de la Ferraille po nową klingę do szpady; zawrócił potem do Luwru⁶², aby się wywiedzieć od pierwszego lepszego muszkietera, gdzie się znajduje dom pana de Tréville, a dom ten, jak usłyszał, stał przy ulicy du Vieux-Colombier, to jest w bliskim sąsiedztwie siedziby d'Artagnana, co tenże poczytał za dobrą wróżbę dla swych przyszłych losów.

I, zadowolony ze swego zachowania w Meung, bez wyrzutów sumienia z przeszłości, ufny w teraźniejszość i pełen nadziei na przyszłość, legł na posłaniu i zasnął snem sprawiedliwego. Ów czysto parafiański jeszcze sen wytrzymał go do godziny dziewiątej rano, więc d'Artagnan zerwał się szybko, by podążyć do sławnego pana de Tréville, trzeciej osoby w królestwie, według klasyfikacji pana d'Artagnana ojca.

ROZDZIAŁ II. PRZEDPOKÓJ PANA DE TRÉVILLE

Pan de Troisville, jak mieniła się jego rodzina w Gaskonii, albo de Tréville, jak wreszcie sam się przezwiał w Paryżu, zaczynał tak samo jak d'Artagnan, czyli bez grosza przy duszy, ale z zapasem śmiałości, dowcipu i sprytu, które sprawiają, iż najuboższy szlachetka gaskoński otrzymując je w spuściźnie po przodkach, staje się bogatszy niż najzamożniejszy

⁵⁸pistol — francuska nazwa dublona, złotej monety hiszpańskiej. [przypis edytorski]

⁵⁹węzełek — pakunek, toból. [przypis edytorski]

⁶⁰Luksemburg — tu: Ogród Luksemburski w Paryżu, park miejski przy pałacu księcia de Luxembourg. [przypis edytorski]

⁶¹galon — naszywka ze złotej lub srebrnej taśmy. [przypis edytorski]

⁶²Luwru — dawny pałac królewski w Paryżu, obecnie jedno z największych muzeów sztuki na świecie. [przypis edytorski]

perigordzki⁶³ szlachcic, dziedziczący dostatki po swoim rodzicu. Zuchwały, nieustraszony, szczęśliwy dzięki wypadkom, które jak grad padały w owych czasach, wyniesiony na szczyt stromej drabiny, jaka się zwie łaską na dworze, również z pomocą wypadków, przeskakiwał na niej od razu po cztery szczeble.

Był przyjacielem króla, który, jak wiadomo, czczył niezmiernie pamięć swego ojca Henryka IV. Ojciec pana de Tréville służył mu wiernie w wojnach przeciwko Lidze⁶⁴, także przy braku gotówki, a brakło jej przez całe życie Henrykowi Bearnieńczykowi⁶⁵, który zwykle płacił długi jedyną monetą, jakiej pożyczać nie potrzebował nigdy, to jest własnym dowcipem, zatem, przy braku gotówki dla wynagrodzenia mu zasług, król upoważnił go, po poddaniu się Paryża, do wzięcia sobie na herb złotego lwa na czerwonej tarczy z godłem *fidelis et fortis*⁶⁶. Zaszczytu wiele, lecz korzyści materialnych trochę za mało. Kiedy też znakomity towarzysz wielkiego Henryka umarł, zostawił w spadku synowi tylko godło i szpadę. Dzięki tej podwójnej spuściźnie, z dodatkiem nieskazitelnego imienia, pan de Tréville został dopuszczony do dworu młodego księcia, gdzie, wierny godłu swemu, tak dzielnie szpadą mu służył, że Ludwik XIII, jeden z lepszych szermierzy swego królestwa, mawiał, iż gdyby miał przyjaciela, któremu przysłoby pojedynkować się, radziłby mu wziąć na świadka najpierw Ludwika, a potem pana de Tréville, a nawet może wprawdzie jeszcze wybrałby tego ostatniego.

Ludwik XIII miał też szczere przywiązanie do pana de Tréville, przywiązanie królewskie wprawdzie, samolubne, ale bądź co bądź zawsze przywiązanie. Bo w owych nieszczęsnych czasach usilnie starano się otaczać takimi ludźmi jak pan de Tréville.

Wielu bowiem mogło szczyć się godłem *silny*, lecz mało szlachty mogło zasłużeń nosić dewizę *wierny*. Do ostatnich jednak należał de Tréville. Był to człowiek rzadki, z posłuszeństwem psa, odwagą ślepą, okiem bystrym i potężną dłoń, któremu wzrok dany był jakby tylko po to, aby dojrzeć niezadowolenie królewskie z jakiejś osoby, a ręką, aby winowajcę uderzyć, chociażby nim był Besme, Maurevers, Poltrot, de Méré czy Vitry. Potrzeba mu było tylko sposobności; czyhał na nią i obiecywał sobie ją pochwycić choćby za jeden włos, skoro nawinęłaby się mu pod rękę.

Król zrobił go też wodzem muszkietierów, którzy w przywiązaniu posuniętym do fanatyzmu byli dla Ludwika XIII tym, czym przyboczna straż dla Henryka III⁶⁷, a straż szkocka dla Ludwika XI⁶⁸.

Kardynał zaś i pod tym względem nie chciał ustępować królowi. Gdy ujrzął tych groźnych wybrańców, którymi otoczony był Ludwik XIII, zapragnął także posiadać swoją straż. Miał więc i on swoich muszkietierów, i można było widzieć, jak te dwie współzawodniczące ze sobą potęgi w swój poczet ze wszystkich prowincji francuskich, a nawet spod cudzoziemskich rządów, rekrutowały ludzi sławnych z dzielności rycerskiej. Król i kardynał też często wieczorami przy szachach wszczynali sprzeczki o zalety swoich obrońców.

Jak jeden, tak drugi wychwalał postawę i męstwo tych, którzy należeli do niego; i obaj, potępiając w zasadzie pojedynki i burdy, sami podzegli ich z cicha do zaczepiek, odczuwając prawdziwy żal lub radość niepomiarłą z porażki lub zwycięstwa swoich ludzi. Tak przynajmniej głośzą pamiętniki człowieka, który w zapasach tych pokonany był czasami, lecz najczęściej stawał się zwycięzcą.

Tréville, poznawszy słabą stronę swego pana, zawdzięczał tej przebiegłości długotrwałą i niezmierną łaskę króla, który nie pozostawił po sobie pamięci zbyt wiernego w przyjaźni. Wiedząc, czym się przypodobać Ludwikowi, popisywał się filuternie swymi muszkietierami przed kardynałem Armandem du Plessisem, na co jeżyły się ze złości siwe wąsiki Jego Eminencji.

Tréville pojmował należycie ducha swojej epoki, kiedy się żyło kosztem, jeżeli nie

Wierność, Siła, Rycerz, Król

Żołnierz, Obyczaje

⁶³perigordzki — przym. od *Périgord*: kraina historyczna w pld.-zach. Francji, w pln. Akwitanii. [przypis edytorski]

⁶⁴Liga Święta — antyfrancuska i antyturecka koalicja państw europejskich organizowana przez papieża w Europie w okresie od końca XV do początku XVIII w. [przypis edytorski]

⁶⁵Henryk Bearnieńczyk — chodzi o Henryka IV. [przypis edytorski]

⁶⁶*fidelis et fortis* (łac.) — wierny i silny. [przypis edytorski]

⁶⁷Henryk III (1551–1589) — pierwszy elekcyjny król Polski w latach 1573–1574, od 1574 do śmierci król Francji jako Henryk III (ostatni władca Francji z dynastii Walezjusów). [przypis edytorski]

⁶⁸Ludwik XI (1423–1483) — król Francji od 1461, z dynastii Walezjusów. [przypis edytorski]

swoim, to własnych ziomek⁶⁹. Jego żołnierze to był legion diabłów, tylko jemu ulegli, tylko dla niego znali karność⁷⁰.

Rozczochrani, podpici, pokieraszowani muszkietierowie króla, a raczej pana de Tréville, rozpraszali się po szynkach⁷¹, spacerach, miejscach publicznych, hałasując, podkręcając węża, brzęcząc ostrogami⁷², potrącając straż kardynalską z bezgraniczną rozkoszą, dobywając szpady z żarcikami nieskończonymi przy pierwszym spotkaniu i pośrodku ulicy, bo pewni byli, że w razie śmierci niechybnie zostaną oplakiwani i pomszczeni; często nawet zabijali przeciwników z najzupełniejszym spokojem, wiedząc dobrze, że nie zgniją za to w więzieniu, był bowiem jeszcze pan de Tréville, który umiał się za nimi wstawić. Jakże też go na wszystkie tony wychwalali ci ludzie, jak go uwielbiali, i choć przeważnie byli to nicponie i włóczędzy, drżeli przed nim jak żacy⁷³ przed nauczycielem, posłuszni na każde skinienie, gotowi dać się zabić, byleby oczyścić się przed nim z najmniejszego zarzutu.

Używał on też tej potężnej dźwigni, najpierw dla króla i jego stronników, potem dla siebie i swoich przyjaciół. Zresztą w żadnym z ówczesnych pamiętników, a niemało ich pozostało, nie ma śladu najmniejszego zarzutu przeciw temu zacnemu szlachcicowi, nawet ze strony jego nieprzyjaciół, których liczył sporo pomiędzy ludźmi zarówno pióra, jak broni. Przy genialnych zdolnościach do intryg, stawiających go na równi z najpotężniejszymi, pozostał człowiekiem uczciwym. Co więcej, pomimo cięć, które szpecą ciało, i ciężkich ćwiczeń, które je nużą, stał się jednym z najpożądańszych gości w towarzystwach kobiecych, najwykwintniejszym zalotnikiem i najbardziej wyrafinowanym dowcipnisiem swojego czasu; mówiono o zwycięstwach buduarowych⁷⁴ Tréville'a tak jak przed dwudziestu laty o Bassompierre⁷⁵, a to znaczyło niemało. Dowódca muszkietierów był zatem podziwiany; lękano się go i kochano zarazem, co stanowi najwyższy szczyt powodzenia ludzkiego.

Ludwik XIV⁷⁶ pochłaniał mniejsze gwiazdy dworu w promieniach swojej jasności; jego ojciec zaś, jako słońce *pluribus impar*⁷⁷, pozostawiał blask osobisty każdemu z ulubieńców swoich, każdemu z dworzan własną jego wartość. Oprócz przyjęć porannych u króla i kardynała liczono owego czasu w Paryżu przeszło dwieście innych, także wyszukanych. Spośród nich najbardziej ubiegano się o przyjęcie u de Tréville.

Dziedziniec jego pałacu przy ulicy du Vieux-Colombier był podobny do obozu, latem już od godziny szóstej z rana, zimą od ósmej. Pięćdziesięciu do sześćdziesięciu muszkietierów luzowało⁷⁸ się tam ciągle, aby każdy widział ich w tak potężnej liczbie, a przy tym zawsze zbrojnych i gotowych na wszystko. Wzdłuż wielkich schodów, w których klatce dzisiejsza cywilizacja mogłaby zbudować cały dom, mijali się bezustannie ci i owi interesanci paryscy, przychodzący z przeróżnymi prośbami, szlachta z prowincji, pragnąca być przyjęta w poczet muszkietierów, i służba wszelkiej barwy, wygalowana⁷⁹, przynosząca panu de Tréville listy od swoich panów. W przedpokoju na ławkach pod ścianami rozsiedli się wybrańcy, czyli ci, którzy zostali wezwani. Od rana do wieczora było tam gwarno, a tymczasem pan de Tréville przyjmował wizyty w gabinecie obok przedpokoju, słuchał zażaleń, wydawał rozkazy i jak królowi na balkonie w Luwrze, tak jemu dość było stanąć w oknie, ażeby odbyć przegląd swoich ludzi i broni.

W dniu, kiedy znalazł się tam d'Artagnan, zebranie było imponujące, zwłaszcza dla parafianina⁸⁰ przybyłego z prowincji; co prawda był on Gaskończykiem, a w owych cza-

Obcy, Walka, Żart, Zabawa

⁶⁹ziomek — ktoś, kto pochodzi z tej samej okolicy. [przypis edytorski]

⁷⁰karność — dyscyplina. [przypis edytorski]

⁷¹szynk (daw.) — podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

⁷²ostroga — element metalowy przypinany do butów jeźdźca, służący do ponaglenia konia, ułatwiający jeźdźcowi prowadzenie wierzchowca. [przypis edytorski]

⁷³żak (daw.) — student lub uczeń. [przypis edytorski]

⁷⁴buduarowy (daw.) — przym. od *buduar*: kobiecy pokój przeznaczony do odpoczynku. [przypis edytorski]

⁷⁵Bassompierre, François de (1579–1646) — francuski wódz i dyplomata; faworyt Henryka IV, służył także Ludwikowi XIII; mianowany marszałkiem Francji za zasługi w wojnie z hugenotami; brał udział w oblężeniu La Rochelle. [przypis edytorski]

⁷⁶Ludwik XIV (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

⁷⁷*pluribus impar* (łac.) — nawiązanie do dewizy Ludwika XIV: „nec pluribus impar” (pol. żadnego innego podobnego). [przypis edytorski]

⁷⁸luzować się — tu: zmieniać się (szczególnie: na warcie). [przypis edytorski]

⁷⁹wygalowany — ubrany na galowo. [przypis edytorski]

⁸⁰parafianin (daw.) — człowiek zacofany, ograniczony. [przypis edytorski]

sach szczególnie jego ziomkowie nie tracili przy byle czym swej junackiej⁸¹ fantazji, lecz wejście to onieśmieliłoby niejednego. Po przedostaniu się przez ciężką, nabijaną wielkimi gwoźdźmi bramę, wpadało się od razu pomiędzy zbrojne zastępy snujące się po dziedzińcu, wyzywające się na słowa, sprzeczące się i swawołące zarazem wesoło. By utorować sobie przejście pośród tych wirujących fal, trzeba było być oficerem, wielkim panem lub ładną kobietą.

Otóż pośród takiej wrzaskliwej zgrai i zamieszania nasz młodzieniec przebiegał się z bijącym sercem, przyciskając swój długi rapier⁸² do chudych nóg, rękę trzymając przy kapeluszu, z półuśmiechem, zwykłym u parafianina chcącego dodać sobie pewności. Gdy się przecisnął przez jedną gromadkę, oddychał wtedy swobodniej, lecz czuł, że oglądano się za nim, i po raz pierwszy w życiu on, który dotąd miał dobre wyobrażenie o sobie, wydawał się sobie śmieszny.

Jeszcze gorzej było, gdy doszedł do schodów: na pierwszych stopniach stało czterech muszkietarów, fechtujących⁸³ się z sobą dla rozrywki, a dziesięciu czy dwunastu ich towarzyszy, zajmując platformę schodową, oczekiwało na swoją kolej w szermierce.

Jeden z czterech pierwszych, stojąc ze szpadą w ręce na wyższym stopniu schodów, nie pozwalał trzem innym podejść bliżej.

Ci trzej zaś z prawdziwą zręcznością napadali na niego szpadami.

D'Artagnan wziął zrazu⁸⁴ broń tę za florety⁸⁵ z gałkami, lecz przekonał się wkrótce po zadraśnięciu, że była to broń spiczasta i należyście wyostrzona, a za każdym zadraśnięciem nie tylko widzowie, lecz i szermierze sami śmiali się jak szaleni.

Stojący na wyższym stopniu z zadziwiającą zręcznością trzymał swoich przeciwników w oddaleniu.

Otoczono ich kołem: warunek był taki, że ugodzony winien był odstąpić od partii. W ciągu pięciu minut było trzech draśniętych przez obrońcę schodów, który w tych ćwiczeniach pozostał bez najmniejszego szwanku: jeden w rękę, drugi w brodę, trzeci zaś po ucho. Zręczność ta dawała mu prawo, według umowy, po trzykroć z kolei bronić swojego stanowiska.

Jakkolwiek d'Artagnan postanowił nie dziwić się byle czemu, przeczuwając, że zobaczy wiele rzeczy zupełnie nowych dla siebie, rozrywka ta zastanowiła go jednak. Widział on na swojej prowincji, gdzie głowy są tak łatwo zapalne, dużo ćwiczeń szermierskich, lecz gaskonada tych czterech fecht mistrzów wydała mu się najdoskonalszą, o jakiej kiedykolwiek mógł usłyszeć nawet w Gaskonii. Zdawało mu się więc, że jest przeniesiony w owe bajeczne kraje olbrzymów, gdzie ongi⁸⁶ dostał się Guliwer⁸⁷. A jednak na tym nie koniec: pozostawała mu jeszcze platforma i przedpokój.

Tam już się nie bito, lecz opowiadano sobie anegdoty o kobietach, w przedpokoju zaś dworskie historyjki. Na platformie rumieniec wystąpił na lica d'Artagnana, w przedpokoju młodzieniec zadrzał.

Jego wyobraźnia, rozbudzona i nieokiełznana, która czyniła go postrachem dla dziewcząt pokojowych, a niekiedy i dla ich młodych pań, w chwilach szału nawet nie śniła tych cudów miłosnych i zwycięstw spotęgowanych najbardziej znanymi imionami i najjaskrawszymi szczegółami. Lecz jeżeli jego obyczajność została zadraśnięta na platformie schodów, w przedpokoju jego szacunek dla kardynała został niesłychanie nadwierzony.

Tam ze zdumieniem usłyszał głośnie krytykę polityki, która trzęsła całą Europą, zaś życie prywatne kardynała, za roztrząsanie którego tyłu możnych i wielkich było już ukaranych, życie tego wielkiego człowieka, tak czczonego przez pana d'Artagnana ojca, tutaj służyło za pośmiewisko muszkieterom pana de Tréville, którzy szydzili z jego pałako-

⁸¹ *junacki* — właściwy junakowi, dzielny, śmiały. [przypis edytorski]

⁸² *rapier* — broń biała, dłuższa od szabli, o prostej, obusiecznej kłindze, z osłoną dłoni (koszem). [przypis edytorski]

⁸³ *fechtować się* — uprawiać szermierkę, walczyć na broń białą, np. szpady, szable. [przypis edytorski]

⁸⁴ *zrazu* (daw.) — początkowo. [przypis edytorski]

⁸⁵ *floret* — broń szermiercza. [przypis edytorski]

⁸⁶ *ongi* (daw.) — niegdyś, kiedyś dawniej. [przypis edytorski]

⁸⁷ *Guliwer* — bohater powieści Jonathana Swifta *Podróże Guliwera*; jedną z podróży bohater odbywa do krainy Brobdingnag, w której mieszkają olbrzymy. [przypis edytorski]

watych⁸⁸ nóg i wypukłych pleców, a nawet śpiewali piosnki o pani d'Aiguillon — jego kochance, i o siostrzenicy — pani de Combalet, gdy inni znowu namawiali się przeciw paziom i straży przybocznej księcia-kardynała.

Jednakże gdy niechcący imię królewskie wyrwało się komuś niespodzianie wśród tego kardynalskiego bigosu, wnet jakby knebel zamykał na chwilę drwiące usta; spoglądano z wahaniem dokoła, jakby lękając się zdrady ściany oddzielającej ich od gabinetu pana de Tréville; wkrótce też najmniej znaczące słówko zwracało rozmowę na Eminencję i koncepty zaczynały się na nowo, nie szczędząc światła dla wszystkich jego postępów.

„O! Wszyscy ci niezawodnie pójdą do więzienia, a potem na szubienicę — myślał ze zgrozą d'Artagnan — a może i ja z nimi razem, bo skoro ich słuchałem i słyszę, uważany będę za ich współnika. Co by na to powiedział mój ojciec, on, który mi cześć dla kardynała tak usilnie zalecał, co by powiedział, gdyby mnie zobaczył w tej pogańskiej kompanii?”

Nikt nie będzie powątpiewać o tym, że d'Artagnan nie ośmielił się wmieszać do rozmowy. Otworzył tylko oczy i uszy, chciwie wytyżając pięć zmysłów, aby pochwycić wszystko, i pomimo zalecań ojcowskich czuł w sobie ochotę nie ganić, lecz raczej chwalić rzeczy niesłychane, które się tam odbywały.

Ponieważ jednak był zupełnie obcy tej zgrai dworaków pana de Tréville i widziano go tam po raz pierwszy, zapytano zaraz, czego chce. Na zapytanie to d'Artagnan skromnie wymówił swoje nazwisko, przekonawszy o pochodzeniu swym jako ich współziomka, i prosił pokojowca⁸⁹, który go właśnie pytał, aby zachował dlań chwilę posłuchania u pana de Tréville, co tenże przyrzekł uczynić we właściwym czasie.

Przyszedłszy trochę do siebie z pierwszego oszołomienia, d'Artagnan począł rozglądać się swobodnie, badając po trosze ubiory i twarze.

Punkt środkowy najbardziej ożywionej gromadki stanowił muszkieter wzrostu wysokiego, z obliczem wyniosłym i w dziwacznym stroju, który zwracał ogólną uwagę.

Nie miał na sobie kaftana, który zresztą nie był obowiązkowy w owej epoce, w owych czasach nie tyle swobody, ile niezależności. Nosił na sobie obcisły żupan⁹⁰ błękitny, zbla-
kły i wytarty nieco, na którym połyskiwała wspaniała szarfa szeroka, haftowana złotem i mieniająca się blaskiem jak powierzchnia wody na słońcu. Aksamitny płaszcz karmazy-
nowy⁹¹ z wdziękiem opuszczał mu się z ramion, z przodu odsłaniając tylko świetną szarfę, przy której zwieszał się ogromny rapier.

Muszkieter powracał właśnie z warty i skarżył się, że jest mocno zakatarzony, kaszląc od czasu do czasu z przesadą. Dlatego też okrył się płaszczem, jak głosił dokoła, a mówiąc to z miną wyniosłą, dumnie pokręcał węża, gdy tymczasem podziwiano z zapalem szarfę haftowaną, a d'Artagnan podziwiał jeszcze bardziej niż wszyscy.

— Cóż chcecie — mówił muszkieter — moda taka nastaje; wiem, że to głupstwo, ale modne. Zresztą trzeba przecież wydać na coś pieniądze z rodzinnej sukcesji⁹².

— O, Portosie! — wykrzyknął jeden z obecnych. — Nie próbuj nawet wmówić nam, że szarfa ta dostała ci się z rodzicielskiej hojności; prędzej ofiarowała ci ją ta zakwefiona⁹³ dama, z którą spotkałem cię zeszłej niedzieli przy bramie Saint-Honoré.

— Nie, na honor, słowo szlacheckie daję, że sam ją kupiłem za własne pieniądze — odparł ten, którego Portosem nazwano.

— Tak — odezwał się inny muszkieter — tak samo jak ja kupiłem ten woreczek nowy za to, co moja luba włożyła mi do starego.

— Mówię prawdę — podchwycił Portos — a najlepszy dowód, że powiem wam, ile za nią zapłaciłem: dwanaście pistoli.

Zachwył spotęgował się, wątpliwość jednak jeszcze pozostała.

— Wszak prawda, Aramisie? — zapytał Portos, zwracając się do innego muszkietera.

Ten stanowił jego zupełne przeciwieństwo. Był to chłopiec młody, od dwudziestu dwóch do dwudziestu trzech lat zaledwie, z obliczem łagodnym i niewinnym, ze słod-

⁸⁸paląkowany — (o nogach) wykrzywiony; częsta przypadłość ludzi spędzających dużo czasu na koniu. [przypis edytorski]

⁸⁹pokojowiec (daw.) — służący, pilnujący porządku w pokoju pana. [przypis edytorski]

⁹⁰żupan — męska suknia z długimi rękawami w żywym kolorze, zapinana na rząd guzików. [przypis edytorski]

⁹¹karmazynowy — intensywnie czerwony. [przypis edytorski]

⁹²sukcesja — spadek. [przypis edytorski]

⁹³zakwefiony — mający twarz osłoniętą kwefem, tj. zasłoną z tkaniny. [przypis edytorski]

kim spojrzeniem czarnych oczu, z twarzą różową i zdobną w lekki puszek jak brzoskwinia w jesieni. Zgrabny wąsik rysował mu nad ustami linię najregularniejszą; ręce jakby obawiały się opuszczać ku dołowi, by na nich nie nabrzmiały żyły; od czasu do czasu szczyptał się w uszy dla utrzymania na nich lekkiego i przejrzystego szkarłatu. Mówił zazwyczaj mało i powoli, kłaniał się często, śmiał się głośno, pokazując piękne zęby, o które, jak i o całą swą osobę, widocznie dbał niepomiernie.

Na pytanie przyjaciela odpowiedział potwierdzającym skinieniem głowy.

Potwierdzenie to jednak jakby jeszcze bardziej umacniało wszelkie powątpiewania co do szarfy; podziwiano ją ciągle, lecz nie mówiono już o niej, a rozmowa przeszła na inny przedmiot.

— Co myślicie o opowiadaniu koniuszego⁹⁴ pana de Chalais⁹⁵? — zapytał inny znowu muszkieter, nie zwracając się do nikogo wyłącznie, lecz do wszystkich w ogólności.

— A cóż on opowiada? — zapytał Portos wyniosłym tonem.

— Opowiada, że spotkał w Brukseli Rocheforta, tę duszę zaprzędaną kardynałowi, a spotkał go w przebraniu kapucyńskim, dzięki któremu oszukał tego dudka, pana de Laigues.

— Prawdziwego dudka — wtrącił Portos. — Ale czy to pewne?

— Dowiedziałem się o tym od Aramisa — odparł muszkieter.

— Doprawdy?

— E! Wiesz przecie sam o tym, Portosie — odezwał się Aramis — wczoraj ci to opowiadałem, nie mówmy już o tym.

— Nie mówmy już o tym? Tak sądzisz? — odparł Portos. — Nie mówmy! O! Ty diable, szybko załatwiasz się ze wszystkim! Jak to? Kardynał każe szpiegować szlachcica, przejmować zdrajcy, rozbójnikowi, wisielcowi jego korespondencję; i dla owej korespondencji ścinają głowę panu de Chalais, pod głupim pozorem, że chciał zabić króla i brata królewskiego ożenić z królową!... Dotąd nikt ani trochę nie rozumiał tej zagadki, tyś ją odkrył nam wczoraj, z wielkim zadowoleniem dla nas wszystkich, a kiedy jeszcze nie możemy opamiętać się ze zdziwienia, dzisiaj powiadasz: nie mówmy już o tym!

— Ha! To mówmy, kiedy sobie tego życzysz — odparł z całą cierpliwością Aramis.

— O! Gdybym był koniuszym tego biedaka de Chalais — zawołał Portos — Rochefort miałby się z pyszna⁹⁶.

— A ty od Czerwonego Księcia — zauważył Aramis.

— A! Czerwony Książę! Brawo! Brawo! — podchwycił Portos, klaszcząc w dłonie i przytakując głową. — Pyszny jest ten Czerwony Książę. Puszczę ja twój koncept w obiegi, możesz być tego pewny. Jakiż ten Aramis dowcipny! Co za szkoda, żeś nie poszedł za swoim powołaniem, rozkoszny byłby z ciebie książętek.

— O! To tylko chwilowa zwłoka — odparł Aramis. — Wiesz przecie dobrze, że nie przestają uczyć się teologii.

— Wcześniej czy później stanie się tak, jak mówi — dodał Portos potakująco.

— Wcześniej — podchwycił Aramis.

— On tylko na jedną rzecz czeka, która by go skłoniła ostatecznie do przywdziania sutanny — odezwał się jeden z muszkieterów.

— A na cóż czeka? — zapytał inny.

— Na to, aż królowa obdarzy spadkobiercą koronę francuską.

— Nie żartujmy z tego, panowie — rzekł Portos. — Królowa, dzięki Bogu, jest w tym wieku, że może Francję obdarzyć potomkiem.

— Mówią, że pan de Buckingham⁹⁷ jest we Francji — odparł Aramis z przebiegłym uśmiechem, który tym na pozór zupełnie zwyczajnym słowom nadał trochę podejrzane znaczenie.

⁹⁴koniuszy — urzędnik zarządzający królewskimi stadninami i stajniami. [przypis edytorski]

⁹⁵pan de Chalais, właśc. *Henri de Talleyrand-Périgord* (1599–1626) — faworyt Ludwika XIII; oskarżony o spisek przeciwko kardynałowi Richelieu i skazany na śmierć przez dekapitację. [przypis edytorski]

⁹⁶mieć się z pyszna — tu: znaleźć się z własnej winy w kłopotliwej sytuacji. [przypis edytorski]

⁹⁷Buckingham, właśc. *George Villiers* (1592–1628) — angielski arystokrata, faworyt królów Anglii Jakuba I i Karola I; wysłał angielską flotę na pomoc Francuzom oblegającym hugenotów w La Rochelle. [przypis edytorski]

— Aramisie, mylisz się tym razem, mój przyjacielu — przerwał mu Portos — żyłka dowcipkowania za daleko cię ponosi... i gdyby cię usłyszał pan de Tréville, przekonałby cię, że bardzo nie w porę żartujesz.

— Cóż to?... Chcesz mi dawać nauki?... Portosie! — krzyknął Aramis, a w jego łagodnych oczach zapłonęły błyskawice.

— Mój drogi, bądźże muszkietierem albo opatem⁹⁸, ale nigdy jednym i drugim jednocześnie — odpowiedział Portos. — Powiem, co ci Atos kiedyś powiedział: ty jadasz ze wszystkich źłobów⁹⁹. O! Nie gniewaj się, proszę... byłoby to daremne, wiesz przecie, jaką umowę mamy między sobą: ty, Atos i ja. Ty chodzisz do pani d'Aiguillon i umizgujesz się do niej; bywasz także u pani Bois-Tracy, krewnej pani de Chevreuse¹⁰⁰, i powiadają, iż bardzo posunięty jesteś w łaskach u tej pani. O! Nie przyznawaj się do swego szczęścia, nikt nie żąda twojej tajemnicy, bo znana jest twoja delikatność. Skoro jednak posiadasz tę cnotę, czemuż, u diabła, nie robisz z niej użytku i względem Jej Królewskiej Mości? Niech kto chce i jak chce zajmuje się królem i kardynałem; lecz królowa jest świętością i jeżeli mówić o niej, to mówić dobrze.

— Portosie, jesteś przesadny i zarozumiały jak narcyz, ostrzegam cię — odrzekł Aramis. — Morałów nienawidzę, chyba tylko, gdy Atos je prawi. Co do ciebie, mój drogi, masz zanadto wspaniałą szarfę, abyś w tej sztuce moralizatorskiej był mocny. Będę opatem, jeśli mi się spodoba; tymczasem jednak jestem muszkietierem; a z tej racji mówię, co mi się podoba, a obecnie podoba mi się powiedzieć, że niecierpliwisz mnie.

— Aramisie!

— Portosie!

— E! Panowie! Panowie!... — zawołano ze wszystkich stron.

— Pan de Tréville czeka na pana d'Artagnana — odezwał się pokojowiec, otwierając drzwi od gabinetu.

Na słowa te, przy których drzwi zostały otwarte, wszyscy zamilkli i wśród tej ciszy ogólnej młody Gaskończyk przeszedł całą długość przedpokoju i stanął przed wodzem muszkietierów, wieszając sobie z całego serca, że w samą porę uniknął końca tej osobliwej sprzeczki.

ROZDZIAŁ III. POSŁUCHANIE

Pan de Tréville był właśnie w jak najgorszym usposobieniu. Pomimo to grzecznie powitał młodzieńca, który skłonił mu się do ziemi i uśmiechnął się na przemówienie, w którym akcent bearnieński przypomniał mu jego młodość i kraj. Wspomnienie to jest zawsze miłe każdemu człowiekowi. Jednocześnie jednak, podchodząc do przedpokoju, skinął w stronę d'Artagnana ręką, jakby prosił go o pozwolenie załatwienia się z innymi, zanim wda się z nim w rozmowę, i zawołał po trzykroć, a za każdym razem głos potęgując się, przechodził z tonu rozkazującego w mocno zagniewany.

— Atos! Portos! Aramis!...

Dwaj muszkietierowie, z którymi zawarliśmy już znajomość, wysunęli się z gromadki, a skoro przestąpili próg gabinetu, drzwi zaraz się za nimi zamknęły. Ich postawa, jakkolwiek niezbyt pewna siebie, wyrazem pełnym godności i uszanowania wprawiła d'Artagnana w zachwyt, który widział w tych ludziach półbogów, a w ich wodzu Jowisza¹⁰¹ olimpijskiego, zbrojnego we wszystkie pioruny.

Kiedy już dwaj muszkietierowie weszli, a drzwi się za nimi zamknęły i gwar w przedpokoju, podsycony zapewne tym wezwaniem, wszczął się też na nowo, pan de Tréville, milczący, z brwiami ściągniętymi, przemierzył kilkakrotnie wielkimi krokami gabinet, mijając za każdym razem Portosa i Aramisa, jak struny wyciągniętych, i zatrzymał się raptem przed nimi, patrząc zagniewanym wzrokiem.

— Czy wiecie, co mi król powiedział? — wrzasnął. — I to wczoraj wieczorem. Czy wiecie, panowie?

Konflikt, Przywódca,
Gniew, Hańba, Żołnierz

⁹⁸opat — przełożony w męskim zakonie kontemplacyjnym. [przypis edytorski]

⁹⁹źłob — koryto. [przypis edytorski]

¹⁰⁰pani de Chevreuse, właśc. Marie de Rohan (1600–1679) — francuska arystokratka i awanturka. [przypis edytorski]

¹⁰¹Jowisz a. Jupiter (mit. rzym.) — najwyższy bóg, bóstwo światłości, piorunów i błyskawic, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

— Nie — odpowiedzieli po chwili milczenia obaj muszkietierowie — nie, panie, nie wiemy.

— Ale spodziewamy się, że pan zrobi nam zaszczyt i powie — dodał Aramis miękkiem głosem, z towarzyszeniem najwdzięczniejszego ukłonu.

— Powiedział mi, że odtąd swoich muszkietierów będzie zaciągać z gwardii kardynalskiej.

— Z gwardii pana kardynała! A to dlaczego? — żywo zapytał Portos.

— Bo uważa, iż lura¹⁰² jego potrzebuje być wzmocniona dobrym winem.

Dwaj muszkietierowie zaczerwienili się aż po białka oczu. D'Artagnan, nie wiedząc, co to znaczy, rad byłby o sto łokci¹⁰³ znaleźć się pod ziemią.

— Tak, tak — mówił dalej pan de Tréville, unosząc się — Jego Królewska Mość ma słuszość, bo, na honor, prawdą jest, że muszkietierowie bardzo kiepsko przedstawiają się na dworze. Wczoraj podczas gry z królem kardynał opowiadał z miną pełną współczucia, która nie przypadła mi do smaku, że ci potępieńcy muszkietierowie, ci diabli... mówił, kładąc nacisk na każdym słowie, z miną ironiczną, która jeszcze więcej mi się nie podobała... ci rębacze, dodał, spoglądając na mnie kocio-tygrysim okiem, wywołali zamieszki w szynku przy ulicy Férou i patrol z gwardii kardynalskiej — myślałem, że mi się w nos roześmieje — zmuszony był aresztować tych wichrzycieli porządku. Do diabła, musicie wiedzieć coś o tym. Aresztować muszkietierów! Wyście tam byli i inni, nie brońcie się, poznano was, kardynał wymienił was po nazwisku. Moja w tym wina, tak, moja wina, bo to ja ludzi moich wybieram. Słuchaj, Aramisie, czemu żądałeś ode mnie kaftana, kiedy ci w sutannie było tak dobrze? Słuchaj, Portosie, czyż tylko po to masz złotą szarfę, aby na niej słomianą szpadę zawiesić? Atos! Nie ma tu Atosa? Gdzież on jest?

— Panie — smutno odpowiedział Aramis — Atos jest chory, bardzo chory.

— Bardzo chory, powiadasz? A na jakąż to chorobę?

— Obawiam się, ażeby to nie była ospa — odpowiedział Portos, chcąc także należeć do rozmowy.

— Ospa! Bajki mi pleciesz, Portosie! W jego wieku na ospę chorować? Co nie, to nie!... Pewnie raniony, a może zabity. O, gdybym o tym wiedział!... Na rany boskie! Panowie muszkietierowie, nie chcę słyszeć o tym, by chodzono do miejsc podejrzanych, robiono burdy uliczne i bito się w zaułkach. Nie chcę, byście się stali pośmiewiskiem gwardii kardynalskiej, składającej się z ludzi porządnych, spokojnych, śmiałych i nie takich, których aresztują, bo zresztą aresztować się nie dadzą, jestem tego pewny. Oni daliby się raczej zabić na miejscu niż na krok jeden ustąpić. Bo tylko muszkietierowie królewscy uważają za stosowne uciekać.

Portos i Aramis trzęśli się ze wściekłości. Byliby chętnie zdusili pana de Tréville, gdyby nie czuli, że właśnie wielka miłość dla nich wkładała mu w usta te słowa. Gniętli kobierzec¹⁰⁴ nogami, usta przygryzali do krwi, z całych sił przyciskając rękojeści szpady. W przedpokoju usłyszano to wołanie Atosa, Portosa i Aramisa po nazwisku i odgadnięto po głosie pana de Tréville, że się gniewa niechybnie. Dziesięć głów ciekawych, opartych o cienką ścianę, bladło z wściekłości, bo uszy ich, do drzwi przyklepione, ani jednej sylaby nie straciły z tego, co było mówione, a usta powtarzały jedno za drugim słowa dowódcy, ubliżające wszystkim muszkietierom zebranych w przedpokoju.

W jednej chwili, poczuwszy od drzwi gabinetu aż do bramy, cały pałac zawrzała.

— A! Muszkietierowie królewscy dają się aresztować gwardii pana kardynała — ciągnął pan de Tréville, zarówno jak jego żołnierze wzburzony wewnętrznie, lecz przeszywając ich słowami, które zatapiał jedno po drugim jak sztylety w sercach swoich słuchaczy. — Tak! Sześciu gwardzistów Jego Eminencji aresztuje sześciu muszkietierów Jego Królewskiej Mości! Do wszystkich diabłów! Jużem się namyślił! Jadę natychmiast do Luwru, podam się do dymisji z dowództwa nad muszkietierami królewskimi i poproszę, ażeby mi dano miejsce w gwardii kardynała, a jeżeli mi odmówią, tam do licha! Zostanę księdzem.

¹⁰²lura (pot.) — napój rozwodniony, bez smaku. [przypis edytorski]

¹⁰³łokieć — dawna jednostka miary, nieco ponad pół metra. [przypis edytorski]

¹⁰⁴kobierzec — gruba tkanina, którą ozdabiano ściany lub przykrywano podłogi. [przypis edytorski]

Na te słowa gwar zewnątrz gabinetu w wybuch się zamienił: wszędzie słyhać tylko było wykrzykniki i przekleństwa. *Morbleu!*¹⁰⁵ *Sangdiu!*¹⁰⁶ Do wszystkich diabłów! — krzyżowały się w powietrzu jak grad gnany wichrem. D'Artagnan szukał kąta, gdzie by się mógł ukryć, i czuł nieprzepartą chęć schowania się pod stół.

— A więc tak! Mój wodzu!... — odezwał się Portos, nie posiadając się ze wzburzenia — Tak!... Prawdą jest, że sześciu przeciw sześciu nas było, lecz zostaliśmy napadnięci znienacka i zanim zdążyliśmy wydobyć szpady, dwóch z nas padło zabitych, zaś ranny Atos nie więcej wart był od tamtych. Znasz przecie Atosa, kapitanie. Dwa razy usiłował powstać i po dwakroć upadł bezsilny. Nie poddaliśmy się jednak, o nie! Wzięto nas przemocą. O Atosie myślano, że nieżywy, i zostawiono go na polu walki. Oto cała historia. Ale, do diabła, panie kapitanie, nie wszystkie bitwy się wygrywa. Wielki Pompejusz¹⁰⁷ przegrał pod Farsalos, a król Franciszek I¹⁰⁸, który, jakem słyssał, nie ustępował mu w niczym, został jednak pobity pod Pawią¹⁰⁹.

— A ja mam honor zapewnić pana kapitana, iż jednego z nich własną jego szpadą zabiłem — odezwał się Aramis — bo moja przy pierwszym zetknięciu na dwoje trzasła. Tak, panie, zabiłem czy zasztyletowałem, jak się panu podoba.

— O tym nic nie wiedziałem — odparł pan de Tréville łagodniej. — Jak widzę, pan kardynał przesadzał.

— Zmiłuj się, kapitanie — ciągnął dalej Aramis, widząc, że Tréville zaczyna się uspokajać — zmiłuj się, nie daj poznać Atosowi, iż wiesz, że jest raniony. W rozpacz byłby, gdyby do uszu królewskich to doszło, a ponieważ rana jest niebezpieczna, bo przez ramię do piersi dosięgła, można się obawiać...

W tejże chwili podniosła się portiera¹¹⁰ i piękna, szlachetna głowa, tylko blada straszliwie, ukazała się spoza draperii¹¹¹.

— Atos! — wykrzyknęli dwaj muszkietierowie.

— Atos! — powtórzył de Tréville.

— Wzywał mnie pan — rzekł Atos do de Tréville głosem osłabionym, lecz zupełnie spokojnym — wzywał mnie pan, jak mi mówili koledzy, więc śpieszę stawić się na rozkazy pańskie. Oto jestem, czego sobie życzysz, kapitanie?

I z tymi słowami muszkietier w galowym mundurze pewnym krokiem wszedł do gabinetu. Pan de Tréville, do głębi poruszony tym dowodem odwagi, rzucił się ku niemu.

— Mówiłem właśnie tym panom — odezwał się — że zabraniam muszkietierom moim narażać życie bez żadnej potrzeby, bo tacy dzielni ludzie drodzy są królowi, a król wie o tym, iż muszkietierowie jego są najwaleczniejsi na świecie. Podaj mi rękę, Atosie.

I nie czekając, uchwycił jego prawą dłoń, ściskając ją z całych sił. Nie spostrzegł jednak, że Atos, pomimo panowania nad sobą, drgnął z bólu, blednąc jeszcze bardziej.

Drzwi pozostały uchylone po wejściu Atosa, a chociaż jego rana miała być trzymana w najgłębszej tajemnicy, wszystkim była wiadoma, i dlatego okrzyk zadowolenia powiłał ostatnie słowa kapitana i kilka głów, zapalęm pociągniętych, ukazało się pomiędzy fałdami portiery. Pan de Tréville byłby niezawodnie ostrymi słowami zganiał to wykroczenie przeciw prawom etykiety, gdyby nie poczuł, że dłoń Atosa ściga się kurczowo w jego ręce. Spojrzał wtedy bacznie na niego i dostrzegł, że bliski jest zemdlenia. I w jednej chwili Atos, walczący z niesłychanym wysiłkiem dla pokonania srogiego bólu, zwyciężony nim nareszcie, padł jak nieżywy na ziemię.

¹⁰⁵*Morbleu!* (fr.) — do licha! [przypis edytorski]

¹⁰⁶*Sangdiu!* (fr.) — cholera! [przypis edytorski]

¹⁰⁷*Pompejusz*, właśc. *Gnaeus Pompeius Magnus* (106–48 p.n.e.) — wybitny rzymski polityk i wódz; w 60 p.n.e. razem z Juliuszem Cezarem i Markiem Krassusem zawiązał tzw. I triumwirat, tajne, nieoficjalne przymierze polityczne, którego celem było wspólne sprawowanie rządów w republice rzymskiej; po rozpadzie triumwiratu konflikt między nim i Cezarem przerodził się w otwartą wojnę domową, zakończoną bitwą pod Farsalos, w której Pompejusz odniósł druzgocącą klęskę. [przypis edytorski]

¹⁰⁸*Franciszek I* (1494–1547) — król Francji od 1515. [przypis edytorski]

¹⁰⁹*bitwa pod Pawią* — stoczona 24 lutego 1525, decydująca bitwa wojny włoskiej 1521–1526, w której oblegające Pawię siły francuskie Franciszka I Walejusza zostały pokonane przez przybyłą z odsieczą cesarską armię Karola V Habsburga. W zacięłym starciu w obronie króla Francji poniosło śmierć wielu wysokiej rangi oficerów, sam król po utracie konia walczył pieszo; otoczony, został wzięty do niewoli. [przypis edytorski]

¹¹⁰*portiera* — zasłona u drzwi lub okna z grubego, ciężkiego materiału, chroniąca przed przeciągami. [przypis edytorski]

¹¹¹*draperia* — tkanina ułożona w dekoracyjne fałdy. [przypis edytorski]

— Chirurga! — krzyknął pan de Tréville. — Mojego, królewskiego, najlepszego chirurga! Na rany boskie! Bo mój dzielny Atos skona!...

Na krzyki pana de Tréville wszyscy wpadli do jego gabinetu, bowiem nie przyszło mu do głowy zamykać przed kimkolwiek drzwi. Rannego otoczono z wielkim współczuciem. Na nic by jednak wszystko to się nie przydało, gdyby lekarz nie znalazł się był¹¹² w pałacu. Przebił się on przez tłum, zbliżył się do zemdlonego wciąż Atosa, a ponieważ hałas i zamieszanie przeszkadzały mu bardzo, zażądał najpierw, aby muszkietier mógł być przeniesiony do przyległego pokoju. Pan de Tréville sam otworzył drzwi, wskazując Portosowi i Aramisowi drogę, ci zaś swojego kolegę, jak dziecko, nieśli w ramionach. Za nimi postępował chirurg, a za chirurgiem drzwi się zamknęły.

Wtedy gabinet pana de Tréville, to miejsce zwykle tak szanowane, chwilowo stał się dalszym ciągiem przedpokoju.

Każdy rozprawiał, gadał głośno, klnąc, pomstując, posyłając do wszystkich diabłów kardynała wraz z jego gwardią.

Chwilę później Portos i Aramis powrócili, zaś chirurg i pan de Tréville sami pozostali przy rannym. Powrócił i pan de Tréville nareszcie. Ranny odzyskał przytomność; chirurg oznajmił, że stan muszkietera nie przedstawia nic niepokojącego dla przyjaciół, osłabienie było po prostu następstwem znacznego upływu krwi.

Na skinienie pana de Tréville wyszli wszyscy z wyjątkiem d'Artagnana, który nie zapomniał wcale, że miał mieć posłuchanie, i z zaciętością prawdziwego Gaskończyka stał w miejscu jak wryty.

Gdy zamknięto za wszystkimi drzwiami, pan de Tréville obróciwszy się, znalazł się sam na sam z młodzieńcem. Wypadek, który się przed chwilą wydarzył, po części przerwał mu myśli. Zapytał więc, czego sobie młodzieniec życzy. Wtedy d'Artagnan wymienił swe nazwisko, a pan de Tréville od razu przypomniał sobie jego przyjście.

— Przepraszam cię — rzekł doń z uśmiechem — wybacz, mój drogi ziomku, zapomniałem zupełnie o tobie. Lecz cóż chcesz! Dowódca jest ojcem rodziny, i to jeszcze większą odpowiedzialnością obarczony aniżeli prawdziwy ojciec. Żołnierze to duże dzieci; a ponieważ chcę, by rozkazy królewskie były spełniane, a pana kardynała nade wszystko...

D'Artagnan nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Spostrzegłszy to, pan de Tréville zrozumiał, że nie z naiwnym ma do czynienia i nagłym zwrotem rozmowy przystąpił do rzeczy.

— Pańskiego ojca bardzo kochałem — rzekł doń. — Więc cóż dla jego syna mogę uczynić? Śpiesz się, bo czas mój nie do mnie należy.

— Panie — odezwał się d'Artagnan — wyjeżdżając z Tarbes i przybywszy tutaj, miałem zamiar prosić cię, w imię tej przyjaźni, której w swej pamięci nie zatraciłeś, o kaftan muszkieterski; lecz po wszystkim, na co tu od dwóch godzin patrzę, pojmuję, że taka łaska byłaby nadmierna i lękam się, iż na nią nie zasługuję.

— W rzeczy samej, młodzieńcze, jest to łaska — odrzekł pan de Tréville — może ona jednak nie być ponad twoją wartość, jak sądzisz. Wszelako wobec postanowienia Jego Królewskiej Mości z żalem ci oznajmiam, iż nikt nie może zostać muszkietierem bez uprzedniej próby w kilku wojnach, bez dokonania czynów rozgłośnych lub służby dwuletniej w innym pułku, mniej od naszego uprzywilejowanym.

D'Artagnan skłonił się w milczeniu; tym goręcej jednak zapragnął wdziać mundur muszkieterski, odkąd dowiedział się, iż otrzymanie go połączone jest z takimi trudnościami.

— Ale — ciągnął dalej de Tréville, przesywając ziomka wzrokiem tak przenikliwym, jakby chciał sięgnąć do głębi serca — ale przez pamięć na twojego ojca, mego dawnego kolegi, jak ci mówiłem, pragnę uczynić coś dla ciebie, młodzieńcze. Nasi Bearneńczycy zwykle nie są bogaci i wątpię, by od czasu mojego wyjazdu z prowincji postać rzeczy bardzo się zmieniła. Pieniądze zapewne ci się nie przelewają.

D'Artagnan wyprostował się z dumną miną, która wyrażała, że nikogo o jałmużnę nie prosi.

Duma, Żołnierz, Honor

Pieniądz, Duma

¹¹²nie znalazł się był — konstrukcja dawnego czasu zaprzeczonego, tj. wyrażająca czynność wcześniejszą od tej wyrażonej zwykłym czasem przeszłym; znaczenie: nie znalazł się wcześniej, uprzednio. [przypis edytorski]

— To dobrze, młodzieńcze, to dobrze — mówił dalej de Tréville — znam ja tę dumę; i ja przybyłem do Paryża z czterema dukatami¹¹³ w kieszeni, a byłbym się bił z każdym, kto by mi powiedział, iż nie jestem w stanie kupić Luwru.

D'Artagnan prostował się coraz bardziej; dzięki sprzedaży konia rozpoczynał na karierę z czterema dukatami więcej aniżeli pan de Tréville.

— Otóż winienes zachować to, co masz, chociażby to była suma niepoślednia¹¹⁴; lecz potrzebujesz zapewne doskonalić się w ćwiczeniach, które szlachcicowi przystoją. Dziś zaraz napiszę list do dyrektora Akademii Królewskiej, a od jutra zostaniesz tam przyjęty bez najmniejszej zapłaty. Nie odmawiaj tej małej ulgi. Nasza szlachta, najlepiej urodzona i najbogatsza, prosi o nią nieraz, nie mogąc jej otrzymać. Nauczysz się jazdy konnej, fechtunku¹¹⁵ i tańca; wejdiesz tam w dobre znajomości, a od czasu do czasu będziesz mnie tu odwiedzał, abym wiedział, jak ci się wiedzie i czy będę mógł zrobić coś dla ciebie.

Jakkolwiek obcy dworskim obyczajom, d'Artagnan odczuł chłód tego przyjęcia.

— Niestety — rzekł — widzę teraz dobrze, jak mi zbywa na liście polecającym, który mi ojciec dla pana powierzył.

— W istocie — odpowiedział de Tréville — dziwi mnie, że przedsięwzięłeś tak daleką podróż bez tego niezbędnego wiatyku¹¹⁶, jedynej ucieczki naszej, jako Bearnieńczyków.

— Miałem go, panie, i to w pięknej formie, dziękować Bogu — wykrzyknął d'Artagnan — lecz wydarto mi go podstępem.

I opowiedział całe zajście w Meung, z najdrobniejszymi szczegółami odmalował nieznanego szlachcica, a wszystko to z zapałem i prawdą, które oczarowały de Tréville.

— A to osobliwe — powiedział w zamyśleniu. — Mówiłeś więc o mnie, i to głośno?

— Tak, panie, i popełniłem bez wątpienia niedorzeczność, lecz cóż pan chcesz, imię takie jak pańskie miało mi służyć w podróży za puklerz¹¹⁷, osądź więc panie, czy chroniłem się za nie zbyt często.

Pochlebstwo to było na swoim miejscu, a pan de Tréville lubił kadzenie¹¹⁸ jak król i kardynał. Nie mógł się więc powstrzymać od uśmiechu zadowolenia, lecz uśmiech ten zatarł się wkrótce i de Tréville powrócił znów do awantury w Meung.

— Powiedz mi — ciągnął dalej — czy ten szlachcic nie miał czasem bliźny nieznaczej na policzku?

— Tak, jakby od zdraśnięcia kulą.

— Czy był to człowiek pięknej postawy?

— Tak.

— Wzrostu wysokiego?

— Tak.

— Bladej cery, o włosach czarnych?

— Tak, tak, zupełnie tak samo. Więc pan zna tego człowieka? O panie, jeżeli spotkam go kiedy, a spotkać go muszę, przysięgam, że znajdę go choćby w piekle...

— Czekał na przyjazd kobiety? — badał dalej de Tréville.

— Tak. I porozumiawszy się z tą, na którą czekał, odjechał.

— Czy nie wiesz o czym rozmawiali?

— Dał jej pudełko, mówiąc, że zawiera ono zlecenie, i mówił, aby otworzyła je dopiero w Londynie.

— Czy ta kobieta była Angielką?

— Nazywał ją „milady”.

— To on! — wyszeptał de Tréville. — To on! Sądziłem, że jest jeszcze w Brukseli.

— O! Panie, jeżeli wiesz, kim on jest — wykrzyknął d'Artagnan — wskaż mi go, a rzekam się wszystkiego, nawet twojej obietnicy przyjęcia mnie do muszkietierów, bo przede wszystkim pragnę się zemścić.

¹¹³dukat — złota moneta używana w Europie do XIX w. [przypis edytorski]

¹¹⁴niepośledni (daw.) — nie byle jaki. [przypis edytorski]

¹¹⁵fechtunek — szermierka. [przypis edytorski]

¹¹⁶wiatyk — w chrześcijaństwie (zwł. w katolicyzmie) komunია podawana choremu na łożu śmierci. [przypis edytorski]

¹¹⁷puklerz — rodzaj okrągłej tarczy. [przypis edytorski]

¹¹⁸kadzenie — schlebianie. [przypis edytorski]

Imię

Tajemnica, Próżność,
Pochlebstwo

— Strzeż się, młodzieńcze — zawołał de Tréville. — Przeciwnie, jeżeli zobaczysz go na tej samej stronie ulicy, przejdź na drugą! Nie potrącaj o taką skałę, strzaskałaby cię jak szklanę.

— To nie przeszkadza, że jeżeli go kiedy odnajdę...

— Ale tymczasem nie szukaj go, jeżeli mogę ci radzić.

Naraz de Tréville zamilkł, tknięty nagłym podejrzeniem. Straszna nienawiść, jaką młody podróżny tak głośno objawiał dla tego człowieka, który niezbyt prawdopodobnie miał mu list ojca wydrzeć, czyż nie kryła w sobie jakiegoś podstępu? Czy sam ten młodzieniec nie był przez Eminencję nasłany i nie przychodził po to, aby zastawić na niego sidła? A może ten rzekomy d'Artagnan jest szpiegiem kardynalskim, którego usiłują wprowadzić do jego domu, aby zyskawszy zaufanie, następnie zgubił de Tréville, jak się to już tysiące razy zdarzało.

Więc zmierzył d'Artagnana jeszcze bystrzejszym okiem niż za pierwszym razem. Widok tej twarzy tryskającej dowcipem, przebiegłej i pełnej przesadnej pokory uspokoił go nieco.

„Wiem dobrze, że to Gaskończyk — pomyślał — lecz może być nim tak dobrze dla kardynała, jak dla mnie. Zobaczmy, weźmy go na próbę”.

— Mój przyjacielu — przemówił wolno do niego — ponieważ chcę wierzyć w historię zgubionego listu, jako synowi mojego dawnego przyjaciela, pragnę ci wynagrodzić moje chłodne przyjęcie, które zauważyłeś od razu, i odkryję ci tajemnice naszej polityki. Król i kardynał są najlepszymi przyjaciółmi, a jeżeli zdarzają się pozorne zajścia między nimi, to jedynie, aby oszukać głupców. Nie życzę sobie, by mój ziomek, młodzieniec przyzwoity i dzielny, stawiał swoje pierwsze kroki pośród tych wszystkich komedii i, jak jakiś dudek, sam się dał złapać, gdy w ten sposób tylu innych już się zgubiło. Wiedz zatem, że jestem oddany tym dwom panom wszechwładnym i że wszelkie moje postęпки nie mają innego celu niż służyć królowi i panu kardynałowi, temu najświetniejszemu geniuszowi, jakiego kiedykolwiek wydała Francja. A teraz, młodzieńcze, stosuj się do tego, a jeśli, czy to z rodziny, czy ze stosunków, czy choćby z instynktu samego, masz jakąś niechęć do kardynała, taką, jaką widzimy objawiającą się u szlachty, pożegnaj mnie i najlepiej rozstańmy się od razu. Spodziewam się, iż moją otwartością w każdym razie zyskam w tobie przyjaciela, gdyż dotąd jesteś jedynym młodzieńcem, z którym mówię tak otwarcie.

De Tréville myślał sobie jednocześnie: jeżeli młody lisek jest wysłańcem kardynała, tenże, wiedząc, jak dalece go nie cierpię, nie omieszkał z pewnością powiedzieć swojemu szpiegowi, że najlepszym sposobem przypodobania mi się jest wygadywanie na niego w mojej obecności rzeczy niestworzonych; więc niezawodnie, pomimo moich zapewnień, to przebiegłe ziółko będzie się popisowało przede mną wstrętem do Eminencji.

Ale wbrew oczekiwaniom de Tréville d'Artagnan odpowiedział z największą prostotą:

— Przybywam do Paryża z tymi samymi zamiarami. Ojciec mój zalecał mi, aby nikomu nic nie przepuścić, nie znieść nic od nikogo, z wyjątkiem króla, kardynała i ciebie, panie, których uważa za najpierwsze osoby we Francji.

Zwracamy uwagę, iż d'Artagnan z własnego pomysłu dodał do pierwszych dwóch jeszcze pana de Tréville, bo sądził, że ten dodatek nie powinien zaszkodzić.

— Mam zatem cześć najwyższą dla pana kardynała — ciągnął dalej — i uznanie najgłębsze dla wszystkich jego czynów. Tym lepiej dla mnie, jeżeli pan, jak słyszę, przemawiasz do mnie otwarcie, bo widzę, że w takim razie miałbym zaszczyt podzielać pańskie zdanie na ten temat; jeśli żywi pan dla mnie nieufność, bardzo zresztą naturalną, czuję, iż mówiąc tę prawdę, gubię się w pańskich oczach. Cóż robić, pocieszam się tylko tym, że nie będziesz pan mógł nie mieć dla mnie szacunku, a na tym świecie o to najbardziej mi chodzi.

Pan de Tréville był do najwyższego stopnia zdziwiony. Taka przenikliwość i otwartość zarazem w zachwyt go wprawiały, doszczętnie jednak nie usuwały jeszcze wątpliwości. Im bardziej chłopiec ten wydawał się wyższy od innych swoich rówieśników, tym niebezpieczniejszy się stawał w razie, gdyby tylko grał komedię. Pomimo to de Tréville uściśnął dłoń d'Artagnana i rzekł:

— Dzielny z ciebie chłopiec, na teraz jednak nic więcej zrobić nie mogę dla ciebie prócz tego, z czym ci się ofiarowałem przed chwilą. Mój dom zawsze będzie dla ciebie

otwarty. Później zaś, mając zawsze do mnie przystęp, a więc możliwość korzystania z każdej sposobności, otrzymasz prawdopodobnie to, czego tak pragniesz.

— To znaczy — odpowiedział d'Artagnan — że czekasz pan, aż stanę się tego godny. O! Bądź spokojny, panie — dodał z poufałością czysto gaskońską — długo czekać nie będziesz.

I skłonił się, aby odejść, jakby reszta zgoła od niego tylko zależała.

— Ależ zaczekaj — rzekł, zatrzymując go, de Tréville — wszak obiecałem ci list do dyrektora Akademii. Byłżebyś za dumny na to, aby go przyjąć, mój młody szlachcicu?

— Nie, panie — odparł d'Artagnan — zaręczam panu, że z tym nie będzie jak z tamtym. Strzec go będę dobrze i przysięgam, że dojdzie według swojego adresu, a biada temu, kto by usiłował mi go wydrzeć!

Pan de Tréville uśmiechnął się na tę przechwałkę i zostawiając młodego ziomka we framudze okna, gdzie razem rozmawiali, usiadł przy stole i począł pisać przyobiecany list polecający. D'Artagnan tymczasem, nie mając nic lepszego do roboty, zaczął bębnić na szybach marsza, przypatrując się wychodzącym kolejno muszkietierom i śledząc ich oczami, dopóki nie zniknęli na zakręcie ulicy.

Pan de Tréville napisał list, zapieczętował go i podniósłszy się, podszedł do młodzieńca, aby mu go oddać. Jednak w chwili, gdy wyciągnął rękę, pan de Tréville ze zdziwieniem ujrzał, jak jego protegowany podskoczył i czerwony ze złości wybiegł z gabinetu jak strzała, krzyząc:

— O! Na rany boskie! Teraz mi się nie wymknie.

— Kto taki? — zapytał de Tréville.

— On, ten złodziej! — odparł d'Artagnan. — O! Podły!

I zniknął.

— To diabeł wcielony! — mruknął de Tréville. — A może — dodał — jest to tylko zręczny manewr z jego strony... Uciekł, widząc, że w łeb wzięły wszystkie jego zamiary.

ROZDZIAŁ IV. RAMIĘ ATOSA, SZARFA PORTOSA I CHUSTKA ARAMISA

D'Artagnan, rozpędziwszy się, przebył przedpokój w trzech susach i wypadł na schody, które w mgnieniu oka zamysłał przeskoczyć, nie licząc ich bynajmniej, gdy sadząc z głową wyciągniętą naprzód, natknął się na muszkietera wychodzącego od pana de Tréville bocznymi drzwiami i tak go uderzył czołem w ramię, że ten ryknął z bólu.

— Przepraszam — rzekł, chcąc pędzić dalej — przepraszam, bardzo mi się śpieszy.

Zaledwie jednak postąpił krok, gdy żelazna dłoń schwyciła go za przepaskę i powstrzymała w miejscu.

— Śpieszy ci się? — krzyknął muszkietier, błądzący jak całun śmiertelny. — I dlatego potracasz mnie, mówiąc: „Przepraszam”, i myślisz, że to mi wystarcza? O! Nie tak bardzo, mój młokosie. Czy sądzisz, że skoro słyszałeś dzisiaj pana de Tréville ostro do nas przemawiającego, to możesz już traktować nas tak, jak on się do nas odzywa? Mylisz się, mój kochany, bo ty nie jesteś panem de Tréville!... O, co nie, to nie!

— Na honor — odparł d'Artagnan, poznając Atosa, który po opatrunku dokonany przez doktora wracał do mieszkania — na honor, nie zrobiłem tego umyślnie, mówię więc: „Przepraszam”, i to mi się wydaje dostateczne. A zwracam uwagę pana — powtórzył — że, słowo honoru, śpieszy mi się, i to bardzo śpieszy. Puszczaj mnie pan, proszę.

— Panie — rzekł Atos, puszczając go — jesteś nieokrzesany. Widać z daleka przybywasz.

D'Artagnan już ze cztery stopnie był przeskoczył, ale na słowa Atosa stanął jak wryty.

— Do kaduka!¹¹⁹ — zawołał. — Skądkolwiek przybywam, nie do ciebie jednak należy, mój panie, uczyć mnie gładkiego obejścia.

— A jednak nie jest to zbyt cenne — odezwał się Atos.

— O! Gdyby nie to, że się tak śpieszę — zawołał d'Artagnan — gdybym za kimś nie gonił!...

— O! Mnie znajdziesz, nie goniąc, rozumiesz pan?

¹¹⁹Do kaduka! (przestarz.) — do diabła! [przypis edytorski]

— A gdzie to, jeżeli łaska?
— Przy karmelitach bosych¹²⁰.
— O której godzinie?
— Około południa.
— Dobrze, stawię się.
— Postaraj się pan tylko, abym nie czekał, bo kwadrans po dwunastej uszy ci obetnę po drodze.

— Dobrze! — krzyknął mu d'Artagnan. — Będę tam dziesięć minut przed dwunastą. I popędził, jak gdyby diabli go nieśli, w nadziei spotkania nieznanego, którego miarowy chód nie mógł zaprowadzić daleko.

Lecz w bramie od ulicy Portos rozmawiał z żołnierzem z gwardii. Rozmawiających dzieliła przestrzeń akurat na objętość człowieka.

D'Artagnan sądząc, iż się tam zmieści, śmignął między nich jak strzała. Nie brał jednak wiatru w rachunek. W chwili gdy miał się prześlizgnąć, wiatr rozdarł szeroki płaszcz Portosa i d'Artagnan najnie spodziewaniej znalazł się pod połą.

Nic dziwnego, że Portos nie chciał pozbyć się tej najważniejszej dla siebie części ubrania, bo zamiast puścić swobodnie połę, pociągnął ją ku sobie tak, że d'Artagnan zaplątał się w aksamity płaszcz.

Chcąc wywikłać się z płaszczu zasłaniającego mu oczy, usiłował wydobyć się spomiędzy fałd, bojąc się zarazem uszkodzić owej wspaniałej szarfy. Gdy jednak otworzył nieśmiało oczy, przekonał się, że nosem utknął na samych plecach Portosa, a więc i na przepysznej szarfy.

Jak jednak wszystkie rzeczy na tym świecie najczęściej mają tylko złudne pozory, tak i szarfa jedynie z przodu lśniła złotem, a z tyłu była z najprostszej skóry. Pełen próżności Portos, nie mogąc mieć szarfy całej ze złota, miał ją przynajmniej w połowie — tym się tłumaczy obecność kataru i niezbędność płaszcz.

— A! Do kroćset diabłów! — krzyknął Portos, usiłując odzepić się od chroboczącego mu po plecach d'Artagnana. — Czyś się wściekł, że się tak rzucasz na ludzi?

— Przepraszam — odezwał się d'Artagnan, wysadzając mu głowę spod pachy — ale śpieszy mi się bardzo, biegnę za pewną osobą i...

— Dobrze, że biegniesz, ale czy nie zapomniałeś wziąć ze sobą oczu? — zapytał Portos.

— Nie — odparł urażony d'Artagnan — i dlatego widzę nawet to, czego inni nie widzą.

Czy zrozumiał Portos przymówkę, czy też nie, dość, że wpadł w gniew wściekły.

— Mój panie — rzekł doń — skórę podrzesz na sobie, jeżeli o muszkietierów tak się będziesz ocierał.

— Tego, mój panie, zanadto — odparł d'Artagnan.

— W sam raz jak na człowieka przywykłego patrzeć nieprzyjaciółom w oczy.

— O! Do licha, aż nazbyt pewien jestem, że i do swoich nie stajesz pan plecami.

I zachwycony tym dowcipem szedł w dalszą drogę, śmiejąc się na całe gardło.

Portos, pieniąc się ze złości, poskoczył za nim.

— Później, później — krzyknął d'Artagnan — wtedy, jak pan będziesz bez płaszcz.

— Więc o pierwszej za Pałacem Luksemburskim¹²¹.

— I owszem — odkrzyknął mu tenże, niknąc na rogu ulicy.

Lecz i tam nikogo już nie było. Jakkolwiek nieznanomy szedł powoli, miał jednak czas go wyprzedzić znacznie, a może wstąpił do któregoś z domów.

D'Artagnan wymijał przechodniów, zszedł aż do promu na rzece, wrócił przez ulicę de Seine i La Croix-Rouge, lecz i to było daremne. Gonitwa ta jednak nie była bez korzyści, gdyż w miarę jak jego czoło zlewało się potem, serce stopniowo chłodziło.

Zaczął więc wszystko rozważać. Wypadki były liczne i oplakane. Zaledwie wybiła jedenasta, a poranek ten przyniósł mu nielaskę pana de Tréville, który nie omieszkał się pewnie obrazić tym wariackim sposobem, w jaki się z nim rozstał.

¹²⁰*karmelici bosy* — pełna nazwa: Zakon Braci Karmelitów Bosych Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel; odłam męskiego zakonu karmelitów o surowszej regule. [przypis edytorski]

¹²¹*Pałac Luksemburski* — pałac w Ogrodzie Luksemburskim w Paryżu, zaprojektowany przez Salomona de Brosse dla Marii Medycejskiej, małżonki Henryka IV; budowany w latach 1610–1630. [przypis edytorski]

Nadto ściągnął na siebie dwa pojedynki z dwoma ludźmi zdolnymi zabić trzech takich d'Artagnanów; z muszkietierami, o których miał wyobrażenie tak wysokie, że stawał ich w myśli i sercu ponad wszystkich ludzi.

Prawdopodobny rezultat mógł być nader smutny. Przekonany był, że Atos zabije go, bo Portosa nie bardzo się obawiał.

Ponieważ jednak nadzieja jest uczuciem, które najdłużej tli się w ludzkim sercu, krzepił się otuchą, że zostanie przy życiu, poraniony, rozumie się, okrutnie. Na wszelki też wypadek sam się w duchu strofował:

„Jakiż ze mnie półgłówek i bałwan! Ten dzielny i nieszczęśliwszy Atos jest ranny w ramię, w które ja właśnie walę jak baran. To tylko dziwne, że nie zabił mnie na miejscu. Miałby zupełne prawo, gdyż ból, który mu sprawiłem, musiał być okrutny”.

Co się tyczy Portosa, to co innego. Z nim, szczerze mówiąc, to całkiem zabawna sprawa.

I mimo woli począł się śmiać, patrząc wszelako, czy ten śmiech, którego przyczyna nie była nikomu znana, nie obrazi kogoś z przechodniów.

— Z Portosem zabawna historia; ale w każdym razie jestem ostatnim roztrzępającym. Jak można tak wpadać na ludzi, nie ostrzegłszy ich pierwej¹²² i szukać im pod płaszczem tego, czego tam wcale nie ma! Byłby mi przebaczył z pewnością, gdybym mu nie wspomniał o tej szarfie przeklętej. Słuchaj, d'Artagnanie, mój przyjacielu — dodał z całą dla siebie życzliwością — jeżeli wykręcisz się teraz, co mi się nie wydaje prawdopodobne, trzeba być na przyszłość niezmiernie grzecznym, aby cię za przykład stawiano, by cię uwielbiano wszędzie. Być uprzedzającym i gładki, to nie znaczy poniżać się. Spójrz na Aramis, wszak to uosobienie słodyczy i wdzięku. A czyżby znalazł się taki, co by go tchórzem nazwał? Z pewnością, że nie. I odtąd postanawiam wzorować się na nim. A otóż i on — Aramis.

D'Artagnan, idąc i rozprawiając tak z sobą samym, doszedł do pałacu d'Aiguillon i tam spostrzegł Aramisa rozmawiającego wesoło z kilku panami z gwardii królewskiej. Ten również go zobaczył, ponieważ jednak pamiętał, że właśnie przy nim pan de Tréville tego ranka uniósł się srogim gniewem, więc świadek wyrzutów, które usłyszeli muszkietierowie, nie mógł być żadną miarą dlań przyjemny, i Aramis udał, że go nie widzi.

D'Artagnan przeciwnie, przejęty na wskroś postanowieniem zostania uprzejmym i miłym, podszedł do czterech młodzieńców, z uśmiechem najwdzięczniejszym składając im ukłon głęboki. Aramis z miną poważną odpowiedział mu lekkim skinieniem głowy, lecz wszyscy czterej przerwali w tej chwili rozmowę.

D'Artagnan, nie w ciemię bity¹²³, zrozumiał, że jego obecność nie jest tu na rękę, lecz miał za mało obycia światowego, aby wybrnąć zręcznie z drażliwego położenia, w jakim znajduje się każdy w towarzystwie mało sobie znanym, gdy toczy się rozmowa, która pod żadnym względem nie może go obchodzić. Głowił się więc, jak się wycofać zręcznie, gdy spostrzegł, że Aramis upuścił chusteczkę i, przez nieuwagę zapewne, nogą na nią nastąpił. Sądząc, że nadeszła teraz chwila, aby okazać się grzecznym, schylił się i z wdziękiem, na jaki tylko mógł się zdobyć, wyciągnął chustkę spod stopy muszkietera, pomimo wszelkich wysiłków tegoż, aby ją przytrzymać, i oddając mu ją, rzekł:

— Zdaje się, iż ta chusteczka do pana należy, a zapewne nie chciałby pan jej zgubić.

Chusteczka była wyhaftowana bogato z koroną i herbem na rogu.

Aramis cały spąsował i wyrwał ją nieledwie¹²⁴ z rąk Gaskończyka.

— O! O! — zawołał jeden z gwardzistów. — Może powiesz jeszcze, skryty Aramisie, że nie jesteś w dobrych stosunkach z panią de Bois-Tracy, skoro ta uprzejma dama zaszczyca cię pożyczaniem chusteczek?

Aramis przeszył d'Artagnana spojrzeniem, które mówiło, iż tenże kupił w nim sobie śmiertelnego wroga, a następnie z miną słodziutką rzekł:

— Mylicie się, panowie, chusteczka ta nie do mnie należy i nie wiem doprawdy, co temu panu do głowy przyszło, żeby mnie, a nie komu z was ją oddać. Najlepszy daję wam dowód, iż swoją mam w kieszeni.

¹²²pierwej (daw.) — najpierw. [przypis edytorski]

¹²³nie w ciemię bity — sprytny. [przypis edytorski]

¹²⁴nieledwie (daw.) — prawie, niemal. [przypis edytorski]

I mówiąc to, wyjął rzeczywiście chusteczkę, również elegancką, z cieniutkiego batystu¹²⁵, który w owych czasach był bardzo drogi, lecz bez haftów i herbów, tylko z cyfrą właściciela.

Tym razem d'Artagnan ani pisnął, zrozumiał bowiem, że nie w porę się wyrwał, lecz przyjaciele Aramisa nie dali za wygraną i jeden z nich, zwracając się do muszkietera, rzekł z udaną powagą:

— Jeżeli jest tak, jak utrzymujesz, będę zmuszony prosić cię o jej zwrot, mój drogi Aramisie, bo wiesz przecie, że jestem w ścisłych stosunkach z de Bois-Tracy i nie życzę sobie, aby rzeczy jego żony służyły komuś za godła.

— Twoje żądanie nie jest dość właściwe — odparł Aramis — bo jakkolwiek w zasadzie uznaję całą jego słuszność, odmówiłbym mu ze względu na formę.

— Tak, przyznaję — wtrącił się nieśmiało d'Artagnan — że nie widziałem, jak wypadła chustka z kieszeni pana Aramisa. Nogę tylko na niej trzymał, sądziłem więc, że do niego należy.

— I byłeś w błędzie, mój drogi panie — chłodno odrzekł Aramis, wcale niewzruszony tą pokorą. Następnie zaś, zwracając się do tego, który się podawał za przyjaciela pana de Bois-Tracy, rzekł: — Zresztą dochodzę do wniosku, mój ty przyjacielu pana de Bois-Tracy, że jestem jego przyjacielem niemniej niż ty; chusteczka zatem mogła wypaść tak samo z twojej, jak i z mojej kieszeni.

— Nie, na honor! — zawołał gwardzista Jego Królewskiej Mości.

— Ty klniesz się na honor, a ja na słowo moje, widoczne więc jest, iż jeden z nas kłamie. Słuchaj, Montaranie, najlepiej będzie, gdy się nią podzielimy.

— Wybornie — zawołali dwaj inni — prawdziwy sąd Salomona¹²⁶. O Aramisie, pełen jesteś mądrości.

Młodzieńcy zaśmiali się głośno i zdawać by się mogło, że cała sprawa została skończona. Po chwili rozmowa się urwała i gwardziści wraz z muszkietерem, uściskawszy się serdecznie za ręce, rozeszli się każdy w swoją stronę.

„Wypada mi teraz z tym miłym chłopcem się pogodzić — pomyślał d'Artagnan, stojący na uboczu podczas ostatniej rozmowy”.

I w najlepszych zamiarach podszedł do Aramisa, który oddalał się już, bynajmniej na niego nie zwracając uwagi.

— Mam nadzieję, iż mi pan wybaczysz...

— O! Mój panie — przerwał mu Aramis — pozwól sobie powiedzieć, iż w tym razie nie postąpiłeś tak, jak przystało na przyzwoitego człowieka.

— Jak to, pan przypuszcza...

— Przypuszczam, mój panie, że nie jesteś głupcem i wiesz o tym dobrze, jakkolwiek z Gaskonii przybywasz, iż bez przyczyny nie depcze się po chustkach od nosa. Do diabła! Paryż nie jest zabrukowany batystem.

— Panie, źle robisz, chcąc mnie urazić — odezwał się d'Artagnan, którego kłótlive usposobienie zaczynało brać górę nad postanowieniami pokojowymi. — Żem Gaskończyk, to prawda, a skoro wiesz o tym, nie potrzebuję ci mówić, że Gaskończycy niełatwo potrafią to znieść, zatem skoro kogoś proszą o przebaczenie, choćby za głupstwo nawet, przekonani są, iż czynią więcej, niż powinni.

— Nie mówię tego panu bynajmniej dla wywołania sprzeczki — odrzekł Aramis. — Dzięki Bogu, zabijaką nie jestem, i będąc tylko tymczasowym muszkietерem, biję się jedynie, skoro do tego jestem zmuszony, a zawsze z niemalą odrazą. Tym razem jednak sprawa jest zbyt ważna, bo przez pana skompromitowana została kobieta.

— Chcesz pan powiedzieć, przez nas — zawołał d'Artagnan.

— Czemu tak niezręcznie oddałeś mi pan chustkę?

— A po co pan tak niezręcznie upuściłeś ją na ziemię?

— Powiedziałem panu i raz jeszcze powtarzam, że ta chusteczka nie pochodziła z mojej kieszeni.

¹²⁵batyst — cienka tkanina z bawełny lub z lnu. [przypis edytorski]

¹²⁶sąd Salomona — nawiązanie do decyzji Salomona, słynnego z mądrości króla Izraela. Gdy przyszły do niego dwie kobiety z dzieckiem kłócące się o to, do której z nich ono należy, Salomon rozkazał przeciąć malca na pół i dać część każdej z kobiet; prawdziwa matka zaprotestowała z płaczem, aby ocalić swe dziecko, i król w ten sposób poznał, która z kobiet jest oszustką. [przypis edytorski]

— Podwójnie więc skłamałeś, mój panie, bo ja to dobrze widziałem!
— O! Tak zaczynasz śpiewać, panie Gaskończyku? Poczekaj, nauczę ja cię życia.
— A ja do mszy cię zapędzę, panie opacie! Dozywaj szpady, jeśli łaska, natychmiast!
— O nie, mój piękny, nie tutaj przynajmniej. Czyż nie widzisz, że stoimy przed pałacem d'Aiguillon, pełnym zauszników¹²⁷ kardynalskich? Kto mi zaręczy, że to nie Eminencja polecił ci, abys mu dostarczył mojej głowy? Wiedz, że dbam o nią aż do śmieszności, bo jak mi się zdaje, bardzo dobrze pasuje mi ona do ramiona. Z przyjemnością zabiję cię, bądź spokojny, lecz zabiję cię pomalutku, w miejscu ustronnym i zamkniętym, tam, gdzie przed nikim nie będziesz mógł się swoją śmiercią pochwalić.

— I owszem, ale nie licz na to zbyt wiele, a zabierz ze sobą chusteczkę, czy to twoja lub nie, może ci się przydać do opatrunku.

— Pan jesteś Gaskończykiem? — zapytał Aramis.

— Tak. Pan, spodziewam się, nie odkłada spotkania przez przezorność?

— Przezorność, mój panie, zawsze jest cnotą przydatną muszkieterom, a nieodzowną dla sług kościoła. Ponieważ zaś jestem muszkieterem czasowym, pragnę pozostać przezorny! O drugiej będę miał zaszczyt oczekiwać w pałacu pana de Tréville. Tam wskażę panu właściwe miejsce.

Dwaj młodzieńcy pożegnali się ukłonem. Aramis puścił się ulicą prowadzącą do Luksemburga, d'Artagnan zaś widząc, że już dość późno, skierował swe kroki w stronę karmelitów bosych, mówiąc do siebie:

— O! Ani chybi, cało z tego nie wyjdę; ale przynajmniej, jeżeli zginę, umrę z ręki muszkietera.

ROZDZIAŁ V. MUSZKIETEROWIE KRÓLA I GWARDZIŚCI PANA KARDYNAŁA

D'Artagnan nie miał w Paryżu żywej duszy znajomej. Stawił się więc na spotkanie z Atosem bez sekundanta¹²⁸. Miał zresztą zamiar niewzruszony wytłumaczyć się dzielnemu muszkieterowi przywoicie, lecz bez żadnej uległości. Lękał się rezultatu pojedynku, który zwykle bywa niemiły, gdy silny i młody ma za przeciwnika rannego, a zatem pozbawionego sił. Wtedy bowiem zwyciężony zmniejsza triumf nieprzyjaciela, zwycięzca zaś posądzany bywa o zbrodnię i fałszywą odwagę. Zresztą, czytelnicy zauważyli zapewne, że d'Artagnan nie był człowiekiem pospolitym. Powtarzając więc sobie, że nie uniknie śmierci, nie był wszelako zrezygnowany zejść z tego świata jak baranek, czemu inny na jego miejscu, z mniejszym zasobem odwagi, poddałby się niezawodnie.

Rozważał charakterzy tych, z którymi miał stanąć do walki, i położenie przedstawiło mu się jaśniej. Dzięki szlachetnemu tłumaczeniu miał nadzieję zyskać w Atosie przyjaciela; jego pańska i wyniosła postawa mocno mu przypadła do serca.

Cieszył się na myśl nastraszenia Portosa wypadkiem z szarfą, bo jeżeli nie będzie od razu zabity, rozgłos to powszechnie, a zręczne i składne opowiadanie może tamtego okryć śmiesznością. Wreszcie skryty Aramis nie przejmował go strachem i w przypuszczeniu nawet, że z nim odbędzie pojedynek, obiecywał sobie płać¹²⁹ go przez twarz, jak Cezar¹³⁰ zalecał żołnierzom zrobić z Pompejuszem¹³¹, aby zniweczyć na zawsze tę piękność, o którą był tak zazdrosny.

W duszy d'Artagnana tkwiło niezłomne postanowienie wszczęte radami ojca: nikomu nie przepuścić, od nikogo nic nie znieść, prócz od króla, kardynała i pana de Tréville.

¹²⁷zausznik — powiernik i osoba dostarczająca informacji. [przypis edytorski]

¹²⁸sekundant — świadek osoby biorącej udział w pojedynku. [przypis edytorski]

¹²⁹platać — ciąć na płaty, zadawać ranę ciętą. [przypis edytorski]

¹³⁰Cezar, Gajusz Juliusz (100–44 p.n.e.) — rzymski dowódca wojskowy, polityk, dyktator i pisarz; zdobywca Galii; odegrał kluczową rolę w wydarzeniach, które doprowadziły do upadku republiki i początku cesarstwa w państwie rzymskim. [przypis edytorski]

¹³¹jak Cezar zalecał żołnierzom zrobić z Pompejuszem — nawiązanie do wojny domowej o władzę w starożytnym Rzymie toczącej się w latach 49–45 p.n.e. pomiędzy Gajuszem Juliuszem Cezarem, prokonsulem i zdobywcą Galii, a Gnejuszem Pompejuszem Wielkim, konsulem rzymskim. [przypis edytorski]

Leciał więc jak na skrzydłach w stronę karmelitów bosych, których klasztor był budynkiem bez okien, a otaczało go tylko zeszcie błonie¹³². Był tu punkt spotkania i pojedynków ludzi niemających czasu do stracenia.

Kiedy mógł już objąć okiem błonia roztaczające się u stóp klasztoru, ujrzał Atosa oczekującego tam od pięciu minut, a zegar właśnie wydzwaniał południe. Był zatem słowny jak samarytanka¹³³ i najsurowiej przestrzegający warunków pojedynkowych nie miałby mu nic do zarzucenia.

Atos, któremu rana dopiekała straszliwie, choć była świeżo opatrzona przez chirurga pana de Tréville, siedział na kamieniu przydrożnym z tą dystynkcją i spokojem pełnym godności, jakie go nie odstępowały nigdy. Na widok d'Artagnana powstał i z grzecznością postąpił kilka kroków ku niemu. Ten zaś szedł ku przeciwnikowi z kapeluszem w ręce, pióro od niego wlokąc po ziemi.

— Panie — rzekł Atos — zawiadomiłem moich dwóch przyjaciół, którzy będą służyć za świadków, lecz jeszcze ich nie widać. Dziwi mnie to, bo nie mają zwyczaju się spóźniać.

— Ja sekundantów nie mam — odparł d'Artagnan — wczoraj dopiero przybyłem do Paryża i nikogo tu nie znam prócz pana de Tréville, a polecony mu zostałem przez mojego ojca, który ma zaszczyt liczyć się do jego przyjaciół.

Atos się zamyślił.

— I nikogo pan nie znasz prócz pana de Tréville? — zapytał.

— Tak, panie, nikogo.

— No to jeżeli cię zabiję — kończył Atos, raczej mówiąc do siebie niżli do d'Artagnana — jeżeli cię zabiję, mogę wyglądać na pożerającego dzieci!

— O! Niezupelnie, mój panie — odparł z dumnym ukłonem d'Artagnan. — Niezupelnie, skoro mnie zaszczytasz dozywaniem szpady pomimo rany, która niemało ci musi zawadzać.

— O! I bardzo zawadza, na honor, i przyznać muszę, żeś mi piekielnego narobił bólu, ale to mniejsza; lewej użyję ręki, jak zwykle to czynię w takich razach. Nie myśl wcale, abym ci ustępstwo robił, ja zarówno obydwoma władam rękami; to może być dla pana nawet niekorzystne, bo mańkut¹³⁴ dla nieprzyzwyczajonych osób bywa niebezpieczny. Żałuję nawet, iż wcześniej nie uprzedziłem pana o tym.

— Doprawdy — odrzekł z ukłonem d'Artagnan — jesteś pan tak rycersko grzeczny, iż nie wiem, jak mam ci być za to wdzięczny.

— Zawstydzasz mnie pan — odparł Atos z miną pańską — mówmy o czym innym, proszę, jeżeli ci się podoba. A! Do licha, toś mi bólu narobił, aż pali mnie to ramię.

— Jeżeli pan pozwolisz... — zaczął nieśmiało d'Artagnan.

— Co takiego?

— Mam cudowny balsam na rany, balsam, który dała mi moja matka, a którego efekty wypróbowałem już na sobie.

— Więc cóż?

— Więc pewny jestem, iż za trzy dni najdalej byłbyś pan wyleczony zupełnie, a wtedy, panie, za honor sobie poczytam służyć ci w każdej chwili.

D'Artagnan wypowiedział to z prostotą czyniącą mu zaszczyt, bez ujmy dla jego odwagi.

— Doprawdy — odrzekł Atos — podoba mi się ta propozycja, nie dlatego, abym ją miał przyjąć, lecz że o miłe czuć ją szlachcicem. Tak przemawiali i postępowali owi dzielni rycerze z czasów Karola Wielkiego¹³⁵, których dzisiejsi winni brać sobie za wzór. Niestety, to nie czasy wielkiego monarchy, tylko kardynała, za trzy dni rozgłoszono by już naszą tajemnicę, choćby najściślej była zachowana, wiedziano by, mówię, że bić się zamierzamy i przeszkodzono by temu. Lecz cóż to, czy już nie przyjdą te włóczęgi?

¹³²błonie a. *błoni* (daw.) — łąka, pastwisko; rozległa przestrzeń porośla trawą. [przypis edytorski]

¹³³samarytanka (przen.) — miłosierna kobieta, śpiesząca z pomocą rannym, chorym i słabym. [przypis edytorski]

¹³⁴mańkut (pot.) — osoba leworęczna. [przypis edytorski]

¹³⁵Karol Wielki (ok. 742/747–814) — król Franków i Longobardów, stworzył pierwsze europejskie imperium od czasu upadku Cesarstwa Zachodniorzymskiego, koronował się na cesarza rzymskiego w Rzymie w 800. [przypis edytorski]

— Jeżeli panu pilno — odezwał się d'Artagnan z tą samą prostotą, z jaką proponował przed chwilą odłożenie na trzy dni pojedynku — jeżeli panu pilno i życzy sobie załatwić się ze mną zaraz, nie krępuj się, proszę.

— I to mi się bardzo podoba — rzekł Atos z wyrazem twarzy okazującym zadowolenie — tak nie odzywa się półgłówek... tylko człowiek męznego serca potrafi tak mówić. Przepadam za ludźmi takiego usposobienia jak pańskie i jeżeli nie pozabijamy się teraz, będę miał prawdziwą przyjemność rozmawiać z panem później. Zaczekajmy na tych panów, proszę, nie brak mi czasu, a przynajmniej wszystko odbędzie się prawidłowo. A! Otóż i jeden z nich.

W głębi ulicy Vaugirard ukazał się olbrzymi Portos.

— Jak to?... — zawołał d'Artagnan. — Portos jest pana świadkiem?

— Tak. Czyś pan temu nierad?

— O! Bynajmniej.

— Ot, jest i drugi.

D'Artagnan obejrzał się i poznał Aramisa.

— Jak to? — wykrzyknął z jeszcze większym zdziwieniem. — To drugim świadkiem jest Aramis?

— A naturalnie, alboż kto kiedy widział, abyśmy razem nie byli? Atos, Portos i Aramis to trzej nierozłączni, jak nas nazywają wszędzie. Pan jednak, co przybywasz z Honolulu¹³⁶ czy z Kochinchiny¹³⁷...

— Z Tarbes — poprawił go d'Artagnan.

— Wolno panu nie znać tych szczegółów — dokończył Atos.

— Na honor — odrzekł d'Artagnan — nazwano was znakomicie, moi panowie, i jeżeli przygoda moja nabędzie rozgłosu, przekona, że w związku waszym nie brak wam łączności.

Portos nadszedł tymczasem i ręką powitał Atosa; obejrzawszy się następnie na d'Artagnana, stanął zdziwiony.

Dodajmy nawiasem, iż szarfę zmienił i był bez płaszcza.

— A! Co to takiego? — zapytał.

— Z tym panem właśnie mam się potykać — rzekł Atos, wskazując z ukłonem d'Artagnana.

— Ależ i ja biję się z nim — odparł Portos.

— I ja również z tym panem mam się pojedynkować — odezwał się Aramis, dochodząc do miejsca.

— Lecz dopiero o drugiej — z zimną krwią zauważył d'Artagnan.

— Ale o co się bijesz, Atosie? — zagadnął Aramis.

— Na honor, nie wiem tak bardzo... w ramię mnie uraził. A ty, Portosie?

— Biję się, bo się biję — odparł Portos, czerwieniąc się.

Baczny na wszystko Atos podchwycił złośliwy uśmiech na ustach Gaskończyka.

— Mieliśmy sprzeczkę o ubranie — wtrącił młodzieniec.

— A ty, Aramisie? — pytał dalej Atos.

— Ja biję się o teologię — odrzekł Aramis, spoglądając prosząco na d'Artagnana, by zachował w tajemnicy powód pojedynku.

Atos dostrzegł drugi uśmiech d'Artagnana.

— Doprawdy?... — podchwycił Atos.

— Tak, nie mogliśmy się zgodzić na pewien ustęp ze świętego Augustyna¹³⁸ — odezwał się Gaskończyk.

— Widocznie sztuka z niego niegłupia — mruknął Atos.

— A teraz, panowie, skoroście się zebrali — rzekł d'Artagnan — niech mi będzie wolno wytłumaczyć się wam.

Na słowo *wytłumaczyć* chmura przemknęła po czole Atosa, uśmiech wzgardliwy po ustach Portosa, a przeczące skinienie było odpowiedzią Aramisa.

¹³⁶ Honolulu — stolica i największe miasto amerykańskiego stanu Hawaje. [przypis edytorski]

¹³⁷ Kochinchina — dawna nazwa położonej najbardziej na południe części Wietnamu, stanowiącej część francuskiej kolonii Indochin. [przypis edytorski]

¹³⁸ Augustyn z Hippony (354–430) — filozof i teolog chrześcijański, autor licznych traktatów, m.in. *Państwo Boże*, oraz autobiograficznych *Wyznań*; jeden z tzw. ojców i doktorów Kościoła. [przypis edytorski]

— Nie rozumiecie mnie, panowie — rzekł d'Artagnan, podnosząc głowę, a na jego oblicze padły promienie słoneczne, złocąc jego szlachetne i śmiałe rysy — pragnę się wytłumaczyć na wypadek, jeżeli nie będę w możności¹³⁹ wszystkim trzem spłacić mego długu, pierwszemu bowiem panu Atosowi służy prawo zabicia mnie, a to odbiera dużo wartości zadaniu pana Portosa, a twoje, panie Aramisie, nieledwie niweczy zupełnie. A teraz powtarzam, wybaczone mi, panowie, ale to tylko jedynie, i baczność!

Z tymi słowami, ruchem najpyszniej rycerskim, d'Artagnan wydobyl szpadę.

Krew wrzątkiem uderzyła mu do głowy i w chwili tej rzuciłby się był na cały zastęp muszkietierów z taką samą odwagą jak na tych trzech obecnie.

Było już trochę z południa. Słońce dobiegało do zenitu, a miejsce wybrane na pojedynek zostało wystawione na jego palące promienie.

— Piekielnie gorąco — rzekł Atos, dobywając szpady — nie chciałbym jednak zdejmować kaftana, gdyż czuję w tej chwili, iż rana mi się krwawi, a pragnę nie sprawić panu przykrości widokiem krwi dobytej nie twoim żelazem.

— To prawda — odrzekł d'Artagnan. — A czy dobytą byłaby przeze mnie, czy przez kogo innego, zawsze z prawdziwym żalem będę patrzeć na krew tak dzielnego szlachcica, więc i ja będę się bić w kaftanie.

— Dalej, dalej — odezwał się Portos — dosyć już tych grzeczności, pomyślcie, że czekamy na naszą kolej.

— Sam za siebie mów, Portosie, kiedy masz się tak grubiańsko odzywać — przerwał Aramis. — Co do mnie, słowa tych panów uważam za właściwe i godne takich szlachetnych ludzi jak oni.

— Służę panu — odrzekł Atos, zasłaniając się szpadą.

— Jestem na rozkazy — odparł d'Artagnan, krzyżując swoją.

Zaledwie dwa rapiery zetknęły się ze szczęką, gdy oddział gwardii Jego Eminencji pod dowództwem pana de Jussac ukazał się spoza węgła¹⁴⁰ klasztoru.

— Gwardziści kardynalscy! — krzyknęli jednocześnie Portos i Aramis. — Panowie! Szpady do pochwy! Panowie!

Lecz było już za późno. Dwaj walczący widziani byli w postawie niepozostawiającej żadnej wątpliwości o ich zamiarach wojowniczych.

— Hola! — krzyknął Jussac, zbliżając się do nich i dając żołnierzom swoim znak, aby uczynili to samo. — Hola! Panowie muszkietrzy, bijecie się tutaj? A zakaz?... Cóż mi na to powiecie?

— O! Bardzo szlachetni jesteście, panowie gwardziści — odrzekł Atos pełen skrytej nienawiści, bo Jussac był najpierwszym z tych, którzy go atakowali w przeddzień. — My, gdybyśmy was widzieli bijących się, zaręczam, iż nie przeszkadzalibyśmy wam bynajmniej. Zostawcie więc swobodę, a będziecie mieli przyjemność, nie doznając żadnego trudu.

— Panowie — odparł Jussac — z żalem muszę wam oświadczyć, iż to rzecz niemożliwa do spełnienia. Obowiązek przede wszystkim. Szpady do pochwy, jeżeli łaska, i proszę za nami.

— Panie — odezwał się Aramis, przedrzeźniając Jussaca — z wielką przyjemnością poszlibyśmy za waszą uprzejmą radą, gdyby to od nas zależało, ale niestety to niemożliwe: pan de Tréville zabronił nam tego. Idźcie więc w swoją drogę, to będzie dla was najlepiej.

Drwiny te doprowadziły Jussaca do rozpacz.

— Siłą was zaprowadzimy ze sobą, skoro nie chcecie nas słuchać.

— Pięciu ich jest — rzekł półgłosem Atos — a nas tylko trzech. Znowu będziemy pobici i trzeba nam będzie życie tu położyć, bo oświadczam, że jeśli zostaniemy pokonani, nie pokażę się kapitanowi na oczy.

Atos, Portos i Aramis zbliżyli się do siebie w chwili, gdy Jussac ustawiał swych żołnierzy w szeregu.

Chwila ta wystarczyła d'Artagnanowi do namysłu, że nastroczała mu się jedna ze sposobności stanowiących o życiu człowieka; należało więc uczynić wybór między królem i kardynałem i należało w nim wytrwać. Bić się — znaczyło to nie słuchać prawa, narażać

Honor, Pojedynek

Obowiązek

Przyjaźń, Walka,
Bohaterstwo, Honor,
Żołnierz

¹³⁹nie będę w możności — dziś: nie będę mógł. [przypis edytorski]

¹⁴⁰węgiel — narożnik budynku. [przypis edytorski]

głowę — znaczyło to na samym wstępie zrobić sobie nieprzyjaciela z ministra, potężniejszego nawet niż sam król. Wszystko to przewidywał młodzieniec, dodajmy jednak na pochwałę jego, iż nie zawahał się ani na chwilę. I rzekł, zwracając się do Atosa i jego przyjaciół:

— Panowie! Pozwólcie mi w słowach waszych małą uczynić poprawkę. Powiedzieliście, że trzech tylko jesteście, a mnie się wydaje, iż nas jest tutaj czterech.

— Przecież pan nie należysz do naszych — zauważył Portos.

— To prawda — odrzekł d'Artagnan — ale jeżeli nie ubiorem, to duszą do was należę. Czuję to, iż serce mam muszkieterskie i ono pociąga mnie do was.

— Na bok! Młodzieńcze — wrzasnął Jussac, który po ruchach i wyrazie twarzy odgadywał zamiary d'Artagnana — pozwalam ci się oddalić. Uciekaj, pókiś¹⁴¹ cały.

D'Artagnan ani drgnął.

— Dzielny chłopiec z ciebie — powiedział Atos, ściskając mu rękę.

— No, dalej! — wołał Jussac.

Atos, Portos i Aramis spojrzeli na młodzieńca.

Wszystkim trzem tkwiła w myśli młodość d'Artagnana i lękali się jego braku doświadczenia.

— I tak trzech by nas tylko było, z których jeden ranny, bo to dziecko jeszcze — mówił Atos — pomimo to powiedzą, iż było nas czterech.

— Tak, lecz cofać się!... — odpowiedział Portos.

— Trudno — dodał Atos.

D'Artagnan zrozumiał ich wahanie.

— W każdym razie wypróbujcie mnie, panowie, a przysięgam wam na moją cześć, że jeżeli będziemy zwyciężeni, nie ruszę się z tego miejsca.

— Jak się nazywasz, mój zuchu? — zapytał Atos.

— D'Artagnan.

— Dalejże! Atos, Portos, Aramis i D'Artagnan, naprzód! — krzyknął Atos.

— I cóż, panowie, czy usłuchacie mnie? — zawołał po raz trzeci Jussac.

— Stało się, panowie — rzekł Atos.

— Cóż więc zamierzacie uczynić? — pytał Jussac.

— Będziemy mieli zaszczyt przystąpić z wami do walki — odpowiedział Aramis, jedną ręką unosząc kapelusz, drugą wyciągając szpadę.

— A! Opieracie się więc! — krzyknął Jussac.

— Do licha! To pana dziwi?

Po czym dziewięciu walczących rzuciło się na siebie, z wściekłością nieprzekraczającą jednak zasad szermierki.

Atos wybrał niejakiego Cahusaca, ulubieńca kardynalskiego, Portos miał Bicarata, Aramis znalazł się wobec dwóch przeciwników. D'Artagnan zaś padł na samego Jussaca.

Serce młodego Gaskończyka biło jak młotem, zdawało się, że rozsądzi mu piersi. Nie ze strachu, broń Boże, nie było go tam ani cienia, lecz dlatego, że w męstwie nie chciał się okazać od innych gorszy, bił się jak rozjuszony tygrys, ze wszystkich stron napastując przeciwnika i zmieniając kilkakrotnie pozycję. Jussac był mistrzem w tej sztuce, bo dużo już praktykował, jednak trudnym zadaniem była dla niego obrona przed przeciwnikiem, który, zręczny i rzutki, zmieniał co chwila metodę, napadając prawie ze wszystkich stron jednocześnie, a sam zasłaniając się jak człowiek, który ma najwyższą cześć dla swojej skóry.

Walka ta doprowadziła Jussaca do utraty cierpliwości. Wściekłość go ogarnęła, iż ten, którego za dzieciaka uważał, trzyma go w szachu. Zaperzony¹⁴² więc zaczął popełniać błędy. D'Artagnan zaś w braku doświadczenia posiadał głęboką teorię i przeto¹⁴³ jeszcze zwinniej się sprawiał. Jussac, chcąc raz już skończyć, wymierzył od dołu straszny cios przeciwnikowi; ten natychmiast się zasłonił i w chwili, gdy Jussac prostował się, przemknął pod szpadą jego jak wąż i na wylot go przebił. Jussac runął jak kłoda. Wtedy d'Artagnan szybkim i niespokojnym wzrokiem objął pole walki.

¹⁴¹pókiś — przykład konstrukcji z czasownikiem „być” skróconym do końcówki fleksyjnej dodanej do spójnika; znaczenie: póki jesteś. [przypis edytorski]

¹⁴²zaperzony (daw.) — rozgniewany. [przypis edytorski]

¹⁴³przeto (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

Aramis zabił już jednego ze swoich przeciwników, lecz drugi ostro nań nacierał. Położenie jego nie było niebezpieczne, mógł się bowiem obronić.

Bicarat i Portos szpikowali się wzajemnie. Portos dostał pchnięcie w ramię, a Bicarat w udo. Ponieważ jednak ani jedna, ani druga rana nie była głęboka, coraz zajadlej napadali na siebie.

Ale Atos, raniony na nowo przez Cahusaca, okrywał się coraz większą bladością, chociaż się ani na krok nie cofnął z miejsca; przełożył tylko broń do innej ręki, z równą zręcznością władając lewą.

Według praw pojedynkowych z tamtej epoki d'Artagnan mógł jednemu z nich przyjść z pomocą i gdy szukał oczami, którego z towarzyszy wypadłoby wesprzeć, pochwycił spojrzenie Atosa, a było ono zadziwiająco wymowne.

Atos wołałby umrzeć niż zawołać o pomoc, mógł jednak patrzeć, a spojrzeniem tym żądał poparcia. Odgadł to d'Artagnan i dopadł z boku Cahusaca, krzycząc strasznym głosem:

— Ze mną teraz sprawa! Zabiję cię, panie gwardzisto!

Cahusac odwrócił się w sam czas. Atos, którego podtrzymywała jedynie niezrównana odwaga, upadł na jedno kolano.

— Na rany boskie, nie zabijaj go, młodzieńcze, błagam — wołał na d'Artagnana. — Mam ja dawną sprawę z nim do załatwienia, jak się tylko wygoję. Rozbrój go tylko, wytrąć mu szpadę. O! Tak! Dobrze! Wyśmienicie!

Ten okrzyk Atosa spowodował wytrącenie szpady z ręki Cahusaca; wyrzucona w powietrze padła o jakieś dwadzieścia kroków.

D'Artagnan i Cahusac razem rzucili się, aby ją pochwycić, lecz zwinniejszy d'Artagnan pierwszy postawił na niej nogę.

Cahusac poskoczył do gwardzisty zabitego przez Aramisa, wyrwał mu rapier i porwacał, aby na nowo rozpocząć walkę z d'Artagnanem, jednak na drodze spotkał Atosa, który w tej przerwie miał już czas trochę odetchnąć i w obawie, aby d'Artagnan nie zabił wroga, sam stanął przed nim do walki.

D'Artagnan pojął, iż ściągnąłby na siebie niezadowolone Atosa, gdyby zechciał mu przeszkodzić. Stało się też, że zaledwie w kilka sekund Cahusac padł z gardłem przesytytą szpadą.

Jednocześnie Aramis przyłożył koniec szpady do piersi leżącego na ziemi przeciwnika, zmuszając go do poddania się.

Pozostawał jeszcze Portos i Bicarat. Portos podrwiwał zawzięcie, zapytując Bicarata, która mogła być godzina, i wieszował mu oddziały, który jego brat dostał w pułku Nawarry¹⁴⁴; tymi drwinkami jednak niewiele udało mu się wskórać, bowiem Bicarat należał do tych żelaznych ludzi, którym ręka opada, lecz tylko po śmierci.

Należało wszakże położyć temu kres! Lada chwila patrol mógł nadciągnąć i zabrać walczących, rannych i całych, zarówno królewskich, jak i kardynalskich.

Atos, Aramis i d'Artagnan otoczyli Bicarata, wzywając go, aby się poddał. Jakkolwiek jeden na czterech i z udem przebitym szpadą Bicarat nie myślał ustąpić. Był on, jak d'Artagnan, Gaskończykiem; udawał głuchego, a śmiejąc się i zasłaniając żwawo, znalazł nawet czas, aby końcem szpady wskazać miejsce na ziemi.

— Tu — rzekł, parodiując ustęp biblijny¹⁴⁵ — tu umrze Bicarat, sam jeden przeciw wszystkim.

— Ależ czterech ich jest przeciw tobie jednemu — zawołał Cahusac — skończ raz, rozkazuję ci.

— O! Rozkazujesz, to rzecz inna — odrzekł Bicarat — jako swemu brygadierowi winienem ci posłuszeństwo.

I uskoczywszy w tył, złamał na kolanie szpadę, kawałki przerzucił przez mur klasztorny i skrzyżowawszy ręce na piersiach, zagwizdał piosnkę gwardzistów kardynalskich.

¹⁴⁴Nawarra — kraina historyczna w zach. części Pirenejów, na pograniczu Hiszpanii i Francji. [przypis edytorski]

¹⁴⁵rzekł, parodiując ustęp biblijny — nawiązanie do ustępu biblijnego: „Zarliwością rozpalilem się o chwałę Pana, Boga Zastępów, gdyż Izraelici opuścili Twoje przymierze, rozwalili Twoje ołtarze i Twoich proroków zabili mieczem. Tak że ja sam tylko zostałem, a oni godzą jeszcze i na moje życie” (1 Krl 19, 10). [przypis edytorski]

Waleczność wzbudza szacunek nawet w nieprzyjacielu. Muszkietierowie pokłonili się Bicaratowi szpadami i włożyli je do pochwy. To samo uczynił d'Artagnan, następnie z pomocą Bicarata, który jeden tylko ze wszystkich kardynalskich gwardzistów trzymał się na nogach, zaniósł pod bramę klasztorną Jussaca, Cahusaca i tego z przeciwników Aramis, który tylko był ranny; czwarty, jak wiadomo, już nie żył. Złożywszy ich tam, uderzyli w dzwon klasztorny, zabrawszy cztery szpady na pięć, i upojeni radością podążyli do pałacu pana de Tréville.

Szli tak, splótszy się ramionami, zajmując całą szerokość ulicy i pociągając za sobą każdego napotkanego muszkietera, tak że w końcu orszak ten zmienił się w pochód triumfalny. Serce d'Artagnana rozpływało się z rozkoszy; szedł pomiędzy Atosem i Portosem, ściskając ich czule.

— Choć nie jestem jeszcze muszkietierem — powiedział do nowych przyjaciół, przestąpiwszy próg pałacu pana de Tréville — ale zostałem przyjęty na praktykanta, nieprawdaż?

ROZDZIAŁ VI. JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ — LUDWIK XIII

Cała ta sprawa narobiła wrzawy, pan de Tréville nagniewał się głośno na muszkietierów, a pochwalil ich po cichu. Ponieważ jednak nie było czasu do stracenia, popędził sam do Luwru, aby uprzedzić o tym króla. Spóźnił się wszakże, bo powiedziano mu, iż król zamknął się z kardynałem, pracuje i nikogo przyjmować nie może w tej chwili.

Stawił się więc wieczorem w zwykłych godzinach gry. Król wygrywał, a jako strasznie skąpy, był w przepysznym humorze. Skoro więc zobaczył nadchodzącego de Tréville, odezwał się do niego:

— Proszę tutaj, panie kapitanie, proszę, muszę cię wylajać. Czy wiesz, że Jego Eminencja skarżył mi się na twoich muszkietierów i to z takim rozdrażnieniem, że aż chory jest dzisiaj. O! Ależ to diabły wcielone, ci twoi muszkietierowie!

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział de Tréville, widząc od razu, na co się zanosz — nie, przeciwnie, to stworzenia dobre, łagodne jak baranki i dają moją szyję, iż tylko jedno pragnienie mają, aby dobywać szpady jedynie na usługi Waszej Królewskiej Mości. Cóż jednak począć, jeśli gwardziści pana kardynała wiecznie szukają zwady? Biedni młodzieńcy muszą się bronić dla samego honoru swego zgromadzenia.

— Posłuchajcie no tego de Tréville! Posłuchajcie! Można by sądzić, że on tu mówi o zgromadzeniu religijnym. Doprawdy, kapitanie drogi, wielka ochota mnie bierze, aby odebrać ci patent i dać go pannie de Chemerault, której przyobiecałem opactwo. Nie myśl jednak, abym ci uwierzył na słowo. Nie darmo nazywają mnie Ludwikiem Sprawiedliwym, zaraz cię o tym przekonam.

— Ponieważ najzupełniej ufam tej sprawiedliwości, Najjaśniejszy Panie, z uległością i spokojem zdaję się na łaskę Waszej Królewskiej Mości.

Szczęście się odwróciło i król zaczął przegrywać to, co wygrał, więc było mu na rękę — użyjemy tego wyrażenia — zwinąć chorągiewkę. Wstał też po chwili i chowając do kieszeni pieniądze leżące przed nim, których znaczną część stanowiła wygrana, rzekł:

— La Vieuville¹⁴⁶, siadaj na moim miejscu, a ja muszę pomówić z panem de Tréville w bardzo ważnej sprawie. A!... Było tam osiemdziesiąt ludiorów¹⁴⁷ przede mną; połóż odpowiednią sumę, aby krzywdy nie mieli przegrani. Sprawiedliwość przede wszystkim.

Potem obrócił się do de Tréville, pociągając go do framugi okna.

— A zatem, mój panie — ciągnął dalej — mówisz, że to gwardziści Jego Eminencji szukają zaczepki z twymi muszkietierami?

— Tak, Najjaśniejszy Panie, jak zwykle.

— Jakżeż to się stało? Zobaczmy... Bo wiesz przecie, kapitanie, że sędzia winien wysłuchać obie strony.

Sprawiedliwość

Sędzia

¹⁴⁶La Vieuville, Charles de (1582–1653) — francuski szlachcic, urzędnik odpowiedzialny za finanse Francji w latach 1623–1624 oraz 1651–1653, doradca Ludwika XIII. [przypis edytorski]

¹⁴⁷luidor (z fr. Louis d'or: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791. [przypis edytorski]

— Mój Boże! W najprostszy i najzwyczajniejszy sposób. Trzech moich najlepszych żołnierzy, których Wasza Królewska Mość zna z imienia i miał sposobność ocenić ich wierność wobec siebie, trzech tych żołnierzy, mówię, panowie: Atos, Portos i Aramis, udali się na wycieczkę z pewnym młodym Gaskończykiem poleconym im z rana przez mnie. Celem wycieczki miało być podobno Saint-Germain, a miejscem spotkania karmelici bosy. Otóż tę przyjemność spaceru zakłócili im panowie: de Jussac, Cahusac, Bicarat i dwóch innych gwardzistów, którzy nie przyszliby tam pewnie w takiej liczbie, gdyby nie mieli złych zamiarów.

— Oh! O! Dajesz mi do myślenia — odrzekł król — bez wątpienia, oni tam przyszli się bić.

— Ja ich nie oskarżam, lecz sąd pozostawiam Waszej Królewskiej Mości, bo po cóż aż pięciu ludzi zbrojnych przybyło w miejsce tak ustronne jak okolice klasztoru karmelitów bosych?...

— Tak, masz słuszość, de Tréville, masz słuszość.

— Zobaczywszy moich muszkietarów, zmienili zamiar i zapomnieli o swojej prywatnej nienawiści na rzecz nienawiści do naszego zgromadzenia... bo wiadomo Waszej Królewskiej Mości, że muszkietarzy, którzy do króla należą, do króla wyłącznie, są naturalnymi nieprzyjaciółmi gwardzistów należących do kardynała...

— Tak, mój de Tréville, tak — powiedział melancholijnie król. — I wierzaj mi, iż to bardzo smutne widzieć dwie takie partie we Francji, taką dwugłową monarchię. Skończy się to jednak, skończy. Mówisz więc, że to gwardziści zaczęli muszkietarów?

— Mówię, że prawdopodobnie tak się rzeczy miały, lecz nie przysięgam, Najjaśniejszy Panie. Wasza Królewska Mość wie, jak trudno poznać prawdę, a kto nie jest obdarzony tym uczuciem zadziwiającym, dzięki któremu nazwano Ludwika XIII Sprawiedliwym...

— Masz słuszość, de Tréville, ale ci twoi muszkietarowie nie byli tam sami, mieli ze sobą jakiegoś dzieciaka.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, dzieciaka i jednego rannego; tak... trzech muszkietarów królewskich, z których jeden ranny, a z nimi jeden dzieciak, nie tylko stawili czoło pięciu najstraszniejszym gwardzistom pana kardynała, lecz nadto czterech powalili na ziemię.

— Ależ to zwycięstwo, zwycięstwo zupełne — zawołał król, promieniejąc radością.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, zwycięstwo zupełne.

— Mówisz więc, że czterech ludzi, z nich jeden ranny, a jeden dziecko nieledwie...

— Wyrostek, ale sprawiał się tak dzielnie w tej potrzebie, że pozwolę sobie polecić go Waszej Królewskiej Mości.

— Jak on się nazywa?

— D'Artagnan, Najjaśniejszy Panie, syn jednego z moich najdawniejszych przyjaciół, syn człowieka, który walczył przeciwko Lidze z twoim wielkiej pamięci ojcem, Najjaśniejszy Panie.

— Mówisz, że chłopak ten sprawiał się dzielnie? Opowiedz mi to, Tréville, wiesz, jak lubię opowiadania o bitwach i potyczkach.

Mówiąc to, Ludwik XIII dumnie pokręcił wąsa, przybierając postawę rycerską.

— Najjaśniejszy Panie — zaczął de Tréville — pan d'Artagnan, jak rzekłem, jest jeszcze prawie dzieckiem, a nie mając zaszczytu być muszkietarem, ubrany był po mieszczkańsku; gwardziści pana kardynała widząc jego młodość, a co więcej, iż nie należy do zgromadzenia, zażądali, aby się usunął, zanim uderzą na naszych.

— Widzisz więc, de Tréville, że to oni pierwsi zaczęli.

— Tak właśnie, Najjaśniejszy Panie, nie ma najmniejszej wątpliwości; wezwali go więc, aby się usunął, na co odpowiedział, że sercem jest muszkietarem, oddanym całą duszą Jego Królewskiej Mości, i pozostanie z panami muszkietarami.

— Dzielny chłopiec! — mruknął król.

— I został, a Wasza Królewska Mość ma w nim tak walecznego stronnika... on to właśnie wpakował Jussacowi pchnięcie, które pana kardynała o tak straszny gniew przyprowadziło.

— To on ranil Jussaca? — wykrzyknął król. — On?... Ten dzieciak?... Ależ to nie do uwierzenia, de Tréville!...

— A jednak, tak jak miałem zaszczyt powiedzieć Waszej Królewskiej Mości.

— Jussaca, najdzielniejszego rębacza w królestwie?...

Odwaga, Rycerz, Król,
Walka, Poświęcenie,
Bohaterstwo

— Trafiła kosa na kamień, Najjaśniejszy Panie.
 — O! Chcę go poznać, de Tréville, chcę go widzieć i jeżeli da się coś zrobić dla niego, zajmiemy się nim zaraz.
 — Kiedy Wasza Królewska Mość raczy go przyjąć?
 — Jutro w południe.
 — Czy mam go samego przyprowadzić?
 — Nie, przyprowadź mi wszystkich czterech. Chcę im podziękować. Wierne serca są rzadkością, de Tréville, wierność należy nagradzać.
 — Najjaśniejszy Panie, w południe stawimy się w Luwrze.
 — O! Tylko, de Tréville, pamiętaj, bocznymi schodami, tak, bocznymi; nie trzeba, aby kardynał o tym wiedział.
 — Słucham, Najjaśniejszy Panie?
 — Pojmiesz, de Tréville; zakaz zakazem, bo koniec końców bicie się jest zabronione.
 — Ale, Najjaśniejszy Panie, spotkanie to przekracza wszelkie formy pojedynkowe, to bójka po prostu, napaść, boć¹⁴⁸ pięciu gwardzistów kardynalskich było przeciw trzem muszkietierom i panu d'Artagnanowi.

— Słusznie — odparł król — ale w każdym razie przyjdźcie bocznymi schodami.

De Tréville uśmiechnął się. Ponieważ jednak było wielką rzeczą to, co otrzymał od tego dziecka buntującego się przeciw swojemu panu, ukłonił się królowi z uszanowaniem i oddalił się za jego zezwoleniem.

Jeszcze tego wieczoru trzech muszkietierowie zostali zawiadomieni o zaszczytce, jakiego mieli dostąpić. A że jednak znali króla od dawna, niezbyt czuli się tym podnieceni, ale d'Artagnan, ze swoją wyobraźnią gaskońską, widział w tym swoje szczęście w przyszłości i całą noc roił sny złote. Nazajutrz też o ósmej z rana był już u Atosa. Zastał go w mundurze galowym, gotowego do wyjścia. Ponieważ ułożyli się wspólnie z Portosem i Aramisem, że pójdą na piłkę do pewnego domu gry tuż przy stajniach Pałacu Luksemburskiego, Atos zaprosił go do towarzystwa, a d'Artagnan, jakkolwiek nie znał zabawy tego rodzaju, przyjął zaproszenie, nie wiedząc, co robić z czasem od dziewiątej rano aż do południa. Dwaj muszkietierowie byli już na miejscu i rzucali piłką do siebie. Atos, biegły we wszystkich ćwiczeniach ciała, stanął z d'Artagnanem po przeciwnej stronie, wyzywając ich do gry. Lecz za pierwszym rzutem, jakkolwiek dokonany lewą ręką, poczuł, że na podobne ćwiczenia jego rana była jeszcze za świeża.

D'Artagnan pozostał sam, ponieważ jednak oznajmił, że za mało zna się na zasadach gry, poprzestano więc na rzucaniu piłką, nie licząc punktów. Piłka, wyrzucona herkulesową ręką Portosa, przemknęła tuż koło twarzy d'Artagnana tak, że gdyby zamiast pójść bokiem trafiła w niego, audyencja, pomyślał sobie, prawdopodobnie byłaby dziś stracona, bo z guzem nie mógłby przecież pokazać się królowi. Skoro zaś w jego wyobraźni gaskońskiej cała przyszłość zależała od posłuchania, ukłonił się grzecznie Portosowi i Aramisowi, oznajmiając, że nie będzie grał, dopóki nie potrafi im dorównać, i odszedł, aby zająć miejsce wśród widzów.

Na nieszczęście między widzami znajdował się pewien gwardzista Jego Eminencji, który, wzburzony jeszcze wczorajszą porażką swoich towarzyszy, przyrzekł sobie czeplić się pierwszej sposobności do pomszczenia kolegów. Sądząc, że nadeszła stosowna chwila, zwrócił się do sąsiada, mówiąc:

— Nic dziwnego, że ten młodzik przeląkł się piłki, pewno to czeladnik muszkieterski.

D'Artagnan drgnął jak ukąszony przez żmiję i przeszył wzrokiem gwardzistę, który się wyrwał z tym grubiaństwem.

— O! — ciągnął tenże dalej, zawadiacko pokręcając wąsami. — Patrz na mnie, ile ci się podoba, mój paniczku, a ja co powiedziałem, to powiedziałem.

— A ponieważ to, co powiedziałeś, jest jasne aż nadto i nie potrzebuje objaśnień — odparł d'Artagnan znizonym głosem — będę pana prosił, abys poszedł ze mną.

— Kiedy? — zapytał gwardzista tym samym drwiącym tonem.

— Natychmiast, jeśli łaska.

— Wiesz pan pewno, kim jestem?

— Wcale nie wiem i nie obchodzi mnie to bynajmniej.

¹⁴⁸boć (daw.) — bo. [przypis edytorski]

— Źle robisz, bo gdybyś znał moje imię, nie śpieszyłbyś tak może.

— Więc jak się pan nazywasz?

— Bernajoux, do usług.

— A zatem, panie Bernajoux — spokojnie rzekł d'Artagnan — czekam na ciebie przy bramie.

— Idź pan, przyjdę za tobą.

— O! Nie śpiesz się pan zbyt, aby nas razem wychodzących nie dostrzeżono; pojmujesz, iż przeszkadzaliby nam widzowie.

— Dobrze — odrzekł gwardzista zdziwiony, że swoim nazwiskiem nie sprawił na młodzieńcu większego wrażenia.

Rzeczywiście, Bernajoux był znany wszystkim, z wyjątkiem d'Artagnana. Był on jednym z tych, co brali udział w codziennych bójkach, które nie przestawały się odbywać pomimo zakazów króla i kardynała.

Portos i Aramis byli tak zajęci grą, a Atos przypatrywał się im z taką uwagą, że nie spostrzegli wyjścia młodego towarzysza, który jak zapowiedział gwardziście, czekał na niego w bramie, gdzie i ten wkrótce się zjawił. Nie mając czasu do stracenia, w związku z audiencją u króla wyznaczoną na godzinę dwunastą, d'Artagnan rozejrzał się dokoła, a widząc, że ulica jest pusta, rzekł:

— Na honor, twoje wielkie szczęście, choć nazywasz się Bernajoux, że masz do czynienia tylko z czeladnikiem muszkieterskim. Bądź jednak spokojny, postaram się, jak umiem najlepiej. Baczność!

Bernajoux nie dał sobie dwa razy powtórzyć podobnej grzeczności, w mgnieniu oka spada błysnęła mu w dłoni i rzucił się na przeciwnika, tusząc¹⁴⁹ sobie, że młokosa onieśmieli od razu.

Lecz d'Artagnan odbył szkołę w przeddzień, więc świeżo ośmielony zwycięstwem, dumny ze swego przyszłego, zdecydowany był nie ustąpić na krok. Spoily się więc dwa ostrza aż po rękojeść, a że d'Artagnan trzymał się jak wrosły w miejscu, jego przeciwnik zatem musiał uskoczyć w tył. D'Artagnan w lot uchwycił sposobność, bo gdy skutkiem tego ruchu spada Bernajoux zesza z linii, trzepnął w nią z boku i złożywszy się, ugodził przeciwnika w ramię. Niezwłocznie potem zrobiwszy krok w tył, d'Artagnan wznosił szpadę do góry, lecz Bernajoux krzyknął, że to tylko fraszka¹⁵⁰, i na oślep rzucając się na d'Artagnana, sam się natknął na jego szpadę. Ponieważ jednak trzymał się na nogach i nie uznał się za zwyciężonego, cofał się tylko ku pałacowi pana de la Trémouille, u którego jego krewniak był w służbie; d'Artagnan przeto sam nie mógł wiedzieć, jak mocno go zranił, nacierał nań ostro i dobyłby był przeciwnika za trzecim pchnięciem, gdyby wzmagająca się na ulicy wrzawa nie była doszła do sali gry. Dwaj przyjaciele gwardzisty słyszeli jego sprzeczkę z d'Artagnanem, a ponieważ widzieli ich obydwóch wychodzących, domyślili się, co zaszło, i nadbiegłszy z dobytą bronią, wpadli na zwycięzcę.

Atos, Portos i Aramis także prawie jednocześnie się tam znaleźli i w chwili gdy dwaj gwardziści rzucali się na młodzieńca, zostali przez nich zmuszeni do zmiany frontu.

Wtedy Bernajoux upadł. A ponieważ gwardziści byli w mniejszej liczbie, poczęli wołać w stronę pałacu de la Trémouille. Wszystko, co żyło w pałacu, wyległo na ten krzyk, waląc się hurmem¹⁵¹ na czterech towarzyszy, którzy ze swej strony wołali:

— Do nas, muszkietery!

Podobne krzyki nierzadko dawały się słyszeć. Znano muszkietarów jako nieprzyjaciół Eminencji i za nienawiść, jaką żywili dla kardynała, kochano ich powszechnie. Dlatego straż z innych oddziałów, nienależących do Czerwonego Księcia, jak go mianował Aramis, była w ogólności po stronie muszkietarów króla. Z trzech też żołnierzy z oddziału pana des Essarts, którzy przechodzili tamtędy, dwóch nadbiegło na pomoc walczącym, gdy trzeci popędził w stronę pałacu pana de Tréville, krzycząc:

— Do nas, muszkietery, do nas!

Jak zwykle, dom pana de Tréville był pełen żołnierzy, którzy nadbiegli na ratunek kolegom. Zamieszanie stało się ogólne, a przeważająca siła była po stronie muszkietarów. Gwardziści kardynała i ludzie pana de la Trémouille schronili się więc do pałacu,

¹⁴⁹tuszyć (daw.) — spodziewać się czegoś. [przypis edytorski]

¹⁵⁰fraszka (daw.) — błahostka, drobnostka, drobiazg. [przypis edytorski]

¹⁵¹hurmem — tłumnie. [przypis edytorski]

pozamykawszy za sobą bramy w sam czas, by przeszkodzić nieprzyjacielowi wtargnąć tam jednocześnie z nimi. Od razu zaś przeniesiony tam został ranny Bernajoux, i to w stanie bardzo niebezpiecznym.

Wzburzenie pomiędzy muszkietierami i ich sprzymierzeńcami doszło do najwyższego stopnia, naradzano się już pomiędzy sobą, czyby dla ukarania zuchwalstwa domowników pana de la Trémouille, którzy rzucili się na muszkietierów królewskich, nie podłożyć ognia pod jego pałac. Myśl ta została podjęta z zapalem, gdy na szczęście wybiła godzina jedenasta, przypominając d'Artagnanowi i jego towarzyszom o posłuchaniu u króla, a ponieważ przykro by im było, gdyby tak piękny czyn odbył się bez ich współdziałania, namówili wszystkich do zaniechania zemsty.

Poprzestano też na rzuceniu kilku kamieni w bramy pałacu, bez skutku jednak — bramy nie ustąpiły. Pierwszy impet opuścił już atakujących, tym bardziej że ci, których mieli za swoich przywódców, odłączyli się od oblegających, podążając w stronę pałacu pana de Tréville, który, powiadomiony o awanturze, już na nich oczekiwał.

— Prędko, co tchu, do Luwru!... — zawołał. — Do Luwru!... Ani chwili nie tracić. Postarajmy się z królem zobaczyć, zanim uprzedzi nas kardynał; opowiemy zdarzenie to królowi jako dalszy ciąg sprawy wczorajszej i razem się to połączy.

Pan de Tréville z czterema młodzieńcami wyruszyli więc do Luwru, lecz jakież było zdziwienie kapitana muszkietierów, gdy oznajmiono, że król wyjechał do lasku Saint-Germain, aby polować na jelenie. Po dwakroć kazał sobie powtórzyć tę wiadomość i za każdym razem jego towarzysze widzieli, jak mu się twarz zachmurzała.

— Czy Jego Królewska Mość już wczoraj miał zamiar być na polowaniu?

— Nie, Ekscelencjo — odrzekł pokojowiec — lecz główny nadzorca sfor¹⁵² królewskich oznajmił mu rano, iż dzisiejszej nocy odkryto legowisko jelenia. Zrazu odpowiedział, że nie pojedzie, później nie mógł się oprzeć przyjemności, jaką obiecywało polowanie, i zjadłszy obiad, pojechał.

— A czy widział się król z kardynałem?

— Prawdopodobnie — odparł pokojowiec — bo rano zauważyłem zaprzężoną karetę Jego Eminencji i mówiono mi, że jedzie do Saint-Germain.

— Uprzedzono nas... — rzekł pan de Tréville. — Panowie, ja będę dziś u króla wieczorem, ale wam nie radzę tego próbować.

Przestroga była rozumna, nade wszystko, że pochodziła od człowieka aż nadto dobrze znającego króla, więc czterej młodzieńcy mogli jej zawierzyć. Pan de Tréville polecił im wrócić do siebie i oczekiwać od niego wiadomości, a sam, powróciwszy do domu, wpadł na myśl, że należałoby jemu pierwszemu zanieść skargę. Wysłał jednego z domowników z listem do pana de la Trémouille, w którym prosił go o wydalenie swych ludzi za zuchwalstwo, jakiego się dopuścili względem muszkietierów. Lecz pan de la Trémouille, uprzedzony już przez koniuszego, który był krewnym Bernajoux, kazał mu odpowiedzieć, że ani panu de Tréville, ani muszkietierom nie należy się skarżyć, ale przeciwnie jemu, na którego ludzi napadli muszkietierowie, a jego pałac chcieli puścić z dymem. Ponieważ rokowania pomiędzy dwoma panami przewlec by się mogły za długo, gdyż każdy obstawał przy swoim zdaniu, pan de Tréville wymyślił inny sposób załatwienia sprawy. Postanowił sam się udać do pana de la Trémouille.

Pojechał więc natychmiast i kazał się oznajmić.

Dwaj dostojnicy powitali się grzecznie, bo choć nie byli przyjaciółmi, szanowali się wzajemnie. Obydwaj byli ludźmi znacnymi i honorowymi; a że pan de la Trémouille jako protestant i nieczęsto widujący króla nie należał do żadnego stronnictwa, nie powodował się też w stosunkach towarzyskich w ogólności żadnymi uprzedzeniami. Tym razem jednak przyjęcie, jakkolwiek grzeczne, było chłodniejsze niż zwykle.

— Panie — rzekł de Tréville — obaj sądzimy, że mamy sobie coś do wyrzucenia, sam więc przychodzę, abyśmy wspólnie wyświełili tę sprawę.

— Jak najchętniej — odpowiedział pan de la Trémouille — ale uprzedzam pana, iż dobrze jestem powiadomiony, a cała wina spada na pańskich muszkietierów.

— Zanadto sprawiedliwym jesteś pan człowiekiem i zanadto rozumnym — rzekł pan de Tréville — abyś nie przyjął propozycji, jaką mam mu uczynić.

¹⁵²sfora — psy myśliwskie. [przypis edytorski]

— Mów pan, słucham.
— Jak się miewa pan Bernajoux, krewny koniuszego pańskiego?
— Ależ, panie, źle bardzo. Prócz pchnięcia rapierem w ramię, niezbyt zresztą groźnego, ma jeszcze płuca przebite tak, że doktor bardzo na to kręci głową.
— Czy ranny zachował przytomność?
— Najzupełniej.
— I mówi?
— Z trudnością, jednakże mówi.
— Chodźmy zatem do niego i zaklinjmy go na Boga, przed którego sądem niedługo może stanąć, aby wyznał prawdę. Gotów jestem wziąć go na sędziego we własnej jego sprawie, a w to, co powie, uwierzę święcie.

Pan de la Trémouille zastanowił się chwilę. Później, skoro nie było rozumniejszej propozycji niż ta, zgodził się na nią.

Zeszli obydwaj do pokoju, gdzie leżał ranny. Ten, skoro ujrzał dwóch wielkich panów przychodzących do niego, usiłował podnieść się na łóżku, lecz słaby, wyczerpany wysiłkiem, opadł na posłanie prawie nieprzytomny.

Pan de la Trémouille podszedł do niego i dał mu powąchać soli, które go otrzeźwiły. Wtedy pan de Tréville, nie chcąc, aby go posądzano, że chce wpływać na chorego, prosił pana de la Trémouille, aby sam go wybadał.

Stało się tak, jak pan de Tréville przewidział. Zawieszony pomiędzy życiem i śmiercią, Bernajoux ani na chwilę nie myślał zataić prawdy i opowiedział dokładnie wszystko, jak się odbyło.

Niczego też więcej nie mógł pan de Tréville żądać; życząc zatem Bernajoux prędkiego wyzdrowienia, pożegnał pana de la Trémouille, powrócił do domu i dał znać czterem przyjaciółkom, że czeka na nich z obiadem.

Pan de Tréville przyjmował u siebie towarzystwo wyborowe, przede wszystkim przeciwdyńskie. Łatwo więc pojąć, iż w ciągu całego obiadu rozmowa toczyła się o porażkach gwardzystów Jego Eminencji. Nadto, ponieważ bohaterem ostatnich dwóch dni był d'Artagnan, wszystkie więc pochwały spadły na niego. Atos, Portos i Aramis pozostawili mu używanie ich w pełni, nie tylko jako dobrzy koledzy, lecz jako ludzie, dla których pochwały nie były rzadkością.

Około szóstej pan de Tréville oznajmił, iż nadszedł czas udać się do Luwru. Ponieważ wszakże minęła już godzina oznaczona na posłuchanie przez Najjaśniejszego Pana, zamiast więc wejść bocznymi schodami, podążył wraz z czterema młodymi ludźmi przez przedpokój.

Król nie powrócił jeszcze z polowania. Gdy już pół godziny czekali pośród tłumnie zebranych dworzan, wszystkie drzwi rozwarły się nareszcie i oznajmiono Jego Królewską Mość. Dreszcz do szpiku przejął d'Artagnana. Zbliżała się chwila mająca stanowić o jego życiu. Przerażone spojrzenie utkwiał w drzwiach, w których król miał się ukazać.

Pierwszy wszedł Ludwik XIII w stroju myśliwskim, pokryty pyłem; na nogach miał długie buty, a w ręce trzymał harapnik¹⁵³. D'Artagnan poznał na pierwszy rzut oka, że w umyśle królewskim zanosilo się na burzę.

Jakkolwiek usposobienie to jawne było u Jego Królewskiej Mości, nie przeszkodziło dworakom ustawić się w rząd przy jego przejściu. W przedpokojach królewskich lepiej jest być widzianym bodaj zagniewanym wzrokiem niż nie być widzianym wcale.

Trzej muszkietierowie bez wahania wystąpili naprzód, przeciwnie d'Artagnan — pozostał za nimi ukryty. Król, chociaż osobiście znał Atosa, Portosa i Aramisa, przeszedł, nie patrząc na nich, nie odzywając się, jakby ich nie znał i nie widział nigdy. De Tréville zaś, gdy oczy królewskie spoczęły na nim przez chwilę, spojrzenie ich tak śmiało wytrzymał, że zmusił króla do odwrócenia się od niego; po czym Jego Królewska Mość, mrużąc gniewnie, wszedł do swoich apartamentów.

— Kiepska sprawa — rzekł Atos z uśmiechem — tym razem nie zrobią nas jeszcze kawalerami orderu¹⁵⁴.

¹⁵³harapnik (przestarz.) — harap, bicz z krótką rękojeścią i długim plecionym rzemieniem. [przypis edytorski]

¹⁵⁴kawaler orderu — tytuł członków zakonów rycerskich oraz odznaczonych orderem. [przypis edytorski]

— Poczekajcie tu dziesięć minut — rzekł pan de Tréville. — Jeśli po upływie tego czasu nie ujrzycie mnie z powrotem, wracajcie do mego pałacu, bowiem na próżno czekalibyście na mnie.

Czekali więc dziesięć minut, kwadrans, dwadzieścia minut, a widząc, że pan de Tréville nie pokazuje się, wyszli zaniepokojeni mocno tym, co mogło wyniknąć.

Pan de Tréville śmiało wszedł do gabinetu króla i zastał go w bardzo złym humorze, siedzącego w fotelu i bijącego się po butach rękąjeścią harapa. Nie przeszkodziło mu to wszakże z największą flegmą¹⁵⁵ zapytać o zdrowie Jego Królewskiej Mości.

— Nietęgę, mój panie, nietęgę — odrzekł król — nudzę się!

Była to w rzeczywistości najgorsza choroba Ludwika XIII, który często brał swoich dworzan i prowadził do okna, mówiąc: „Panie taki a taki, ponudźmy się razem”.

— Jak to! Nudzi się Wasza Królewska Mość? Czyż Najjaśniejszy Pan nie używał dziś przyjemności polowania?

— Piękna mi przyjemność! Wszystko wyradza¹⁵⁶ się, mój panie, i nie wiem, na honor, czy to zwierzyzna tropu nie zostawia, czy psy już węchu nie mają. Szczujemy rogacza o dziesięciu gałęziach, sześć godzin upędzamy się za nim i kiedy go już mamy nieledwie, a Saint-Simon przytyka róg do ust, by pojednego¹⁵⁷ zatrzeć, trach! cała sfera leci w inną stronę i puszcza się za dwulatkiem. Zobaczysz, iż zmuszony będę wyrzec się polowania z psami, jak wyrzekłem się polowania z sokołami. O! Jestem nieszczęśliwym królem, panie de Tréville! Jednego tylko sokoła miałem, i ten zdechl mi przedwczoraj.

— Pojmuję tę rozpacz, Najjaśniejszy Panie, wielkie to nieszczęście, lecz o ile mi się zdaje, pozostało jeszcze sporo jastrzębi i kobuzów¹⁵⁸.

— A żywej duszy nie ma, aby ich uczyła. Brak już sokolników¹⁵⁹, pozostałem tylko ja jeden znający tę sztukę. Jak mnie nie stanie¹⁶⁰, już będzie po wszystkim, polować będą za pomocą siatek i dołów. Gdybym miał czas wykształcić uczniów! A tak!... Od czegoż pan kardynał, który mi obecnie ani chwili spoczynku nie pozostawia i prawi mi o Hiszpanii, o Austrii, o Anglii! Ale, ale! Co do pana kardynała, panie de Tréville, jestem z ciebie niezadowolony!

Pan de Tréville oczekiwał tego zwrotu. Znał on króla na wylot; zrozumiał, że wszystkie te skargi były tylko przedmową, rodzajem bodźca dla dodania sobie odwagi i że skończy on na tym, na czym chciał zakończyć.

— Czymże miałbym nieszczęście nie zadowolić Waszej Królewskiej Mości? — zapytał de Tréville, udając najgłębsze zdziwienie.

— Tak to, mój panie, spełniasz swój obowiązek? — ciągnął dalej król, nie odpowiadając na zapytanie pana de Tréville. — Na toż mianowałem cię kapitanem muszkietarów, aby mordowali oni człowieka, podburzali dzielnicę i chcieli spalić Paryż? Spodziewam się, iż wicherzyciele siedzą już w więzieniu i przychodzisz oznajmić mi, że sprawiedliwość została wymierzona.

— Najjaśniejszy Panie — spokojnie odpowiedział de Tréville — przeciwnie, przychodzę domagać się jej od ciebie.

— A przeciw komu? — wykrzyknął król.

— Przeciw potwarcom¹⁶¹.

— A! To coś nowego!... — odezwał się król. — Może mi powiesz, że trzech tych potępieńców, muszkietarów twoich — Atos, Portos i Aramis — wraz z owym bearneskim młokosem, nie napadło jak wściekli na biednego Bernajoux i nie sponiewierało go tak, że prawdopodobnie kona już w tej chwili? Powiesz mi może, że nie obiegli następnie pałacu księcia de la Trémouille i nie chcieli go spalić, co nie byłoby wielkim nieszczęściem w czasie wojny, boć to gniazdo hugenotów, lecz w czasie pokoju... przykład paskudny. Może zaprzeczysz temu wszystkiemu?

— Krótz to ułożył tę piękną bajkę, Najjaśniejszy Panie? — zapytał spokojnie de Tréville

Nuda

Polowanie

Król, Kapłan, Bóg

¹⁵⁵flegma — powolność i spokojność charakteru, zimna krew. [przypis edytorski]

¹⁵⁶wyradzać się — zdegenerować się. [przypis edytorski]

¹⁵⁷pojedyny — grana na trąbkach melodia oznaczająca koniec polowania. [przypis edytorski]

¹⁵⁸kobuz — ptak drapieżny z rodziny sokołów. [przypis edytorski]

¹⁵⁹sokolnik — treser ptaków drapieżnych używanych do polowania na mniejsze zwierzęta. [przypis edytorski]

¹⁶⁰nie stawać (przestarz.) — brakować. [przypis edytorski]

¹⁶¹potwarca (daw.) — oszczerca. [przypis edytorski]

le.

— Kto mi ją opowiedział? A któż by, jeżeli nie ten, który czuwa, gdy ja zasypiam; pracuje, gdy ja się bawię; który wszystkim kieruje wewnątrz i zewnątrz w królestwie, we Francji, jako też i w Europie?

— Wasza Królewska Mość mówi o Bogu zapewne — rzekł de Tréville — gdyż znam tylko jednego Boga, który potęgą przewyższa władzę Waszej Królewskiej Mości.

— Nie panie, ja tu mówią o podporze państwa, o jedynym słudze moim, przyjacielu, o panu kardynale.

— Jego Eminencja nie jest przecież Jego Świątobliwością, Najjaśniejszy Panie.

— Co pan przez to rozumiesz?

— Że tylko papież jest nieomylny, a nieomylność nie rozciąga się na kardynałów.

— Chcesz przez to powiedzieć, że mnie oszukuje i zdradza? Oskarżasz go? Słuchaj, powiedz mi, wyznaj szczerze, że go oskarżasz.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ja tylko mówię, że on sam się myli. Mówię, że jest źle powiadomiony, że pilno mu było oskarżyć muszkietierów Waszej Królewskiej Mości, dla których jest bardzo niesprawiedliwy, i dlatego z nieczystych źródeł czerpał wiadomości.

— Oskarżenie wyszło od pana de la Trémouille, od niego samego. I cóż mi na to odpowiesz?

— To tylko mógłbym odpowiedzieć, Najjaśniejszy Panie, że nadto jest on zainteresowany w tej kwestii, aby być w niej bezstronnym świadkiem. Lecz daleki jestem od tego, znam go jako szlachcica prawego i najzupełniej zdaję się nań, lecz pod jednym warunkiem, Najjaśniejszy Panie.

— Pod jakim?

— Iż Wasza Królewska Mość wezwie go do siebie, sam wybada bez świadków, w cztery oczy, i że po odejściu księcia odwiedzę Was niezwłocznie, Najjaśniejszy Panie.

— Niech i tak będzie — odburknął król niechętnie. — I zgodzisz się na to, co powie pan de la Trémouille?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Zdajesz się na jego sąd?

— Najzupełniej.

— La Chesnaye! — zawołał król. — La Chesnaye!

Zaufany pokojowiec Ludwika XIII, zawsze stojący u drzwi, wszedł.

— La Chesnaye — rzekł doń król — posłać natychmiast po pana de la Trémouille. Dziś jeszcze mam z nim do pomówienia.

— Czy daje mi Wasza Królewska Mość słowo, iż z nikim nie będzie się widzieć pomiędzy bytnością moją a pana de la Trémouille?

— Z nikim, słowo szlacheckie.

— Zatem, Najjaśniejszy Panie, do jutra.

— Do widzenia, panie de Tréville.

— O której godzinie, jeżeli łaska Waszej Królewskiej Mości?

— O której ci się podoba.

— Przyjściem za wczesnym obawiam się obudzić Waszą Królewską Mość.

— Obudzić?... Mnie? Alboż ja kiedy śpię? Nie sypiam już teraz, mój panie; drzemię czasami i na tym koniec. Przyjdź więc, jak chcesz rano, choćby o siódmej; ale strzeż się, jeżeli muszkietierowie twoi zawinili!...

— Jeżeli są winni, Najjaśniejszy Panie, będą oddani w ręce Waszej Królewskiej Mości i postąpisz z nimi, jak uznasz za właściwe. Czy Wasza Królewska Mość ma jeszcze co mi rozkazać? Słucham i jestem gotów spełnić.

— Nie, panie, nie i nie bez racji nazwano mnie Ludwikiem Sprawiedliwym. Do jutra zatem, panie, do widzenia.

— Niechaj Bóg strzeże Waszą Królewską Mość.

Jakkolwiek nietęgo sypiał król, pan de Tréville jeszcze gorzej spał tej nocy. Wieczorem kazał zawiadomić trzech muszkietierów i ich towarzysza, aby stawili się u niego o wpół do siódmej z rana. Zabrał ich ze sobą, za nic nie rękując, nic nie obiecując i nie ukrywając wcale, że o łaskę królewską dla nich i dla niego kości zostały rzucone.

Przyszedłszy do schodów bocznych, kazał im się zatrzymać. W razie gdyby król trwał w gniewie na nich, odeszliby niewidziani; jeżeli zaś zgodzi się ich przyjąć, lepiej, że będą pod ręką.

Wszedłszy do prywatnego przedpokoju króla, pan de Tréville zobaczył La Chesnaye'a, który oznajmił mu, że wczoraj wieczorem nie zastano pana de la Trémouille w domu, a powrócił za późno, aby stawić się w Luwrze, więc przyszedł dopiero teraz i jest właśnie u króla. Okoliczność ta była bardzo na rękę panu de Tréville, upewniło go to bowiem, że żaden wpływ obcy nie wślizgnął się pomiędzy nim a zeznaniem pana de la Trémouille.

Upłynęło zaledwie dziesięć minut, drzwi od gabinetu królewskiego otworzyły się i wyszedł pan de la Trémouille, a zobaczywszy pana de Tréville, zbliżył się do niego i rzekł:

— Panie, Jego Królewska Mość posłał po mnie, aby wypytać, jak się rzeczy miały wczoraj rano w moim pałacu. Opowiedziałem mu prawdę, czyli że wina była po stronie moich ludzi i gotów jestem wytłumaczyć się panu. Ponieważ spotykam pana, zechciej proszę przyjąć moje oświadczenie i uważać mnie za jednego ze swoich niezmiennych przyjaciół.

— Mości książę — odpowiedział de Tréville — tak mocno ufalem w twoją prawosć, że nie chciałem innego obrońcy przed królem prócz ciebie samego. Widzę, że nie łudziłem się bynajmniej i dzięki ci za to, że jest jeszcze we Francji człowiek, o którym śmiało można powiedzieć to, co o panu mówię.

— Dobrze, dobrze — odezwał się wtem król, który słuchał tej grzecznej rozmowy, stojąc we drzwiach — powiedz mu tylko, de Tréville, ponieważ mieni się twoim przyjacielem, że i ja także chciałbym zaliczać się do jego przyjaciół, lecz on mnie zaniedbuje, blisko trzy lata go nie widziałem i widzę tylko wtedy, kiedy sam po niego posłę. Powiedz mu to ode mnie, bo są to rzeczy, których król sam nie powinien mówić.

— Dzięki, Najjaśniejszy Panie, dzięki — odpowiedział książę — lecz proszę wierzyć, nie mówię tu o panu de Tréville, proszę wierzyć, że nie ci, których Wasza Królewska Mość o każdej godzinie dnia widuje, najwięcej są mu oddani.

— A! Usłyszałeś, com powiedział, tym lepiej — podchwycił król, stając we drzwiach. — Jak się masz, de Tréville, gdzie są twoi muszkietierowie? Powiedziałem ci przedwczoraj, żebyś mi ich przyprowadził, czemużes tego nie uczynił?¹⁶²

— Są na dole, Najjaśniejszy Panie, i za twoim zezwoleniem La Chesnaye powie im, aby tu weszli.

— Dobrze, dobrze, niech przyjdą tu zaraz; niedaleko już ósma, a o dziewiątej czeka mnie wizyta. Idź już, mości książę, ale przede wszystkim powracaj. Chodź, de Tréville.

Książę skłonił się i wyszedł. W chwili kiedy otwierał drzwi, trzech muszkietierowie z d'Artagnanem ukazali się na schodach.

— Pójdźcie tu¹⁶³, zuchy, pójdźcie, muszę was wyłajać — odezwał się król.

Muszkietierowie zbliżyli się z ukłonami; za nimi postępował d'Artagnan.

— Cóż, u diabła — ciągnął dalej król — czterech was jest, a w przeciagu dwóch dni uczyniliście już siedmiu gwardzistów Jego Eminencji niezdolnymi do walki. To za wiele, panowie, za wiele. Gdyby tak poszło dalej, Jego Eminencja za trzy tygodnie byłby zmuszony starać się o nowe uzupełnienie swoich zastępów, a ja obostrzyć moje rozkazy. Nie mówię, gdyby tak jeden gwardzista przypadkiem, ale siedmiu w przeciagu dwóch dni to za wiele, powtarzam, za wiele.

— Oni też, Najjaśniejszy Panie, przychodzą, pełni smutku i żalu, usprawiedliwić się przed Waszą Królewską Mością.

— Pełni smutku i żalu! Hm! — odezwał się król. — Wcale ja nie wierzę tym obłudnikom, a nade wszystko temu obliczu gaskońskiemu. Chodź no tu, mój panie.

D'Artagnan zrozumiał, że to się do niego stosuje, i podszedł, przybierając najrozpaczliwszą minę, jaką można.

— Cóżes mi mówił, że to młodzieniec? To dzieciak, de Tréville, istny dzieciak! I to on tak pokiereszował Jussaca?

— I po dwakroć tak pięknie naszpikował Bernajoux.

¹⁶²czemużes tego nie uczynił — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że; znaczenie: czemu tego nie uczyniłeś? [przypis edytorski]

¹⁶³pójdźcie tu — w znaczeniu: podejdźcie tu. [przypis edytorski]

— Doprawdy!

— Nie licząc już tego — wtrącił Atos — że gdyby nie był mnie wyrwał z rąk Bicarata, z pewnością nie miałbym w tej chwili zaszczytu, by złożyć najuniżeńszy pokłon Waszej Królewskiej Mości.

— Ależ to szatan wcielony z tego Bearneńczyka! Do stu par kaduków, panie de Tréville, jak by to powiedział król, mój ojciec. Przy takim rzemiośle musi się siłę kaftanów dziurawić i siłę rapierów łamać. A wiadomo, iż Gaskończycy zawsze są goli, nieprawdaż?

— Najjaśniejszy Panie, muszę to powiedzieć, że nie odkryto jeszcze kopalni złota w ich górach, jakkolwiek cud ten należałby im się od Stwórcy, w nagrodę za mężne popieranie sprawy ojca Waszej Królewskiej Mości.

— To znaczy, że Gaskończycy i mnie królem zrobili, nieprawdaż, de Tréville, skoro jestem synem swojego ojca? Ha! Niech i tak będzie, nie przeczę. La Chesnaye, idź no zobacz, czy przetrząsnąwszy wszystkie moje kieszenie, znajdziesz czterdzieści pistoli. A jeżeli je znajdziesz, to mi je przynieś. A teraz słuchaj, młodzieńcze, tak z ręką na sercu, jakże to było?

D'Artagnan opowiedział wypadki poprzedniego dnia ze wszelkimi szczegółami: jak nie mogąc zasnąć z radości na myśl oglądania Jego Królewskiej Mości, przyszedł do swoich przyjaciół na trzy godziny przed posłuchaniem; jak udali się razem do domu gry i jak dlatego, że obawiał się uderzenia piłką w twarz, został wyszydzony przez Bernajoux, i wreszcie, jak tych swoich drwinek o mało co życiem nie przyplacił, a pan de la Trémouille, który niczym nie zawinił, o mało co nie postradał pałacu.

— To dobrze — mruknął król — tak, i książę opowiadał to samo. Biedny kardynał! Siedmiu ludzi w przeciągu dwóch dni, i to najdroższych swoich, ale dosyć już tego. Pano-
wie, słyszycie! Dosyć. Zapłaciliście sobie za ulicę Férou i powinniście już być zadowoleni.

— Jeśli Wasza Królewska Mość jest zadowolona — rzekł de Tréville — to i my także.

— Tak, jestem zadowolony — rzekł król, biorąc garść złota z ręki La Chesnaye'a i kładąc je do ręki d'Artagnana. — A oto — rzekł — dowód mojego zadowolenia.

W owych czasach pojęcia godności, dziś tak rozpowszechnione, nie były jeszcze w modzie. Szlachcic brał pieniądze królewskie, bynajmniej nie czując się upokorzony. D'Artagnan więc bez żadnych ceregieli schował pieniądze do kieszeni, rozwodząc się w podziękowaniach dla Jego Królewskiej Mości.

— No — rzekł król, spoglądając na zegar — a teraz, kiedy jest już wpół do dziewiątej, oddalcie się, bo, jak wam mówiłem, oczekuję kogoś o dziewiątej. Dziękuję za wasze przywiązanie, panowie. Wszak mogę na nie liczyć, nieprawdaż?

— O! Najjaśniejszy Panie — wykrzyknęli jednym głosem trzej towarzysze — na ćwierci porąbać się damy dla Waszej Królewskiej Mości.

— Dobrze, dobrze, pozostaniecie jednak cali, to lepiej, bo będziecie mi użyteczni. De Tréville — dodał król półgłosem, kiedy tamci czterej oddalili się — skoro nie masz miejsca w muszkietkach, a zresztą postanowiliśmy, że dla wejścia do tego zgromadzenia trzeba odbyć nowicjat, umieść tego młodzieńca w kompanii pana des Essarts, twojego szwagra. A! Do licha! De Tréville, jak ja się cieszę na myśl o krzywej minie kardynała; będzie wściekły, ale wszystko mi jedno, jestem w swoim prawie.

I pożegnał skinieniem ręki pana de Tréville, który dopędził swoich muszkietarów i zastał ich dzielących się z d'Artagnanem czterdziestoma pistolami. A kardynał, jak powiedział król, rzeczywiście był wściekły, tak wściekły, że przez cały tydzień nie był na szachach u króla, co temu ostatniemu nie przeszkadzało najuprzejmiej uśmiechać się do niego i przy każdym spotkaniu najpieszczotliwszym głosem zapytywać:

— I cóż, panie kardynale, jak się miewają ten twój biedak Bernajoux i ten nieszczęśliwy Jussac?

ROZDZIAŁ VII. MUSZKIETEROWIE U SIEBIE

Wyszędlszy z Luwru, D'Artagnan zasięgnął rady przyjaciół, jaki użytek powinien by zrobić z pozostałej dla niego części czterdziestu pistoli. Atos radził mu, aby wyprawił ucztę w gospodzie „Pomme de Pin”¹⁶⁴; Portos, aby przyjął lokaja; Aramis zaś, aby postarał się o milutką kochankę.

¹⁶⁴pomme de pin (fr.) — szyszka. [przypis edytorski]

Jeszcze tegoż dnia odbyła się uczta, a lokaj już usługiwał do stołu. Potrawy dysponował Atos, Portos nastręczył lokaja. Był nim Pikardyjczyk¹⁶⁵ najęty na poczekaniu przez pełnego próżności muszkietera, który zdybał¹⁶⁶ go na moście de la Tournelle, gdy zabawił się robieniem kółek na wodzie, plując na jej powierzchnię. Portos utrzymywał, że takie zajęcie dowodzi umysłu zastanawiającego się, rozważnego i sprowadził go bez żadnej innej rekomendacji. Wspaniała postać szlachcica, który, jak się zdawało lokajowi, przyjął go dla siebie, mocno zachęciła Plancheta — tak się nazywał Pikardyjczyk — wszakże doznał lekkiego rozczarowania, gdy ujrzał, że miejsce przy szlachcicu było już zajęte przez innego sługusa, nazwiskiem Mousqueton, i gdy Portos dał mu do zrozumienia, że jakkolwiek swój dom prowadzi na wielką skalę, nie potrzebuje dla siebie dwóch służących, a dla niego jest służba u d'Artagnana, rad nierad tę służbę jednak przyjął. Wszelako, gdy usługiwał przy obiedzie, który wydawał jego pan, i zobaczył, jak ten przy płaceniu sypie złotem z kieszeni, uwierzył, że ma już los zapewniony i dziękował niebu, że dostał się do takiego krezusa¹⁶⁷; w tym przekonaniu trwał aż do końca uczty, której resztkami wynagrodził sobie długą i przymusową wstrzemięźliwość. Gdy jednak wieczorem przyszło mu posłać łóżko dla swego pana, pierchły złudzenia Plancheta. Jedynym sprzętem w mieszkaniu było łóżko, apartament zaś składał się z pokoju sypialnego i przedpokoju. W tym ostatnim Planchet położył się na kółdrze wyciągniętej z łóżka d'Artagnana, bez której jego biedny pan musiał się odtąd obchodzić.

Co do Atosa, miał on pacholka, którego sam wykształcił do usług w sposób sobie właściwy, a zwał się on Grimaud.

Atos był zwykle milczący. Żył w najściślejszej przyjaźni ze swymi kolegami, Portosem i Aramisem, a od blisko sześciu lat widzieli często uśmiech na jego ustach, lecz śmiechu nie słyszeli nigdy. Jego mowa była zwięzła i jasna, wyrażająca tylko to, co chciał powiedzieć, ale nigdy więcej, bez żadnych ubarwień, omówień ani przenośni.

Chociaż miał zaledwie trzydzieści lat i był piękny umysłem i ciałem, nikt nigdy nie słyszał, aby miał kiedykolwiek kochankę. O kobietach nie mówił nigdy. Nie przeszkadzał gawędom o nich w swej obecności, jednak łatwo było spostrzec, że ten rodzaj rozmowy wcale mu się nie podoba i jeżeli wtrącił słówko, to pełne goryczy i zniechęcenia. Ta skrytość, dzikość i milczenie czyniły go nieledwie starcem. Ażeby też nie uchybić swoim zwyczajom, nauczył Grimauda spełniać rozkazy za jego najmniejszym gestem lub poruszeniem ust. Mówił do niego, lecz tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Grimaud, który bał się pana jak ognia, pomimo szczerego przywiązania do jego osoby i czi, nieraz sądząc, że jak najlepiej rozumie jego życzenia, pędził za rozkazem, spełniając go wprost przeciwnie. Wtedy Atos wzruszał ramionami i bez gniewu brał się do ćwiczenia Grimauda. W tych razach język mu się trochę rozwiązywał.

Portos, jak można było zauważyć, miał usposobienie zupełnie odmienne i nie tylko mówił dużo, ale i głośno, a oddajmy mu tę sprawiedliwość, że nie obchodziło go wcale, czy go ktoś słucha, czy nie. Paplanie sprawiało mu samo przez się przyjemność i z upodobaniem sam siebie słuchał. Rozprawiał o wszystkim z wyjątkiem nauk, objawiając do nich zaszczepioną od dzieciństwa, jak mówił, nienawiść, którą żywił także i do uczonych. Jego powierzchowność nie dorównywała w dystynkcji Atosowi i w początkach znajomości poczucie własnej niższości często czyniło go niesprawiedliwym względem tego szlachcica, którego następnie usiłował przewyższyć świetnością ubioru. Lecz Atos, w prostym kaftanie muszkieterskim, z odrzuconą w tył głową i nogą wyciągniętą naprzód, w jednej chwili zabierał przynależne mu miejsce, usuwając na drugi plan nadętego Portosa. Pocięsział się on jednak, napełniając przedpokój pana de Tréville i koszary Luwru rozgłosem swoich miłosnych awantur, o jakich Atos nie mówił nigdy. Teraz Portos, przerzuciwszy się od mieszczanki do baronowej, już chwalił się cudzoziemską księżną, która mu jakoby okazywała bezgraniczne względy.

Stare przysłowie mówi: jaki pan, taki sluga. Przejdźmy więc od pacholka Atosa do lokaja Portosa, od Grimauda do Mousquetona.

Pan, Sluga

¹⁶⁵Pikardyjczyk — mieszkaniec Pikardii: krainy historycznej położonej w północnej części Francji, nad kanałem La Manche. [przypis edytorski]

¹⁶⁶zdybać — przyłapać lub spotkać kogoś. [przypis edytorski]

¹⁶⁷krezus — bogacz. [przypis edytorski]

Był to Normandczyk¹⁶⁸, który przez swego pana został przechrzczony z Bonifacego na Mousquetona, dla lepiej brzmiącego imienia. Przyjął on służbę u Portosa z warunkiem, że dostanie tylko mieszkanie i będzie wspaniale ubierany, zaś dla siebie żądał wyłącznie dwóch godzin dziennie, które poświęcał tajemniczemu przemysłowi mającemu służyć na jego inne potrzeby. Portos przyjął warunek, jako nader dogodny dla siebie. Kazał mu sporządzić nowe ubranie ze swoich starych kaftanów i nicowanych¹⁶⁹ płaszczy, a dzięki sprytnemu krawcowi, który z tych łachmanów robił nowe rzeczy i miał żonę, dla której podobno Portos pozbywał się arystokratycznych nawyków, Mousqueton przy boku swego pana wyglądał wcale¹⁷⁰ pokaźnie.

Co do Aramis, którego charakter przedstawiliśmy dostatecznie, a z biegiem wypadków poznamy go, jak i jego kolegów, jeszcze lepiej, służący jego zwał się Bazin. Dzięki nadziei, z jaką pan jego nie rozstawał się nigdy, iż zostanie księdzem, nosił się zawsze czarno, jak przystało na domownika osoby duchownej. Był to Berryjczyk¹⁷¹ trzydziestopięcioletni, łagodny, cichy, tłusciutki, spędzający wolne chwile na czytaniu ksiąg świętych, dostarczanych mu przez pana, i sumiennie zjadający dwa obiady zamiast jednego, składające się z niewielu, lecz obfitych potraw. Zresztą na wszystko ślepy, głuchy i wierności wypróbowanej.

Gdyśmy poznali, powierzchownie przynajmniej, panów i sługi, przejdźmy do mieszkań przez nich zajmowanych.

Atos mieszkał przy ulicy Férou w pobliżu Luksemburga. Jego apartament składał się z dwóch schludnie urządzonych pokoiów w umeblowanym domu, którego właścicielka, jeszcze dość młoda i piękna, nadaremnie robiła słodkie oczy do lokatora. Kilka zabytków świetnej przeszłości świeciło na ścianach tego skromnego mieszkanca; szpada, na przykład, złotem i srebrem bogato nabijana, kształtem sięgająca epoki Franciszka I, a sama rękojeść, wysadzana bogato perłami i drogimi kamieniami, mogła mieć wartość co najmniej dwustu pistoli, jednakże Atos nigdy nie chciał zastawić ani sprzedać tej broni, nawet w najkrytyczniejszych chwilach życia.

Na szpadę tę Portos przez długi czas lękał ślinkę, marzył o posiadaniu jej, choćby kosztem dziesięciu lat życia.

Pewnego razu, gdy miał schadzkę z jakąś księżną, zaproponował Atosowi, aby mu ją pożyczył. Ten, nie mówiąc nic, wypróżnił swe kieszenie, zebrał wszystkie kosztowności, woreczki, spinki i złote łańcuszki i ofiarował Portosowi; ale szpada, rzekł, przymocowana jest do miejsca i ruszona z niego nie będzie, dopóki jej pan nie opuści tego mieszkania. Prócz szpady był tam jeszcze wizerunek przedstawiający wielkiego pana z czasów Henryka III, wytwornie ubranego, z Orderem Świętego Ducha¹⁷² na piersiach. Wizerunek ten miał z Atosem pewne podobieństwo rysów, podobieństwo rodzinne, które zdradzało, że ten wielki pan, kawaler orderu króla, był jego przodkiem.

Na koniec skrzyneczka przepysznej roboty jubilerskiej, z tymi samymi herbami co szpada i portret, zdobiła środek gzymsu kominka, stanowiąc rażący kontrast z innymi ozdobami. Atos nie rozstawał się z kluczykiem od niej. Pewnego razu otworzył ją w obecności Portosa, a ten zobaczył wtedy, że owa skrzyneczka zawiera jedynie listy i dokumenty: listy miłosne i papiery rodzinne zapewne.

Portos zajmował obszerny i nader wspaniale wyglądający apartament przy ulicy du Vieux-Colombier. Ile razy przechodził z przyjaciółmi pod swymi oknami, gdzie Mousqueton w liberii¹⁷³ wyglądał jednym z nich, Portos podnosił w górę głowę i rękę, mówiąc: „Oto moje mieszkanie!”

Lecz zastać go w domu nigdy nie było można, nikogo nie zapraszał i nikt nie miał pojęcia, ile rzeczywistych bogactw zawierała ta pozorna wspaniałość.

¹⁶⁸Normandczyk — mieszkaniec Normandii: krainy we Francji, położonej nad kanałem La Manche. [przypis edytorski]

¹⁶⁹nicowany — poddawany poprawkom krawieckim polegającym na odwracaniu materiału spodnią, nieużywaną stroną do wierzchu i ponownym przesywaniu. [przypis edytorski]

¹⁷⁰wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

¹⁷¹Berryjczyk — mieszkaniec Berry: krainy historycznej w pln.-śr. Francji. [przypis edytorski]

¹⁷²Order Świętego Ducha — najwyższy order Francji, ustanowiony 31 grudnia 1578 przez Henryka III Walezego. [przypis edytorski]

¹⁷³liberia — rodzaj munduru noszonego przez służbę. [przypis edytorski]

Aramis zajmował małe mieszkanie, składające się z buduaru, sali jadalnej i sypialni, która, jak i inne pokoje, znajdowała się na parterze i wychodziła na ogródek świeży, zielony, cienisty i nieprzenikniony dla oczu sąsiadów.

O d'Artagnanie wiemy już, jak mieszkał, a z jego pacholkiem, jegomościem panem Planchetem, także zawarliśmy znajomość.

D'Artagnan był z natury bardzo ciekawski, jak wszyscy ludzie zdolni do intryg, więc dokładał wszelkich starań, by dowiedzieć się, kim są w rzeczywistości Atos, Portos i Aramis. Bowiem pod tymi pseudonimami każdy z nich ukrywał nazwisko szlacheckie, szczególnie Atos, od którego czuć było wielkiego pana; zwrócił się więc do Portosa z pytaniem o Atosa i Aramisa, Aramisa zaś zagadnął o Portosa.

Niestety Portos nic pewnego nie wiedział o życiu milczącego towarzysza. Mówiono, że był srodze nieszczęśliwy w sprawach miłosnych i że okrutna zdrada na zawsze zatruliła mu życie. Jaka była ta zdrada? Nikt o tym nie wiedział. Co do Portosa, z wyjątkiem nazwiska, które było wiadome tylko panu de Tréville, tak samo jak i dwóch pierwszych, jego życie było łatwe do poznania. Próżny i papla, jak szkło było go można przejrzeć. Badacz mógł zostać zbity z tropu tylko wtedy, gdyby wierzył wszystkim jego przechwałkom.

Aramis znowu, wyglądający jak by nie miał nic skrytego, był — przeciwnie — chłopcem na wskroś przesiąkniętym tajemnicami. Zbywał półsłówkami zapytania o innych, a wymijał te, które się do niego stosowały. Pewnego razu po długich wypytywaniach o Portosa d'Artagnan dowiedziawszy się o pogłosce obiegającej co do miłosnych awantur muszkietera z jakąś księżną, zechciał się dowiedzieć o podobnych sprawkach Aramisa.

— A ty, drogi kolego — rzekł doń — co ty mówisz o tych baronowych, hrabinach, księżniczkach?

— Przepraszam — przerwał mu Aramis — mówiłem, bo sam Portos to mówił, roztrąbił już te wszystkie piękne rzeczy przed wszystkimi i przede mną. Lecz wierzaj mi, drogi panie d'Artagnanie, że gdybym słyszał to z innego źródła lub choćby on sam mi się zwierzył, nie byłoby spowiednika dyskretniejszego ode mnie.

— Nie wątpię — odparł d'Artagnan — zdaje mi się jednak ostatecznie, że sam także jesteś dość oswojony z herbami, o czym świadczy owa haftowana chusteczka, której zawdzięczam zaszczyt znajomości z tobą.

Tym razem Aramis nie rozgniewał się, przybrał tylko jak najskromniejszą minkę:

— Mój drogi, nie zapominaj, że mam zamiar wstąpić do stanu duchownego i że unikam wszelkiej światowości. Chusteczka, którą widziałeś, nie była mi powierzona, lecz zapomniana została u mnie przez jednego z moich przyjaciół. Zmuszony byłem zabrać ją, aby nie skompromitować jego i damy, którą kocha. Co do mnie, nie mam i nie chcę mieć kochanki, za przykładem Atosa, który postępuje tak samo jak ja.

— Lecz cóż, u diabła! Księdzem nie jesteś, skoro jesteś muszkietierem.

— Muszkietierem tymczasowym, mój drogi, jak mówi pan kardynał, muszkietierem wbrew mojej woli, a w sercu jestem sługą kościoła, wierzaj mi. Atos i Portos wpakowali mnie tu, aby mnie zająć, bo w chwili wyrzeczenia się ślubów miałem nieporozumienie małeńkie z... lecz ciebie to nie obchodzi wcale i czas ci tylko zabieram.

— Bynajmniej, przeciwnie, to mnie zajmuje mocno, a na teraz nie mam nic a nic do roboty.

— Tak, ale ja muszę odmówić modlitwy z brewiarza¹⁷⁴ — odrzekł Aramis — potem ułożyć kilka wierszy na żądanie pani d'Aiguillon, a następnie pójść na ulicę Saint-Honoré, aby kupić róż dla pani de Chevreuse. Widzisz więc, drogi przyjacielu, że jeżeli tobie niepilno, mnie się bardzo śpieszy.

Uściskał z czułością rękę przyjaciela i wyszedł.

D'Artagnan daremnie trudził się, aby się czegoś więcej dowiedzieć o swoich trzech nowych znajomych. Postanowił zatem uwierzyć na razie w to, co o ich przeszłości mówiono, spodziewając się pewniejszych i szczegółowszych odkryć w przyszłości. Tymczasem

¹⁷⁴brewiarz — książka zawierająca modlitwy i czytania dla duchownych na każdy dzień tygodnia. [przypis edytorski]

Atosa uważał za Achillesa¹⁷⁵, Portos był w jego wyobraźni Ajaksem¹⁷⁶, Aramis zaś biblijnym Józefem.

Zresztą życie młodzieńców płynęło wesoło: Atos grywał, lecz zawsze nieszczęśliwie, ale jednego grosza nie pożyczał od przyjaciół, choć jego kieszeń nieustannie była na ich usługi; a gdy zdarzyło mu się grać na słowo, budził swego wierzyciela o szóstej z rana, aby zapłacić mu wczorajszy dług.

Na Portosa przychodziły burzliwe chwile; wówczas, jeżeli wygrywał, stawał się nieustraszony i wspaniały, a gdy szczęście go zawiodło, znikał bez śladu na kilka dni, po czym zjawiał się znowu z twarzą wymizerowaną i wydłużonym nosem, ale z kieszeniami pełnymi pieniędzy.

Aramis nie grywał nigdy. Był z niego muszkietier nieszczęśliwy i współbiesiadnik najmniej wesoły pod słońcem. Zawsze miał jakąś pracę lub zajęcie. Czasami w połowie obiadu, gdy każdy podochocony winem i podniecony rozmową liczył, że dwie lub trzy godziny zostanie jeszcze u stołu, Aramis spoglądał na zegarek, wstawał z wdzięcznym uśmiechem i żegnał towarzystwo, aby pójść, jak mówił, na naradę z pewnym kazuistą¹⁷⁷, z którym miał się spotkać. Innym razem znowu powracał do siebie, aby pisać rozprawę i prosił przyjaciół, by mu nie przeszkadzali.

Atos uśmiechał się na to z czarującym wyrazem melancholii, tak przypadającym do jego szlachetnego oblicza, a Portos pociągał z kieliszka, klnąc się, że Aramis nie będzie niczym innym niż prostym plebanem wiejskim.

Planchet, pacholek d'Artagnana, ze spokojem znosił swoje położenie. Dostawał trzydzieści su¹⁷⁸ dziennie i przez cały miesiąc wracał do domu wesoły jak czyżyk¹⁷⁹ i uległy wobec swego pana. Kiedy jednak przeciwny wiatr począł dąć na ognisko domowe przy ulicy des Fossoyeurs, czyli gdy czterdzieści pistoli króla Ludwika XIII zostały prawie zjedzone, począł tak jęczeć i skarżyć się, że Atosa przyprawił o nudności, Portosa oburzył, a u Aramisa wywołał uśmiech wzdorliwego politowania.

Atos radził d'Artagnanowi, aby tego gbura odprawił; Portos nalegał, aby przedtem oćwiczył; Aramis dowodził, że pan od swego sługi powinien wymagać tylko uprzejmości.

— Łatwo wam to mówić — odparł d'Artagnan — tobie, Atosie, który na migi rozumiesz się z Grimaudem, zabraniasz mu gadać, więc i złego słowa nie usłyszysz; łatwo tobie, Portosie, bo prowadzisz świetne życie i dlatego jesteś bóstwem dla swego Mousquetona; Aramis znowu, zatopiony zawsze w studiach teologicznych, natchnął głęboką czcią swego sługę Bazina, człowieka łagodnego i pobożnego. Ale ja, niemający ani stanowiska, ani środków, ja, który nie jestem ani muszkietierem, ani gwardzistą, cóż pocznę, by natchnąć przywiązaniem albo przejęć grozą lub szacunkiem mojego Plancheta?

— Rzecz to niemałej wagi — odpowiedzieli trzej przyjaciele — z lokajami tak samo, jak z kobietami; od razu należy postawić ich na tej stopie, na jakiej pozostać powinni. Musisz się więc zastanowić.

D'Artagnan zastanowił się i postanowił wygrzmocić Plancheta na zapas, co zostało wykonane sumiennie, jak wszystko, co zamierzył spełnić. Wreszcie, kiedy go już naleźycie oćwiczył, zabronił mu opuszczać służbę bez pozwolenia.

— Bo — dodał d'Artagnan — przyszłość nie może mnie zawieść, oczekuję niechybnie lepszych czasów dla siebie. Jeżeli więc zostaniesz przy mnie, twój los jest zapewniony, a z nadto dobrym panem jestem, abym ci miał w tym przeszkodzić, dając ci żadaną odprawę.

Ten sposób postępowania wzbudził w muszkietierach wielki szacunek dla dyplomacji d'Artagnana. Ze swej strony i Planchet uczył się przejęty uwielbieniem i o rozstaniu nie było już mowy.

¹⁷⁵*Achilles* (mit. gr.) — legendarny bohater grecki, syn Peleusa, króla Ftyi, i Tetydy, boginki morskiej, najdzielniejszy z Greków walczących w wojnie trojańskiej; był odporny na wszelkie ciosy, a jego jedynym słabym punktem była pięta; zginął trafiony w nią strzałą Parysa. [przypis edytorski]

¹⁷⁶*Ajaks* a. *Ajas* (mit. gr.) — uczestnik wojny trojańskiej, najdzielniejszy po Achillesie wojownik achajski. [przypis edytorski]

¹⁷⁷*kazuista* — człowiek stosujący kazuistykę: drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne, pot.: pokrętne argumentowanie w celu uzasadnienia założonej z góry tezy. [przypis edytorski]

¹⁷⁸*su*, właśc. *sous* (fr.) — dawna drobna moneta francuska. [przypis edytorski]

¹⁷⁹*czyżyk* — mały ptak z zielonawożółtym upierzeniem. [przypis edytorski]

Młodość, Mężczyzna,
Obyczaj, Pieniądz, Gra

Sługa, Kobieta, Władza,
Obyczaj

Sługa, Obyczaj, Pozycja
społeczna, Pan

Relacje czterech młodzieńców stały się braterskie; d'Artagnan, jako przybysz z dalekiej prowincji, wrażliwy jak zwykle natury młode i żywe, przyswoił sobie prędko nawyknięcia nowego otoczenia.

Wstawano o godzinie ósmej w zimie, o szóstej latem i udawano się po zlecenia na bieżący dzień oraz po nowiny do pana de Tréville. Jakkolwiek d'Artagnan nie był muszkietierem, pełnił jednak służbę z gorliwością godną uznania. Zawsze był na warcie, bo nie odstępował nigdy tego z trzech przyjaciół, który ją odbywał.

Znano go w pałacu muszkietierów i uważano za dobrego kolegę. Pan de Tréville, który go na pierwszy rzut oka ocenił, prawdziwie przywiązał się do niego i nie przestawał polecać królowi. Trzej muszkietierowie też bardzo kochali młodego towarzysza. Przyjaźń łącząca tych czterech ludzi sprawiała, że musieli widywać się trzy lub cztery razy dziennie, czy to chodziło o pojedynek, czy o inną sprawę, czy o jakąś przyjemność; dość, że widziano ich goniących siebie jak cienie i spotykano odwiedzających się ustawicznie w drodze z Luksemburga na plac Saint-Sulpice, to znowu z ulicy du Vieux-Colombier do Luksemburga. Tymczasem pan de Tréville nie zaniedbywał przyrzeczeń. Pewnego pięknego poranka król wydał rozkaz panu des Essarts przyjęcia d'Artagnana jako kadeta do swojej kompanii. Biedak wzdychając, przywdział mundur kadecki, który rad był kosztem choćby dziesięciu lat życia zamienić na kaftan muszkieterski. Pan de Tréville przyrzekł mu tę łaskę, lecz dopiero po dwóch latach nowicjatu, który mógłby być skrócony wreszcie, gdyby się nadarzyła d'Artagnanowi sposobność oddania jakiejś przysługi królowi lub spełnienia jakiegoś świętego czynu. Wysłuchawszy tej obietnicy, oddalił się i nazajutrz rozpoczął swoją służbę.

Odtąd Atosowi, Portosowi i Aramisowi przyszło odbywać wartę z d'Artagnanem za każdym razem, kiedy był na nią przeznaczony. W ten sposób kompania pana des Essarts zyskała czterech ludzi zamiast jednego.

ROZDZIAŁ VIII. INTRYGA DWORSKA

Jednakże czterdzieści pistoli króla Ludwika XIII, równie jak wszystkie rzeczy tego świata mające swój początek, musiały mieć i koniec, a sprawił on, że czterej towarzysze wpadli w kłopoty. Z początku Atos podtrzymywał stowarzyszenie własnymi funduszami. Po nim nastąpił Portos i dzięki jednemu z tych zniknięć, które nie dziwiły już nikogo, starczyło na potrzeby ogólne przez blisko dwa tygodnie. Na koniec przyszła kolej na Aramisa, z której wywiązał się jak najchętniej, mówiąc, że dopomogło mu do tego sprzedanie kilku ksiąg teologicznych, za które otrzymał kilka pistoli. Po wyczerpaniu tych środków udano się jak zwykle do pana de Tréville o udzielenie zaliczki na pensję; zaliczki takie nie mogły jednak daleko zaprowadzić trzech muszkietierów, mających moc zaległych rachunków, i kadeta, który nie mógł jeszcze ich mieć wcale.

Gdy nareszcie zaskoczyła ich zupełna pustka, ostatnim wysiłkiem zgromadzono osiem czy dziesięć pistoli na grę dla Atosa. Niestety i gra go zawiodła: przegrał, co miał, a resztę, dwadzieścia pięć pistoli, na słowo.

Wtedy kłopot zmienił się w prawdziwą klęskę. Widziano ich zgłodniałych, uwijających się wraz z pachółkami po bulwarach i koszarach, czyhających na obiady swoich dalszych przyjaciół; bo, według Aramisa, w powodzeniu powinno się sypać ucztami na prawo i na lewo, aby choć cząstkę ich można zebrać w niedoli.

Atos został zaproszony cztery razy i za każdym razem prowadził ze sobą przyjaciół z ich pachółkami. Portosowi trafiło się sześć podobnych okazji, z których dał korzystać również swoim towarzyszom. Aramis miał aż osiem. Był to człowiek cichy, ale będący w stanie bez hałasu dużo zrobić. D'Artagnan zaś, nie znając w stolicy nikogo, znalazł tylko jedno śniadanie, i to składające się jedynie z czekolady, u księdza — swojego współziomka, i u pewnego korneta¹⁸⁰, który pysznie wystąpił, ale cóż, kiedy, jak powiedział Planchet, raz się tylko je, choćby się przy tym najobficiej jadło. D'Artagnan czuł się więc nieco upokorzony, że miał tylko półtorej uczty do ofiarowania towarzyszom, boć czekoladę u księdza można było liczyć tylko za połowę. Sądził więc, że jest dla nich ciężarem, zapominając w dobrej wierze młodzieńczej, że to on właśnie żywił całe towarzystwo przez

¹⁸⁰kornet (hist.) — dawny stopień wojskowy w kawalerii, odpowiadający randze chorążego piechoty. [przypis edytorski]

Przyjaźń

Głód, Jedzenie

cały miesiąc. Jego skłopotany umysł począł pracować pilnie. Rozważył, że koalicja czterech ludzi młodych, walecznych, przedsiębiorczych i czynnych winna mieć inny cel prócz włóczenia się, prócz lekcji fechtunku i wybryków mniej lub więcej rozsądnych.

Rzeczywiście, czterech ludzi takich jak oni, oddanych sobie, zaczawszy od kieszeni, a skończywszy na życiu, wspomagających się nieustannie, niecofających się nigdy przed niczym, wykonujących osobno lub razem postanowienia powzięte wspólnie; cztery ramiona grożące czterem pięściom kardynalskim — wszystko to powinno być bądź skrycie, bądź jawnie, podstępnie czy przebojem, finezją czy siłą, otworzyć sobie drogi do pożądanego celu, choćby był najbardziej daleki i najbardziej zakazany. To jedno tylko dziwiło d'Artagnana, że jego towarzysze dotąd o tym nie pomyśleli.

Pomyślał więc sam, i to bardzo poważnie, jaki nadać kierunek tej sile, w czwórmasób¹⁸¹ pomnożonej, w którą nie wątpił jak Archimedes¹⁸² w swój lewar do poruszenia ziemi w jej posadach, gdy wtem usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Zbudził Plancheta i rozkazał mu otworzyć, ale nie należy przypuszczać, że działo się to w nocy i do dnia było jeszcze daleko. Nie! Biła właśnie czwarta po południu, a dwie godziny wcześniej Planchet przyszedł do swego pana domagać się obiadu, ten zaś odpowiedział mu przysłowiem: kto śpi, ten obiada. Planchet zatem obiadał, śpiąc.

Wszedł człowiek wyglądający dość pospolicie, z miną mieszczanina.

Planchet na deser rad by był usłyszeć chociaż rozmowę, lecz mieszczanin oświadczył d'Artagnanowi, że ma mu coś ważnego do powiedzenia i pragnie pomówić z nim sam na sam.

D'Artagnan odprawił więc Plancheta i poprosił gościa, aby usiadł.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której tych dwóch ludzi patrzyło na siebie, jak gdyby chcąc poznać się na wstępie, po czym d'Artagnan skłonił się na znak, że jest gotów wysłuchać tego, z czym gość przychodzi.

— Słyszałem o panu, d'Artagnanie, jako o dzielnym młodzieńcu — odezwał się mieszczanin — a rozgłos, jakiego pan używasz, słusznie skłania mnie do powierzenia ci pewnej tajemnicy.

— Proszę pana — rzekł d'Artagnan, instynktownie przeważając coś korzystnego.

Mieszczanin znowu przerwał, następnie począł mówić dalej:

— Mam żonę, która ma nadzór nad bielizną¹⁸³ u królowej, a nie zbywa jej ani na rozsądku, ani na piękności. Ożeniłem się z nią, będzie temu trzy lata wkrótce, choć bardzo niewiele miała, ale ją proteguje ojciec chrzestny, pan de La Porte, szatny¹⁸⁴ królowej.

— Cóż dalej? — zapytał d'Artagnan.

— Otóż! — począł znowu mieszczanin. — Otóż! Mój panie, wczoraj z rana żona moja została porwana, w chwili gdy wychodziła z pracowni.

— A któż porwał pańską żonę?

— Na pewno nie wiem, lecz podejrzewam kogoś.

— Kogóż pan podejrzewasz?

— Mężczynę, który krok w krok chodzi za nią od dawna.

— Do diabła!

— Ale pozwól pan sobie powiedzieć — ciągnął dalej mieszczanin — iż przekonany jestem, że w tym wszystkim mniej jest miłości niż polityki.

— Mniej miłości niż polityki — podjął d'Artagnan z miną zamyśloną. — A co pan przypuszczasz?

— Nie wiem, czy powinienem mówić to panu...

— Ależ pozwól pan zwrócić sobie uwagę, że ja od ciebie nic zgoła nie żądam. Pan tu przychodzisz i pan powiedziałeś, iż chcesz mi powierzyć tajemnicę. Rób więc, jak ci się podoba, możesz się pan jeszcze cofnąć.

Głód, Jedzenie, Pan, Sługa,
Sen

¹⁸¹w czwórmasób — czterokrotnie. [przypis edytorski]

¹⁸²Archimedes (ok. 287–212 p.n.e.) — największy matematyk, fizyk, inżynier i wynalazca starożytności; twórca podstaw statyki i hydrauliki; odkrywca zasady dźwigni, znany z powiedzenia „Daj mi punkt oparcia (poza Ziemią), na którym mógłbym stanąć, a poruszę Ziemię”. [przypis edytorski]

¹⁸³bielizna — wyroby z tkaniny, zazwyczaj białej, używane w gospodarstwie domowym. [przypis edytorski]

¹⁸⁴szatny (daw.) — służący zajmujący się ubraniami. [przypis edytorski]

— Nie, nie, wyglądasz pan na uczciwego młodzieńca i czuję do pana zaufanie. Otóż sądzę, że moja żona została porwana nie z powodu miłostek swoich, lecz z powodu miłostek większej damy niż ona.

— Ho! Ho! Czy nie chodzi tu przypadkiem o panią de Bois-Tracy? — odezwał się d'Artagnan, chcąc przed mieszczaninem popisać się, że wtajemniczony jest w sprawy dworskie.

— Wyżej, panie, wyżej!

— Panią d'Aiguillon?

— Jeszcze wyżej.

— Panią de Chevreuse?

— Wyżej, znacznie wyżej.

— O!... — d'Artagnan się zatrzymał.

— Tak, panie — odpowiedział przerażony mieszczanin, tak cicho, że zaledwie można go było dosłyszeć.

— Z kim?

— A z kimże, jeśli nie z księciem de... Tak, panie! — odparł mieszczanin, nadając głosowi swojemu jeszcze bardziej głuche brzmienie.

— Lecz w jaki sposób wiesz pan o tym wszystkim?

— A! W jaki sposób?

— Zapewne. Tylko bez półślówek, albo rozumiesz pan...

— Wiem od mojej żony.

— Która wie o tym... od kogo?

— Od pana de La Porte. Nie mówiłem panu, że jest jego córką chrzestną, a pan de La Porte posiada zaufanie królowej? Umieścił ją zatem przy Jej Wysokości, aby nasza biedna królowa miała przynajmniej zwierzyć się komuś, będąc opuszczona przez króla, szpiegowana przez kardynała i zdradzana przez wszystkich.

— O! Zaczyna się to wyjaśniać — odezwał się d'Artagnan.

— Otóż cztery dni temu moja żona przysłała do mnie, panie. Mogła mnie odwiedzać dwa razy tygodniowo, a, jak miałem zaszczyt panu powiedzieć, ona mnie bardzo kocha. Tymczasem żona zwierzyła mi się, że królowa ma wielkie obawy w tych czasach.

— Doprawdy?

— Tak. Pan kardynał widocznie śledzi ją i prześladowuje więcej niż kiedykolwiek. Nie może jej przebaczyć historii z sarabandą¹⁸⁵. Pan zna tę historię?

— Oczywiście, że znam! — odparł d'Artagnan, który nic zgoła nie wiedział, lecz udawał wtajemniczonego.

— I teraz nienawiść zamieniła się w zemstę.

— Doprawdy?

— I królowa jest przekonana...

— O czym?

— Że napisano w jej imieniu do księcia Buckingham.

— W imieniu królowej?

— Tak, ażeby ściągnąć go do Paryża i uwikłać w jakieś sidła.

— Lecz cóż, u diabła, ma z tym wspólnego pańska żona?

— Znają jej przywiązanie do królowej i chcą od jej pani usunąć lub zmusić, aby zdradziła tajemnicę Jej Wysokości i służyła za szpiega.

— Być może — odrzekł d'Artagnan. — Ale czy znasz pan człowieka, który ją porwał?

— Mówiłem już panu, iż zdaje mi się, że go znam.

— Jak się nazywa?

— Nie znam jego nazwiska, wiem tylko to, że to figura zaprzędana kardynałowi.

— Widziałeś go pan?

— Żona mi go pokazywała kiedyś.

— A ma on w sobie coś szczególnego, po czym można by go poznać?

— O! Zapewne. Jest to mężczyzna postawy wyniosłej, brunet ogorzały z oczami przenikliwymi, białymi zębami i blizną na skroni.

— Z blizną na skroni! — krzyknął d'Artagnan. — Wszak to mój człowiek z Meung!

¹⁸⁵sarabanda — hiszpański taniec dworski, emanujący erotyzmem. [przypis edytorski]

— Pan go znasz?

— Tak, tak, ale to nie należy do rzeczy. E! Mylę się, to ją bardzo upraszcza, jeżeli bowiem obydwaj mamy z nim porachunki, dwie sprawy dadzą się załatwić za jednym zamachem. Gdzie można tego pana złapać?

— Nie wiem.

— I nie masz pan żadnych wskazówek, gdzie mieszka?

— Żadnych. Pewnego razu, gdy odprowadzałem żonę do Luwru, wychodził stamtąd i właśnie wtedy mi go pokazała.

— Do diabła!... — mruknął d'Artagnan. — Wszystko to bardzo niejasne!... Od kogo dowiedziałeś się pan o porwaniu żony?

— Od pana de La Porte.

— Czy opowiedział panu jakieś szczegóły?

— Nie, żadnych.

— A skądinąd nic się pan nie dowiedziałeś?

— I owszem, odebrałem...

— Co takiego?

— Nie wiem doprawdy, czy nie popełniam wielkiej niedorzeczności...

— Znowu to samo!... Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę pańską, że teraz cofać się już za późno.

— Ja się też nie cofam, do licha!... — zawołał mieszczanin, klnąc dla dodania sobie animuszu. — Zresztą, słowo uczciwości Bonacieux...

— Pan się nazywasz Bonacieux? — przerwał d'Artagnan.

— Tak, panie, to moje nazwisko.

— Przepraszam, że przerywam, lecz zdaje mi się, że jest mi ono znane.

— Być może, panie. Jestem właścicielem tego domu.

— O! O! — odezwał się d'Artagnan, na wpół powstając z siedzenia i z ukłonem. — Właścicielem tego domu?

— Tak, panie, tak... A ponieważ trzy miesiące już mieszkasz u mnie i, zatopiony pewnie w swoich ważnych zajęciach, zapomniałeś zapłacić mi komornego, a ja wcale cię o to nie niepokoilem ani na chwilę, myślałem, że będziesz miał wzgląd na moją delikatność...

— A jakże, drogi panie Bonacieux — odparł d'Artagnan — wierź mi, iż jestem przejęty wdzięcznością za podobne postępowanie i mówię, że skoro mogę ci być w czymś użyteczny...

— Wierzę panu, wierzę i, jak powiedziałem, słowo uczciwości Bonacieux, ufam ci zupełnie.

— Dokończ pan więc, co zacząłeś mówić.

Mieszczanin dobył z kieszeni papier i podał d'Artagnanowi.

— List! — odezwał się tenże.

— Który odebrałem dziś z rana.

D'Artagnan otworzył go, a ponieważ poczynało się ściemniać, zbliżył się do okna. Mieszczanin postąpił za nim.

— „Nie szukaj żony twojej — czytał d'Artagnan — odzyskasz ją, gdy nie będę jej już potrzebować. Jeżeli zrobisz jeden krok dla odnalezienia jej, jesteś zgubiony”. To dosyć stanowcze! — ciągnął d'Artagnan. — Lecz koniec końców jest to tylko pogrożka.

— Tak... lecz pogrożka ta przeraża mnie. Ja, panie, nie jestem wcale rycerzem i boję się Bastylii¹⁸⁶.

— Hm! — odezwał się d'Artagnan. — I mnie tyleż obchodzi Bastylia, co i pana. Gdyby tu tylko szło o machnięcie szpadą, mniejsza, ale...

— Jednakże ja na pana bardzo liczyłem w tym razie...

— Doprawdy?

— Widząc cię otoczonego nieustannie muszkietierami wspaniałej powierzchowności i poznawszy, że to muszkietierowie pana de Tréville, a zatem nieprzyjaciele kardynała, myślałem, że pan i pańscy towarzysze, ujmując się za królową, będziecie zachwyceni wyplataniem figla Jego Eminencji.

— Bez wątpienia.

¹⁸⁶Bastylia — twierdza wybudowana w XIV w. pod Paryżem, późniejsze więzienie. [przypis edytorski]

— Zresztą myślałem, że pan, będąc mi dłużny za trzymiesięczne komorne, o które się nie upominałem...

— Tak, tak, już mi pan wspomniałeś o tym i uznaję ten powód za dostateczny.

— Co więcej, że jeżeli uczynisz mi zaszczyt pozostania dłużej w moim domu, nigdy na przyszłość ani słówka o tym nie pisnę.

— Bardzo dobrze.

— W dodatku, jeśli będzie potrzeba, gotów jestem dać panu z pięćdziesiąt pistoli, jeżeli, czego nie przypuszczam, znajdziesz się w chwilowych kłopotach.

— Wyśmienicie, ale pan widocznie bogaty jesteś, drogi panie Bonacieux?

— Mam się niezgorzej¹⁸⁷, mój panie, mogę to powiedzieć. Zebrałem sobie coś około dwóch czy trzech tysięcy talarów dochodu na handlu drobiazgami, a nade wszystkim umieściwszy trochę grosza w przedsiębiorstwie słynnego podróżnika morskiego Jeana Mocqueta¹⁸⁸. W ten sposób, pojmuje pan... O! O! — wykrzyknął nagle mieszczanin.

— Co takiego? — zapytał d'Artagnan.

— Co ja widzę?

— Gdzie?

— Na ulicy, na wprost pańskich okien, we framudze tamtych drzwi... mężczyzna w płaszczu.

— To on!... — zawołali razem d'Artagnan i mieszczanin, poznając jednocześnie człowieka, o którego chodziło obydwom.

— O, teraz mi już nie ujdzie!... — krzyknął d'Artagnan, chwytając szpadę.

I dobywszy ją z pochwy, wybiegł z mieszkania.

Na schodach spotkał Atosa i Portosa, idących go odwiedzić; przemknął pomiędzy nimi jak strzała.

— Człowiek z Meung!... — rzekł d'Artagnan i zniknął.

D'Artagnan niejednokrotnie opowiadał przyjaciółom zajście z nieznajomym, jako też i zjawienie się pięknej podróżnej, której człowiek ten powierzył tak ważne zadanie.

Zdaniem Atosa d'Artagnan mógł być zgubić ów list w zamieszaniu. Według niego szlachcic, jak go opisał d'Artagnan, nie mógł być zdolny do popełnienia takiej podłości jak kradzież listu. Portos zaś widział w tym jedynie schadzkę miłosną wyznaczoną przez damę kawalerowi lub też na odwrót — schadzkę, którą zakłóciła obecność d'Artagnana i żółtego konika.

Aramis utrzymywał znowu, że skoro wypadki takie osłonięte są tajemnicą, byłoby najlepiej ich nie zgłębiać.

Zrozumieli zatem z kilku słów d'Artagnana, o co mu chodziło, a ponieważ byli przekonani, że czy dopędzi nieznajomego, czy też go z oczu straci, ostatecznie powróci do siebie, szli więc dalej. Gdy weszli do pokoju d'Artagnana, nie zastali nikogo. Właściciel, lękając się następstw spotkania pomiędzy młodzieńcem a nieznajomym, osądził za właściwe i za najbezpieczniejsze umknąć do swego mieszkania.

ROZDZIAŁ IX. D'ARTAGNAN DZIAŁA

Jak przewidziano, d'Artagnan po upływie pół godziny powrócił. I tym razem nieznajomy wymknął mu się jeszcze, zniknąwszy jak zaczarowany.

Młodzieniec przebiegł sąsiednie ulice ze szpadą w ręce, lecz nie spotkał nawet nikogo podobnego do tego, którego szukał, i powrócił wreszcie tam, skąd winien był zacząć. Zastukał do drzwi, o które nieznajomy stał oparty, nadaremnie jednak uderzał w nie młotkiem, nikt nie odpowiedział, a sąsiedzi, zwabieni hałasem, wybiegłszy przed dom lub nosy do szyb przykleiwszy, zapewniali go, że ten dom, zamknięty na wszystkie strony, był zupełnie pusty przeszło od pół roku.

W czasie poszukiwań d'Artagnana Aramis podążył za towarzyszami do mieszkania młodzieńca, tak iż tenże wróciwszy do siebie, zastał grono muszkieterskie w całym komplecie.

¹⁸⁷ niezgorzej — całkiem dobrze. [przypis edytorski]

¹⁸⁸ Mocquet, Jean (1576–ok. 1617) — francuski podróżnik i aptekarz królewski; odbył sześć długich podróży morskich i podjął próbę opłynięcia Ziemi, najprawdopodobniej w celu zebrania okazów roślin i zwierząt dla króla Henryka IV. [przypis edytorski]

— No i cóż?... — zapytali razem trzej muszkietierowie, ujrawszy d'Artagnana ze spoconym i gniewnie wzburzonym obliczem.

— A!... — krzyknął, rzucając szpadę na łóżko. — Ten człowiek jest chyba diabłem wcielonym, zniknął mi jak cień, jak duch, jak widmo.

— Ty wierzysz w duchy? — zagadnął Atos Portosa.

— Ja wierzę tylko w to, co widzę, a skoro nigdy nie widziałem duchów, nie wierzę w nie.

— Biblia — odezwał się Aramis — każe nam wierzyć w duchy. Cień Samuela¹⁸⁹ ukazał się Saulowi¹⁹⁰ i jest to jeden z artykułów wiary, przykro byłoby mi, gdybyś go podawał w wątpliwość, Portosie.

— W każdym razie człowiek ten czy diabeł, ciało czy cień, złudzenie czy rzeczywistość, człowiek ten urodził się na moje utrapienie, bo przez tę jego ucieczkę ominęła nas pyszna gratka, panowie, gratka, z której zyskałoby się sto, a może i więcej pistoli.

— W jaki sposób?... — zapytali razem Portos i Aramis.

Atos zaś, nie sprzeniewierzając się milczeniu, zadowolił się spojrzeniem.

— Planchecie — krzyknął d'Artagnan na sługę, który wyściubił głowę przez uchylone drzwi dla przysłuchania się rozmowie — idź do mojego gospodarza, pana Bonacieux, i powiedz mu, aby nam przysłał pół tuzina butelek wina z Beaugency, które nad wszystkie inne przedkładam.

— Cóż to, masz otwarty kredyt u swego gospodarza? — zapytał Portos.

— Tak — odparł d'Artagnan — od dzisiaj. I bądźcie spokojni, jeżeli wino będzie nietęgę, pošlemy do niego po inne.

— Trzeba używać, a nie nadużywać — odezwał się Aramis sentencjonalnie.

— Zawsze mówiłem, że d'Artagnan to najtęższa głowa z nas wszystkich — rzekł Atos i wygłosiwszy tę opinię, na którą d'Artagnan odpowiedział ukłonem, pogrążył się natychmiast w zwykłym milczeniu.

— Ale koniec końców radzi byśmy wiedzieć, co to takiego? — zapytał Portos.

— Tak — dodał Aramis — powiedz nam, przyjacielu drogi, jeżeli tylko nie jest zaplątana w to cześć jakiejś damy, bo w takim razie lepiej by było, ażebyś milczał o wszystkim.

— Bądźcie spokojni — odparł d'Artagnan — nie ucierpi na tym niczyj honor ani cześć. — I opowiedział dosłownie przyjaciółom, co zaszło pomiędzy nim a gospodarzem, i że człowiek, który porwał żonę godnego właściciela domu, jest tym samym, z którym i on miał na pieńku.

— Niezła sprawa — rzekł Atos, ze znanstwem próbując wina i skinieniem głowy dając poznać, że mu smakuje — można będzie wyciągnąć z pocziwca pięćdziesiąt do sześćdziesięciu pistoli. A teraz należałoby się przekonać, czy dla takiej sumki warto narażać cztery głowy.

— Ależ zastanów się — zawołał d'Artagnan — tu chodzi o kobietę, o kobietę porwaną, której bez wątplenia grożą, zapewne torturują, za to jedynie, że jest wierna swej pani!

— Strzeż się, d'Artagnanie, ostrożnie! — odezwał się Aramis. — Moim zdaniem zanadto bierzesz sobie do serca los pani Bonacieux. Kobieta została stworzona na naszą zgubę, ona jest przyczyną naszych wszystkich nieszczęść.

Na tę sentencję Aramisa Atos ściągnął brwi i przygryzł wargi.

— Nie o panią Bonacieux ja się troszczę — zawołał d'Artagnan — ale o królową, zaniebaną przez króla, prześladowaną przez kardynała, która widzi, jak jedna po drugiej spadają głowy tych, którzy jej sprzyjają.

— A czemu kocha tych, których my najbardziej w świecie nienawidzimy?... Hiszpanów i Anglików?

— Hiszpania jest jej ojczyzną — odrzekł d'Artagnan — rzecz prosta, że kocha Hiszpanów jako dzieci jednej z nią ziemi. Co do drugiego zarzutu, jaki jej robicie, słyszałem, że ona kocha nie Anglików, tylko jednego Anglika.

— E!... Na honor — wtrącił Atos — trzeba przyznać, że ten Anglik godzien jest kochania. Wspanialszej od jego postawy nie widziałem nigdy.

Duch, Wiara

Kobieta

¹⁸⁹Samuel — prorok, kapłan, ostatni sędzia starożytnego Izraela. [przypis edytorski]

¹⁹⁰Saul — postać biblijna, pierwszy król Izraela, powołany przez proroka Samuela. [przypis edytorski]

— Dodajmy, że ubiera się jak nikt dotąd — podchwycił Portos. — Byłem w Luwrze, gdy rozrzucił perły i, doprawdy, podniosłem dwie z nich, które, rozumie się, sprzedałem po dziesięć pistoli. Ty, Aramisie, znasz go?

— Tak dobrze jak i wy, panowie; byłem bowiem jednym z tych, którzy przytrzymali go w ogrodzie w Amiens, gdzie wprowadził mnie pan de Putange, koniuszy królowej. Byłem wówczas w seminarium i zdarzenie to, ze względu na króla, wydało mi się okrutne.

— Co nie przeszkodziłoby mi jednak — odezwał się d'Artagnan — gdybym wiedział, gdzie się znajduje książę Buckingham, wziąć go za rękę i zaprowadzić do królowej, choćby tylko dlatego, ażeby kardynała doprowadzić do wściekłości. Bo, panowie, naszym niezaprzeczonym, jedynym, wiekuistym nieprzyjacielem jest tylko kardynał; i gdybyśmy byli w stanie wynaleźć sposób wyplatania mu potężnego figła, przyznaję, iż chętnie bym za to oddał własną głowę.

— I gospodarz ci mówił, d'Artagnanie — podjął Atos — że królowa przypuszcza, jakoby Buckingham został zwabiony fałszywym wezwaniem?

— Lęka się tego.

— Czekaście! — odezwał się Aramis.

— Co takiego? — zapytał Portos.

— Mówcie swoje, a ja postaram się przypomnieć sobie niektóre okoliczności.

— Jestem przekonany — rzekł d'Artagnan — że porwanie kobiety należącej do służby królowej pozostaje w związku z wypadkami, o których mówimy, a może nawet i z obecnością pana Buckingham w Paryżu.

— Nasz Gaskończyk jest pełen pomysłów — rzekł z uwielbieniem Portos.

— Bardzo lubię go słuchać — rzekł Atos.

— Panowie!... — zaczął Aramis. — Słuchajcie!...

— Słuchajmy, co powie!... — odezwali się trzej przyjaciele.

— Byłem wczoraj u pewnego uczonego doktora teologii, u którego zasięgam niekiedy rad co do moich studiów...

Atos uśmiechnął się.

— Mieszka on w pustej dzielnicy — ciągnął dalej Aramis — jego upodobania, powołanie wymagają tego. Otóż w chwili, gdy wychodziłem od niego...

Tutaj Aramis zaciął się.

— Cóż dalej? — zapytali słuchacze. — W chwili, gdy wychodziłeś od niego...

Widocznie Aramis czynił wysiłek jak człowiek, który zapędziwszy się w kłamstwie, naraz widzi nieprzewidzianą przeszkodę. Lecz oczy trzech towarzyszy były w nim utkwione, słuch wyteżony, nie mógł się już cofnąć.

— Doktor ten ma siostrzenicę — ciągnął dalej Aramis.

— A! Siostrzenicę!... — przerwał mu Portos.

— Osobę wielce czcigodną — rzekł Aramis.

Trzej przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

— Jeżeli będziecie się śmiać lub wątpić, nie dowiecie się niczego.

— Jesteśmy pełni wiary jak wyznawcy Mahometa¹⁹¹ i niemi jak groby — rzekł Atos.

— Wracam zatem do rzeczy — począł Aramis. — Siostrzenica ta czasami odwiedza wuję; otóż wczoraj przypadkiem znalazła się tam jednocześnie ze mną, byłem więc zmuszony odprowadzić ją do karety.

— A! Siostrzenica doktora ma karetę? — przerwał mu Portos, którego jedną z licznych wad była ogromna niepowściągliwość języka. — To piękna znajomość, przyjacielu.

— Portosie — odparł Aramis — nieraz już zwracałem twoją uwagę, że brak ci zupełnie dyskrecji i to ci szkodzi u kobiet.

— Panowie, panowie — zawołał d'Artagnan, który uważał tę sprawę za coraz ważniejszą — to rzecz nie bez znaczenia i prosiłbym nie obracać jej w żarty. Kończ, Aramisie, kończ.

— Naraz mężczyzna wysoki, brunet, gładkiego obejścia... Wiesz co, d'Artagnanie, zupełnie w rodzaju twojego...

— Może to ten sam... — rzekł d'Artagnan.

¹⁹¹Mahomet (zm. 632) — twórca islamu. [przypis edytorski]

— Prawdopodobnie... — kończył Aramis. — Zbliżył się do mnie, a za nim szło kilku ludzi, i głosem uprzejmym odezwał się: „Mości książę, i pani także...” — dodał, zwracając się do damy, którą prowadziłem pod rękę...

— Do siostrzenicy doktora?

— Cicho bądź, Portosie! — odezwał się Atos. — Nieznośny jesteś.

— „Raczie wsiądź do tej karety, bez oporu i najmniejszego hałasu”.

— Wziął cię za Buckingham! — wykrzyknął d'Artagnan.

— Tak sądzę — odrzekł Aramis.

— A tę damę? — zapytał Portos.

— Wziął ją za królową! — podchwycił d'Artagnan.

— Nie inaczej — odparł Aramis.

— To diabeł z tego Gaskończyka! — zawołał Atos. — Nic nie ujdzie jego uwadze.

— To fakt — wtrącił Portos — że Aramis ma postawę i ułożenie pięknego księcia, lecz zdaje mi się, że ubiór muszkieterski...

— Miałem na sobie szeroki płaszcz — rzekł Aramis.

— W lipcu? Do diabła! — zauważył Portos. — Czy doktor nie obawia się przypadkiem, abyś nie został poznany?

— To jeszcze rozumiem — rzekł Atos — że szpieg mógłby się zwieść postawą, lecz twarz...

— Miałem wielki kapelusz — rzekł Aramis.

— Boże wielki! — wykrzyknął Portos. — Co tu ostrożności dla studiowania teologii!...

— Panowie, panowie — odezwał się d'Artagnan — nie traćmy czasu na drobnostki; rozbiegnijmy się na wszystkie strony i szukajmy żony gospodarza, w tym jest klucz całej intrygi.

— Przecież to kobieta niskiego pochodzenia, prawda, d'Artagnanie? — odezwał się Portos, wykrzywiając wzdorliwie usta.

— To chrześniaczka de La Porte, zaufanego sługi królowej, wszak mówiłem wam o tym, panowie? Wreszcie, może to jest przezorność Jej Wysokości, że w tym razie szuka pomocy niżej. Głowy sterczące wysoko są bardzo widoczne, a kardynał ma dobre oczy.

— A zatem — odezwał się Portos — najpierw potarguj się ze swym gospodarzem, a targuj się dobrze.

— To niepotrzebne — odparł d'Artagnan. — Sądzę bowiem, że jeżeli nam zapłaci, to bardzo dobrze będziemy wynagrodzeni.

W tejże chwili odgłos szybkich kroków rozległ się na schodach, drzwi otworzyły się z traskiem i nieszczęsny kramarz wpadł do pokoju, gdzie odbywała się narada.

— Panowie! — krzyknął. — Ratujcie, na imię Boskie!... Ratujcie mnie!... Czterech ludzi przyszło i chcą mnie uwięzić, ratujcie mnie, ratujcie!...

Portos i Aramis zerwali się z miejsca.

— Chwilkę, panowie — zawołał d'Artagnan, dając im znak, aby schowali szpady, na pół już wydobyte z pochew — chwilkę, potrzeba tutaj nie odwagi, lecz roztropności.

— O! — zawołał Portos. — Nie pozwolimy!...

— Pozwólcie działać d'Artagnanowi — rzekł Atos. — Raz jeszcze powtarzam, że to najtęższa z nas wszystkich głowa. Ja obowiązuję się słuchać go we wszystkim. Rób, jak chcesz, d'Artagnanie.

Czterech ludzi ze straży policyjnej ukazało się we drzwiach pokoju, ale na widok trzech muszkietarów ze szpadami u boku, stojących pośrodku, zawahali się, czy mają się dalej posunąć.

— Wejdźcie, panowie, wejdźcie — zawołał d'Artagnan — jesteście tutaj u mnie, a jak nas widzicie, wszyscyśmy wierni słudzy króla i pana kardynała.

— Zatem, panowie, nic nie będziecie mieli przeciw temu, abyśmy spełnili dane nam rozkazy? — zapytał ten, który wyglądał na dowódcę wyprawy.

— I owszem, nawet pomożemy wam, panowie, jeżeli tego będzie potrzeba.

— Co on gada?... — mruknął Portos.

— Cicho, gapiu! — szepnął Atos.

— A jednak obiecaliście mi... — cichutko wybąkał kramarz.

— Możemy cię ratować, gdy sami zostaniemy wolni — rzucił mu w ucho d'Artagnan — a jeżeli okażemy chęć bronięcia cię, wezmą nas razem z tobą.

— A jednak, zdaje mi się...

— Chodźcie, panowie, chodźcie — głośno powiedział d'Artagnan — nie mam żadnego powodu bronić tego pana. Pierwszy raz w życiu widziałem go dzisiaj, a przyszedł po to, ażeby się dopominać o komorne. Wszak prawda, panie Bonacieux? Odpowiadaj!

— Najczystsza prawda — zawołał gospodarz — lecz nie powiedział pan jeszcze...

— Ani słowa o mnie ani o moich przyjaciółach, a o królowej nade wszystko — szepnął mu — albo zaprzepaszczysz wszystkich, a siebie nie zbawisz. No!... Panowie, dalej, zabierajcie tego jegomościa.

I d'Artagnan popchnął gospodarza ku straży, mówiąc:

— Jesteś bezwstydnym łotrem, mój drogi... Przychodzisz upominać się o pieniądze ode mnie, muszkietera! Do więzienia z nim!... Panowie, raz jeszcze powtarzam, zabierzcie go do więzienia i trzymajcie pod kluczem, jak można najdłużej, zyskam przynajmniej na czasie, aby mu zapłacić.

Słudzy policyjni, rozwodząc się w podziękowaniach, uprowadzili swą zdobycz.

W chwili gdy już wychodzili, d'Artagnan uderzył po ramieniu ich przywódcę, mówiąc:

— Może wypijemy za nasze wspólne zdrowie? — I napełnił dwa kubki winem z Beaugency, pochodzącym z hojności pana Bonacieux.

— Będzie to dla mnie niemałym zaszczytem — odparł tenże — i z wdzięcznością przystaję.

— Zatem do ciebie, panie... jakże się nazywasz?

— Boisrenard.

— Panie Boisrenard!

— Za twoje zdrowie, szlachetny panie. Jak pańska godność, jeżeli wolno zapytać?

— A nade wszystko — krzyknął d'Artagnan, jakby zapalem uniesiony — za zdrowie króla i kardynała.

Może być, iż miałby jakąś wątpliwość co do szczerości d'Artagnana, gdyby wino było liche, lecz że było wyborne, został więc przekonany zupełnie.

— Co za paskudztwo zrobiłeś, u diabła? — zapytał Portos, skoro wyszedł przywódca zbirów, gdy pozostali tylko we czterech. — Fe! Czterej muszkietierowie pozwalają aresztować w swojej obecności nieszczęśliwca, który woła o pomoc. Szlachcic trąca się kieliszkiem z pacholkiem więziennym.

— Portosie!... — odezwał się Aramis. — Atos ci dowiódł już, że jesteś gapiem, teraz i ja staję po jego stronie. D'Artagnanie, jesteś wielki, i kiedy będziesz już na miejscu pana de Tréville, zamawiam sobie protekcję u ciebie, abym dostał opactwo.

— Doprawdy, nic nie pojmuję! — odrzekł Portos. — Wy pochwalacie to, co zrobił d'Artagnan?...

— Ja nie tylko pochwalam, ale mu winszuję — odezwał się Atos.

— A teraz, panowie — rzekł d'Artagnan, nie troszcząc się bynajmniej o wyjaśnienie swego postępowania Portosowi — wszyscy za jednego, jeden za wszystkich; to nasze hasło, nieprawdaż?

— Jednakże... — zaczął Portos.

— Ręka do góry i przysięgnij! — zawołali razem Atos i Aramis.

Zwyciężony przykładem, klnąc z cicha, Portos podniósł rękę i czterej towarzysze powtórzyli rotę przysięgi podyktowanej przez d'Artagnana.

„Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich”.

— Tak... dobrze, a teraz każdy niech idzie do domu — rzekł d'Artagnan tonem takim, jak gdyby całe życie rozkazy tylko wydawał — i baczność, bo od tej chwili idziemy z kardynałem w zapasy.

ROZDZIAŁ X. PUŁAPKA Z SIEDEMNASTEGO WIEKU

Ponieważ nasi czytelnicy nie są prawdopodobnie oswojeni z gwarą policji francuskiej, należy wytłumaczyć im, co to jest pułapka.

Pozycja społeczna, Hańba

Przysięga, Przyjaźń

Podstęp

Jeżeli w jakimś domu zaaresztowano osobę podejrzaną o jakiś występki, aresztowanie pozostawało w najgłębszej tajemnicy. Kilku ludzi ukrywano w pierwszym pokoju i kokolwiek zapukał do tego mieszkania, wpuszczano go i także aresztowano. W ten sposób w ciągu dwóch lub trzech dni wszyscy członkowie rodziny i przyjaciele obwinionego domu wpadali w ręce policji.

Taka była owa pułapka.

Tym razem sporządzono pułapkę z mieszkania zajmowanego przez imć¹⁹² pana Bonacieux i każdy, kto się tam ukazał, był chwytany i badany przez ludzi pana kardynała. Wejście do mieszkania d'Artagnana było oddzielne, zatem odwiedzający go byli wolni od wszelkiej kontroli.

Zresztą odwiedzali go tylko trzej muszkietierowie. Wszyscy oni i każdy z osobna rzucili się do poszukiwań i nic nie znaleźli, nic nie odkryli.

Atos zapytywał pana de Tréville, co ze względu na jego nieme usposobienie wielce zdziwiło kapitana. Pan de Tréville jednak nie wiedział nic, zauważył tylko, że gdy ostatnim razem widział kardynała, króla i królową, kardynał wyglądał na zgnębionego, król był niespokojny, a zaczerwienione powieki królowej zdradzały noce bezsenne lub łzy. Ostatnia okoliczność jednak mało go uderzyła; bowiem królowa od chwili swojego małżeństwa nigdy nie sypiała i wiele płakała.

Jednak na wszelki wypadek pan de Tréville polecił Atosowi gorliwą baczność względem króla, a nade wszystko względem królowej, prosząc, aby oznajmił to samo towarzyszom.

D'Artagnan tymczasem nie ruszył się z mieszkania. Swój pokój zamienił w czatownię. Widział z okien tych wszystkich, którzy dali się złapać; następnie, wyjąwszy deskę z posadzki, wygrzebał dół w tym miejscu tak, że tylko cienki sufit przedzielał go od pokoju na dole, gdzie odbywały się badania. Słyszał więc wszystko, co działo się między badającymi i obwinionymi.

Badania dokonywane na osobach aresztowanych, poprzedzone najszczegółowszymi pytaniami, były zawarte mniej więcej w tych słowach:

— Czy pan Bonacieux nie wręczył ci czegoś dla żony lub dla kogokolwiek?

— Czy jedno lub drugie z nich nie uczyniło ci jakiegoś zwierzenia?

„Gdyby ci badający wiedzieli choć cośkolwiek, nie wypytywaliby tak gorliwie — pomyślał d'Artagnan. — A teraz o czym oni tak pragną się dowiedzieć? Czy nie ma czasami księcia Buckinghama w Paryżu i czy widział się lub ma się widzieć z królową?”

D'Artagnan zatrzymał się na tym domyśle, któremu, według tego, co słyszał, nie zbywało na prawdopodobieństwie. Tymczasem pułapka nie ustawała, ale i czujność d'Artagnana także.

Wieczorem następnego dnia po uwięzieniu biednego Bonacieux, gdy tylko Atos pożegnał d'Artagnana, by się udać do pana de Tréville, i zaledwie wybiła dziewiąta, a Planchet, nie posławszy jeszcze łóżka swojego pana, zabierał się do tej czynności, dało się słyszeć pukanie do drzwi od ulicy. Otwarto je i zatrzęsnięto natychmiast; znowu ktoś wpadł w pułapkę.

D'Artagnan rzucił się do dziury w podłodze, położył się na brzuchu i słuchał.

Wkrótce rozległy się krzyki, potem jęki, które widocznie usiłowano tłumić. O badaniach nie było mowy.

„Do diabła! — pomyślał d'Artagnan. — Zdaje mi się, że to kobieta... Rewidują ją, opiera się, używają przemocy... Nędznicy!”

Pomimo całej roztropności d'Artagnan o mało nie wyskoczył ze skóry, chcąc wnieść się w scenę rozgrywającą się na dole.

— Mówię wam, panowie, iż jestem panią tego domu, jestem panią Bonacieux; mówię wam, że należę do królowej! — wykrzykiwała nieszczęsna kobieta.

— Pani Bonacieux! — wyszeptał d'Artagnan. — Byłbym tak szczęśliwy, iż znalazłem to, czego tak szukają wszyscy?

— Na panią właśnie czekaliśmy — odpowiedzieli badający.

¹⁹²imć (daw.) — wyrażenie grzecznościowe przeważnie przed nazwiskiem lub tytułem; skrót od: jego miłość. [przypis edytorski]

Głos stawał się coraz bardziej stłumiony, szamotanie rozległo się pomiędzy ścianami. Ofiara opierała się o tyle, o ile kobieta zdoła się opierać czterem mężczyznom.

— Łaski, panowie, łas... — szeptał głos urywanymi i niewyraźnymi dźwiękami.

— Zatykają jej usta i zawloką do więzienia! — krzyknął d'Artagnan, skoczywszy jak na sprężynie. — Szpady! Dobrze, mam ją u boku. Planchet!

— Słucham pana.

— Pędź co tchu po Atosa, Portosa i Aramis. Jeden z nich na pewno musi być u siebie, a może i wszyscy trzej już powrócili. Niech wezmą broń i przychodzą, niech się śpieszą. A! Przypominam sobie, Atos jest u pana de Tréville.

— Lecz pan dokąd idzie?... Dokąd?...

— Wychodzę oknem — zawołał d'Artagnan — przedź stanę na miejscu! A ty połóż deski, gdzie należy, zamieć podłogę, wyjdź drzwiami i pędź, gdzie ci kazałem.

— O! Panie, panie, zabijesz się jeszcze! — krzyczał Planchet.

— Milcz, durniu! — zawołał d'Artagnan. — Uchwycił się futryny okna i z pierwszego piętra, które na szczęście nie było zbyt wysokie, zsunął się bez najmniejszej szkody dla siebie. Natychmiast poszedł do drzwi zapukać, mrużąc pod nosem: — I ja także dam się wziąć w pułapkę, ale biada kotom, które się o taką myszkę obetrą.

Zaledwie rozległ się odgłos młotka pod ręką młodzieńca, zgiełk ustał natychmiast, było słychać zbliżające się kroki, drzwi się rozwarły i d'Artagnan ze szpadą obnażoną wpadł do mieszkania pana Bonacieux, a drzwi, będące widocznie na sprężynie, zatrzasnęły się za nim.

Bijatyka

Wtedy ci, którzy mieszkali w nieszczęsnym domu Bonacieux i najbliżsi sąsiedzi, usłyszeli przeraźliwe krzyki, bieganie, szcęk stali i przeciągły loskot łamiących się sprzętów. Nareszcie, po niedługiej chwili, ci, których hałas zwabił do okien, mogli zobaczyć otwierające się gwałtownie drzwi i czterech ludzi czarno ubranych wyszło, a raczej wyleciało przez nie jak spłoszone kruki, pozostawiając na ziemi połamane pióra u kapeluszy i strzępy swego ubrania.

Należy przyznać, że d'Artagnan został zwycięzcą bez wielkiego trudu, bowiem tylko jeden policjant był uzbrojony i bronił się, lecz jedynie dla formy. Trzech innych próbowało wprawdzie zasypać d'Artagnana krzesłami, taboretami i całą masą garnków i rondli, lecz parę zadraśnień wypolerowaną szpadą Gaskończyka przeraziło ich okrutnie. Dziesięć minut wystarczyło, aby zostali pokonani i d'Artagnan został panem placu bitwy.

Sąsiedzi, którzy pootwierali okna, z zimną krwią, właściwą mieszkańcom Paryża w owych czasach zaburzeń i nieustanych bójek, pozamykali je, gdy tylko ujrzeli uciekających czterech ludzi ubranych na czarno. Przeczucie mówiło im, że jak na teraz, wszystko było skończone. Zresztą noc już zapadała, a onego czasu, również jak i dziś, wcześniej zabierano się do snu w dzielnicy luksemburskiej.

D'Artagnan pozostał sam z panią Bonacieux i stanął przed nią. Biedna kobieta leżała na fotelu na wół zemdlona; obrzucił ją szybkim wejrzeniem.

Była to zachwycająca dwudziestopięcioletnia kobieta; brunetka z niebieskimi oczyma, z noskiem lekko zadartym, zębami prześlicznymi, z cerą zabarwioną lekkim szkarłatem, z odbłyskami opalu¹⁹³. Tu jednak był koniec oznakom, przy których mogła uchodzić za wielką damę; ręce jej były białe, lecz za mało drobne, nogi zaś nie zdradzały kobiety wyższego pochodzenia. Na szczęście d'Artagnan nie był jeszcze wybredny, więc szczególnie te nie zajmowały go wcale.

Gdy się tak wpatrywał w panią Bonacieux, stojąc tuż przed nią, dostrzegł leżącą na ziemi chusteczkę batystową, którą, według zwyczaju, podniósł, a na jej rogu poznał te same wyszyte litery jak na chusteczce, która o mało nie spowodowała śmiertelnego starcia z Aramisem. Nie ufał on odtąd chusteczkom z cyframi i herbami, schował ją więc w milczeniu do kieszeni pani Bonacieux.

Właśnie zemdlona zaczęła powracać do zmysłów. Otworzyła oczy i z przerażeniem wiodąc nimi dokoła, ujrzała zupełnie pusty pokój i zobaczyła, że znajduje się sama ze swym wybawcą. Wyciągnęła ku niemu ręce, uśmiechając się słodko. Pani Bonacieux miała najcudniejszy uśmiezek w świecie.

— O!... Panie — odezwała się — tyś mnie ocalił. Pozwól, niech ci podziękuję.

¹⁹³opal — kamień szlachetny o charakterystycznym, mieniącym się połysku. [przypis edytorski]

— Pani — odrzekł d'Artagnan — spełniłem to, co każdy szlachcic na moim miejscu byłby zrobił, wcale więc nie zasługuję na podziękowanie.

— O! Nie mów pan tak, a ja mam nadzieję, że będę mogła dowiedzieć, iż przysługa twoja nie trafiła na niewdzięczną... — Ale cóż ci ludzie chcieli ode mnie?... Zrazu wzięłam ich za złodziei. A! Dlaczego nie ma tutaj pana Bonacieux?...

— Pani, ci ludzie byli niebezpieczniejsi od złodziei, to służalcy pana kardynała. A pani męża, pana Bonacieux, nie ma, bo wczoraj go stąd zabrano i zaprowadzono do Bastylii.

— Mego męża do Bastylii!... — krzyknęła pani Bonacieux.— O! Mój Boże! A cóż on zrobił, biedaczysko?... On, uosobiona niewinność?...

I coś na kształt uśmiechu zarysowało się na wystraszonej jeszcze twarzy młodej kobiety.

— Co zrobił? — podchwycił d'Artagnan. — Mnie się zdaje, że jego jedyną zbrodnią jest to, iż ma szczęście i zarazem nieszczęście być pani mężem...

— Więc pan wiesz...

— Wiem, że pani była porwana.

— A czy pan wiesz przez kogo? O! Jeżeli wiesz, powiedz mi, proszę.

— Przez człowieka czterdziestokilkuletniego, bruneta o ogorzałej¹⁹⁴ twarzy, z blizną na lewej skroni.

— Tak, tak. Ale jak się nazywa?

— O! Tego nie wiem wcale.

— A czy mój mąż wiedział coś o moim porwaniu?

— Dowiedział się o tym z listu, który sam napastnik do niego napisał.

— I podejrzewa przyczynę tego wypadku? — pytała pani Bonacieux z pewnym zaniepokojeniem.

— Zdaje mi się, iż przypisuje go powodom politycznym.

— Wiesz pan, i ja teraz tak myślę jak pan... A więc kochany Bonacieux nie posądzal mnie ani na chwilę.

— A! O sto mil był od takiej myśli!... On szczyli się pani zacnością, a nade wszystko miłością.

Drugi uśmiezek, niedostrzegalny prawie, przemknął po szkarłatnych usteczkach pięknej kobiety.

— Ale — kończył d'Artagnan — w jaki sposób zdołałaś pani uciec?

— Skorzystałam z chwili, w której pozostawiono mnie samą, a ponieważ od razu wiedziałam, co mam myśleć o moim porwaniu, za pomocą prześcieradeł zsunęłam się z okna; wtenczas, w przekonaniu, iż zastanę tu męża, podążyłam do niego.

— Aby szukać obrony?

— O! Nie, wiem, że nie jest do tego zdolny, biedaczysko drogi, ale mógłby nam być przydatny do czegoś innego, chciałam go więc uprzedzić.

— O czym?

— O! Tajemnica nie do mnie należy, nie mogę więc mówić o niej z panem.

— Zresztą — zauważył d'Artagnan — przepraszam panią, że, jakkolwiek młodszy od niej wiekiem, przypominam jej potrzebę ostrożności. Poza tym zdaje mi się, iż nie miejsce tutaj na zwierzenia. Ludzie, wygnani przeze mnie, powrócą niedługo w większej liczbie; jeżeli nas tu zastaną, jesteśmy zgubieni. Kazałem wprawdzie zawiadomić moich trzech przyjaciół, lecz kto wie, czy zastano ich w domu.

— Tak, tak... masz pan słuszość — wykrzyknęła pani Bonacieux z przerażeniem — uciekajmy, skryjmy się czym prędzej.

To mówiąc, wsunęła rączkę pod ramię d'Artagnana, pociągając go za sobą.

— Lecz dokąd uciekać? — pytał d'Artagnan. — Gdzie się schronić?

— Przede wszystkim oddalmy się z tego domu, a potem zobaczymy.

I oboje, nie zadając sobie nawet trudu, aby zamknąć za sobą drzwi, szybko przebiegli ulicę des Fossoyeurs, zboczyli w ulicę des Fossés-Monsieur-le-Prince i zatrzymali się dopiero na placu Saint-Sulpice.

— A teraz... co pocniemy z sobą? — zagadnął d'Artagnan. — Dokąd mam panią zaprowadzić?

Mąż, Żona

¹⁹⁴ogorzały — mocno opalony. [przypis edytorski]

— Przyznaję, iż nie wiem sama, co mam panu odpowiedzieć — odrzekła pani Bonacieux. — Miałam zamiar przez męża zawiadomić pana de La Porte, aby mógł powiedzieć nam dokładnie, co zaszło w ciągu trzech ostatnich dni w Luwrze i czy przyście moje nie grozi tam niebezpieczeństwem.

— To ja mogę zawiadomić pana de La Porte — rzekł d'Artagnan.

— Zapewne, ale na nieszczęście w Luwrze znają pana Bonacieux i jego by z łatwością wpuszczono, gdy pana nie znają wcale i drzwi przed panem zamkną.

— E! — odparł d'Artagnan. — Musisz pani mieć w Luwrze przychylnego odzwiernego, a dzięki umówionemu hasłu...

Pani Bonacieux bystro spojrzała na młodzieńca.

— A gdybym panu powiedziała to hasło?... — rzekła. — Czy zapomniałbyś je nychmiast potem?

— Słowo honoru! Słowo szlacheckie! — odrzekł d'Artagnan z taką szczerością w głosie, że niepodobna mu było nie ufać...

— Wierzę panu. Wyglądasz na uczciwego młodzieńca, zresztą, może w przyszłości spotka cię nagroda za dzisiejsze poświęcenie.

— I bez tych obietnic sumiennie spełnię wszystko, ażeby usłużyć królowi i stać się użytecznym królowej — rzekł d'Artagnan. — Rozporządzaj mną pani jak przyjacielem.

— A gdzie mnie pan przez ten czas podziejesz?

— Czy nie masz pani nikogo, skąd by cię mógł zabrać pan de La Porte?

— Nie, nikomu nie chcę się zwierzać.

— Zaraz — rzekł d'Artagnan — wszak jesteśmy przed drzwiami Atosa... Tak, nie myślę się.

— Któż to jest Atos?

— Jeden z moich przyjaciół.

— A jeżeli jest w domu i mnie zobaczy?

— Nie ma go, a gdy wprowadzę panią do jego mieszkania, zabiorę klucz ze sobą.

— A jeżeli powróci?

— Nie powróci. Wreszcie, powiem mu, że przyprowadziłem kobietę i że ta kobieta znajduje się u niego.

— Ależ to mnie może straszliwie skompromitować!

— Cóż to panią obchodzi?... Nikt pani nie zna; zresztą znajdujemy się w takim położeniu, iż nie zważa się na żadne konwenanse.

— Chodźmy więc do pańskiego przyjaciela. Gdzież on mieszka?

— Przy ulicy Férou, parę kroków stąd.

— Chodźmy.

I puścili się w drogę. Jak przewidział d'Artagnan, Atosa nie było w domu; wziął więc klucz, który dawano mu zwykle jako przyjacielowi domu, wszedł na piętro i wprowadził panią Bonacieux do mieszkanka, znanego nam już z opisu.

— Jesteś pani jak u siebie — powiedział jej. — Zamknij drzwi od wewnątrz i nie otwieraj nikomu, dopóki nie usłyszysz trzykrotnego pukania w ten sposób: uważaj pani. — I zapukał trzy razy: dwa razy szybko i dość mocno, a trzeci raz po niejkiej przerwie i znacznie lżej.

— Dobrze — rzekła pani Bonacieux — teraz kolej na mnie, aby dać panu wskazówki.

— Słucham.

— Stań pan przy furtce prowadzącej do Luwru od strony ulicy de l'Échelle i zapytaj o Germaina.

— Dobrze, a potem?

— Będzie on wypytywał pana Bóg wie o co, a ty mu odpowiesz na to wszystko tylko dwoma słowami: Tours¹⁹⁵ i Bruksela. Wtedy będzie już na twe rozkazy.

— A co ja mam mu rozkazać?

— Każesz mu pan iść do pana de La Porte, pokojowca królowej.

— A jak pan de La Porte przyjdzie?

— Przyślesz go pan do mnie...

— Dobrze, ale gdzież i jak się znowu z panią zobaczę?

¹⁹⁵ Tours — miasto w śr. Francji, nad rzeką Loarą. [przypis edytorski]

- Czy bardzo panu o to chodzi?
- Naturalnie!
- To już mnie pan pozostaw i bądź spokojny.
- Liczę na pani słowo.
- Może pan liczyć.

D'Artagnan pożegnał panią Bonacieux, rzucając jej najczulsze spojrzenie, jakim mógł objąć jej zachwycającą osobkę, a kiedy schodził na dół, usłyszał, jak zamknęła za nim drzwi na dwa spusty. W paru podskokach przybył do Luwru. Gdy przystąpił do furtki od ulicy de l'Échelle, była godzina dziesiąta.

Przebieg wypadków, które opisaliśmy, trwał zaledwie pół godziny. Wszystko stało się tak, jak powiedziała pani Bonacieux.

Na umówione hasło Germain skłonił się nisko. Dziesięć minut później pan de La Porte był już w stróżówce; w paru słowach d'Artagnan objaśnił go o stanie rzeczy i wskazał, gdzie pani Bonacieux się znajduje. De La Porte upewnił się po dwakroć o dokładności adresu i podążył tam pędem. Zaledwie jednak uszedł dziesięć kroków, zawrócił.

- Młodzieńcze — rzekł do d'Artagnana — dam ci jedną radę.
- Jaką?
- Mógłbyś być niepokojony za to wszystko, co zaszło.
- Tak pan sądzi?
- Tak. Czy masz jakiegoś przyjaciela, u którego zegar się spóźnia?
- Bo co?

— Udaj się do niego, aby mógł zaświadczyć, że odwiedziłeś go o godzinie wpół do dziesiątej. Według prawa to się nazywa alibi.

D'Artagnan uznał tę radę za roztrofną; wziął nogi za pas i wkrótce znalazł się u pana de Tréville. Zamiast jednak wejść do salonu, gdzie byli wszyscy zebrani, prosił, aby go wpuszczono do gabinetu. Ponieważ d'Artagnan był tam codziennym gościem, bez trudności spełniono jego żądanie i dano znać panu de Tréville, że jego młody ziomek, mając coś ważnego do powiedzenia, prosi o posłuchanie na osobności.

W pięć minut potem pan de Tréville zapytywał młodzieńca, czym mógłby mu służyć i czemu zawdzięcza odwiedzin o tak późnej porze.

— Przepraszam pana — rzekł d'Artagnan, który skorzystał z chwili, gdy pozostał sam, by cofnąć wskazówkę o trzy kwadransy — myślałem, że skoro jest dopiero dwadzieścia pięć minut po dziewiątej, to jeszcze czas przedstawić się panu.

— Dwadzieścia pięć minut po dziewiątej! — zawołał pan de Tréville, spoglądając na zegar. — Ależ to niepodobieństwo!

— Zechciej się pan przekonać, zdaje mi się, że zegar nie zwodzi.

— Tak — rzekł pan de Tréville — sądziłem, że już znacznie później. No cóż tam, czego sobie życzysz?

Wtedy d'Artagnan opowiedział szczegółowo panu de Tréville historię dotyczącą królowej. Przedstawił mu obawy, jakie powziął ze względu na Jej Królewską Wysokość; opowiedział mu, co zasłyszał o zamiarach kardynała względem Buckinghama, a wszystko to mówił z takim spokojem i pewnością siebie, że pan de Tréville słuchał go z tym większym zajęciem, bo sam, jak wspomnieliśmy, dostrzegł coś nowego pomiędzy kardynałem, królem i królową.

Była godzina dziesiąta, gdy d'Artagnan pożegnał pana de Tréville, który dziękował mu za wskazówki i polecił służyć serdecznie królowi i królowej, po czym wrócił do salonu. Lecz d'Artagnan, gdy był już na dole, przypomniał sobie, iż zostawił laskę; wbiegł więc szybko na górę, wpadł do gabinetu i palcem zwrócił wskazówkę na właściwą godzinę, aby nazajutrz nie dostrzeżono, że była cofnięta, i pewny już, że ma świadka, który w potrzebie dowiódłby jego alibi, zbiegł ze schodów i znalazł się wkrótce na ulicy.

ROZDZIAŁ XI. INTRYGA ZAWIĄZUJE SIĘ

Po wyjściu od pana de Tréville zamyślony d'Artagnan powracał do domu możliwie najdalszą drogą.

O czym mógł myśleć, że tak zbaczał z drogi, spoglądając na gwiazdy to z westchnieniem, to z uśmiechem na przemian!

Myślał o pani Bonacieux. Dla aspirującego muszkietera młoda kobieta była niemal ideałem miłości, a ta była ładna, tajemnicza i dopuszczona do prawie wszystkich sekretów dworskich, które taką uroczą powagą odbijały się na jej powabnych rysach, a dawały do myślenia, że nie jest dlań nieczuła, co zawsze stanowiło nieprzeparty powab dla niewytrawnych kochanków; dla d'Artagnana zaś było to tym bardziej obiecujące, że wybawił ją przecież z rąk szatanów kardynalskich.

Szybkim lotem pędzą marzenia na skrzydłach wyobraźni. D'Artagnanowi zdawało się już, że go dogania wysłaniec młodej kobiety i oddaje mu jakiś bilecik, wyznaczający schadzkę, czy też wręcza mu łańcuch złoty, a może brylant. Mówiliśmy już, iż młodzi rycerze bez obrazy przyjmowali datki królewskie, dodajmy jeszcze, że w owych czasach łatwej moralności nie wstydziła się też brać ich od swoich kochanek, które często obdarzały ich cennymi i trwałymi pamiątkami, jak gdyby chciały zwalczać nietrwałość ich uczuć mocą podarunków.

Torowano sobie drogi przez kobiety, nie ukrywając się z tym bynajmniej. Te, które prócz piękności nie miały nic więcej, oddawały swoją urodę. Bogate znowu dawały część swoich pieniędzy i można by wymienić spory zastęp bohaterów z tej miłej epoki, którzy nie dostąpiliby nigdy naprzód ostróg ani nie wygrywaliby następnie bitew, gdyby nie woreczek mniej lub więcej napełniony, który wielbiciele przyczepiałyby do ich siodeł.

D'Artagnan nie posiadał nic zgoła; nieśmiałość młodzieńcza, ta barwa mglista, kwiat krótkotrwały, ten puszek brzoskwini, ulotniła się od podmuchu rad, niezbyt zgodnych z przepisami moralności, jakich trzech muszkieterowie udzielali przyjacielowi. Idąc za ówczesnym dzikim zwyczajem, d'Artagnan czuł się w Paryżu mniej więcej jak na wojnie, jak gdyby to było we Flandrii¹⁹⁶ — tam Hiszpan, a tu kobieta. I tu, i tam wróg był do zwyciężenia i kontrybucje¹⁹⁷ do ściągnięcia. Nadmienić nam wypada, że, jak na teraz, nastrój uczuć d'Artagnana był szlachetniejszy i bezinteresowny. Gospodarz wyznał mu, że jest bogaty, więc łatwo było odgadnąć, iż przy tak ograniczonym mężu żona trzymała klucz od kasy, jednak nie to wpłynęło na uczucie wywołane widokiem pani Bonacieux, a iskra miłości nie miała prawie nic wspólnego z rachubą. Mówimy: prawie nic, gdyż świadomość, że kobieta młoda, piękna i rozumna jest zarazem bogata, nie osłabia miłości, przeciwnie, jeszcze ją potęguje.

W dostatkach bywa moc nawyknień i wybryków arystokratycznych, które dodają uroku piękności. Cieniutka jedwabna pończoszka, suknia ozdobna, zarzutka¹⁹⁸ z cennych koronek, piękny trzewiczek, świeża wstążka we włosach nie upiększą kobiety brzydkiej, lecz podnoszą urodę pięknej.

Zresztą nie ukrywaliśmy przed naszymi czytelnikami stanu majątkowego d'Artagnana. Nie był on milionerem bynajmniej. Wprawdzie nie brakło mu nadziei zostania nim w przyszłości, lecz czas, który oznaczył sobie na tę szczęśliwą przemianę, dość był jeszcze daleki. A co za rozpacz widzieć ukochaną kobietę pragnącą tysiąca drobnostek składających się na jej szczęście i nie mieć możliwości ich dostarczenia. Przeciwnie, gdy kochanka jest bogata, to choć kochanek jej ubogi i ofiarować nic nie może, sama sobie starczy na wszystko — zazwyczaj z pieniędzy mężowskich, za co wprawdzie wdzięczność przypada w udziale bynajmniej nie mężowi.

Ale d'Artagnan, usposobiony na jak najtkliwszego kochanka, nie przestał być wiernym przyjacielem. Wśród zamiarów miłosnych względem żony gospodarza nie zapomniał o swoich widokach.

Można było poszczycić się tą śliczną kobietką nie tylko na przechadzkach w Saint-Denis lub też w Saint-Germain na jarmarku, ale też i w towarzystwie Atosa, Portosa i Aramis, którym z dumą pokazać by mógł taką zdobycz. Że zaś po dłuższej przechadzce przychodzi głód, co miał sposobność zauważyć szczególnie od pewnego czasu, spożywano by milutkie obiady, w czasie których on miałby po jednej stronie rękę przyjaciela, po drugiej nóżkę kochanki. Wreszcie w wypadkach kłopotliwych, w ciężkich chwilach mógłby być zbawieniem dla przyjaciół.

A cóż się działo z panem Bonacieux, którego d'Artagnan oddał w ręce zbirów, wyparłszy się go głośno, a którego po cichu obiecał wybawić? Musimy przyznać, że przez

¹⁹⁶Flandria — kraina historyczna, obecnie na terenie Francji, Belgii i Holandii. [przypis edytorski]

¹⁹⁷kontrybucja — opłata wnoszona przez pokonanego na rzecz zwycięzcy. [przypis edytorski]

¹⁹⁸zarzutka (daw.) — narzutka, okrycie zarzucane na ramiona. [przypis edytorski]

Marzenie, Wyobraźnia

Rycerz, Kobieta, Bogactwo

Bogactwo, Kobieta,
Młodość, Piękno, Miłość,
Strój

Kobieta, Kochanek, Mąż,
Zdrada, Pieniądz

myśl mu nawet nie przeszedł, a jeżeli wspomniał o nim, to tylko po to, aby sobie powiedzieć, że dobrze mu tam, gdzie jest, gdziekolwiek by się znajdował. Najbardziej samolubną namiętnością jest miłość.

Samolubstwo, Miłość

Wszelako niechaj nasi czytelnicy będą wolni od obawy. Jeżeli d'Artagnan udawał tylko czy rzeczywiście zapomniał o swoim gospodarzu pod pozorem, że nie wiedział, dokąd go wzięto, my nie zapomnimy o nim, a wiemy, gdzie się znajduje. Jednak na chwilę idźmy za przykładem rozkochanego Gaskończyka.

D'Artagnan, zamyślony o swej przyszłej miłości, przemawiając do ciemności nocnych, uśmiechając się do gwiazd, szedł prosto ulicą Cherche-Midi. A ponieważ była to dzielnica, w której mieszkał Aramis, przyszła mu myśl odwiedzić przyjaciela, aby mu wyjaśnić, dlaczego przysłał Plancheta z wezwaniem, aby niezwłocznie stawił się w pułapce.

Alarm ten zasługiwał na wyjaśnienie, tak przynajmniej sądził d'Artagnan.

W duchu zaś dodawał jeszcze, że jest to dla niego sposobność pomówienia o ładniutkiej pani Bonacieux, która, jeżeli nie jego serce, to umysł przepelniała bezmiernie.

Nie można wymagać od pierwszej miłości, aby była dyskretna.

Miłość, Radość

Pierwszemu takiemu uczuciu towarzyszy tak bezbrzeżna radość, że gdyby nie pozwolił jej ujść na zewnątrz, zdławiłaby swoim ogromem.

Już od dwóch godzin światła pogasły w Paryżu, na ulicach robiło się pusto. Wszystkie zegary przedmieścia Saint-Germain wydzwoniły jedenastą; pogoda była łagodna i cicha. D'Artagnan postępował zaułkiem, gdzie dziś ulica d'Assas, i oddychał przyniesioną powiewem wiatru od strony ulicy de Vaugirard wonią, którą słały ogrody odświeżone wieczorną rosą i chłodem cichej nocy letniej.

Z daleka brzmiały przygłuszone szczerze zamkniętymi okiennicami śpiewy pijaków zapóźnionych w różnych szynkowniach¹⁹⁹. Doszedłszy do końca zaułka, d'Artagnan zawrócił na lewo. Dom, w którym mieszkał Aramis, znajdował się pomiędzy ulicą Cassette a ulicą Sarvandoni. Minął ulicę Cassette i drzwi domu przyjaciela rysowały się już przed nim w ciemności, otulone gąszczem bluszczu i klonów, gdy dostrzegł coś na kształt cienia, wysuwającego się z ulicy Sarvandoni.

To coś było osłonięte płaszczem tak, że zrazu d'Artagnan sądził, iż jest to mężczyzna; lecz mały wzrost, niepewny chód i lękliwe ruchy wkrótce dały mu poznać, że była to kobieta. Co więcej, owa kobieta, jak gdyby nie wiedząc, gdzie znajduje się dom, do którego dąży, oglądała się dokoła, stawała, zawracała i szła znowu dalej.

D'Artagnan zapalał ciekawością.

„A gdybym jej ofiarował swe usługi? — pomyślał. — Z ruchów znać, że jest młoda, a może i ładna. O! Z pewnością! Kobieta przebiegająca o tej porze ulicę wychodzi jedynie po to, aby spotkać się z kochankiem. E! Do licha! Gdybym przeszkodził schadzce, wybrałbym nieosobliwe drzwi do wejścia w przyjazne stosunki”.

Kobieta ciągle postępowała dalej, licząc domy i okna. Nietrudna to zresztą i niedługa była historia. W tej części ulicy znajdowały się tylko trzy domy mieszkalne. Dwoje okien wychodziło na nią: jedno w pawilonie, równoległym do zamieszkanego przez Aramisa, drugie z jego własnego mieszkania.

— Do kaduka — mruknął d'Artagnan, któremu przyszła na myśl siostrzenica teologa — a to byłoby zabawne, gdyby ta zapóźniona gołąbka szukała domu naszego przyjaciela. Na honor, jakoś bardzo mi na to wygląda. Kochany Aramisie... teraz już nie chcę mieć żadnej wątpliwości.

I kuląc się, jak mógł najbardziej, przyparł do muru obok kamiennej ławki, w głębi framugi.

Młoda kobieta wciąż szła, a lekki chód znamionował jej młodość. Od czasu do czasu pokaszliwała leciutko, zdradzając przy tej sposobności dźwięczny i świeży głosik. D'Artagnanowi przyszło na myśl, że ten kaszel może być umówionym hasłem.

Czy odpowiedziano na ten umówiony znak innym odpowiednim znakiem, który rozproszył niepewność nocnego gościa, czy też bez cudzej pomocy poznała, że stoi u celu wycieczki, dość, że śmiało przystąpiła do okiennicy Aramisa i zapukała w trzech równych przerwach zgiętym paluszkami.

¹⁹⁹szynkownia — gospoda, zajazd, oberża. [przypis edytorski]

— Ani chybi, że to do niego — mruknął d'Artagnan. — A! Panie hipokryto!... Mam cię, kochanku, jak nad teologią pracujesz!...

Zaledwie dało się słyszeć pukanie, otworzyło się okno wewnętrzne i przez szpary okiennicy pokazało się światło.

— Ho! Ho! — szepnął z cicha podsluchujący nie pod drzwiami, lecz pod oknami. — O! Wizyta była oczekiwana. A teraz okiennica się otworzy i damulka wdrapie się przez okno. Wybornie!

Lecz, ku jego wielkiemu zdziwieniu, okiennica pozostała zamknięta. Co więcej — światło, które zabłysło na chwilę, zniknęło i wszystko pogrążyło się w ciemnościach.

D'Artagnan pewny, że to nie potrwa długo, wytrzeszczał oczy i wytężał pilnie słuch.

Miał słuszną, w zaledwie kilka sekund dwa urywane uderzenia rozległy się wewnątrz.

Kobieta z ulicy odpowiedziała jednym i okiennica się otworzyła.

Łatwo pojąć, jak d'Artagnan patrzył i słuchał z chciwością. Na nieszczęście, światło przeniesiono do innego pokoju! Ale oczy młodzieńca oswoiły się z ciemnością. Zwłaszcza że oczy Gaskończyków, jak mówią, mają własność taką, jak oczy kocie: wybornie widzą wśród nocy.

D'Artagnan zobaczył więc, że młoda kobieta dobyteła z kieszeni jakiś biały przedmiot, który, gdy go rozłożyła, przybrał kształt chusteczki. Rozłożywszy ją, pokazała różek osobie będącej w mieszkaniu.

Co, u diabła, miała znaczyć ta chusteczka?

Z miejsca, gdzie d'Artagnan stał, nie mógł widzieć twarzy Aramis, ale ani nawet na chwilę nie wątpił, że to jego przyjaciel prowadzi rozmowę od wewnątrz z damą stojącą na zewnątrz. Ciekawość jednak przemogła rozsądek. Korzystając więc z zajęcia, w jakim widok chusteczki zdawał się pogrążyć dwie osoby wchodzące w grę, wyszedł ze swej kryjówki i szybki jak błyskawica, tłumiąc odgłos kroków, przypadł do rogu muru, skąd jego wzrok jak najlepiej mógł się zagłębić do wnętrza mieszkania Aramis.

Stanąwszy tam, o mało nie wydał okrzyku zdumienia. To nie Aramis prowadził rozmowę z damą pod oknem, lecz kobieta; d'Artagnan widział na tyle w ciemnościach, że mógł rozróżnić ubranie, nie widział jednak tyle, aby mógł zobaczyć rysy.

Prawie jednocześnie ta, która stała w pokoju, wyjęła z kieszeni drugą chusteczkę, zamieniając na tę, którą jej pokazano. Następnie obie kobiety powiedziały do siebie kilka słów. Nareszcie okiennica zamknęła się; kobieta stojąca pod oknem zawróciła i przeszła o parę kroków od d'Artagnana, zakrywając się kapturkiem płaszcza. Ostrożność ta jednak została przedsięwzięta za późno, bo przedtem już d'Artagnan poznał panią Bonacieux.

Pani Bonacieux! Podejrzewał on już, że to była ona, gdy zobaczył chusteczkę wyjętą z kieszeni; nie przypuszczał jednak, aby pani Bonacieux, która posłała po pana de La Porte, by ją odprowadził do Luwru, uganiała się sama jedna po ulicach Paryża o wpół do dwunastej w nocy, narażając się na powtórne porwanie. Musiał być nader ważny powód. A jakież może on być dla kobiety dwudziestopięcioletniej? Miłość. Ale, czy to na rachunek własny, czy na cudzy, wystawiała się na nocne przygody? Pytanie to dręczyło młodzieńca, któremu szatan zazdrości pożerał serce, ni mniej, ni więcej, jak gdyby był już uprawnionym kochankiem.

Ażeby przekonać się, dokąd pójdzie pani Bonacieux, pozostawał mu jedyny sposób: iść za nią. D'Artagnan instynktownie użył go. Lecz na widok mężczyzny, który oderwał się od muru jak posąg od framugi, i na odgłos kroków rozlegających się poza nią, pani Bonacieux wydała lekki okrzyk i poczęła uciekać.

D'Artagnan pogonił. Nietrudną było rzeczą dopędzić kobietę, której płaszcz krępował ruchy. Wkrótce też znalazł się tuż przy niej. Nieszczęsna, wyczerpana była nie zmęczeniem, lecz przerażeniem, i gdy d'Artagnan położył rękę na jej ramieniu, przyklękła na jedno kolano, wołając zdławionym głosem:

— Zabij mnie, ale nic się nie dowiesz!

D'Artagnan podniósł ją, obejmując wpół. Lecz czując po ciężarze, że jest bliska zemdlenia, zaczął uspakajać ją najczulszymi słowami. Słowa te nie wpłynęły na uspokojenie pani Bonacieux, tak samo odzywać się mógł ktoś mający jak najgorsze zamiary w świecie; lecz tu stanowił o wszystkim głos. Jego brzmienie wydało się jej znajome. Uchyliła

powieki i szybkim wejrzeniem ogarnęła tego, który tak strasznie ją przeraził, a poznawszy d'Artagnana, wykrzyknęła radośnie.

— O! To pan! To ty!... Dziękuję ci, Boże!

— Tak, to ja — odrzekł d'Artagnan — ja, zesłany przez Boga, abym czuwał nad panią.

— Czy i w tym zamiarze śledził mnie pan? — spytała z zalotnym uśmiechem młoda kobieta, której drwiące usposobienie poczynało się objawiać, bo znikły jej wszelkie obawy z chwilą, kiedy poznała przyjaciela w tym, którego uważała za wroga.

— Nie — odrzekł d'Artagnan — przyznaję, że nie. Wypadek postawił mnie na drodze pani. Widząc kobietę, pukającą do okna jednego z moich przyjaciół...

— Jednego z pańskich przyjaciół? — przerwała pani Bonacieux.

— Bez wątpienia, Aramis jest moim najlepszym przyjacielem.

— Aramis! Któż to taki?

— Cóż znowu?... Chcesz pani powiedzieć może, iż nie znasz Aramisa?

— Pierwszy raz w życiu słyszę to nazwisko.

— Więc to po raz pierwszy przychodzisz pani do tego domu?

— Rozumie się.

— I nie wiedziałaś pani, że w nim mieszka człowiek młody?

— Nie.

— Muszkieter?

— Nic nie wiedziałam.

— Więc pani nie do niego przysłaś?

— Wcale nie. Wreszcie widziałeś pan dobrze, że osoba, z którą rozmawiałam, jest kobietą.

— Prawda, lecz ta kobieta jest jedną z przyjaciółek Aramisa.

— Nie wiem.

— Skoro u niego przebywa...

— To do mnie nie należy.

— Więc któż to taki?

— O! To nie moja tajemnica.

— Droga pani Bonacieux, jesteś czarującą, ale zarazem strasznie tajemniczą kobietą...

Tajemnica, Kobieta

— Czy coś na tym trące?

— Nie, przeciwnie, jesteś godna ubóstwienia.

— Kiedy tak, podaj mi pan ramię.

— Najchętniej. A teraz?

— A teraz prowadź mnie.

— Dokąd?

— Tam, dokąd idę.

— A dokąd pani idzie?

— Zobaczysz pan, ponieważ opuścisz mnie u drzwi.

— Czy będzie można poczekać na panią?

— Byłoby to daremne.

— Powrócisz więc pani sama?

— Może tak, a może nie.

— Ale któż pani będzie towarzyszyć, mężczyzna czy kobieta?

— Nic jeszcze nie wiem.

— No to ja będę wiedział.

— W jaki sposób?

— Poczekam, ażeby zobaczyć, jak pani będzie wychodziła.

— Kiedy tak, to żegnam!

— Dlaczego?

— Nie potrzebuję pana.

— Ależ pani żądała...

— Pomocy szlachcica, a nie dozoru szpiega.

— Słówko trochę za ostre.

— A jak nazywają tych, którzy śledzą ludzi wbrew ich woli?

— Niedyskretnymi.

- Nazwa trochę za łagodna.
- Cóż robić, widzę, że trzeba tak chcieć, jak pani chce.
- Czemuż ująłeś pan sobie zasługi, nie czyniąc tego od razu?
- Czyż nie ma ludzi bez winy i żalu?
- Żałujesz więc pan prawdziwie i szczerze?
- Sam nie wiem, doprawdy. To tylko wiem, że przyrzekam spełnić wszystkie pani rozkazy, jeżeli pozwolisz mi towarzyszyć tam, dokąd idziesz.
- I zostawisz mnie pan potem samą?
- Tak.
- I nie będziesz śledził mnie, gdy będę wychodzić?
- Nie.
- Słowo honoru?
- Słowo szlacheckie!
- Więc daj mi pan rękę i chodźmy.

D'Artagnan podał jej ramię, na którym oparła się na wpół roześmiana, na wpół drżąca, i udali się oboje w górę ulicy de la Harpe.

Doszedłszy tam, młoda kobieta zawahała się widocznie, tak samo jak na ulicy Vaugirard. Musiała poznawać bramy domów po jakichś znakach, podchodząc ku nim.

— Teraz, panie — rzekła — tutaj właśnie mam czynność do załatwienia. Tysiącnie dzięki za twoje zacne towarzystwo, które uchroniło mnie od wszelkich niebezpieczeństw, na jakie, idąc sama, byłabym wystawiona. Nadeszła chwila dotrzymania danego mi słowa, przyszedłam na miejsce przeznaczenia.

- I nie będziesz pani miała żadnej obawy, powracając?
- Mogę się obawiać tylko złodziei.
- Czyż to nie dość?
- Cóż by mogli mi zabrać? Szeląga²⁰⁰ przy sobie nie mam.
- Zapominasz pani o chusteczce z herbami haftowanymi.
- O jakiej?
- O tej, którą u nóg twoich znalazłem i do kieszeni jej włożyłem.

— Milcz! Milcz! Nieszczęsny! — krzyknęła kobieta. — Czy chcesz mnie zgubić?

— Widzisz więc pani, że ci jeszcze grozi niebezpieczeństwo, bo przynajmniej, że gdyby to słowo zostało usłyszane, byłabyś zgubiona. O pani, wysłuchaj mnie — zawołał d'Artagnan, ujmując jej rękę i obejmując ją płomiennym wejrzeniem — wysłuchaj! Bądź łaskawsza dla mnie i zaufaj mi. Czyż nie wyczytałaś z mych oczu, iż serce moje jest przepelnione poświęceniem i sympatią dla ciebie?!

— Wierzę — odrzekła pani Bonacieux. — Zażądaj pan tajemnic moich, a powiem ci je wszystkie, lecz nic domagaj się tych, które nie należą do mnie.

— Dobrze — odrzekł d'Artagnan — więc sam je odkryję. Skoro tajemnice te mają mieć wpływ na pani życie, muszą je poznać.

— Strzeż się pan — zawołała młoda kobieta z powagą, która przejęła d'Artagnana mimowolnym dreszczem. — O! Nie mieszaj się do tego, co do mnie należy, nie usiłuj dopomagać mi w tym, co spełniam sama. Żądam tego w imię sympatii, jaką budzę w panu, w imię przysługi, którą mi wyświadczyłeś, a której, póki żyję, nie zapomnę. Chciej uwierzyć raczej w to, co mówię. Nie zajmuj się pan mną więcej, niech nie istnieją dla ciebie, niechaj tak będzie, jak gdybyś mnie nigdy w życiu nie widział.

— Czy i Aramis winien uczynić tak samo jak ja? — zapytał do żywego dotknięty d'Artagnan.

— Pan już dwa czy trzy razy powtórzył to imię, a mówiłam ci, że go wcale nie znam.

— Nie znasz pani człowieka, do którego okiennicy pukałaś przed chwilą? Pani masz mnie za zbyt naiwnego!

— Przyznaj pan, że układasz całą historię, aby wyciągnąć mnie na słówka, i tego Aramisa wymyśliłeś po prostu.

— Nic nie wymyśliłem ani nic nie układam, mówię tylko najszczerzą prawdę.

— Utrzymujesz więc, iż jeden z twoich przyjaciół mieszka w tym domu?

²⁰⁰szeląg — dawna drobna moneta miedziana. [przypis edytorski]

— Powiedziałem i po raz trzeci powtarzam, iż dom ten zamieszkały jest przez mego przyjaciela, a jest nim Aramis.

— Wszystko to wyjaśni się później — szepnęła kobieta — a teraz milcz, błagam pana.

— Gdybyś pani była w stanie zajrzeć w moje serce — odezwał się d'Artagnan — wyczytałabyś w nim tyle ciekawości, iż litość byś dla mnie uczuła, a miłości tyle, iż zaspokoiłabyś natychmiast moją ciekawość. Nie powinniśmy się obawiać tych, którzy nas kochają.

— Za prędko prawisz o miłości, mój panie! — odezwała się młoda kobieta, potrząsając głową.

— Bo miłość ta przyszła na mnie nagle i to po raz pierwszy; nie mam jeszcze dwudziestu lat.

Kobieta spojrzała na niego ukradkiem.

— Posłuchaj mnie, pani, już wpadłem na ślady — rzekł d'Artagnan. — Trzy miesiące temu o mało nie doszło do pojedynku z Aramisem o chustkę podobną do tej, którą pokazywałaś damie przebywającej u niego, o chusteczkę znaczoną w ten sam sposób. Jestem tego pewny.

— Panie — odpowiedziała młoda kobieta — przysięgam ci, iż męczysz mnie okrutnie tym badaniem.

— Ale ty, pani, tak przezorna, pomyśl, że gdybyś została uwięziona z chusteczką tą, gdyby ci ją pochwycono, nie byłabyś skompromitowana?

— Z jakiej racji? Wszak litery moje są: K. B., Konstancja Bonacieux.

— Albo też Kamila de Bois-Tracy.

— Cicho, panie, cicho! Jeżeli nie powstrzymuje cię myśl o moim niebezpieczeństwie, pomyśl o tym, na które sam się narażasz!

— Ja?

— Tak, dla ciebie niebezpieczeństwo więzienia, dla mnie niebezpieczeństwo śmierci!

— To ja pani nie odstąpię.

— Panie — odezwała się, błagalnie składając ręce — panie, na imię Boskie, na honor żołnierski, w imię uczciwości szlacheckiej, oddał się. Słuchaj, północ już bije, to godzina, o której na mnie czekają.

— Pani — rzekł młodzieniec z ukłonem — nie jestem w stanie odmówić, gdy mnie ktoś prosi w ten sposób; bądź zadowolona, odchodzę.

— I nie będziesz pan szedł za mną, nie będziesz mnie śledził?

— Wracam natychmiast do siebie.

— O! Wiedziałaś to od razu, że zacnym młodzieńcem jesteś! — zawołała pani Bonacieux, podając mu rękę, a drugą biorąc za młotek u maleńkich drzwi ukrytych w murze. D'Artagnan pochwyił podaną sobie rękę i wycisnął na niej gorący pocałunek.

— O! Wolałbym, gdybyśmy się nigdy nie spotkali — zawołał z tą naiwną prostotą, która więcej ujmuje kobiety niż gładkie słówka grzeczności; odsłania ona bowiem głębię myśli i dowodzi, że uczucie bierze nad rozumem górę.

— Kiedy tak... — odrzekła pani Bonacieux głosem pieszczotliwym nieledwie, ścisnąc rękę d'Artagnana, który przytrzymał jej rączkę — to kto wie, czy wtedy, gdy już będę zwolniona z przysięgi, nie uczynię zadość pańskiej ciekawości?...

— A czy obiecujesz mi to samo dla mojej miłości? — zawołał d'Artagnan w radosnym uniesieniu.

— O! Co do tego, nie chcę się zobowiązywać, będzie to zależeć od uczuć, jakie potrafisz wzbudzić.

— Zatem dziś, pani...

— Dziś, panie, mam dla ciebie jedynie wdzięczność.

— O! Jesteś pani zachwycająca nad wyraz — rzekł ze smutkiem d'Artagnan — i nadużywasz mojej miłości.

— Nie, korzystam tylko z pańskiej szlachetności, ot i wszystko. Wierżaj mi jednak szczerze, iż są ludzie, u których nic się nigdy nie traci.

— O! Pani, najszczęśliwszym z ludzi mnie czynisz. Nie zapomnij wieczoru dzisiejszego, nie zapomnij swojej obietnicy.

— Bądź pan spokojny, w przyjaznej chwili przypomnę sobie o wszystkim. A teraz odejdz pan, na imię Boskie! Spóźniłam się już, oczekiwano mnie o samej północy.

— Upłynęło zaledwie pięć minut.

— Tak, lecz w niektórych razach pięć minut staje się pięćmioma wiekami.

— Wtedy, gdy kochamy.

— A któż panu mówi, że nie mam do czynienia z zakochanym?

— Więc to mężczyzna oczekuje na panią? — wykrzyknął d'Artagnan. — Mężczyzna!

— O! Znow zaczyna się rozprawa — zauważyła pani Bonacieux, na wpół z uśmiechem, na wpół ze zniecierpliwieniem.

— Nie, nie, odchodzę już, uciekam. Wierzę w ciebie, pani, bo pragnę mieć zasługę w moim poświęceniu dla ciebie, choćby nawet miało być ono głupotą. Żegnaj mi, pani, żegnaj!

I jak gdyby nie czuł się na siłach, aby oderwać się od ręki, którą trzymał w dłoniach, zrobił gwałtowny ruch i oddalił się pędem, gdy pani Bonacieux po trzykroć zapukała uderzeniem powolnym i miarowym, tak samo jak do okiennicy. Dobiegłszy do rogu ulicy, obejrzał się, drzwiczki się otworzyły i zamknęły i piękna żona kupca zniknęła za nimi.

D'Artagnan szedł dalej. Dał słowo, że nie będzie szpiegował pani Bonacieux i gdyby nawet życie jego zależało od tego, dokąd się uda, lub od osoby, która miała jej towarzyszyć, wróciłby do siebie, bo powiedział, że wróci.

Pięć minut później był już na ulicy des Fossoyeurs.

— Biedny Atos — mówił sam do siebie — nic nie będzie wiedział, co to wszystko znaczy. Może zasnął, czekając na mnie, lub może powrócił do siebie i dowiedział się, że kobieta znajduje się w jego mieszkaniu. Kobieta u Atosa! No, przecież była tam jakaś u Aramis. To wszystko jest niesłychanie dziwne i jestem mocno ciekawy, jak się skończy.

— Źle, panie, źle — odpowiedział mu głos, po którym d'Artagnan poznał Plancheta, gdyż rozmawiając z sobą głośno, jak zwykle ludzie roztargnieni, wszedł do sieni, z której schody prowadziły do jego mieszkania.

— Jak to źle? Co ty pleciesz, durniu? — zapytał d'Artagnan. — Co się takiego stało?

— Nieszczęście!

— Jakie?

— Najpierw, pan Atos uwięziony.

— Uwięziony?... Atos?... Za co?

— Zastano go u pana i za pana go wzięto.

— A któż go aresztował?

— Straż przyprowadzona przez ludzi w czerni, których pan zmusił do uciezki.

— Czemuż nie powiedział, jak się nazywa? Czemuż nie powiedział, że do tej sprawy wcale nie należy?

— Tęgo się właśnie wystrzegaliśmy najbardziej. Zbliżył się do mnie, mówiąc: „Twój pan nade wszystko winien teraz pozostać wolny, a nie ja, ponieważ on wie o wszystkim, ja o niczym. Będą myśleli, że go mają, przez co zyska na czasie; za trzy dni powiem im, kim jestem, i muszą mnie wypuścić”.

— Brawo!... Atos!... Szlachetne serce!... — mruknął d'Artagnan. — Poznaję go po tym! A co zrobili zbiry?

— Czterech poprowadziło go, nie wiem dokąd, do Bastylii czy też do For-l'Évêque; dwóch zaś pozostało z ludźmi w czerni, którzy przetrząsnawszy wszystkie zakątki, zabrali papiery, jakie tylko były. Dwóch wreszcie w ciągu tej czynności stało u drzwi na straży. Potem, gdy wszystko już się skończyło, odeszli, zostawiając pusty i otwarty dom.

— A Portos i Aramis?

— Nie zastałem ich, więc nie przyszli.

— Mogą jednak przyjść lada chwila, bo powiedziałeś im przecie, iż czekam na nich?

— Tak, panie.

— Zatem nie rusz się stąd ani na krok. Jeżeli przyjdą, powiedz im, co się zdarzyło, niech poczekają na mnie w oberży „Pomme de Pin”, tutaj mogłoby być niebezpiecznie, dom może być strzeżony. Ja śpieszę do pana de Tréville, by mu o wszystkim oznajmić, i sam do nich przyjdę.

— Dobrze, proszę pana.

— Ale ty zostaniesz i nie będziesz się bał! — rzekł d'Artagnan, powracając jeszcze, aby zalecić odwagę słuzącemu.

— Niech pan będzie spokojny — rzekł Planchet. — O! Pan mnie jeszcze nie zna; jak sobie powiem, to jestem odważny, muszę tylko sobie powiedzieć. Zresztą jestem Pikardyjczykiem.

— Więc rozumiałeś już: dasz się raczej zabić, a nie opuścisz tego domu.

— Tak, panie, o! Nie ma rzeczy, której bym nie uczynił, by panu dowieść mego przywiązania.

— Dobrze — rzekł d'Artagnan do siebie — widocznie metoda, której użyłem względem tego chłopca, była bardzo trafna, przy sposobności będę ją nadal stosował.

I na ile mu na to pozwoliły nogi, bo już czuł się zmęczony bieganiną, popędził na ulicę du Vieux-Colombier.

Nie zastał pana de Tréville w domu. Jego oddział był w Luwrze na służbie, a on razem ze swym oddziałem. Trzeba było koniecznie dotrzeć do niego i zawiadomić o tym, co się dzieje. D'Artagnan postanowił więc wcisnąć się do Luwru.

Mundur straży pana des Essarts winien mu być utorować drogę. Zszedł więc na ulicę Petits-Augustins i zawrócił na bulwar, aby przejść przez Pont Neuf²⁰¹. Powziął na chwilę zamiar przepłynięcia się promem przez rzekę, lecz stanąwszy już nad brzegiem, wsunął machinalnie rękę do kieszeni i przekonał się, że nie ma czym zapłacić przewoźnikowi.

Gdy podążył już w górę ulicy Guénégaud, dostrzegł dwie osoby wychodzące z ulicy Dauphine, a ich powierzchowność mocno go uderzyła: byli to kobieta i mężczyzna.

Pierwsza przypominała panią Bonacieux, drugi podobny był do Aramis.

Nadto kobieta była okryta takim samym płaszczem, jaki zarysował mu się na tle okiennicy przy ulicy Vaugirard i na drzewkach ulicy de la Harpe.

Co więcej, mężczyzna miał na sobie mundur muszkieterski.

Kobieta szła z opuszczonym kapturkiem, mężczyzna trzymał przy twarzy chusteczkę. Ostrożność ta wskazywała, że jak jej, tak i jemu zależało na tym, aby ich nie poznano.

Weszli na most.

Tą drogą miał iść i d'Artagnan do Luwru; poszedł więc za nimi.

Nie zrobił jeszcze dwudziestu kroków, gdy upewnił się w podejrzeniu, że kobietą jest pani Bonacieux, a mężczyzną Aramis.

Wszystkie podejrzenia zazdrości wstrząsnęły mu serce.

Pani Bonacieux przysięgała mu, że nie zna Aramis, a kwadrans po tych zakłęciach spotyka ją oto przy jego boku!

Nie zastanowił się tylko, że znał piękną żonę kupca zaledwie od trzech godzin, że nic mu nie była winna prócz nieco wdzięczności za wyrwanie z rąk ludzi w czerni, którzy chcieli ją porwać, i że nie dała mu żadnych obietnic. Wszakże miał się za kochankę zhańbionego, zdradzonego, sponiewieranego. Zakipiał gniewem, krew mu uderzyła do skroni, postanowił wszystko wyjaśnić.

Dwoje młodych ludzi spostrzegło, iż są śledzeni, podwoili więc kroku.

D'Artagnan pośpieszył, wyminał ich, następnie zawrócił i poszedł ku nim w chwili, gdy przechodzili pod latarnią, która rzucała światło na całą tę część mostu.

Zatrzymał się przed nimi i oni też stanęli.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał muszkietier akcentem cudzoziemskim, jakby chciał dowieść d'Artagnanowi, iż myli się co do swych przypuszczeń.

— To nie Aramis! — wykrzyknął.

— Nie, panie, wcale nie Aramis. A po wykrzyknieniu tym widzę, że za kogoś innego mnie wzięłeś, przebaczam więc panu.

— Przebaczasz mi pan? — zawołał d'Artagnan.

— Tak — odrzekł nieznajomy — ustąp pan więc z drogi, skoro nie do mnie masz interes.

— Bardzo słusznie, mój panie! — odparł d'Artagnan. — Nie do pana, lecz do pani mam interes...

— Do pani?... Wcale jej nie znasz!... — rzekł nieznajomy.

— Mylisz się pan, ja ją znam!

²⁰¹ *Pont Neuf* — XVII-wieczny most nad Sekwaną w Paryżu, jego budowę zarządził w 1577 król Henryk III, ukończony w 1607 za panowania Henryka IV; najstarszy istniejący most w mieście. [przypis edytorski]

— O! — odezwała się pani Bonacieux z wymówką. — O, panie! Daleś mi słowo szlacheckie; spodziewam się, iż mogę na nie liczyć.

— A mnie — odezwał się w zakłopotaniu d'Artagnan — mnie pani przyrzekała...

— Weź mnie pani pod rękę — rzekł cudzoziemiec — i chodźmy dalej.

D'Artagnan, oszołomiony, zdrętwiały tym wszystkim, co go spotkało, stał jak wryty z rękami skrzyżowanymi na piersiach przed muszkietierem i panią Bonacieux.

Muskietier zrobił dwa kroki i ręką odsunął na bok d'Artagnana.

Ten rzucił się w tył i dobył szpady.

Jednocześnie, z błyskawiczną szybkością, nieznajomy uczynił to samo.

— Milordzie, na Boga! — krzyknęła pani Bonacieux, rzucając się pomiędzy walczących i rękami chwytając za ostrza.

— Milord!... — zawołał d'Artagnan, myślą nagłą oświecony. — Milord!... Wybacz panie, byłżebyś...

— Milord, księżę Buckingham — odezwała się półgłosem pani Bonacieux. — A teraz możesz nas wszystkich zgubić.

— Milordzie, pani, przebaczenia! Po tysiąc razy przebaczenia!... Ale ja kochałem ją i byłem zazdrosny, a wiesz przecie, milordzie, co to kochać. Przebacz mi i powiedz, w jaki sposób życie za ciebie oddać.

— Dzielnym z ciebie młodzieniec — rzekł Buckingham, podając mu rękę, którą tenże uściśnął z szacunkiem. — Ofiarujesz mi swoje usługi, przyjmuję. Idź za nami o dwadzieścia kroków aż do Luwru; gdyby nas ktoś śledził, zabij go!

D'Artagnan wziął pod pachę obnażoną szpadę, pozwolił pani Bonacieux i Buckinghamowi wyprzedzić się o dwadzieścia kroków i postępował za nimi, gotów spełnić co do litery zlecenia świętego ministra Karola I²⁰².

Na szczęście jednak młodzieniec nie miał najmniejszej okazji, aby dowieść wierności, i młoda kobieta z pięknym muszkietierem dostali się do Luwru przez furtkę od ulicy de l'Échelle bez najmniejszej przeszkody.

D'Artagnan zaś udał się niezwłocznie do oberży „Pomme de Pin”, gdzie zastał oczekujących na niego Portosa i Aramisą.

Nie tłumacząc się ze sprawionego im niepokoju, oświadczył tylko, iż sam zakończył sprawę, do której chwilowo odwołał się o ich współdziałanie.

A teraz, idąc za biegiem naszego opowiadania, zostawiwszy trzech przyjaciół wracających do domu, zapuścmy się w zaułki Luwru, za księciem Buckinghamem i jego przewodniczką.

ROZDZIAŁ XII. JERZY VILLIERS, KSIĄŻĘ BUCKINGHAM

Pani Bonacieux i księżę bez żadnych trudności weszli do Luwru; pierwsza jako należąca do służby królowej, księżę zaś dzięki mundurowi muszkietierów pana de Tréville, którzy, jak wiadomo, byli tego wieczora na służbie. Wreszcie Germain sprzyjał królowej, a w najgorszym wypadku tylko pani Bonacieux byłaby obwiniona o wprowadzenie swego kochanka do Luwru. Całą winę brała ona na siebie.

Dostawszy się na dziedziniec, oboje postępowali pod murem ze dwadzieścia pięć kroków. Potem pani Bonacieux nacisnęła klamkę drzwiczek służbowych, w dzień otwartych, lecz w nocy zwykle zamkniętych.

Wszedłszy tam, znaleźli się w ciemnościach.

Lecz pani Bonacieux знаła wszelkie zaułki w tej części Luwru, która była przeznaczona dla służby.

Zamknęła drzwi za sobą, wzięła księcia za rękę, przeszła kilka kroków po omacku, uchwyciła za poręcz, postawiła na stopniu nogę i zaczęła wchodzić na górę — księżę naliczył dwa piętra.

Wtedy zawróciła na prawo, minęła długi korytarz, zeszła w dół jedno piętro, jeszcze kilka kroków i klucz włożyła w zamek.

²⁰²Karol I Stuart (1600–1649) — król Anglii i Szkocji (od 1625), następca Jakuba I Stuarta. [przypis edytorski]

Drzwi się otworzyły, a książe został wpuszczony do komnaty oświetlonej tylko jedną lampą nocną.

Wówczas rzekła do niego:

— Zaczekaj tu, milordzie, wkrótce nadejdzie.

Wyszła tymi samymi drzwiami, zamykając je na klucz, tak że książe literalnie²⁰³ był uwięziony.

Jakkolwiek tak osamotniony, książe ani na chwilę nie doznał obawy.

Jedną z najwybitniejszych cech jego charakteru było uganianie się za przygodami i zamiłowanie do romantycznych zdarzeń.

Odważny, zuchwały i przedsiębiorczy, nie po raz pierwszy narażał życie dla podobnych zachcianek.

Dowiedział się już, iż rzekome wezwanie Anny Austriackiej²⁰⁴, na które przybył do Paryża, było po prostu zasadzką. Zamiast powrócić do Anglii, skorzystał ze sposobności, jaką mu nastręczono, i oznajmił królowej, że nie odjedzie, dopóki się z nią nie zobaczy.

Zrazu królowa odmówiła stanowczo, później zdjął ją strach, aby zrozpaczony książe nie popełnił jakiegoś szaleństwa. Była już gotowa przyjąć go i błagać, aby natychmiast odjechał, kiedy tego wieczora, gdy przychyliła się do jego próśb, pani Bonacieux, mająca polecenie pójść po księcia i przyprowadzić go do Luwru, została porwana. W ciągu dwóch dni nie wiadomo wcale, co się z nią dzieje, i wszystko zostało w zawieszeniu. Skoro się jednak uwolniła i porozumiała z de La Porte, rzeczy przybrały swój bieg na nowo i pani Bonacieux spełniła to niebezpieczne zadanie, które, gdyby nie jej uwięzienie, doszłoby do skutku trzy dni wcześniej.

Buckingham, pozostawszy sam, stanął przed lustrem. Ślicznie wyglądał w ubraniu muszkieterskim.

W trzydziestym piątym roku życia słusznie uchodził za najpiękniejszego mężczyznę i najwytworniejszego kawalera zarówno we Francji, jak w Anglii. Ulubieniec dwóch królów, milioner, wszechwładny w królestwie, gdzie sprawiał przewroty według fantazji i poskramiał według zachcianek, Jerzy Villiers, książe Buckingham, wiodł życie w sposób tak bajeczny, że z biegiem wieków pozostawić mogło podziw u potomności.

Pewny siebie, przeświadczony o swojej władzy, spokojny, iż prawa rządzące innymi jego nie mogą osiągnąć, szedł prosto do zamierzonego celu, choćby był on tak wysoki i olśniewający, że dla innego szaleństwem byłoby nawet o nim pomyśleć.

Dzięki temu dostąpił już kilkakrotnie zbliżenia do pięknej i dumnej Anny Austriackiej i oczarowawszy ją, zmusił do kochania.

Stanął teraz przed lustrem, jak powiedzieliśmy, przywrócił pięknym jasnym włosom ich falistość, która zniknęła pod ciężarem kapelusza, podkręcił wąsa i z sercem wezbranym radością, szczęśliwy i dumny z dostąpienia chwili, której tak pragnął od dawna, uśmiechał się do siebie, przejęty nadzieją i dumą.

Naraz otworzyły się drzwiczki, ukryte w obiciu, i ukazała się kobieta.

Była to królowa.

Anna Austriacka miała wtedy dwadzieścia pięć do dwudziestu siedmiu lat i była w całym blasku piękności.

Jej chód był chodem królowej i bogini zarazem, oczy z odbłyskiem szmaragdu wprawiły w niewypowiedziany zachwyt, ich spojrzenie tchnęło słodyczą i majestatem. Usteczka mała i pąsowe²⁰⁵, a jakkolwiek warga dolna, jak u wszystkich księżąt domu austriackiego, wystawała bardziej niż górna, uśmiech roztaczał urok niepomierny.

Umiała też jednak nadać ustom wyraz okrutnie wzgardliwy, gdy chciała wyrazić nienawiść.

Jej płeć²⁰⁶ słynęła z miękkości i puszystości, ręce i ramiona zadziwiała pięknnością i wszyscy ówczesni poeci opiewali je jako niezrównane.

Kobieta, Piękno, Uroda

²⁰³literalnie — dosłownie. [przypis edytorski]

²⁰⁴Anna Austriacka (1601–1666) — królowa Francji i Nawarry od 1615 jako żona Ludwika XIII, a następnie wdowa po nim. [przypis edytorski]

²⁰⁵pąsowy — jasnoczerwony. [przypis edytorski]

²⁰⁶płeć (daw.) — cera. [przypis edytorski]

Wreszcie włosy, jasne w pierwszej młodości, a teraz ciemniejsze, upudrowane, okalały cudownie jej twarz, od której najostrzejszy krytyk mógłby tylko wymagać nieco mniej różu, a najwybredniejszy rzeźbiarz trochę delikatniejszych linii nosa.

Buckingham stanął olśniony.

Nigdy tak piękna mu się nie wydała, ani na balach, uroczystościach, ani na turniejach, jak obecnie, w skromnej sukni z białego atlasu²⁰⁷, mając przy boku *donne*²⁰⁸ Estefanię, jedyną z dam hiszpańskich, która nie została wygnana przez zazdrość króla ani przez prześladowanie Richelieu.

Anna Austriacka postąpiła parę kroków.

Buckingham rzucił się jej do kolan i zanim zdołała mu przeszkodzić, ucałował brzeg jej sukni.

— Książę, wiesz już, że to nie ja pisałam do ciebie.

— O! Tak, pani. O! Tak, królowo! — wykrzyknął książę. — Wiem, iż byłem nierozumnym szaleńcem, sądząc, iż lód się ożywi, marmur ogrzeje; lecz co począć, gdy kochamy, łatwo w miłość wierzymy. Wreszcie nic na tej podróży nie straciłem, skoro cię oglądam.

— Tak — odrzekła Anna — lecz pan wiesz, dlaczego i w jakim celu widzę się z tobą, bo, nieczuły na wszystkie moje udręczenia, uparłeś się pozostawać w mieście, gdzie narażasz swoje życie, a moją cześć. Przyszłam, ażeby powiedzieć panu, iż wszystko nas przedziela, głębokość morza, nieprzyjaźń rządów i świętość przysięgi. Świętokradztwem jest walczyć przeciw takim siłom, milordzie. Wreszcie, widzę się z tobą, aby ci jeszcze powiedzieć, że więcej nie możemy się widywać.

— Mów pani, mów królowo — rzekł Buckingham — słodycz głosu twego łagodzi gorycz twych słów. O świętokradztwie mówisz! Ależ świętokradztwem jest rozłąka dwojga serc, które Bóg stworzył jedno dla drugiego.

— Milordzie!... — zawołała. — Zapominasz, iż nigdy nie powiedziałam, że cię kocham!...

— Lecz nigdy mi nie powiedziałaś także, że nie kochasz mnie pani wcale. I doprawdy wyrzec takie słowa byłoby zbyt wielką niewdzięcznością ze strony Waszej Królewskiej Mości. Bo powiedz mi, gdzie znajdziesz miłość podobną do mojej, miłość, której ani czas, ani oddalenie, ani rozpacz nie mogą ugasić; miłość, która zadowala się zgubioną wstążką, przelotnym wejrzeniem, nieobliczonym słówkiem. Trzy lata temu, pani, po raz pierwszy cię ujrzałem i odtąd w ten sposób cię kocham. Czy chcesz, abym ci powiedział, jak byłaś ubrana, gdy po raz pierwszy cię ujrzałem? Chcesz, abym opisał szczegółowo każdą ozdobę twojego ubioru? Racz słuchać, królowo, widzę cię jeszcze: siedziałaś na ziemi, według obyczaju hiszpańskiego, miałaś suknię z zielonego atlasu, złotem i srebrem haftowaną, rękawy rozwarte i diamentami podpięte na pięknych ramionach, na tych ramionach cudownych; pod szyją miałaś kryzę²⁰⁹, małeńki birecik²¹⁰ na głowie tegoż koloru, co suknia, a na nim wspaniałe pióro czaple. O! Słuchaj, zamykam oczy i widzę cię taką, jaką byłaś wtenczas; otwieram je i widzę cię taką, jaką jesteś teraz, czyli jeszcze stokroć piękniejszą!

— Co za szaleństwo!... — szepnęła Anna Austriacka, nie mając odwagi gniewać się na księcia, że tak wiernie zachował w swym sercu jej obraz. — Co za szaleństwo karmić daremną namiętność takimi wspomnieniami!...

— A czymże mogę żyć? Nic nie posiadam prócz moich wspomnień. To moje szczęście, mój skarb, moja nadzieja. Za każdym razem, gdy widzę ciebie, jeden diament przybywa do skarbcza mojego serca. Ten jest czwartym, który mi rzucasz, a ja go podnoszę skwapliwie; bo w ciągu trzech lat, pani, widziałem cię tylko cztery razy: pierwszy, jak już wspomniałem, drugi u pani de Chevreuse, a trzeci w ogrodach w Amiens.

— Książę — rzekła królowa, rumieniąc się — nie wspominaj tego wieczoru.

— O! Pani, przeciwnie, wspominajmy, mówmy o nim: to promienny i najszcześniejszy wieczór w moim życiu. Czy przypominasz sobie tę przecudną noc? Jak ciepłe i wonne było powietrze, niebo błękitne, gwiazdami usiane! O! Ten raz jeden, pani, przez chwilę

Rozstanie

Miłość niespełniona,
Wspomnienia, Strój

²⁰⁷atlas — miękka tkanina, która ma jedną stronę błyszczącą, a drugą matową. [przypis edytorski]

²⁰⁸donna (wł.) — pani, kobieta. [przypis edytorski]

²⁰⁹kryza — kolisty marszczony kołnierzyk, noszony w XVI–XVII w. [przypis edytorski]

²¹⁰biret — rodzaj sztywnej, dekoracyjnej czapki, używanej przy oficjalnych okazjach. [przypis edytorski]

mogłem sam pozostać z tobą; gotowa byłaś wtedy wypowiedzieć mi wszystko: osamotnienie twego życia, twoje serdeczne smutki. Byłaś wsparta na moim ramieniu, o, patrz, na tym właśnie. Czulem, skłaniając ku tobie głowę, włosy piękne, muskające mi twarz, a za każdym takim dotknięciem drżenie przenikało całą moją istotę. O! Królowo, królowo! O! Ty wiesz, ile niebiańskiego szczęścia, rozkoszy, rajy podobne chwile zawierają w sobie. Pani! Mój majątek, sławę, lata, które mi pozostają do przeżycia, wszystko bym oddał za taką chwilę, za podobną noc! Bo nocy tej, przysięgam, kochałaś mnie pani szczerze.

— Być może, milordzie, że tak było; wpływ otoczenia, urok pięknego krajobrazu, potęga twego wzroku, wreszcie tysiące okoliczności, które się zbiegają, aby zgubić kobietę, obiegły mnie tego nieszczęsnego wieczoru. Widziałeś jednak, milordzie, jak królowa przyszła z pomocą słabnącej kobiecie. Za pierwszym słowem, które poważyłeś się wyrzec, za zuchwalstwem, któremu winna byłam odmówić, wezwałam pomoc.

— O! Tak, to prawda, i każda inna, a nie moja, miłość nie zniosłaby takiej próby; lecz moja wyszła z niej tym gorętsza, tym bardziej nieskończona... Sądziłaś, że wracając do Paryża, uciekniesz przede mną, że nie poważę się opuścić skarbu, nad którym mój pan polecił mi czuwać. O! Cóż mnie obchodzić mogą wszystkie skarby świata, wszyscy ziemscy królowie! W tydzień później już byłem z powrotem, pani. Tym razem nic mi nie miałaś do zarzucenia. Zlekceważyłem moje stanowisko, życie, aby ujrzeć cię na sekundę; nawet twej ręki nie dotknąłem, a wtedy, widząc mnie tak uległego i skrzeszonego, przebaczyłaś mi pani.

— Tak, lecz oszczerstwo pochwyciło te wszystkie szaleństwa, w których nie brałam udziału, wiesz dobrze o tym, milordzie. Król, podżegany przez kardynała, wybuchnął strasliwym gniewem, pani de Vernet została wypędzona, Putange skazany na wygnanie, pani de Chevreuse wpadła w niełaskę, i kiedy chciałeś powrócić do Francji jako ambasador, sam król, pamiętasz to dobrze, milordzie, król sam oparł się temu.

— Tak, i Francja zapłaci wojną za odmowę swojego władcy. Nie mogę cię już widywać, pani; chcę zatem, byś nieustannie słyszała mówiących o mnie! Jaki cel, myślisz pani, miała wyprawa na Ré²¹¹ i związek z protestantami z La Rochelle, który projektuję? O! Tylko rozkosz widywania ciebie, królowo! Nie mam, co prawda, nadziei dotrzeć z bronią w rękę do samego Paryża, lecz wojna może sprowadzić pokój i w takim razie niezbędny będzie pełnomocnik do układów, a pełnomocnikiem tym będę ja. Wtenczas nie poważą się odmówić mi, powrócę do Paryża, ujrzę cię znowu i chociaż przez chwilę stanę się szczęśliwy. Wprawdzie tysiące ludzi przyplacą życiem moje szczęście, lecz cóż mnie to obchodzi, bylebym ciebie mógł znowu zobaczyć. Wszystko to może jest szalone i nierozumne, lecz powiesz mi, królowo, która kobieta miała kochanka więcej rozmiłowanego, jaka władczyni gorliwszego sługę?

— Milordzie, na swoją obronę wywołujesz rzeczy, które cię tylko potępiają, wszystkie dowody miłości, jakie zamysłasz mi dać, są nieledwie zbrodnią.

— Bo nie kochasz mnie, pani, wcale, bo gdybyś mnie kochała, inaczej zapatrywałabyś się na to; bo gdybyś mnie kochała, o, gdybyś mnie kochała... byłby to nadmiar szczęścia, oszalałbym chyba!... Pani de Chevreuse, o której wspomniałaś przed chwilą, była okrutna mniej niż ty, pani. Holland ją kochał i odwzajemniała mu się miłością.

— Pani de Chevreuse nie była królową — szepnęła Anna Austriacka, pomimo woli zwyciężona wyrazem tak głębokiej miłości.

— Więc kochałabyś mnie, pani? Gdybyś nie była królową, kochałabyś mnie zatem? Mogę więc wierzyć, że jedynie godność twego stanowiska czyni cię dla mnie okrutną; mogę myśleć, iż gdybyś była panią de Chevreuse, biedny Buckingham mógłby mieć nadzieję? Dzięki ci za te słodkie słowa, piękna królowo moja, stokrotne dzięki.

— A! Milordzie, przesłyszałeś się i źle zrozumiałeś; nie chciałam powiedzieć...

— Cicho! Cicho! — odezwał się książę. — Jeżeli szczęśliwy z pomyłki, nie popelniaj pani okrucieństwa, uwalniając mnie od niej. Sama to powiedziałaś, iż w sidła mnie wciągnięto, położę w nich moje życie może, bo słuchaj, to dziwne, od jakiegoś czasu mam przeczucie, że umrę niedługo.

I uśmiechnął się smutnie, a zarazem czarująco.

Szaleństwo, Szaleniec,
Miłość niespełniona

Szczęście

²¹¹Ré, właśc. Île de Ré — wyspa przy zach. wybrzeżu Francji w pobliżu La Rochelle; w 1627 zaatakowana przez Anglików pod wodzą George'a Villiersa w ramach oblężenia La Rochelle. [przypis edytorski]

— O! Mój Boże! — zawołała Anna Austriacka z przerażeniem, które dowodziło, iż książę obchodził ją bardziej niż chciała wyznać.

— Nie dlatego bynajmniej to mówię, aby cię, pani, przerazić, o nie. To nawet śmieszne, że o tym wspomniałem, i wierzaj mi, że podobne rojenia nie zajmują mnie wcale. Lecz to słowo, które wyrzekłaś, nadzieja, którą mi dałaś nieledwie, starczą za wszystko, nawet za całe życie.

— O! Książę, i ja mam przecucia, sny jakieś okropne. Śniłam, iż widzę cię broczącego we krwi, rannego okrutnie.

— W serce, wszak tak, i to nożem ugodzonego? — przerwał jej Buckingham.

— O! Tak, milordzie, tak samo, z lewego boku nożem. Kto ci mógł sen mój opowiedzieć? Bogu jednemu zwierzyłam się tylko w moich modlitwach.

— Niczego więcej nie żądam, kochasz mnie pani, to dosyć.

— Ja pana kocham?

— Tak, pani, czyżby Bóg zsyłał ci te same sny, gdybyś mnie nie kochała? Moglibyśmy mieć jedne przecucia, gdyby nasze istnienia nie łączyły się sercem? Kochasz mnie, królowo, i będziesz mnie oplakiwać!

— O! Boże, mój Boże! — zawołała Anna Austriacka. — To już ponad moje siły. Słuchaj, książę, zaklinam cię na Boga, oddal się, odjeżdżaj. Ja nie wiem, czy kocham cię, czy nie, to tylko wiem, że nigdy nie złamię przysięgi. Ulituj się więc nade mną i odejź. O! Jeżeli we Francji nieszczęście spadnie na ciebie, jeżeli tu życie położysz, o! Jeżeli bym musiała przypuszczać, że miłość dla mnie stała się przyczyną twojej śmierci, byłabym niepokieszona, oszalałabym z pewnością. Odjeżdżaj zatem, odjeżdżaj, błagam cię o to!

— O! Jakaś ty piękna! Jakże ja cię kocham!... Moja królowo!... — mówił Buckingham wzruszony.

— Oddal się, oddal! Błagam cię raz jeszcze. A później powracaj; powracaj jako ambasador, jako minister otoczony strażą, która będzie cię bronić, służbą, która nie przestanie czuwać. Wtedy nie będę drżała o twoje życie i sprawisz mi szczęście swoim widokiem.

— O! Prawdą jest to, co mi pani mówisz?

— Tak...

— Daj mi więc zakład przebaczenia twego, jakąś rzecz należącą do ciebie, która by mi przypominała, że to nie było snem; coś, co nosiłaś na sobie, co także mógłbym nosić: pierścion, naszyjnik lub łańcuch.

— A czy odjedziesz, gdy dam ci to, czego żądasz ode mnie?

— Tak.

— Natychmiast?

— Tak.

— Opuścisz Francję, powrócisz do Anglii?

— Tak, przysięgam pani.

— Zaczekaj więc, zaczekaj.

Anna Austriacka wróciła do pokoju i wyszła z niego za chwilę, niosąc szkatułkę z drzewa różanego z jej cyfrą, złotem nabijaną.

— Weź to, milordzie — rzekła — i zachowaj po mnie na pamiątkę.

Buckingham wziął szkatułkę i po raz drugi padł na kolana.

— Obiecałeś mi pan, że odjedziesz — wyrzekła królowa.

— Dotrzymam słowa. Podaj mi rękę, królowo, odjeżdżam.

Podawała mu rękę, zamykając oczy i opierając się drugą na ramieniu *donny* Estefanii, czuła bowiem, że ją opuszczają siły.

Buckingham przyłgał namiętnie ustami do tej pięknej ręki i powstając, rzekł:

— Za sześć miesięcy, jeżeli nie umrę, ujrzę cię znowu, pani, choćbym miał całym światem wstrząsnąć!

I wierny przyrzeczeniu, wybiegł z pokoju.

W korytarzu spotkał oczekującą nań panią Bonacieux, która równie ostrożnie i szczęśliwie wyprowadziła go z Luwru.

Miłość, Sen, Przecucie

Rozstanie, Dar, Przysięga

ROZDZIAŁ XIII. PAN BONACIEUX

W tych wszystkich wypadkach brała też udział pewna osobistość, którą, z przyczyny jej podrzędnego stanowiska, zajmowano się miernie — pan Bonacieux, czcigodna ofiara intryg politycznych i miłosnych, tak splątanych ze sobą w owej epoce rycerskiej i kochliwej zarazem.

Czytelnicy przypominają sobie, a może i nie przypominają, że przyrzekliśmy nie stracić go z oczu.

Żandarmi, którzy go aresztowali, zaprowadzili go wprost do Bastylii, gdzie drżącemu ze strachu kazali przejść obok gromadki żołnierzy nabijających muszkiety.

Stamtąd, wprowadzony do niskiej galerii podziemnej, stał się dla tych, co go przywiedli, przedmiotem najboleśniejszych pośmiewisk i najdzikszego obejścia.

Widząc, że nie ze szlachcicem mają do czynienia, traktowali go jak ostatniego włóczęgę.

Po upływie blisko pół godziny woźny położył koniec jego męczarniom, lecz nie uspokoił go bynajmniej, wygłaszając rozkaz, aby zaprowadzono pana Bonacieux do sali badań. Badano zwykle więźniów na miejscu, lecz z panem Bonacieux nie robiono zachodów.

Dwóch stróżów pochwyciło kramarza, przeprowadziło przez dziedziniec i kazalo mu wejść do korytarza, w którym trzech żołnierzy stało na warcie.

Otworzono drzwi i wepchnięto go do niskiego pokoju, którego umeblowanie stanowiły stół i krzesło. Zastępca sędziego siedział na krześle i był zajęty pisaniem przy stole.

Stróże przywiedli więźnia przed stół i na znak zastępcy sędziego oddalili się, aby nie słyszeć badania.

Zastępca sędziego, trzymający dotąd nos w papierach, podniósł głowę, aby zobaczyć, z kim ma do czynienia.

Był to człowiek o obliczu odpychającym, z nosem spiczastym, żółtymi i wydętymi policzkami, o oczach małych, lecz badawczych i żywych. Fizjonomia jego stanowiła coś pośredniego pomiędzy kuną a lisem. Głowa, osadzona na szyi długiej i ruchliwej, wydobywała się z czarnej sukni, kołysząc się na kształt głowy żółwia wyzierającego ze swojej twardej skorupy.

Rozpoczął badanie, zapytując pana Bonacieux o imię, nazwisko, wiek, stan i miejsce zamieszkania.

Oskarżony odpowiedział, że nazywa się Jakub Michał Bonacieux, że ma pięćdziesiąt jeden lat, że zwinął handel i mieszka przy ulicy des Fossoyeurs, numer 11.

Wtedy zastępca, zamiast prowadzić dalsze badanie, wypalił mówkę o niebezpieczeństwie mieszania się w sprawy publiczne takiemu jak on pachółkowi.

Naukę tę pogmatwał z wykazaniem władzy i czynów pana kardynała, ministra niezrównanego, zwycięzcy dawnych ministrów, będącego wzorem dla przyszłych. Czynem jego i władzy nikt bezkarnie nie może stanąć na przeszkodzie.

Skończywszy drugą część przemowy, przeszył jastrzębim wzrokiem biednego Bonacieux i wezwał go do zastanowienia się, co ma myśleć o ważności obecnego położenia. Kramarz już się zastanowił, co ma myśleć, i do wszystkich diabłów odsyłał chwilę, kiedy panu de La Porte przyszło do głowy żenić go ze swoją chrześniaczką, a nade wszystko tę, kiedy żona została przyjęta na dozorczynię bielizny królowej.

Podstawą charakteru imię pana Bonacieux był głęboko zakorzeniony egoizm w połączeniu z brudnym skąpstwem, a wszystko to zaprawione wyskokiem tchórzostwa. Miłość, jaką wzbudziła w nim młoda żona, była uczuciem drugorzędnym, niemogącym walczyć z wrodzonymi uczuciami, które wyliczyliśmy przed chwilą.

Bonacieux zastanowił się nareszcie i nad tym, co mu powiedziano przed chwilą.

— Ależ, panie sędzio — odezwał się z zimną krwią — wierzaj mi, iż więcej niż ktokolwiek znam i oceniam niezrównane zasługi Eminencji, przez którego mamy zaszczyt być rządzeni.

— Doprawdy? — spytał urzędnik z powątpiewaniem. — Gdyby to było prawdą, w jaki sposób znalazłbyś się w Bastylii?

— W jaki sposób, a raczej dlaczego tu jestem — odrzekł pan Bonacieux — tego właśnie nie mogę w żaden sposób panu wytłumaczyć, bo sam nic a nic nie rozumiem,

lecz tylko tego jestem pewny, że w niczym nie obraziłem pana kardynała, przynajmniej, o ile mi wiadomo.

— Musiałeś się jednak dopuścić ciężkiej zbrodni, skoro jesteś obwiniony o najwyższą zdradę.

— O zdradę? — wykrzyknął przerażony Bonacieux. — O zdradę najwyższą? Skądże skromny kramarz, brzydzący się hugenotami i nienawidzący Hiszpanów, może być o nią obwiniony? Zastanów się, panie, to niemożliwe.

— Panie Bonacieux — odezwał się zastępca sędziego, świdrując go małymi oczkami, jak gdyby rzeczywiście miały dar czytania w najskrytszych tajnikach ludzkich serc — pan masz żonę, panie Bonacieux?

— Tak, panie — odpowiedział kramarz z drzeniem, czując, że tutaj właśnie sprawa może się wikłać — to jest, miałem ją, panie.

— Jak to?... Miałeś ją? A cóżeś z nią zrobił, jeśli już jej nie masz?

— Porwano mi ją, panie.

— Czy tak?... O!...

Wykrzyknik ten dał kramarzowi do myślenia, że sprawa płacze się coraz więcej.

— Porwano ci ją? — ciągnął dalej. — A czy wiesz, kto popełnił ten gwałt?

— Zdaje mi się, że wiem.

— Któż taki?

— O! Proszę pana, ja na pewno nie twierdzę, ale tylko podejrzewam.

— Kogóż mianowicie? No, odpowiadaj otwarcie.

Pan Bonacieux znalazł się w opalach; miałże przeczyć wszystkiemu czy mówić? Przechąc, ściągnąć mógł na siebie podejrzenie, iż za wiele wiedział, a nic nie chciał wyznać; mówiąc zaś, dawał dowody dobrych chęci.

Postanowił mówić.

— Posądzam — rzekł — wysokiego bruneta, o dumnej postawie, wyglądającego na wielkiego pana. Śledził nas kilkakrotnie, jak mi się zdawało, gdy chodziłem na spotkanie żony do furtki Luwru, aby ją zaprowadzić do domu.

Urzędnik okazał pewne zaniepokojenie.

— Jakże się nazywa? — zapytał.

— O! Tego wcale a wcale nie wiem. Gdybym go jednak spotkał, poznałbym natychmiast, zaręczam, choćby wśród tysiąca ludzi.

Czoło urzędnika zachmurzyło się.

— Poznałbyś go wśród tysiąca, powiadasz? — ciągnął dalej.

— To jest — podchwycił Bonacieux, czując, że się zanadto pośpieszył — chciałem powiedzieć...

— Mówiłeś, że poznałbyś go — rzekł zastępca sędziego — dosyć zatem na dzisiaj. Zanim pójdziemy dalej, musi ktoś być zawiadomiony, iż znasz tego, który ci porwał żonę.

— Ależ ja nie mówiłem, że go znam! — zawołał zrozpaczony Bonacieux. — Powiedziałem przeciwnie...

— Wyprowadzić więźnia — rzekł urzędnik do stróża.

— A dokąd?... — zapytał woźny.

— Do lochu.

— Do którego?

— O! Do pierwszego lepszego, byle dobrze zamknąć — odrzekł zastępca sędziego z obojętnością, która zgrozą przejęła biednego Bonacieux.

„O! Biada nieszczęsnej mej głowie!... — mówił sobie w duchu. — Moja żona widocznie przeszkobała coś strasznego; myślą, że jestem jej współnikiem i razem z nią będą mnie karać. Wygada się, przyzna, że zwierzyła mi się ze wszystkiego; kobieta to zawsze kiepska głowa! Do pierwszego lepszego lochu!... Tak! Noc tylko mignie, a jutro pod koło lub na szubienicę! O! Boże mój, Boże! Ulituj się nade mną!”

Nie zważając bynajmniej na lamentację²¹² imć pana Bonacieux, z którymi zresztą byli oswojeni, dwaj stróże ujęli więźnia pod pachy i odprowadzili, gdy tymczasem komisarz pisał naprędce list, na który czekał woźny. Bonacieux ani oka nie zmrużył, nie dlatego, ażeby więzienie było zbyt nieprzyjemne, ale że dręczył go straszliwy niepokój.

²¹²lamentacja (daw.) — lament. [przypis edytorski]

Całą noc przesiedział na stołku, drząc za najmniejszym szelestem, a gdy pierwsze promienie słońca wdarły się do więzienia, wydało mu się, jakoby poranek przywdział barwy żałobne.

Naraz wzdrygnął się cały, usłyszał bowiem odsuwanie rygli. Pewien był, iż przychodzą, aby go na rusztowanie poprowadzić; kiedy więc zamiast kata, którego się spodziewał, ujrzał po prostu znanego mu zastępcę sędziego i woźnego, gotów był rzucić się im na szyję.

— Twoja sprawa, mój pocziwczu, zawikłała się okrutnie od wczorajszego wieczora — rzekł doń urzędnik — i radzę ci wyznać całą prawdę, bo tylko twoja skrucha może zażegnać gniew kardynała.

— Ależ gotów jestem wszystko powiedzieć... przynajmniej wszystko, co wiem. Pytaj mnie pan, proszę.

— Najpierw, gdzie jest twoja żona?

— Powiedziałem przecie panu, iż mi ją porwano.

— Tak, lecz wczoraj o piątej po południu uciekła dzięki twojej pomocy.

— Moja żona uciekła!... — krzyknął Bonacieux. — O! Nieszczęsna! Panie, jeżeli tak się stało, to nie z mojej winy, przysięgam!

— Cóż więc robiłeś u pana d'Artagnana, swojego sąsiada, z którym w ciągu dnia miałeś długą naradę?

— A! Tak, panie sędzio, to prawda, przyznaję, iż zawiniłem. Byłem u niego.

— Jaki był cel tych odwiedzin?

— Prośba, aby mi dopomógł w odnalezieniu żony. Sądziłem, iż mam prawo upominać się o nią; byłem widocznie w błędzie, błagam więc pana o przebaczenie.

— A pan d'Artagnan cóż na to?

— Przyobiecał mi pomoc, spostrzegłem jednak wkrótce, że mnie zdradza.

— Zeznajesz to w obliczu sprawiedliwości. Pan d'Artagnan zawiązał z tobą przymierze, na mocy którego zmusił do ucieczki służbę policyjną, która przyaresztowała twoją żonę, i ukrył ją przed wszelkim poszukiwaniem.

— Pan d'Artagnan wykradł moją żonę? Co pan mówisz?

— Na szczęście mamy go już w ręku i będziesz z nim skonfrontowany.

— A! I owszem — zawołał Bonacieux — bardzo mi będzie przyjemnie twarz znajomą zobaczyć.

— Wprowadzić tu pana d'Artagnana — rzekł komisarz do stróżów.

Wprowadzono Atosa.

— Panie d'Artagnan — rzekł do niego urzędnik — zeznaj, co zaszło pomiędzy tobą a tym oto panem.

— Ależ to nie pan d'Artagnan! — zawołał Bonacieux.

— Jak to? Nie pan d'Artagnan? — wykrzyknął zastępca sędziego.

— Nie!... Ależ nigdy w świecie!... — odrzekł Bonacieux.

— Więc jak się ten pan nazywa? — zapytał urzędnik.

— Nie mogę panu powiedzieć, bo go nie znam.

— Co?... Nie znasz go?

— Nie.

— Nie widziałeś go nigdy?

— I owszem, ale nie wiem, jak się nazywa.

— Pańskie nazwisko? — zapytał urzędnik.

— Atos — odpowiedział muszkietier.

— Ależ to nazwisko nie człowieka, tylko góry!²¹³ — zawołał badacz, tracąc poniekąd głowę.

— To jest moje nazwisko — odrzekł spokojnie Atos.

— Powiedziałeś jednak, że nazywałeś się d'Artagnan.

— Ja?

— Tak, pan.

²¹³ *Ależ to nazwisko nie człowieka, tylko góry!* — chodzi o górę Athos: położoną w płd. części półwyspu Athos, w Grecji, zamieszkiwaną wyłącznie przez mnichów prawosławnych. [przypis edytorski]

— Właściwie to mnie powiedziano: „Jesteś panem d’Artagnanem?”. Odpowiedziałem: „Czy tak?”. Wasi stróże zakrzykli mnie, że są tego pewni. Nie chciałem im przeczyć. Zresztą mogłem się mylić.

— Panie, ubliżasz pan majestatowi sprawiedliwości.

— Bynajmniej — odparł spokojnie Atos.

— Pan jesteś d’Artagnan?

— Widzisz pan, że sam mówisz to jeszcze.

— Ależ... powiadam panu sędziemu — zawołał z kolei Bonacieux — iż nie ma najmniejszej wątpliwości. Pan d’Artagnan jest moim lokatorem, a że nie płaci mi komornego, tym bardziej muszę go przecie znać. Pan d’Artagnan to młodzieniec najwyżej dwudziestoletni, a ten pan ma co najmniej trzydzieści lat. Pan d’Artagnan służy w pułku pana des Essarts, a ten pan jest z kompanii muszkieterów pana de Tréville. Przypatrz się, panie sędzio, mundurowi.

— To prawda — mruknął urzędnik — prawda, do licha!...

W tej chwili drzwi otwarto z pośpiechem i posłaniec, wprowadzony przez jednego z odźwiernych Bastylli, doręczył urzędnikowi list.

— O! Nieszczęsna!... — wykrzyknął zastępca sędziego.

— Co takiego?... O kim pan mówisz?... Spodziewam się, że nie o mojej żonie?...

— Przeciwnie, o niej... Słuchaj, nietęga twoja sprawa.

— Masz tobie!... — wykrzyknął zrozpaczony kramarz. — Racz mi pan powiedzieć, czy sprawa moja pogorszyć się może przez to, co zrobiła żona podczas pobytu mojego w więzieniu?

— Z pewnością, gdyż to, co zrobiła, jest następstwem planu ułożonego między wami, piekielnego planu.

— Przysięgam ci, panie sędzio, że mylisz się najokrutniej. Ja nic a nic w świecie nie wiem o tym, co ona miała zrobić, i wszystko, co zrobiła, jest mi zupełnie obce, a jeżeli popełniła jakieś głupstwo, wyrzekam się jej, wypieram, wyklinam raz na zawsze!

— Koniec końców — rzekł Atos do urzędnika — jeżeli już jestem tu niepotrzebny, wypraw mnie gdziekolwiek, strasznie nudny jest ten twój pan Bonacieux.

— Odprowadź więźniów do ich cel — rzekł zastępca sędziego, wskazując Atosa i Bonacieux — i strzeż ich pilniej niż dotąd.

— A jednak — odezwał się Atos z właściwym sobie spokojem — jeżeli pan masz do czynienia z d’Artagnanem, nie rozumiem, w czym ja go tu mogę zastąpić.

— Zrobić tak, jak mówiłem — krzyknął urzędnik — i pilnować najściślej! Rozumiecie?!

Atos wzruszył ramionami, poszedł za strażnikami, a narzekania pana Bonacieux zmiękczyć by mogły nawet serce tygrysie.

Wprowadzono kramarza do tej samej celki, w której przepędził noc, i pozostawiono go tam przez cały dzień.

Wieczorem, około dziewiątej, gdy był już zdecydowany położyć się do łóżka, usłyszał na korytarzu kroki, które zatrzymały się przed drzwiami jego więzienia.

Ukazała się straż.

— Proszę za mną — rzekł oficer służbowy postępujący za strażą.

— Za panem!... — wykrzyknął Bonacieux. — Za panem!... I dokądże to, mój Boże?...

— Tam, dokąd mamy rozkaz pana zaprowadzić.

— Ależ to nie jest odpowiedź.

— Tę tylko możemy ci dać.

— A! Boże mój! Boże!... — szepnęła biedny kramarz. — Teraz już po wszystkim!...

I powłókł się bezmyślnie, bez najmniejszego oporu za strażą, która po niego przyszła.

Prowadzono go tą samą drogą, którą już przebywał; u bramy wjazdowej nareszcie zastał karecę otoczoną przez czterech konnych strażników. Kazano mu wsiąść do powozu, oficer zajął miejsce obok niego, drzwiczki zamknięto na klucz i znaleźli się obydwaj w więzieniu na kołach.

Powóz potoczył się z wolna jak wóz pogrzebowy. Więzień widział przez zamknięte kraty domy, bruk i nic więcej nad to, lecz jako prawdziwy paryżanin poznawał każdą ulicę po szyldach, słupach i latarniach.

W chwili kiedy powóz zbliżył się do Saint-Paul, miejsca, gdzie tracono skazanych z Bastylji, Bonacieux o mało nie zemdlał i przeżegnał się dwa razy, myśląc, że tu się zatrzyma, ale pojazd toczył się dalej.

Później ogarnął go jeszcze większy strach, gdy mijali cmentarz św. Jana, gdzie chowano przestępców stanu. Pocieszała go tylko jedna myśl, a mianowicie, że zanim ich grzebano, ucinano im głowy, a jego głowa siedziała jeszcze mocno na karku. Ale kiedy powóz zawrócił w kierunku placu de la Grève, kiedy zobaczył spiczaste dachy ratusza i powóz podjechał pod arkady, myślał, że wszystko się dla niego skończyło i chciał się wypowiedzieć oficerowi. Gdy ten odmówił, zaczął krzyczeć tak niemiłosiernie, że zagrożono mu zakneblowaniem gęby. Groźba ta pocieszyła trochę biednego Bonacieux, bo i na cóż mieliby go kneblować, gdyby miał być stracony.

Minęli też fatalny plac, nie zatrzymując się wcale.

Teraz można było obawiać się tylko la Croix-du-Trahoir, a powóz potoczył się właśnie w tym kierunku.

Nie było już wątpliwości, w la Croix-du-Trahoir miał zakończyć i podróż swoją, i żywot!

Nie mógł jeszcze dojrzeć tego straszego krzyża, ale czuł go już blisko.

Kiedy oddzielała go już tylko odległość nie większa niż na dwadzieścia kroków, usłyszał jakiś gwar i powóz się zatrzymał.

Tęgo już było zanadto dla biednego Bonacieux. Zgnębiony wzruszeniami, które przechodził, jęknął słabo jękiem, jaki można było wziąć za ostatnie westchnienie umierającego, i zemdlał.

ROZDZIAŁ XIV. NIEZNAJOMY Z MEUNG

Hałaśliwy tłum, na jaki natrafiono, zebrał się nie w oczekiwaniu na powieszenie człowieka, lecz dla przyjrzenia się już powieszonemu.

Powóz, zatrzymany na chwilę, puścił się w dalszą drogę i przebijając się przez tłuszcę, przeciął ulicę Saint-Honoré, zawrócił na ulicę des Bons-Enfants i stanął przed niepozorną furtką.

Drzwiczki karety otwarto, dwóch ze straży pochwyciło w swoje objęcia pana Bonacieux podtrzymywanego przez oficera; wepchnięto go do sieni, później na schody i wprowadzono do przedpokoju.

Wszystko to odbyło się bez jego wiedzy.

Szedł tak, jakby znajdował się we śnie. Wszystkie przedmioty przesłaniała mu mgła, słuch chwycił dźwięki, nie rozumiejąc ich wcale. Dałby się być zaprowadzić na rusztowanie i położyłby głowę na pniu, nie kiwnąwszy nawet palcem dla obrony, i aniby nawet pisał błaganiem o litość.

Pozostał tak, jak go posadzono na ławeczce — plecami oparty o ścianę, z rękami zwieszonymi i przymkniętymi oczyma.

Gdy ośmielił się otworzyć powieki, nie zobaczył dokoła żadnego groźnego przedmiotu mogącego wskazywać mu niebezpieczeństwo.

Ławeczka była wygodnie wysłana, ściany pokryte piękną skórą kordobańską²¹⁴, z okien zwisały wielkie firanki z czerwonej materii, podtrzymywane złotymi przepaskami.

Zrozumiał, że jego przestrach był przesadzony i począł kręcić głowę to w prawo, to w lewo, to na dół, to do góry.

Ponieważ nikt nic nie miał przeciw tym poruszeniom, nabrał trochę odwagi i spróbował wysunąć najpierw jedną, a potem drugą nogę; nareszcie, podparłszy się na rękach, podniósł się z ławeczki i stanął.

W tejsze chwili oficer o pięknej powierzchowności uchylił portiery, kończąc jeszcze rozmowę z osobą będącą w przyległym pokoju, i zwróciwszy się do więźnia, rzekł:

— To pan nazywasz się Bonacieux?

— Tak, panie oficerze, do pańskich usług — wybelkotał na wpół żywy kramarz.

— Proszę wejść — rzekł oficer.

I usunął się na bok, aby przepuścić kramarza, który ślepo usłuchał i wszedł do pokoju, gdzie go widocznie oczekiwano.

²¹⁴kordobański — pochodzący z Kordoby: miasta w pld. Hiszpanii, w Andaluzji. [przypis edytorski]

Był to obszerny gabinet o ścianach przybranych bronią zaczepną i obronną, wysłany dywanami i zaciszny, a w kominku, pomimo końca września zaledwie, płonął suty ogień.

Czworokątny stół, pokryty książkami i papierami, pomiędzy którymi był rozłożony olbrzymi plan miasta La Rochelle, zajmował środek pokoju.

Przed kominkiem stał mężczyzna średniego wzrostu, postawy wyniosłej i dumnej, z oczami przenikliwymi, twarzą wychudłą, którą wydłużała jeszcze spiczasta bródka, a ponad nią wznosiły się cienkie wąsiki.

Jakkolwiek mężczyzna ten miał zaledwie trzydzieści siedem lat, włosy, wąsy i bródka poczynały mu już siwieć. Gdyby nie brak szpady, wygląd miałby rycerski; buty ze skóry bawolej, jeszcze lekko pokryte pyłem, świadczyły, że w ciągu dnia musiał dosiadać konia.

Był to Armand-Jean du Plessis, kardynał de Richelieu, ale nie taki, jak go nam przedstawiają — starzec złamany wiekiem, cierpiący jak męczennik, z bezsilnym ciałem, zagaszonym głosem, pogrążony w fotelu jak w przedwczesnym grobie, żyjący tylko siłą swego geniuszu i wytrzymujący walkę z Europą przez nieustanny wysiłek myśli.

Był on taki, jak rzeczywiście wyglądał w owej epoce. Zręczny kawaler światowy, słaby ciałem, lecz podtrzymywany władzą ducha, która czyniła z niego jedną z najwybitniejszych postaci w świecie; przygotowujący się teraz po osadzeniu księcia de Nevers²¹⁵ w księstwie Mantui²¹⁶, po wzięciu Nimes²¹⁷, Castres i Uzès²¹⁸, do wypędzenia Anglików z wyspy Rê i do oblężenia La Rochelle.

Na pierwszy rzut oka nic w nim nie zdradzało kardynała i tym, którzy nie znali go z twarzy, trudno było odgadnąć, kogo mają przed sobą.

Biedny kramarz stał przy drzwiach, kiedy oczy opisanej przez nas osobistości były w nim utkwione, i jakby się goniąc, sięgały do głębi jego duszy.

— Więc to ów Bonacieux? — zapytał po chwili milczenia.

— Tak, monsiniorze²¹⁹ — odrzekł oficer.

— Dobrze, podaj mi te papiery i zostaw nas samych.

Oficer wziął ze stołu wskazane papiery, podał je żądającemu, skłonił się do ziemi i wyszedł.

Bonacieux rozpoznał w tych papierach swój protokół z Bastylji.

Od czasu do czasu mężczyzna stojący przed kominkiem odrywał oczy od pisma i zaptaniał je jak sztylety w serce biednego gospodarza.

Po dziesięciominutowym czytaniu i chwili badania wzrokiem zdanie kardynała zostało ustalone.

— Głowa ta nie spiskowała nigdy — wyszeptał — lecz mniejsza o to, przekonajmy się sami.

— Jesteś obwiniony o zdradę — rzekł przeciągle kardynał.

— Powiedziano mi to właśnie, monsiniorze — zawołał Bonacieux, używając tytułu, jaki słyszał od oficera — lecz przysięgam, iż nic o tym nie wiem.

Kardynał powstrzymał uśmiech.

— Spiskowałeś ze swoją żoną, z panią de Chevreuse i księciem Buckinghamem.

— Rzeczywiście, monsiniorze — odparł gospodarz — słyszałem, jak wymawiała te wszystkie nazwiska.

— W jakich okolicznościach?

— Mówiła ona, iż kardynał de Richelieu ściągnął do Paryża księcia Buckingham, aby go razem z królową zgubić.

— Ona to mówiła? — zawołał kardynał gwałtownie.

— Tak, monsiniorze. Powiedziałem jej, iż źle robi, plotąc podobne rzeczy, i że Jego Eminencja nie byłby zdolny...

— Milcz, jesteś głupiec — przerwał mu kardynał.

— Zupełnie to samo powiedziała mi żona, monsiniorze.

²¹⁵Karol I Gonzaga de Nevers (1580–1637) — książę Nevers i Rethel, od 1627 roku Mantui i Montferratu. [przypis edytorski]

²¹⁶Mantua — miasto i gmina we Włoszech, w Lombardii; przez wiele wieków stanowiła ośrodek niezależnego margrabstwa (a następnie księstwa) rządzonego przez ród Gonzagów. [przypis edytorski]

²¹⁷Nimes — miasto w pld. Francji, w regionie Oksytania; w czasie wojen religijnych w XVI w. opanowane przez hugenotów. [przypis edytorski]

²¹⁸Castres i Uzès — miejscowości w pld. Francji, w regionie Oksytania. [przypis edytorski]

²¹⁹monsinior — tytuł dygnitarzy kościelnych we Włoszech. [przypis edytorski]

— Czy wiesz, kto porwał twoją żonę?
 — Nie, monsiniorze.
 — Masz jednak jakieś podejrzenia?
 — Tak, lecz one nie w smak były panu sędziemu, więc już ich nie mam wcale.
 — Twoja żona wydostała się na wolność. Wiedziałeś o tym?
 — Nie, monsiniorze. Dowiedziałem się dopiero w więzieniu, i to z ust pana sędziego, wielce miłego człowieka!
 Uśmiech znów się ukazał na ustach kardynała.
 — Nie wiesz zatem, co się stało z twoją żoną po ucieczce?
 — Nic zgoła nie wiem, monsiniorze, musiała pewnie powrócić do Luwru.
 — O pierwszej w nocy jeszcze jej tam nie było.
 — A! Mój Boże! Cóż się więc z nią stało?...
 — To się wyda, bądź spokojny; nic się przed kardynałem nie ukryje, kardynał wie o wszystkim.
 — W takim razie, monsiniorze, czy sądzisz, iż kardynał zgodzi się powiedzieć mi, co się stało z moją żoną?
 — Być może, ale najpierw musisz wyznać wszystko, co wiesz o stosunkach twojej żony z panią de Chevreuse.
 — Kiedy ja nie wiem o niczym, monsiniorze; nigdy jej nie widziałem.
 — Gdy chodziłeś po nią do Luwru, czy wracała prosto do domu?
 — Prawie nigdy. Miała interesy do sklepów z płótnem, dokąd ją też odprowadzałem.
 — A wielu takich kupców było?
 — Dwóch, monsiniorze.
 — Gdzie mieszkali?
 — Jeden przy ulicy Vaugirard, drugi przy ulicy de la Harpe.
 — Czy wchodziłeś z nią do nich?
 — Nigdy, monsiniorze; czekałem przed drzwiami.
 — A czym się tłumaczyła, że wchodzi sama?
 — Nie tłumaczyła się nigdy; kazała mi czekać i czekałem.
 — Wygodny z ciebie małżonek, mój drogi panie Bonacieux! — rzekł kardynał.
 „On mnie nazywa swoim drogim panem! — rzekł sobie w duchu kramarz. — Nieźle już rzeczy stoją!”
 — Czy poznałbyś te drzwi?
 — Poznałbym.
 — A pamiętasz numery domów?
 — Pamiętam.
 — Jakież więc?
 — Numer 25 przy ulicy Vaugirard, numer 75 — ulica de la Harpe.
 — Dobrze — rzekł kardynał.
 To mówiąc, zadzwonił; wszedł oficer.
 — Idź po Rocheforta — rzekł doń półgłosem — niech przyjdzie tu natychmiast, jeżeli już powrócił.
 — Hrabia jest już tutaj — odrzekł oficer — i pragnie usilnie mówić z Waszą Eminencją!
 — Niech przyjdzie, niech przyjdzie! — rzekł porywczo kardynał.
 Oficer wybiegł z pokoju z pośpiechem właściwym tym wszystkim, którzy służyli kardynałowi.
 — Z Waszą Eminencją! — mruczał Bonacieux, tocząc błędnym wzrokiem.
 Zaledwie kilka minut po wyjściu oficera drzwi się otworzyły i weszła nowa figura.
 — To on! — wykrzyknął Bonacieux.
 — Co za on? — zapytał kardynał.
 — Ten, co porwał mi żonę.
 Kardynał znowu zadzwonił. Oficer wszedł.
 — Oddaj tego człowieka w ręce stróżów i niechaj czeka, aż go wezwę do siebie.
 — Nie, monsiniorze! Nie, to nie on! — wołał Bonacieux. — Nie, ja się pomyliłem. To ktoś inny, wcale do niego niepodobny! Ten pan jest człowiekiem uczciwym.
 — Precz z tym durniem! — zawołał kardynał.

Oficer wziął kramarza pod pachę i wyprowadził do przedpokoju, gdzie oczekiwali jego dwaj dozorczy.

Nowo przybyły powiódł niecierpliwym wzrokiem za wychodzącym Bonacieux, a gdy drzwi zamknęły się za nim, rzekł:

— Widzieli się.

— Kto? — zapytał kardynał.

— On i ona.

— Królowa i księżę?

— Tak.

— Gdzie?

— W Luwrze.

— Jesteś tego pewny?

— Najzupełniej.

— Kto ci to mówił?

— Pani de Lannoy, która, jak Waszej Eminencji wiadomo, jest mi zupełnie oddana.

— Czemuż wcześniej tego nie powiedziała?

— Bo przypadkowo, a może też przez nieufność, królowa rozkazała pani de Surgis spać w swoim pokoju i cały dzień nie puściła jej od siebie.

— Ha! Jesteśmy pobici. Postarajmy się o odwet.

— Bądź spokojny, monsiniorze, pomogę ci z całej duszy.

— Jakże to było?

— O godzinie wpół do pierwszej w nocy królowa była w otoczeniu swoich dam...

— Gdzie?

— W swojej sypialni.

— Dobrze.

— Gdy wtem wręczono jej chusteczkę przyniesioną przez dozorczynię bielizny...

— Cóż dalej?

— Królową ogarnęło nagle wzruszenie i pomimo różu, którym miała pokrytą twarz, zbladła.

— Cóż dalej?... Prędeż!

— Podniosła się jednakże i niepewnym głosem powiedziała: „Moje panie, za dziesięć minut powrócę, poczekajcie na mnie”. Otworzyła drzwi alkowy²²⁰ i wyszła.

— Dlaczego pani de Lannoy nie dała ci o tym znać natychmiast?

— Nic jeszcze nie było pewnego; zresztą królowa powiedziała: „Moje panie, poczekajcie na mnie”; nie śmiała więc sprzeciwić się rozkazowi królowej.

— Jak długo nie było królowej w jej pokoju?

— Trzy kwadranse.

— Czy żadna z dam nie poszła razem z nią?

— Tylko *donna* Estefania.

— A potem królowa wróciła?

— Tak, aby zabrać szkatułkę z drzewa różanego ze swoją cyfrą, i znowu wyszła.

— A jak wróciła wreszcie, czy przyniosła szkatułkę?

— Nie.

— Czy pani de Lannoy wiedziała, co zawiera szkatułka?

— Tak, zapinki diamentowe, które król ofiarował królowej.

— Zatem wróciła bez szkatułki?

— Tak.

— Zdaniem pani de Lannoy oddała ją Buckinghamowi?

— Jest tego pewna.

— Dlaczego?

— Gdyż pani de Lannoy jako dama usługująca królowej przy toalecie szukała brylantów wszędzie w ciągu dnia, udając wielkie zaniepokojenie, a nie znalazłszy, zapytała królowej, co się z nimi mogło stać.

— A cóż na to królowa?...

²²⁰*alkowa* — mały pokoik bez okien, przylegający do większego pokoju, przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

— Zacerwieniła się okropnie i odpowiedziała, iż uszkodziwszy wczoraj jedną z zapinek, posłała ją swemu jubilerowi do naprawy.

— Trzeba udać się do niego i przekonać, czy to prawda, czy nie.

— Byłem już tam.

— I cóż jubiler?...

— Nie słyszał o niczym.

— Dobrze! Słuchaj, Rochefortcie, nie wszystko jest stracone, a może... dobrze się nawet stało!...

— O! Nie wątpię, że geniusz Waszej Eminencji...

— ...naprawi głupstwa swego agenta, wszak tak?

— To właśnie miałem powiedzieć, gdyby Wasza Eminencja była mi dozwoliła dokończyć zdanie.

— A teraz, czy wiesz, gdzie się ukrywali księżna de Chevreuse i książę Buckingham?

— Nie, monsiniorze, moi ludzie nie mogli mi nic pewnego powiedzieć.

— A ja wiem.

— Wy, monsiniorze?

— Tak, a przynajmniej przypuszczam. Obrali sobie siedzibę, jedną przy ulicy Vaugirard numer 25, drugą przy ulicy la Harpe numer 75.

— Czy Wasza Eminencja życzy sobie, ażebym kazał ich aresztować?

— Za późno, już ich tam nie znajdują.

— Bądź co bądź można się przekonać.

— Weź ze sobą dziesięciu z moich przybocznych i przetrząśnijcie obydwie domy.

— Idę, monsiniorze.

Rochefort wybiegł z pokoju.

Kardynał, pozostawszy sam, wpadł w chwilową zadumę, następnie zadzwonił po raz trzeci.

Oficer wszedł.

— Wpuść tu więźnia — odezwał się kardynał.

Bonacieux znowu został wprowadzony, oficer zaś wyszedł na znak kardynała.

— Oszukałeś mnie!... — rzekł kardynał surowo.

— Ja?... — wykrzyknął Bonacieux. — Ja miałbym oszukać Waszą Eminencję?...

— Twoja żona idąc na ulicę Vaugirard i de la Harpe, wcale nie do kupców płótna wstępowała.

— Boże sprawiedliwy! A gdzież chodzić by mogła?...

— Do księżnej de Chevreuse i księcia Buckingham.

— Tak — rzekł Bonacieux, przypomniawszy sobie wszystko — tak, Wasza Eminencja ma słuszość. Nieraz ja jej mówiłem, że to dziwnie, aby kupcy płótna w takich domach mieszkali, gdzie żadnych nie ma szylców, a ona wtedy się śmiała. O!... Monsiniorze — wołał Bonacieux, rzucając się do nóg eminencji. — O! Prawdziwie wielkim kardynałem jesteś, człowiekiem geniuszu, którego cały świat uwielbia!...

Jakkolwiek drobny był triumf odniesiony nad istotą tak pospolitą jak Bonacieux, ucieszył on jednak kardynała na chwilę. Naraz nowa myśl widocznie zaświeciła w jego umyśle, uśmiech przebiegł mu po ustach i podając rękę kramarzowi, wyrzekł:

— Powstań, przyjacielu, dobry z ciebie człowiek.

— Kardynał dotknął mojej ręki! Ja dotknąłem ręki wielkiego człowieka! — zawołał Bonacieux. — Przyjacielem swoim mnie nazwał!

— Tak, przyjacielem, tak! — rzekł kardynał tonem ojcowskim, jaki niekiedy potrafił przybierać, wprowadzając tym jednak w błąd tylko tych, którzy go nie znali. — A ponieważ posądzono cię niesłusznie, słuchaj, należy ci się wynagrodzenie. Patrz, weź tę sakiewkę ze stoma pistolami i nie gniewaj się na mnie.

— Ja mam się gniewać na pana, monsiniorze? — rzekł Bonacieux, wahając się, czy ma przyjąć sakiewkę, obawiał się bowiem, aby ten dar proponowany nie był tylko żartem. — Wolno ci było, Eminencjo, kazać mnie uwięzić, wolno ci teraz brać mnie na tortury, powiesić, jesteś panem życia i śmierci, a mnie nie godzi się słówka nawet wypuścić z ust. I ja mam się na pana gniewać? Żartujesz chyba, Eminencjo?...

— O! Mój drogi panie Bonacieux, widzę, żeś szlachetny, i dziękuję ci za to. Weźmiesz więc sakiewkę i odejdziesz, nie mając do mnie urazy?

— Odchodzę zachwycony Waszą Ekscelencją.

— Żegnam cię więc, a raczej mówię do widzenia, bo mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze!...

I pożegnał go ręką, na co Bonacieux odpowiedział niskim ukłonem aż do ziemi; wyszedł, cofając się, a gdy już był w przedpokoju, kardynał usłyszał, jak uniesiony zapalem wrzeszczał na całe gardło:

— Niech żyje monsinior! Niech żyje Jego Eminencja! Niech żyje wielki kardynał!

Kardynał z uśmiechem przysłuchiwał się tym hałaśliwym objawom uczuć zapalającego się pana Bonacieux.

Gdy wreszcie krzyki te rozplynęły się w oddali, rzekł sam do siebie:

— Znowu jeden, który da się zabić za mnie.

I z największą uwagą przyglądał się już mapie La Rochelle, znacząc ołówkiem linię, gdzie miała być przeprowadzona sławna tama, która w osiemnaście miesięcy później zamykała port oblężonego miasta.

Gdy tak pogrążył się w rozmyślaniach strategicznych, drzwi się uchyliły i stanął w nich Rochefort.

— I cóż? — zapytał kardynał gwałtownie, zrywając się szybko od stołu, co świadczyło, jak go ta sprawa obchodzi.

— Tak — odrzekł tenże — młoda kobieta, mająca około dwudziestu sześciu lat, i trzydziestopięcioletni mężczyzna przebywali rzeczywiście, ona cztery, on pięć dni, w domach wskazanych przez Waszą Eminencję; ale kobieta wyjechała tej nocy, a mężczyzna dziś z rana.

— To oni! — zawołał kardynał, patrząc na zegar. — A teraz — mówił — za późno już puszczać się za nimi w pogoń. Księżna jest w Tours, a księżę w Boulogne. Dogonić ich należy w Londynie.

— Jakie są rozkazy Waszej Eminencji?

— Ani słówka o tym, co zaszło. Królowa niech będzie zupełnie spokojna, niech nie przypuszcza, iż znamy jej tajemnicę, niech myśli, że szukamy dopiero jakiegoś spisku. Przyślij mi tu wielkiego kanclerza Séguiera²²¹.

— A co Wasza Eminencja zrobiła z tym człowiekiem?

— Z jakim? — zapytał kardynał.

— Z tym Bonacieux.

— Zrobiłem, co się dało. Szpiega jego własnej żony.

Hrabia de Rochefort skłonił się, jakby uznając widocznie wyższość swego mistrza, i wyszedł.

Kardynał, znalazłszy się sam, usiadł przy biurku, napisał list i zapieczętowany osobistą pieczęcią, zadzwonił.

Oficer znowu się stawił.

— Posłać mi po Vitraya — rzekł — i powiedziec mu, aby przygotował się do podróży.

W chwilę potem człowiek, którego sobie życzył, stał przed nim w podróżnych butach z ostrogami.

— Vitrayu — rzekł — puścisz się pędem do Londynu. Ani na chwilę nie zatrzymasz się w drodze. Oddasz ten list milady. Oto kwit na dwieście pistoli, udaj się do mojego skarbnika i każ sobie wypłacić. Dostaniesz drugie tyle, jeżeli za sześć dni będziesz z powrotem i dobrze spełnisz zlecenie.

Wysłaniec skłonił się bez słowa odpowiedzi, zabrał list i kwit i wyszedł.

Oto, co zawierał ten list:

Milady! Bądź na pierwszym balu, na którym będzie znajdować się księżę de Buckingham. Będzie on miał przy swoim ubraniu dwanaście zapinek, zbliż się do niego i obetnij mu dwie mu z nich. Skoro je będziesz miała, zawiadom mnie niezwłocznie.

²²¹Séguier, Pierre (1588–1672) — francuski polityk, od 1635 kanclerz Francji. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XV. URZĘDNICY I WOJSKOWI

Nazajutrz po wypadkach wyżej opowiedzianych, gdy Atos nie pokazywał się, d'Artagnan i Portos zawiadomili o jego zniknięciu pana de Tréville. Aramis zaś, zażądawszy pięciodniowego urlopu, wyjechał do Rouen, gdzie, jak mówiono, miał do załatwienia interesy rodzinne.

Pan de Tréville był ojcem dla swoich podwładnych.

Najpodrzedniejszy z nich, skoro tylko nosił mundur oddziału, pewien był jego pomocy i poparcia jak u rodzzonego brata.

Tréville, dowiedziawszy się o wypadku z Atosem, udał się natychmiast do urzędnika mającego kontrolę nad sprawami kryminalnymi. Sprowadzono oficera dowodzącego wartą w więzieniu Croix-Rouge i z jego objaśnień dowiedziano się, że Atos osadzony był czasowo w For-l'Évêque.

Atos przeszedł wszystkie takie same przykrości, jakie znieść musiał Bonacieux.

Byliśmy obecni przy konfrontacji dwóch więźniów.

Atos, który dotąd milczał z obawy, aby d'Artagnanowi nie brakło potrzebnego czasu, oświadczył teraz stanowczo, że nazywa się Atos, a nie d'Artagnan.

Dodał, iż nie zna ani pani, ani pana Bonacieux; że nie mówił z nimi nigdy; że przyszedł odwiedzić d'Artagnana około dziewiątej wieczorem, a przedtem był u pana de Tréville, u którego obiadował; dodał i to również, iż dwudziestu świadków może stwierdzić ten fakt i wymienił kilkanaście osób wysoko postawionych, a pomiędzy innymi księcia de la Trémouille.

Drugi zastępca sędziego, również jak i pierwszy, uczuł się oszołomiony tym jasnym i stanowczym zeznaniem muszkietera, któremu rad byłby pokazać swą wyższość, jako urzędnik cywilny człowiekowi noszącemu szpadę; lecz nazwisko pana de Tréville i księcia de la Trémouille zwróciło jego uwagę.

Atosa odesłano do kardynała, lecz na nieszczęście był on wtedy w Luwrze u króla.

Była to właśnie pora, w której pan de Tréville, wyszedłszy od urzędnika rozpatrującego sprawy kryminalne i od naczelnika For-l'Évêque, nie znalazł Atosa i przybył do Jego Królewskiej Mości. Jako dowódca muszkietarów pan de Tréville miał wstęp do króla o każdej godzinie.

Wiadomo, jakie były uprzedzenia króla względem królowej, uprzedzenia zresztą podsycane przez kardynała, który pod względem intryg nieskończenie więcej nie do wierzał kobietom aniżeli mężczyznom.

Jedną z najgłośniejszych przyczyn tego uprzedzenia była przyjaźń Anny Austriackiej dla pani de Chevreuse.

Te dwie kobiety sprawiały mu więcej niepokoju niż wojna z Hiszpanią, zatargi z Anglią i kłopoty finansowe.

W jego przekonaniu pani de Chevreuse przewyższała królową nie tylko w intrygach politycznych, ale, co go dręczyło znacznie bardziej, i w intrygach miłosnych.

Kiedy więc kardynał powiedział królowi, że pani de Chevreuse, która za karę była zesłana do Tours, przyjechała do Paryża, przebywała tu pięć dni, zmyliła tropy policji, król wpadł w straszny gniew.

Kapryśny i niestały, chciał, aby go nazywano: Ludwikiem Sprawiedliwym i Ludwikiem Skromnym.

Potomność z trudnością zrozumie ten charakter, który historia wyjaśnia faktami, a nigdy rozumowaniem.

Gdy zaś kardynał dodał, że pani de Chevreuse nie tylko przyjechała do Paryża, ale królowa zawiązała z nią jeszcze na nowo tajemniczą korespondencję, gdy zapewnił, że miał już w rękach nitkę tej zawilej intrygi, a byłby nawet całą rzecz pochwylił na gorącym uczynku, lecz pewien muszkietier, wysłaniec królowej, poważył się z bronią w ręku napaść na czcigodnych sędowników badających bezstronnie tę sprawę, Ludwik XIII, nie będąc w stanie zapanować nad sobą, podążył ku apartamentom królowej z bladą twarzą, z nią pogardą i oburzeniem, które, gdy wybuchnęło, doprowadzało do najchłodniejszego okrucieństwa.

A jednak w tym, co mówił kardynał, nie było jeszcze ani wzmianki o Buckinghamie.

Ironia, Król, Historia

Wtedy właśnie wszedł pan de Tréville, zimny, grzeczny i ubrany bez zarzutu.

Obecność kardynała i widok zmienionego oblicza króla ostrzegły go, co zaszło pomiędzy nimi, i poczuł się silny jak Samson²²² wobec Filistynów²²³.

Ludwik XIII brał już za klamkę u drzwi.

Na szmer, sprawiony przez wchodzącego pana de Tréville, obejrzał się.

— O! W porę pan przychodzisz — odezwał się król, który wpadłszy już w pasję, nie był w stanie jej powściągnąć. — Pięknych rzeczy dowiaduję się o pańskich muszkietierach.

— A ja — rzekł z zimną krwią de Tréville — piękne rzeczy mam donieść Waszej Królewskiej Mości o jego cywilnych urzędnikach.

— Co takiego? — zapytał wyniośle król.

— Mam zaszczyt oznajmić Waszej Królewskiej Mości — mówił dalej Tréville tym samym tonem — iż pewni prokuratorzy, komisarze i niżsi urzędnicy policji, ludzie wielce szanowni, lecz, jak widać, mocno zaciekli przeciw mundurowi wojskowemu, pozwolili sobie aresztować w domu i wrzucić do więzienia jednego z moich, a raczej z twoich, muszkieterów, Najjaśniejszy Panie, człowieka bez zarzutu, nieledwie znakomitego, którego Wasza Królewska Mość zna z dobrej strony, bo jest nim pan Atos.

— Atos — powtórzył król machinalnie — tak, w istocie znam to nazwisko.

— Racz przypomnieć sobie, Najjaśniejszy Panie — mówił dalej Tréville — iż pan Atos jest tym muszkietierem, który w owym smutnej pamięci pojedynku zranił tak niebezpiecznie pana de Cahusac. Ale, monsiniorze — ciągnął dalej Tréville, zwracając się do kardynała — spodziewam się, iż pan de Cahusac przyszedł już zupełnie do zdrowia?

— Dziękuję!... — odparł kardynał, przygryzając ze złości wargi.

— Otóż pan Atos poszedł odwiedzić jednego ze swoich przyjaciół, którego nie zastał, młodego Bearneńczyka, kadeta z gwardii Jego Królewskiej Mości, z oddziału des Essarts, zaledwie jednak zdążył usiąść i wziąć książkę do ręki, aby skrócić oczekiwanie na przyjaciela, gdy chmara pacholków i żołnierzy otoczyła dom i kilkoro drzwi wyłamała...

Kardynał uczynił królowi znak porozumienia, jakby chciał wypowiedzieć: „To właśnie ta sprawa, o której mówiłem”.

— Znane nam jest to wszystko — odpowiedział król — a stało się to dla naszego dobra.

— Więc — rzekł de Tréville — dla dobra Waszej Królewskiej Mości także pochwycono jednego z moich niewinnych muszkieterów, osadzono w więzieniu jak złoczyńcę i wśród urągających tłumów prowadzono tego zacnego rycerza, który po dziesięćkroć przelewał swoją krew w usługach Waszej Królewskiej Mości i gotów powtórzyć to zawsze.

— Ba! — odezwał się król z pewnym wahaniem. — To się tak rzeczy miały?

— Pan de Tréville przemilczał — podchwycił z najwyższą flegmą kardynał — iż ten niewinny muszkietier, ten zacny rycerz, na godzinę przedtem, z bronią w ręku napadł na czterech urzędników sądowych wydelegowanych przeze mnie dla wyświetlenia sprawy jak najdrażliwszej.

— Wzywam Waszą Eminencję, aby tego dowiódł — wykrzyknął de Tréville z prawdziwie gaskońską otwartością i z czysto żołnierską szorstkością — bowiem na godzinę przedtem pan Atos, który, jak muszę się zwierzyć Waszej Królewskiej Mości, jest człowiekiem wielce znakomitego rodu, zaszczycał nas po skończonym obiedzie rozmową w moim salonie z księciem de la Trémouille i z hrabią de Châlus, którzy również z nim byli.

Król popatrzył na kardynała.

— Protokół zaświadcza — odezwał się kardynał w odpowiedzi na nieme pytanie króla — że ludzie pobici zeznali to, co miałem zaszczyt przedstawić Waszej Królewskiej Mości.

— Protokół urzędników cywilnych nie jest wart słowa honoru żołnierskiego — z dumą odparł Tréville.

— No, no, Tréville, cicho bądź — rzekł król.

²²²Samson — postać biblijna, legendarny bohater wojen Izraelitów z Filistynami; obdarzony nadludzką siłą, którą stracił po ścięciu mu włosów przez kochankę, Dalilę. [przypis edytorski]

²²³Filistyni — starożytny lud, który zamieszkiwał południowe wybrzeża Kanaanu; wielokrotnie wspomniany w Biblii wrogowie Izraelitów. [przypis edytorski]

— Jeżeli Jego Eminencja ma jakieś podejrzenia względem któregoś z moich muszkietarów — odezwał się de Tréville — sprawiedliwość pana kardynała jest dość znana, abym sam zażądał śledztwa.

— W domu, gdzie śledztwo sądowe było zarządzane — kończył obojętnie kardynał — mieszka, zdaje mi się, pewien Bearneńczyk, przyjaciel muszkietarów.

— Wasza Eminencja chce mówić o panu d'Artagnanie?

— Chcę mówić o młodzieńcu, którego protegujesz, panie de Tréville.

— Tak, Eminencjo, ten sam.

— Czy nie przypuszczasz pan, iż młodzieniec ów namawiał do złego...

— Pana Atosa, człowieka dwa razy odeń starszego? — przerwał mu de Tréville. — Nie, monsieurze. Zresztą pan d'Artagnan przepędził ten wieczór u mnie.

— Masz tobie! — rzekł kardynał. — Wszyscy więc spędzili wieczór u pana?

— Miałaby Wasza Eminencja nie wierzyć mojemu słowu? — rzekł de Tréville z rumieńcem gniewu na czole.

— Nie, Boże uchowaj! — odrzekł kardynał. — Ale o której godzinie był u pana?

— O! Mogę to na pewno powiedzieć Waszej Eminencji, ponieważ kiedy wszedł do mnie, zauważyłem, iż było wpół do dziesiątej, chociaż sądziłem, że już znacznie później.

— A o której od pana wyszedł?

— O wpół do jedenastej, w godzinę po wypadku.

— Ależ koniec końców — odrzekł kardynał, który ani na chwilę nie wąpił o prawości de Tréville, a czuł wymykające mu się zwycięstwo — Atos został aresztowany w domu przy ulicy des Fossoyeurs.

— Czyż nie wolno przyjacielowi odwiedzić przyjaciela?... Muszkietarowi z mojego oddziału bratać się z kadetem z oddziału pana des Essarts?

— Zapewne, ale dom, w którym on się brata ze swoim przyjacielem, jest bardzo podejrzany.

— Tak, ten dom jest podejrzany. De Tréville — odezwał się król — może sam o tym nie wiedziałeś?

— W istocie, Najjaśniejszy Panie, nie wiedziałem. W każdym razie dom może być podejrzany wszędzie prócz części zamieszkaanej przez pana d'Artagnana; bo, jeżeli mi wolno zaręczyć, Najjaśniejszy Panie, i wierzyć słowom jego, nie znajdzie się przywiązany poddany Waszej Królewskiej Mości i większy wielbiciel pana kardynała.

— Czy to nie ten d'Artagnan, który ranił kiedyś Jussaca w nieszczęsnym spotkaniu przy klasztorze karmelitów bosych? — zapytał król, spoglądając na kardynała, który zaczerwienił się ze złości.

— A nazajutrz potem ranił Bernajoux. Tak, Najjaśniejszy Panie, tak, ten sam; dobrą pamięć ma Wasza Królewska Mość.

— A zatem, co postanowimy? — zagadnął król.

— To dotyczy bardziej Waszej Królewskiej Mości aniżeli mnie — odpowiedział kardynał. — Ja uznałbym czyn za karygodny.

— A ja go nie uznaję — rzekł Tréville. — Lecz Jego Królewska Mość ma sędziów; ich rzeczą jest sądzić, niech sądzą.

— Tak, tak — podchwycił król — odeślijmy sprawę do sądu. Rzeczą sędziów jest sądzić, niech więc sądzą.

— Ale — ciągnął dalej de Tréville — smutne to, iż w naszych nieszczęsnych czasach życie bez skazy, niezaprzeczona cnota nie uwalnia człowieka od potwarzy i prześladowania. Wojsko też będzie niezbyt zadowolone, mogę ręczyć, będąc narażone na srogie obejście się z powodu spraw policyjnych.

Słowa te były niebaczone; lecz pan de Tréville rzucił je ze świadomością skutku.

Pragnął wybuchu, gdyż mina, zapalając się płomieniem, rozświeca.

— Sprawy policyjne! — wykrzyknął król, powtarzając słowa pana de Tréville. — Sprawy policyjne! Co tobie, mój panie, do tego? Patrz na swych muszkietarów i nie zwracaj mi głowy. Słyszac cię, można by myśleć, że gdy nieszczęściem zaaresztują muszkietera, już cała Francja przepadnie. Patrzcie, co tu hałasu o jednego muszkietera! Rozkażę aresztować dziesięciu, do licha starego! Stule, cały oddział! I nie pozwolę odezwać się nawet słowa.

Sąd, Sędzia, Sprawiedliwość

Kondycja ludzka

Żołnierz

— Z chwilą, gdy są podejrzani przez Waszą Królewską Mość, muszkietierowie stają się winnymi; jak widzisz zatem, Najjaśniejszy Panie, gotów jestem oddać ci moją szpadę, gdyż nie wątpię, iż pan kardynał, obwiniwszy żołnierzy moich, skończy na oskarżeniu i mnie samego. Pójdę lepiej do więzienia z panem Atosem, który już się tam znajduje, i z panem d'Artagnanem, którego zaaresztują na pewno.

— Skończysz ty raz, gaskońska głowo? — rzekł król.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się de Tréville, bynajmniej głosu nie zniżając — rozkaż, by mi oddano mojego muszkietera albo niechaj go sądzą.

— Osądzą go — rzekł kardynał.

— Tym lepiej! Gdyż w takim razie żądać będę pozwolenia od Jego Królewskiej Mości, abym mógł bronić jego sprawy.

Król obawiał się wybuchu.

— Jeżeli Jego Eminencja — rzekł — nie ma względów osobistych.

Kardynał, widząc zwrot do siebie, wystąpił pierwszy:

— Przepraszam — rzekł — lecz odkąd Wasza Króлева Mość widzi we mnie sędziego niesprawiedliwego, usuwam się.

— Słuchaj — powiedział król — czy przysięgasz mi na pamięć mojego ojca, że pan Atos znajdował się u ciebie podczas wypadku i że nie miał w nim udziału?

— Na pamięć pełnego chwały ojca twojego i na ciebie, Najjaśniejszy Panie, który jesteś tym, którego kocham i czczę nad wszystko na świecie, przysięgam!

— Racz się zastanowić, Najjaśniejszy Panie — odezwał się kardynał — jeżeli w ten sposób uwolnimy więźnia, trudno będzie dojść prawdy.

— Pan Atos zawsze będzie gotowy odpowiadać, kiedy spodoba się urzędnikom cywilnym wezwać go na badanie. On nie ucieknie, panie kardynale; bądź spokojny, ja za niego ręczę.

— Rzeczywiście, on nie ucieknie — powtórzył król — znajdą go zawsze, jak mówi pan de Tréville. Zresztą — dodał, zniżając głos i błagalnie patrząc na Eminencję — dajmy im bezpieczeństwo, to będzie politycznie.

Polityka Ludwika XIII wywołała uśmiech na usta Richelieu.

— Rozkazuj, Najjaśniejszy Panie — rzekł — masz prawo ulaskawiania.

— Prawo ulaskawiania stosuje się tylko do winowajców — odezwał się de Tréville, chcąc mieć ostatnie słowo — mój muszkietier jest niewinny, nie dasz więc, Najjaśniejszy Panie, ulaskawienia, ale wymierzysz sprawiedliwość.

— On jest w For-l'Évêque? — zapytał król.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, w celi więziennej, pod zamknięciem, jak najstraszniejszy zbrodniarz.

— Tam do diabła! — mruknął król. — Co tu począć?

— Podpisać rozkaz uwolnienia i na tym koniec — odparł kardynał — ja również, jak Wasza Króлева Mość, sądzą, iż poświadczenie pana de Tréville jest aż nadto wystarczające.

De Tréville skłonił się nisko z radością, która nie była jednak wolna od obawy; przekładałby najtwardszy upór kardynała nad to nagłe ustępstwo.

Król podpisał rozkaz uwalniający i de Tréville zabrał go natychmiast.

Gdy miał wychodzić, kardynał uśmiechnął mu się przyjaźnie, mówiąc do króla:

— Porozumienie i przykładowa harmonia panują między wodzami a żołnierzami w twoich muszkietierach, Najjaśniejszy Panie. Jest to bardzo korzystne dla służby i zaszczytne dla wszystkich.

„Wypląta mi on figła — rzekł do siebie w duchu de Tréville. — Z takim człowiekiem nigdy nie można mieć ostatniego słowa. Śpieszmy jednak, bo król może zmienić zdanie natychmiast”.

Pan de Tréville odbył triumfalne wejście do For-l'Évêque, skąd wyswobodził muszkietera, którego nie opuściła bynajmniej pełna spokoju obojętność.

Następnie, pierwszy raz po tym widząc d'Artagnana, rzekł mu:

— Dobrze ci się udaje; już ci zapłacono za cięcie szpadą Jussaca. Pozostaje ci jeszcze Bernajoux, nie trzeba jednak szczęściu zbyt mocno ufać.

Przysięga, Król

Pan de Tréville miał zupełną słuszość, iż nie dowierzał kardynałowi, zaledwie bowiem drzwi się za nim zamknęły, Eminencja przemówił do króla w te słowa:

— Teraz, gdyśmy pozostali we dwóch, porozmawiamy poważnie, jeżeli łaska Waszej Królewskiej Mości. Najjaśniejszy Panie, książę Buckingham przebywał w Paryżu od pięciu dni i dopiero dziś rano go opuścił.

ROZDZIAŁ XVI. PAN SÉGUIER UCZUWA GWALTOWNIEJSZĄ NIŻ DAWNIEJ POTRZEBĘ UDERZENIA W DZWON

Niepodobna przedstawić wrażenia, jakie wywarły te słowa na Ludwiku XIII.

Zaczerwienił się i zbladł.

Kardynał rozumiał, iż za jednym zamachem odzyskał stracone stanowisko.

— Buckingham w Paryżu! — wykrzyknął. — Co on tutaj robił?

— Spiskował bez wątpienia z wrogami Waszej Królewskiej Mości, z hugenotami i Hiszpanami.

— Dość tego, na Boga! Spiskował przeciw czci mojej z panią de Chevreuse, panią de Longueville i Kondeuszami²²⁴

— O! Najjaśniejszy Panie, co za myśl! Królowa zanadto jest cnotliwa, a nade wszystko przywiązana do Waszej Królewskiej Mości.

— Słaba jest kobieta, panie kardynale — rzekł król — a o przywiązaniu jej do mnie, o jej miłości wiem dobrze, co myśleć.

— Bądź co bądź utrzymuję — rzekł kardynał — iż książę Buckingham przyjechał do Paryża w celach czysto politycznych.

— A ja jestem pewny, że zupełnie po co innego, panie kardynale. Lecz jeżeli winna jest królowa, biada jej!

— Ostatecznie, jakkolwiek wzdrygam się na myśl o podobnej zdradzie, Wasza Królewska Mość daje mi do myślenia. Pani de Lannoy, którą z rozkazu Waszej Królewskiej Mości pytałem kilkakrotnie, mówiła mi dziś rano, iż poprzedniej nocy królowa długo czuwała, dziś bardzo płakała i prawie cały dzień pisała.

— Do niego, z pewnością do niego — podchwycił król. — Kardynale, ja muszę mieć jej listy.

— Ale jakże je dostać, Najjaśniejszy Panie? Zdaje mi się, iż ani ja, ani Wasza Królewska Mość nie możemy się podjąć tej sprawy.

— A jakże poradzono sobie z marszałkową d'Ancre²²⁵? — krzyknął król w najwyższym uniesieniu. — Zrewidowano wszystkie jej szafy, a wreszcie i ją samą.

— Bo ona była tylko marszałkową d'Ancre, awanturnicą florencką, i nic więcej, gdy dostojna małżonka Waszej Królewskiej Mości jest Anną Austriacką, królową Francji, czyli najpierwszą monarchinią w świecie.

— Pomimo to jest występna, panie kardynale! Im więcej zapomniała o swoim wysokim stanowisku, tym niżej upadła. Wreszcie postanowiłem już od dawna położyć kres tym politycznym i miłosnym intrygom. Ma ona także za sobą niejakiego La Porte'a...

— Którego ja uważam za główną sprężynę w tym wszystkim — podchwycił kardynał.

— Zgadzasz się więc ze mną, że ona mnie zwodzi? — zagadnął król.

— Przypuszczam tylko i powtarzam Waszej Królewskiej Mości, że królowa spiskuje przeciw potędze swojego króla, lecz nie mówię, iż przeciw jego czci.

— A ja ci mówię, panie kardynale, że czyni jedno i drugie; mówię ci, że królowa nie kocha mnie; że kocha tego bezecnika²²⁶ Buckinghama. Czemu nie kazałeś go uwięzić, kiedy był w Paryżu?

Pozycja społeczna, Upadek

²²⁴Kondeusze — francuski ród arystokratyczny, będący boczną linią dynastii Burbonów, odgrywający znaczącą rolę we Francji w XVI i XVII w. [przypis edytorski]

²²⁵marszałkowa d'Ancre, właśc. *Leonora Dori* (1571–1617) — faworyta Marii Medycejskiej w okresie jej regencji na tronie Francji; żona Concino Concini, również faworyta królowej, który odegrał znaczącą rolę polityczną w okresie małoletności króla Ludwika XIII; oskarżona o praktyki magiczne zginęła poprzez ścięcie. [przypis edytorski]

²²⁶bezecnik — człowiek pozbawiony czci, wyzuty z honoru. [przypis edytorski]

— Uwięzić księcia! Pierwszego ministra Karola II! Niepodobna!... Taki rozgłos! A gdyby wreszcie podejrzenia Waszej Królewskiej Mości, które pragnę uważać za mylne, miały jakąś podstawę, co za skandal straszliwy! Przygnębiający!

— Lecz jeśli narażał się jak włóczęga, jak złodziej, trzeba było...

Ludwik XIII zaciął się, przerażony własnymi słowami, a Richelieu nadstawił ucha, daremnie wyczekując słowa, które zamarło na ustach królewskich.

— Trzeba było?

— Nic, nic — rzekł król. — Lecz czy w ciągu pobytu jego w Paryżu, nie straciłeś go z oczu?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Gdzie mieszkał?

— Przy ulicy de La Harpe numer 75.

— Gdzież to jest?

— W okolicy Luksemburga.

— I jesteś pewny, że królowa nie widziała się z nim?

— Sądzę, iż królowa nazbyt ceni swoje obowiązki, Najjaśniejszy Panie.

— Lecz porozumiewali się piśmiennie, panie kardynale. To do niego cały dzień pisała królowa. Kardynale, ja muszę mieć te listy!

— A jednak, Najjaśniejszy Panie...

— Mości książę, niech się stanie, co chce, żądam ich.

— Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości...

— Czyż i ty nie zdradzasz mnie także, panie kardynale, sprzeciwiając się woli mojej? Czyż i ty także trzymasz z Hiszpanami, Anglikami, z panią de Chevreuse i królową?

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się kardynał z westchnieniem — sądziłem, że mogę być wolny od podobnego podejrzenia.

— Panie kardynale, rozumiesz mnie; ja chcę tych listów.

— Byłby na to tylko jeden sposób.

— Jaki?

— Powierzyć to zadanie wielkiemu kanclerzowi, panu Séguier. Rzecz ta najzupełniej wchodzi w jego obowiązki.

— Niech pošłą po niego natychmiast!

— Musi on być u mnie w tej chwili; kazałem go prosić do siebie, a wyjeżdżając do Luwru, zostawiłem rozkaz, jeżeli się stawi, by zaczekał.

— Niech pójdą po niego bez zwłoki.

— Według rozkazu Waszej Królewskiej Mości, lecz...

— Lecz cóż?

— Lecz może królowa odmówi posłuszeństwa.

— Moim rozkazom?

— Tak, jeżeli nie będzie wiedziała, że pochodzi od króla.

— Ha! To aby nie miała wątpliwości, sam ją o tym uprzedzę.

— Wasza Królewska Mość niechaj nie zapomina, że czyniłem wszystko, co mogłem, aby zażegnać burzę.

— Tak, mój książę, wiem, iż jesteś nader względny dla królowej, może nawet aż nazbyt, i uprzedzam cię, że będziemy mieli do pomówienia o tym jeszcze później.

— Kiedy się Waszej Królewskiej Mości podoba. Zawsze jednak będę szczęśliwy i dumny, poświęcając się dla zgody, którą pragnę utrzymać pomiędzy Waszą Królewską Mością i królową Francji.

— Dobrze, kardynale, dobrze. Lecz tymczasem pošlij po wielkiego kanclerza, ja zaś idę do królowej.

I otworzywszy drzwi prowadzące na korytarz, udał się do apartamentów Anny Austriackiej.

Królową otaczały damy dworu: pani de Guitaut, pani de Sable, pani de Montbazon i pani de Guéménée. W rogu pokoju siedziała pokojówka, Hiszpanka, *donna* Estefania, która przybyła z nią z Madrytu. Pani de Guéménée czytała głośno; słuchano jej z uwagą, z wyjątkiem tylko królowej, która umyślnie prosiła o czytanie, aby udając, że słucha, mogła swobodnie puścić wodze swoim własnym myślom.

Myśli te, choć ozłocone ostatnim odbłyśkiem miłości, były niemniej smutne.

Dwór

Anna Austriacka była pozbawiona zaufania męża i prześladowana nienawiścią kardynała niemogącego jej przebaczyć odręczenia jego najśłodszych uczuć. Widziała ona dokoła siebie upadających najbardziej oddanych jej ludzi, najzaufańszych powierników, swoich najdroższych ulubieńców.

Zdawać by się mogło, że posiada oplakany dar przynoszenia niedoli wszystkiemu, czego się tylko dotknęła. Jej przyjaźń dla kogoś była hasłem do prześladowań.

Panie de Chevreuse i de Vernet zostały skazane na wygnanie; La Porte na koniec nie tań przed swoją władczynią, że lada chwila spodziewa się uwięzienia.

Kiedy właśnie była najbardziej pogrążona w swoich ponurych i ciężkich myślach, drzwi się otworzyły i wszedł król.

W tej chwili lektorka umilkła, damy powstały i zapanowało głębokie milczenie.

Król zaś bez najmniejszej oznaki grzeczności rzekł wzburzonym głosem, zatrzymując się przed królową:

— Pani, będziesz tu miała wizytę pana kanclerza, obarczonego przeze mnie sprawami, które ci opowie.

Nieszczęśliwa królowa, której nieustannie grożono rozwodem, wygnaniem, a nawet sądem, zbladła pod powłoką różu, nie mogąc się powstrzymać od zapytania:

— Lecz po co ta wizyta, Najjaśniejszy Panie? Co pan kanclerz powiedzieć mi może, czego by Wasza Królewska Mość sam oznajmić mi nie mógł?

Król, nic nie odpowiedział, wykręcił się na pięcie, a w tejże chwili kapitan straży, pan de Guitaut, oznajmił wizytę kanclerza.

Gdy ten się ukazał, król zniknął już za drugimi drzwiami.

Wszedł kanclerz, na pół uśmiechnięty, na pół wstydliwie zarumieniony.

Ponieważ spotkamy się z nim jeszcze w ciągu naszej opowieści, nie zawadzi przeto, aby czytelnicy zawarli z nim znajomość.

Kanclerz ów był uciesznym²²⁷ człowiekiem. Kanonik katedralny, nazwiskiem Des Roches le Masle, który był poprzednio pokojowcem kardynała, nastręczył go Eminencji jako człowieka pewnego. Richelieu mu zaufał i dobrze mu z tym było. Opowiadano o nim przeróżne historie, a między innymi następującą:

Spędziwszy burzliwie młodość, schronił się do klasztoru, aby przynajmniej jakiś czas pokutować za wybryki młodzieńczych lat. Lecz wchodząc w to święte miejsce, biedny pokutnik nie mógł tak szybko zatrasnąć drzwi za sobą, aby namiętności, przed którymi zmykał, nie wdarły się tam razem z nim. Nagabywany też był przez nie ustawicznie, a przełożony, któremu zwierzył się ze swego stanu, chcąc ustrzec go, o ile to było w jego mocy, polecił mu dla odpędzenia czarta²²⁸ kusiciela szukać ucieczki w sznurze od dzwonu, chwycić za niego i dzwonić co sił na trwogę. Na odgłos dzwonu zwiastującego, że pokusy zaczynały oblegać jednego z braciszków, mnisi uprzedzeni o przyczynie alarmu winni byli całym zastępem udawać się na modlitwę.

Ta rada spodobała się przyszlemu kanclerzowi. Począł więc odpędzać złego ducha nawalem mnisich modłów; lecz diabeł niełatwo da się usunąć z miejsca, które zajął, i w miarę podwajania egzorcyzmów potęgował swoje nagabywania tak, że dzwon bił na trwogę i we dnie, i w nocy, oznajmiając ciągle pokusy, jakim podlegał pokutnik.

Mnisi zostali pozbawieni spoczynku. We dnie nie robili nic innego, tylko biegali do kaplicy w górę i na dół z powrotem po schodach; w nocy zaś, prócz ostatniej godziny kanonicznej i jutrzni²²⁹, musieli zrywać się z łóżek jeszcze dwadzieścia razy, bijąc zawzięcie czołem o kamienne tafle celi klasztornej.

Nie wiadomo, czy diabeł opuścił stanowisko, czy też mnisi się zmęczyli; dość, że po upływie trzech miesięcy pokutnik na nowo ukazał się w świecie z reputacją najstrasliwszego opętańca, jaki był kiedyś na ziemi.

Wyszedszy z klasztoru, został urzędnikiem, otrzymał prezydenturę z biretem. Po śmierci wuja przyłączył się do partii kardynalskiej, co było dowodem niepośledniej przenikliwości, i został nareszcie kanclerzem, służąc gorliwie Jego Eminencji w jego nienawiści przeciw królowej matce i zemście przeciw Annie Austriackiej, podżegając sędziów

²²⁷ucieszny (daw.) — przyjemny, miły. [przypis edytorski]

²²⁸czart — diabeł. [przypis edytorski]

²²⁹jutrznia — pierwsza z godzin liturgicznych, ogłaszanych biciem w dzwony. [przypis edytorski]

w sprawie de Chalais, nareszcie, obdarzony zupełnym zaufaniem kardynała, na które należycie zasługiwał, dostał niezwykłego polecenia i aby je spełnić, stawiał się u królowej. Anna Austriacka jeszcze stała, gdy wszedł, lecz zaledwie go ujrzała, usiadła znowu na fotelu, dając znak damom, aby zajęły swoje miejsca na taboretach i poduszkach, i tonem wyniosłym zapytała:

— Czego żądasz, mój panie, i w jakim celu tutaj przychodzisz?

— W imieniu króla, bez urazy Waszej Wysokości, przychodzę odbyć szczegółową rewizję w pani papierach.

— Jak to?!... Rewizję w moich papierach... do mnie należących? Ależ to niegodne!

— Zechciej mi pani wybaczyć, lecz w tym razie jestem tylko narzędziem, którym posługuje się król. Wszak był tu przed chwilą i czyż nie oznajmił pani, abyś była przygotowana do tych odwiedzin?

— Rewiduj pan więc, widocznie jestem zbrodniarką. Estefanio, daj klucze od moich stolików i biurka.

Kanclerz przejrzał sprzęty jedynie dla formy, bo dobrze wiedział o tym, że nie tam królowa ukryła list pisany tego dnia.

Gdy po dwadzieścia razy otwierał i zamykał szufladki biurka, trzebaż było nareszcie, pomimo doznawanego wahania, raz już przystąpić do zakończenia tej sprawy, czyli do zrewidowania samej królowej.

Zbliżył się więc kanclerz do królowej i tonem mocno niepewnym, z wyrazem wielkiego zakłopotania, rzekł:

— A teraz pozostaje mi do spełnienia rewizja najgłówniejsza.

— Jaka? — zapytała królowa, nie rozumiejąc, a raczej nie chcąc rozumieć.

— Jego Królewska Mość jest pewny, że list był przez panią pisany dzisiejszego dnia. Wie o tym, iż nie został wysłany według adresu. Listu tego nie ma ani w stoliku, ani w szufladkach biurka, a jednakże musi gdzieś być.

— Śmiałyś podnieść rękę na swoją królową? — odezwała się Anna Austriacka, wyprostowawszy się dumnie, mierząc kanclerza oczami nieledwie groźnymi.

— Pani, jestem wiernym poddanym króla i spełniam wszystko, co on mi rozkaże.

— A! Więc tak! Szpiegi pana kardynała sprawiły się dobrze. Prawda, pisałam dziś list, który nie został wysłany. List ten znajduje się tutaj. — I przyłożyła piękną rękę do stanika.

— A zatem oddaj mi pani ten list — rzekł kanclerz.

— Oddam go tylko królowi — odparła Anna.

— Pani, gdyby król był chciał, aby list został wręczony jemu, sam by go zażądał. Ale powtarzam, iż mnie polecił upomnieć się o list, a gdybyś mi go pani nie oddała...

— To co?

— Musiałbym go wziąć sam.

— Jak to, co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Że dane mi rozkazy sięgają daleko i że upoważniony zostałem do szukania podejrzanych papierów przy własnej osobie Waszej Wysokości.

— Co za ohyda! — zawołała królowa.

— Zechciej więc pani postępować zgodniej.

— Ten postępek jest nikczemnym gwałtem. Czy wiesz o tym, mój panie?

— Wybacz mi pani, tutaj tylko król rozkazuje.

— Ja tego nie zniosę! Nie, nie, umrę raczej, a nie zezwolę na to! — krzyknęła królowa, w której zawrzała krew hiszpańska i austriacka.

Kanclerz skłonił się głęboko i z widocznym zamiarem spełnienia polecanej mu czynności, z miną pacholka katowskiego podszedł do Anny Austriackiej, z której oczu trysnęły łzy wściekłego bólu.

Królowa była, jak powiedzieliśmy, niepospolicie piękna.

Zlecenie dane kanclerzowi było nader delikatnej natury, lecz król, z niesłychanej zazdrości o Buckingham, doszedł już do takiego zaślepienia, że o nikogo więcej nie był zazdrosny.

Bez wątpienia, iż Séguier szukał w tej chwili oczami sznura od owego pamiętnego dzwonu; nie mogąc go jednak znaleźć, pogodził się z losem i wyciągnął rękę w kierunku tym, gdzie, jak mówiła królowa, znajdował się list.

Anna Austriacka skoczyła w tył tak błada, jak gdyby śmierć zajrzała jej w oczy, i aby nie upaść, wsparła się lewą ręką na stojącym za nią stole, prawą zaś wydobyla z gorsu²³⁰ list i podała go kanclerzowi.

— Oto list, weź go pan — zawołała urywanym i drżącym głosem — zabierz go i uwolnij mnie od swojej wstrętnej osoby.

Kanclerz, drżąc ze wzruszenia łatwego do pojęcia, wziął list, skłonił się do ziemi i wyszedł.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, na pół zemdlna królowa upadła na ręce otaczających ją kobiet.

Kanclerz zaniósł list królowi, nie przeczytawszy z niego ani słówka. Król drżącą ręką go pochwylił, daremnie dopatrując adresu, zbladł okropnie, otworzył go z wolna i poznawszy z pierwszych wyrazów, że pisany jest do króla hiszpańskiego, przeczytał go skwapliwie.

Zawierał on plan przeciw kardynałowi. Królowa namawiała brata swego oraz cesarza austriackiego, aby pod pozorem urazy ku Richelieu za jego politykę, której wiekuiłą dążnością było poniżenie domu austriackiego, wypowiedzieli Francji wojnę i postawili za warunek pokoju — odprawę kardynała.

Lecz w liście tym o miłości nie było nawet wzmianki.

Król, uradowany, kazał się dowiedzieć, czy kardynał znajduje się jeszcze w Luwrze. Odpowiedziano mu, że w gabinecie do pracy oczekuje na rozkazy Jego Królewskiej Mości.

Król udał się do niego niezwłocznie.

— Słuchaj, książę — rzekł doń — miałeś słuszność, a ja byłem w błędzie; cała intryga opiera się na polityce, a o miłości w liście tym mowy nie ma wcale. Chodzi tu natomiast o ciebie.

Kardynał wziął list i czytał z wielką uwagą, a skończywszy go, powtórnie jeszcze przebiegł.

— A co — odezwał się — widzisz teraz, Najjaśniejszy Panie, do czego są zdolni moi nieprzyjaciele. Grożą ci dwiema wojnami, jeżeli mnie nie usuniesz. Doprawdy, Najjaśniejszy Panie, będąc na twoim miejscu, ustąpiłbym tak potężnym naleganiom, a ja czułbym się wielce szczęśliwy, usuwając się od spraw publicznych.

— Co ty wygadujesz, książę?

— Mówię, Najjaśniejszy Panie, iż tracę zdrowie w tych uciążliwych walkach i wiekuiściej pracy. Mówię, iż prawdopodobnie nie będę mógł znieść trudów przy oblężeniu La Rochelle i że lepiej byłoby mianować na moje miejsce pana Kondeusza lub pana de Bassompierre, lub wreszcie jakiegoś dzielnego człowieka, któremu z zawodu wypada prowadzić wojnę, a nie mnie, człowieka duchownego, którego nieustannie odrywają od mego powołania ku rzeczom, do których nie mam żadnej zdolności. Będziesz przy tym szczęśliwszy, Najjaśniejszy Panie, w swoich wewnętrznych stosunkach, i nie wątpię, iż niemniej wielki pozostaniesz dla obcych.

— Mości książę — rzekł król — rozumiem, bądź spokojny. Wszyscy wymienieni w tym liście będą ukarani, jak na to zasługują, nawet sama królowa.

— Co mówisz, Najjaśniejszy Panie? Boże uchowaj, aby z mojej przyczyny królowa miała doznać najmniejszej choćby przykrości! Zawsze mnie poczytywała za swego nieprzyjaciela, Najjaśniejszy Panie, chociaż Wasza Królewska Mość zaświadczyć by mogła, jak wytrwale stawałem w jej obronie, nawet przeciw tobie, panie. O! Gdyby cię, Najjaśniejszy Panie, zdradzała pod względem czci, to coś innego zupełnie, pierwszy bym wtedy powiedział: „Królu, bądź bez litości, bądź nieubłagany dla występnej!”. Na szczęście, nie ma tego wypadku, jak nowe zdobyte dowody, Najjaśniejszy Panie.

— To prawda — rzekł król — i jak zawsze, tak i tym razem miałeś słuszność, panie kardynale; lecz królowa niemniej na mój gniew zasługuje.

— To ty, Najjaśniejszy Panie, jej gniew ściągnąłeś na siebie i nie dziwiłbym się doprawdy, gdyby poważną urazę żywiła do Waszej Królewskiej Mości. Najjaśniejszy Panie, postąpiłeś z nią tak surowo!...

²³⁰gors (daw.) — dekol. [przypis edytorski]

— Zawsze będę tak postępować z moimi i twoimi, książę, wrogami, choćby zajmowali najwyższe stanowisko i choćby mi przez to groziło największe niebezpieczeństwo.

— Królowa jest moją, lecz nie twoją nieprzyjaciółką, Najjaśniejszy Panie; przeciwnie, jest przywiązaną małżonką, uległą i bez zarzutu; pozwól mi więc, Najjaśniejszy Panie, wstawić się za nią do Waszej Królewskiej Mości.

— Niechaj się upokorzy i pierwsza do mnie przyjdzie.

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie, od ciebie powinien wyjść przykład; pierwszy zawiniłeś, gdyż sam posadziłeś królową.

— Ja pierwszy mam tam zrobić krok? Nigdy!

— Najjaśniejszy Panie, błagam cię.

— Zresztą, jak się do tego wziąć?

— Sprawiając jej, Najjaśniejszy Panie, jakąś przyjemność.

— Jakąż?

— Dać bal, na przykład; wiesz przecie, Najjaśniejszy Panie, jak królowa lubi taniec; zaręczam ci, iż uraza jej nie wytrzyma tej próby.

— Panie kardynale, wiesz przecie, iż nie jestem za uciechami światowymi.

— Tym więcej królowa będzie ci wdzięczna, znając twój wstręt do zabaw, Najjaśniejszy Panie. Zresztą, będzie to dla niej sposobność włożenia tych pięknych diamentowych zapinek, niedawno jej przez Waszą Królewską Mość w dzień imienin ofiarowanych, w które ustroić się nie miała dotąd sposobności.

— Zobaczymy, panie kardynale, zobaczymy — odrzekł król, który z radości, iż znalazł królową winną występku, o który niewiele się troszczył, a niewinną grzechu, którego mocno się obawiał, gotów był się z nią pogodzić — zobaczymy, ale, na honor, jesteście nadto pobłażliwy, panie kardynale.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się kardynał — surowość pozostaw ministrom, pobłażliwość zaś jest cnotą królewską; posługuj się nią, a zobaczysz, iż dobrze ci z tym będzie.

Król

To rzekłszy, kardynał słysząc zegar wydzwaniający godzinę jedenastą, złożył głęboki ukłon, prosząc króla o pozwolenie oddalenia się i błagając go, aby się pojednał z królową.

Anna Austriacka, która po przejęciu tego listu spodziewała się wymówek, była mocno zdziwiona, widząc nazajutrz króla usiłującego się z nią pojednać.

Jej pierwsze uczucie było odpychające; duma kobiety i godność królowej tak okrutnie były w niej obrażone, iż zrazu nie mogła do siebie przyjść, lecz pokonana radami swych dam przybocznych, zgodziła się na koniec, aby chociaż pozornie puścić to wszystko w niepamięć.

Król skorzystał ze sposobnej chwili, aby jej oznajmić, że nosi się z myślą wydania wielkiego balu.

Wszelka rozrywka była tak niezwykłą rzeczą dla biednej Anny Austriackiej, iż na zapowiedź tę, jak nie mylił się kardynał, zniknął ostatni cień urazy, jeżeli nie w sercu, to przynajmniej na jej pięknym obliczu.

Zapytała o dzień, na jaki była oznaczona uroczystość, lecz król jej odpowiedział, że należało mu wprawdzie porozumieć się pod tym względem z kardynałem.

W istocie, król zapytywał codziennie kardynała, kiedy będzie ów bal, i zawsze zwlekał pod różnymi pozorami z oznaczeniem tego dnia. Upłynęło tak dziesięć dni.

Tydzień po opowiedzianym przez nas zajściu kardynał otrzymał list opatrzony znaczeniem z Londynu, zawierający kilka wierszy następującej treści:

Mam je, lecz nie mogę ruszyć się z Londynu z powodu braku pieniędzy; proszę przysłać mi pięćset pistoli — w cztery lub pięć dni po ich odbiorze stanę w Paryżu.

W dniu, kiedy kardynał odebrał ten list, król powtórzył znów zwykłe pytanie.

Richelieu policzył na palcach i rzekł sobie w duchu:

„Przybędzie tu w cztery lub pięć dni po odbiorze pieniędzy, a że pieniądze tyleż czasu idą, wszystko zatem wyniesie dziesięć dni. Przypuśćmy jeszcze przeciwny wiatr, nieprzewidziane wypadki, kobiece dolegliwości, a może się to przeciągnąć do dwunastu dni”.

— I cóż? Mości książę! — odezwał się król. — Czy już obliczyłeś?

— Już, Najjaśniejszy Panie. Dziś mamy 20 września, urzędnicy miejscy wydadzą ucztę 3 października. Więc składa się najwyborniej, nie będzie to wyglądało, że pragniesz powrócić do królowej, Najjaśniejszy Panie.

A po chwili dodał:

— Ale, Najjaśniejszy Panie, zechciej nie zapomnieć i powiedzieć królowej z powodu balu, iż pragniesz zobaczyć, czy jej do twarzy w owych diamentowych zapinkach.

ROZDZIAŁ XVII. MAŁŻEŃSTWO BONACIEUX

Kardynał po raz drugi wspominał przy królu o diamentowych zapinkach, widocznie uczynił to nie bez ukrytego celu.

Król czuł się tym niejednokrotnie poniżony, że kardynał, przy pomocy swej tajnej policji, był powiadomiony lepiej niż on o jego wszystkich sprawach domowych.

Ludwik XIII miał mieć nadzieję, iż porozmawiawszy z Anną Austriacką, sam wszystko wyświefli i poszczyci się przed Eminencją tajemnicą znaną kardynałowi lub nieznaną, co w każdym razie podniesie go nieskończenie w oczach jego ministra.

Poszedł więc do królowej i według zwyczaju wystąpił z nowymi groźbami przeciw tym, którzy ją otaczali.

Anna Austriacka opuściła głowę, pozwalając spłynąć potokowi bez słówka odpowiedzi w nadziei, że król wyczerpie swe groźby, ale co innego zamierzał Ludwik XIII; pragnął on starcia zdań, z którego wynikłoby światło.

Na koniec doszedł do pożądanego rezultatu, obstając przy najrozmaitszych oskarżeniach.

Anna Austriacka, zmęczona czczymi napaściami, zawołała:

— Ależ, Najjaśniejszy Panie, czemu nie wypowiesz tego, co masz na sercu? Cóżem uczyniła? Powiedz, jakiej dopuściłam się zbrodni? Niepodobna, aby Wasza Królewska Mość tak się srożył o jeden list pisany do mego brata.

Król, zaskoczony tym pytaniem, nie wiedział, co odpowiedzieć; sądził więc, że najwłaściwiej będzie, gdy się odezwie z zaleceniem, które winien był uczynić w przeddzień balu.

— Pani — rzekł wyniośle — niebawem dany będzie bal w ratuszu; moim zdaniem, aby uczyć naszych zacnych urzędników, winnaś pani wystąpić w stroju uroczystym, a nade wszystko w tych zapinkach diamentowych, które ci dałem w dzień twoich imienin. Oto moja odpowiedź.

Odpowiedź ta była przerażająca.

Anna Austriacka sądziła, iż Ludwik XIII wie o wszystkim i że kardynał zobowiązał go do kilkudniowego milczenia, które wreszcie leżało w charakterze króla.

Zbladła straszliwie, oparłszy na konsoli cudnej piękności rękę, która stała się przezroczysta jak z wosku.

Patrzyła na króla wystraszonymi oczami, nie odpowiedziawszy ani słowa.

— Czy rozumiesz, pani — rzekł król, rozkoszując się w całej pełni tym niepokojem, choć nie odgadywał jego przyczyny — rozumiesz pani?

— Rozumiem, Najjaśniejszy Panie — wyjąkała królowa.

— I ukazesz się na tym balu?...

— Tak.

— Przybrana w zapinki?...

— Tak.

Bładość królowej stałaby się silniejsza, gdyby to jeszcze było możliwe. Król zauważył to i tym bardziej lubował się zimnym okrucieństwem, stanowiącym ujemną stronę jego charakteru.

— Dobrze — odezwał się król — to wszystko, co miałem pani do powiedzenia.

— A na kiedy oznaczony jest ten bal? — spytała Anna Austriacka.

Ludwik XIII czuł instynktownie, iż nie powinien odpowiadać na to pytanie, które królowa zadała głosem nieledwie konającym.

— Ależ bardzo niedługo — rzekł — jednak dnia dokładnie sobie nie przypominam, zapytam o to kardynała.

— A! Więc to kardynał oznajmił ci, Najjaśniejszy Panie, o tej uroczystości? — zawołała królowa.

— Tak, pani — odparł zdziwiony król — czemu mnie o to pytasz?

— Więc to za jego radą poleciłeś mi ubrać się w te zapinki?

— To jest, pani...

— Więc to on, Najjaśniejszy Panie, to on?...

— No tak, lecz cóż cię to obchodzi, czy on, czy też ja? Alboż polecenie takie jest zbrodnią?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Zatem będziesz pani na balu?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— To dobrze — rzekł król, odchodząc — dobrze!... Liczę na to z pewnością.

Królowa złożyła ukłon, nie tyle nawet przez etykietę, ale iż kolana uginały się pod nią.

Król wyszedł zachwycony.

— Jestem zgubiona — wyszeptala królowa — jestem zgubiona, bo kardynał wie o wszystkim. To on kieruje królem, który nie wie jeszcze o niczym, lecz wkrótce się o wszystkim dowie. Jestem zgubiona! Mój Boże! Mój Boże! Mój Boże!...

Padła na kolana i poczęła się modlić, ujawszy głowę drżącymi rękami.

W istocie położenie było straszne.

Buckingham powrócił do Londynu, pani de Chevreuse była w Tours. Królowa, więcej niż kiedykolwiek strzeżona, przeczuwała instynktownie, iż zdradza ją jedna z jej dam, lecz która, nie wiedziała na pewno.

La Porte nie mógł wydaleć się z Luwru; nie było żywej duszy, której mogłaby się zwierzyć.

Wobec grożącego nieszczęścia i swojego opuszczenia wybuchnęła płaczem.

— Czy nie mogłabym przysłużyć się czymś Waszej Królewskiej Mości? — odezwał się naraz głos pełen słodyczy i współczucia.

Królowa obejrzała się szybko, trudno bowiem było się omylić, brzmienie tego głosu zwiastowało, że tylko przyjaciółka może tak przemawiać.

I istotnie, we drzwiach prowadzących do pokoju królowej ukazała się ładniutka pani Bonacieux. Była ona zajęta układaniem sukien i bielizny w przyległym gabinecie wówczas, gdy wszedł król; nie mogła się oddalić i słyszała wszystko.

Królowa widząc, że została podpatrzona, krzyknęła przeraźliwie, gdyż w pomieszczeniu nie poznała od razu młodej kobiety, danej jej przez pana de La Porte.

— O! Nie lękaj się pani niczego — rzekła pani Bonacieux, składając ręce i płacząc sama nad ciężkim strapieniem królowej — oddana ci jestem duszą i ciałem, Najjaśniejsza Pani, i jakkolwiek daleka i tak nisko postawiona przy Waszej Królewskiej Mości, sądzę, iż znalazłam sposób wybawienia jej z kłopotu.

— Ty? O nieba! Ty?... — wykrzyknęła królowa. — Lecz słuchaj, spojrzij mi w oczy. Ze wszystkich stron jestem zdradzana; czyż tobie mogę zaufać?...

— O! Pani! — zawołała młoda kobieta, padając na kolana. — Klnę się na zbawienie duszy, iż gotowa jestem umrzeć dla Waszej Królewskiej Mości.

Wykrzyknik ten pochodził z głębi serca i również, jak pierwszy, wzbudził zaufanie.

— Tak — ciągnęła dalej pani Bonacieux — tak, pełno tu zdrajców dokoła; lecz przysięgam na święte imię Marii Dziewicy, że nikt nie jest tak oddany Waszej Królewskiej Mości jak ja. Zapinki te, o które dopomina się król, dałaś, pani, księciu Buckinghamowi, nieprawdaż? Były one w owej szkatułce z różanego drzewa, którą niósł w rękę? Może się myłę? Może nie o to chodzi?

— O Boże! Mój Boże!... — wyszeptala królowa, której zęby szczykały z przerażenia.

— Te zapinki należy odzyskać — mówiła pani Bonacieux.

— Tak, bez wątpienia, potrzeba koniecznie! — zawołała królowa. — Lecz co począć, jak temu zaradzić?...

— Trzeba posłać kogoś do księcia.

— Lecz kogo?... Kogo?... Kogo?... Komuż mogę zaufać?...

— Mnie, Najjaśniejsza Pani, zaufaj; uczyni mi ten zaszczyt, a ja znajdę posłańca!

— Lecz trzeba będzie napisać!

— O, tak. To nieodzowne. Dwa słowa ręką Waszej Królewskiej Mości z pieczęcią osobistą.

— Lecz te dwa słowa to moje potępienie, to rozwód, wygnanie!

— Tak, jeżeli wpadną w niegodne ręce. Lecz zaręczam, iż dojdą pod właściwy adres.

— O! Mój Boże!... Trzeba więc, abym w twoje ręce powierzyła moje życie, cześć i dobre imię!...

— Tak, Najjaśniejsza Pani, trzeba, a ja wszystko ocalę.

— Ale w jaki sposób? Powiedz mi to przynajmniej.

— Mój mąż parę dni temu został wypuszczony na wolność. Nie miałam jeszcze czasu go odwiedzić. Jest to poczciwe człowieczysko, nieżywiący dla nikogo ani nienawiści, ani miłości. Wszystko, czego zażądam, uczyni. Na mój rozkaz pójdzie i odda list Waszej Królewskiej Mości pod wskazany adres, nie wiedząc nawet, co mieści.

Królowa w namiętym uniesieniu ujęła obie ręce młodej kobiety, wpatrzyła się w nią, jak by chciała przeniknąć do głębi serca, a widząc najczystsza szczerłość w jej oczach, czule ją uściskała.

— Uczyni to! — zawołała. — A ocalisz mi życie, cześć moją ocalisz!...

— O! Najjaśniejsza Pani, nie przeceniaj przysługi, jaką mam szczęście ci oddać. Nie ma nic, czego bym nie uczyniła dla Waszej Królewskiej Mości, która jesteś jedynie ofiarą przewrotnych intryg.

— To prawda, moje dziecko — odparła królowa — masz zupełną słuszność.

— Daj mi, Najjaśniejsza Pani, ten list, bo czas nagli.

Królowa pobiegła do stolika, na którym znajdowały się atrament, papier i pióra, napisała dwa wiersze, zapieczętowała je własną pieczęcią i oddała pani Bonacieux.

— A teraz... — odezwała się królowa — zapominamy o potrzebnej rzeczy.

— O jakiej?

— O pieniądzech...

Pani Bonacieux zarumieniła się.

— To prawda — odrzekła — a wyznać muszę Waszej Królewskiej Mości, iż mąż mój...

— Iż mąż twój ich nie ma, to chciałaś powiedzieć.

— I owszem, ma je, lecz jest okrutnie skąpy i to jego jedyna wada. Wszelako niechaj Wasza Królewska Mość nie troszczy się, znajdziemy sposób...

— Właśnie, że i ja także ich nie mam — odezwała się królowa; tych, którzy będą czytać pamiętniki pani de Motteville²³¹, ta odpowiedź nie zadziwi — ale poczekaj...

Królowa pobiegła do kasetki z klejnotami.

— Masz — powiedziała — oto pierścień drogocenny, jak mówią wszyscy. Pochodzi on od mojego brata, króla Hiszpanii, należy do mnie i mogę nim rozporządzać. Weź ten pierścień, zamień na pieniądze i niechaj twój mąż jedzie.

— Rozkazy twe, Najjaśniejsza Pani, spełnione będą za godzinę.

— Czy widzisz adres? — dodała królowa zaledwie dosłyszalnym głosem. — Do lorda księcia Buckingham w Londynie.

— List zostanie doręczony jemu samemu.

— Szlachetne dziecko! — zawołała Anna Austriacka.

Pani Bonacieux ucałowała ręce królowej, ukryła list za stanikiem i zniknęła lekka jak ptaszek.

Dziesięć minut później była już u siebie.

Od czasu uwolnienia męża nie widziała go jeszcze, nie wiedziała o zmianie, jaka w nim zaszła co do kardynała, o zmianie wywołanej paru wizytami hrabiego de Rochefort, który stał się najlepszym przyjacielem pana Bonacieux, co prawda bez wielkich trudów natchnąwszy go wiarą, że żadne występne uczucie nie spowodowało porwania jego żony, lecz jedynie przezorność polityczna.

Zastała go samego. Biedaczysko przyprowadzał swój dom z wielkim mozołem do ład. Zastał pogruchotane sprzęty i opróżnione szafy, sprawiedliwość bowiem nie należała wówczas do tych trzech rzeczy, które król Salomon wymienia jako niepozostawiające

²³¹Motteville, *Françoise de* (ok. 1620–1689) — francuska pamiętnikarka, pokojówka Anny Austriaczki. [przypis edytorski]

ślądu po swoich stopach. Służąca zaś, z chwilą uwięzienia pana, uciekła. Biedna dziewczyna, przejęta strachem, umknęła z Paryża i dotarła do Burgundii²³², swojego rodzinnego miejsca.

Ujrawszy małżonkę, czcigodny kramarz nie omieszkął jej opowiedzieć o swoim szczęśliwym powrocie. Żona zaś odpowiedziała, winszując mu, że skorzystała z pierwszej chwili, kiedy mogła się zwolnić od swych obowiązków i przybywa teraz, ażeby cała poświęcić się jemu.

Chwila ta wprawdzie dała czekać na siebie całe pięć dni, co w każdej innej okoliczności wydać by się mogło panu Bonacieux nieco za długo, lecz z powodu swej wizyty u kardynała i odwiedzin Rocheforta miał dużo do myślenia, a wiadomo, że nic tak nie skraca czasu jak dumanie.

Nade wszystko zaś, iż dumanie to miało barwę różową.

Rochefort nazywał go swoim przyjacielem, drogim Bonacieux, i nieustannie kładł mu w uszy, iż kardynał ceni go wielce.

Kramarz widział się już na drodze do zaszczytów i majątku.

Pani Bonacieux także rozmyślała, lecz treścią jej rozmyślań nie była żądza wyniesienia.

Jej myśli mimowolnie obracały się nieustannie koło tego pięknego młodzieńca, tak dzielnego i tak widocznie w niej srodze zakochanego.

W osiemnastym roku życia wydana za mąż za pana Bonacieux, żyjąc jedynie w kółku przyjaciół męzkowskich, niezdolnych natchnąć najmniejszym uczuciem młodej kobiety, której serce było wznioślejsze niż stanowisko, jakie zajmowała, pani Bonacieux pozostała nieczuła na pospolite pokusy. Lecz w owej epoce nade wszystko tytuł szlachecki wywierał wielki wpływ na mieszczaństwo, a d'Artagnan był szlachcicem; co więcej, nosił mundur gwardii, który po muszkieterskim był najbardziej ceniony przez niewiasty.

Był on, powtarzamy, piękny, młody i odważny; mówił o miłości jak człowiek rozkochany i spragniony kochania. Było to więcej niż potrzeba, żeby zawrócić dwudziestotrzyletnią główkę, a pani Bonacieux znajdowała się właśnie w tym szczęśliwym okresie życia.

Jakkolwiek małżonkowie nie widzieli się ze sobą już od przeszło tygodnia, a w ciągu tego czasu ważne wypadki stały się pomiędzy nimi, powitali się wszelako z pewnym roztargnieniem. Niemniej jednak pan Bonacieux okazał niekłamaną radość i przyjął żonę z otwartymi rękami. Pani Bonacieux podała mu do pocałowania czoło.

— Pomówmy trochę — rzekła ona.

— O czym?... — zapytał zdziwiony Bonacieux.

— Tak... Mam ci do powiedzenia coś bardzo ważnego.

— Co prawda, i ja też mam zadać ci kilka poważnych pytań. Wytłumacz mi, proszę, swoje porwanie.

— Nie o to idzie... jak na teraz przynajmniej — odparła pani Bonacieux.

— A o cóż chodzi? O moje uwięzienie?

— Dowiedziałam się o nim od razu; lecz ponieważ nie byłeś winny żadnego występku ani też żadnej intrygi i nie wiedziałeś o niczym, co by mogło ciebie lub kogokolwiek skompromitować, więc też nie przywiązywałam większej wagi do tego wypadku, niżby na to zasługiwał.

— Łatwo ci tak mówić, moja pani! — odparł Bonacieux, urażony tym brakiem współczucia. — A czy wiesz, że siedziałem jeden dzień i noc w podziemnym więzieniu w Bastylii?

— Ten dzień i noc przemknęły ci jak nic. Dajmy więc spokój twojemu uwięzieniu, a powróćmy do tego, co mnie tu sprowadza.

— Jak to! Co cię do mnie sprowadza? Czyż to nie pragnienie ujrzenia męża, z którym rozłączona byłaś od tygodnia przeszło? — zagadnął kramarz, dotknięty do żywego.

— Najpierw to, a potem co innego.

— Mów.

— Rzecz wielkiej wagi, od której w przyszłości może zależeć nasze szczęście.

²³²Burgundia — kraina historyczna w środkowej Francji. [przypis edytorski]

— Nasze losy zmieniły swoją postać, moja pani, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, i byłbym zdziwiony, gdyby od dziś za kilka miesięcy moje położenie nie obudziło w wielu ludziach zazdrości.

— Zapewne, zwłaszcza jeżeli postąpisz według wskazówek, które otrzymasz ode mnie.

— Ja, od ciebie?

— Tak, ty. Jest do spełnienia dobry i święty uczynek, mój panie, a przy tym zarobić na tym możesz dużo pieniędzy.

Pani Bonacieux dobrze wiedziała, iż mówiąc mężowi o pieniądzach, trafiała w jego słabą stronę.

Lecz nie wiedziała o tym, że człowiek ten stał się inny, odkąd przez dziesięć minut rozmawiał z kardynałem.

— Dużo pieniędzy do zarobienia?... — powtórzył Bonacieux, wydłużając wargi.

— Tak, dużo.

— Ile też, mniej więcej?...

— Może tysiąc pistoli.

— A czy to bardzo ważne, czego chcesz żądać ode mnie?

— Tak.

— Cóż trzeba robić?

— Pojedziesz natychmiast. Ja ci powierzę list, którego nie dasz sobie odebrać w żaden sposób i oddasz go do rąk własnych.

— A dokądże mam jechać?

— Do Londynu.

— Ja? Do Londynu?... Cóż znowu, kpisz sobie chyba, ja nie mam żadnego interesu w Londynie.

— Lecz inni potrzebują, ażebyś się tam udał.

— Co za inni?... Uprzedzam cię, iż nie myślę dłużej postępować na ślepo i chcę wiedzieć nie tylko, na co się narażam, ale i dla kogo.

— Osoba bardzo wysoko postawiona posyła cię, a druga również dostojna oczekuje na ciebie. Nagroda przewyższy twoje żądania. Oto wszystko, co ci mogę przyobiecać.

— Znowu intrygi! Zawsze intrygi!... Dziękuję, będę się teraz miał na ostrożności, pan kardynał już mnie objaśnił w tym względzie.

— Kardynał?... — wykrzyknęła pani Bonacieux. — Widziałeś się z kardynałem?

— Wezwał mnie do siebie!... — odparł dumnie kramarz.

— I poszedłeś na to wezwanie, niebaczny?...

— Muszę wyznać, że nie miałem do wyboru iść albo nie iść, bo znajdowałem się pomiędzy dwoma stróżami. Prawdę powiedziawszy, ponieważ nie znałem wtedy Jego Eminencji, więc gdybym był mógł się uwolnić od tej wizyty, z przyjemnością byłbym to uczynił.

— Więc źle się z tobą obszedł? Groził ci?

— Podał mi rękę i nazwał mnie swoim przyjacielem, przyjacielem! Rozumiesz, moja pani? Jestem przyjacielem wielkiego kardynała!

— Wielkiego kardynała!

— Jak to, czyżbyś przeczyła temu tytułowi, moja pani?

— Nie zaprzeczam mu niczego, lecz mówię ci, że łaska ministra prędko przemija i że trzeba być szalonym, aby przywiązywać się do niego. Są władze wyższe od tej, które spoczywają na kapryсах ludzkich lub chwilowych wypadkach, z tymi należy się łączyć.

— Bardzo mi przykro, moja pani, lecz nie znam wyższej władzy niż wielkiego człowieka, któremu mam zaszczyt służyć.

— Ty służysz kardynałowi?

— Tak, pani. I jako jego wierny sługa nie pozwolę, abyś mieszała się do spisków przeciw rządowi i abyś służyła intrygom kobiety, która nie jest Francuzką, a serce ma hiszpańskie. Na szczęście jest wielki kardynał, a jego czujne oko strzeże i przenika aż do głębi serca.

Bonacieux powtarzał słowo w słowo frazes zasłyszany od hrabiego de Rochefort, lecz biedna kobieta, która liczyła na swego męża i w tej nadziei zaręczyła za niego królowej, zadrżała na myśl o niebezpieczeństwie, w jakie o mało co nie wpadła.

Znając jednak słabość, a nade wszystko chciwość swego małżonka, nie traciła jednak nadziei, że trafi z nim do ładu.

— A! Jesteś kardynalistą, mój panie? — zawołała. — To tak? Służysz stronnictwu, które poniewiera twoją żonę i lży twoją królową.

— Interesy prywatne są niczym wobec interesów ogółu. Trzymam z tymi, którzy zbawiają państwo — odparł z przesadą Bonacieux.

Był to inny frazes hrabiego de Rochefort, który to frazes Bonacieux zapamiętał i teraz zużytkował go przy sposobności.

— A czy wiesz, co to jest państwo, o którym rozprawiasz? — odezwała się pani Bonacieux, wzruszając ramionami. — Ciesz się, że jesteś zakutym mieszczaninem i zwróć się w tę stronę, skąd cię większą korzyścią obdarzą.

— E! E!... — rzekł Bonacieux, uderzając się po zaokrąglonym trzosie²³³, który wydał metaliczny dźwięk. — A cóż ty na to, pani kaznodziejko?

— Skąd masz te pieniądze?

— Nie domyślasz się?

— Od kardynała?

— Od niego i od mego przyjaciela, hrabiego de Rochefort.

— Hrabiego de Rochefort?... Ależ to on mnie porwał.

— Być może, moja pani.

— I ty przyjmujesz pieniądze od tego człowieka?

— A czyś mi nie powiedziała, że twoje porwanie było czysto polityczne?

— Nie przeczę, lecz miało ono na celu zmusić mnie do zdradzenia mojej pani, za pomocą tortur wydrzeć mi zeznania, które mogłyby narazić cześć, a może i życie mojej dostojnej władczyni.

— Moja pani — odparł Bonacieux — twoja dostojna władczyni jest przewrotną Hiszpanką, a co kardynał robi, to dobrze robi!

— Mój panie — rzekła młoda kobieta — znałam cię jako tchórza, skąpca i głupca, lecz nie wiedziałam, że jesteś nikczemny!

— Pani! — rzekł Bonacieux, który nigdy nie widział żony tak rozszłoszczonej, a unikał klótni małżeńskiej. — Pani!... Co ty mówisz?

— Mówię, że jesteś nędznikiem! — ciągnęła pani Bonacieux, widząc, że bierze przewagę nad mężem. — A!... Więc ty się zajmujesz polityką, ty! I do tego kardynalską. A! Sprzedajesz się czartowi za pieniądze, z duszą i ciałem?...

— Wcale nie czartowi, bo kardynałowi.

— To wszystko jedno! — krzyknęła młoda kobieta. — Richelieu to szatan!...

— Cicho bądź, pani, milcz! Mógłby cię jeszcze ktoś usłyszeć.

— Tak, masz słuszość. I musiałabym się wstydzić za twoje tchórzostwo.

— Czegóż więc ode mnie żądasz? Zobaczymy!

— Mówiłam ci już, abyś natychmiast pojechał i uczciwie spełnił zlecenie, którym raczę cię obarzyć, a pod tym warunkiem zapomnę i przebaczę ci wszystko; co więcej — wyciągnęła rękę do niego — zwrócę ci moją przyjaźń.

Bonacieux był tchórzem i skąpcom, lecz kochał swoją żonę, rozczulił się.

Pięćdziesięcioletni mężczyzna nie może długo chować urazy do dwudziestoletniej żony. Pani Bonacieux dostrzegła to wahanie.

— I cóż, namyśliłeś się? — zapytała.

— Ależ, moja droga, zastanów się, czego żądasz ode mnie. Londyn jest bardzo daleko od Paryża, a kto wie, czy ze zleceniem, jakie mi powierzasz, nie łączy się niebezpieczeństwo!

— Mniejsza o to, jeżeli go unikniesz.

— Słuchaj, pani Bonacieux, słuchaj, ja stanowczo odmawiam; przerażają mnie intrygi. Ja widziałem Bastylię. Brrrrr! Straszna ta Bastylia! Dość o niej pomyśleć, a dostaję gęsiej skórki. Torturą mi grożono. Czy ty wiesz, co to są tortury? Kliny drewniane, które ci między nogi wbijają, dopóki nie potrzaskają kości! Nie, nie pojedę stanowczo. A czemuż, do licha, sama tam nie pojedziesz? Bo, doprawdy, zdaje mi się, że myliłem się co do twojej płci! Ty jesteś mężczyzną, i to najzapamiętałym!

²³³trzos — sakiewka; torebka na pieniądze. [przypis edytorski]

— A ty jesteś babą, babą nikczemną, głupią i zbestwioną²³⁴. A! Tchórzysz! Więc dobrze, jeżeli nie jedziesz natychmiast, każę cię z rozkazu królowej aresztować i wpakować do Bastylli, której się tak lękasz.

Bonacieux pogrążył się w głębokim zamyśleniu, a w swym umyśle wziął na szalę te dwa gniewy, kardynała i królowej; pierwszy ogromnie przeważał.

— Każ mnie aresztować w imieniu królowej — rzekł — a ja powołam się na Jego Eminencję.

Przerażona pani Bonacieux spostrzegła od razu, że zanadto się zagalopowała.

Ze strachem wpatrzyła się przez chwilę w to głupie oblicze, pełne stanowczości niezwalczonej, jak zwykle u ludzi ograniczonych, którzy się boją.

— Ha! Niech i tak będzie — rzekła. — Wreszcie może masz słuszność; mężczyzna zawsze więcej niż kobieta zna się na polityce, a ty, panie Bonacieux, szczególnie, ty, który rozmawiałeś z kardynałem... A jednak — dodała — bardzo to bolesne, iż mąż mój, na którego przywiązanie liczyłam, tak mało uprzejmości ma dla mnie i nigdy nie chce zadowolić moich życzeń.

— Bo te życzenia mogą zaprowadzić zbyt daleko — odrzekł Bonacieux triumfująco — więc im nie dowierzam.

— Ha! To zrzekam się ich — rzekła z uśmiechem. — Dobrze, nie mówmy już o tym.

— Gdybyś mi powiedziała przynajmniej, co ja tam będę robić w Londynie — odezwał się Bonacieux, który przypomniał sobie, lecz trochę za późno, iż Rochefort zalecił mu podchwytywać tajemnice żony.

— Ta wiadomość jest ci teraz niepotrzebna — rzekła młoda kobieta, którą instynktowna nieufność zaczęła powstrzymywać. — Chodziło tu o rzecz małej wagi, jak zwykle, o zachcianki kobiecie, o pewien sprawunek, na którym można by grubo zarobić.

Jednak im więcej stawała się skryta, tym bardziej dawała mu do myślenia, że kryła przed nim ważną tajemnicę.

Postanowił więc udać się natychmiast do hrabiego de Rochefort, aby mu powiedzieć, iż królowa poszukuje posłańca do Londynu.

— Wybacz, że cię zostawiam, droga pani — rzekł — lecz nie wiedząc, że do mnie przyjdiesz, umówiłem się z jednym z moich przyjaciół. Powrócę za chwilę i jeżeli zechcesz poczekać na mnie pół minutki, to gdy tylko się tam załatwię, przyjdę, ażeby odprowadzić cię do Luwru, gdyż już zaczyna się ściemniać.

— Dziękuję panu — odparła pani Bonacieux. — Nie jesteś dość odważny, abys był mi przydatny, i sama potrafię powrócić do Luwru.

— Jak się pani podoba — odpowiedział jej kramarz. — Kiedyż cię znowu ujrzę?

— Niedługo. Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu będę wolniejsza od służby, skorzystam więc z tego, aby przyjść i zaprowadzić ład w naszym gospodarstwie, które musi być nieco nadwyrężone.

— To dobrze, będę cię oczekiwać. Czy nie masz do mnie urazy?

— Ja? Bynajmniej.

— Do widzenia zatem...

— Do widzenia.

Bonacieux pocałował żonę w rękę i popędził jak strzała.

— No, tylko tego brakowało, aby ten błazen został kardynałem! — powiedziała do siebie pani Bonacieux, gdy drzwi zamknęły się za jej mężem. — A ja zaręczyłam królowej, obiecałam mojej pani... A! Boże mój, Boże! Weźmie mnie za jedną z tych nędznic, od których roi się w pałacu, a które umieszczono przy niej, aby ją szpiegowały! Ha! Mój panie Bonacieux!... Nie kochałam cię nigdy zbyt, a teraz nienawidzę! I damę słowo, że mi za to zapłacisz!

W chwili gdy to mówiła, pukanie w suficie zmusiło ją do spojrzenia w górę, a głos znad sufitu odezwał się do niej:

— Droga pani Bonacieux, otwórz mi drzwiczki od schodów, abym mógł do ciebie przyjść.

²³⁴zbestwiony (daw.) — rozbestwiony, nieposłuszny. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XVIII. KOCHANEK I MĄŻ

— A! Pani — rzekł d'Artagnan, wchodząc drzwiami, które mu otworzyła młodzianka — pozwól powiedzieć sobie, iż nieosobliwego masz męża.

— Więc pan słyszałeś naszą rozmowę? — spytała żywo pani Bonacieux, patrząc z niepokojem na d'Artagnana.

— Caluteńką.

— Ale w jakiż sposób, mój Boże?

— Za pomocą środka mnie tylko znanego, dzięki któremu słyszałem wprzód rozmowę daleko bardziej ożywioną, jaką pani miałaś z kardynalskimi zbirami.

— A cóż pan sobie pomyślał o tym, co mówiliśmy?

— Różne rzeczy. Najpierw, że mąż pani jest, na szczęście, ciemną²³⁵ i głupcem, następnie, że pani jesteś w kłopotach, z czego mocno się cieszę, bo mi to daje sposobność oddania się na twoje usługi, a Bogu wiadomo, czy nie jestem gotów rzucić się w ogień dla ciebie; na koniec, że królowa potrzebuje człowieka odważnego, przytomnego i oddanego sobie, który by odbył podróż do Londynu. Z tych trzech żądanych rzeczy posiadam co najmniej dwie i czekam na rozkazy.

Pani Bonacieux nic nie odpowiedziała, lecz jej serce biło z radości i ukryta nadzieja zabłysła w jej oczach.

— A jaką dasz mi pan pewność — rzekła — gdybym przystała na powierzenie ci tego posłannictwa?

— Miłość moją dla pani! Dalej, mów, rozkazuj: cóż należy czynić?

— Boże mój! Boże!... — szepnęła młoda kobieta. — Czyż mogę powierzyć panu taką tajemnicę? Jesteś prawie dzieckiem!

— Ha, widocznie potrzeba pani kogoś, żeby za mnie zaręczył.

— Przyznaję, iż bardzo by mnie to upewniło.

— Znasz pani Atosa?

— Nie.

— Portosa?

— Nie.

— Aramisa?

— Nie. Któż są ci panowie?

— Muszkietierowie królewscy...

— A czy znasz pani pana de Tréville, ich kapitana?

— O! Tak, tego znam, nie osobiście, lecz ze słyszenia, i nieraz mówiono o nim królowej jako o dzielny i zacyjm szlachcicu.

— I nie obawiasz się, pani, aby on cię dla kardynała zdradził, wszak prawda?

— O! Nie, nie!

— To daj mu pani poznać swoje tajemnice i zapytaj go, czy choćby była najważniejsza i najstraszniejsza, może mi być powierzona.

— Ależ tajemnica nie do mnie należy i nie mogę mu jej odkrywać.

— A o mało co nie zwierzyłaś się panu Bonacieux — odezwał się d'Artagnan ze złością.

— Tak, jak się powierza list wydrażeniu w drzewie, skrzydłu gołębia lub psiej obroży.

— A jednak, wiesz pani doskonale, że cię kocham.

— Tak pan mówisz przynajmniej.

— Jestem człowiekiem prawym.

— Wierzę.

— Odważnym!

— O! Tego jestem pewna.

— Zatem wystaw mnie pani na próbę.

Pani Bonacieux spojrzała na młodzieńca, powstrzymywana resztą lęklivego wahania.

Lecz tyle zapału było w jego oczach, głos był tak przekonujący, że nabrała odwagi, aby zupełnie mu zaufać.

²³⁵ciemiega (daw.) — człowiek niezdarny, niedołęga. [przypis edytorski]

Wreszcie znajdowała się w takich okolicznościach, w jakich stawka równa się wygranej.

Królowa mogła być zgubiona tak dobrze przez zbytnią ostrożność, jak i wskutek zbytniego zaufania.

Przynajmy też, iż mimowolne uczucie, którego doznawała dla tego opiekuńczego młodzieńca, skłoniło ją na koniec do omówienia.

— Posłuchaj pan — rzekła — powierzam się pańskiemu honorowi, twoje zapewnienia skłaniają mnie do tego. Lecz przysięgam przed Bogiem, który nas słyszy, że jeżeli zdradzisz mnie, a moi nieprzyjaciele zostawią mnie przy życiu, zabiję się, a ciebie obwinę o moją śmierć.

— A ja przysięgam przed Bogiem — rzekł d'Artagnan — że jeśli zostaną ujęty, spełniając twoje rozkazy, umrę wpierw, zanim zrobię lub powiem coś, co by kogokolwiek mogło narazić.

Wtedy młoda kobieta powierzyła mu strasliwą tajemnicę, której część odkrył mu przypadek na moście, przy latarni Samarytanki.

Było to dla nich wspólnym wyznaniem miłości.

D'Artagnan promieniał radością i dumą.

Posiadana tajemnica i kobieta ukochana przez niego, jednym słowem zaufanie i miłość, czyniły go olbrzymem.

— Jadę — rzekł — jadę natychmiast!...

— Jak to? Jedziesz pan? — zawołała pani Bonacieux. — A twój pułk, a dowódca?...

— Na honor, o wszystkim przez ciebie zapomniałem, ukochana Konstancjo. Tak! Masz słuszność, muszę mieć urlop.

— Jeszcze jedna przeszkoda — wyszeptła z goryczą pani Bonacieux.

— O! Co do tej — rzekł po chwilowym namyśle d'Artagnan — bądź spokojna, usunę ją.

— Jakim sposobem?

— Jeszcze dziś wieczorem pójdę do pana de Tréville i zobowiązę go, aby wyjednał dla mnie tę łaskę od swojego szwagra, pana des Essarts.

— A teraz jeszcze druga rzecz.

— Jaka? — zagadnął d'Artagnan, widząc, że pani Bonacieux waha się z wypowiedzeniem swej myśli.

— Może nie masz pieniędzy?

— Nie mylisz się pani — rzekł, uśmiechając się, d'Artagnan.

— Otóż — odparła pani Bonacieux, wyjmując z szafy trzos, który przed półgodziną jej mąż z taką miłością pieścił — weź to.

— Pieniądze kardynalskie — zawołał d'Artagnan, wybuchając śmiechem, wiemy bowiem, iż dzięki dziurze w posadzce ani słówka nie stracił z rozmowy kramarza z żoną.

— Kardynalskie — odparła pani Bonacieux. — Widzisz przecie, że trzos ten przedstawia się dość przyzwoicie.

— Jak mi Bóg miły! — wykrzyknął d'Artagnan. — To będzie ucieszna historia, pieniędzmi Jego Eminencji ocalę królową!

— Miły i zachwycający z ciebie chłopiec — rzekła pani Bonacieux. — Wierzaj mi, iż Jej Królewska Mość nie okaże się dla ciebie niewdzięczna.

— O! Jestem już wynagrodzony wspaniale — zawołał d'Artagnan. — Pozwalasz mi powiedzieć, że cię kocham. To większe szczęście, niż mogłem się spodziewać.

— Cicho! — odezwała się pani Bonacieux, zadrżawszy.

— Co takiego?

— Słyszę na ulicy rozmowę.

— To głos...

— Mojego męża. Tak, to on!

D'Artagnan rzucił się do drzwi i zasunął rygiel.

— Nie wejdzie, dopóki ja stąd nie wyjdę — rzekł. — Otworzysz mu, kiedy mnie już nie będzie.

— Lecz i ja tu nie powinnam być. Jeżeli zostaną, jak usprawiedliwię zniknięcie pieniędzy?

— Słusznie, trzeba wyjść.

Przysięga

Miłość, Tajemnica, Kobieta

Miłość, Szczęście

— Wyjść, a jak nas zobaczy?
 — To trzeba wejść do mnie.
 — A! Mówisz to takim tonem, że mnie przerażasz — zawołała pani Bonacieux.
 Słowa te wyrzekła ze łzami w oczach.
 D'Artagnan dostrzegł je i pomieszany, zmiękczony rzucił się jej do kolan.
 — U mnie — rzekł — będziesz bezpieczna jak w świątyni, ręczę ci słowem szlachec-
 kim.
 — Idźmy — rzekła — ufam ci, mój drogi.
 D'Artagnan odsunął ostrożnie rygiel i oboje, jak dwa lekkie cienie, przesunęli się przez drzwi wewnętrzne do korytarza, bez szelestu przebyli schody i weszli do pokoju d'Artagnana.
 Znalazłszy się u siebie, młodzieniec dla wszelkiego bezpieczeństwa zabarykadował drzwi.
 Podeszli tu do okna i przez szparę w okiennicy ujrzeli pana Bonacieux rozmawiającego z mężczyzną w płaszczu.
 Na widok tego ostatniego d'Artagnan skoczył jak oparzony i chwytając rękojeść szpa-
 dy, rzucił się ku drzwiom.
 Był to mężczyzna z Meung.
 — Co zamýślasz robić? — krzyknęła pani Bonacieux. — Chcesz nas zgubić!
 — Ależ przysięgłem sobie zabić tego człowieka — odparł d'Artagnan.
 — Twoje życie należy teraz nie do ciebie. Zabraniam ci w imieniu królowej narażać się na niebezpieczeństwa niemające związku z twoją podróżą.
 — A w swoim imieniu czy nic mi nie rozkazujesz?
 — W moim — odrzekła z żywym wzruszeniem pani Bonacieux — w moim imieniu proszę cię o to. Lecz posłuchajmy, zdaje mi się, iż mówią o mnie.
 D'Artagnan zbliżył się do okna i nadstawił ucha.
 Pan Bonacieux otworzył drzwi i widząc, że mieszkanie jest puste, powrócił do męż-
 czyny w płaszczu, którego pozostawił na chwilę samego.
 — Wysła — rzekł — musiała powrócić do Luwru.
 — Zatem jesteś pewny — odparł obcy mężczyzna — że nie przypuszcza, w jakich zamiarach wyszedłeś?
 — Nie — odrzekł zrozumiawie Bonacieux — ona w ogóle mało myśli, to kiepska głowa kobieca!...
 — A ten kadet z gwardii jest w domu?
 — Chyba że nie, bo, jak pan widzisz, okiennica u niego zamknięta i żadnego światła nie widać przez szpary.
 — To nic, należałoby się przekonać.
 — W jaki sposób?
 — Zapukać do jego drzwi.
 — Zapytam służącego.
 Bonacieux wszedł do mieszkania, przeszedł drzwiami, którymi umknęli zbiegowie, stanął w sieni d'Artagnana i zapukał.
 Nikt się nie odezwał. Portos, dla większej parady u siebie, pożyczył na ten wieczór Plancheta. D'Artagnan zaś nie myślał dawać znaku życia.
 W chwili gdy palec pana Bonacieux odbił się o drzwi, dwojgu młodym ludziom o mało serca nie wyskoczyły z piersi.
 — Nie ma nikogo — rzekł Bonacieux.
 — Mniejsza o to, wejdźmy w każdym razie do pana, będziemy bezpieczniejsi niżli tu, na progu.
 — A! Mój Boże! — szepnęła pani Bonacieux. — Nic już nie usłyszymy.
 — Przeciwnie — odparł d'Artagnan — i to daleko lepiej.
 Odkrył dziurę w posadzce, która tworzyła z jego pokoju coś na kształt ucha Dionizjo-
 sa²³⁶, rozpostarł na ziemi dywan, ukląkł na nim, dając znak pani Bonacieux, aby również, jak on, pochyliła się nad otworem.

²³⁶*ucho Dionizjosa* — nawiązanie do podejrzliwości i lęku o własne życie, z których słynął Dionizjos I: tyran greckiego miasta Syrakuzy, położonego na Sycylii; przen. urządzenie podsłuchowe. [przypis edytorski]

— Jesteś przekonany, że nie ma tam nikogo? — zapytał obcy mężczyzna.

— Ręczę za to — odrzekł Bonacieux.

— I myślisz, że twoja żona...

— Powróciła do Luwru.

— Nie widząc się z nikim prócz z tobą?

— Jestem tego pewny.

— W tym grunt... rozumiesz?

— O!... Rozumiem, że nowina, którą powiedziałem panu, jest ważna...

— Nadzwyczajnie, mój drogi Bonacieux, nie taję tego bynajmniej.

— Więc kardynał będzie ze mnie zadowolony?

— Spodziewam się.

— Wielki kardynał!...

— Czy jesteś pewny, że żona w rozmowie z tobą nie wymieniła żadnego nazwiska?

— Nie zdaje mi się.

— Nie wymieniała ani pani de Chevreuse, ani pana de Buckingham, ani pani de Vernet?

— Nie, powiedziała tylko, że wyprawiłaby mnie do Londynu dla załatwienia sprawy jakiejś znakomitej osobistości.

— Zdrajca!... — szepnęła pani Bonacieux.

— Cicho! — rzekł d'Artagnan, ujmując jej rączkę, którą mu bezwiednie oddała.

— W każdym razie — ciągnął mężczyzna w płaszczu — jesteś niedołągą, bo trzeba ci było udać, iż przyjmujesz zlecenie, byłbyś już teraz w posiadaniu listu; rząd, któremu grożą, byłby ocalony, a ty...

— A ja?...

— Ha!... A tobie kardynał dałby dyplom szlachecki...

— Powiedział to panu?

— Rozumie się, iż chciał ci sprawić tę niespodziankę.

— Bądź pan spokojny — odrzekł Bonacieux — moja żona ubóstwia mnie, jeszcze czas.

— Dureń! — szepnęła pani Bonacieux.

— Cicho! — rzekł d'Artagnan, ściskając mocniej jej rękę.

— Jak to?... Jeszcze czas? — zapytał mężczyzna w płaszczu.

— Pędzę do Luwru, wywołuję panią Bonacieux, powiem jej, że się namyśliłem, dostaję list i lecę z nim do kardynała.

— To śpiesz się! Ja tu powrócę wkrótce, aby się dowiedzieć, coś uczynił.

I wyszedł.

— Podły! — rzekła pani Bonacieux, stosując jeszcze i to określenie na swojego męża.

— Cicho!... — odezwał się d'Artagnan, coraz mocniej ściskając jej rączkę.

Naraz straszny ryk przerwał uwagę dwojga młodych ludzi.

Był to głos małżonka pani Konstancji, który dostrzegłszy zniknięcie trzosa, darł się na całe gardło, że go okradziono.

— O! Boże!... — zawołała pani Bonacieux. — Gotów poruszyć całą dzielnicę.

Bonacieux krzychał długo, lecz podobne hałasy, dlatego że często się wówczas powtarzały, nikogo już nie zwabiały na ulicę des Fossoyeurs, a przy tym dom kramarza miał nietęgą reputację.

Widząc więc, że nikt nie przybywa, wybiegł z domu, krzyżąc nieustannie, i było już tylko słychać jego głos, oddalający się w kierunku ulicy du Bac.

— A teraz, kiedy już poszedł sobie, na pana kolej, abyś wyszedł — rzekła pani Bonacieux. — Odwagi, a przede wszystkim roztropności. Pamiętaj, że teraz należysz do królowej.

— Do niej i do ciebie! — zawołał d'Artagnan. — Bądź spokojna, piękna Konstancjo, stanę się godny jej wdzięczności; lecz czy powrócę godny twojej miłości?

Młoda kobieta odpowiedziała mu na to żywym rumieńcem, który okraślił jej lica.

W kilka chwil potem d'Artagnan wyszedł osłonięty szerokim płaszczem.

Pani Bonacieux powiodła za nim rozkochanymi oczyma, lecz skoro zniknął przy zakręcie ulicy, padła na kolana i złożyła ręce.

— O! Boże!... — zawołała. — Weź w swoją opiekę królową i nie opuszczaj mnie!

ROZDZIAŁ XIX. PLAN WYPRAWY

D'Artagnan udał się wprost do pana de Tréville. Rozważył, iż za chwilę kardynał uprzedzony zostanie przez tego potężniaka, który widocznie był jego agentem, i słusznie sądził, iż nie ma czasu do stracenia. Serce młodzieńca radością było wezbrane.

Zdarzała mu się sposobność, w której były jednocześnie sława i pieniądze do zdobycia, a na domiar czynniki te, jak gdyby na zachętę, zbliżały go do kobiety, którą ubóstwiał. Wypadek więc czynił dla niego, niżby śmiało żądać od Opatrzności.

Pan de Tréville znajdował się w salonie, jak zwykle otoczony szlachtą.

D'Artagnan, którego znano jako dobrze widzianego, udał się prosto do gabinetu i polecił, aby dano znać, iż czeka w sprawie nader ważnej.

Po upływie pięciu minut wszedł pan de Tréville.

Na pierwszy rzut oka zacny kapitan poznał z oblicza, na którym malowała się radość, że rzeczywiście zaszło coś niezwykłego.

Przez całą drogę d'Artagnan stawiał sobie pytanie: czy wypadało zwierzyć się panu de Tréville, czy też żądać tylko udzielenia odeń pozwolenia na zupełnie swobodne działanie w tajemnej sprawie? Lecz pan de Tréville tak nieskończenie dobry był dla niego, a sam tak oddany królowi i królowej, tak serdecznie przy tym nienawidził kardynała, że młodzieniec postanowił opowiedzieć mu wszystko.

— Żądałeś widzenia mnie, mój młody przyjacielu? — odezwał się pan de Tréville.

— Tak, panie — rzekł d'Artagnan. — I mam nadzieję, iż pan mi przebaczy, że go trudzę, gdy się dowiesz, o co tu chodzi.

— Mów więc, słucham.

— Chodzi tu ni mniej, ni więcej — rzekł d'Artagnan, zniżając głos — o cześć, a może nawet i o życie królowej.

— Co mówisz?... — zagadnął pan de Tréville, potoczywszy wzrokiem dokoła, dla upewnienia się, czy są sami, i skupiając badawcze spojrzenie na d'Artagnanie.

— Mówię panu, iż wypadek uczynił mnie panem tajemnicy...

— Którą spodziewam się, młodzieńcze, iż zachowasz kosztem twojego życia.

— Ale winienem powierzyć ją panu, bo jedynie ty możesz mi dopomóc w spełnieniu zlecenia, które otrzymałem od Jej Królewskiej Mości.

— Czy tajemnica ta do ciebie należy?

— Nie, panie, lecz do królowej.

— A czyś upoważniony do powierzenia mi jej?

— Nie, panie, zlecono mi najgłębszą tajemnicę.

— Dlaczegoż więc chcesz ją zdradzić przede mną?...

— Ponieważ, mówię, bez pana nie mogę nic zrobić, a lękam się, byś nie odmówił mi łaski, której przychodzę żądać, jeżeli nie będziesz wiedział, w jakim celu o nią proszę.

— Zachowaj tę tajemnicę, młodzieńcze, i mów, czego pragniesz.

— Pragnę, abyś pan otrzymał dla mnie od pana des Essarts dwutygodniowy urlop.

— Kiedy?

— Jeszcze tej nocy.

— Opuszczasz Paryż?

— Jadę z poleceniem.

— Czy możesz mi powiedzieć dokąd?

— Do Londynu.

— Czy komuś zależy na tym, abyś się tam nie dostał?

— Sądzę, iż kardynał dałby wszystko na świecie, aby mi w tym przeszkodzić.

— Sam jedziesz?

— Sam.

— W takim razie nie dojedziesz nawet do Bondy²³⁷. Ja ci to mówię, słowo de Tréville.

— Dlaczego?

— Każą cię zamordować.

— Umrę, spełniając swój obowiązek.

— Lecz posłannictwo twoje nie będzie spełnione.

²³⁷ *Bondy* — miejscowość i gmina we Francji; przedmieście Paryża. [przypis edytorski]

— To prawda — zauważył d'Artagnan.

— Wierź mi — ciągnął dalej de Tréville — w przedsięwzięciach tego rodzaju tylko jeden na czterech może dotrzeć do miejsca.

— A! Masz pan słuszność — rzekł d'Artagnan — lecz znasz przecie Atosa, Portosa i Aramis i wiesz, czy mogą nimi rozporządzać.

— Ale nie powierzaj im tajemnicy, której i ja nie chcę znać.

— Raz na zawsze przysięgliśmy sobie ślepe zaufanie i wierność bez granic; wreszcie pan może im powiedzieć, iż ufasz mi zupełnie, a tak samo jak pan i oni mi zawierzą.

— Mogę każdemu z nich posłać dwutygodniowy urlop, nic więcej; Atosowi, któremu dolega rana, aby udał się do wód w Forges²³⁸; zaś Portosowi i Aramisowi, aby towarzyszyli przyjacielowi, który potrzebuje ich pomocy w chorobie. Doręczenie urlopu będzie dowodem, że upoważniam ich do podróży.

— Dzięki, panie, jesteś nieskończenie dobry.

— Idź więc do nich natychmiast i niech wszystko będzie tej nocy gotowe. A!... Napisz mi zaraz prośbę do pana des Essarts. Być może, iż miałeś szpiega za piętami, a w takim razie odwiedziny twoje znane są już kardynałowi, będą tym przynajmniej uprawnione.

D'Artagnan napisał prośbę, a pan de Tréville, biorąc ją do ręki, zaręczył, że przed drugą po północy cztery urlopy zostaną przesłane do własnych mieszkań muszkietarów.

— Zechciej pan odesłać mój do Atosa — rzekł d'Artagnan. — Przy powrocie do siebie lękam się jakiego zdradzieckiego spotkania.

— Bądź spokojny. Bywaj zdrow i szczęśliwej drogi! Ale! Ale! — rzekł de Tréville, przywołując go z powrotem.

D'Artagnan zawrócił.

— A masz ty pieniądze?

D'Artagnan zabrzączał trzosem w kieszeni.

— Ale czy dosyć? — zapytał de Tréville.

— Trzysta pistoli.

— To dobrze, można z tym na koniec świata zjechać; ruszaj więc.

D'Artagnan pożegnał pana de Tréville, który podał mu rękę, młodzieniec uściśnął ją z szacunkiem i wdzięcznością.

Odkąd przybył do Paryża, mógł tylko poszczycić się tym niezrównanym człowiekiem, którego w każdym wypadku znajdował zawsze zacnym, prawym i wielkim.

Najpierw udał się do Aramisa, a nie był u niego od owego pamiętnego wieczoru, kiedy śledził panią Bonacieux.

Co więcej, ile razy go odtąd widział, spostrzegał głęboki smutek rozlany na jego obliczu.

Tego wieczora również Aramis siedział chmurny i zamyślony.

D'Artagnan zagadnął go o tę ponurą melancholię, lecz Aramis zwał wszystko na komentarze nad osiemnastym rozdziałem świętego Augustyna, które był zmuszony napisać na następny tydzień i to, jak mówił, tak go wielce zajmowało.

Gdy rozmawiali już jakiś czas, wszedł służący pana de Tréville, niosąc zapieczętowane papiery.

— Cóż to takiego? — zapytał Aramis.

— Urlop, żądany przez pana — odrzekł lokaj.

— Przeze mnie? Ja wcale nie żądałem urlopu.

— Nic nie mów, tylko bierz — odezwał się d'Artagnan. — Ty, przyjacielu, masz pół pistola za fatygę; podziękuj bardzo panu de Tréville od pana Aramisa. Ruszaj.

Służący skłonił się nisko i wyszedł.

— Cóż to znaczy? — zapytał Aramis.

— Wybieraj się w dwutygodniową podróż i chodź ze mną.

— Ależ ja teraz właśnie nie mogę wyjechać z Paryża, nie wiedząc...

Aramis zaciął się.

— Co się z nią stało, nieprawdaż? — dokończył d'Artagnan.

— Z kim? — podchwycił Aramis.

²³⁸ Forges-les-Eaux — gmina w regionie Normandia w płn. Francji; znana z występowania na jej terenie leczniczych wód termalnych. [przypis edytorski]

— Z damą, która tu była, z damą o haftowanej chusteczce.
 — Kto ci o tym powiedział? — zawołał Aramis, blednąc jak chusta.
 — Widziałem ją.
 — I ty wiesz, kim ona jest?
 — Domyślałem się przynajmniej.
 — Słuchaj — rzekł Aramis — skoro tyle rzeczy już ci wiadomo, może wiesz także, co się z nią stało?
 — Sądzę, iż powróciła do Tours.
 — Do Tours? A tak, więc znasz ją widocznie. Lecz jak mogła tam powrócić, nie powiedziawszy mi o tym ani słowa?
 — Obawiała się, aby jej nie aresztowano.
 — Czemu nie napisała do mnie?
 — Bo lękała się skompromitować tym ciebie.
 — D'Artagnanie, życie mi zwracasz! — zawołał Aramis. — Sądziłem już, że mną wzgardzono, że mnie zdradzono. Tak szczęśliwy się czułem, ujrawszy ją znowu! Nie mogłem uwierzyć, aby narażała swoją wolność dla mnie; a jednak jaka przyczyna sprowadzić ją mogła do Paryża?
 — Przyczyna, dla której dziś wyruszamy do Londynu.
 — A cóż to za przyczyna? — zapytał Aramis.
 — Dowiesz się o niej kiedyś, Aramisie; na teraz chcę naśladować powściągliwość w mowie siostrzenicy doktora.
 Aramis uśmiechnął się, przypomniał sobie bowiem bajkę opowiedzianą przyjaciółm.
 — Dobrze! Skoro więc wyjechała z Paryża, a ty pewny tego jesteś, d'Artagnanie, nic mnie już nie zatrzymuje i gotów jestem z tobą pojechać... Dokądże teraz idziesz?
 — Do Atosa, ale proszę cię, śpiesz się, bo dużo czasu już straciliśmy. Zawołaj Bazina.
 — Czy i on z nami pojedzie?
 — Może. W każdym razie byłoby dobrze, ażeby z nami poszedł do Atosa.
 Aramis przywołał Bazina i rozkazał mu podążyć za nimi do Atosa.
 — Chodźmy — rzekł, biorąc płaszcz, szpadę i trzy pistolety i otwierając wszystkie szufladki, aby przekonać się, czy nie znajdzie w nich choć kilku zabłąkanych pistoli.
 Przekonawszy się ostatecznie, że poszukiwania te są zbyteczne, ruszył za d'Artagnanem, rozmyślając, w jaki sposób młody kadet z gwardii tak dobrze jak i on wiedział, kim była ta dama, której udzielił gościnności u siebie, i że wiedział jeszcze lepiej od niego, co się z nią stało.
 Wychodząc, Aramis położył rękę na ramieniu d'Artagnana i wpatrzywszy się w niego badawczo, rzekł:
 — Nie mówiłeś o niej nikomu?
 — Nikomu w świecie.
 — Ani Atosowi, ani Portosowi nawet?
 — Nie pisałem ani słówka.
 — Tym lepiej.
 Aramis, już zupełnie spokojny, siedł obok d'Artagnana, wkrótce obydwaj przybyli do Atosa.

Zastali go z urlopem w jednej i listem od pana de Tréville w drugiej ręce.
 — Czy nie moglibyście mnie objaśnić, co znaczy ten urlop i ten list, który odebrałem? — zapytał ich zdziwiony.

Mój drogi Atosie, i ja chciałbym, skoro twoje zdrowie koniecznie tego wymaga, abyś mógł odpocząć przez parę tygodni. Wybierz się więc do wód w Forges lub dokąd ci się podoba, i powróć należycie do zdrowia. Dobrze ci życzący Tréville

— List ten i urlop znaczą, Atosie, że trzeba jechać ze mną.
 — Do wód w Forges?
 — Wszystko jedno dokąd.
 — W służbie króla?
 — Króla i królowej, bo czyż nie jesteśmy sługami Ich Królewskich Mości?

W tej chwili wszedł Portos.

— Co, u licha — rzekł — dziwne rzeczy się dzieją. Odkądże to w muszkietarach udzielają ludziom urlopów, gdy o nie wcale nie proszą?

— Odtąd, odkąd mają przyjaciół, którzy żądają tego w ich imieniu — rzekł d'Artagnan.

— A! A! — zawołał Portos. — Widocznie coś tu nowego się święci?

— Tak — rzekł Aramis — jedziemy.

— Dokąd?

— Na honor, nie mam pojęcia — odezwał się Atos — zapytaj d'Artagnana.

— Do Londynu, panowie — odrzekł tenże.

— Do Londynu! — wykrzyknął Portos. — A cóż my tam będziemy robili?

— Tego właśnie nie mogę wam powiedzieć, trzeba mi zaufać.

— Ależ na taką podróż potrzeba pieniędzy — dodał Portos — a ja ich nie mam wcale.

— Ani ja — odezwał się Aramis.

— Ani ja — rzekł Atos.

— Ja mam — odparł d'Artagnan, wyciągając swój skarb z kieszeni i kładąc go na stole. — Trzos ten zawiera trzysta pistoli; każdy z nas weźmie po siedemdziesiąt pięć. To wystarczy, aby zajechać do Londynu i powrócić stamtąd. Zresztą, bądźcie spokojni, nie wszyscy my tam dojedziemy.

— A to czemu?

— Bo według wszelkiego prawdopodobieństwa niektórzy z nas pozostaną w drodze.

— Czyż to jakaś wyprawa wojenna?

— I to najniebezpieczniejsza, oznajmiam wam, moi panowie.

— Masz tobie! Lecz jeżeli mamy iść na śmierć, chciałbym przynajmniej wiedzieć, dlaczego — rzekł Portos.

— O! Dużo na tym skorzystasz — odezwał się Atos.

— Jednakże i ja jestem tego zdania co Portos — rzekł Aramis.

— A czy słyszeliście kiedyś, aby król nam zdawał sprawę? Nie; mówi wam ot prostu: „Panowie, biją się w Gaskonii czy też we Flandrii; idźcie tam bić się!”... I idźcie. Dlaczego? Wszak to was nie obchodzi bynajmniej.

— Słusznie powiada d'Artagnan — przemówił Atos. — Mamy trzy urlopy od pana de Tréville i mamy trzysta pistoli, nie wiem od kogo. Idźmy więc dać się zabić tam, dokąd nas posyłają. Czyż życie warte jest tylu rozpraw? D'Artagnanie, gotów jestem z tobą iść.

— Ja także — rzekł Portos.

— I ja też — dodał Aramis. — Zwłaszcza że chętnie opuszczę Paryż. Potrzebuję rozrywki.

— Tym lepiej! Będziecie jej mieć niemało, moi panowie, bądźcie tego pewni! — podchwycił d'Artagnan.

— No, a teraz, kiedyż jedziemy? — zagadnął Atos.

— Natychmiast — odparł d'Artagnan — nie mamy do stracenia ani chwili.

— Hola! Grimaud, Planchet, Mousqueton, Bazin! — krzyknęli czterej młodzieńcy, przywołując swoich pachołków. — Czyścić nam buty i sprowadzić konie ze stajni pałacowej.

Każdy muszkietier trzymał w stajni ogólnych koszar konia swego i swego pachołka. Wszyscy czterej służący popędzili cwałem.

— A teraz ułożmy plan wyprawy — odezwał się Portos. — Dokąd jedziemy najpierw?

— Do Calais²³⁹ — odparł d'Artagnan — jest to najprostsza droga do Londynu.

— Niech i tak będzie! — rzekł Portos. — Ale ja bym coś powiedział...

— Mów.

— Czterej mężczyźni podróżujący razem zawsze wyglądają podejrzanie: D'Artagnan da każdemu z nas zlecenie. Ja najprzód wyruszę drogą do Boulogne; we dwie godziny po mnie Atos wypuści się w stronę Amiens; Aramis podąży za nami drogą do Noyon; d'Artagnan zaś pojedzie, któregoś mu się spodoba, w ubraniu Plancheta, gdy tymczasem Planchet uda się za nami, przebrany za d'Artagnana w mundurze gwardzistów.

— Panowie — odezwał się Atos — moim zdaniem nie należy wtajemniczać pachołków w sprawę tego rodzaju. Szlachta nieraz zdradza podobne tajemnice, służba sprzedaje

Szlachcic, Sługa, Tajemnica

²³⁹ Calais — miasto i gmina w płn. Francji. [przypis edytorski]

je zawsze.

— Plan Portosa wydaje mi się niepraktyczny z tego względu, iż ja sam nie wiem, jakie zlecenia mogę mu dać. Jestem oddawcą listu, nic więcej. Nie mam i nie mogę stworzyć trzech kopii tego pisma, ponieważ jest zapieczętowane; więc moim zdaniem wypada nam podróżować wspólnie. List ten tu się znajduje, w tej oto kieszeni.

I wskazał, gdzie ma ukryty list.

— Jeżeli zostaną zabity, jeden z was go weźmie i pojedzie dalej. Gdy padnie ten drugi, przyjdzie kolej na innego, i tak dalej. Chodzi przecie o to, aby choć jeden dotarł do miejsca.

— Brawo, d'Artagnanie! Zgadzam się z tobą zupełnie — rzekł Atos. — Nade wszystko należy być konsekwentnym; ja mam się leczyć kąpielami, wy mi będziecie towarzyszyć; jestem wolny. Jeżeli zechcą nas aresztować, pokażę list pana de Tréville, a wy wasze urlopy; jeżeli będą was napastować, będziemy się razem bronić; jeżeli będą nas sądzić, będziemy utrzymywać do ostatniego, że nie mieliśmy innego zamiaru prócz kąpania się w morzu; pojedynczo nietrudno byłoby nam poradzić, gdy tymczasem czterech mężczyzn razem tworzy już zastęp pokazny. Uzbroimy czterech pachołków w pistolety i muszkiety; gdyby nawet armię przeciw nam wysłano, stawimy jej czoło, a ten, który przeżyje, jak mówi d'Artagnan, doręczy list.

— Dobrze powiedział — zawołał Aramis — nieczęsto mówisz, Atosie, lecz gdy się odezwiesz, to już jak święty Jan Złotousty²⁴⁰. Ja przyjmuję plan Atosa. A ty, Portosie?

— Ja także — odrzekł tenże — jeżeli tylko podoba się d'Artagnanowi. On, jako oddawca listu, jest z natury rzeczy wodzem wyprawy; niech postanowi, a my wykonamy.

— A więc! — odezwał się d'Artagnan. — Postanawiam, iż przyjmujemy plan Atosa i że za pół godziny wyruszymy w drogę.

I każdy z nich sięgnąwszy ręką do trzosa, wziął siedemdziesiąt pięć pistoli i przygotowywał się do wyjazdu o umówionej godzinie.

ROZDZIAŁ XX. PODRÓŻ

O drugiej nad ranem nasi czterej ochotnicy wyjechali z Paryża przez roгатkę Saint-Denis.

Noc usposabiała ich do milczenia; mimo woli ulegli wpływowi ciemności i wszędzie podejrzewali zasadzki.

Pierwszy brzask dzienny rozwiązał im języki. Wesołość powraca ze słońcem.

Jak gdyby w przeddzień potyczki serca im biły, oczy się świeciły, czuli, że życie, które może im przyjdzie pożegnać, jest bądź co bądź skarbem drogocennym.

Zastęp ich wyglądał nader groźnie.

Kare konie muszkieterów, ich wojenna postawa, miarowy z nawyknięcia chód aż nadto wyraźnie zdradzały ich sekretne incognito.

Za nimi jechali pachołkowie, zbrojni od stóp do głów.

Wszystko szło jak najlepiej aż do Chantilly, dokąd przybyli około godziny ósmej z rana. Należało spożyć śniadanie. Zatrzymali się przed oberżą, którą zalecał znak przedstawiający świętego Marcina oddającego ubogiemu połowę swojego płaszcza.

Przykazano pachołkom nie rozsiodływać koni i być w pogotowiu do niezwłocznego wyjazdu.

Weszli do sali ogólnej i zasiedli do stołu.

Jakiś szlachcic, przybyły drogą od Dammartin, jadł śniadanie przy tym samym stole. Wdał się z nimi w rozmowę o pogodzie i deszczu; podróżni nasi odpowiadali mu; wypił za ich zdrowie, ci znów odwzajemnili się mu grzecznością za grzeczność.

Jednak w chwili, gdy Mousqueton oznajmił, że konie gotowe, i zaczęto wstawać od stołu, nieznamy zaproponował Portosowi wypicie za zdrowie kardynała. Portos zgodził się na to chętnie pod warunkiem, że szlachcic wypije też za zdrowie króla. Nieznajomy odparł mu ostro, że nie zna innego króla prócz Jego Eminencji. Wtedy Portos nawymyślał mu od pijaków, a tamten pochwycił za szpadę.

— Głupstwo zrobiłeś — rzekł Atos. — Trudna rada, nie ma teraz sposobu wycofania się, zabij tego człowieka i dopędź nas, jak możesz najprędzej.

²⁴⁰Jan Złotousty a. Jan Chryzostom (ok. 350–407) — biskup Konstantynopola, pisarz i słynny kaznodzieja, teolog; święty prawosławny i katolicki. [przypis edytorski]

I wszyscy trzej dosiedli koni i puścili się cwałem, a Portos obiecywał swojemu przeciwnikowi, że przedziurawi go wszystkimi pchnięciami znanymi w szermierce.

— Już nas o jednego mniej — rzekł Atos, odjechawszy pięćset kroków.

— Dlaczego ten człowiek przyczepił się do Portosa, a nie do któregoś z nas? — zapytał Aramis.

— Bo Portos krzyczy najgłośniejszym głosem z nas wszystkich, więc wziął go za przywódcę — odrzekł d'Artagnan.

— Zawsze mówiłem, że ten kadet gaskoński jest studnią mądrości — mruknął pod nosem Atos.

I jechali dalej.

W Beauvais zatrzymali się przez dwie godziny dla wytchnienia koni i chcąc poczekać na Portosa. Jednak po upływie tego czasu, ponieważ ani jego, ani wieści o nim nie było, ruszyli w dalszą drogę.

O milę za Beauvais, w miejscu, gdzie droga wiała się wąwozem pomiędzy wzgórzami, napotkali ośmiu czy dziesięciu ludzi, którzy nie wiadomo po co kopali tu ziemię i w miękkim gruncie tworzyli błotniste kałuże.

Aramis, bojąc się powalania buczków w tych sztucznych trzęsawiskach, zgromił ich ostro.

Atos chciał go powstrzymać, lecz było już za późno.

Robotnicy odpowiedzieli drwinkami.

Wobec takiego zuchwalstwa nawet chłodny Atos stracił głowę i na jednego z nich najechał koniem.

Wtedy ludzie ci cofnęli się do przydrożnego rowu i pochwycili ukryte muszkiety.

Wycelowali do naszych siedmiu podróżnych.

Aramisowi kula przebiła ramię, inna utkwiała Mousquetonowi w mięśniu będącym przedłużeniem niższej części krzyża.

Mousqueton spadł z konia, wprawdzie nie dlatego, że jego rana była niebezpieczna, lecz że jej nie mógł obejrzeć i sądził zapewne, że jest groźniejsza.

— To zasadzka — odezwał się d'Artagnan — nie dajmy się wziąć na wędkę! Dalej, w drogę!...

Aramis, choć ranny, chwycił się grzywy konia, który uniośł go za innymi.

Wierzchowiec Mousquetona także ich dognał i galopował w szeregu bez jeźdźca.

— Będziemy mieli konia zapasowego — rzekł Atos.

— Wolałbym kapelusz — odezwał się d'Artagnan — mój zdmuchnęła mi kula. Całe szczęście, na honor, że list się w nim nie znajdował.

— Otóż masz! Gotowi zabić biednego Portosa, jak będzie tamtędy przejeżdżał — zauważył Aramis.

— E!... Gdyby był na nogach, dopędziłby nas już dotąd — rzekł Atos. — Wszystko mi się zdaje, że ten pijak był już trzeźwy przy pojedynku.

I pędzili jeszcze galopem przez parę godzin, choć konie były tak zmęczone, że obawiano się, aby wkrótce nie odmówiły posługi.

Podróżni jechali na przelaj w nadziei, że tym sposobem unikną zaczepki, lecz w Crèvecoeur Aramis oświadczył, że dalej nie może jechać.

W istocie trzeba było jego wielkiej odwagi, ukrytej pod elegancką powierzchownością i gładkim obejściem, aby wytrwać aż dotąd.

Co chwila bladł straszliwie i musiano go podtrzymywać na koniu; zasadzono go przed bramą oberży, pozostawiono z nim Bazina, który więcej zawadzał, niż pomagał w utarczce, i puszczono się w drogę w nadziei, że noc będzie można przepędzić w Amiens.

— Do diabła! — zaklął Atos, gdy znów ruszyli w drogę, w składzie zmniejszonym do dwóch panów i tyluż pacholków. — Do diabła! Już więcej nie dam się złapać i przyrzekam, że nie otworzę gęby ani szpady nie dotknę aż do samego Calais. Przysięgam...

— Nie przysięgajmy!... — odezwał się d'Artagnan. — Pędźmy co tchu, jeżeli tylko przystaną na to nasze konie.

I spinając ostrogami boki wierzchowców, podniecali słabnące w nich siły.

O północy stanęli w Amiens i zatrzymali się w oberży „Pod Złotą Lilią”.

Oberżysta wyglądał na człowieka najuczciwszego pod słońcem, przyjął podróżnych ze świecą w jednej, a szlafmycą²⁴¹ w drugiej ręce; ofiarowywał każdemu z nich osobny śliczny pokoik.

Na nieszczęście dwa te pokoje położone były na przeciwnych krańcach oberży.

D'Artagnan i Atos odmówili. Gospodarz odpowiedział, że nie rozporządzał innymi pokojami godnymi tak wielkich panów; ci zaś oświadczyli, że gotowi są przespąć się w izbie ogólnej, choćby na materacu rzuconym na ziemię.

Oberżysta nalegał, oni nie ustąpili; trzeba było nareszcie zrobić tak, jak chcieli.

Ale tylko co przyrządzili sobie posłanie i zatarasowali drzwi od wewnątrz, gdy ktoś zapukał do okiennicy od podwórza.

Spytali: „kto tam?“, a poznawszy głosy swoich pacholków, otworzyli.

Rzeczywiście byli to Planchet i Grimaud.

— Grimaud sam dopilnuje koni... — odezwał się Planchet — a ja, jeżeli panowie zechcą pozwolić, położę się pod ich drzwiami i będzie pewność, że nikt tutaj nie wejdzie.

— A na czym się położysz? — zapytał d'Artagnan.

— Mam posłanie — odparł Planchet, wskazując na wiązkę słomy.

— A to chodź — rzekł d'Artagnan — może nawet i masz słusność; twarz tego oberżysty nie bardzo mi się podoba, jest zanadto uprzejmy.

— I mnie także niekoniecznie — odezwał się Atos.

Planchet wdrapał się oknem i położył się w poprzek drzwi, a Grimaud zamknął się w stajni, zaręczając, iż o piątej z rana wraz z końmi będzie gotowy.

Noc upłynęła dość spokojnie, jednakże około drugiej nad ranem ktoś próbował otworzyć drzwi; ponieważ jednak Planchet obudziwszy się, nagle zawołał: „kto tam?“, ten ktoś odpowiedział, że się pomylił, i odszedł.

O czwartej posłyszano okrutny hałas w stajni.

Grimaud chciał zbudzić parobków, a ci zaczęli go bić.

Otworzywszy okno, śpiący w oberży ujrzeli biedaka bez przytomności, z głową rozciętą trzonkiem od widel.

Planchet wyskoczył na podwórze, chcąc siodłać konie, lecz były ochwacone²⁴². Jeden tylko wierzchowiec Mousquetona, który przez kilka godzin odbywał podróż bez jeźdźca, mógł służyć do dalszej jazdy, jednak przez pomyłkę, trudną do pojęcia, weterynarz, po którego posłano, jak się okazało, aby puścił krew koniowi oberżysty, uczynił to z koniem Mousquetona.

To wszystko stawało się niepokojące, bo ubiegłe przygody mogły być wprawdzie zrządzeniem losu, lecz również wynikiem uknutego z góry planu.

Atos i d'Artagnan pozostali, Planchet tymczasem poszedł się dowiedzieć, czy nie ma gdzieś w pobliżu trzech koni do nabycia.

Przed bramą stały założone dwa konie osiodłane do drogi, wypoczęte i silne. Dobrze się to zdarzyło.

Planchet zapytał, gdzie są ich właściciele. Odpowiedziano mu, że nocowali w oberży i w tej chwili rozliczają się z gospodarzem.

Atos także udał się, aby uregulować rachunek, zaś d'Artagnan i Planchet pozostali w bramie.

Oberżysta siedział w pokoju odległym, na dole, poproszono więc Atosa, aby się tam udał.

Atos, nie podejrzewając nic, przystąpił do oberżysty i wyjął z kieszeni dwa pistole. Oberżysta siedział przy biurku, którego jedna z szufladek była otwarta.

Wziął od Atosa pieniądze i począł je oglądać na wszystkie strony, po czym krzyknął, że są fałszywe, oświadczając, że każe aresztować jego i towarzysza jako podrabiaczy pieniędzy.

— Hultaju — syknął Atos, podchodząc do niego — uszy ci poobcinam.

W tej chwili czterech zbrojnych ludzi wpadło bocznymi drzwiami i rzuciło się na Atosa.

— Schwymano mnie! — krzyknął Atos na całe gardło. — D'Artagnanie, uciekaj! — I strzelił po dwakroć z pistoletu.

²⁴¹szlafmyca (z niem.) — czapka używana dawniej do spania. [przypis edytorski]

²⁴²ochwacony — o koniu: cierpiący na ochwat, tj. ostre zapalenie kopyta. [przypis edytorski]

D'Artagnan i Planchet, nie w ciemną bicia, nie czekając na powtórny rozkaz, odwiązali konie, które stały przed bramą, skoczyli na nie, spięli ostrogami i popędzili cwałem.

— Czy ty wiesz, co się stało z Atosem? — zagadnął w pędzie d'Artagnan Plancheta.

— A! Panie mój! — odparł Planchet. — Widziałem, jak dwa te strzały położyły dwóch ludzi i zdaje mi się, że widziałem także przez szyby, jak rąbał się z innymi.

— Dzielnego Atosa! — szepnął d'Artagnan. — Ciężko pomyśleć, że muszę go opuścić! Zresztą, kto wie, co nas tu niedługo czeka. Naprzód Planchet, naprzód! Zuch z ciebie, mój chłopcze.

— Ja panu mówiłem — odrzekł tenże — że Pikardyjczycy to taki naród, co go w potrzebie poznaje się dopiero, a teraz na swojej ziemi jestem, to mi ducha dodaje.

I obydwa sadząc, co koń wyskoczy, przybyli jednym tchem do Saint-Omer.

Tam, zarzuciwszy cugle na ramię, dali wytchnąć koniom, sami przekąsili naprędce, stojąc na ulicy, i dalej pocwałowali.

O sto kroków od bram Calais koń d'Artagnana padł; z nozdrzy i oczu rzuciła mu się krew i nie było sposobu ratować. Był jeszcze wierzchowiec Plancheta, lecz i ten się rozparł i niepodobna było zmusić go do dalszej drogi.

Na szczęście mieli już blisko do miasta, porzuciwszy więc swoje wierzchowce na środku drogi, pośpieszyli do portu.

Planchet zwrócił uwagę swego pana na jakiegoś szlachcica idącego ze służącym o jakieś pięćdziesiąt kroków przed nim.

Zrównali się z nim czym prędzej. Wyglądał na mocno zajętego, obuwie miał pokryte pyłem i dopytywał, czy nie mógłby się natychmiast przeprawić na brzeg angielski.

— Nic łatwiejszego — odpowiedział właściciel statku gotowego do odpłynięcia — lecz dziś z rana przyszedł rozkaz, aby nie przewozić nikogo bez szczególnego pozwolenia kardynała.

— Ja też je posiadam — rzekł szlachcic, wyjmując papier z kieszeni — oto jest.

— Każ je pan poświadczyć przez naczelnika przystani — rzekł właściciel statku.

— Gdzież znajdę naczelnika?

— Na letnim mieszkaniu.

— A w której to stronie?

— O ćwierć mili od miasta, nawet widać stąd dom, ten dach, pokryty dachówką, pod wzgórzem.

— Bardzo dobrze! — rzekł młody szlachcic.

I skinąwszy na swego służącego, poszedł w tamtą stronę.

D'Artagnan i Planchet udali się za nim w odległości pięćuset kroków.

Wydostawszy się z miasta, d'Artagnan przyśpieszył kroku i zrównał się ze szlachcicem przed samym laskiem.

— Panu, jak mi się zdaje, bardzo pilno? — zagadnął go d'Artagnan.

— Ogromnie, mój panie.

— Bardzo mi przykro — rzekł d'Artagnan — lecz i mnie pilno niezmiernie, chciałem więc prosić pana o wyświadczenie mi przysługi.

— Jakiej?

— Ażebym ja był pierwaj od pana.

— Niepodobna — odparł młody szlachcic — przebyłem sześćdziesiąt mil w ciągu czterdziestu czterech godzin, a jutro w południe muszę być w Londynie.

— Tę samą drogę i ja przebyłem w ciągu czterdziestu godzin, a jutro o dziesiątej rano muszę być w Londynie.

— Mocno mnie to boli, lecz ja przybyłem pierwszy i nie pozwolę się wyprzedzić.

— I mnie bardzo przykro, lecz przybyłem później, a pierwszy tam stanę.

— Sprawa królewska!... — odezwał się szlachcic.

— A moja sprawa osobista!... — odparł d'Artagnan.

— Ależ, o ile mi się zdaje, szukasz pan ze mną zaczepki?

— A cóż pan chcesz, żeby to było, u licha!...

— Czego więc pan żądaś ode mnie?

— Chcesz się pan dowiedzieć?

— Zapewne.

— Otóż żądam rozkazu, który pan masz przy sobie, bo ja go nie posiadam, a jest mi bardzo potrzebny.

— Żartujesz pan chyba?...

— Nie żartuję nigdy!...

— Ustąp mi pan z drogi!...

— Nie przejdiesz!

— Mój ty zuchu, chcesz, abym ci łeb roztrzaskał?... Hola! Lubin! Podaj pistolety.

— Planchecie — odezwał się d'Artagnan — zabierz się do służby, ja biorę na siebie pana.

Ośmielony poprzedniem powodzeniem Planchet rzucił się na Lubina, a ponieważ był krzepki, przewrócił go na wznak i ukląkł mu na piersiach.

— Rób pan, co do pana należy — rzekł Planchet — ja zrobiłem już swoje.

Szlachcic, widząc to, dobył szpady i uderzył na d'Artagnana, lecz trafił na silnego przeciwnika.

W ciągu trzech sekund d'Artagnan zadał mu trzy pchnięcia, mówiąc za każdym:

— To za Atosa, to za Aramisa, a to za Portosa.

Za trzecim pchnięciem szlachcic padł jak kłoda.

D'Artagnan sądził, że umarł, a co najmniej zemdlny. Schylił się, aby zabrać mu rozkaz kardynalski, lecz w chwili gdy sięgnął ręką, aby go zrewidować, ranny, który nie wypuścił z ręki szpady, pchnął go w same piersi, mówiąc:

— A to dla ciebie...

— To dla mnie?... Zobaczmy, czyje na wierzchu!... — krzyknął wściekły d'Artagnan, przybijając go do ziemi czwartym pchnięciem w brzuch.

Teraz już szlachcic zamknął oczy i zemdlał.

D'Artagnan poszukał w jego kieszeniach i zabrał rozkaz wolnego przejazdu wypisany na imię hrabiego de Wardes.

Następnie, spojrzawszy po raz ostatni na pięknego młodzieńca liczącego zaledwie dwadzieścia pięć lat, którego miał zostawić leżącego bez czucia, a może i bez życia, westchnął nad dziwnym przeznaczeniem doprowadzającym ludzi do wzajemnego tępienia się na rzecz tych, którzy są im zupełnie obcy, a często nie wiedzą nawet o ich istnieniu.

Lecz z tej zadumy wyrwał go Lubin, który wydawał chrapliwe krzyki, wzywające o pomoc.

Planchet ścisnął go z całych sił za gardło.

— Panie — rzekł tenże — jak ja go tak trzymam, to nie krzyczy, ale niech no go popuszczę, zaczyna na nowo. Widzę, że to Normandczyk, a to naród uparty.

— Zaczekaj! — odezwał się d'Artagnan i wzięwszy chustkę, zatkał Lubinowi usta.

— A teraz — rzekł Planchet — przywiążmy go do drzewa.

Skępowali go sumiennie, hrabiego de Wardes złożyli przy nim, a ponieważ i pan, i sługa leżeli w głębi lasu, a dzień miał się ku schyłkowi, nie ulegało wątpliwości, iż pozostaną tak do następnego dnia.

— A teraz — odezwał się d'Artagnan — do naczelnika.

— Ale pan jest ranny, o ile mi się zdaje? — rzekł Planchet.

— To nic, zajmijmy się tym, co ważniejsze; później pomyślimy o mojej ranie, która zresztą nie wydaje mi się zbyt niebezpieczna.

I puścili się wyciągniętym krokiem w kierunku siedziby urzędnika.

Oznajmiono mu hrabiego de Wardes.

D'Artagnan został wpuszczony.

— Pan masz rozkaz z podpisem kardynała? — zapytał naczelnik.

— Tak, panie, oto jest — odrzekł tenże.

— A! Tak, jest w zupełnym porządku — rzekł naczelnik.

— Rzecz prosta — odrzekł d'Artagnan — należę do jego najwierniejszych.

— Jego Eminencja widocznie chce komuś przeszkodzić w wyjeździe do Anglii.

— Tak, niejakiemu d'Artagnanowi, szlachcicowi bearneskiemu, który wyjechał z Paryża do Londynu wraz ze swymi trzema przyjaciółmi.

— Znasz go pan osobiście? — zapytał naczelnik.

— Kogo?

— A tego d'Artagnana.

Bijatyka

Kondycja ludzka

- Wybornie.
— Proszę zatem o jego rysopis.
— O! Z przyjemnością.

I d'Artagnan podał co do joty rysopis hrabiego de Wardes.

- A miał kogoś przy sobie?

— Tak, służącego Lubina.

— O! Będziemy ich pilnowali, jeżeli tylko wpadną w nasze ręce. Jego Eminencja może być spokojny, odstawimy ich do Paryża pod dobrą eskortą.

— O! Panie naczelniku, dobrze się zasłużysz kardynałowi.

— Czy pan zobaczysz się z nim po powrocie?

— Bez najmniejszej wątpliwości.

— Powiedz mu, proszę, że jestem jego wiernym sługą.

— Nie omieszka.

Uradowany tym zapewnieniem naczelnik poświadczył rozkaz wolnego przejazdu i zwrócił go d'Artagnanowi.

Ten zaś, nie tracąc czasu na zbyteczne grzeczności, pożegnał naczelnika, dziękując mu, i odszedł.

Wydostawszy się stamtąd, obydwaj z Planchetem puścili się pędem, nakładając drogi dla ominięcia lasku, i powrócili inną bramą.

Statek stał jeszcze gotowy do drogi, właściciel zaś oczekiwał w porcie.

— I cóż?... — zagadnął, ujrawszy d'Artagnana.

— Oto moja poświadczona karta — rzekł tenże.

— A ten drugi pan?

— Nie popłynię dzisiaj, lecz proszę być spokojnym, zapłacę za nas obydwóch.

— To ruszajmy — rzekł kapitan.

— Ruszajmy — powtórzył d'Artagnan.

I razem z Planchetem wskoczył do łodzi, a w pięć minut potem stał na pokładzie.

Było to w sam czas, gdyż upłynęli zaledwie pół mili od brzegu, a d'Artagnan ujrzał błysk, a następnie strzał obił się o jego uszy.

Strzelano z armaty na znak zamknięcia portu.

Teraz należało pomyśleć o ranie.

D'Artagnan nie mylił się, na szczęście bynajmniej nie była ona groźna. Ostry koniec szpady natrafił na żebro i ześlizgnął się wzdłuż niego, co więcej, koszula przywarła do rany, z której wydobyło się zaledwie kilka kropel krwi.

Czuł się tylko okrutnie strudzony, na pokładzie położono mu materac, padł na niego i zasnął.

Nazajutrz, skoro świt, znalazł się najwyżej o cztery mile od brzegów Anglii; w nocy był słaby wiatr i płynęli wolno.

O dziesiątej z rana statek zarzucił kotwicę w porcie Dover²⁴³.

O wpół do jedenastej d'Artagnan stanął na ziemi angielskiej, mówiąc:

— Jestem nareszcie!

Nie koniec na tym; trzeba było dostać się do Londynu.

W Anglii poczta była dobra. D'Artagnan z Planchetem wzięli po podjezdku, pocztylion²⁴⁴ popędził przed nimi; w cztery godziny stanęli u bram stolicy.

Nasz Gaskończyk nie znał ani miasta, ani języka. Napisał wszakże na kawałku papieru nazwisko Buckinghama, a każdy mógł wskazać drogę do pałacu księcia.

Książę był w Windsorze²⁴⁵ na polowaniu z królem.

D'Artagnan zażądał widzenia się z zaufanym pokojowcem księcia, który podróżując ze swoim panem, wybornie mówił po francusku; powiedział mu, że przybywa z Paryża w sprawie, w której idzie o życie lub śmierć, i że jest zmuszony natychmiast mówić z jego panem.

²⁴³ *Dover* — miasto portowe w pld.-wsch. Anglii, w hrabstwie Kent; położone naprzeciw wybrzeża Francji w najwęższej części kanału La Manche, oddalone o 33 km od kontynentu. [przypis edytorski]

²⁴⁴ *pocztylion* (daw.) — woźnica pojazdu pocztowego. [przypis edytorski]

²⁴⁵ *Windsor* — angielskie miasto na zachód od Londynu; słynne z Zamku Windsor, rezydencji królów Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

Stanowczość, z jaką wyrażał się d'Artagnan, przekonała Patryka — takie było imię tego pokojowca.

Kazał osiodłać dwa konie i podjął się przewodniczyć młodemu gwardziście. Plancheta zaś zsadzono z siodła, zesztyniałego jak kij.

Biedny chłopak gonił już ostatkami sił; d'Artagnan wydawał się być z żelaza.

Przybywszy do zamku, rozpytywano się; król i Buckingham polowali z sokołami o milę stamtąd. W pół godziny niespełna znaleźli się w miejscu oznaczonym.

Patryk usłyszał głos swego pana, przywołujący sokoła.

— Kogo mam oznajmić Jego Księżęcej Mości? — zapytał d'Artagnana.

— Młodego człowieka, który pewnego wieczora szukał z nim zaczepki na Pont Neuf przy latarni Samarytanki.

— Dziwna rekomendacja!

— Przekonasz się pan, że taka dobra, jak każda inna.

Patryk puścił konia galopem, dotarł do księcia i oznajmił mu w powyższych słowach, że oczekuje go jakiś wysłaniec.

Buckingham poznał d'Artagnana od razu i domyślając się, że we Francji zaszło coś, o czym chcą mu dać wiadomość, zapytał tylko, gdzie jest ten, który przynosi nowiny, a ujrawszy z daleka mundur gwardii królewskiej, spiął konia ostrogami i popędził prosto do niego.

Dyskretny Patryk pozostał na uboczu.

— Czy nie zdarzyło się królowej jakieś nieszczęście? — zawołał Buckingham, całą myśl i uczucie swoje przelewając to w pytanie.

— Nie sądzę. Przypuszczam jednak, iż znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie, z którego jedynie Wasza Miłość może ją wybawić.

— Ja?... — zawołał Buckingham. — Byłbym tyle szczęśliwy, abym mógł stać się jej przydatny w czymkolwiek! Mów! Mów! Proszę!

— Oto list — rzekł d'Artagnan.

— List! Od kogo?...

— Od Jej Królewskiej Mości, jak mi się zdaje.

— Od królowej — rzekł Buckingham, blednąc tak straszliwie, że d'Artagnan sądził, iż mdleje.

I złamał pieczęć.

— Co znaczy to przetarte miejsce? — zapytał, pokazując d'Artagnanowi dziurę na wylot w liście.

— A! A! — odparł tenże. — Nie widziałem tego. To szpada hrabiego de Wardes przedziurawiła list przy pchnięciu mnie w piersi.

— Jesteś pan raniony? — zapytał Buckingham, zrywając pieczęć.

— O! Nic to — rzekł d'Artagnan — lekkie draśnięcie.

— Boże sprawiedliwi! O czym ja się dowiaduję! — wykrzyknął książę. — Patryk! Pozostań tutaj, a raczej towarzysz królowi wszędzie i powiedz, że błagam go pokornie, aby mi wybaczył, lecz sprawa wielkiej wagi powołuje mnie do Londynu. Jedźmy, panie, jedźmy!

I puścili się obaj galopem drogą do stolicy.

ROZDZIAŁ XXI. HRABINA DE WINTER

Przez drogę książę kazał opowiadać sobie wszystko, o czym wiedział d'Artagnan.

Porównując to, co słyszał z ust młodzieńca, ze wspomnieniami własnymi, mógł sobie wytworzyć dokładne pojęcie o ważności położenia, którego wreszcie list królowej, jakkolwiek krótki i niejasny, dawał niemylną miarę.

Lecz to go dziwiło najmocniej, że kardynałowi, pomimo wszelkich zabiegów, nie udało się zatrzymać młodzieńca w drodze. Gdy objawił swoje zdziwienie, wtedy d'Artagnan opowiedział mu o przedsięwziętych ostrożnościach i jak dzięki poświęceniu trzech przyjaciół, których pozostawił skrwawionych po drodze, dostał się nareszcie do Anglii kosztem pchnięcia szpadą, które przebiło list królowej, a które oddał panu de Wardes z lichwiarskim procentem.

Słuchając tego opowiadania pełnego prostoty, książę ze zdziwieniem spoglądał na młodzieńca, jak gdyby nie mógł pojąć, aby tyle roztropności, odwagi i poświęcenia mogło się łączyć z twarzą mającą najwyżej dwadzieścia lat.

Konie pędziły jak wicher, tak że w kilka minut jeźdźcy stanęli u bram Londynu.

D'Artagnan myślał, że wjeżdżając do miasta, książę zwolni biegu swego wierzchowca, lecz on pędził co koń wyskoczy, nie troszcząc się o tych, których znalazłszy na drodze, niemilosiernie trutował.

W istocie, kiedy przejeżdżali przez starą część miasta, zdarzyło się parę takich wypadków; Buckingham jednak nie obejrzał się nawet za tymi, których roztratował w przejeździe. D'Artagnan podążał za nim wśród krzyków, bardzo podobnych do złorzeczeń.

Wjechawszy w dziedziniec pałacowy, Buckingham zeskoczył z siodła i nie troszcząc się o konia, zarzucił mu cugle na szyję i pędem wbiegł na ganek.

D'Artagnan poszedł za jego przykładem, jednak z pewnym niepokojem o te szlachetne zwierzęta, których wartość miał już sposobność ocenić. Uspokoił się przecie, zobaczywszy, że z kuchni i stajni wypadło kilku służących, aby natychmiast zaopiekować się końmi.

Książę biegł tak szybko, że d'Artagnan z trudnością mógł za nim zdążyć.

Przebył kilka salonów tak wspaniałych, o jakich panowie francuscy pojęcia nawet nie mieli, i dostał się na koniec do sypialni będącej wytworem najwyższego gustu i bogactwa.

We framudze tego pokoju znajdowały się drzwi przybrane draperią, które książę otworzył złotym kluczem zawieszonym u szyi na złotym łańcuszku.

D'Artagnan przez dyskrecję pozostał w tyle, Buckingham zaś w chwili gdy miał przestąpić próg, odwrócił się i widząc wahanie młodzieńca, rzekł doń:

— Pójdź, a skoro będziesz miał szczęście stanąć przed królową, opowiedz jej, co tu widziałeś.

D'Artagnan, ośmielony wezwaniem, poszedł za księciem, który zamknął za nim drzwi.

Znaleźli się w kapliczce wybitej perską materią, haftowaną złotem, i oświetlonej cudownie gorejącymi świecami.

Powyżej pewnego rodzaju ołtarza, pod baldachimem z błękitnego aksamitu, przybranym w białe i czerwone pióra, był umieszczony naturalnej wielkości portret przedstawiający Annę Austriacką, tak zadziwiająco podobny, że zjawisko to wyrwało okrzyk z piersi d'Artagnana.

Na ołtarzu, poniżej portretu, stała skrzyneczka z zapinkami diamentowymi.

Książę przystąpił do ołtarza, przyklęknął, następnie otworzył skrzyneczkę.

— Patrz pan — rzekł doń, wyjmując z niej wielką kokardę z błękitnej wstążki, iskrzącą się brylantami. — Patrz pan, oto są te nieocenione zapinki, z którymi, przysięgłem sobie, będę pochowany. Królowa dała mi je, królowa mi je odbiera; wola jej, jak boska, niech będzie spełniona we wszystkim.

I całował jedną po drugiej zapinki, z którymi miał się rozłączyć.

Naraz krzyknął straszliwie.

— Co się stało? — zapytał niespokojny d'Artagnan. — Co ci się stało, milordzie?

— Wszystko stracone — zawołał Buckingham, blednąc jak trup — brakuje dwóch zapinek, zostało ich tylko dziesięć.

— Milordzie, miałeśbyś je zgubić, a może przypuszczasz, że ci je skradziono?

— Skradziono mi je — odparł książę — a cios ten od kardynała pochodzi. Patrzaj pan, wstążki, na których były przymocowane, zostały nożyczkami ucięte.

— Może milord się domyśla, kto dokonał kradzieży?... Kto wie, czy nie znajdują się one jeszcze w jego ręku.

— Zaczekaj! Zaczekaj! — zawołał książę. — Raz tylko miałem na sobie te zapinki, a było to tydzień temu w Windsorze na balu u króla. Hrabina de Winter, z którą się poróżniłem dawniej, pogodziła się ze mną tego wieczora. Zbliżenie to było zemstą kobiety zazdrosnej. Nie widziałem jej odtąd. Ona jest agentką kardynała.

— Miałeśby kardynał mieć agentów we wszystkich stronach świata! — zawołał d'Artagnan.

— O! Tak, tak — rzekł Buckingham, zgrzytając zębami ze złości — tak!... Straszny z niego przeciwnik. A na kiedy ten bal jest oznaczony?

— Na przyszły poniedziałek.

— Na przyszły poniedziałek!... To więcej czasu, niż nam potrzeba. Patryk! — zawołał książę, otwierając drzwi od kapliczki. — Patryk!

Kradzież, Klejnot, Zemsta

Zaufany pokojowiec stawił się natychmiast.

— Mojego jubilera i sekretarza!

Pokojowiec zniknął szybko i w milczeniu, które znamionowało nawyknięcie do ślepego posłuszeństwa, bez żadnych uwag.

Chociaż jubiler pierwszy był wezwany, sekretarz zjawił się wprzód od niego. Rzecz prosta, mieszkał w pałacu.

Zastał on Buckinghama w sypialnym pokoju przy stole, piszącego własnoręcznie rozkazy.

— Panie Jackson — rzekł doń — udasz się natychmiast do lorda-kanclerza i powiesz, że polecam mu wykonać te rozkazy. Żądam, aby zaraz zostały ogłoszone.

— Ale, Jaśnie Panie, jeżeli lord-kanclerz zapyta o powody, jakie mogły skłonić Waszą Miłość do tak niezwykłych środków, cóż ja jemu odpowiem?

— Że tak mi się podoba, że nie jestem obowiązany z zachceń swoich zdawać komukolwiek sprawę.

— Więc kanclerz odpowiedź taką ma udzielić i Jego Królewskiej Mości — odparł sekretarz z uśmiechem — a gdyby przypadkiem przyszła królowi ciekawość dowiedzieć się, dlaczego żaden statek nie może wypłynąć z portów Wielkiej Brytanii?

— Masz słuszność — odrzekł Buckingham — mógłby pomyśleć, że zamierzam wypowiedzieć wojnę i że to pierwszy nieprzyjacielski krok przeciw Francji.

Sekretarz skłonił się i wyszedł.

— Z tej strony jesteśmy już zapewnieni — rzekł Buckingham, zwracając się do d'Artagnana. — Jeżeli zapinki wysłane miały być do Francji, przybędą tam później niż pan.

— Jak to?

— Każę nie wypuszczać statków znajdujących się obecnie w portach Jego Królewskiej Mości i bez szczególnego pozwolenia żaden z nich nie poważy się podnieść kotwicy.

D'Artagnan patrzył z osłupieniem na człowieka, który nieograniczoną władzą, daną mu w zaufaniu przez króla, posługiwał się dla zaspokojenia fantazji miłosnych.

Buckingham odgadnął z wyrazu twarzy młodzieńca, co działo się w jego myśli, i uśmiechnął się.

— Tak — ciągnął dalej — tak, gdyż Anna Austriacka jest moją rzeczywistą królową; na jej jedno słowo gotów jestem zdradzić swój kraj, króla, mojego Boga bym zdradził. Chciała, abym nie posyłał protestantom w La Rochelle obiecanej im przeze mnie pomocy, i uczyniłem tak. Nie dotrzymam słowa, to mniejsza, lecz pozostałem posłuszny jej życzeniom. Czyż nie byłem wspaniale wynagrodzony za moje posłuszeństwo, powiedz sam... Widzisz, temu to zawdzięczam ten portret.

D'Artagnan nie mógł wyjść z podziwu na jakiej to nikłej i niewidzialnej nitce zawieszane zostają losy całego narodu i życie tyłu ludzi.

Gdy stał tak zadumany głęboko, wszedł jubiler.

Był to Irlandczyk, bardzo biegły w swej sztuce, który sam przyznawał, że zarabiał na księciu de Buckingham sto tysięcy liwrow rocznie.

— Panie O'Reilly — rzekł książe, prowadząc go do kaplicy — obejrzyj te diamentowe zapinki i powiedz mi, ile każda z nich jest warta.

Jubiler jednym rzutem oka ocenił ich niepospolitą oprawę, obliczył wartość diamentów i odparł bez zająknięcia:

— Tysiąc pięćset pistoli sztuka, milordzie.

— Ile dni potrzeba na zrobienie dwóch takich zapinek? Widzisz, że ich tu brakuje.

— Osiem dni, milordzie.

— Zapłacę trzy tysiące pistoli za sztukę, a muszę je mieć pojutrze.

— Milord będzie je miał.

— Nieoceniony z ciebie człowiek, panie O'Reilly, lecz tego nie dosyć; zapinki nie mogą być powierzone nikomu, trzeba, aby zostały zrobione w tym pałacu.

— Niepodobieństwo, milordzie, ja mogę je tylko wykonać tak, iż nie będzie różnicy między nowymi a dawniejszymi.

— Dobrze, kochany panie O'Reilly, ale dlatego też jesteś moim więźniem i teraz już choćbyś chciał wyjść z mego pałacu, nie możesz; poddaj się więc losowi. Powiedz mi

Sluga, Pan

Miłość, Szaleństwo,
Władza, Zdrada, Naród

nazwiska swoich pomocników, których będziesz potrzebował, i wskaż mi narzędzia, jakie mają ci przynieść.

Jubiler znał księcia, wiedział, iż wszelkie uwagi byłyby daremne, zdecydował się więc od razu.

— Czy będzie mi wolno zawiadomić moją żonę? — zapytał.

— O! Możesz się nawet z nią widzieć, kochany panie O'Reilly. Uspokój się, twoja niewola będzie przyjemna, a ponieważ każdy trud wymaga nagrody, oto kwit na tysiąc pistoli, niezależnie od tego, ile mają kosztować dwie zapinki, abys puścił w niepamięć przykrość, jaką ci wyrządzam.

D'Artagnan przechodził z podziwu w podziw wobec tego ministra, który pełnymi garściami przerzucał ludźmi i milionami.

Jubiler napisał do żony, dołączając do listu kwit na tysiąc pistoli i zobowiązując, aby w zamian przysłała mu najzręczniejszego ucznia, garnitur²⁴⁶ diamentów z oznaczeniem wagi i wartości oraz potrzebne mu narzędzia według dołączonego wykazu.

Buckingham poprowadził jubilera do przeznaczonego mu pokoju, który w ciągu pół godziny został przeistoczony w pracownię.

Następnie rozstawił warty przy wszystkich drzwiach z rozkazem, aby nikomu nie było wolno przestąpić progu, z wyjątkiem pokojowca Patryka.

Zbytecznym byłoby dodawać, że O'Reilly'emu i jego pomocnikowi zabroniono się oddalać z jakiegokolwiek powodu.

Załatwiwszy się z tym, książę odezwał się do d'Artagnana:

— A teraz, mój młody przyjacielu — rzekł — Anglia należy tylko do nas dwóch. Czegoż żądasz, czego pragniesz?

— Łóżka — odparł gwardzista — przynajmniej, że jak teraz jest ono jedyną rzeczą, której potrzebuję najwięcej.

Buckingham dał mu gabinet przyległy do jego pokoju.

Chciał mieć go pod ręką nie dlatego, bo mu nie dowierzał, lecz pragnął mieć kogoś, z kim mógłby bezustannie mówić o królowej.

Godzinę później w Londynie został ogłoszony rozkaz niewypuszczenia z portów żadnego statku do Francji ani nawet statku pocztowego przewożącego listy.

W oczach wszystkich było to wypowiedzeniem wojny pomiędzy dwoma królestwami.

Trzeciego dnia o jedenastej rano dwie diamentowe zapinki były już gotowe i tak doskonale naśladowane, tak podobne, że sam Buckingham nie był w stanie odróżnić nowych od dawniejszych i nawet najbieglejsi znawcy równie jak on mogliby być oszukani.

Zaraz więc kazał wezwać d'Artagnana.

— Słuchaj pan — rzekł — oto zapinki diamentowe, po które przyjechałeś, a bądźże mi świadkiem, że spełniłem wszystko, co tylko było w ludzkiej mocy.

— Bądź spokojny, milordzie, opowiem, co widziałem. Lecz książę, oddajesz mi zapinki bez szkatułki?

— Ona by ci tylko zawadzała, a dla mnie tym droższą jest, skoro sama mi tylko pozostaje. Powiesz, żem ją zachował.

— Dosłownie zlecenie wasze spełnię, milordzie.

— A teraz — odezwał się Buckingham, patrząc bystro na młodzieńca — czym ci się zdołam uiścić z długu?

D'Artagnan zaczerwienił się aż po białka oczu.

Zrozumiał, że książę szuka sposobu zmuszenia go do przyjęcia czegoś, a myśl, że krew towarzyszy i jego własna miałyby być zapłacona złotem angielskim, obudziła w nim wstręt.

— Porozumiejmy się, milordzie — odrzekł — a najpierw rozważmy fakty należycie, aby uniknąć pomyłki. Jestem w służbie króla i królowej Francji i należę do oddziału gwardii pana des Essarts, który, zarówno jak jego szwagier, pan de Tréville, jest nade wszystko przywiązany do tronu. Wszystko, co spełniłem, to jedynie dla królowej, a nie dla Waszej Miłości. Co więcej, może byłbym niczego nie dokonał, gdyby mi nie szło o przypodobanie się damie mego serca, która jest dla mnie tym, czym dla was królowa.

²⁴⁶*garnitur* — tu: zestaw przedmiotów służących do jednego celu i stanowiących pewną całość. [przypis edytorski]

— Zapewne — odrzekł książę z uśmiechem — i zdaje mi się nawet, że znam tę osobkę, jest to...

— Milordzie, nie wymówiłem jej imienia — przerwał z żywością młodzieniec.

— Słusznie — podchwycił książę — jej więc winienem wdzięczność za twoje poświęcenie.

— Nie przeczę, milordzie, bo właśnie w tym czasie, gdy się zanosi na wojnę, przyznaję, że widzę w Waszej Miłości tylko Anglika, a więc wroga, którego wołałbym spotkać na polu bitwy aniżeli w parku windsorskim lub korytarzach Luwru; nie przeszkodzi mi to wszelako wykonać sumiennie zlecenia i, jeżeli zajdzie potrzeba, dać się zabić, byle je wiernie spełnić.

— U nas jest przysłowie: „Hardy jak Szkot” — mruknął Buckingham.

— A u nas: „Hardy jak Gaskończyk” — odrzekł d’Artagnan. — Gaskończycy są Szkotami Francji.

Z tymi słowami skłonił się księciu i zabierał się do odwrotu.

— Cóż znowu?... Idziesz już sobie?... Którędy?... W jaki sposób?...

— A prawda!

— Panie, odpuść! Ci Francuzi zawsze są pewni siebie!

— Zapomniałem, że Anglia jest wyspą, a wy królem na niej, milordzie.

— Udaj się do portu, zapytaj o dwumasztowiec „Sund” i doręcz ten list kapitanowi; on cię zaprowadzi do małej przystani, gdzie na pewno nie spodziewają się ciebie, a dokąd zwykle przybijają tylko statki rybackie.

— Jak się nazywa ta przystań?...

— Saint-Valery. Ale czekaj, gdy tam przybędziesz, idź do nędznej oberży bez nazwy i znaku, prawdziwej nory dla majtków; trudno ci się będzie omylić, jest tam tylko jedna.

— A potem?

— Zapytasz tam o gospodarza i powiesz mu: „*Forward*²⁴⁷”.

— Co ma znaczyć?...

— Naprzód! Jest to hasło. On ci da konia osiodłanego i wskaże drogę, na której znajdziesz następne cztery przepręgi²⁴⁸. Jeżeli chcesz, zostaw każdemu z nich swój adres w Paryżu, a te cztery konie podążą za tobą; dwa z nich już znasz. Wierz mi, reszta nie będzie od nich gorsza. Te cztery konie są przybrane jak na wojnę. Choćbyś był najdumniejszy, nie odmówisz przyjęcia jednego z nich, a do przyjęcia innych nakłonisz swoich trzech towarzyszy, choćby się na nich później mieli bić z nami. Dla Anglika cel uświęca środki, tak przynajmniej utrzymujecie wy, Francuzi, wszak prawda?

— Dobrze, milordzie, przyjmuję — rzekł d’Artagnan — i, da Bóg, dobry użytek uczynimy z waszego podarku.

— A teraz podaj mi rękę, młodzieńcze. Niedługo może spotkamy się na polu bitwy, lecz tuszę sobie, że zanim to nastąpi, rozstajemy się jak przyjaciele.

— Tak, milordzie, lecz z nadzieją, iż wkrótce zostaniemy wrogami.

— Bądź spokojny, przyrzekam ci.

— Liczę na wasze słowo, milordzie.

D’Artagnan pożegnał nareszcie księcia i udał się z pośpiechem do portu.

Na wprost Tower of London²⁴⁹ zastał wskazany statek; oddał kapitanowi list, ten kazał go poświadczyć przez naczelnika przystani i rozwinął żagle natychmiast.

Oczekiwało tam pięćdziesiąt statków gotowych do drogi.

Przepływając obok jednego z nich, d’Artagnanowi zdawało się, że poznaje kobietę widzianą w Meung — tę, którą ów nieznanый szlachcic nazywał milady, a która tak piękną wydała się d’Artagnanowi, ale skutkiem wartkiego prądu rzeki i silnego powiewu wiatru jego okręt tak szybko pruł wody, iż za chwilę stracili się z oczu.

Nazajutrz o dziewiątej z rana wylądowano w Saint-Valery.

D’Artagnan udał się prosto do wskazanej oberży, poznał ją od razu po krzykach wydobytających się z jej wnętrza.

²⁴⁷*forward* (ang.) — naprzód. [przypis edytorski]

²⁴⁸*przepręg* a. *przeprząg* — stacja, na której zmieniano konie w zaprzęgu. [przypis edytorski]

²⁴⁹*Tower of London* (ang.: wieża londyńska) — budowla wzniesiona jako twierdza obronna i siedziba monarchów Anglii; słynęła przez wieki jako pilnie strzeżone więzienie (i skarbiec), do którego dostęp był jedynie od strony rzeki. [przypis edytorski]

Rozprawiano o wojnie między Anglią i Francją jako o rzeczy bliskiej i niewątpliwej, a weseli majtkowie hulaszczko się bawili.

D'Artagnan przecisnął się przez ciżbę, dotarł do gospodarza i wymówił umówione „Forward”.

Gospodarz w tej chwili skinął, aby szedł za nim, i zaprowadził go do stajni, gdzie koń w pełnym rynsztunku czekał na niego, i zapytał d'Artagnana, czy nie potrzebuje jeszcze czegoś więcej.

— Potrzebuję dowiedzieć się, którędy mam jechać — odparł tenże.

— Udaj się pan stąd do Blangy, a z Blangy do Neufchâtel. Tam zajedź do oberży „Pod Złotą Broną”, daj hasło oberżyscie, a znajdziesz także konia gotowego do podróży.

— Co się należy? — zapytał d'Artagnan.

— Wszystko już sowicie zapłacone. W drogę, mój panie, i niech cię Bóg prowadzi!

— Amen! — dokończył młodzieniec, puszczając się galopem.

Cztery godziny później był już w Neufchâtel.

Pilnował się ściśle danych mu zleceń; tutaj, jak w Saint-Valery, zastał oczekującego wierzchowca; chciał zabrać pistolety z poprzedniego siodła, lecz w olstrach²⁵⁰ u konia znalazł inne.

— Jaki jest pański adres w Paryżu?

— Pałac gwardii oddziału pana des Essarts.

— Dobrze — odpowiedziano.

— Którędy mam jechać? — zapytał z kolei d'Artagnan.

— Drogą do Rouen, lecz miasto należy zostawić na prawo. W wiosce d'Écouis zatrzymasz się pan przed jedyną oberżą „Pod Talarem Francuskim”. Niech pana nie zraża jej powierzchowność, w stajni znajdzie się koń nie gorszy od tego.

— Hasło to samo?

— Zawsze to samo.

— Żegnaj, panie gospodarzu!

— Szczęśliwej drogi, dostojny panie. Może czegoś potrzebujesz?

D'Artagnan przecząco potrząsnął głową i spiąwszy konia ostrogą, ruszył z kopyta.

W d'Écouis powtórzyło się to samo.

Zastał gospodarza również uprzejmego, konia rączego²⁵¹ i wypoczętego; zostawił tam swój adres i popędził do Pontoise.

Tam zmienił wierzchowca po raz ostatni, a o dziesiątej wpadł jak wichler na dziedziniec pałacu pana de Tréville.

W ciągu dwunastu godzin przebył sześćdziesiąt mil francuskich.

Pan de Tréville przyjął go, jak gdyby rozstali się dopiero z rana, ale ściskając rękę mocniej niż zazwyczaj, oznajmił mu, że oddział pana des Essarts jest na służbie w Luwrze i że może udać się na swoje stanowisko.

ROZDZIAŁ XXII. BALET MERLAISSON

Następnego dnia w całym Paryżu mówiono tylko o balu, który panowie urzędnicy miejsca wydali na cześć króla i królowej, a w którym Ich Królewskie Moście mieli tańczyć balet Merlaison, będący ulubionym tańcem króla.

Od tygodnia wszystko w ratuszu przygotowywano do tego uroczystego wieczoru.

Stolarze miejsca ustawiali trybuny, na których miały zająć miejsca zaproszone damy; kupcy korzenni przyozdobili salony dwustu świecami z białego wosku, co w owych czasach było niesłychanym zbytkiem; wreszcie zamówiono dwudziestu skrzypków za cenę podwójną, z racji, jak świadczy kronika, że mieli rzępolić całą noc.

O dziesiątej z rana niejaki pan de La Coste, chorąży gwardii królewskiej, po nim dwóch oficerów i kilku łuczników zażądali od pisarza miejskiego, nazwiskiem Clément, kluczy od wszystkich drzwi pokoi i sal ratusza.

Klucze te wręczone im zostały natychmiast. Przy każdym z nich była karta z oznaczeniem, jakie drzwi otwierał, a od tej chwili pan de La Coste miał poleconą straż nad wszystkimi wejściami i przejściami pałacu.

²⁵⁰olstro — skórzany futerał na pistolety, podwieszany przy siodle. [przypis edytorski]

²⁵¹rączczy — szybki w biegu. [przypis edytorski]

O jedenastej nadszedł znowu Duhallier, kapitan gwardii, prowadząc za sobą pięćdziesięciu łuczników, których porozstawiał w ratuszu pod wyznaczonymi im drzwiami

O trzeciej przybyły dwa oddziały straży — jedna francuska, druga szwajcarska. Oddział francuski składał się w połowie z podkomendnych pana Duhalliera, a w połowie z podkomendnych pana des Essarts.

O szóstej wieczorem zaczęli zjeżdżać się zaproszeni. W miarę jak przybywali, rozmieszczano ich w wielkiej sali na przygotowanych wzniesieniach.

O dziewiątej zjawiała się pani prezydentowa miasta. Jako osoba zajmująca pierwsze po królowej miejsce w uroczystości powitana została przez dostojników miasta i zasiadła w łoży naprzeciw tej, którą miała zająć królowa.

O dziesiątej w małej sali od strony kościoła świętego Jana, przed srebrnym bufetem strzeżonym przez czterech łuczników, zastawiono kolację dla króla, składającą się z konfitur.

O północy rozległy się niezliczone okrzyki na cześć króla, który zbliżał się ulicami prowadzącymi z Luwru do ratusza, teraz uiluminowanymi latarniami w przeróżnych kolorach.

Panowie urzędnicy miejscy, przybrani w płócienne szaty, poprzedzani przez sześciu policjantów z pochodniami, wyruszyli co tchu naprzeciw królowi i spotkali go na schodach, gdzie starszy cechu kupieckiego składał mu hołd i dzięki za przybycie, na co Jego Królewska Mość odpowiedział, zwalając swoje opóźnienie na kardynała, z którego winy dopiero teraz przybywa, gdyż zatrzymał go do godziny jedenastej roztrząsaniem spraw państwowych.

Jego Królewska Mość w stroju balowym znajdował się w towarzystwie hrabiego de Soissons²⁵², wielkiego jałmużnika, księcia de Longueville, księcia d'Elbeuf²⁵³, hrabiego d'Harcourt²⁵⁴, hrabiego de La Roche-Guyon, pana de Liancourt, pana de Baradas, hrabiego de Cramail i kawalera de Souveray.

Wszyscy zauważyli, że jakaś troska osiadła na czole królewskim.

Osobny gabinet przygotowany był dla króla, a osobny dla brata królewskiego. W każdym z nich gotowe były ubrania.

Tak samo przysposobiono wszystko dla królowej i dla pani prezydentowej.

Panowie i panie, należący do świty królewskiej, mieli się ubierać po dwie osoby razem w pokojach przeznaczonych na ten cel.

Król, zanim wszedł do gabinetu, wydał rozkaz, ażeby go zawiadomiono o przybyciu kardynała.

W pół godziny po ukazaniu się króla nowe okrzyki oznajmiły przybycie królowej.

Panowie urzędnicy wyruszyli znów na spotkanie dostojnego gościa.

Królowa weszła do sali. Zauważono, iż również jak król miała wygląd smutny, a nade wszystko znużony.

W chwili gdy wchodziła, opuszczone dotąd firanki małej łoży rozchyliły się, a spoza nich wyjrzało blade oblicze kardynała przybranego w strój hiszpański.

Utkwił wzrok w oczach królowej, a szatański uśmiech okolił jego usta. Nie miała na sobie diamentowych zapinek.

Królowa zatrzymała się chwilę, aby przyjąć powitania panów miejskich i odpowiedzieć na ukłony dam.

Naraz w drzwiach sali zjawił się król, a za nim kardynał. Ten mówił coś z cicha do niego, a król był śmiertelnie błądy.

Bez maski, mając na sobie zaledwie narzucony kaftan z niezawiazanymi wstążkami, król przebił się przez tłumy, stanął przed królową i odezwał się zmienionym głosem:

— Pani, dlaczego nie masz na sobie zapinek diamentowych, skoro wiesz przecie, że przyjemnie byłoby mi je widzieć?

²⁵²hrabia de Soissons, właśc. Ludwik de Bourbon (1604–1641) — jedyny syn Karola de Bourbon, hrabiego Soissons; kuzyn króla Ludwika XIII. [przypis edytorski]

²⁵³książę d'Elbeuf, właśc. Charles II (1596–1657) — francuski szlachcic, lojalny sługa króla Ludwika XIII. [przypis edytorski]

²⁵⁴hrabia d'Harcourt, właśc. Henri de Lorraine (1601–1666) — francuski szlachcic, brał udział w oblężeniu La Rochelle. [przypis edytorski]

Królowa potoczyła wzrokiem dokoła i ujrzała za sobą kardynała z piekielnym uśmiechem na ustach.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła niepewnym głosem — nie wzięłam ich, gdyż lękałam się, ażeby w takim tłoku nie uległy jakiemuś wypadkowi.

— Źle zrobiłaś, pani. Jeżeli ci je dałem, to abys się w nie ubierała. Mówię ci, że źle zrobiłaś...

Głos króla drżał z gniewu; wszyscy ze zdziwieniem patrzyli i słuchali, nie pojmując, co to miało znaczyć.

— Najjaśniejszy Panie — odezwała się królowa — mogę posłać po nie do Luwru, gdzie się znajdują, i życzenia Waszej królewskiej Mości zostaną spełnione.

— Zrób tak, pani, i to jak można najprędzej, gdyż za godzinę zaczną się tańce.

Królowa skłoniła głowę z uległością i poszła za damami, które miały zaprowadzić ją do gabinetu przygotowanego dla niej.

Król zaś udał się do swego gabinetu. W sali nastąpiło chwilowe zamieszanie i niepokój.

Wszyscy zdołali spostrzec, że coś zaszło pomiędzy królewską parą; lecz tak cicho mówili oboje, a przez uszanowanie każdy się usunął, nikt zatem nic nie słyszał.

Skrzypki rzępoliły co siłą, lecz nikt na nie nie zważał.

Pierwszy wyszedł król ze swego gabinetu.

Miał na sobie wytworny strój myśliwski, a brat królewski i inni panowie byli ubrani podobnie. Królowi ten strój najbardziej pasował, wyglądał w nim rzeczywiście jak najpierwszy dostojnik swego królestwa.

Kardynał podszedł do króla i oddał mu pudełeczko. Król otworzył je, znalazł dwie zapinki diamentowe.

— Co to ma znaczyć? — zapytał kardynała.

— Nic — odrzekł tenże — ale jeżeli królowa ukaże się w zapinkach, o czym pozwalam sobie wątpić, przelicz je, Najjaśniejszy Panie, a jeżeli będzie ich tylko dziesięć, zapytaj Jej Królewską Mość, kto mógł jej te dwie wykraść.

Król badawczo spojrzął na kardynała, lecz nie miał czasu na pytanie. Z ust obecnych wyrwał się okrzyk uwielbienia.

Jeżeli król był najpiękniejszym mężczyzną w królestwie, królowa niezaprzeczenie była najpiękniejszą kobietą we Francji.

W istocie, strój łowiecki przecudnie podkreślił jej urodę. Miała pilśniowy²⁵⁵ kapelusik z błękitnymi piórami, obcisły surducik z perłowego aksamitu, spięty diamentowymi guzikami, błękitną atlasową spódniczkę, haftowaną srebrem. Na lewym ramieniu iskrzyły się zapinki podtrzymywane węzłem tego koloru, co pióra i spódniczka.

Król zadrżał z radości, a kardynał zatrzęsł się z gniewu. Ponieważ jednak stali z daleka od królowej, nie mogli żadną miarą policzyć zapinek.

Królowa je miała, lecz czy było ich dziesięć czy dwanaście?...

W tej chwili skrzypki dały znak do rozpoczęcia baletu. Król podszedł do panizydentowej, z którą miał tańczyć, a brat królewski do królowej.

Stanęli we właściwych miejscach i rozpoczęto taniec z figurami.

Król tańczył naprzeciw królowej, a za każdym razem, gdy się z nią mijał, pożerał oczami zapinki, nie mogąc się ich doliczyć.

Czoło kardynała oblewał zimny pot.

Balet ciągnął się całą godzinę, składał się on z szesnastu figur.

Skończył się nareszcie wśród ogólnych zachwyków i oklasków. Każdy z tańczących odprowadził swoją damę na miejsce; król zaś, skorzystawszy z przywileju opuszczenia damy tam, gdzie stanęli, czym prędzej zbliżył się do królowej.

— Dzięki ci, pani — rzekł — za względy, jakie okazałaś dla moich życzeń, lecz zdaje mi się, iż brakuje ci dwóch zapinek, i oto je pani odnoszę.

Z tymi słowami podał królowej dwie zapinki oddane mu przez kardynała.

— Jak to? Najjaśniejszy Panie — zawołała królowa, udając najwyższe zdziwienie — dodajesz mi jeszcze dwie zapinki, to będę ich miała już czternaście.

Rzeczywiście król naliczył dwanaście brylantów na ramieniu królowej.

Dwór, Strój, Uroda

Taniec

²⁵⁵*pilśniowy* — zrobiony z pilśni: gęstego, zbitego materiału otrzymanego z wełny lub sierści króliczej, zajęczej itp. [przypis edytorski]

Przywołał kardynała.

— Cóż to ma znaczyć, panie kardynale? — zapytał go król surowo.

— To znaczy, Najjaśniejszy Panie — odparł tenże — iż pragnąłem, aby królowa przyjęła ode mnie te zapinki, a nie śmiać ofiarować ich sam, uciekłem się do tego sposobu.

— Tym bardziej jestem wdzięczna Waszej Eminencji — odrzekła królowa z uśmiechem dowodzącym, że nie dała się złapać na tę tak mądrze obmyślaną grzeczność kardynała — a przekonana jestem, iż te dwie zapinki więcej cię kosztują, niż kosztowały tamte dwanaście Jego Królewską Mość.

Pożegnawszy następnie króla i kardynała, skierowała się w stronę pokoju, w którym się ubierała i gdzie miała się rozebrać.

Cała uwaga, jaką przy zaczęciu tego rozdziału zmuszeni byliśmy zwrócić na dostojne osobistości przez nas wprowadzone, oddaliła nas na chwilę od tego, któremu Anna Austriacka zawdzięczała swój niesłychany triumf, jaki odniosła nad kardynałem.

Człowiek ten, zapomniany, nieznany, zagubiony w tłumie zalegającym jedno z wejść do sali, przypatrywał się stamtąd scenie zrozumiałej jedynie dla czterech osób: króla, królowej, Jego Eminencji i dla niego.

Królowa powróciła do swego pokoju, d'Artagnan zaś gotował się do odejścia, gdy uczuł na ramieniu lekkie dotknięcie.

Obejrzał się i spostrzegł młodą kobietę dającą mu znak, aby szedł za nią.

Jej twarz była ukryta pod czarną, aksamitną maską, lecz pomimo tej ostrożności, przedsięwziętej raczej dla innych niż dla niego, poznał od razu swoją zwykłą przewodniczkę, zręczną i dowcipną panią Bonacieux.

W przeddzień mogli zaledwie na siebie spojrzeć w łoży szwajcara²⁵⁶ Germaina, dokąd d'Artagnan kazał ją wezwać.

Jej zaś tak śpieszno było zanieść królowej dobrą nowinę o szczęśliwym powrocie wyśłańca, że kochankowie zdołali zamienić ze sobą zaledwie parę słów.

Udał się więc d'Artagnan za panią Bonacieux, podniecony dwoistym uczuciem — miłości i ciekawości.

Przez całą drogę, w miarę jak korytarze stawały się coraz bezludniejsze, d'Artagnan chciał ją pochwycić, zatrzymać, bodaj chwilę na nią popatrzeć; lecz ona, jak lekka ptaszyna, wymykała mu się z rąk, a gdy chciał do niej przemówić, z wyrazem rozkazującym, a pełnym wdzięku kładła mu na usta paluszek, co przypominało, że jest pod panowaniem tej, której winien ślepe posłuszeństwo, a która nie pozwalała ani trochę się zbliżyć.

Nareszcie, po paru minutach kołowania, otworzyła drzwi i wprowadziła młodzieńca do zupełnie ciemnego gabinetu. Dając mu nowy znak milczenia, otworzyła ukryte za draperią drugie drzwi, przez które wpadło światło jaskrawe, i zniknęła.

D'Artagnan stał nieruchomy przez chwilę, zadając sobie pytanie, gdzie się znajduje, lecz wkrótce promyk światła wpadający do pokoju, a z nim ciepłe i wonne powietrze, które go owiało, rozmowa kilku kobiet odzywających się z szacunkiem i elegancją zarazem, po kilkakroć powtórzone słowo „Królewska Mość”, dowiodły mu jasno, iż znajduje się w gabinecie przytykającym do pokoju królowej.

Stał więc w cieniu i czekał.

Królowa była widocznie wesoła i uszczęśliwiona, co zdawało się mocno dziwić otaczające je osoby, które przywykły widzieć ją z wiekuiłą troską na czole.

To radosne uczucie składała na karb pięknej uroczystości i przyjemności, jaką sprawił jej balet, a ponieważ nie wolno przeczyć królowej, czy się uśmiecha, czy płacze, unoszono się ogólnie nad uprzejmością panów urzędników miasta Paryża.

D'Artagnan, chociaż wcale nie znał królowej, odróżnił jednak jej głos pomiędzy innymi, najpierw po lekkim cudzoziemskim akcencie, nareszcie po mimowolnej wyniosłości, z jaką wyrażają się zwykle ludzie piastujący najwyższą władzę.

Słyszał, jak zbliżała i oddalała się od otwartych drzwi, parę razy nawet widział cień jej postaci przesłaniający światło.

Nareszcie spoza draperii wysunęła się ręka przecudnych kształtów i białości; zrozumiał, że to jest nagroda dla niego. Padł na kolana, ujął tę rękę i złożył na niej pełen uszanowania pocałunek.

²⁵⁶szwajcar (daw.) — odźwierny, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

Ręka usunęła się następnie, pozostawiając mu przedmiot, w którym rozpoznał pierścień.

W tej chwili drzwi się zamknęły i znalazł się pogrążony w ciemności.

D'Artagnan włożył na palec pierścioneń i znowu czekał.

Widoczne było, że nie wszystko jeszcze skończone.

Po nagrodzie za wierność nadchodziła nagroda za jego miłość.

Zresztą balet był skończony, lecz zabawa zaledwie rozpoczęta.

Kolacja miała być o trzeciej, a zegar na wieży św. Jana wydzwonił przed chwilą trzy kwadranse do drugiej.

W istocie głośnie zaczęły cichnąć w sąsiednim pokoju, nareszcie oddaliły się zupełnie.

Na koniec drzwi pokoju, w którym stał d'Artagnan, otworzyły się znowu i ukazała się w nich pani Bonacieux.

— A! Jesteś nareszcie! — zawołał d'Artagnan.

— Cicho — rzekła młoda kobieta, kładąc swą rączkę na ustach młodzieńca. — Cicho! I wychodź, którędy przyszedłeś.

— Lecz gdzie i kiedy znowu cię ujrzę? — zagadnął d'Artagnan gorączkowo.

— Powie ci to bilecik, który wróciwszy, zastaniesz u siebie. Odejdź już, odejdź!

To mówiąc, otworzyła drzwi prowadzące na korytarz i wypchnęła go z gabinetu.

Był posłuszny jak dziecko, bez najmniejszego oporu i trudności, co dowodzi, że naprawdę był zakochany.

Miłość

ROZDZIAŁ XXIII. SCHADZKA

D'Artagnan pędem powrócił do siebie, a chociaż była już trzecia w nocy i miał do przebycia najgorsze dzielnice Paryża, nie wydarzyło mu się jednak nic złego.

Wiadomo, iż jest jakiś bożek strzegący pijaków i zakochanych.

Zastał uchylone drzwi wejściowe, wszedł na schody i zapukał leciutko w sposób umówiony między nim a służącym.

Planchet, którego odprawił z ratusza przed dwiema godzinami z zaleceniem, aby na niego czekał, otworzył drzwi.

— Czy przyniesiono list do mnie? — zapytał żywo.

— Nikt nie przynosił listu — odpowiedział Planchet — lecz jest tu taki, który nie wiadomo skąd sam się wziął.

— Co przez to rozumiesz, błaznie?

— Chcę powiedzieć, że wróciwszy, zastałem w pana pokoju na stole list, chociaż klucz od mieszkania miałem ciągle w kieszeni i na chwilę nie wyjmowałem go stamtąd.

— A gdzież on jest?

— Zostawiłem go tam, gdzie leżał. To coś nadprzyrodzonego, żeby listy w ten sposób przychodziły do ludzi. Gdyby chociaż okno było otwarte lub uchylone, to nie mówię; lecz gdzie tam, wszystko szczelnie było zamknięte. Panie, strzeż się, w tym jest jakaś nieczysta siła.

W trakcie tej rozmowy młodzieniec wskoczył do pokoju i rozerwał list.

Był on od pani Bonacieux i zawierał te słowa:

Gorące podziękowania czekają na ciebie. Bądź dziś wieczorem o godzinie dziesiątej w Saint-Cloud przed pawilonem, który się wznosi na rogu domu pana d'Estrées. K. B.

D'Artagnan czytając, uczuł w sercu taki skurcz rozkoszy, jaki dręczy i uszczęśliwia zarazem serca kochanków.

Był to pierwszy w życiu bilecik i pierwsza schadzka, jaką mu wyznaczono.

Jego serce, wezbrane upajającą rozkoszą, zdawało się zamierać pod nawalem szczęścia, na wstępie do tego rajy ziemskiego, który zwie się miłością.

— A co?... Panie — odezwał się Planchet, widząc go płonącego i blednącego kolejno — a co? Wszak zgadłem, że to jakaś sprawa nieczysta?

— Mylisz się, Planchetku, a na dowód masz talara i wypij za moje zdrowie.

— Dziękuję panu za talara i przyrzekam spełnić święcie jego rozkazy, lecz to nie dowód, żeby listy, które dostają się do zamkniętych domów...

Miłość, Pijaństwo

Miłość, Raj

- Spadają z nieba, mój drogi; z nieba prościuteńko.
- Więc jest pan bardzo zadowolony?
- Drogi Planchetku, jestem najszczęśliwszym z ludzi!
- Mogę więc skorzystać z pańskiego szczęścia i położyć się spać?
- I owszem, kładź się.
- Oby wszystkie błogosławieństwa nieba spadły na pana, lecz Bogiem a prawdą, że

ten list...

I Planchet oddalił się, potrząsając głową z powątpiewaniem, którego szczodrość d'Artagnana nie była w stanie rozproszyć.

Pozostawszy sam, D'Artagnan znowu zaczął odczytywać bilecik, obcałował każdą literkę skreśloną ręką swojej ślicznej kochanki.

Położył się nareszcie i zasnął, snując sny złote.

O siódmej z rana zerwał się na równe nogi i zawołał Plancheta, który na powtórne wezwanie otworzył drzwi i zjawił się z twarzą, na której zalegała jeszcze chmura wczorajszych niepokojów.

— Planchecie — rzekł doń d'Artagnan — wychodzę prawdopodobnie na cały dzień, więc jesteś wolny do siódmej wieczorem; lecz o tej godzinie bądź w pogotowiu i miej dwa konie.

— Masz tobie! Znowu nam mają podziurawić skórę!

— Zabierzesz ze sobą muszkiet i pistolety.

— A co? Nie mówiłem? — wykrzyknął Planchet. — Byłem tego pewny! Przekłęty list!

— Nie bój się, głupcze, idzie tu po prostu o przejażdżkę dla przyjemności.

— Zapewne! Tak jak tamta, gdzie kule gradem padały, a pułapki wyrastały spod ziemi!...

— Zresztą, jeżeli tchórzysz, panie Planchecie — przerwał mu d'Artagnan — obejdę się bez ciebie; wolę podróżować sam aniżeli mieć towarzysza, który trzęsie się ze strachu.

— Pan mi ubliża — rzekł Planchet — a o ile mi się zdaje, widział mnie pan w gorących wypadkach.

— Widziałem, lecz sądziłem, iż za jednym razem wyszafowałeś całą swoją odwagę.

— Zobaczysz pan, że znajdzie się ona jeszcze w potrzebie; ale proszę pana, nie trwoń jej zbyt, jeżeli pan chce, aby wystarczyła na dłużej.

— A jak myślisz, czy masz jej jakikolwiek zapasik na dzisiejszy wieczór?

— Spodziewam się.

— A zatem liczę na ciebie.

— Będę gotów o oznaczonej godzinie, lecz ja myślałem, że pan miał tylko jednego konia w stajni gwardyjskiej.

— Być może, iż w tej chwili jest tylko jeden, lecz wieczorem będzie ich cztery — rzekł d'Artagnan i skinąwszy Planchetowi głową, wyszedł.

Pan Bonacieux stał w drzwiach swego mieszkania. D'Artagnan chciał go ominąć, nie mówiąc nic do niego, lecz małżonek Konstancji tak mu się słodko i dobrodusznie uklonił, że w ten sposób zniewolił swego lokatora nie tylko do odwzajemnienia się, lecz i do zawiązania rozmowy.

Jakże tu wreszcie nie mieć choć odrobiny pobłażania dla męża, którego żona wyznała schadzki.

Zbliżył się więc do niego z miną jak najbardziej uprzejmą.

Rzecz prosta, iż rozmowa zesłała na uwięzienie biedaka.

Bonacieux nie wiedząc, że d'Artagnan wysłuchał jego rozmowę z nieznanym z Meung, opowiedział młodemu lokatorowi o prześladowaniach tego potwora, pana de Laffemas, którego nie przestawał tytułować katem kardynalskim, przy czym rozwodził się obszernie o Bastylii, ryglach, zasuwkach, okienkach, kratkach i przyrządach torturowych.

D'Artagnan słuchał z przykładną uwagą, nareszcie, gdy właściciel domu skończył mówić, odezwał się:

— A czy wiesz pan już, kto porwał panią Bonacieux? Nie zapomniałem bowiem, iż tej właśnie przykrej okoliczności zawdzięczam szczęście poznania pana.

— O!... — odrzekł Bonacieux. — Mieli się oni dobrze na baczności i nie powiedzieli mi tego, a żona przysięga na wszystkie świętości, że nic o tym nie wie. Ale cóż to się działo

Zdrada

z panem podczas ubiegłych dni? — ciągnął dalej Bonacieux z miną najdobroduszniejszą. — Nie widywałem ani pana, ani przyjaciół pańskich, a sądzę, iż nie na bruku paryskim zebrałeś ten kurz, który wczoraj wieczorem Planchet z butów pańskich omiatał.

— Masz słuszność, drogi panie Bonacieux, moi przyjaciele i ja odbyliśmy maleńką podróż.

— Daleko?

— O! Mój Boże! Zaledwie czterdzieści mil, odprowadziliśmy pana Atosa do wód w Forges, gdzie moi przyjaciele zostali.

— A pan powróciłeś, nieprawdaż? — mówił dalej Bonacieux, przybierając najzłotliwszy wyraz twarzy, jaki mógł. — Taki piękny chłopiec jak pan nie dostaje długiego urlopu od kochanki. Z wielką niecierpliwością byliśmy oczekiwani w Paryżu, nieprawdaż?

— Słowo daję, nie przeczę — odparł młodzieniec ze śmiechem — a mówię to tym bardziej, bo widzę, że nic się przed panem nie ukryje. Tak, byłem oczekiwany i bardzo niecierpliwie, zaręczam.

Lekka chmurka przemknęła po czole kramarza, lecz tak lekka, że d'Artagnan jej nie dostrzegł.

— I zostaniemy sownie wynagrodzeni za pośpiech? — ciągnął kramarz z lekkim wzruszeniem w głosie, wzruszeniem, którego także nie zauważył d'Artagnan, jak i poprzedniej chmury, która zaciemniła oblicze godnego człowieka.

— A!... Bodajbyś pan był dobrym prorokiem! — zawołał d'Artagnan wesoło.

— E!... Ja pytam tylko dlatego, aby wiedzieć, czy późno pan wrócisz?

— A na co ci to pytanie, gospodarzu drogi? — podchwycił d'Artagnan. — Czy chcesz czekać na mnie?

— Nie, ale od czasu mojego uwięzienia i kradzieży dokonanej w mym domu, gdy ktoś otworzy drzwi, strach mnie przejmuje, a szczególnie w nocy. Cóż chcesz, u licha! Nie jestem żołnierzem!

— Nie przejmuj się pan więc, jeżeli wrócę o pierwszej, drugiej lub trzeciej nad ranem. A jeżeli wcale się nie zjawię, także się nie przerażaj.

Zapowiedź ta przyprawiła pana Bonacieux o taką bladłość, że d'Artagnan nie mógł już jej nie spostrzec i spytał o przyczynę.

— Nic, nic — odrzekł Bonacieux. — Widzisz pan, ja od czasu moich nieszczęść ulegam nagłym osłabieniom, a w tej chwili właśnie uczułem dreszcze. Nie zważaj pan na to i zajmij się raczej swoim szczęściem.

— Nie brak mi tego zajęcia, bo jestem szczęśliwy.

— Jeszcze nie, zaczekaj trochę, sam przecież mówiłeś, że to dopiero wieczorem.

— Da Bóg, wieczór ten nadejdzie, może i pan oczekujesz go z równą niecierpliwością. Może pani Bonacieux ma odwiedzić gniazdo małżeńskie?

— Pani Bonacieux będzie dzisiejszego wieczora zajęta — odparł małżonek z powagą — zatrzymuje ją w Luwrze jej obowiązek.

— Tym gorzej dla ciebie, drogi gospodarzu, tym gorzej. Ja, gdy jestem szczęśliwy, chciałbym cały świat takim widzieć, ha! Widocznie to niemożliwe.

I śmiejąc się na całe gardło z żartu, który, jak sądził, sam tylko rozumie, pożegnał kramarza.

— Przyjemnej zabawy! — odezwał się głosem grobowym Bonacieux.

D'Artagnan był za daleko, aby mógł usłyszeć, a choćby nawet i usłyszał, nie zwróciłby na te słowa uwagi, tak miał rozpromieniony umysł na myśl o tym, co go czekało.

Poszedł prosto do pałacu pana de Tréville. Przypominamy sobie, że wczorajsze odwiedziny trwały krótko i nie dały żadnego wyjaśnienia.

Zastał pana de Tréville wielce rozradowanego.

Na balu król i królowa byli dla niego uprzejmi nad wyraz. Zaś kardynał był okrutnie kwaśny.

Richelieu, pod pozorem niedyspozycji, wymknął się z balu o pierwszej. Ich Królewskie Moście bawili się do szóstej z rana.

— A teraz — odezwał się pan de Tréville zniżonym głosem i rozglądając się po wszystkich kątach pokoju dla przekonania się, czy są zupełnie sami — a teraz o tobie pomówmy, mój drogi. Jasne jest, iż twój szczęśliwy powrót przyczynił się do rozradowania króla, triumfu królowej i pogiębienia kardynała. Otóż musisz się mieć na baczności.

Uroda, Kochanek

— A czegoż mam się lękać — odparł d'Artagnan — dopóki będę miał szczęście cieszyć się łaską Ich Królewskich Mości?

— Wszystkiego, wierzaj mi. Kardynał nie jest człowiekiem, który by zapomniał, że wywiedziono go w pole, i nie omieszką załatwić rachunków z winowajcą, a zdaje mi się, że jest nim pewien znajomy mój, Gaskończyk.

— Czy pan sądzisz, że kardynał również wie tyle, co i pan, że wiadomo mu o mojej bytności w Londynie?

— Do diabła!... Byłeś w Londynie? Czyż to stamtąd wywiozłeś ten piękny diament błyszczący na twoim palcu? Strzeż się, drogi d'Artagnanie, dar nieprzyjaciela to niedobra rzecz; opiewają to pewne wiersze łacińskie... Poczekaj no...

— Tak, niezawodnie — odparł d'Artagnan, który nie był nigdy w stanie wpakować sobie do głowy najpierwszych zasad łaciny, czym do rozpacz przywodził swego nauczyciela — tak, zapewne, muszą być jakieś wiersze, które się do tego stosują.

— Z pewnością, że są — odparł pan de Tréville, który miał pociąg do literatury — cytował mi je niedawno pan de Benserade²⁵⁷... Zaraz, zaraz... poczekaj... A! Wiem już:

...*Timeo Danaos et dona ferentes*²⁵⁸.

Co ma znaczyć: „Nie dowierzaj nieprzyjacielowi, nawet gdy cię obdarza”.

— Diament ten nie od nieprzyjaciela, lecz od królowej pochodzi — rzekł na to d'Artagnan.

— Od królowej! O! O!... — odezwał się de Tréville. — W istocie to klejnot prawdziwie królewski, wart tysiąc pistoli jak jeden grosz. Przez kogóż kazała ci go doręczyć?

— Sama mi go dała.

— Gdzie?...

— W gabinecie przyległym do pokoju, w którym zmieniała ubranie.

— W jaki sposób?

— Podając mi rękę do pocałowania.

— Pocałowałeś w rękę królową!... — wykrzyknął de Tréville, wpatrując się w d'Artagnana.

— Jej Królewska Mość zrobiła mi zaszczyt, wyświadczając mi tę łaskę.

— I to przy świadkach? Niebaczna!... Po trzykroć niebaczna!...

— Uspokój się, panie, nikt tego nie widział — rzekł d'Artagnan.

I opowiedział, jak to się stało.

— O, kobiety! O, kobiety!... — zawołał stary żołnierz. — Znam ja waszą wyobraźnię romantyczną; wszystko, co na tajemnicę zakrawa, zachwyca was. A zatem nie widziałeś nic więcej prócz ramienia i mógłbyś, spotkawszy królową, nie poznać jej, a ona także zobaczywszy ciebie, nie wiedziałaby, kim jesteś?

— Zapewne, lecz dzięki temu klejnotowi... — podjął młodzieniec.

— Słuchaj — rzekł pan de Tréville — czy chcesz, abym ci dał radę, dobrą radę przyjacielską?

— Zaszczyt mi pan zrobi — odpowiedział d'Artagnan.

— Słuchaj więc: idź do pierwszego lepszego jubilera i sprzedaj ten diament za cenę, jaką ci ofiaruje, a choćby był nawet Żydem, dostaniesz zawsze osiemset pistoli za niego. Pieniądze są bez nazwy, a pierścień ten posiada ją, i to straszną, która może zdradzić tego, co go nosi.

— Sprzedać go? Pierścień od mojej monarchini? Nigdy! — zawołał d'Artagnan.

— Obróć go więc kamieniem pod spód, biedny szaleńcze, wiadomo bowiem, iż kadet gaskoński nie znajduje podobnych klejnotów w skarbcu swojej matki.

— Myślisz więc, panie, iż mam się czego obawiać?... — zagadnął d'Artagnan.

— Można by powiedzieć, młodzieńcze, że ten, co zasypia na minie, której lont jest zapalony, w porównaniu z tobą może uważać się za bezpieczniejszego.

— Do diabła! — rzekł d'Artagnan, którego przekonująca mowa pana de Tréville zaczęła niepokoić. — Do diabła! Co tu począć?

Dar, Klejnot, Wróg

Tajemnica, Wyobraźnia

Niebezpieczeństwo

²⁵⁷ Benserade, Isaac de (ok. 1613–1691) — francuski poeta i dramaturg. [przypis edytorski]

²⁵⁸ *Timeo Danaos et dona ferentes* (łac.) — obawiam się Greków, nawet gdy niosą dary; łacińska sentencja, fragment *Eneidy* Wergiliusza (II, 49); nawiązanie do zdradzieckiego „daru”, jakim był koń trojański. [przypis edytorski]

— Przede wszystkim mieć się bez ustanku na baczności. Kardynał ma pamięć zawziętą, a rękę sięgającą daleko; wierzaj mi, że on ci wypłata figła.

— Ale jakiego?...

— E, czy ja wiem!... Posiada on wszystkie sztuczki diabelskie, którymi się posługuje! Co najmniej może cię spotkać to, że cię uwiężą.

— Jak to?! Poważono by się uwięzić człowieka zostającego w służbie Jego Królewskiej Mości?

— O! Przecież z Atosem nie robiono ceremonii. W każdym razie wierzaj człowiekowi, który trzydzieści lat spędził na dworze; nie zasypiaj spokojny, albo jesteś zgubiony. Przeciwnie, ja ci to mówię, wszędzie upatruj wroga. Gdy będzie szukał z tobą zaczepki, unikaj go, choćby to było dziesięcioletnie dziecko; jeżeli zostaniesz napadnięty czy w nocy, czy w dzień, bez żadnego wstydu rejteruj²⁵⁹; gdy będziesz przechodzić przez most, pilnuj desek, aby się pod tobą nie zapadły; gdy będziesz iść koło budującego się domu, patrz w górę, aby cegła nie spadła ci na głowę; jeśli będziesz późno powracał, każ iść za sobą służącemu i uzbroj go, jeżeli jesteś go pewny. Nie ufaj nikomu: przyjacielowi, bratu, kochance, a nade wszystko tej ostatniej.

D'Artagnan spochmurniał.

— Kochance! — powtórzył machinalnie. — A czemuż jej więcej niż komu innemu?

— Bo kochanka jest jednym z najlubieńszych środków kardynała, jednym z najskuteczniejszych. Kobieta sprzedaje się za osiem pistoli, dowodem Dalila²⁶⁰. Znasz pewnie Stary Testament, co?

D'Artagnan pomyślał o dzisiejszym spotkaniu z panią Bonacieux; lecz na pochwałę naszego bohatera musimy przyznać, że złe wyobrażenie pana de Tréville o kobietach w ogólności nie natchnęło go najmniejszym podejrzeniem co do jego pięknej gosposi.

— Ale, ale — mówił dalej pan de Tréville — a co się stało z twoimi trzema towarzyszami?

— Chciałem właśnie zapytać pana, czy nie ma o nich jakiejś wiadomości?

— Żadnej a żadnej.

— Ja zostawiłem ich po drodze: Portosa w Chantilly z pojedynkiem na karku; Aramis w Crèvecoeur z kulą w ramieniu; Atosa na koniec w Amiens, pod ciężarem zarzutu o fałszerstwo pieniędzy.

— A widzisz! — odezwał się pan de Tréville. — A jakżeś ty tego uniknął?

— Cudem, muszę to przyznać, za pomocą pchnięcia szpadą w piersi i przygwożdżenia na drodze do Calais, jak motyla do ściany, hrabiego de Wardes.

— A co, jeszcze jeden dowód! De Wardes to stronnik kardynała, a krewny Rocheforta. Słuchaj, mój drogi, przychodzi mi pewna myśl.

— Niech pan mówi, słucham.

— Będąc na twoim miejscu, zrobiłbym jedną rzecz.

— Jaką?

— Skoro Jego Eminencja każe cię szukać w Paryżu, ja po cichu wróciłbym do Pikardii i postarałbym się dostać języka o moich trzech przyjacielach. Cóż, u diabła! Przecie zasługują na ten dowód troskliwości z twojej strony.

— Dobra pańska rada, jadę jutro.

— Jutro! A czemu nie dzisiaj?

— Dzisiaj zatrzymuje mnie nader ważna sprawa.

— A! Młokosie! Młokosie! Pewno jakieś miłostki? Powtarzam ci, strzeż się! Kobieta zgubiła nas wszystkich, co do jednego, i gubi nas jeszcze tak samo. Wierzaj mi, jedź dzisiaj.

— Niepodobna.

— Dajeś więc tam słowo.

— Tak, panie.

— Ha! To już trudno; lecz przyrzeknij mi, że jeżeli nie zostaniesz zabity tej nocy, jutro wyjedziesz.

— Przyrzekam.

²⁵⁹rejterować — uciekać, wycofywać się. [przypis edytorski]

²⁶⁰Dalila — kochanka biblijnego Samsona, która, przekupiona przez wrogów, podstępem obcięła mu włosy, a tym samym pozbawiła siły. [przypis edytorski]

— Czy potrzebujesz pieniędzy?
— Chyba że nie, mam pięćdziesiąt pistoli. Tyle, ile mi właśnie potrzeba.
— A twoi towarzysze?
— Myślę, że im także nie zbywa. Każdy z nas wyjeżdżając z Paryża, miał w kieszeni po siedemdziesiąt pięć pistoli.
— Czy zobaczę cię jeszcze przed wyjazdem?
— Pewnie już nie, chyba by zaszło coś nowego...
— Zatem szczęśliwej drogi!
— Dziękuję panu.

I pożegnał pana de Tréville więcej wzruszony niż kiedykolwiek jego prawdziwie ojcowską pieczołowitością dla muszkieterów.

Zaszedł jeszcze do Atosa, Portosa i Aramisa. Żaden z nich nie powrócił. Służących także nie było i nic nie wiedziano ani o jednych, ani o drugich.

Mógłby wprawdzie dowiedzieć się czegoś od ich kochanek, lecz nie znał damy Portosa, a tym bardziej Aramisa; Atos zaś nie miał jej wcale.

Mijając koszary gwardyjskie, zajrzał do stajni — trzy konie były już na miejscu.

Planchet, osłupiały, czyścił je zgrzeblem²⁶¹.

— A! Panie — odezwał się Planchet, zobaczywszy d'Artagnana — jakże się cieszę, że pana zobaczył!

— A to dlaczego, Planchetku?... — zagadnął młodzieniec.

— Czy pan dowierza naszemu gospodarzowi, panu Bonacieux?

— Ja? Ani odrobiny.

— O! To bardzo dobrze!...

— Ale skąd to pytanie?

— Skąd? Że kiedy pan z nim rozmawiał, ja się przypatrywałem, nie podsłuchując, broń Boże. O! Panie, twarz mu się mieniła okropnie...

— Doprawdy!

— Pan był zajęty odebraniem listem i nie zwrócił na to uwagi, lecz ja, któremu dziwne przedostanie się tego listu do nas dało do myślenia, ja nie straciłem ani jednej z jego min.

— Jakież to były miny?

— Zdradzieckie, proszę pana.

— Doprawdy?

— Co więcej, skoro tylko pan się z nim pożegnał i zniknął na zakręcie ulicy, on także porwał kapelusz, zamknął drzwi na klucz i popędził w przeciwną stronę.

— Masz słuszność, Planchecie, to bardzo podejrzanie wygląda, ale nie lękaj się, nie zapłacimy komornego, dopóki wszystko nie wyjaśni się należycie.

— Pan żartuje teraz, a zobaczy pan...

— Cóż ty chcesz; to, co zapisano tam w górze, musi się spełnić!

— Więc pan nie zrzeka się dzisiejszej przejażdżki wieczornej?

— Przeciwnie, im więcej mam na pieńku z panem Bonacieux, tym usilniej pragnę stawić się na schadzce, jaką mi oznaczył list, który cię o taki niepokój przyprawił.

— Ha, kiedy pan tak chce...

— Nieodwołalnie, mój miły, bądź zatem tutaj w pogotowiu; o dziesiątej znajdę po ciebie.

Widząc, że nie ma sposobu powstrzymać pana od zamierzonego projektu, Planchet westchnął głęboko i zaczął z całych sił skrobać zgrzeblem trzeciego konia.

D'Artagnan zaś, jako chłopiec nader przezorny, udał się na obiad do owego księdza gaskońskiego, który onego czasu, kiedy trzej przyjaciele przechodzili ciężkie chwile, pożywił ich na śniadanie czekoladą.

ROZDZIAŁ XXIV. PAWILON

O dziewiątej d'Artagnan był już w koszarach gwardii; Plancheta zastał gotowego. Czwarty koń już przybył.

Planchet był uzbrojony w muszkiet i pistolet.

²⁶¹ zgrzebło — szczotka przeznaczona do oczyszczania sierści zwierząt. [przypis edytorski]

D'Artagnan miał szpadę i dwa pistolety zatknięte za pas.
Każdy dosiadł konia i wymknęli się po cichu.
Noc już zapadła, nikt ich wyjeżdżających nie widział.
Planchet pozostał z tyłu i o dziesięć kroków podążał za panem.
Przebyli w poprzek bulwary i przez bramę de la Conférence wydostali się na drogę prowadzącą do Saint-Cloud, o wiele piękniejszą niż dzisiaj.

Las, Strach

W mieście Planchet trzymał się w przyzwoitej odległości, którą sobie nakazał; lecz w miarę, jak droga zaczynała być pusta i głucha, pomaleńku zaczął się zbliżać, tak że gdy wjechali do Lasku Bulońskiego²⁶², znalazł się przy boku swego pana.

Trudno nam zataić, co prawda, iż kołysanie się drzew olbrzymich, łamanie się światła księżycowego w gęstych i ciemnych zaroślach wprawiało go w niemały niepokój.

D'Artagnan spostrzegł to, że coś dziwnego dzieje się z jego pacholkiem.

— A co?... Mości Planchecie — zapytał — co się dzieje z tobą?

— Czy pan nie uważa, iż te drzewa podobne są do ogromnych kościołów?

— A to dlaczego?

— Bo pod ich sklepieniem, jak i w kościele, człowiek nie ma śmiałości odezwać się głośno.

— Czy dlatego, że strach cię przejmuje, Planchecie?

— Tak, panie, strach, aby ktoś nie usłyszał.

— Czemu? Rozmowa nasza jest przecie pobożna, drogi Planchecie, nikt by jej nie mógł nic zarzucić.

— A! Panie! — odrzekł Planchet, powracając do swej myśli zasadniczej. — Ten Bonacieux ma coś ponurego w oczach i wstrętne w poruszeniu ust!

— Co cię zmusza, u diabła, myśleć o panu Bonacieux?

— Panie, człowiek nie myśli o tym, o czym chce, ale o tym, o czym musi!

— E! Tchórz z ciebie, Planchetku.

— Panie, nie trzeba mieszać przezorności z tchórzostwem; przezorność jest cnotą.

— A ty cnotliwy jesteś, wszak tak, Planchecie?

— O! Panie, czy to nie lufa muszkietu błysnęła tam w dali? Może byśmy głowy schylili?

— Doprawdy... — mruknął d'Artagnan, przypominając sobie przestrogi pana de Tréville — doprawdy, to bydlę i mnie w końcu nabawi strachu.

I puścił konia klusem.

Planchet uczynił to samo i jak cień swego pana klusował tuż przy nim.

— Czy całą noc będziemy tak jechać? — zapytał.

— Nie, Planchecie, bo ty już jesteś na miejscu.

— Ja? Już na miejscu? A pan?...

— Ja pójdę jeszcze kilka kroków dalej.

— I pan zostawi mnie samego zupełnie?

— Boisz się, Planchecie?

— Nie, lecz zwracam pańską uwagę, że zanosi się na bardzo zimną noc. Chłody nabawiają reumatyzmu, a służący, który cierpi na tę chorobę, jest do niczego, zwłaszcza dla tak prędkiego pana.

— Dobrze!... Jeżeli ci zimno, zajedziesz do jednej z tych karczem, które tam widzisz, i jutro o szóstej rano czekaj na mnie przed bramą.

— Proszę pana, przepiłem i przejadłem uczciwie talara, którego mi dziś rano dałeś; nie mam więc nawet podłego su na wypadek zziębnięcia.

— Masz tu pół pistola. Bywaj zdrów, do jutra.

I zeskoczył z konia, cugle rzucił Planchetowi i owinąwszy się płaszczem, szybko się oddalił.

Sługa, Pan, Choroba

— Boże, jakże mi zimno! — zawołał Planchet, skoro tylko stracił z oczu swego pana; a ponieważ pilno mu było się rozgrzać, zapukał czym prędzej do drzwi domu zdobnego we wszelkie pozory podmiejskiej karczmy.

D'Artagnan, który skierował się poprzeczną ścieżką, siedł dopóty, dopóki nie dotarł do Saint-Cloud.

²⁶²Lasek Buloński — park położony w 16. dzielnicy Paryża, dawniej słynny z pojedynków. [przypis edytorski]

Zamiast jednak trzymać się głównego traktu, zaszedł od tyłu pałacu, zapuścił się w bardzo ustronny zaułek i znalazł się wkrótce wprost oznaczonego pawilonu.

Było to miejsce zupełnie puste. Wielki mur, w którego rogu stał pawilon, stanowił jeden bok uliczki, a z drugiego boku żywoplot dzielił ją od ogródka, w którego głębi stała mizerna chałupka.

D'Artagnan stawił się na schadzkę, ponieważ jednak nie wskazano mu umówionego znaku, którym oznajmiłby swoją obecność, więc czekał.

Cisza panowała wokoło, sędzić mógł, iż go sto mil przedziela od stolicy.

Oparł się o płot plecami, bacznie wpierw obejrzawszy się poza siebie.

Za płotem, ogrodem i chałupką szare i nieprzejrzane mgły otaczały swymi zwojami tę bezmierną przestrzeń, w której zasypiał Paryż, tę otchłań rozwartą, bezbrzeżną, gdzie połyskiwało kilka światełek jak gwiazdy.

W oczach d'Artagnana jednak wszystko przybierało kształty rozkoszne, każda myśl śmiała się do niego, ciemności nieprzebite stawały się przezroczyście.

Istotnie, po upływie kilku chwil na wieży Saint-Cloud odwieczny dzwon wyrzucił ze swej ryczącej paszczy dziesięć powolnych uderzeń.

Głos spiżu²⁶³ zabrzmiał grobowym jękiem, który się rozplątał w ciemnościach nocy.

Każde z tych uderzeń jednakże, tworząc godzinę tak upragnioną, cudowną harmonią dźwięczało w sercu młodzieńca.

Oczy miał utkwione w stojący w narożniku muru pawilonik, którego wszystkie okna były przysłonięte okiennicami, z wyjątkiem jednego na pierwszym piętrze.

Z okna tego dobywało się łagodne światło srebrzące korony kilku razem stojących lip.

Z pewnością poza tymi szybami, tak mile jaśniejącymi, oczekuje go piękna pani Bonacieux.

Kołysany tą myślą pełną słodyczy, z całą cierpliwością czekał jeszcze pół godziny z wzrokiem utkwionym w to rozkoszne mieszkanko, gdzie dostrzegał część sufitu o listewkach złożonych, znamionujących elegancję, i reszty pokoju.

Dzwon zegara wieżowego wybił wpół do jedenastej.

Tym razem odgłos ten nie wiadomo dlaczego przejął go zimnym dreszczem. Może przenikał go chłód i wrażenie czysto fizyczne przypisał uczuciom moralnym.

Potem zaczął przypuszczać, iż może źle przeczytał, że schadzka może była oznaczona na jedenastą. Podeszedł do okna, stanął w promieniu światła, dobył list z kieszeni i jeszcze raz przebiegł go oczami.

Nie omylił się bynajmniej — oznaczona była godzina dziesiąta. Powrócił na stanowisko poprzednie; milczenie to i samotność poczynały go niepokoić.

Wybiła jedenasta.

Strach go przejął nie na żarty, czy pani Bonacieux nie wydarzyło się coś złego.

Klasnął po trzykroć w dłonie, jak zwykle dają sobie znaki zakochani, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Nawet echo milczało.

Wtedy pomyślał ze złością, że może młoda kobieta, oczekując na niego, usnęła.

Podeszedł do muru i usiłował się nań wdrapać, lecz tynk był świeży i gładki.

Daremnie połamał sobie paznokcie.

Naraz zwrócił uwagę na drzewa, wciąż srebrzone światłem, a ponieważ jedno z nich wyciągało ku drodze konary, pomyślał, że spośród nich mógłby łatwo zapuścić wzrok do wnętrza pawilonu.

Drzewo było do tego podatne. Zresztą d'Artagnan miał lat dwadzieścia zaledwie, nie zapomniał więc jeszcze ćwiczeń szkolnych.

W mgnieniu oka znalazł się pośród gałęzi i przez przejrzyste szyby zagłębił wzrok do wnętrza pokoju.

Zgroza przejęła go dreszczem od stóp do głowy.

Łagodne światło z przyćmionej lampy oświetlało scenę przerażającego nieładu.

Jedna z szyb była stłuczona, drzwi pokoju wysadzone i na pół złamane wisały na zawiasie; stół, który widocznie był zastawiony wytworną kolacją, leżał na ziemi; karaf-

²⁶³spiż — stop miedzi, cynku i cyny. [przypis edytorski]

ki w kawałkach, zdeptane owoce zalegały posadzkę; wszystko w tym pokoju świadczyło o gwałtownej i rozpaczliwej walce.

Zdało mu się nawet, że w tym dziwnym nieładzie odróżnia strzępy ubrania i krwawe plamy na obrusie i frankach.

Z pośpiechem zsunął się na ziemię ze strasznie bijącym sercem, chcąc się przekonać, czy nie znajdzie jeszcze innych śladów niecnego gwałtu.

A w ciszy nocnej wciąż błyszczało spokojne i łagodne światło.

Wtedy d'Artagnan spostrzegł, czego nie zauważył poprzednio, że ziemia, wydeptana i miejscami rozrzucona, miała na sobie ślady ludzkich stóp i kopyt końskich. Koła powozu, przybyłego widocznie od strony Paryża, wyłobily na pulchnej ziemi głęboką bruzdę równoległą z pawilonem, zataczając ją z powrotem ku miastu.

Szukając dalej, znalazł przy murze podartą rękawiczkę kobiecą.

Była to jedna z tych wonnych rękawiczek, za jakimi przepadają kochankowie, gdy mogą je zerwać z pięknej, ukochanej rączki.

Zimny pot kroplisty oblewał mu czoło, boleść okrutna ścisnęła serce, oddech stawał się szybki; a jednak dla własnego uspokojenia powtarzał sobie, iż ten pawilon niekoniecznie musi mieć łączność z panią Bonacieux, że ona oznaczyła mu schadzki przed pawilonem, a nie w pawilonie, i służba, a prawdopodobnie zazdrość małżonka, zatrzymały ją w Paryżu.

Jednak te wszystkie rozumowania zostały zdruzgotane, zniweczone uczuciem niewytłumaczonego bólu, który w pewnych chwilach życia opanowuje całą naszą istotę i woła nam w duszy, i tętni w uszach ponurym głosem, że wielkie nieszczęście nad nami krąży.

Wtedy ogarnęło go szaleństwo. Pobiegł drogą, skąd przybył, i dotarwszy do promu, wypytał przewoźnika.

Ten mu powiedział, że około siódmej wieczorem przeprowił przez rzekę kobietę zakrytą czarnym płaszczem tak, jak gdyby zależała jej na tym niezmiernie, aby nie była poznana; i właśnie z powodu tych ostrożności tym większą zwracał na nią uwagę i przekonał się, że jest młoda i piękna.

W owych czasach dużo młodych i ładnych kobiet, starając się nie być poznany, przybywało do Saint-Cloud, jednakże d'Artagnan nie wątpił ani na chwilę, że to była pani Bonacieux.

Korzystając ze światła lampki migocącej w chatce przewoźnika, raz jeszcze odczytał bilecik pięknej Konstancji, aby upewnić się, że nie jest w błędzie, że w Saint-Cloud, a nie gdzie indziej oznaczona była schadzka, przed pawilonem pana d'Estrées, a nie na żadnej innej ulicy.

Wszystko tak się składało, aby mu dowieść, że przeczucia jego nie były mylne.

Co tchu w piersiach wrócił do zamku. Zdawało mu się, że pod jego nieobecność coś nowego mogło zajść w pawilonie i że nastąpi jakieś wyjaśnienie.

W uliczce ta sama pustka, to samo łagodne i spokojne światło rozlewało się z jedyne okna.

Wtedy przyszło mu na myśl, że ta niema rudera widziała coś niezawodnie, a może powiedzieć by także była w stanie.

Drzwi ogrodu były zamknięte, przesadził więc płot i pomimo ujadania psa na łańcuchu zbliżył się do chaty.

Zrazu nikt nie odpowiedział na pukanie. Milczenie grobowe panowało w chatce, jak i w pawilonie; lecz gdy zaczął się do niej dobijać, posłyszał lekki szelest wewnątrz, tak lękliwy, jakby obawiał się zdradzić.

Przestał się więc dobijać, prosił z wyrazem takiego niepokoju, przerażenia i zarazem pieszczoty w głosie, że był w stanie natchnąć ufnością nawet największego tchórza.

Nareszcie uchyliła się stara, spróchniała okiennica i zamknęła natychmiast, gdy tylko światło dymiącej lampki palącej się w kącie oświeciło szarfę, rękojeść szpady i kolby pistoletów d'Artagnana.

Jakkolwiek stało się to nader szybko, miał jednak czas dostrzec siwą głowę starca.

— Na imię boskie! Zaklinam was — zawołał — wysłuchajcie mnie! Czekalem tu na kogoś i doczekać się nie moge, umieram z niepokoju. Miało by się tu wydarzyć jakieś nieszczęście? Powiedzcie.

Rozpacz

Okno otworzyło się powoli i znowu ta sama twarz się ukazała; lecz bledsza jeszcze niż za pierwszym razem.

D'Artagnan prostodusznie, nieledwie z imienia, opowiedział swoją historię; jak przed tym pawilonem miał schadzkę z młodą kobietą i jak nie mogąc się jej doczekać, wdrapał się na lipę, a stamtąd przy świetle lampy ujrzał poprzewracane sprzęty w pokoju.

Starzec wysłuchał go z uwagą, potakując, a gdy d'Artagnan skończył, potrząsnął głową z miną złowróżbną.

— Cóż to ma znaczyć? — zawołał d'Artagnan. — Na Boga, błagam cię, tłumacz się jaśniej.

— O! Panie — odezwał się starzec — o nic mnie nie pytaj; bo gdybym opowiedział ci, co widziałem, nie wysłoby mi na dobre z pewnością.

— Więc widziałeś? — podchwycił d'Artagnan. — W takim razie zaklinam cię! — ciągnął dalej, kładąc mu pistola. — Powiedz mi, powiedz, coś widział, a słowo szlacheckie ci daję, że ani słówka jednego nie uronię z mojego serca.

Tyle szczerości i bólu wyrzyło się na twarzy d'Artagnana, że starzec skinął na znak, iż zacznie mówić, i odezwał się cichym głosem:

— Blisko dziewiątej było, gdy usłyszałem turkot na ulicy, a pragnąc dowiedzieć się, co by to mogło być, podszedłem do moich drzwi i poznałem, że ktoś usiłuje wejść. Ponieważ jestem ubogi i nie lękam się złodziei, otworzyłem drzwi do chaty i ujrzałem trzech mężczyzn stojących w pobliżu. Za nimi tuż w cieniu stała dwukonna karetka i konie wierzchowe. Należały one niechybnie do trzech mężczyzn, którzy przyjechali wierzchem.

— A! Łaskawi panowie — zawołałem — czego żądacie?

— Musisz mieć drabinę? — odezwał się do mnie ten, który wyglądał na przywódcę eskorty.

— Mam, panie, do zbierania owoców.

— Daj ją nam i wracaj do siebie, masz za fatygę talara; pamiętaj tylko, że jeśli słówko choć piśniesz, co będziesz widział i słyszał, gdyż jestem pewny, że będziesz patrzeć i słuchać pomimo naszych gróźb, zginiesz niechybnie.

To mówiąc, rzucił mi talara i zabrał drabinę.

Rozumie się, że zamknąwszy za nim furtkę, udałem, iż wracam do domu. Wyszedłem jednak tylnymi drzwiami i przemknąwszy w ciemnościach, dostałem się do tej gęstwiny bzów, spośród której niewidziany mogłem się wszystkiemu należycie przypatrzeć.

Trzej panowie rozkazali powozowi podjechać cichutko, wywlekli z niego małego, grubego, kusego, siwawego człowieka, ciemno i nędznie odzianego, który z ostrożnością wszedł na drabinę, ponurym wejrzeniem ogarnął wnętrze pokoju, zeszedł powoli i mruknął stłumionym głosem:

— Ona!

Po czym ten, który przemawiał do mnie, otworzył drzwi pawilonu kluczem, zamknął je za sobą i zniknął; jednocześnie dwóch innych weszło na drabinę.

Gruby staruszek stanął przy drzwiczkach karety, stangret²⁶⁴ trzymał lejce, a lokaj konie za uzdy.

Naraz przeraźliwy krzyk rozległ się w pawilonie.

Jakaś kobieta przyskoczyła do okna, otworzyła je, jak gdyby chciała rzucić się z niego. Lecz gdy spostrzegła dwóch mężczyzn, odskoczyła w tył; ci rzucili się za nią do pokoju.

Wtedy nic już nie widziałem, lecz słyszałem trzask łamanych sprzętów. Kobieta krzyczała i wołała ratunku. Lecz wkrótce wszystko ucichło; trzej mężczyźni zbliżyli się do okna, unosząc na rękach kobietę; dwóch z nich zeszło po drabinie. Umieścili kobietę w karecie, a przy niej siadł staruszek; ten, który wprzód pozostał w pawilonie, zamknął okno i po chwili wyszedł drzwiami, i z uwagą popatrzył, czy rzeczywiście kobieta znajduje się w karecie. Jego dwaj towarzysze czekali nań, siedząc już na koniach, i on też zaraz wskoczył na siodło. Służący usadowił się przy woźnicy. Karetka, eskortowana przez trzech jeźdźców, popędziła cwałem i wszystko się skończyło. Od tej chwili nic już nie widziałem ani nie słyszałem.

Zgnębiony tą straszną nowiną d'Artagnan oniemiał i zdrętwiał, a całe piekło gniewu i zazdrości targalo mu serce.

²⁶⁴stangret — służący powożący końmi w bryczce, karecie. [przypis edytorski]

— Lecz, wielmożny panie — ciągnął dalej starzec, na którym ta niema rozpacz sprawiła większe wrażenie niż krzyki i płacze — nie martw się tak bardzo, nie zabili ci jej, to najważniejsze.

— Nie wiesz, kto był przywódcą tej piekielnej wyprawy?

— Nie znam go wcale.

— Lecz mogłeś mu się przyjrzeć, skoro mówił do ciebie.

— A! To pan chce wiedzieć, jak wyglądał z twarzy?

— Tak.

— Wysoki, suchy, opalony, wąsy czarne, oczy czarne, postawa pańska.

— To on! I znowu on!... — wykrzyknął d'Artagnan. — To zły duch mój, widocznie!

A ten drugi?

— Który?

— Ten mały.

— O! To, ręczyć mogę, nie żaden pan. Nie miał nawet szpady, a tamci traktowali go per noga²⁶⁵.

— Jakiś lokaj — mruknął d'Artagnan. — A! Biedna, nieszczęśliwa kobieta! Co oni z nią zrobili?

— Przyrzekł mi pan zachować tajemnicę — odezwał się staruszek.

— Bądź spokojny, przyrzekam ci raz jeszcze, jestem szlachcicem, słowo szlacheckie nad wszystko waży, a ja ci je daję.

D'Artagnan ze zranioną duszą powlókł się do promu.

Chwilami nie chciał wierzyć, aby to była pani Bonacieux, i nadzieja wstępowała mu w serce, że jutro w Luwrze odnajdzie ją.

To znowu przerażająca myśl go gnębiła, czy to nie intryga miłośna, czy nie zazdrośnik jakiś zaszedłszy ją, kazał porwać.

Błąkał się w domysłach, dręczył, rozpaczał.

— O! Gdyby byli moi przyjaciele! — zawołał z głębi duszy. — Miałbym chociaż nadzieję odnalezienia jej. Lecz kto wie, co tu z nimi się dzieje?

Północ już się zbliżała; trzeba było odnaleźć Plancheta.

Zaglądał kolejno do wszystkich karczem, w jakich się świeciło, ale w żadnej go nie zastał.

Gdy zaszedł do szóstej, przyszło mu na myśl, iż poszukiwania te mogą być bez skutku, gdyż kazał mu czekać na siebie o szóstej z rana dopiero, a teraz miał wszelkie prawo znajdować się, gdzie chciał.

Zresztą i to mu przyszło do głowy, że jeśli pozostanie bliżej miejsca porwania, prędzej pochwyti nitkę tego tajemniczego węzła.

Otóż w szóstej karczmie, jak mówiliśmy, d'Artagnan zatrzymał się, zażądał butelki wina przedniego gatunku, wsparł się na łokciach w najciemniejszym kącie stołu i postanowił przeczekać do dnia.

Lecz i tym razem jego nadzieje okazały się płonne.

Chociaż słuch wycęzał pilnie wśród przekleństw, rozpustnych piosenek i wymysłów, jakimi obsypywali się robotnicy, pacholki i furmani²⁶⁶ tworzący to zaszczytne towarzystwo, do którego i on należał mimowolnie, nie usłyszał nic takiego, co by mogło go naprowadzić na ślad ukochanej kobiety.

Wysączywszy z nudów butelkę, aby nie obudzić podejrzeń, rad nierad umieścił się, jak mógł, w swym kącie, aby jako tako się przespać.

Nie zapominajmy, iż d'Artagnan liczył lat dwadzieścia i że w tym wieku sen ma swoje niezwalczone prawa, których domaga się gwałtownie nawet od serc najbardziej zrozpaczonych.

Nad ranem około szóstej przebudził się znużony, co zwykle bywa po źle spędzonej nocy. Niewiele czasu zabrało mu ubranie.

Pomacał kieszenie, żeby sprawdzić, czy nie skorzystano z jego snu, aby go okraść, a znalazłszy trzos na miejscu i pistolety za pasem, wstał, zapłacił za wino i wyszedł w nadziei, że z rana uda mu się prędzej odnaleźć pacholka.

²⁶⁵traktować kogoś per noga — lekceważyć. [przypis edytorski]

²⁶⁶furman — woźnica; osoba kierująca końmi zaprzężonymi do wozu, bryczki itp. [przypis edytorski]

Rzeczywiście, najpierwszą osobą, która mu wpadła w oczy przez szarawe mgły poranka, był czcigodny Planchet, czekający nań przed bramą małej, pochylej karczemki, którą d'Artagnan pominął w nocnych poszukiwaniach.

Planchet trzymał za uzdę dwa konie.

ROZDZIAŁ XXV. PORTOS

D'Artagnan, zamiast powrócić wprost do siebie, zsiadł z konia przed bramą pana de Tréville i wbiegł szybko na schody.

Tym razem postanowił opowiedzieć o wszystkim, co zaszło.

Pan de Tréville bez wątpienia nie poskąpi mu dobrych rad w tej sprawie, a widując się codziennie z królową, może będzie mógł zasięgnąć od niej wiadomości o nieszczęśliwej kobiecie, której z pewnością kazano drogo zapłacić za przywiązanie do jej pani.

Pan de Tréville wysłuchał opowiadania młodzieńca z powagą świadczącą, iż w całej tej sprawie widział coś więcej niż samą przygodę miłosną, a gdy d'Artagnan skończył nareszcie, wyrzekł:

— Hm!... Wszystko to o miłą czuć Jego Eminencją.

— Lecz co tu robić? — zapytał d'Artagnan.

— Nic, nic zgola, jak na teraz tylko opuścić Paryż, jak ci to już mówiłem, i to jak można najprędzej. Zobaczę się z królową, opowiem jej szczegóły zniknięcia tej biednej kobiety, które posłużą za wskazówkę, a za twoim powrotem może będę miał dla ciebie lepszą nowinę. Zaufaj mi.

D'Artagnan wiedział, że pan de Tréville, choć był Gaskończykiem, nie czynił próżnych obietnic, a zawsze więcej robił, aniżeli przyrzekał.

Więc pełen wdzięczności za przeszłą i przyszłą opiekę, d'Artagnan pożegnał go, a zacny dowódca, który czuł żywą sympatię dla odważnego i śmiałego młodzieńca, serdecznie uściskał mu rękę, życząc szczęśliwej podróży.

Gotów wprowadzić w czyn rady pana de Tréville, poszedł od razu do swego mieszkania, aby spakować tłomoczek²⁶⁷ podróżny.

W pobliżu domu spostrzegł pana Bonacieux stojącego w ubraniu rannym na progu swego domostwa.

Przyszło mu na myśl wszystko, co przezorny Planchet mówił mu o złowrogich minach gospodarza, i począł mu się przypatrywać z większą niż dotąd uwagą.

W istocie, pominąwszy żółtawą i chorobliwą bladeść dowodzącą ulania żółci, co mogło być wreszcie przypadkowe, d'Artagnan dostrzegł coś ponuro-przewrotnego w zmarszczkach jego oblicza.

Oszust nie tak się śmieje jak człowiek uczciwy, innymi łzami płacze obłudnik, a innymi człowiek dobrej wiary. Każdy fałsz jest maską i choćby najbardziej artystycznie była zrobiona, zawsze można ją odróżnić od szczerzej twarzy.

D'Artagnanowi zdało się więc, że pan Bonacieux nosi maskę, i to jedną z najwstrętniejszych pod słońcem.

Wskutek tych spostrzeżeń, przejęty odrazą dla tego człowieka, chciał przejść, nawet nie odezawszy się do niego, gdy Bonacieux, tak samo jak poprzedniego dnia, zaczął go pierwszy.

— Cóż to! Młodzieńcze — przemówił doń — widocznie hulamy sobie po nocy? Siódma godzina rano!... A pan, widzę, zmieniasz porządek rzeczy, powracasz wtedy, gdy inni wychodzą.

— Pan nie zasługujesz na taką wymówkę, mości Bonacieux — odrzekł d'Artagnan — jesteś wzorem porządnym ludzi. Co prawda, gdy się ma ładną żonkę, nie potrzeba uganiać się za szczęściem, ono samo przychodzi; wszak prawda, panie Bonacieux?

Ten zbłądł jak śmierć i wykrzywił usta uśmiechem.

— O! O!... — odezwał się Bonacieux. — Dowcipniś z pana. Lecz gdzież to, u diabła, włóczyłeś się tak po nocy, mój młody panie? Widocznie manowce²⁶⁸ były niezbyt wygodne.

Kłamstwo, Łzy, Fałsz,
Maska

Żona, Uroda, Szczęście

²⁶⁷tłomoczek — worek. [przypis edytorski]

²⁶⁸manowce — kręte, błędne drogi; bezdroża. [przypis edytorski]

D'Artagnan spoznał na swoje strasznie zabłocone buty, lecz jednocześnie przeniósł wzrok na trzewiki i pończochy kramarza. Rzecz by można, że je ktoś w tej samej kałuży unurzał; jedne i drugie nosiły na sobie ten sam kolor błota.

Nagła myśl strzeliła do głowy d'Artagnana.

Ów mały, gruby, siwiejący człowiek, tak jakby lokaj, ciemno ubrany, lekceważony przez ludzi noszących szpady, to musiał być Bonacieux we własnej osobie. Mąż przewodniczył porwaniu małżonki.

Szalona ochota wzięła d'Artagnana, aby porwać kramarza za gardło i zdusić go na miejscu, lecz, mówiliśmy już, był on chłopcem nader roztropnym, więc się powstrzymał.

Jednakże twarz tak mu się dziwnie zmieniła, że Bonacieux przeraził się wielce i chciał się chyłkiem od niego wymknąć; ponieważ wszakże stał na wprost połowy drzwi, która była zamknięta, rad nierad musiał pozostać na miejscu.

— A!... Mój łaskawco, żarty ze mnie stroisz — rzekł d'Artagnan — ale zdaje mi się, że jeżeli moje buty potrzebują gąbki, tym bardziej twoje trzewiki i pończochy aż proszą o oczyszczenie. Miałebyś i pan także, mości Bonacieux, szastać²⁶⁹ się po nocy?... Do licha!... Byłoby to nie do darowania człowiekowi w twym wieku, tym bardziej tobie, co masz ładną i młodą żonkę.

— O!... Uchowaj mnie Boże — odparł Bonacieux — ale wczoraj byłem aż w Saint-Mandé, aby się wywiedzieć o służącą, bez której nie mogę się obejść, a ponieważ miałem złą drogę, zabłociłem się tak okropnie i nie miałem jeszcze czasu oczyścić ubrania.

Wspomniane przez Bonacieux miejsce wycieczki stało się nowym dowodem popierającym podejrzenia d'Artagnana.

Powiedział, że był w Saint-Mandé, dlatego tylko, że znajdowało się ono w stronie wprost przeciwnej niż Saint-Cloud.

Przypuszczenie to było pierwszą pociechą w tym razie. Jeżeli Bonacieux wiedział, gdzie jest jego żona, można było, używszy nadzwyczajnych środków, zmusić kramarza do rozwiązania języka, można było wyrwać z niego tajemnicę. Należało tylko przypuszczenie to zamienić w pewność.

— Wybacz mi, drogi panie Bonacieux, że pozwalam sobie być z tobą bez ceremonii, lecz nic tak nie pobudza pragnienia jak bezsenność, szalenie chce mi się pić. Pozwól mi napić się u siebie wody, wszak to sąsiadowi uchodzi.

I nie czekając na przyzwolenie, wpadł do pokoju gospodarza i spojrział nieznacznie na łóżko.

Stało nietknięte. Bonacieux nie kładł się tej nocy.

Wrócił więc do domu niedawno. Towarzyszył zatem żonie do miejsca, dokąd ją miano zawieźć, lub przynajmniej do pierwszej stacji.

— Dzięki, mości Bonacieux — rzekł d'Artagnan, wychylając szklankę wody — to wszystko, czego żądałem od ciebie. Teraz idę do siebie, każę Planchetowi oczyścić buty, a gdy się z nimi załatwi, przyślę go tutaj, jeżeli zechcesz, aby wyszczotkował i twoje trzewiki.

I zostawił kramarza osłupiałego tym pożegnaniem i zadającego sobie pytanie, czy wypadkiem nie pokpił sam własnej sprawy.

Na schodach d'Artagnan spotkał Plancheta bardzo pomieszanego.

— O! Panie!... — zawołał, ujrzawszy d'Artagnana. — Nie mogłem doczekać się pana, znów coś nowego mamy!...

— Cóż tam znowu?... — pytał d'Artagnan.

— O, założyłbym się o sto tysięcy, że pan nie zgadnie, jaką miałem wizytę podczas pańskiej nieobecności.

— Kiedyż to było?

— Pół godziny temu, kiedy pan był u pana de Tréville.

— I któż to był taki?... Mówże!...

— Pan de Cavois.

— Pan de Cavois?

— We własnej osobie.

— Dowódca gwardii Jego Eminencji?

²⁶⁹szastać się — odwiedzać różne miejsca. [przypis edytorski]

— On sam.
 — Przyszedł mnie aresztować?
 — Ja tak samo przypuszczam, proszę pana, pomimo że miał układną²⁷⁰ minę.
 — Mówisz, że miał taką minę?
 — Słodki był jak miód.
 — Doprawdy?...
 — Powiedział, że przychodzi od Jego Eminencji, który bardzo panu sprzyja, i chce zabrać pana ze sobą do Palais-Royal²⁷¹.
 — A cóżeś mu odpowiedział?...
 — Że to niepodobna, bo pana nie ma w domu, jak sam to mógł widzieć.
 — Cóż on na to?
 — Mówił, żeby pan nie omieszkął dziś jeszcze zajść do niego, a potem dodał cichutko: „Powiedz twemu panu, że Jego Eminencja jest dobrze usposobiony do niego i że prawdopodobnie jego los zależy od widzenia się z kardynałem”.
 — Jak na kardynała, to niezbyt zręczne sidła... — odrzekł młodzieniec z uśmiechem.
 — Ja też, widząc w tym zasadzkę, odpowiedziałem, że pan będzie niepokieszony po swoim powrocie.
 — Dokądże pojechał? — zapytał pan de Cavois.
 — Do Troyes w Szampanii²⁷² — odrzekłem.
 — Kiedy wyjechał?
 — Wczoraj wieczorem.
 — Planchetku mój miły — przerwał mu d’Artagnan — prawdziwie nieoceniony z ciebie człowiek.
 — Pojmuje pan, pomyślałem sobie, że w razie gdyby pan chciał widzieć się z panem de Cavois, mam zawsze czas odwołać swoje słowa i powiedzieć, że pan nie wyjeżdżał; w takim razie kłamcą byłbym ja, a ponieważ nie jestem szlachcicem, wolno mi zatem kłamać.
 — Uspokój się, nie stracisz opinii człowieka prawdomównego, za kwadrans wyjeżdżamy.
 — I ja to chciałem panu poradzić. A dokąd jedziemy, jeżeli wolno zapytać?
 — W stronę przeciwną tej, którą wymienileś. Czy ci zresztą nie pilno dowiedzieć się czegoś o Grimaudzie, Mousquetonie i Bazinie, tak jak mnie o Atosie, Portosie i Aramisie?
 — Zapewne, proszę pana, i pojedę, dokąd mi rozkażesz; powietrze na prowincji, jak mi się zdaje, będzie dla nas zdrowsze niż powietrze paryskie.
 — Więc spakuj rzeczy i jedźmy. Ja wyruszam naprzód z rękami w kieszeniach, żeby nie domyślano się niczego. Ty podążysz za mną do koszar gwardyjskich. Ale, Planchecie, miałeś rację co do naszego gospodarza, to straszny szubrawiec²⁷³.
 — O! Panie, skoro ja mówię, to niech mi pan wierzy; ja się znam na ludziach!... Ho! Ho!

Zgodnie z projektem d’Artagnan wyruszył pierwszy i aby nie mieć sobie nic do zarzucenia, zaszedł jeszcze po raz ostatni do mieszkania swoich trzech przyjaciół.
 Nie było żadnej wiadomości. Jedyne dla Aramisa zastał list przesycony wonnościami, a pisany drobnymi i wytwornym charakterem. Zabrał go ze sobą.
 W dziesięć minut zjawił się Planchet w stajniach koszar gwardyjskich. Aby nie tracić czasu, d’Artagnan sam już konia swego osiodłał.
 — Tak, dobrze — odezwał się do Plancheta, gdy przytroczył mu tłumoczek do siodła.
 — Teraz siodłaj tamte trzy konie i ruszajmy w drogę.
 — Czy dlatego, panie, abyśmy prędzej jechali, chcesz, by każdy z nas miał dwa konie?
 — zauważył Planchet z przebiegłą miną.
 — Niepotrzebne żarty, Planchetku — odrzekł d’Artagnan. — Przy pomocy tych czterech koni będziemy mogli przywieźć naszych trzech przyjaciół, jeżeli odnajdziemy ich jeszcze żywych.

²⁷⁰układny — bardzo uprzejmy, niekiedy przesadnie. [przypis edytorski]

²⁷¹Palais-Royal — pałac w centrum Paryża, 150 m na północ od Luwru, wybudowany XVII w. dla kardynała Richelieu; niekiedy nazywany także Palais-Cardinal. [przypis edytorski]

²⁷²Szampania — historyczna prowincja w pln.-wsch. Francji, słynna z produkcji win musujących, nazywanych od nazwy tej krainy. [przypis edytorski]

²⁷³szubrawiec (daw.) — łajdak, łotr, człowiek nieuczciwy. [przypis edytorski]

— Doprawdy szczególniejsze byłoby to szczęście — odpowiedział Planchet — a zresztą nie trzeba nigdy tracić nadziei w miłosierdzie Boskie.

— Amen!... — zakończył d'Artagnan, dosiadając konia.

I wyjechali z koszar gwardyjskich, każdy w inną stronę, jeden z nich bowiem przez rogatki de la Villette²⁷⁴, a drugi przez Montmartre²⁷⁵, zjechać się zaś mieli za Saint-Denis.

Ten strategiczny wybieg, wykonany z wszelką ścisłością, został uwieńczony pożądanym skutkiem. Obydwaj wjechali razem do Pierrefitte.

Trzeba przyznać, że Planchet był o wiele odważniejszy we dnie niż w nocy. Pomimo to wrodzona przezorność nie opuszczała go na chwilę; nie zapomniał najmniejszej okoliczności ubocznej z poprzedniej podróży i kogo tylko spotkał, uważał za wroga.

Z tego wynikało, że nieustannie chwytał za kapelusz, czym ściągał na siebie surową naganę ze strony d'Artagnana, który się lękał, aby dzięki tej zbytecznej grzeczności nie wzięto go za chudopacholskiego²⁷⁶ sługę.

Czy przejezdnych wzruszała owa uprzejmość Plancheta, czy też nie było czatów rozstawionych na ich drodze, dość że nasi podróżni dostali się bez najmniejszego wypadku do Chantilly i zatrzymali się w hotelu Grand-Saint-Martin, tam gdzie gościli podczas pierwszej podróży.

Oberżysta, zobaczywszy młodzieńca z pacholkiem prowadzącym dwa luźne konie, wyszedł pełen szacunku na spotkanie.

D'Artagnan, ujechawszy od razu kilkanaście mil, uznał za stosowne wypocząć i dowiedzieć się, czy znajdzie tu jeszcze Portosa.

Zresztą niezbyt roztropnie byłoby pytać od razu, co się stało z muszkietierem. Po namyśle d'Artagnan, o nic nie pytając, zsiadł z konia i polecił go swemu służącemu; wszedł do niewielkiego pokoju przeznaczanego dla tych, co sami być chcieli, i zażądał butelki najlepszego wina oraz śniadania jak można najwykwintniejszego, co spotęgowało jeszcze bardziej dobre pojęcie gospodarza o podróżnym, powzięte z pierwszego wejrzenia.

Obsłużono go z cudowną szybkością.

Do pułku gwardii zaciągano najpierwszą szlachtę z królestwa, d'Artagnan więc, mający przy sobie służącego i cztery przepyszne konie, nie mógł, pomimo skromnego mundur, nie wyrzucić wrażenia.

Oberżysta sam pragnął mu usłużyć, co d'Artagnan widząc, rozkazał podać dwa kieliszki i rozpoczął następującą rozmowę:

— Na honor, mój drogi gospodarzu — rzekł, napełniając kieliszki — zażądałem najlepszego wina, jakie masz, a jeżeli mnie oszukałeś, sam będziesz ukarany tym, czym zgrzeszyłeś, bo nie cierpię pić sam i musisz mi dotrzymać kompanii. Pijmy zatem! No, dalej! Za czyje zdrowie będziemy pić, aby nie zranić niczyjej miłości własnej? Niechaj będzie za pomyślność twojego zakładu.

— Wasza dostojność czyni mi zaszczyt — odrzekł oberżysta — serdecznie dziękuję za pańskie dobre życzenia.

— Lecz nie chcę wprowadzić cię w błąd i z góry wyznaję, iż więcej w tym jest egoizmu, niż przypuszczasz. Jedyne te zakłady mają powodzenie, w których goście są dobrze przyjmowani. W hotelach, gdzie wszystko bezładnie idzie, podróżny pada ofiarą wad i niedostatków gospodarza. Ja, co dużo podróżuję, szczególnie tą drogą, chciałbym, ażeby wszyscy oberżyści robili majątki.

— Istotnie, zdaje mi się, że nie po raz pierwszy mam szczęście pana oglądać.

— Ba! Przejeżdżałem tędy do Chantilly co najmniej dziesięć razy, a trzy lub cztery zatrzymałem się u pana. Zaraz... byłem tu dziesięć czy dwanaście dni temu, odprowadzałem przyjaciół muszkietierów, a właśnie jeden z nich pokłócił się z jakimś nieznajomym człowiekiem, który, nie wiadomo dlaczego, szukał zaczepki.

— A tak! Prawda, przypominam sobie. Czy nie o panu Portosie Wasza Dostojność chce mówić?

²⁷⁴*brama de la Villette* — jedna z bram Paryża, położona w obszarze La Villette, w 19. dzielnicy; miejsce pozwalające przekroczyć granicę administracyjną miasta. [przypis edytorski]

²⁷⁵*Montmartre* — historyczna dzielnica w płn. części Paryża, położona na wzgórzu o tej samej nazwie w 18. dzielnicy miasta. [przypis edytorski]

²⁷⁶*chudopacholski* — przym. od *chudopacholek*: ubogi szlachcic. [przypis edytorski]

— Tak właśnie nazywa się mój towarzysz podróży. Boże! Drogi gospodarzu, powiedz mi, miałooby spotkać go jakie nieszczęście?

— Wasza Dostojność pamięta zapewne, że nie mógł się puścić w dalszą drogę.

— Rzeczywiście, przyrzekł podążyć za nami i nie widzieliśmy go więcej.

— Zaszczycił nas, pozostając tutaj.

— Jak to? Zrobił wam ten zaszczyt?

— Tak, panie, w tym oto zajeździe; i nawet jesteśmy mocno zaniepokojeni pod pewnymi względami.

— Pod jakimi?

— Pod względem porobionych kosztów.

— Cóż znowu! On je wszystkie zapłaci...

— A! Panie, balsam pociechy wlewasz mi w serce! Dużo już dotąd daliśmy naprzód, a jeszcze dzisiaj felczer²⁷⁷ nam oznajmił, że ponieważ pan Portos nie płaci, będzie poszukiwał należności od nas, bo to ja po niego posyłałem.

— Czyż Portos raniony?

— Nie wiem, jak mam powiedzieć.

— Jak to, nie wiesz pan?... Powinieneś lepiej wiedzieć o tym niż ktokolwiek.

— Zapewne, lecz w naszym stanie nie można rozpowiadać wszystkiego, o czym się wie, nade wszystko, gdy nam zastrzeżono, że nasze uszy będą odpowiadać za język.

— A czy ja mogę widzieć się z Portosem?

— I owszem, wejdź pan na piętro, zapukaj do numeru jeden. Proszę tylko oznajmić, że to pan.

— Dlaczego?

— Bo mogłoby pana spotkać nieszczęście.

— Jakie?

— Pan Portos mógłby przypuszczać, że to ktoś z domowników, i w przystępie złości przesyłby pana szpadą lub w łeb palnął, broń Boże!

— Cóżecie mu zawinili?

— Żądaliśmy zapłaty.

— A! Do licha, rozumiem; żądanie podobne on bardzo źle widzi, gdy nie jest przy pieniądzach, lecz o ile wiem, powinien je mieć.

— Takie i nasze było zdanie. A ponieważ w naszym domu panuje porządek i rachunki zamykamy co tydzień, przedstawiliśmy mu spis wydatków, lecz widocznie trafiliśmy na złą chwilę, gdyż za pierwszym słowem odesłał nas do wszystkich diabłów. Co prawda, grał poprzedniego dnia.

— Jak to, z kim?

— A! Mój Boże, a bo ja wiem?... Z jakimś panem przejezdnym, któremu zaproponował partię lancknehta²⁷⁸.

— A! Biedak, musiał wszystko przegrać.

— Wszystko, i konia nawet, bo gdy tamten miał się już ku odjazdowi, przekonaliśmy się, że jego lokaj siodłał konia pana Portosa. Zrobiliśmy mu wtedy uwagę, lecz odpowiedział nam, że miesza się nie do swoich rzeczy, że nam nic do tego, ponieważ ten koń jest jego własnością. Natychmiast daliśmy znać panu Portosowi o tym, co się dzieje, a on kazał nam odpowiedzieć, że trzeba być błaznami, aby wątpić w słowo szlacheckie, i że skoro tamten szlachcic mówi, że koń należy do niego, to tak musi być i basta.

— Zawsze ten sam — mruknął d'Artagnan.

— Wtedy — mówił dalej gospodarz — kazałem mu powiedzieć, że skoro nie możemy się porozumieć co do zapłaty, nie tracę nadziei, że zechce przynajmniej wyświadczyć łaskę mojemu koledze spod „Złotego Orła” i jemu także da coś zarobić. Ale pan Portos odpowiedział mi, że moja oberża jest najlepsza i życzy sobie w niej pozostać. Odpowiedź ta była dla mnie zbyt pochlebna, więc nie mogłem nalegać, ażeby się wyniósł; poprzestałem tylko na prośbie, aby ustąpił mi swego pokoju, który jest najładniejszy ze wszystkich, a zadowolił się milutkim gabinecikiem na trzecim piętrze. Na to pan Portos odpowiedział mi, że oczekuje lada chwila przybycia swojej kochanki, jednej z najznakomitszych dam

²⁷⁷felczer — osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

²⁷⁸lancknecht — hazardowa gra w karty popularna do początku XX w. [przypis edytorski]

dworu, więc powinienem zrozumieć, że pokój zaszczycony jego pobylem jest aż nadto mierny dla takiej osoby. Pomimo całkowitego uznania dla prawdziwości jego słów czułem się w obowiązku obstawać przy swoim. Ale nie mogło być o tym ani mowy. Położył pistolet przy łóżku, oświadczając, iż za pierwszym słowem o jakichkolwiek przenosinach palnie w łeb temu, kto poważy się wtrącać. I odtąd już nikt nie postąpił u niego, prócz jego pacholka.

— Jest tu więc i Mousqueton?

— Jest, panie... w pięć dni po wyjeździe powrócił mocno skwaszony, widocznie i on miał w podróży nieprzyjemności. Na nieszczęście żwawszy jest od swego pana i dla niego to wszystko do góry nogami przewraca, a przypuszczając, że gdyby prosił, mógłby doznać odmowy, więc bez prośnienia bierze, co mu się podoba.

— Tak, ja zawsze widziałem w Mousquetonie wierność i przebiegłość niepospolitą — odpowiedział d'Artagnan.

— Być może, ale jeżeli z taką wiernością i przebiegłością będę miał cztery razy do roku do czynienia, sam pójdę z torbami.

— Bynajmniej, przecie Portos zapłaci.

— Hm!... — mruknął z powątpiewaniem oberżysta.

— Jest on ulubieńcem wielkiej pani, która nie pozostawi go w kłopotcie o taką drobnośkę, jaką jest panu dłużny.

— Gdybym śmiało powiedzieć, co myślę o tym wszystkim...

— Jak to, co myślisz?

— Co wiem, raczej.

— A cóż pan wiesz?

— I czego jestem nawet pewny.

— Czego?... Doprawdy ciekawym.

— Powiedziałbym, że znam tę wielką panią.

— Pan?

— Tak, ja.

— Skądże ją poznałeś?

— O!... Panie, gdybym mógł zaufać pańskiej dyskrecji.

— Mów pan, a słowem szlacheckim ci ręczę, że nie będziesz załował zaufania.

— Pojmuje pan, że niepokój do wielu rzeczy popycha.

— Jakżeś pan postąpił?

— O!... Najpierw nic takiego nie zrobiłem, do czego nie miałby prawa wierzyciel.

— Więc?

— Pan Portos dał nam list do owej księżnej i kazał wrzucić go do skrzynki pocztowej. Pacholka jego jeszcze nie było. Ponieważ nie wychodził z pokoju, zmuszony był obarczać nas swoimi zleceniami.

— Cóż dalej?

— Zamiast wrzucić ów list do skrzynki, co niezbyt pewne bywa, skorzystałem z tego, że jeden z moich posługaczy jechał do Paryża i rozkazałem wręczyć bilecik samej księżnej. Było to spełnieniem życzeń pana Portosa, który nam list ten tak polecał. Nieprawdaż?

— Niby...

— I czy wie pan, kto jest owa wielka dama?

— Nie, słyszałem o niej tylko od Portosa.

— Wie pan, kto jest ta niby księżna?

— Mówiłem przecie, że nie znam jej wcale.

— To stara prokuratorowa, niejaka pani Coquenard, mająca lat pięćdziesiąt co najmniej, a udaje jeszcze zazdrosną. Ja od razu się dziwiłem, że jakaś księżniczka mieszka przy ulicy aux Ours.

— Skądże pan wiesz?

— Bo gdy odebrała list, wpadła w okrutny gniew, wykrzykując, że pan Portos jest wietrznikiem²⁷⁹ i że pewnie o jakąś kobietę bił się i został raniony.

— Więc on raniony?

— A! Boże!... Tom się wygadał!...

²⁷⁹wietrznik (daw.) — mężczyzna niestały w uczuciach. [przypis edytorski]

— Powiedziałeś pan, że Portos jest ranny?
— Tak, ale srodze zabronił mi o tym mówić!
— Czemuż to?
— Ha!... Bo się przechwalał, że nadzieje na rożen tego jegomościa, z którym go pan w kłótni zostawił, a pomimo całej jego junakierii²⁸⁰, jegomość ów od razu go z nóg zwałił. Pan Portos więc, człowiek pełen pychy, tylko swoją księżną chciał rozczulić opowieścią o przygodzie, ale przed nikim nie chce się przyznać, że został pokłuty rapierem.

— Więc to rany przykuły go do łóżka?
— Mistrzowskie pchnięcie, zaręczam panu. Rogatą duszę ma pański przyjaciel.
— Byłeś pan przy tym obecny?
— O!... Wszystko to trwało zaledwie chwilę, może mi pan wierzyć. Stanęli naprzeciw siebie. Nieznajomy szybko się zwinął i natarł tak niespodzianie, że zanim pan Portos zdołał odbić, żelazo przeciwnika utkwilo mu w piersi na trzy cale. Upadł na wznak. Korzystając z tego, nieznajomy oparł mu na gardle koniec rapiera; pan Portos, widząc się na łasce przeciwnika, uznał się za pokonanego. Wtedy nieznajomy spytał go o nazwisko, a dowiedziawszy się, że ma z Portosem, a nie z d'Artagnanem do czynienia, pomógł mu dźwignąć się, odprowadził do oberży, sam wsiał na konia i odjechał.

— To on miał do d'Artagnana urazę?
— Widocznie.
— A czy wiesz, co się z nim stało?
— Nie... widziałem go po raz pierwszy i odtąd nie pokazał się więcej.
— Wybornie... wiem już, co wiedzieć chciałem. Mówiłeś pan, że pokój Portosa znajduje się na pierwszym piętrze, numer jeden?

— Tak, panie, najpiękniejszy w całej oberży; pokój, który miałbym sposobność dzieścić razy wynająć.

— Ba!... Nie kłopotz się pan — odezwał się z uśmiechem d'Artagnan — Portos uiszcza zapłatę pieniędzmi księżnej Coquenard.

— O!... Panie, prokuratorowa czy księżna, byle tylko rozluźniła supły swego worka, wszystko to dla mnie jedno; ale ona dała tu odpowiedź stanowczą, że dosyć już ma tych wymagań i wiarołomstwa pana Portosa i że mu złamanego szeląga nie przysła.

— A czy powtórzyłeś tę odpowiedź swemu gościowi?
— Boże uchowaj!... Byłby się dowiedział, w jaki sposób wywiązaliśmy się z jego zlecenia.

— Więc on ciągle jeszcze czeka na pieniądze?
— Tak!... Wczoraj jeszcze pisał, ale tym razem służący oddał list na pocztę.
— Powiadasz pan, że prokuratorowa jest brzydka i stara?
— Co najmniej pięćdziesięcioletnia i wcale nie piękna, jak mówił mi Pathaud.
— W takim razie możesz być spokojny, da się ona zmiękczyć; a zresztą, niewielkie rzeczy musi ci być Portos dłużny.

— Jak to, niewielkie! Dwadzieścia pistoli, jak dotąd, nie licząc doktora. On sobie niczego nie żałuje, widać, że przyzwyczajony do wygod.

— To chociaż go ona opuści, znajdą się jeszcze przyjaciele, zaręczam. Pozbądź się wszelkich obaw, gospodarzu drogi, i nie ustawaj w pieczołowitości, jakiej jego stan wymaga.

— Obiecał mi pan pary z ust nie wypuścić o prokuratorowej i o ranie.

— Masz na to moje słowo.

— Bo widzi pan, on gotów, by mnie zabić!

— Nie lękaj się; nie taki on straszny, jak się wydaje.

To powiedziawszy, d'Artagnan poszedł na górę, pozostawiając gospodarza uspokojonego pod dwoma względami, o które najmocniej mu chodziło — o dług i swoje życie.

Zapukał do drzwi najpokaźniej się przedstawiających, a oznaczonych wielkim, czarnym numerem.

Gdy odpowiedziano, wszedł.

Portos, leżąc na łóżku, grał z Mousquetonem w lancknehta, aby nie wychodzić z wprawy, a przed ogniem obracał się rożen obładowany kuropatwami, zaś po dwóch

Pojedynek

Jedzenie

²⁸⁰junakieria — śmiałość, zadziorność. [przypis edytorski]

rogach wielkiego komina, na rozżarzonych węglach, wrzały dwa tygle²⁸¹, z których wydobywała się lechcząca powonienie para potrawy z ryb i królika.

Prócz tego stół do pisania i komoda zastawione były wypróżnionymi butelkami.

Na widok przyjaciela Portos krzyknął radośnie, a Mousqueton, powstawszy z uszanowaniem, ustąpił miejsca i poszedł zajrzeć do tygli, nad którymi zdawał się mieć osobliwszy nadzór.

— A! Na Boga! To ty?... — zawołał Portos do d'Artagnana. — Witaj mi i wybac, że nie wstaję na twoje spotkanie. Ale nie wiem, czy wiesz, co mi się przytrafiło? — dodał niespokojnie, patrząc na d'Artagnana.

— Nie wiem.

— Nie mówił ci gospodarz?

— Zapytałem go o ciebie i prosto przychodzę.

Portos odetchnął swobodnie.

— A cóż ci się przytrafiło, drogi Portosie? — kończył d'Artagnan.

— Nacierałem na przeciwnika, któremu już trzy pchnięcia rapierem zadałem i chciałem czwartym z nim skończyć, gdy wtem nastąpiłem na kamień i zwichnąłem nogę w kolanie.

— Doprawdy?

— Słowo honoru! Szczęście tego łajdaka, bo byłbym go ubił na miejscu.

— I cóż się z nim stało?

— Alboż ja wiem?... Miał już dosyć, nie czekając reszty, odjechał... Lecz co się stało z tobą, drogi d'Artagnanie?

— Zatem zwichnięcie nogi zatrzymuje cię w łóżku, drogi Portosie? — ciągnął dalej d'Artagnan.

— A! Boże mój, to niewielkie rzeczy, za kilka dni już wstanę.

— Czemuż nie kazałeś przenieść się do Paryża? Tutaj musi ci być okrutnie nudno.

— Miałem ten zamiar, lecz muszę ci coś wyznać, drogi kolego.

— Co takiego?

— Widzisz, jak ci mówiłem, nudziłem się straszliwie, a w kieszeni miałem owe siedemdziesiąt pięć pistoli, które przypadły mi z podziału, więc dla rozrywki kazałem poprosić do siebie przejezdnego szlachcica i zaproponowałem mu partyjkę gry w kości. Nie wzdragał się, a siedemdziesiąt pięć pistoli powędrowało z mojej do jego kieszeni, nie licząc konia, którego zabrał na przykładkę²⁸². Lecz co się dzieje z tobą, mój drogi d'Artagnanie?

— Cóż chcesz, kochany Portosie, niepodobna mieć wszystkiego, znasz przecie przysłowie: „Nieszczęśliwy w grze, szczęśliwy w miłości”. Jesteś zbyt kochany, aby fortuna nie mściła się za to. Ale co cię obchodzi jej niełaska, czyż nie masz, szczęśliwy człowieku, swojej księżniczki, która niechybnie pośpieszy ci z pomocą?

— Widzisz, mój drogi, ponieważ gram nieszczęśliwie — mówił Portos z najswobodniejszą miną — pisałem do niej, aby mi przysłała kilkadziesiąt ludwików²⁸³, których mi bardzo potrzeba ze względu na położenie, w jakim się znajduję...

— I cóż?

— Musiała wyjechać do swoich dóbr, bo mi nie odpowiada.

— Doprawdy?

— Ani słówka. Wczoraj wyprawilem drugą odezwę, gorętszą jeszcze od poprzedniej. Lecz skoro cię widzę, najdroższy, pomówmy o tobie. Przyznaję, iż zaczynałem niepokoić się o ciebie.

— Ale twój gospodarz dobrze się z tobą obchodzi widocznie — mówił d'Artagnan, wskazując pełne rondle i próżne butelki.

— Ujdzie od biedy! Ujdzie!... — odparł Portos. — Kilka dni temu przyniósł mi gbur rachunek, ale go razem z nim za drzwi wyrzuciłem, w ten sposób jestem tu jakby na prawach zwyczajcy albo zdobywcy. Widzisz też, że bojąc się zostać wyparty ze stanowiska, trzymam się ciągle pod bronią.

— Jednakże — śmiejąc się, zauważył d'Artagnan — zdaje mi się, że od czasu do czasu robisz wycieczki.

²⁸¹tygiel — ogniotrwale naczynie. [przypis edytorski]

²⁸²przykładka (daw.) — dokładka. [przypis edytorski]

²⁸³ludwik — luidor; złota moneta francuska z podobizną króla. [przypis edytorski]

I wskazał palcem na rondle i butelki.

— Niestety! To nie ja!... Nędzne zwichnięcie trzyma mnie w łóżku; Mousqueton się tylko wymyka i znosi żywność. Mousquetonie, mój miły — mówił Portos, zwracając się do pacholka — widzisz przecie, że przybyły nam posiłki, trzeba przysporzyć prowiantów.

— Mousquetonie — odezwał się d'Artagnan — musisz mi wyświadczyć przysługę.

— Jaką, proszę pana?

— Udziel Planchetowi swoich wiadomości i przepisów, bo mogę i ja kiedyś znaleźć się obłązony, a nie gniewałbym się wcale, gdybym wtedy używał wygód, jakimi otaczasz swojego pana.

— O! Boże, nic łatwiejszego, proszę pana. Potrzeba do tego tylko trochę sprytu i wprawy. Wychowałem się na wsi, a ojciec mój w chwilach wolnych od zajęć polował na cudzych gruntach.

— A z resztą czasu co robił?

— Panie, trudnił się rzemiosłem bardzo przyjemnym, według mego zdania.

— Jakim?

— Ponieważ były to czasy wojen katolików z hugenotami i widział, że jedni tępią drugich, a czynią to w imię religii, wytworzył sobie wiarę pośrednią, która mu pozwalała być raz katolikiem, to znowu hugenotem. Przechadzał się zwykle ze strzelbą na ramieniu za płotami przy drogach, a gdy zobaczył katolika nadchodzącego pojedynczo, wtedy religia protestancka brała górę w jego umyśle. Kierował lufę w stronę wędrowca, a gdy przypuścił go na dziesięć kroków, rozpoczynał przemowę kończącą się zazwyczaj zrzeczeniem się trzosa ze strony przechodnia pragnącego zachować życie. Rozumie się, że gdy hugenota znowu spotkał, taka wysoka gorliwość katolicka go przejmowała, że nie mógł pojąć, jak przed kwadransiem odważył się wątpić o wyższości naszej świętej wiary. Ja, panie, jestem katolikiem, ale mój ojciec, wierny swoim zasadom, starszego brata zrobił hugenotem.

— Jakże skończył ten pełen zacności człowiek? — zapytał d'Artagnan.

— O!... Najniebezpieczniej jak tylko być może, proszę pana. Pewnego razu na drodze zakłęslej²⁸⁴ wpadł między hugenota i katolika, z którymi miał już raz do czynienia. Spiknęli się na biedaka i powiesili go na przydrożnym drzewie, po czym jeszcze przyszli do karczmy, w której piliśmy z bratem, i przechwalali się tym, co zrobili.

— A cóż wy na to? — zagadnął d'Artagnan.

— Pozwolił mi się im wygadać — odparł Mousqueton. — Potem, gdy wyszli z karczmy i każdy z nich udał się w swoją stronę, brat mój zaczął się w drodze na katolika, a ja na protestanta, i załatwiliśmy się z nimi przejści uwieleniem dla przenikliwości naszego biednego ojca, który był tyle przezorny, że wychował nas każdego w innej religii.

— O!... Z tego, co mówisz, Mousquetonie, widzę rzeczywiście, że to był nie lada dziarski człowiek. Zatem, jak powiadasz, pocziwiec ten zajmował się w chwilach wolnych polowaniem na cudzych gruntach?

— Tak, panie... on mnie nauczył robić sieci na zające i króliki i zastawiać wędki. Dlatego też widząc, że ten kapcan²⁸⁵ oberżysta pasie nas prostym mięsiskiem jak jakie włóczęgi, co mogłoby zaszkodzić i tak osłabionym żołądkom naszym, spróbowałem dawnego rzemiosła. Spaceruję od niechcenia po lasach książęcych, zastawiam na przemykach siatki; czasami spoczywam nad stawami Jego Książęcej Mości i leżąc spokojnie, zapuszczam wędkę na ryby. Teraz, dziękować Bogu, nie brak nam, jak pan widzi, kuropatw i królików, karp i węgorzy, co wszystko jest posiłkiem strawnym i zdrowym, jak chorym przystoi.

— Lecz kto wam dostarcza wina, czyżby gospodarz?

— Niby on i nie on.

— Nie rozumiem.

— On go co prawda dostarcza, jednakże nie wie o tym spotykającym go zaszczycie.

— Wytłumacz się jaśniej, Mousquetonie, twoje opowiadanie jest pełne pouczających rzeczy.

— Otóż tak, proszę pana. Przypadek zrządził, że w jednej z moich wędrówek spotkałem pewnego Hiszpana, który dużo zwiedził świata, a między innymi i drugą półkulę.

²⁸⁴zakłęsły — zapadły, wklęsły. [przypis edytorski]

²⁸⁵kapcan (obelż.) — niedołęga. [przypis edytorski]

Religia, Podstęp, Ojciec,
Wiara

Morderstwo, Zemsta

— Jaki może być związek antypodów²⁸⁶ z butelkami stojącymi na stole i komodzie?

— Cierpliwości, panie, na każdą rzecz przyjdzie kolej.

— Słusznie, polegam więc na tobie, Mousquetonie, i słucham.

— Ów Hiszpan miał służącego, który towarzyszył mu w podróży do Meksyku. Służący był moim ziomkiem, przystaliśmy więc od razu do siebie, zwłaszcza że nasze usposobienia zgadzały się najzupełniej. Nade wszystko lubiliśmy polować, on mi więc opowiadał, jak to w pampasach²⁸⁷ krajowcy polują na tygrysy i bawoły z pętlicami²⁸⁸ po prostu, które zarzucają na karki tych zwierząt. Nie mogłem zrazu uwierzyć, jak można dojść do takiej wprawy, aby z odległości dwudziestu lub trzydziestu kroków trafić końcem liny tam, gdzie się chce, lecz wobec dowodów trzeba było dać się przekonać prawdziwości opowiadania. Mój przyjaciel stawiał z dala od siebie butelkę i za każdym zamachem chwycił ją pętlicą za szyjkę. Oddałem się więc i ja tym ćwiczeniom, a ponieważ natura nie poskąpiła mi pewnych zdolności, zarzucam dziś lasso tak dobrze, jak gdybym był człowiekiem z nowego świata. Otóż, pojmuje pan? Nasz gospodarz posiada dobrze zaopatrzoną piwnicę, a klucz od niej trzyma przy sobie, ale z tej piwnicy wychodzi okienko. Tamtędy więc zarzucam sznur, a ponieważ doszedłem, gdzie jest najlepszy kącik, więc z niego wyciągam. Pojmuje pan teraz, jaki związek mają rozstawione tu butelki z antypodami. Zechciej pan teraz spróbować naszego wina i powiedz nam bez uprzedzenia, co o nim myślisz.

— Dziękuję ci, mój drogi, tylko co jadłem śniadanie.

— A zatem — odezwał się Portos — podaj jedzenie na stół, Mousquetonie, a gdy my będziemy jedli, d'Artagnan opowie, co się z nim działo w ciągu dziesięciu dni, odkąd nas opuścił.

— Najchętniej — rzekł d'Artagnan, a gdy Portos i Mousqueton zajadali z łącznością rekonwalescentów i serdecznym braterstwem, jakie wytwarza wspólność nieszczęścia, opowiedział, jak raniony Aramis musiał pozostać w Crèvecoeur, jak w Amiens zostawił Atosa w opałach z czterema ludźmi posądzającymi go o fałszerstwo pieniędzy, i jak on, d'Artagnan, zmuszony był naszpikować szpadą hrabiego de Wardes, aby się przedostać do Anglii.

Na tym zakończył zwierzenia, dodając jedynie, że za powrotem z Wielkiej Brytanii przyprowadził cztery przepyszne konie, z których jeden był dla niego, a reszta dla jego przyjaciół, i że przeznaczony dla Portosa stoi w stajni hotelowej.

Na to wszedł Planchet i oznajmił, że konie wypoczęły dostatecznie i mogą zająć na nocleg do Clermont.

Ponieważ d'Artagnan uspokoił się o Portosa, a pilno mu było dowiedzieć się o innych, uściśnił choremu rękę, oznajmiając, że puszcza się w dalszą drogę na poszukiwania. A zresztą będzie tędy powracał za jakiś tydzień, jeżeli więc zastanie jeszcze Portosa w hotelu Grand-Saint-Martin, zabierze go wtedy z sobą.

Portos odpowiedział, że według wszelkiego prawdopodobieństwa zwichnięcie nogi nie pozwoli mu wyruszyć w ciągu tego czasu. A przy tym musi pozostać w Chantilly, aby doczekać się odpowiedzi od swojej księżnej.

D'Artagnan złożył mu życzenia, ażeby odpowiedź była pomyślna i nie dała na siebie długo czekać; i jeszcze raz poleciwszy Mousquetonowi Portosa, zapłacił swój rachunek i wyruszył w dalszą drogę z Planchetem, który uwolnił się od jednego z prowadzonych luzem koni.

ROZDZIAŁ XXVI. ROZPRAWY ARAMISA

D'Artagnan nie wspominał Portosowi ani o jego ranie, ani tym bardziej o prokuratorowej.

Był to bowiem młody, lecz bardzo mądry chłopiec. Udawał, że święcie wierzy we wszystko, co mu opowiadał chełpliwy muszkieter, bo rozumiał, że nie ma przyjaciółni, która by wytrzymała próbę podchwyczonej tajemnicy, zwłaszcza gdy tajemnica taka może zranić miłość własną człowieka. Zresztą, zawsze się zdobywa moralną wyższość nad tymi, których się zna na wylot. D'Artagnan, zdecydowany dla przyszłych celów zrobić z przyja-

²⁸⁶ *antypody* — obszary po przeciwnej stronie kuli ziemskiej. [przypis edytorski]

²⁸⁷ *pampasy* — południowoamerykańskie stepy. [przypis edytorski]

²⁸⁸ *pętlica* (daw.) — pętla. [przypis edytorski]

ciół narzędzia swojej fortuny, nie odrzucał sposobności pochwycenia niewidzialnych nici, przy pomocy których mógłby nimi kierować.

A jednak przez całą drogę głęboki smutek ścisłał mu serce — myślał nieustannie o ładnej pani Bonacieux mającej go nagrodzić za poświęcenie; dodajmy wszelako, że jego smutek nie tyle pochodził z żalu za utratą szczęścia, ile z obawy, czy nie spotkało jej nieszczęście.

Nie wątpił ani na chwilę, iż padła ofiarą zemsty kardynała, a wiadomo, że Eminencja mścił się okrutnie.

Jak się to stało, że on sam znalazł łaskę w oczach ministra, nie miał o tym pojęcia.

Nic tak nie skraca czasu i drogi jak myśl, która pochłania wszelkie władze umysłowe zamyślonego.

Byt zewnętrzny człowieka podobny jest wtedy do uśpienia, w którym myśl owa staje się sennym widziadłem. Pod jej wpływem czas traci miarę, przestrzeń granice, człowiek wyrusza wtedy z jednego miejsca, przybywa na inne i nic więcej. Z przebytej odległości nie pozostaje w pamięci nic prócz mglistych zmaconych obrazów, drzew, gór i widoków.

D'Artagnan, opanowany taką stałą myślą, puścił wodze koniowi i tak przebył przestrzeń kilkumilową, dzielącą Crevecoeur od Chantilly, nie zdając sobie sprawy z niczego, co spotykał po drodze.

Opamiętał się na miejscu zaledwie i otrząsnął się z zadumy, dostrzegłszy oberżę, w której zostawił Aramis.

Zatrzymał konia przed bramą.

Tym razem nie oberżysta, lecz jego żona wyszła na spotkanie. D'Artagnan, jako fizjonomista²⁸⁹, objął od jednego spojrzenia pogodne oblicze pani domu i przeczuł, że nie będzie potrzebował nic ukrywać przed nią, że może zaufać tej twarzy pełnej słodyczy.

— Moja dobra pani — zagadnął — czy nie mogłabyś mi powiedzieć, co się stało z jednym z moich przyjaciół, którego byliśmy zmuszeni zostawić tutaj przed dwunastoma dniami?

— Z pięknym młodzieńcem około dwudziestu trzech lat, łagodnym, miłym, przystojnym?

— Tak, tak, a co więcej, rannym w ramię.

— A! Nie ruszył się stąd, proszę pana.

— A! Kochana pani, na Boga! — zawołał d'Artagnan, zsiadając z konia i rzucając cugle Planchetowi. — Powracasz mi życie. Gdzież jest drogi Aramis? Niech go uściskam. Pilno mi go zobaczyć.

— Wybacz pan, lecz wątpię, aby mógł przyjąć cię w tej chwili.

— Dlaczego? Miałżeby jaką damę u siebie?

— Jezu Nazareński!... Co też pan mówi!... Biedny chłopczyzna!... Żadnej damy nie ma u niego.

— Więc któż tam jest?

— Proboszcz z Montdidier i przełożony jezuitów z Amiens.

— Boże mój!... — zawołał d'Artagnan. — Miałoby mu się tak pogorszyć?

— Wcale nie, mój panie, ale wskutek choroby spłynęła nań łaska i postanowił wstąpić do stanu duchownego.

— Prawda — odparł d'Artagnan — zapomniałem, że on jest muszkietierem tylko tymczasowo.

— Czy pan chce koniecznie się z nim zobaczyć?

— Więcej niż kiedykolwiek.

— Niechże pan wejdzie na podwórze, potem na schody na prawo; drugie piętro, numer pięć.

D'Artagnan pobiegł co tchu we wskazanym kierunku.

Lecz nie tak łatwo było dostać się do przyszłego kapłana — podwoje Aramisa nie-
mniej były strzeżone od ogrodów Armidy²⁹⁰; Bazin stał w korytarzu na straży i zagroził

²⁸⁹fizjonomista — osoba odczytująca charakter osoby z jej twarzy. [przypis edytorski]

²⁹⁰Armida — postać z poematu Torquata Tassa *Jerozolima wyzwolona*; czarodziejka o wyjątkowej urodzie, która wykorzystywała swoje magiczne zdolności przeciwko rycerzom krucjaty, a zjawiała się, wychodząc z drzewa. [przypis edytorski]

mu przejście z tym więcej nieustraszoną odwagą, iż po długoletnich próbach widział się nareszcie bliskim celów, do których dążył niezachwianie.

Bowiem jego marzeniem było służyć duchownemu i czekał z niecierpliwością chwili, uśmiechającej mu się w przyszłości, kiedy Aramis zrzuci mundur, a przywdzieje sutannę.

Ta obietnica, powtarzana codziennie, zatrzymała go jedynie w służbie u muszkietera, która, jak mówił, przyprowadzić by go mogła niechybnie o utratę zbawienia.

Bazin więc znajdował się u szczytu szczęścia. Tym razem już, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jego pan nie cofnie się przed powołaniem.

Nagromadzone cierpienia moralne i fizyczne wywarły skutek tak długo oczekiwany. Aramis, złamany dolegliwością ciała i ducha, szukał dla swej myśli ucieczki w religii, uważając za przestrożę niebios podwójny cios, jaki weń ugodził — zniknięcie kochanki i otrzymanie rany.

Łatwo pojąć, jak nieprzyjemne w takich warunkach musiało być dla Bazina zjawienie się d'Artagnana, mogące znów rzucić Aramisa w wir rzeczy światowych, jakim się oddawał dotychczas.

Bazin postanowił więc mężnie bronić przystępu do swego pana, a że zdradzony przez właścicielkę oberży nie mógł mówić o nieobecności Aramisa w domu, usiłował dowieść przybyłemu, że najwyższą niedyskrecją byłoby zamącać jego panu pobożne rozprawy trwające od rana, a mogące się skończyć zaledwie wieczorem.

D'Artagnan jednak mało sobie robił z wymowy pana Bazina, a nie chcąc się wdawać w sprzeczkę z pacholkiem swego kolegi, jedną ręką odsunął go na bok, a drugą nacisnął klamkę numer pięć.

Drzwi ustąpiły i stanął w pokoju.

Aramis w czarnym surducie, z głową przybraną w okrągłą i płaską czapeczkę, mocno przypominającą krymkę²⁹¹, siedział przy stole zawalonym papierami i wielkimi foliałami²⁹².

Po prawej ręce miał przełożonego jezuitów, po lewej proboszcza z Montdidier.

Firanki zapuszczone u okien rzucały tajemniczy cień, pobudzający do bogobojnych rozmyślań.

Wszystkie przedmioty mogące na pierwszy rzut oka zdradzić mieszkanie młodzieńca, a nade wszystko muszkietera, znikły jak zaczarowane.

Bazin, nie chcąc widocznie budzić w swym panu światowych myśli, schował szpadę, pistolety, kapelus z piórami, hafty, koronki i tym podobne przybory.

Natomiast, jak się zdawało d'Artagnanowi, w najciemniejszym kąciку wisiiała na ścianie dyscyplina.

Na szelest, jaki sprawiło otwarcie drzwi, Aramis podniósł głowę i poznał od razu przyjaciela.

Lecz, ku wielkiemu zdziwieniu d'Artagnana, zjawienie się jego nie wywarło na muszkieterze wielkiego wrażenia, tak dalece umysł jego oderwany był od rzeczy tego świata.

— Dzień dobry, drogi d'Artagnanie; wierzę ci, iż cię widzę z przyjemnością.

— I ja tak samo — odparł d'Artagnan — lecz dotąd jeszcze nie jestem pewny, czy to Aramisa mam przed oczami.

— On we własnej swojej osobie, mój kochany. I cóż ci mogło nasunąć tę wątpliwość?

— Obawiałem się, czy nie zablądziłem przypadkiem, wchodząc do pokoju jakiegoś duchownego; później znów, zobaczywszy cię w towarzystwie tych dwóch panów, sądziłem, że jesteś niebezpiecznie chory.

Dwaj czarno ubrani panowie zrozumiałwszy przymówkę d'Artagnana, objęli go groźnym spojrzeniem, co nie przeraziło go wcale.

— Przeszkadzam ci może, drogi Aramisie — ciągnął dalej d'Artagnan — bo zapewne spowiadasz się przed tymi panami?

Aramis lekko się zarumienił.

— Ty miałbyś mi przeszkadzać? Wcale nie, mój drogi, słowo najświętsze ci daję; a najlepszy dowód, iż czuję się szczęśliwy, widząc cię całego i zdrowego.

„Nareszcie — pomyślał d'Artagnan — jeszcze nic nie jest stracone”.

²⁹¹krymka — czapeczka bez daszka. [przypis edytorski]

²⁹²foliał (daw.) — księga o dużym formacie. [przypis edytorski]

— Bo ten pan, który jest moim przyjacielem — kończył Aramis z namaszczeniem, wskazując księżom d'Artagnana — uniknął wielkiego niebezpieczeństwa.

— Wielbij Boga, panie — odpowiedzieli tamci, równocześnie chyląc głowy.

— I ja Go wielbię, przewielebni ojcowie — odpowiedział młodzieniec, kiwając głową.

— Przychodzisz w porę, drogi d'Artagnanie — odezwał się Aramis — gdyż możesz w naszych rozprawach wyjaśnić niejedną rzecz swoimi świątymi poglądami. Pan rektor z Amiens, szanowny proboszcz z Montididier i ja rozprawialiśmy nad pewnymi kwestiami teologicznymi, których znaczenie pochłania nasze umysły od dawna; rad bym usłyszeć też twoje zdanie.

— Zdanie wojskowego jest pozbawione znaczenia — odrzekł d'Artagnan, doznając niepokoju z takiego obrotu rzeczy — i wierzaj mi, że możesz polegać w zupełności na wiedzy tych panów.

Ci znowu skłonili się równocześnie.

— Przeciwnie — odparł Aramis — i twój sąd będzie dla nas cenny. Rzecz ma się tak: pan rektor jest zdania, że moja rozprawa winna być nade wszystko dogmatyczna i dydaktyczna.

— Rozprawa twoja!... Ty piszesz teraz rozprawę?...

— Tak — odpowiedział jezuita — rozprawa jest niezbędna do egzaminu poprzedzającego wyświęcenie.

— Wyświęcenie!... — wykrzyknął d'Artagnan, który nie dawał wiary temu, co mówili Bazin i oberżystka. — Wyświęcenie!...

I powiódł osłupiałym wzrokiem po trzech osobach, które miał przed sobą.

— Zatem — ciągnął Aramis, z wdziękiem rozpierając się w fotelu i przypatrując się z upodobaniem swojej rączce białej i pulchnej jak u kobiety (a podnosił ją do góry, aby krew z niej zbiegła) — jak już słyszałeś, zatem, d'Artagnanie, pan rektor chciałby, aby moja rozprawa była dogmatyczna, a ja znowu chcę, ażeby była utworem myśli mojej, to jest idealna. Dlatego wielebny przełożony zaproponował mi przedmiot, nieopracowany dotąd, w którym znajdę materiał do wspaniałej rozprawy:

„*Utraque manus in benedicendo clericis inferioribus necessaria est*”²⁹³.

D'Artagnan, którego erudycję znamy, ani się zmarszczył na ten cytat, równie jak onego czasu, gdy pan de Tréville wyjechał z podobnym z powodu podarku, którego podejrzewał, że pochodzi od Buckinghama.

— To ma znaczyć — ciągnął Aramis, chcąc mu ułatwić zrozumienie: „Kapłanom niższym obydwie ręce są niezbędne, gdy dają błogosławieństwo”.

— Przedmiot zachwycający! — zawołał jezuita.

— Zachwycający i dogmatyczny! — powtórzył proboszcz, który, prawie tak samo silny w łacinie jak d'Artagnan, przyglądał się bacznie jezuitce, by słowo w słowo za nim powtarzać wszystko jakby jego echo.

Pośród tych zachwytych ludzi w sutannach d'Artagnan pozostał najzupełniej obojętny.

— Godny podziwu! *Prorsus admirabile!* — ciągnął dalej Aramis. — Lecz wymaga głębokich studiów nad Ojcami Kościoła²⁹⁴ i Biblią. Z całą pokorą wyznałem tym uczonym eklezjastom²⁹⁵, że bezsenne noce w kordegardzie²⁹⁶ i służba królewska zmusiły mnie poniekąd do zaniedbania nauki. Łatwiej więc poszłoby mi, *facilius natans*, z przedmiotem według własnego wyboru, z przedmiotem, który wobec ciężkich zagadnień teologicznych byłby tym, czym moralność jest w metafizyce i filozofii.

D'Artagnan nudził się okrutnie, jak również i proboszcz.

— Pyszne *exordium!*²⁹⁷ — zawołał jezuita.

— *Exordium!* — powtórzył proboszcz, aby coś powiedzieć.

— *Quemadmodum inter caeteris...*²⁹⁸

²⁹³ *Utraque manus in benedicendo clericis inferioribus necessaria est* (łac.) — duchowni z niższymi święceniemi powinni używać dwóch rąk do udzielania błogosławieństw. [przypis edytorski]

²⁹⁴ *Ojciec Kościoła* — pisarz wczesnochrześcijański ważny dla ukształtowania się doktryny, uznany przez Kościół katolicki autorytet w sprawach wiary. [przypis edytorski]

²⁹⁵ *eklezjasta* — duchowny. [przypis edytorski]

²⁹⁶ *kordegarda* — wartownia straży pałacowej. [przypis edytorski]

²⁹⁷ *exordium* (łac.) — początek. [przypis edytorski]

²⁹⁸ *Quemadmodum inter caeteris...* (łac.) — tak jak i inni. [przypis edytorski]

Aramis rzucił okiem na d'Artagnana i zobaczył go ziewającego tak, że o mało mu nie wyskoczyły szczęki ze stawów.

— Mówmy po francusku, mój ojczy — rzekł do jezuitę. — Pan d'Artagnan więcej zasmakuje w naszych słowach.

— Tak, jestem znużony drogą — powiedział d'Artagnan — więc nie mogę pochwycić tej łaciny.

— Zgoda — rzekł jezuita, gdy proboszcz w uniesieniu radości zwrócił na d'Artagnana wejrzenie wyrażające najwyższą wdzięczność. — Otóż słuchajcie, jaki z tej glosy²⁹⁹ można wyciągnąć wniosek: Mojżesz, sługa Boży... on jest tylko sługą, rozumiecie panowie!... Mojżesz błogosławi obydwoma rękami; każe sobie podtrzymywać dwie ręce, gdy Hebrajczycy biją swoich nieprzyjaciół — błogosławi zatem obydwoma rękami... Zresztą, co mówi Ewangelia: *imponit manus*, a nie *manum*. Kładzie ręce, a nie rękę.

— Kładzie ręce — powtórzył z gestem proboszcz.

— A święty Piotr, którego następcami są papieże, przeciwnie: *porrige digitos*. Wystawiajcie palce. Pojąłeś pan teraz?

— Zapewne — odrzekł, rozkoszując się Aramis — lecz jest to nader subtelne.

— Palce! — począł znowu jezuita. — Święty Piotr błogosławi palcami. Iloż palcami błogosławi? Trzema: jednym dla Ojca, drugim dla Syna, trzecim dla Ducha Świętego.

Wszyscy się przeżegnali. D'Artagnan czuł się obowiązany pójść za ich przykładem.

— Papież jest następcą świętego Piotra i przedstawia trzy boskie władze. Reszta hierarchii duchownej, *ordines inferiores*³⁰⁰, błogosławi w imieniu świętych archaniołów i aniołów. Najniżsi klerycy, jak to diakoni i zakrystiani, błogosławią kropidłem, które przedstawia nieskończoną ilość palców błogosławiących. Oto uproszczenie przedmiotu, *argumentum omni denudatum ornamento*³⁰¹. Zrobiłbym z tego — kończył jezuita — dwa tomy tej objętości.

I porwany zapalem uderzył w świętego Chryzostoma *in folio*³⁰², pod którego ciężarem stół się ugiął.

D'Artagnan drgnął.

— Zapewne — odezwał się Aramis — oddaję sprawiedliwość wszelkim pięknościom tego tematu, lecz jednocześnie uważam go za zbyt trudny. Co do mnie, wybrałem tekst następujący: *Non inutile est desiderium in oblatione* albo, co lepiej będzie: Trochę żalu nie zawadzi w ofierze Panu.

— Stój, ani słowa! — zakrzyczał jezuita. — Bo teza ta trąci herezją; zdanie podobne znajduje się w *Augustinisie* heretyka Janseniusza³⁰³, którego księga prędzej czy później zostanie spalona rękami kata. Miej się na baczności, młody przyjacielu; dążysz do zasad fałszywych, zgubisz się, młodzieńcze!

— Zgubisz się — powtórzył proboszcz, smutnie kiwając głową.

— Poruszasz tę sławną sprawę wolnej woli będącą śmiertelnym szkopułem. Dajesz ucho podszeptom pelagian³⁰⁴ i półpelagian.

— Ależ, Ojczy Wielobny... — bąknął Aramis, ogłuszony nieco gradem argumentów spadających mu na głowę.

— Jakże mi dowiedziesz — przerwał jezuita — że kto się Bogu oddaje, powinien żałować świata? Posłuchaj przecie tego ze wszech stron niezbitego rozumowania: Bóg jest Bogiem, a świat jest diabłem. Żałować świata, znaczy żałować diabła, taki stąd wniosek wypływa.

Książd, Religia,
Błogosławieństwo, Władza

Bóg, Diabeł

²⁹⁹*glossa* — uwaga, komentarz. [przypis edytorski]

³⁰⁰*ordines inferiores* (łac.) — niższego rzędu. [przypis edytorski]

³⁰¹*argumentum omni denudatum ornamento* (łac.) — argument ten pozbawiony jest wszelkich ozdób. [przypis edytorski]

³⁰²*in folio* (łac.) — o książce: w formacie złożonego na pół arkusza drukarskiego; ogólnie: wielkich rozmiarów. [przypis edytorski]

³⁰³*w Augustinisie heretyka Janseniusza* — chodzi o główne dzieło Janseniusza (1585–1638), flamandzkiego teologa katolickiego, wydane w 1640, traktujące o łasce w ujęciu Augustyna, które zostało potępione przez Kościół. [przypis edytorski]

³⁰⁴*pelagianin* — wyznawca pelagianizmu: nurtu teologicznego wczesnego chrześcijaństwa, którego pierwszym propagatorem był Pelagiusz (ok. 360–ok. 435), głoszącego, że grzech Adama i Ewy nie wpłynął na ich potomków, nie skaził natury ludzkiej i że człowiek, jako stworzony przez Boga i mający wolną wolę, jest zdolny sam z siebie przezwyciężyć grzech. [przypis edytorski]

— I ja mówię to samo — przywodził proboszcz.
— Ależ, zmiłujcie się!... — począł znowu Aramis.
— *Desideras diabolum*³⁰⁵, nieszczęsny! — zakrzyczał jezuita.
— On diabła żałuje! A! Młodzieńcze! — odezwał się proboszcz z jękiem. — Nie żałuj diabła, błagam cię.

D'Artagnan czuł, że głupieje; zdawało mu się, że jest w domu wariatów i że sam zwariuje jak ci, na których patrzył.

Ale zmuszony był milczeć, nie rozumiejąc języka, którym wobec niego mówiono.

— Proszę mnie jednak wysłuchać — odezwał się Aramis grzecznie, z pewnym przecie zniecierpliwieniem — ja nie mówię, abym żałował; nie, nigdy bym nie wygłosił zdania niezgadzanego się z powszechną wiarą.

Jezuita wznosił ręce ku niebu, proboszcz wyciągnął je jeszcze wyżej.

— Więc nie, ale przynajmniej na to się zgódźcie, że nie przystoi ofiarowywać Panu tego, do czego jesteśmy najzupełniej zniechęceni. Czy mam słuszność, d'Artagnanie?

— Ja myślę, że masz, do diabła starego! — zawołał tenże.

Proboszcz z jezuitą podskoczyli na krzesłach.

— Oto mój punkt wyjścia i oto mój wniosek: świat nie jest bez powabu, porzucam go, zatem spełniam ofiarę; Pismo zaś twierdzi stanowczo: czyńcie ofiary Panu.

— To prawda — odezwali się przeciwnicy jak jeden.

— A zresztą — mówił dalej Aramis, szczypiąc się w ucho, aby zrózowiło, jak trząsał rękami, ażeby zbieleły — a zresztą, na ten temat ułożyłem wiersz, który w zeszłym roku przedstawiłem panu Voiture³⁰⁶, a podobał mu się nieskończenie.

— Wiersze! — wyrzekł jezuita z pogardą.

— Wiersze! — powtórzył proboszcz bezmyślnie.

— Powiedzże je, powiedz — zawołał d'Artagnan — to nas cokolwiek rozerwie.

— O nie, bo one są w duchu religijnym — odparł Aramis — jest to wierszowana teologia.

— Tam do diabła — mruknął d'Artagnan.

— Posłuchajcie — rzekł Aramis ze skromną minką, nie bez cechy pewnej obłudy.

Wy, co za szczęściem przyszedł tęsknicie,
Włokąc dni smutne w ciężkiej niedoli,
Umilknie żal wasz, co w sercu boli,
Gdy go w ofierze Bogu złożycie,
Wy, co tęsknicie.

D'Artagnanowi i proboszczowi wiersz podobał się widocznie.

Jezuita obstawał przy swoim zdaniu.

— Strzeż się światowości w stylu teologicznym. Święty Augustyn o tym mówi: *Severus sit clericorum sermo*³⁰⁷.

— Tak, ażeby kazanie było jasne — powtórzył proboszcz.

— Otóż — przerwał z pośpiechem jezuita, widząc, że jego akolita³⁰⁸ zaczyna się błąkać — otóż twoja teza podoba się damom i nic więcej. Będzie ona miała powodzenie tylko takie, jak obrona praw pana Patru³⁰⁹.

— Dałby Bóg!... — zawołał z uniesieniem Aramis.

— A widzisz! — zakrzyczał jezuita. — Świat wielkim głosem mówi do ciebie, *altissima voce*. Dążysz do świata, mój przyjacielu, i drzę o ciebie, aby laska nie pozostała bez skutku.

— Uspokój się, ojciec wielebny, ja za siebie odpowiadam.

— Zarozumiałość światowa!

— Ja siebie znam, mój ojciec, moje postanowienie jest nieodwołalne.

— Obstajesz więc przy rozwinięciu swojej tezy?...

³⁰⁵ *Desideras diabolum* (łac.) — pożądasz diabła. [przypis edytorski]

³⁰⁶ *Voiture, Vincent* (1597–1648) — francuski poeta, związany z dworem Ludwika XIII. [przypis edytorski]

³⁰⁷ *Severus sit clericorum sermo* (łac.) — niech słowa duchowieństwa będą surowe. [przypis edytorski]

³⁰⁸ *akolita* — pomocnik kapłana, posługujący podczas obrządków religijnych. [przypis edytorski]

³⁰⁹ *Patru, Olivier* (1604–1681) — francuski prawnik i pisarz. [przypis edytorski]

— Czuję się powołany do tej, a nie do innej; będę ją dalej prowadził i mam nadzieję, że jutro będziesz, ojcze wielbny, zadowolony z poprawek, jakie według twoich wskazówek w niej poczynię.

— Pracuj powoli — odezwał się proboszcz — pozostawiamy cię w wyśmienitym usposobieniu.

— Tak, tak, grunt posiany dobrze — rzekł jezuita — nie ma obawy, aby część tego ziarna padła na skałę i aby ptaki niebieskie wybrały, co zostanie, *aves coelitcomederunt illam*.

— Niech cię zaraza pochłonie razem z twoją łąciną! — mruknął d'Artagnan, tracąc cierpliwość.

— Z Bogiem, mój synu — rzekł proboszcz — do widzenia jutro.

— Do jutra, zuchwalcze młody — odezwał się jezuita — obiecujesz być jedną ze światłości kościoła; daj Boże, by światłość ta nie zamieniła się w ogień trawiący!

D'Artagnan, który w ciągu tej godziny gryzł sobie paznokcie z niecierpliwością, teraz już napoczął ciało.

Dwie sutanny powstały, pożegnały Aramisa i d'Artagnana i skierowały się ku drzewom.

Bazin, który tam stał i słuchał tego sporu z pobożną radością, poskoczył ku nim, wziął brewiarz proboszcza i mszał³¹⁰ jezuity i szedł przed nimi w postawie pełnej szacunku, torując im drogę.

Aramis sprowadził ich aż na dół i powrócił natychmiast do d'Artagnana, którego zastał jeszcze zamysłonego.

Znalazłszy się sam na sam, dwaj przyjaciele milczeli pomieszani; jeden z nich musiał jednak przerwać to milczenie, a d'Artagnan jakby zostawiał przyjacielowi ten zaszczyt:

— Widzisz — odezwał się Aramis — zastajesz mnie nawróconego do pojęć stanowiących moje podstawowe zasady.

— Tak, zostałeś dotknięty łaską skuteczną, jak mówił przed chwilą ten pan.

— O!... Od dawna już postanowiłem sobie usunąć się od świata; musiałeś mnie słyszeć, jak mówiłem o tym, nieprawdaż, mój drogi?...

— Nie przeczę, ale muszę wyznać, brałem to za żarty.

— Ja miałbym z takich rzeczy żartować!... O!... D'Artagnanie!...

— Ba!... Przecież i ze śmierci można żartować.

— To źle, d'Artagnanie, gdyż śmierć jest bramą prowadzącą do zguby lub do zbawienia.

— Zgoda, lecz nie rozprawiajmy o teologii, jeżeli łaska, Aramisie; pewnie ci jej wystarczy na dzisiaj. Co do mnie, zapomniałem nawet tej odrobiny łąciny, której nie umiałem nigdy; zresztą, muszę ci wyznać, że dziś od rana nic w ustach nie miałem i głodny jestem jak wszyscy diabli.

— Usiądziemy natychmiast do obiadu, mój drogi, tylko pamiętaj, że to dzisiaj piątek. W takim dniu nie powinienem ani jeść mięsa, ani patrzeć na nie. Jeżeli zechcesz poprzestać na moim obiedzie, składa się on z warzyw i owoców...

— Co rozumiesz przez te warzywa? — zapytał z niepokojem d'Artagnan.

— Szpinak — odparł Aramis — dla ciebie jednak dodam jaj, chociaż to ważne wykroczenie przeciw regule, bo jaja są mięsem, skoro powstają z nich kurczęta.

— Uczta niezbyt smakowita, lecz mniejsza o to. Aby z tobą pozostać, zniosę i ją chętnie.

— Jestem ci wdzięczny za poświęcenie — odparł Aramis — lecz jeśli nie będziesz miał korzyści dla ciała, bądź przekonany, że twój duch wielce się umocni.

— Więc ty, Aramisie, stanowczo wstępujesz do stanu duchownego? Co powiedzą przyjaciele nasi, co pan de Tréville na to powie? Osądzą cię i mieć będą za zbiega, uprzedzam cię.

— Ależ ja nie wstępuję, tylko powracam do stanu duchownego. Właściwie zbiegłem z kościoła dla świata, wiesz przecie, że przymus najcięższy zadałem sobie, wdzwiewając kaptan muszkieterski.

— Ja nie wiem o niczym.

³¹⁰mszał — podstawowa księga liturgiczna w Kościele katolickim, według której odprawiana jest msza. [przepis edytorski]

Śmierć, Żart

Jedzenie, Religia, Obyczaje

Korzyść, Ciało, Dusza

— Nie wiesz, w jaki sposób opuściłem seminarium?
 — Nie, ale to nic a nic nie szkodzi.
 — Oto moja historia; zresztą Pismo Święte mówi: „Spowiadajcie się jedni przed drugimi³¹¹”; a ja tobie się spowiadam, d’Artagnanie.
 — Ja zaś daję ci rozgrzeszenie z góry; widzisz, że dobry ze mnie człowieczyna.
 — Nie żartuj z rzeczy świętych, mój drogi.
 — Więc mów, słucham cię.
 — Byłem w seminarium od dziewiątego roku mego życia. Trzech dni brakowało mi do dwudziestu, miałem zostać księdzem i już miało być po wszystkim. Pewnego wieczora udałem się, według zwyczaju, do jednego domu, który odwiedzałem z przyjemnością; co chcesz, jest się młodym i słabym. Wtem pewien oficer, który patrzył na mnie okiem zawistnym, gdy czytywałem *Żywoty Świętych* pani tego domu, wszedł nagle, nie opowiedziawszy się wcale. Właśnie tego wieczora tłumaczyłem jej ustęp o Judycie³¹² i wykladałem wiersz po wierszu tej damie prawiącej mi najróżniejsze komplementy. Pochylona nad moim ramieniem, czytała razem ze mną. Postawa jej, zbyt swobodna, przyznając, obraziła oficera; nie wyrzekł słowa, lecz gdy wyszedłem, pobiegł za mną, a dopędziwszy mnie, powiedział:
 — Mości księżulku, a lubisz ty kiję?
 — Nie mogę tego powiedzieć, mój panie — odrzekłem — ponieważ dotąd nikt nie považyl się częstować mnie nimi.
 — Słuchaj więc!... Mości księżulku, jeżeli noga twoja postanie w domu, w którym zastałem cię tego wieczora, ja, ja ci je zaproponuję!
 Zbladłem okropnie i nogi pode mną drżały, szukałem odpowiedzi, nie znalazłem jej, zamilkłem.
 Oficer na nią czekał, a widząc, że nic nie mówię, począł się śmiać; obrócił się do mnie plecami i wszedł do domu.
 Jestem szlachcicem i krew mam burzliwą, jak to mogłeś zauważyć, drogi d’Artagnanie; obelga była straszna, jakkolwiek nieznaną światu, i czulem, jak rozdzierała mi serce w kawały. Oświadczyłem moim przełożonym, że nie czuję się godnie przygotowany do przyjęcia święcenia i na moje żądanie odłożono ceremonię na rok. Udałem się do najlepszego fechtownika w Paryżu, zrobiłem z nim umowę o codzienne lekcje fechtunku i przez cały rok je brałem. Potem, w rocznicę dnia, kiedy zostałem znieważony, zawiesiłem na kołku sutannę, ubrałem się i jak skończony kawaler udałem się na bal, który wydawała jedna z przyjaznych mi dam, gdzie wiedziałem, że zastanę mojego jegomościa. Było to przy ulicy Francs-Bourgeois, tuż przy La Force. Rzeczywiście, mój oficer tam był. Podszedłem ku niemu, gdy śpiewał żałośliwie miłosną pieśń, czule spoglądając na jedną z kobiet, i przerwałem mu w samym środku drugiej strofki.
 — Mój panie — rzekłem — czy zabronisz mi jeszcze powrócić do pewnego domu przy ulicy Payenne i czy obilbyś mnie kijem, gdyby mi przyszła fantazja nie być ci posłusznym?
 Oficer spojrział na mnie zdziwiony, a potem rzekł:
 — Czego pan chcesz ode mnie, nie znam cię wcale.
 — Jestem księżulkiem, który czytuje *Żywoty Świętych* i tłumaczy *Judytę* rymami.
 — A! A!... Przypominam sobie — rzekł drwiąco oficer. — Czego chcesz ode mnie, mój panie?
 — Chcę, byś znalazł swobodną chwilkę na niewielką przechadzkę.
 — Jutro z rana i to z całą przyjemnością, jeżeli żądasz.
 — Nie jutro rano, lecz natychmiast, jeżeli łaska.
 — Kiedy wymagasz koniecznie...
 — Rozumie się, że wymagam.
 — To chodźmy!... A wam, łaskawe panie — przemówił oficer — niech to wcale nie przeszkadza. Za chwilę tego pana wyprawię na tamten świat i powrócę dokończyć ostatnią strofkę.

³¹¹ *Spowiadajcie się jedni przed drugimi* — Jk 5, 16. [przypis edytorski]

³¹² *Judyta* — bohaterka biblijnej *Księgi Judyty*, ocaliła rodzinne miasto przed Asyryjczykami; udała się do obozu wrogów, żeby uwodzić ich wodza Holofernesa, a kiedy podczas wspólnej ucztę upił się i zasnął, zabiła go. [przypis edytorski]

Wyszliśmy.

— Zaprowadziłem go na ulicę Payenne, w to miejsce, gdzie przed rokiem o tej samej godzinie powiedział mi grzeczne słówko, które ci powtórzyłem. Księżyc świecił przecudnie. Ujęliśmy za szpady i po pierwszym posunięciu lewej nogi przed prawą położyłem go trupem.

— Do diabła!... — mruknął d'Artagnan.

— Potem — ciągnął dalej Aramis — ponieważ damy nie mogły doczekać się śpiewaka, a znaleziono go na ulicy Payenne przebitego na wylot, domyślono się, że to ja go tak urządziłem, i wynikł z tego skandal. Byłem zmuszony zrzec się sutanny na pewien czas. Atos, którego poznałem w tej epoce, i Portos, który poza lekcjami fechtunku nauczył mnie kilku znakomitych pchnięć, skłonili mnie do postarania się o kaftan muszkieterski. Król bardzo kochał mojego ojca, zabitego podczas oblężenia Arras³¹³, udzielono mi więc łaski. Otóż pojmujesz, że teraz przyszła chwila mojego powrotu na łono kościoła.

— A czemuż to teraz bardziej niż wczoraj lub jutro? Cóż ci się przytrafiło takiego dzisiaj, że ci podobne myśli ponure przychodzą do głowy?

— Rana ta, drogi d'Artagnanie, stała się dla mnie przestrogą niebios.

— Rana? Ba! Wszak zagoiła się już nieledwie i przekonany jestem, że dzisiaj nie ona jest sprawczynią twojego cierpienia.

— A cóż by innego być mogło?... — zapytał Aramis, czerwieniąc się.

— Ty, Aramisie, masz ranę, lecz w sercu; jest ona dotkliwsza i krwawiąca, a zadała ci ją kobieta.

W oczach Aramisa błysnęły ognie.

— A!... — odezwał się, pokrywając lekceważeniem wzruszenie. — Nie wspominaj mi o takich rzeczach. Ja miałbym o tym myśleć?! Cierpieć z miłości?! *Vanitas vanitatum*.³¹⁴ Miałbym, jak przypuszczasz, zawrócić sobie głowę? I dla kogo? Dla jakiejś tam gryzетки³¹⁵, pokojówki, której nadskakiwałem, stojąc na kwaterze? Pfe!

— Wybacz, drogi Aramisie, lecz zdawało mi się, iż mierzyłeś wyżej.

— Wyżej. A czymże jestem, abym się miał o to kusić? Biednym muszkietерem, nędznym, nieznanym i zbyt cennym na świecie?

— Aramisie, Aramisie — zawołał d'Artagnan, patrząc z powątpiewaniem na przyjaciela.

— Z prochu powstałem i w proch się obracam. Życie jest pełne poniżeń i bólu — mówił dalej, chmurząc się — wszystkie nici łączące je ze szczęściem rwą się jedna po drugiej w rękę człowieka, a najsłabsze są nici złote. O! Mój drogi — prawil Aramis z odcieniem goryczy — wierzaj mi, ukrywaj rany, jeśli będziesz je kiedykolwiek mieć. Milczenie jest ostatnią rozkoszą nieszczęśliwych. Strzeż się, aby ktokolwiek miał wpaść na ślad twoich cierpień, ciekawi wyciągają na zewnątrz nasze lzy, jak muchy wysysają krew z ranionego łosia.

— Niestety!... Drogi mój! — rzekł d'Artagnan, wzdychając głęboko. — To, o czym mówisz, jest moją historią.

— Co takiego?

— Tak. Kobietę kochaną, uwielbianą przeze mnie, porwano mi przemocą. Nie wiem, gdzie się znajduje, dokąd ją zabrano; może uwięziono, może już nie żyje.

— Ale masz przynajmniej tę pociechę, iż możesz powiedzieć, że nie porzuciła cię dobrowolnie. Jeśli nie daje znaku życia, zapewne dlatego jedynie, że wszelkie porozumiewanie się z tobą jest jej wzbronione, gdy tymczasem...

— Gdy tymczasem?...

— Nic — odparł Aramis — nic!

— A więc wyrzekasz się świata na zawsze; twoje postanowienie jest nieodwołalne?

Życie jako wędrówka,
Cierpienie, Milczenie

³¹³Arras — miasto w płn. Francji; od końca XV w. stanowiło część należących do Hiszpanii Niderlandów; w 1640 miało miejsce oblężenie Arras przez wojska francuskie, które zakończyło się zdobyciem miasta i trwałym włączeniem do Francji. [przypis edytorski]

³¹⁴*Vanitas vanitatum!* (łac.) — marność nad marnościami (Koh 1,2). [przypis edytorski]

³¹⁵*gryzетка* (daw., z fr. *gris*: szary; *griset*: tania, szara tkanina ubraniowa) — we Francji: młoda dziewczyna pracująca jako szwaczka, ekspedientka, modystka; nazwa od koloru odzieży noszonej z konieczności przez takie osoby. [przypis edytorski]

— Na zawsze. Dziś jesteś mi druhem; jutro cieniem tylko będziesz dla mnie, a nawet przestaniesz istnieć zupełnie. Świat to grób, nic więcej.

— Do diabła! To, co mi prawisz, jest wcale niewesołe.

— Cóż chcesz, powołanie pociąga mnie, porywa.

D'Artagnan uśmiechnął się i milczał.

Aramis mówił dalej:

— A jednak, dopóki wiąże mnie jeszcze coś z ziemią, chciałbym pomówić o tobie, o naszych przyjaciółkach.

— A ja — rzekł d'Artagnan — wolałbym pomówić o tobie, lecz widzę cię oderwanego od wszystkiego. Miłość ci obrzydła, przyjaźń cieniem się stała, a świat w grób się zamienił.

— Niestety! I ty tak będziesz myślał — rzekł z westchnieniem Aramis.

— Nie mówmy więc o tym i spalmy ten list, który na pewno oznajmia ci nowe wiarołomstwo jakiejś tam gryzетки czy pokojówki.

— Jaki list? — żywo zapytał Aramis.

— List, który przysłano dla ciebie podczas twojej nieobecności i oddano mi go, abym ci przekazał.

— Od kogo?

— A!... Pewnie od jakiej zrozpaczonej pokojówki lub gryzетки nieszczęsnej; może to służebna pani de Chevreuse, która musiała z panią do Tours powrócić i dla zadania szyku użyła papieru wyperfumowanego i zapieczętowała list koroną księżęcą.

— Co ty wygadujesz?...

— Masz tobie! Musiałem go zgubić — rzekł żartobliwie młodzieniec, udając, że szuka. — To całe szczęście, że świat jest grobem, ludzie, a rozumie się i kobiety, tylko cieniem, a miłość uczuciem, które budzi tylko wstręt.

— O! D'Artagnanie, d'Artagnanie! — zawołał Aramis. — Zabijasz mnie!...

— A! Jest, nareszcie! — wykrzyknął d'Artagnan i wyjął list z kieszeni.

Aramis skoczył, porwał, przeczytał, pochłonął go raczej; twarz mu jaśniała szczęściem.

— Piękny styl ma widocznie służebna — zauważył od niechcienia oddawca.

— Dziękuję ci, d'Artagnanie! — zawołał oszalały z radości Aramis. — Ona musiała do Tours powrócić; nie jest mi niewierna, kocha mnie niezmiennie. Chodź, niech cię uściskam, przyjacielu, szczęście mnie przygniata!

I poczęli tańczyć obydwa wokół świętego Chryzostoma, tratując kartki rozprawy, które pospadały na podłogę.

W tej chwili wszedł Bazin ze szpinakiem i jajecznicą.

— Wynos się, pókiś cały — krzyknął Aramis, ciskając w niego swoją okrągłą czapkę — wracaj, skąd przyszedłeś, zabieraj te obrzydliwe jarzyny! Każ podać zająca szpikowanego, kapłona³¹⁶ tłustego, pieczeń baranią z czosnkiem i cztery butelki starego burgunda³¹⁷.

Bazin, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć, tak się zagapił na swego pana, że w tym jego ponurym zdziwieniu jajecznica zsunęła mu się na szpinak, a następnie wszystko razem na podłogę.

— Nadszedł właśnie czas, abyś poświęcił swoją istność³¹⁸ królowi królów — odezwał się d'Artagnan — jeżeli chcesz zrobić mi grzeczność: *Non inutile desiderium in oblatione*.

— Idź do diabła z twoją łaciną! Mój drogi d'Artagnanie, pijmy zdrowo, pijmy, co się zmieści, i opowiadaj mi, co tam słyhać u naszych.

ROZDZIAŁ XXVII. ŻONA ATOSA

— Teraz pozostaje nam tylko dowiedzieć się czegoś o Atosie — odezwał się d'Artagnan do skaczącego z radości Aramisa, gdy mu opowiedział, co zaszło w stolicy od czasu ich wyjazdu, bo po sutym obiedzie zapomnieli jeden o rozprawie, drugi o przebytych trudach.

— Czy sądzisz, że go spotkało jakieś nieszczęście? — zapytał Aramis. — Atos jest rozważny, dzielny i zręcznie włada szpadą.

³¹⁶kapłon — kastrowany kogut, tuczony na mięso. [przypis edytorski]

³¹⁷burgund — francuskie wino z Burgundii. [przypis edytorski]

³¹⁸istność — istnienie. [przypis edytorski]

— Tak, i nikt tak jak ja nie może ocenić jego odwagi i zręczności, lecz ja wolę iść ze szpadą na lance³¹⁹ aniżeli na kije i obawiam się, aby Atos nie został zbity przez gawiedź. Ten motloch wali mocno i nieprędko przestaje. Dlatego właśnie chciałbym jak najprędzej wyruszyć w dalszą drogę.

— Ja rad bym ci towarzyszyć — rzekł Aramis — chociaż nie czuję się na siłach, aby dosiąść konia. Próbowałem się biczować wczoraj dyscypliną, którą tu widzisz na ścianie, ale srogi ból przeszkodził mi w tym pobożnym ćwiczeniu.

— Bo też, mój drogi, kto widział leczyc postrzał uderzeniami rzemienia; ale ty chory byłeś, a choroba osłabia umysł, dlatego uniewinniam cię, mój drogi.

— Kiedyż myślisz odjechać?

— Jutro, skoro świt; odpocznij sobie tej nocy, a jutro, jeżeli będziesz w stanie, pojedziemy razem.

— Dobranoc więc — rzekł Aramis — bo jakkolwiek żelazne masz siły, czujesz zapewne potrzebę spoczynku.

Nazajutrz, gdy d'Artagnan wszedł do pokoju Aramisa, zastał go wyglądającego oknem.

— Czemu się tak przypatrujesz? — zapytał go d'Artagnan.

— Na honor! Podziwiam te trzy wspaniałe konie, które chłopcy stajenni trzymają za cugle; wszak to rozkosz królewska podróżować na takich wierzchowcach.

— Będziesz używał tej rozkoszy, drogi Aramisie. Jeden z tych koni należy do ciebie.

— Co mówisz? A któryż?

— Którego sobie wybierzesz: żadnemu z nich nie daję pierwszeństwa.

— A ten bogaty czaprak³²⁰ na nim czy także mój?

— Rozumie się.

— Żartujesz chyba, d'Artagnanie.

— Przestałem żartować, odkąd mówisz po francusku.

— Więc to moje te strzemiona złoczone, czaprak aksamitny, to siodło wykładane srebrem?

— Twoje własne, jak ten koń, który grzebie ziemię, jest mój, a ten, który się wspina, należy do Atosa.

— Niech cię diabli!... Wspaniałe bestyjki!...

— Rad jestem, że ci się podobały.

— Czy to od króla ten dar pochodzi?

— Pewno, że nie od kardynała; lecz co masz się głowić, od kogo pochodzą, dość, że jeden z nich należy do ciebie.

— Biorę tego, którego trzyma rudy parobek.

— Pysznie!

— Boże wielki!... — wykrzyknął Aramis. — Z radości nie czuję bólu; wsiałbym na tego konia choćby z kulami za skórą. A! Co za strzemiona!... Hola! Bazin, chodź tu natychmiast!

Milczący i ponury Bazin stanął na progu.

— Moją szpadę wpakować do pochwy, wyprostować kapelusz, płaszcz oczyścić, nabić pistolety! — zawołał Aramis.

— Ostatnie rozporządzenie zbyteczne — przerwał mu d'Artagnan — w olstrach są pistolety nabite.

Bazin ciężko westchnął.

— Cóż tam, mości Bazinie, uspokój się — rzekł d'Artagnan — w rozmaitych warunkach zdobywa się królestwo niebieskie.

— Mój pan był już takim dobrym teologiem!... — wyszłochał Bazin. — Byłby został biskupem, a może kardynałem!...

— Słuchaj, mój biedny Bazinie, zastanów się troszeczkę! Na co się zdało być księdzem, proszę? Wojny się przez to nie unika; widzisz przecież, że kardynał ma odbyć pierwszą

³¹⁹lanca — włócznia. [przypis edytorski]

³²⁰czaprak — tkanina umieszczana pod końskim siodłem. [przypis edytorski]

kampanię z szyszakiem³²¹ na głowie i halabardą w rękę; pan de Nogaret de La Valette³²² jest także kardynałem, a zapytaj jego lokaja, ile razy skubał dlań szarpie³²³.

— Niestety! — westchnął Bazin. — Wiem ja, panie, o tym; wszystko na świecie przewróciło się do góry nogami.

Tak rozmawiając, wszyscy trzej zeszli na dziedziniec.

— Potrzyj mi strzemię, Bazinie — zawołał Aramis.

I wskoczył lekko na siodło z właściwą sobie zręcznością, lecz gdy szlachetne zwierzę wspięło się kilka razy i zmieniło krok, odnowił się nieznośny ból Aramisa, muszkieter zbladł i począł się chwiać.

D'Artagnan, który to przewidywał, nie tracił go z oczu, skoczył doń, pochwycił w ramiona i zaprowadził do pokoju.

— Tak musi być, drogi Aramisie, trzeba, abyś nabrał sił, odpocznij — rzekł — sam pojedę szukać Atosa.

— Tyś człowiek ze spizu — rzekł doń Aramis.

— Wcale nie, szczęście mi tylko sprzyja; lecz co tu będziesz robił, czekając na mnie? Spodziewam się, że nie glosy o palcach i błogosławieństwach, co?...

Aramis uśmiechnął się.

— Będę pisał wiersze — odparł.

— Zapewne wierszyki wyperfumowane zapachem, jaki miał liścik służebnej pani de Chevreuse. Naucz Bazina prozodii³²⁴, to go pocieszy. A co do konia, jeźdź na nim po troszę, to się przyzwyczaisz.

— O! Nie troszcz się, zastaniesz mnie gotowego do drogi.

Rozstali się, a w dziesięć minut potem d'Artagnan, polecivszy Bazinowi i oberżystce przyjaciela, kłusował w kierunku Amiens.

Co się tam dzieje z Atosem? Może nie znajdzie go wcale?...

Pozostawił go w okolicznościach bardzo krytycznych. Atos mógł być zwyciężony.

Myśl ta czoło mu zachmurzyła; d'Artagnanowi z piersi dobywało się westchnienie, a chęć zemsty opanowywała mu serce.

Atos był najstarszym z jego przyjaciół i dlatego na pozór najmniej zbliżony do niego upodobaniami i dążeniami.

Pomimo to przedkładał go stanowczo nad innych.

Jego szlachetna i wyróżniająca się postawa, te błyski wielkości tryskające od czasu do czasu z cienia, w którym tak chętnie się ukrywał, ta niezrównana łatwość w obejściu czyniąca go towarzyszem najmilszym pod słońcem, rozum i uszczypliwa wesołość, odwaga, którą można było poczytać za ślepa, gdyby nie była wynikiem najwyższej zimnej krwi, tyle przymiotów wywoływało więcej niż szacunek, więcej niż przyjaźń ze strony d'Artagnana, budziły one w nim najwyższe uwielbienie.

Istotnie, w zestawieniu nawet z panem de Tréville, pełnym elegancji i szlachetności dworzaninem, Atos w swoich szczęśliwszych chwilach porównanie z nim mógł korzystnie wytrzymać.

Był on wzrostu średniego, lecz tak kształtny i pięknie zbudowany, że gdy nieraz szedł w zapasy z Portosem olbrzym ten, którego siła weszła w przysłowie pomiędzy muszkieterami, zmuszony był ugiąć się przed nim.

Głowa jego o przenikliwym wejrzeniu, nos prosty i broda zarysowana jak u Brutusa³²⁵ posiadały wyraz wzniosły i słodki zarazem; ręce, o które nie dbał bynajmniej, wprawiały w rozpacz Aramisa, który pielęgnował swoje, posiłkując się niezliczoną ilością maści migdałowej i wonnych olejków; głos jego brzmiał przejmująco i zarazem dźwięcznie.

Przy tym było w nim coś nieokreślonego, co oznaczało głęboką znajomość wyższego świata, świetną ogładę towarzyską; ta natura rodowa, która pomimo jego wiedzy przebijała się w każdym postępku.

³²¹szyszak — rodzaj stożkowatego hełmu bez przyłbicy. [przypis edytorski]

³²²Nogaret d'Épernon de La Valette, Louis de (1593–1639) — francuski kardynał; jałmużnik na dworze Ludwika XIII. [przypis edytorski]

³²³szarpie (daw.) — bandaże z porwanych materiałów. [przypis edytorski]

³²⁴prozodia — nauka o budowie wiersza. [przypis edytorski]

³²⁵Lucjusz Juniusz Brutus (ok. 540–509 p.n.e.) — rzymski polityk, pierwszy konsul Rzymu. [przypis edytorski]

Gdy chodziło o ucztę, Atos urządzał ją lepiej niż każdy inny światowiec, rozmieszczając zaproszonych według zasad odziedziczonych po przodkach albo według tych, jakie zawdzięczali sami sobie.

Gdy szło o heraldykę³²⁶, Atos znał wszystkie rodziny szlacheckie w królestwie, ich genealogie, związki, herby oraz ich pochodzenie. Były mu też znane najdrobniejsze szczegóły etykiety; wiedział, jakie przywileje przysługiwały wielkim właścicielom ziemskim, był tak biegły w sztuce łowieckiej i sokolnictwie, że pewnego razu w rozmowie wielce zadziwił Ludwika XIII, który w tym był nie lada mistrzem.

Jak wszyscy wielcy panowie z owej epoki był z niego niezrównany jeździec i szermierz. Nadto takie miał wykształcenie umysłowe nawet pod względem nauk scholastycznych³²⁷, że cytaty łacińskie Aramis wywoływały uśmiech na jego ustach, gdy Portos tylko udawał, że je rozumie. Parę też razy, ku wielkiemu zdziwieniu towarzyszy, poprawił Aramis w języku łacińskim.

Prawość jego była niewzruszona w tym wieku, kiedy ludzie trudniący się wojennym rzemiosłem wchodzili w układy ze swoim sumieniem i wiarą, a ubodzy z siódmym przykazaniem boskim.

Ten Atos był to zaiste człowiek niepowszedni.

A jednak bywało, iż ta wybrana natura, ten piękny twór boski, ten wykwit doskonałości skłaniał się nieznacznie ku materializmowi jak starcy ku zniedołężnieniu ciała i ducha.

Atos w chwilach upadku moralnego, co się przytrafiało nierzadko, zaćmiewał w sobie świetlane strony, które zapadały wtedy jakby w ciemnościach nocnych.

Wtedy znikał półbożek, a pozostawał zaledwie człowiek. Głowa opadała mu na piersi, blask oczu przygaszał, słowa trudno było z niego wydobyć, całymi godzinami wpatrywał się w butelkę i kielich albo w Grimauda, który, przyzwyczajony rozumieć jego rozkazy na mięgi, czytał w zamartwym spojrzeniu pana najmniejsze jego życzenie, spełniając je natychmiast.

W takich razach, choćby był w towarzystwie swoich przyjaciół, zaledwie jednym słowem, i to z wysiłkiem, mieszał się do ogólnej rozmowy.

Natomiast pił za czterech, a jedynym objawem tych libacji było silniejsze ściągnięcie brwi i bardziej ponury smutek.

D'Artagnan, którego znamy z umysłu badawczego i przenikliwego, daremnie usiłował odgadnąć przyczynę takiego upadku ducha ani nie mógł poznać okoliczności, które stan ten sprowadzały. Atos nie odbierał żadnych listów, a każdy jego postępek był znany przyjaciołom.

Trudno przypuścić, aby wino mogło sprowadzać ten smutek, bo pił właśnie wtedy, gdy chciał go przemoc, lecz to lekarstwo czyniło go jeszcze bardziej ponurym.

Nie można było również przypisywać grze tych napadów czarnej melancholii, bo przeciwnie, gdy Portos śpiewał lub kłął siarczyście zależnie od szczęścia, Atos przy wygranej lub przegranej pozostawał jednakowo niewzruszony.

Widziano, jak w klubie muszkieterskim wygrał pewnego wieczora tysiąc pistoli, a następnie przegrał wszystko aż do pasa haftowanego złotem, w który stroił się na wielkie uroczystości, później odegrał się na nowo, a nawet zyskał jeszcze sto pistoli, a jednak jego piękne brwi nie drgnęły ani na chwilę, ręce nie straciły perłowej białości i nie przestał rozmawiać nader przyjemnie i spokojnie.

Melancholii jego nie można było też przypisać wpływowi atmosferycznym, jak to bywa z Anglikami, gdyż smutek ten stawał się cięższy zwykle przy nadchodzącej najpiękniejszej porze roku. Czerwiec i sierpień były najstraszniejszymi miesiącami dla Atosa.

O chwilę obecną nie troszczył się wcale, wzruszał ramionami, gdy mówiono o przeszłości; zatem jego tajemnica tkwiła w przeszłości, jak to mówiono ogólnikowo d'Artagnanowi.

Ten odcień tajemnicy otaczał całą jego osobę i czynił go jeszcze bardziej zajmującym człowiekiem, bo ani jego oczy, ani usta nic nigdy nie zdradziły nawet w najwyższym upojeniu trunkiem, choćby go zarzucano najrzęczniejszymi pytaniami.

³²⁶heraldyka — nauka o herbach i rodach szlacheckich. [przypis edytorski]

³²⁷scholastyczny — odnoszący się do scholastyki: średniowiecznej filozofii, która starała się wywieść prawdy dotyczące świata z dogmatów religijnych. [przypis edytorski]

— Tak... — rozmyślał d'Artagnan — biedny Atos może już nie żyje w tej chwili, i to z mojej winy, bo ja wciągnąłem go w tę sprawę, której nawet nie znał z początku.

— A my, panie — odpowiedział Planchet — prawdopodobnie zawdzięczamy mu życie. Pamięta pan, jak krzyczał: „Uciekaj, d'Artagnanie, jestem schwytany!” I wystrzelisz z dwóch pistoletów, jak okrutnie łomotał szpadą! Mógłby kto myśleć, że dwudziestu ludzi tam było, a raczej dwudziestu zażartych diabłów.

Słowa te zdwoiły zapał d'Artagnana, popędzał konia, który nie potrzebując bynajmniej zachęty, unosił jeźdźca galopem.

Około jedenastej z rana pokazały się wieże Amiens; o wpół do dwunastej stanęli przed bramą przekłętą oberży.

D'Artagnan rozmyślał już nieraz nad zemstą na przewrotnym oberżyscie. Wszedł do oberży w kapeluszu naciśniętym na oczy, z lewą dłonią na rękojeści szpady, a prawą śmigając w powietrzu szpicrutą³²⁸.

— Poznajesz mnie pan? — odezwał się do gospodarza, podchodzącego ku niemu z powitaniem.

— Nie mam tego zaszczytu, jaśnie panie — odparł tenże, olśniony świetnymi końmi d'Artagnana.

— A! Więc nie znasz mnie wcale?

— Nie, jaśnie panie.

— No, no, dwa słowa przywrócą ci pamięć. Co zrobiłeś z tym szlachetnym panem, któremu przed dwoma tygodniami miałeś tyle czelności zarzucić fałszowanie pieniędzy?

Oberżysta zbladł, bo d'Artagnan przybrał postawę najgroźniejszą, jaką mógł, Planchet zaś naśladował swego pana.

— O! Jaśnie panie, nie wspominaj mi o tym — zawołał gospodarz płaczącym głosem. — Boże wielki! Jakże ja błąd mój okupiłem drogo. O! Ja nieszczęsny!...

— Czy powiesz mi, czy nie? Co się z nim stało?

— Jaśnie panie, zechciej mnie wysłuchać i zmiłuj się nade mną. Racz usiąść, jeżeli łaska!

D'Artagnan, niemy z gniewu i niepokoju, zasiadł groźny jak sędzia. Planchet wsparł się na poręczy fotela, przybierając postawę wyniosłą.

— Rzecz tak się miała, jaśnie panie — zaczął oberżysta, trzęsąc się ze strachu — bo teraz poznaję pana. Pan odjechałeś wtedy, gdy miałem ten nieszczęsny zatarg ze szlachcicem, o którym mowa.

— Tak, to ja. Widzisz więc, że nie możesz spodziewać się przebaczenia, jeżeli nie powiesz mi całej prawdy.

— Racz mnie wysłuchać, panie, a dowiesz się o wszystkim.

— Słucham.

— Zostałem uprzedzony przez władzę, że wytrawny fałszerz pieniędzy przybędzie do mojej oberży z kilkoma towarzyszami, a wszyscy przebrani będą za gwardzistów albo za muszkieterów. Konie, służba, nawet osoby jaśnie panów podane mi zostały w rysopisie.

— Cóż dalej? — rzekł d'Artagnan, domyślając się, skąd pochodził dokładny rysopis.

— Zgodnie więc z rozporządzeniem władzy, która przysłała mi posiłki w liczbie sześciu ludzi, przedsięwziąłem środki, jakie uważałem za konieczne dla zabezpieczenia się przeciw fałszerzom pieniędzy.

— Jeszcze?... — krzyknął d'Artagnan, któremu słowo „fałszerz” strasznie słuch drażniło.

— Wybacz, jaśnie panie, że wymawiam to brzydkie słowo, lecz ono właśnie służy mi za usprawiedliwienie. Władza napędziła mi strachu, a wiadomo, że mizerny oberżysta dbać winien o jej względy.

— Czy dowiem się już raz, czy nie, gdzie jest ten szlachcic, co się z nim stało? Umarł? Czy żyje?

— Cierpliwości, jaśnie panie, zaraz skończę. Stała się więc rzecz panu wiadoma — dodał obłudnie gospodarz, co nie uszło uwagi d'Artagnana i zdawało się usprawiedliwiać

³²⁸szpicruta — elastyczny pręt pokryty skórą lub pleciony z rzemienia, używany do poganiania konia. [przypis edytorski]

podejrzeń. — Przyjaciół pana bronił się rozpaczliwie. Pacholek jego, który nieszczęściem nieprzewidzianym zaczął wysłańców władzy, bo to oni przebrani byli za chłopców stajennych...

— A! Łajdaki!... — krzyknął d'Artagnan. — Zmówiliście się wszyscy! Dziwna rzecz, że dotąd nie wytepił was co do nogi.

— Nie, jasnie panie, nie było między nami żadnej zмовy, jak się pan wkrótce przekonasz. Przyjaciół pański (przepraszam, iż nie tytułuję go czcigodnym imieniem, jakie nosi, lecz jest mi ono nieznane), przyjaciół pański, uczyniwszy niezdolnymi do walki dwóch ludzi dwoma strzałami pistoletu, począł się cofać, broniąc się szpadą, którą okaleczył jeszcze jednego z moich ludzi, a mnie ogłuszył płazem³²⁹.

— Ty kacie przeklęty, skończysz już raz? — krzyknął d'Artagnan. — Gdzież Atos, co się z Atosem stało?

— Cofając się, jak rzekłem jasnie panu, trafił na schody do piwnicy, gdzie drzwi były otwarte, porwał klucz z zamka i zatarasował się wewnątrz. Ponieważ stamtąd nie ma innego wyjścia, pozostawiono go w spokoju.

— Tak, nie szło im o zabicie, chciano go tylko uwięzić.

— Boże sprawiedliwy! Uwięzić, jasnie panie? Ależ on sam się uwięził, przysięgam. Najpierw spisał się nie lada, jednego zabił na miejscu, a dwóch ciężko poranił. Trupa i rannych zabrali ich towarzysze. Odtąd oczy moje ich nie widziały ani uszy o nich nie słyszały. Ja sam, skoro odzyskałem zmysły, poszedłem do gubernatora i opowiedziałem mu wszystko, pytając, co z więźniem mam począć. Gubernator wyglądał, jakby spadł z księżycy; powiedział mi, że pierwszy raz o tym słyszy, że dane mi rozkazy nie wyszły od niego i że gdybym się poważał wspomnieć o tym komu, że starcie to z jego wiedzą nastąpiło, każe mnie po prostu powiesić. Pomyliłem się widocznie, uwięziłem niewinnego, a winowajca umknął szczęśliwie.

— Ale cóż Atos? — zakrzyzczał znowu d'Artagnan, którego zniecierpliwienie potęgowało zaniedbanie tej sprawy przez władzę. — Co się stało z Atosem?

— Ponieważ pilno mi było oczyścić się z winy przed więźniem — ciągnął dalej oberżysta — wybrałem się do piwnicy, aby go uwolnić. A! Panie, to chyba nie człowiek, to diabeł wcielony. Gdy zaproponowałem, że go wypuszczę na wolność, oświadczył, iż widzi w tym zastawione sidła i że zanim wyjdzie, musi postawić swe warunki. Odpowiedziałem mu z pokorą, nie mogłem bowiem ukrywać przed sobą, że wdąłem się w nietęgą sprawę, podnosząc rękę na muszkietera Jego Królewskiej Mości, powiedziałem mu więc, że podaję się warunkom w zupełności. „Najpierw — rzekł on — żądam, aby powrócono mi mojego pacholka w pełnym uzbrojeniu”. Rozkaz ten spełniliśmy z pośpiechem, bo, pojmuje pan, gotowi byliśmy na wszelkie rozkazy pańskiego przyjaciół. Pan Grimaud (ten powiedział nam swoje nazwisko, chociaż mówi tak mało), pan Grimaud został wpuszczony do piwnicy, choć był mocno ranny, i znowu zatarasowali drzwi, wyprawiając nas z rozkazem, ażebyśmy siedzieli w sklepie.

— Lecz gdzież jest Atos nareszcie?

— W piwnicy, proszę pana.

— Jak to, nieszczęsny, dotąd jeszcze w piwnicy go trzymasz?

— Wielki Boże! Nie, panie! My mielibyśmy go trzymać! Pan nie wie, co on tam narobił. O! Gdyby pan mógł wywabić go stamtąd, byłbym mu wdzięczny dozgonnie i czcił jak swego patrona.

— Więc ja go zastanę w piwnicy?...

— Rozumie się, proszę pana, uparł się i nie wychodzi. Codziennie podają mu przez okienko na widłach chleb i mięso na żądanie. Ale, niestety! On czego innego spożywa więcej. Pewnego razu spróbowałem tam wejść z dwoma chłopcami moimi, lecz uniósł się wściekłością okrutną. Posłyszałem odgłos pistoletów nabijanych i muszkietu, który ładował jego służący. A na zapytanie nasze, jakie mają zamiary, pan odpowiedział, że we dwóch ze swoim służącym rozporządzają czterdziestoma strzałami i że wypalą je do ostatniego, zanim dozwolą, aby czyja bądź noga postąpiła w piwnicy. Wtedy, panie, zaniósłem skargę do gubernatora, a ten odpowiedział, że dobrze mi tak i że będę miał na drugi raz naukę, jak to niebezpiecznie ubliżać wielkim panom, którzy raczą u mnie popasać.

³²⁹ *płaz* — płaska strona miecza, szabli lub innej broni białej. [przypis edytorski]

— W ten sposób od tego czasu?... — przerwał d'Artagnan, dusząc się od śmiechu z płaczącej miny gospodarza.

— W ten sposób od tego czasu, panie, pędzimy najsmutniejsze życie pod słońcem. Bo trzeba panu wiedzieć, iż wszystkie nasze zapasy są w piwnicy; jest tam wino w butelkach i w beczkach, oliwa, korzenie, słonina i salcesony, a ponieważ wstęp jest nam wzbroniony, zmuszeni jesteśmy odmawiać podróżnym naszym napitku i jedzenia, i w ten sposób zajad nasz z każdym dniem chyli się do upadku. Tydzień jeszcze z tym dobrodziejem w piwnicy, a przepadniemy z kretesem.

— I dobrze ci tak, hultaju!... Łatwo ci było poznać, że jesteśmy ludźmi znakomitymi, a nie żadnymi fałszerzami, nieprawdą?

— Tak, panie, to prawda — rzekł oberżysta. — O! O!... Słyszysz pan?... Znowu wpada w wściekłość!

— Musiano go zaniekpokoić — zauważył d'Artagnan.

— Ależ nie mogło być inaczej! — wykrzyknął oberżysta. — Przybyło do nas właśnie dwóch panów angielskich.

— Cóż stąd?...

— Anglicy lubią dobre wino, jak panu wiadomo. Ci zażądali najlepszego. Moja żona pewnie zaniósła prośbę do pana Atosa o pozwolenie wejścia do piwnicy dla zadośćuczynienia żądaniu tych panów, a on, jak zwykle, odmówił. A! Na miłosierdzie boskie!... Słyszysz pan, jaka wrzawa?

D'Artagnan usłyszał istotnie straszny rumor od strony piwnicy.

Powstał i poprzedzany przez gospodarza załamującego ręce i mając za sobą Plancheta z odwiedzionym kurkiem u muszkietu, podszedł do miejsca, gdzie rozgrywała się scena.

Dwaj Anglicy byli w rozpacz, zrobili kawał drogi i umierali z głodu i pragnienia.

— Ależ to tyrania oczywista!... — mówili płynnie po francusku, z lekkim tylko odcieniem cudzoziemskim. — Ażeby ten skończony wariat nie dał porządnym ludziom wina skosztować. Nuże³³⁰, wyważmy drzwi, a jak się wścieknie, ha!... W łeb mu palniemy!

— Z wolna, panowie, z wolna!... — odezwał się d'Artagnan, wyjmując pistolety zza pasa. — Na to ja nie pozwolę.

— Dobrze, dobrze — odezwał się zza drzwi spokojny głos Atosa — niech mi się tu pokażą ci zjadacze niewiniątek, zobaczymy, co z tego będzie.

Anglicy, jakkolwiek nie wyglądali na tchórzów, spojrzeli po sobie z wahaniem, jakby w piwnicy tej siedział ludożerca zgłodniały, bohater-olbrzym z bajek ludowych, do którego pieczary nikt przystąpić nie mógł bezkarnie.

Nastąpiła chwila milczenia; nareszcie wstyd im się było cofać i większy z nich junak zszedł kilka stopni na dół i tak silnie kopnął nogą w drzwi, że ustąpiłby nawet mur.

— Planchecie — krzyknął d'Artagnan, odwodząc kurki u pistoletów — ja biorę na siebie tego u góry, a ty weź tego na dole. Chcecie bitwy, panowie! Niech będzie bitwa!

— Boże mój!... — zawołał Atos basowym głosem. — Słyszysz d'Artagnana, jak mi się zdaje.

— Nie mylisz się — odrzekł d'Artagnan, podnosząc głos — ja sam, drogi kolego.

— Pysznie! — rzekł Atos. — Zabierzemy się do tych wywalaczy drzwi.

Anglicy pochwycili szpady, lecz byli wzięci we dwa ognie.

Zawahali się jeszcze; jednakże, jak poprzednio, duma zwyciężyła i pod powtórny kopnięciem drzwi rozpięły się na dwoje.

— Usuń się, d'Artagnanie, usuń się — wołał Atos. — Usuń się, bo strzele!

— Panowie! — odezwał się d'Artagnan, którego nigdy nie odstępowała rozwaga. — Panowie! Zastanówcie się!... Cierpliwości, Atosie! W złą sprawę wdajecie się, panowie, możecie się zasypać. Ja z moim pacholkiem damy do was trzy strzały, z piwnicy dostaniecie tyleż, a jeszcze pozostają nam szpady, którymi ja i mój przyjaciel władamy niezgorzej. Mnie przypada załatwienie naszej wspólnej sprawy. Słowem moim wam ręczę, że niedługo będziecie mieli czym ugasić pragnienie.

— Jeżeli się coś znajdzie — mruknął drwiąco Atos.

Oberżyste zimny pot wystąpił na plecy.

— Jak to, jeżeli się coś znajdzie? — wyszeptał.

³³⁰nuże — okrzyk oznaczający poganianie: dalej, szybciej. [przypis edytorski]

— Co, u diabła! Przecież coś musi jeszcze być — odparł d'Artagnan. — Uspokój się, we dwóch nie wypili chyba całej piwnicy. Szpady do pochwy, panowie!

— A pan pistolety za pas!

— Najchętniej.

I d'Artagnan dał przykład. Zwrócił się następnie do Plancheta z rozkazem opuszczenia kurka u muszkietu.

Anglicy dali się przekonać i mrużąc, schowali szpady. Opowiedziano im historię uwięzienia Atosa. A ponieważ pochodzili z dobrej szlachty, całą winę zrzucili na oberżystę.

— A teraz, panowie — zakończył d'Artagnan — wracajcie do siebie, a ja zaręczam, że za dziesięć minut przyniosą wam, czego dusza zapagnie.

Anglicy skłonili się i wyszli.

— No, mój drogi Atosie, otwórz mi, proszę, skoro sam pozostałem.

— Zaraz, zaraz, natychmiast!... — odparł Atos.

Wtedy rozległ się odgłos odrzucanych kolejno klepek i bali, które upadały z jękiem; była to barykada Atosa, którą oblężony własnoręcznie niweczył.

Po chwili drzwi wypadły i ukazała się blada twarz Atosa, który szybkim rzutem oka zbadał otoczenie.

D'Artagnan rzucił mu się w objęcia i ścisnął serdecznie; na koniec miał go wyciągnąć z tej jamy wilgotnej.

Wtedy dopiero spostrzegł, że Atos chwieje się na nogach.

— Ranny jesteś?... — zapytał.

— Ja? Uchowaj Boże!... Pijany jestem jak bela, nic więcej, a nie ma człowieka pod słońcem, który by na to usilniej pracował. Jak Bóg żywy! Gospodarzu mój! Wypilem na siebie samego sto pięćdziesiąt butelek chyba.

— Litości!... Jeżeli choć połowę tego wypił pacholek, jestem zrujnowany.

— Grimaud jest sługą dobrego domu i nie poważylby się przejmować moich zwyczajów. Pił prosto z beczki; patrz, zdaje mi się, że zapomniał wsadzić szpont³³¹? Słyszycie? Leje się!...

D'Artagnan parsknął śmiechem, który dreszcze oberżysty zamienił w gorączkę.

Jednocześnie Grimaud wyłonił się z cienia poza plecami pana swego, z muszkietem na ramieniu; głowa mu się trzęsła, wyglądał jak pijany satyr z obrazu Rubensa³³².

Polany był z przodu i z tyłu tłustym płynem, w którym gospodarz poznał swoją najlepszą oliwę.

Pochód przeciągnął przez główną salę i rozgospodarował się w najlepszym pokoju z całej oberży, zajęтым przez d'Artagnana na mocy pierwszeństwa.

Tymczasem oberżysta z żoną wpadli z lampkami w rękach do piwnicy, nieprzystępnej im od tak dawna, a widok przerażający przedstawił się ich oczom.

Poza fortyfikacją, w której Atos uczynił wylom, aby się przedostać, złożoną z klepek, desek i próżnych antałków³³³, nagromadzonych według wszelkich zasad strategii, tarzały się po ziemi w kałużach oliwy i wina poogryzane kości od szynek, stos potłuczonych butelek zalegał lewy kąt piwnicy, a beczka, której kran pozostał otwarty, traciła tym otworem ostatnie krople krwi.

Obraz zniszczenia i śmierci, według słów starożytnego poety, roztoczył się na polu bitwy.

Z pięćdziesięciu salcesonów, zawieszonych u pułapu³³⁴, zostało zaledwie dziesięć.

Wtedy ryki rozpaczliwej oberżysty i jego małżonki przebiły sklepienia piwnicy i sam d'Artagnan czuł się nimi wzruszony. Atos nawet się nie obejrzał.

Wreszcie rozpacz zamieniła się w wściekłość. Uzbroiwszy się w rożen, oszalała oberżysta wpadł do pokoju dwóch przyjaciół.

— Wina!... — odezwał się Atos, ujrawszy go.

³³¹szpont (daw.) — pokrywka. [przypis edytorski]

³³²pijany satyr z obrazu Rubensa — chodzi o obraz *Bachanalia* autorstwa flamandzkiego malarza Petera Paula Rubensa (1577–1640); przedstawia pijanego Sylena i satyrów, kompanów boga Bachusa podczas bachanalii. [przypis edytorski]

³³³antalek — beczułka na wino lub piwo. [przypis edytorski]

³³⁴pułap (daw.) — drewniany strop albo sufit. [przypis edytorski]

— Wina?! — wykrzyknął gospodarz osłupiały. — Wina?!... Ależ wypiliś go pan przeszło za sto pistoli; jestem człowiekiem zrujnowanym, zgubionym!...

— Ba! — rzekł Atos. — Mieliśmy ciągle pragnienie.

— Gdybyście chociaż na tym poprzestali, ale potłukliście wszystkie butelki.

— Popchnęliście mnie na nie i potłukły się. Twoja wina.

— Moja oliwa przepadła...

— Oliwa to cudowny balsam na rany, biedny Grimaud musiał opatrywać te, które mu zadałeś.

— Salcesony pożarte...

— Zatrzęsienie szcurów w tej piwnicy.

— Pan mi za to zapłacisz!... — krzyczał oberżysta zrozpaczony.

— Błaźnie!... — krzyknął Atos, powstając, lecz opadł zaraz na krzesło; dał miarę swoich sił.

D'Artagnan przyszedł mu na pomoc, wznosząc szpicrutę do góry.

Oberżysta cofnął się, zalany łzami.

— To cię nauczy — rzekł d'Artagnan — obchodzić się grzeczniej z gośćmi, których ci Pan Bóg zsyła.

— Pan Bóg!... Prędziej diabeł!...

— Mój drogi — zaczął d'Artagnan — jeżeli nam będziesz skrzeczał nad głową, zamkniemy się w piwnicy we czterech i zobaczymy sami, czy naprawdę spustoszenie jest tak wielkie, jak mówisz.

— Wyznaję, panowie! Zawiniłem, lecz dla każdego grzesznika jest zmiłowanie. Jesteście jaśnie panami, a ja mizernym oberżystą, będziecie mieli litość nade mną.

— A! Skoro tak będziesz mówił — odezwał się Atos — serce mi się krajać gotowe, a łzy potoczą się z oczu jak wino z twoich antałków. Nie taki diabeł straszny, jak go malują, zbliż się tu i porozmawiajmy.

Oberżysta postąpił niespokojny.

— Chodź, kiedy ci mówię, nie bój się — kończył Atos. — Pamiętasz, gdy miałem ci płacić, położyłem na stole sakiewkę?

— Tak, jaśnie panie.

— Sakiewka ta zawierała sześćdziesiąt pistoli... Gdzież ona jest?

— Znajduje się w kancelarii sądowej, jaśnie panie, powiedziano, że to fałszywa moneta.

— Każ więc sobie ją oddać i weź te sześćdziesiąt pistoli.

— Jaśnie pan wie przecież, że co do kancelarii sądowej wpadnie, to i przepadnie. Gdybyż to były pieniądze fałszywe, byłaby jeszcze nadzieja, lecz skoro są dobre...

— Ułóżcie się tam, mój zuchu, to już mnie nie obchodzi, tym bardziej że nie mam ani grosza więcej.

— Czekajcie!... — odezwał się d'Artagnan. — Gdzie jest koń Atosa?

— W stajni.

— Co może być wart?...

— Pięćdziesiąt pistoli najwyżej.

— Wart osiemdziesiąt?... Weź go i koniec.

— Co znowu?... Konia mojego sprzedajesz, mojego Bajazeta³³⁵?... A na czym ja na wojnę pojedę, czy na Grimaudzie?

— Przyprowaździłem ci innego — rzekł d'Artagnan.

— Innego?

— I to wspaniałego — zawołał gospodarz.

— Skoro jest inny, piękniejszy i młodszy, zabierz starego, a dawaj pić.

— Ale jakiego wina? — zapytał gospodarz całkiem rozpozgodzony.

— Tego, co stoi w głębi przy krokwiach³³⁶; będzie tam jeszcze dwadzieścia pięć butelek, reszta się potłukła, gdy upadłem. Przynieś mi sześć.

— To piorun, nie człowiek — szepnęła na stronie oberżysta — jeżeli posiedzi tu dwa tygodnie, a będzie płacił, co wypije, stanę na nogi, jak się należy.

Grzech

³³⁵Bajazet, dziś: *Bajazyd* (1354–1403) — sultan osmański, nosił przydomek Błyskawica. [przypis edytorski]

³³⁶krokiew — pochyla belka podtrzymująca dach. [przypis edytorski]

— A nie zapomnij — dodał d'Artagnan — zanieść cztery butelki tego samego wina dwom panom angielskim.

— Tymczasem — rzekł Atos — zanim przyniosą nam wina, d'Artagnanie, opowiedz mi, co słyhać z naszymi, jestem bardzo ciekawy.

D'Artagnan opowiedział mu, jak zastał Portosa w łóżku ze zwichniętą nogą, Aramisa zaś za stołem pomiędzy dwoma teologami.

Przy końcu opowiadania wszedł gospodarz z żądanymi butelkami i szynką, która na szczęście znajdowała się poza obrębem piwnicy.

— Dobrze — rzekł Atos, napełniając dwa kieliszki — ten za zdrowie Portosa... a ten za Aramisa. Lecz co tobie, przyjacielu? Masz taką grobową minę...

— Niestety! — westchnął d'Artagnan. — Ponieważ jestem najniezwyklejszym człowiekiem na ziemi!

— Ty, nieszczęśliwy?... Ciekawy jestem, co to za nieszczęście? Powiedz!...

— Później — rzekł d'Artagnan.

— A to czemu? Może myślisz, że pijany, d'Artagnanie? Zapamiętaj to sobie, moja myśl nigdy nie jest tak jasna, jak przy winie. Mów... słucham cię obydwoma uszami.

D'Artagnan opowiedział swoją przygodę z panią Bonacieux.

Atos wysłuchał go z całym spokojem, a gdy skończył, powiedział:

— Nędza, wszystko nędza!...

Takie było jego przysłowie.

— Ty wszystko nazywasz nędzą, mój drogi!... — przerwał d'Artagnan. — Nie przystoi ci tak mówić, tobie, który nie kochałeś nigdy.

Przygasłe oczy Atosa zapłonęły nagle, lecz ogień ten przemknął jak błyskawica; przesłoniła je zwykła pomroka smutku.

— Prawda — rzekł spokojnie — ja nigdy nie kochałem.

— Widzisz więc, ty masz serce z kamienia i źle robisz, będąc tak surowy dla nas, co mamy czułe serca.

— Czułe, strzałą przeszyte serca!... — zadeklamował Atos.

— Co mówisz?...

— Mówię, że miłość jest loterią, na której wygrywający zdobywa śmierć! Twoje szczęście, żeś przegrał, wierzaj mi, mój drogi. A jeśli chcesz posłuchać mojej rady, przegrywaj zawsze.

— Zdawało się, że ona mnie tak kocha!

— Zdawało ci się.

— O! Ona mnie kochała!

— Dziecko! Nie ma mężczyzny, który by w to nie wierzył, i nie ma takiego, który by się nie zawiódł.

— Z wyjątkiem ciebie, boś nie miał nigdy kochanki.

— To prawda — odparł Atos po chwili milczenia. — Ja... ja nie miałem jej nigdy. Pijmy!

— Skoro taki filozof z ciebie, naucz mnie!... Wspomóż!... Potrzebuję nauki i pociechy.

— Pociechy? W czym?

— W moim nieszczęściu.

— Śmiech bierze na twoje nieszczęście — rzekł Atos, wzruszając ramionami. — Ciekawy jestem, co byś powiedział, gdybym ci opowiedział pewną przygodę miłosną.

— Twoją?

— Lub kóregoś z moich przyjaciół, mniejsza o to.

— Powiedz mi, powiedz!...

— Pijmy, lepiej zrobimy.

— Pij i opowiadaj.

— Ha! Dobrze — rzekł Atos, wychylając i napełniając kieliszek — te dwie rzeczy nieźle chodzą w parze.

— Słucham.

Atos zamyslił się; im dłużej to trwało, bladł coraz mocniej. Znajdował się on w tym stadium odurzenia, w którym pospolici pijacy padają znużeni snem. On nie spał, marzył tylko głośno. To pijackie junactwo miało w sobie coś przerażającego.

Alkohol

Miłość, Gra

Alkohol

— Koniecznie chcesz? — zapytał.

— Proszę... — odrzekł d'Artagnan.

— Niech się stanie, czego żądasz.

— Jeden z moich przyjaciół... rozumiesz, nie ja — rzekł, przerywając sobie z ponurym śmiechem — pewien hrabia z mojej prowincji, czyli z Berry, szlachetnie urodzony jak jaki Dandolo lub Montmorency, rozkochał się, mając dwadzieścia pięć lat, w szesnastoletniej dziewczynie, pięknej jak anioł. Spoza niewinności dziecięcej przebijał umysł żywy, umysł niekobiecy, poetyczny; mało powiedzieć, że podobała się... upajała. Żyła ona w małym miasteczku, przy bracie, który był proboszczem.

W tych stronach oboje byli nowymi przybyszami. Skąd? Nikt nie wiedział. Lecz że była piękna, a jej brat świątobliwy, nikomu na myśl nie przyszło pytać, skąd się wzięli.

Zresztą krążyły pogłoski, jakoby byli dobrego pochodzenia. Mój przyjaciel, który był panem na całą okolicę, mógł uwieść ją lub wziąć przemocą, zależało to od jego woli, wolno mu było!... Któż by się był ujął za cudzoziemcami, za nieznanymi?... Na nieszczęście był to człowiek uczciwy, poślubił ją. Głupiec, dureń, niedołęga!...

— Dlaczego? Skoro ją kochał? — zapytał d'Artagnan.

— Zaczekaj — mówił Atos. — Wprowadził ją do swojego zamku i uczynił z niej najpierwszą damę w okolicy. A trzeba jej przyznać, że umiała utrzymać się na stanowisku.

— Co dalej? — pytał d'Artagnan.

— Otóż! Gdy była na polowaniu z małżonkiem — ciągnął Atos głosem przytłumionym, mówiąc coraz szybciej — spadła z konia i zemdlła. Hrabia rzucił się jej na ratunek, a ponieważ cisnęły ją suknie, przeciął je sztyletem i odsłonił ramiona. Zgadnij, co na jednym z nich było, d'Artagnanie? — rzekł Atos, wybuchając strasznym śmiechem.

— Skądże mogę wiedzieć?

— Kwiat lilii! — powiedział Atos. — Była napiętnowana.

I duszkiem wychylił kielich trzymany w ręku.

— To zgroza!... — wykrzyknął d'Artagnan. — Co ty mówisz?

— Prawdę!... Anioł był szatanem. Nieszczęsna dziewczyna była złodziejką.

— Cóż wtedy zrobił hrabia?

— Był wielkim panem, miał w dobrach swoich prawo życia i śmierci, podarł do reszty suknie hrabiny, związał jej ręce na plecach i powiesił na drzewie.

— O nieba!... Atosie!... Morderstwo!... — krzyknął d'Artagnan.

— Tak, morderstwo, nic więcej... — rzekł Atos błądzący jak śmierć. — Ale wina nam braknie, jak mi się zdaje.

I porwał ostatnią butelkę za szyjkę, przyłożył do ust, wychylił duszkiem jakby zwyczajny kieliszek.

Potem opuścił głowę na dłonie; d'Artagnan stał przed nim przejęty grozą.

— Wyleczyło mnie to z kobiet pięknych, poetycznych i rozkochanych — rzekł, powstając, zaniechawszy w dalszym ciągu apologii³³⁷ hrabiego. — Daj ci Boże to samo! Pijmy!

— Umarła więc?... — wyjąkał d'Artagnan.

— Do licha!... — przerwał mu Atos. — Dawajże kieliszek. Szyunki, chamie! — krzyknął Atos. — Nie możemy już pić!

— Co się stało z jej bratem? — począł lękliwie d'Artagnan.

— Z bratem?... — odparł Atos.

— Tak, z tym księdzem.

— O! Dowiadywałem się o niego, aby go także pochwycić; ale uprzedził mnie, o dzień wcześniej opuścił probostwo...

— Czy przynajmniej dowiedziano się, kim był ten nędznik?

— Bez wątplenia!... Był to pierwszy kochanek i współnik dziewczyny, zacna osobistość udająca proboszcza, dlatego może, aby wydać za mąż swoją kochankę i w ten sposób los jej zabezpieczyć. Spodziewam się, że został poćwiartowany.

— O! Boże mój!... Boże!... — odezwał się d'Artagnan, oszołomiony tą straszną opowieścią.

³³⁷apologia — obrona (a zazwyczaj jednocześnie pochwała) jakiejś osoby lub poglądu. [przypis edytorski]

— Spróbujże tej szynki, d'Artagnanie, wysmienita — rzekł Atos, krojąc olbrzymi kawał i kładąc mu na talerz. — Szkoda, że chociaż czterech takich nie było w piwnicy! Wypilbym o pięćdziesiąt butelek więcej.

D'Artagnan nie mógł dłużej znieść tej rozmowy, czuł, że przyprawilaby go o szaleństwo.

Oparł głowę na rękach, udając, że zasypia.

— Teraz młodzież nie umie pić!... — rzekł Atos, patrząc na niego z politowaniem.

— A jednak lepszy ten jest od wielu innych...

Trzej muszkietierowie

TOM DRUGI

ROZDZIAŁ I. POWRÓT

Zwierzenia Atosa oszłomiły d'Artagnana.

Ale w tym połowicznym odkryciu pozostało dużo niejasnych stron.

Po pierwsze, pochodziło ono z ust pijanego, a uczynione zostało człowiekowi, któremu nieźle zakręciło się w głowie, a jednak, pomimo wspomnień zmaconych wyzwami paru butelek burgunda, d'Artagnan, przebudziwszy się nazajutrz rano, miał każde słowo Atosa w pamięci, jak gdyby wyrzyło mu się w umyśle.

Te wątpliwości pobudziły w nim tym większe pragnienie zdobycia jakiejś pewności, poszedł do przyjaciela z zamiarem rozpoczęcia wczorajszej rozmowy.

Zastał Atosa zupełnie trzeźwego, co znaczy najprzebieglejszego i najbardziej nieprzekornego z ludzi.

Atos nawet, uścisnąwszy mu rękę, sam uprzedził jego myśl.

— Byłem wczoraj okrutnie pijany, drogi d'Artagnanie — rzekł — czuję to jeszcze dziś po kołowatym języku i przyspieszonym pulsie. Założyłbym się, że powiedziałem tysiąc niedorzeczności.

To mówiąc, spojrzął bystro na przyjaciela, co tegoż mocno zmieszało.

— Gdzież tam — odparł d'Artagnan — o ile przypominam sobie, nic nadzwyczajnego nie mówiłeś.

— Zdziwiasz mnie! Zdawało mi się, że najsmutniejszą historię opowiadał.

I patrzył na młodzieńca, jak gdyby pragnął mu zajrzeć na dno serca.

— Na honor!... — odparł d'Artagnan. — Byłem widocznie pijany bardziej niż ty, skoro nic sobie nie przypominam.

Atos nie zadowolił się tym i kontynuował:

— Uważałeś zapewne, mój drogi, że ilu jest ludzi, tyle rodzajów pijaństwa, smutnego lub pełnego wesołości. Mnie upojenie doprowadza do smutku i niech mi tylko raz zakręci się w głowie, napada mnie mania opowiadania ponurych bajek, którą moja głupia mamka wraziła mi w pamięć. To moja wada, wada główna, wyznaję... lecz pominąwszy ją, dobry ze mnie pijak.

Atos mówił to w sposób tak naturalny, że d'Artagnan poczuł się zachwiany w swoim przekonaniu.

— A!... Rzeczywiście było tak — począł młodzieniec, usiłując pochwycić prawdę — przypominam sobie, jakby sen jaki, że mówiliśmy o wisielcach.

— A widzisz! — rzekł Atos, siląc się na śmiech pomimo bladeści, jaka pokrywała jego twarz. — Byłem tego pewny, wisielcy to moja zmore.

— Tak, tak, przypominam sobie teraz. Tak, była mowa... zaczekaj... była mowa o kobiecie.

— Patrzaj — odrzekł Atos, zieleniejąc prawie — to moja zwykła bajka o blondynce, a kiedy ją opowiadam, jestem pijany jak bela.

— Tak, tak samo — ciągnął d'Artagnan — historia o blondynce, wysokiej, pięknej, z niebieskimi oczami.

— I powieszanej.

— Przez jakiegoś wielkiego pana, którego znasz — ciągnął d'Artagnan, bystro patrząc na Atosa.

— Jakże to łatwo skompromitować człowieka, gdy nie zdajemy sobie sprawy z tego, co mówimy — odrzekł Atos, wznosząc ramiona jakby z politowaniem nad samym sobą. — Nie chcę więcej zaproszać sobie głowy, d'Artagnanie, to nader brzydkie przyzwyczajenie.

D'Artagnan milczał.

Nareszcie Atos, nagle zmieniając tok rozmowy, wyrzekł:

— Ale dziękuję ci za konia, którego przyprowadziłeś dla mnie.

— Podoba ci się? — zapytał d'Artagnan.

— Podoba, lecz nie jest to koń do ciężkich trudów.

— Mylisz się. Ujechałem na nim sześć mil w niespełna półtorej godziny, a wyglądał tak, jak gdyby tylko obiegł plac Saint-Sulpice.

Pijaństwo, Alkohol

— Otóż masz! Gotowym żałować.

— Żałować?...

— A tak, bo się go pozbyłem.

— Jak to?

— Wstałem dziś o szóstej, ty spałeś jak zabity, a ja nie miałem co robić. Czulem się całkiem przytępiony wczorajszą pijatyką; udałem się do sali i spostrzegłem jednego z naszych Anglików targujących się z handlarzami koni, ponieważ jego wierzchowiec zdechł wczoraj. Podszedłem do niego, a widząc, że daje sto pistoli za przepalonego bułanka³³⁸, na Boga, mój panie, mówię do niego: „Ja mam także konia na sprzedanie”.

„I bardzo ładnego nawet — rzekł — widziałem go wczoraj, trzymał go pacholek pańskiego przyjaciela”.

„Czy pan sądzisz, że wart jest sto pistoli?”

„O!... Tak, ale czy pan się zgodzisz oddać mi go w tej cenie?”

„Nie, lecz mogę postawić go na stawkę”.

„Na stawkę do mnie?”

„Tak”.

„A w co będziemy grali?”

„W kości”.

Stało się, jak się rzekło, i przegrałem konia. Ale i to dobre — ciągnął dalej Atos — że odegrałem czaprak.

D'Artagnan spochmurniał.

— Przykrość ci to sprawia?

— Rozumie się, że jeżeli mam ci powiedzieć prawdę — odparł d'Artagnan — koń ten miał służyć do wyróżnienia nas kiedyś w bitwie; był to dar, pamiątka. Źle zrobiłeś, Atosie.

— E!... Mój drogi, postaw się w moim miejscu; nudziłem się śmiertelnie. A zresztą, na honor, nie lubię koni angielskich. Słuchaj!... Jeżeli chodzi tylko o to, aby przez kogoś zostać poznanym, w takim razie siodło wystarczy; jest ono niepospolite. A co do konia, znajdzie się jakaś wymówka na usprawiedliwienie jego zniknięcia. Cóż, u diabła! Koń także jest śmiertelny; dajmy na to, był nosaty³³⁹ albo parszywy³⁴⁰.

D'Artagnan nie rozpogodził się bynajmniej.

— Przykro mi mocno, że tak bardzo ci chodzi o te bydlęta, gdyż to jeszcze nie koniec mego opowiadania.

— Cóżes tam jeszcze zrobił?

— Przegrawszy mojego konia, dziewięć przeciw dziesięciu, patrz, co za los! przyszła mi myśl postawić twojego.

— Spodziewam się jednak, że poprzestałeś na tej myśli?

— Wcale nie, wprowadziłem ją w czyn natychmiast.

— Otóż masz!... — zawołał przestraszony d'Artagnan.

— Grałem i przegrałem.

— Mojego konia?

— Twojego; siedem przeciw ośmiu, o jeden punkt, znasz przysłowie.

— Atosie, tyś nie przy zdrowych zmysłach, przysięgam!

— Mój drogi, wczoraj trzeba mi było to mówić, kiedy opowiadałem głupie historie, a nie dziś. Przegrałem go więc z całym rynsztunkiem.

— To okropne!

— Posłuchaj, ty nic nie wiesz, ze mnie gracz byłby znakomity, gdybym nie był uparty. Zapędzam się tak samo jak przy picciu, zapędziłem się, więc...

— Lecz o cóż już grać mogłeś, skoro nic ci nie pozostało?

— O!... Mój przyjacielu, pozostawał nam jeszcze diament, migocący na twoim palcu, zauważyłem go wczoraj.

— Ten diament? — zawołał d'Artagnan, z żywością dotykając pierścienia.

— A jako znawca, ponieważ miałem podobne w domu, oceniłem go na tysiąc pistoli.

³³⁸bułanek — koń bułany, tzn. płowy, żółtawobrazowy. [przypis edytorski]

³³⁹nosaty — dotknięty nosacizną: zaraźliwą chorobą końską. [przypis edytorski]

³⁴⁰parszywy — tu: pokryty parchami, czyli strupami wywołanymi chorobą grzybiczą. [przypis edytorski]

— Spodziewam się — rzekł d'Artagnan poważnie, ledwie żywy z przerażenia — iż nie wspomniałeś o nim.

— Przeciwnie, mój drogi. Ten diament pozostał naszą ostatnią ucieczką. Dzięki diamentowi mogłem odegrać uprząż i nasze konie, a nadto pieniądze na drogę.

— Atosie, przerażasz mnie! — wykrzyknął d'Artagnan.

— Wspomniałem więc o tym diamencie mojemu partnerowi, który i jego uwagę zwrócił. Co, u diabła, znowu, mój drogi, nosisz na palcu gwiazdę niebieską i chcesz, żeby jej nikt nie widział! Czyste niepodobieństwo!

— Kończ, mój drogi, kończ! — przerwał mu d'Artagnan. — Bo, daję słowo, twój spokój o śmierć mnie przyprawi.

— Podzieliłiśmy więc ten klejnot na dziesięć części, po sto pistoli każda.

— A! Drwisz sobie, aby mnie wypróbować? — odezwał się d'Artagnan, którego gniew poczynał chwycić za czuprynę jak Minerwa³⁴¹ Achillesa w *Iliadzie*.

— Ja wcale nie żartuję, do licha! Chciałbym cię na moim miejscu widzieć! Dwa tygodnie już jak nie oglądałem ludzkiej twarzy i zbydlęciałem w zetknięciu z butelkami.

— To wcale nie powód, żeby przegrywać mój diament! — odpowiedział d'Artagnan, zaciskając pięść kurczowo.

— Posłuchajże do końca. Dziesięć części po sto pistoli każda w dziesięciu stawkach bez rewanżu. Przegrałem wszystko w trzynastu pociągnięciach, w trzynastu: liczba trzydzieści była mi zawsze fatalna, było to 13 lipca, kiedy...

— Do wszystkich diabłów! — krzyknął d'Artagnan, zrywając się od stołu. Historia dzisiejsza zatarła wczorajszą w jego pamięci.

— Cierpliwości — przemówił Atos — jeszcze nie koniec. Anglik jest dziwak, widziałem go rozmawiającego z Grimaudem, a Grimaud mnie ostrzegł, że robił mu propozycję przyjęcia służby u niego. Daję Grimauda na stawkę, milczącego Grimauda, podzielonego na dziesięć części.

— Na dobitek³⁴²!... — rzekł d'Artagnan, mimowolnie wybuchając śmiechem.

— Grimauda we własnej jego osobie, rozumiesz! I dziesięcioma częściami Grimauda, który niewart oberżniętego dukata, odgrywam diament. Powiedz teraz, że upór nie jest cnotą.

— To pocieszne, na honor! — zawołał d'Artagnan, trzymając się za boki ze śmiechu.

— Pojmujesz, że gram, dopóki czuję wenę. Zaczynam na nowo grać o diament!

— Idź do diabła! — odezwał się d'Artagnan, na nowo się zachmurzając.

— Odegrałem już twoją uprząż, potem konia twego, następnie mojego i znowu przegrałem. Potem znowu odbiłem twoją uprząż i moją. Na tym stanęliśmy. Pysznie się udało, toteż nie puszczałem się dalej.

D'Artagnan odetchnął, jakby mu ratusz zdjęto z piersi.

— Więc diament pozostaje przy mnie? — zapytał nieśmiało.

— Nietknięty! A w dodatku uprzęże naszych bucefałów³⁴³.

— Lecz na cóż nam się przydadzą bez koni?...

— Mam ja na nie pewne zamiary.

— Atosie, ty mnie przerażasz.

— Słuchaj, ty nie grałeś już od dawna?

— I nie mam najmniejszej chęci.

— Nie należy się niczego wyrzekać. Nie grałeś od dawna, jak mówiłem, to musisz mieć szczęśliwą rękę.

— Cóż stąd?

— Otóż Anglik z towarzyszem są tutaj jeszcze. Zauważyłem, że żal im bardzo uprzęży. Tobie widocznie zależy na koniu. Na twoim miejscu stawilbym uprząż o niego.

— Nie będzie chciał tak małej stawki jak jedna uprząż.

— Stawiaj dwie! Ja nie jestem taki jak ty samolub.

— Doprawdy?... — zapytał zachwiany d'Artagnan. Tak dalece pewność Atosa poczęła się bezwiednie i jemu udzielać.

— Wygrasz od razu, daję słowo uczciwości.

³⁴¹Minerwa (mit. rzym.) — bogini mądrości i sztuk, utożsamiana z grecką Ateną. [przypis edytorski]

³⁴²na dobitek (pot.) — ponadto, dodatkowo. [przypis edytorski]

³⁴³bucefał — ciężki lub narowisty koń. [przypis edytorski]

Pijaństwo

Cnota

— Bo widzisz, skoro straciliśmy konie, chciałbym niezmiernie utrzymać się choć przy uprzęży.

— W takim razie postaw diament.

— O! To zupełnie co innego; nigdy, przenigdy.

— Diabli nadali! Zaproponowałbym ci dać Plancheta na stawkę.

— Ja wolę stanowczo nic już nie ryzykować.

— Szkoda... — rzekł oziębłe Atos. — Ten Anglik jest wypchany pistolami. E! Co tam!... Raz jeden spróbuj, jeden raz, to niedługo potrwa.

— A jeżeli przegram?

— Wygrasz.

— Ale jeżeli przegram?

— No, to oddasz uprzęż.

— Niech będzie jeden raz — przystał d'Artagnan.

Atos puścił się na poszukiwanie Anglika i zastał go w stajni, przyglądającego się uprzęży okiem pożądlivosti. Dobrze się trafiło. Postawił mu swoje warunki: dwa rzędy przeciw jednemu koniowi albo sto pistoli, do wyboru. Anglik namyślił się szybko: rzędy mogły być warte trzysta pistoli, przyjął stawkę.

D'Artagnan z drżeniem rzucił kości — padły na trójkę; jego bładość przeraziła Atosa, ale powiedział tylko:

— Nietęgi rzut, towarzyszu mój; będziesz pan miał konie z pełnym rzędem.

Triumfujący Anglik nie troszczył się nawet, by zamieszać kości, tak pewny był zwycięstwa.

D'Artagnan odwrócił się, chcąc ukryć zły humor.

— No, no, patrzcie — odezwał się Atos z właściwym sobie spokojem — niezwykle rzut, w moim życiu tylko cztery takie widziałem... dwa asy!

Anglik spojrział i zdziwił się, d'Artagnan spojrział i uniósł się radością.

— Tak — ciągnął dalej Atos — tylko cztery razy: jeden u pana de Créquy; drugi u mnie, na wsi, w moim zamku... kiedy jeszcze miałem zamek; a trzeci u pana de Tréville, czym w podziw nas wprawił; czwarty raz, nareszcie, padł na mnie w szynkowni i przegrałem sto luidorów i kolację.

— Pan zatem odbiera swojego konia? — odezwał się Anglik.

— Tak — rzekł d'Artagnan.

— Bez rewanżu?...

— Nasze warunki tak opiewały, zechciej pan sobie przypomnieć.

— Prawda. Koń będzie zwrócony pańskiemu służącemu.

— Chwilkę, panowie — odezwał się Atos — za pozwoleniem, mam słówko do powiedzenia mojemu przyjacielowi.

— Proszę.

Atos pociągnął d'Artagnana na stronę.

— Czego chcesz ode mnie, kusicielu?! — przemówił d'Artagnan. — Każesz mi grać jeszcze, wszak tak?

— Nie, chcę tylko, abyś się zastanowił.

— Nad czym?

— Odbierasz konia, prawda?

— Rozumie się.

— To źle, ja wziąłbym sto pistoli. Wiesz przecie, że postawiłeś rzędy przeciw koniowi lub sto pistoli, do wyboru.

— No, tak.

— Ja wziąłbym sto pistoli.

— Otóż ja biorę konia.

— Źle robisz, mówię ci. Co po koniu na nas dwóch, nie mogę przecież usiąść za tobą, wyglądalibyśmy jak dwaj synowie Aymona³⁴⁴ po stracie swego brata. Nie możesz także poniżyć mnie, paradując konno, gdy ja będę dreptał pieszo. Ja bym nie wahał się ani chwili i wziąłbym sto pistoli. I potrzebujemy pieniędzy na powrót do Paryża.

³⁴⁴synowie Aymona — nawiązanie do średniowiecznej opowieści *Czterech synów Aymona* (fr. *Les Quatre fils Aymon*). [przypis edytorski]

— Mnie o konia chodzi, Atosie.
— Źle robisz, bracie. Koń może się poślizgnąć, zakuleć, zbić kolana, jeść u żłobu, gdzie jadły konie nosate, i już po koniu, czyli po stu pistolach; konia żywić musi właściciel, gdy tymczasem pieniądze właściciela żywią.

— Lecz jak będziemy powracać?

— Na koniach naszych pacholków, do kata! Z miny i czupryny każdy pozna, że jesteście ludzie znakomici.

— Piękna mi mina na podjezdźkach, gdy Aramis i Portos będą się pysznić swoimi rumakami.

— Aramis!... Portos!... — zawołał Atos i począł się śmiać okropnie.

— Co takiego? — zapytał d'Artagnan, nie mogąc zdać sobie sprawy z tej wesołości.

— No, no, skończymy już raz — rzekł Atos.

— Więc zdaniem twoim?...

— Moim zdaniem należy wziąć sto pistoli, d'Artagnanie, z tą setką będziemy uctować do końca miesiąca. Bo widzisz, jesteśmy strudzeni, dobrze będzie trochę wypocząć.

— Ja mam wypoczywać?!... Nie, Atosie, jak tylko stanę w Paryżu, puszczam się na poszukiwanie tej nieszczęśliwej kobiety.

— Słuchaj! Czy sądzisz, że koń tak dalece ci się przyda, jak brzęczące luidory w ręku?! Bierz sto pistoli, bracie, bierz.

D'Artagnan czekał tylko okazji, ażeby się dać nakłonić. Ostatnia była wystarczająca. Zresztą, opierając się dłużej, mógł być posądzony przez Atosa o samolubstwo. Zgodził się więc i wziął sto pistoli, które mu Anglik wyliczył natychmiast.

Zabrano się do odjazdu. Podpisanie ugody pokojowej kosztowało sześć pistoli, nie licząc w to starego konia Atosa. Panowie wsiedli na podjezdźki pacholków, zaś Planchet i Grimaud puścili się pieszo z siodłami na głowach.

Jakkolwiek nietęgje konie mieli nasi kawalerzyści, wyprzedzili jednak swą służbę i stanęli w Crèvecoeur.

Z daleka spostrzegli Aramisa w melancholijnej pozie, wspartego na oknie i zapatrzonego w mgliste widnokregi.

— Hola! Aramis!... Co tam robisz, u diabła? — zawołali na niego dwaj przyjaciele.

— A! To wy!... — odpowiedział, jak ze snu zbudzony, młodzieniec. — Dumalem właśnie nad znikomością dóbr tego świata, a mój koń angielski, oddalający się i niknący w obłoku pyłu, był mi żywym obrazem nietrwałości rzeczy ziemskich. Życie samo da się streścić w tych trzech słowach: *Erat, est, fuit*³⁴⁵.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał d'Artagnan, poczynając domyślać się prawdy.

— To ma znaczyć, że dałem się w targu oszwabić³⁴⁶: sześćdziesiąt luidorów za konia, który tak chodzi, że truchtem może zrobić trzy mile na godzinę.

D'Artagnan i Atos wybuchnęli śmiechem.

— Drogi d'Artagnanie — rzekł Aramis — nie miej do mnie urazy, proszę, potrzeba mi pieniędzy; wreszcie ja pierwszy ponoszę karę, ten handlarz infamis³⁴⁷ obdarł mnie najmniej na pięćdziesiąt luidorów. Wy, co innego, dobrze się rządźcie! Jedźcie na podjezdźkach waszych pacholków, a luzem prowadzić każecie wasze paradne konie, powolutku, z odpoczynkami.

Jednocześnie wóz towarowy, który zarysowywał się od pewnego czasu na drodze z Amiens, zatrzymał się, a Grimaud i Planchet wygramolili się z niego z siodłami na głowach.

Wóz powracał do Paryża próżny, a dwaj pacholowie w zamian za gaszenie pragnienia, na które cierpiał woźnica, zostali przez niego podwiezieni.

— A to znowu co?... — odezwał się Aramis, widząc, co się święci. — Siodła tylko?...

— Zrozumiałeś teraz?... Co? — podchwycił Atos.

— Moi drodzy, to słowo w słowo jak ja. Przeczuciem tylko zachowałem uprząż. Hola, Bazin! Połóż tu mój nowy rząd z siodłem razem z siodłami panów.

— Cóżżeś zrobił ze swoimi klechami? — zagadnęła d'Artagnan.

³⁴⁵*Erat, est, fuit* (łac.) — było, jest, było. [przypis edytorski]

³⁴⁶*oszwabić* — oszukać. [przypis edytorski]

³⁴⁷*infamis* (daw.) — osoba skazana na utratę czci i praw; przen. niegodziwiec, wyrodek. [przypis edytorski]

— Zaprosiłem ich na obiad; mają tu wyborne wina, mówiąc nawiasem. Spoilem ich należycie; proboszcz zabronił mi zrzucenia munduru, a jezuita prosił mnie na wszystko, żeby ułatwić mu wstąpienie do muszkieterów.

— Bez napisania rozprawy! — zawołał d'Artagnan.

— Od tego czasu — ciągnął Aramis — życie mi błogo upływa. Zacząłem pisać poemat wierszem jednosylabowym; dosyć to trudne, lecz na trudnościach polega zasługa wszelkiej rzeczy. Treść jest światowa; przeczytam wam pieśń pierwszą, składa się ona z czterystu wierszy, a czytanie trwa zaledwie minutę.

— Słowo ci daję, Aramisie — odezwał się d'Artagnan, który na równi z łaciną nie nawidził wierszy — połącz krótkość z trudnością, a możesz być pewny, że twój poemat będzie posiadać dwie zasługi.

— Przy tym — prawił dalej Aramis — zobaczycie, ile w nim szlachetnej namiętności. Hejże! Przyjaciele, powracamy do Paryża. Brawo! Jadę, zobaczymy naszego Portosa, wyborne. Nie uwierzycie, jak mi tego olbrzymiego głuptasa brakowało! On by za królestwo nie sprzedał swego konia. Chciałbym go już na nim widzieć. Pewny jestem, że będzie wyglądał na Wielkiego Mogola³⁴⁸.

Dali koniom wytchnąć przez godzinę; Aramis zapłacił rachunki, Bazina wpakował na wóz z jego towarzyszami i wyruszyli, aby się połączyć z Portosem.

Zastali go na nogach, nie tak bladego jak za pierwszymi odwiedzinami d'Artagnana, i stół zastawiony na czterech, chociaż on sam jeden był tylko; na stole nęciły mięsiwa ponętnie przyprawione, wina wyborne i pyszne owoce.

— A! Towarzysze mili — zawołał, biegnąc na ich spotkanie — przybywacie w porę, siadałem właśnie do zupy, proszę was na obiad, panowie.

— Oho! — odezwał się d'Artagnan. — Tych butelek Mousqueton nie chwycił na lasso, przy tym cielęcina szpikowana, poledwica wołowa...

— Odżywiam się, odżywiam — odparł Portos — nic tak nie osłabia jak te diabelskie zwichnięcia. Czyś ty zwichnął sobie kiedyś cokolwiek, Atosie?

— Nigdy. Przypominam sobie tylko, że w owej utarczce przy ulicy Férou takie cięcie dostałem, że po przeszło dwóch tygodniach czułem je jak świeże.

— Czyż podobna, aby ten obiad był tylko dla ciebie, Portosie? — rzekł Aramis.

— Nie — odparł tenże — oczekiwałem pewnych panów z sąsiedztwa, którzy kazali mi oznajmić przed chwilą, że nie przybędą. Zastąpicie ich, a ja nic na zamianie nie stracę. Hola! Mousqueton! Podaj stołki i drugie tyle butelek.

— Czy wiecie, co my tu jemy?... — zagadnął Atos po upływie kilku minut.

— Do licha! — odparł d'Artagnan. — Cielęcinę nadziewaną karczochemi.

— A ja comber z jagnięcia — rzekł Portos.

— A ja potrawę z drobiu — odezwał się Aramis.

— Mylicie się, panowie — odrzekł poważnie Atos — jecie koninę.

— Co mówisz?! — zawołał d'Artagnan.

— Koninę — odezwał się Aramis z obrzydzeniem.

Portos tylko milczał.

— Tak, koninę!... Nieprawdaż Portosie, że jemy koninę? I nawet może z czaprakiem!

— Nie, panowie, czaprak zachowałem — rzekł Portos.

— Na uczciwość, wszyscyśmy siebie warci — rzekł Aramis — ktoś by myślał, że się umówiliśmy.

— Cóż chcecie — ozwał się Portos — ten koń zawstydział moich gości, nie chciałem więc ich poniżyć!

— Zresztą, twoja księżna nie powraca z wód, wszak się nie mylę? — odparł d'Artagnan.

— Nie powraca — rzekł Portos. — Daję wam słowo, gubernator tutejszy, szlachcic dostojny, który miał być dzisiaj u mnie na obiedzie, tak pragnął tego konia, że mu go nareszcie dałem.

— Dajeś? — zawołał d'Artagnan.

— O! Boże! Dałem! Tak się to mówi! — rzekł Portos. — Wąrt był z pewnością sto pięćdziesiąt luidorów, a ten kutwa nie chciał dać więcej ponad osiemdziesiąt.

Poeta

Jedzenie, Koń

³⁴⁸ *Wielki Mogol* — tytuł muzułmańskich władców pochodzenia turecko-mongolskiego, rządzących potężnym imperium w Indiach od XVI do XIX w. [przypis edytorski]

— Bez siodła? — pytał Aramis.

— Tak, bez siodła.

— Zauważcie, panowie — ozwał się Atos — że jeden Portos z nas wszystkich zrobił najlepszy interes.

Wtedy dopiero nastąpiły wybuchy śmiechu, które zmieszały biednego Portosa, lecz wkrótce wytłumaczono mu przyczynę tej wesołości, którą według zwyczaju podzielił bardzo głośno.

— W ten sposób wszyscy jesteśmy przy groszu.

— Tylko nie ja — ozwał się Atos — wino hiszpańskie Aramisa tak mi przypadło do smaku, że kazałem wpakować sześćdziesiąt butelek razem ze sługami do furgonu³⁴⁹; wysuplałem się więc do szczętu.

— A ja — rzekł Aramis — wyobraźcie sobie, do ostatniego grosza wydałem na kocioły w Montdidier i jezuitów w Amiens. Miałem wreszcie pewne zobowiązania, których musiałem dotrzymać; msze zamówione za was, panowie, i za mnie, które, gdy zostaną odprawione, bez wątpienia bardzo nam pomogą.

— Czy myślicie, panowie, że moje zwichnięcie nic mnie nie kosztowało? Nie licząc już rany Mousquetona, dla której zmuszony byłem dwa razy dziennie sprowadzać chirurga, a ten kazał sobie płacić podwójnie za każdą wizytę pod pozorem, że ten błazen Mousqueton pozwolił wpakować sobie kulę w takie miejsce, które aptekarzom tylko pokazywać można. Zapowiedziałem mu też srogo, aby odtąd nie ważył się ranić w takiej części ciała.

— No, no — rzekł Atos, zamieniając uśmiech porozumienia z d'Artagnanem i Aramisem — widzę, że postępowałeś z biedakiem arcywspaniale, tak jak na dobrego pana przystoi.

— Krótko mówiąc — ciągnął dalej Portos — po zapłaceniu kosztów pozostanie mi jeszcze jakieś trzydzieści talarów.

— A mnie dziesięć pistoli — dorzucił Aramis.

— Ho! Ho! — odezwał się Atos. — Zdaje się, że jesteśmy krezusami. A tobie, d'Artagnanie, co tam pozostało ze stu pistoli?

— Z moich stu pistoli? Najpierw pięćdziesiąt z nich dałem tobie.

— Tak sądzisz?

— Co, u kaduka?!

— A! Prawda, przypominam sobie.

— Następnie sześć zapłaciłem w oberży.

— Co za bydlę z tego oberżysty! Po co było mu płacić?

— Kazałeś mi to zrobić.

— Zanadto jestem dobry, co prawda. Zatem po zamknięciu rachunku?...

— Pozostaje mi dwadzieścia pięć pistoli.

— A ja — dodał Atos, wyciągając garstkę drobnych z kieszeni — ja...

— Ty nie masz nic...

— Lub tak niewiele, na uczciwość, że nie warto tego liczyć.

— A teraz obliczmy, co mamy razem. Portos?

— Trzydzieści talarów.

— Aramis?

— Dziesięć pistoli.

— Ty, d'Artagnanie?

— Dwadzieścia pięć.

— To czyni razem? — zagadnął Atos.

— Czteryście siedemdziesiąt pięć liwrow! — rzekł d'Artagnan, mocny w arytmetyce jak drugi Archimedes.

— Po przybyciu do Paryża pozostanie nam jeszcze całe czterysta — odezwał się Portos — nie licząc rzędów na konie.

— A skąd wziąć konie do szeregu? — wtrącił Aramis.

— Wielka rzecz!... Z czterech podjezdaków pacholków naszych zrobimy dwa pańskie wierzchowce, które ciągnąć będziemy na losy; czterysta liwrow wystarczy na połowę

³⁴⁹furgon — długi, kryty wóz transportowy. [przypis edytorski]

konia dla jednego z tych, co pozostaną pieszo; nareszcie, wyskrobki ze wszystkich kieszeni złożymy d'Artagnanowi, on ma szczęśliwszą rękę, pójdzie grać do pierwszej lepszej szulerni³⁵⁰ i sprawa skończona!...

— Jedźmy, bo stygnie — zawołał Portos.

Przyjaciele, spokojni o przyszłość, oddali hołd posiłkowi, którego resztki pozostawili Mousquetonowi, Bazinowi, Planchetowi i Grimaudowi.

Stanąwszy w Paryżu, d'Artagnan zastał u siebie list od pana de Tréville oznajmiający, iż zgodnie z jego żądaniem król udziela mu łaskawego zezwolenia na wstąpienie do muszkietierów.

Ponieważ było to najgorętszym pragnieniem d'Artagnana, rozumie się, poza odnalezieniem pani Bonacieux, rozradowany pobiegł do kolegów, z którymi rozstał się przed półgodziną, i zastał ich smutnych i wielce roztargnionych.

Zgromadzili się u Atosa dla narady, co oznaczało jakieś nader ważne okoliczności.

Pan de Tréville kazał ich zawiadomić, że niezłomnym zamiarem Jego Królewskiej Mości jest rozpoczęcie kroków wojennych 1 maja; należało więc niezwłocznie się umundurować.

Czterech filozofów patrzyło na siebie w osłupieniu; pod względem karności wojskowej nie było żartów z panem de Tréville.

— A ile na to potrzeba? — odezwał się d'Artagnan.

— O!... Nie ma co gadać — zabrał głos Aramis — obliczyliśmy już ze sknerstwem iście spartańskim³⁵¹, a każdemu z nas potrzeba tysiąc pięćset liwrów.

— Cztery razy po tysiąc pięćset czyni sześć tysięcy — rzekł Atos.

— Mnie się zdaje — rzekł d'Artagnan — że wystarczy po tysiącu na każdego; co prawda, mówię nie jak Spartanin³⁵², lecz jak notariusz...

Słowo „notariusz” ocknęło Portosa.

— Czekać, przychodzi mi pomysł do głowy — zawołał.

— I to coś znaczy; ja nie mam go ani cienia — odezwał się Atos oziębło — a d'Artagnan oszalał ze szczęścia, że przynależy do nas. Tysiąc liwrów!... Oświadczam, że na mnie samego potrzeba dwóch tysięcy.

— Cztery razy dwa jest osiem — odezwał się Aramis. — Musimy więc mieć osiem tysięcy liwrów na nasze przybory, wprawdzie siodła już mamy.

— A nadto — rzekł Atos, czekając, aż d'Artagnan idący do pana de Tréville z podziękowaniem zamknie drzwi za sobą — a nadto pyszny diament, który świeci u naszego druha. Co, u diabła! Jest nazbyt dobrym kolegą, aby swoich braci opuścił w potrzebie, kiedy sam nosi na środkowym palcu okup królewski.

ROZDZIAŁ II. POSZUKIWANIE ŚRODKÓW NA WYPRAWĘ

Najbardziej ze wszystkich zajęty był bez wątpienia d'Artagnan, chociaż jemu jako gwardziście wszystko łatwiej by przyszło niż panom muszkietierom, którzy byli wielkimi panami.

Ale nasz Gaskończyk, choć z młodszej linii, był z usposobienia przewidujący i chciwy, a nawet tak próżny jak sam nieledwie Portos.

Prócz tej myśli, wyłącznej na pozór, niemniej go trapił niepokój nie tyle egoistycznej natury.

Daremnie bowiem wywiadywał się o panią Bonacieux; znikąd żadnej nowiny.

Pan de Tréville mówił o niej z królową; ta, nie wiedząc, co się z nią dzieje, obiecała kazać jej szukać. Obietnica ta jednak była zbyt nieokreślona, aby zaspokoić d'Artagnana.

Atos nie wychodził z pokoju.

— Mamy tylko dwa tygodnie przed sobą — mówił do swoich towarzyszy — mniejsza o to!... Jeżeli nic nie znajdę przed upływem tego czasu, to jest, jeżeli nic do mnie nie przyjdzie, a nadto dobrym katolikiem jestem, aby roztrzaskać sobie głowę strzałem

³⁵⁰szulernia — miejsce, w którym gra się hazardowo w karty. [przypis edytorski]

³⁵¹spartański — surowy. [przypis edytorski]

³⁵²Spartanin — mieszkaniec starożytnego miasta Sparta; Spartaninie słynęli z surowego trybu życia. [przypis edytorski]

pistoletu, zadrę należycie z czterema gwardzistami Jego Eminencji albo z sześcioma Anglikami i dopóty będę się bił, dopóki się który nie znajdzie, kto mnie ubije, co prędzej czy później musi mnie spotkać. Powiedzą wtedy, że poległem w sprawie królewskiej, spełnię więc obowiązek służby i uniknę potrzeby ekwipowania.

Portos wciąż się przechadzał z rękami założonymi w tył, kiwając głową i mówiąc:

— Spróbuję, może mi się uda.

Aramis, stroskany, nieufryzowany, milczał.

Te nieszczęsne szczegóły dają nam miarę rozdrażnienia, jakie zapanowało w zgromadzeniu.

Trzej przyjaciele — gdyż, jak się rzekło, Atos poprzysiągł, że nawet palcem nie kiwnie dla umundurowania się — skoro świt wychodzili z domu i powracali późną nocą.

Włóczyli się po ulicach, szukając na bruku, czy jakiś przechodzień nie upuścił sakiewki. Rzec by można, że tropią czyjeś ślady, tak wytrwale i z uwagą przyglądali się każdej piędzi³⁵³ ziemi. Spotkawszy się, patrzyli na siebie z rozpaczą, jakby chcąc zapytać: znalazłeś coś?

Jednakże Portos jako pierwszy, któremu jakiś pomysł przyszedł do głowy, trzymał się go wytrwale i wziął się do dzieła. Czcigodny Portos był człowiekiem czynu.

Pewnego dnia d'Artagnan spostrzegł go, jak szedł w kierunku kościoła Saint-Leu³⁵⁴, i udał się za nim bez namysłu.

Wstąpił on w progi przybytku, podkręciwszy wprzód wąsa i musnąwszy śpiczastą bródkę, co zwykle oznaczało u niego silny zamiar podboju.

Ponieważ d'Artagnan postępował za nim nieznaczenie, Portos nie przypuszczał, że jest widziany.

D'Artagnan wszedł za nim. Portos oparł się z jednej strony filaru, on zaś uczynił to samo z drugiej.

Z kazalnicy ksiądz prawił kazanie i z tego powodu kościół był przepelniony.

Portos zawzięcie przyglądał się kobietom, a dzięki troskliwym staraniom Mousquetona jego powierzchowność nie zdradzała bynajmniej wewnętrznej niedoli. Kapelusz miał mocno sfatygowany, pióro spłowiłe fatalnie, hafty zaśniedziałe, a koronki nie trzymały się kupy; jednak w półcieniu te drobnostki nikły i Portos zawsze był pięknym Portosem.

D'Artagnan spostrzegł na ławce najbliższej filaru, o który obydwaj byli oparci, jakąś piękność przejrzałą, przyzółkłą i zasuszoną, lecz wyprostowaną i sztywną za czarnym kwefem³⁵⁵. Oczy Portosa spoczęły przelotnie i na tej damie, następnie począł strzelać wzdłuż całej nawy.

Dama znów, płoniąc się co chwila, zerkała ukradkiem na płochego Portosa, ten zaś, dostrzegłszy to, coraz zapalczywiej rzucił na wszystkie strony strzeliste spojrzenia.

Widocznie tym postępowaniem musiał do żywego dotknąć zekwefioną damę, gdyż gryzła wargi do krwi, drapała się po nosie i jak opętana kręciła się na siedzeniu.

Portos, zauważywszy to, znowu podkręcił wąsa, musnął śpiczastą bródkę i zaczął mrugać na piękną damę siedzącą w pobliżu chóru, widocznie jakąś wielką damę, bo Murzynek przyniósł poduszkę, na której klęczała, a za nią stała służebna z herbowym futerałem od książki do nabożeństwa w ręce.

Czarno zakwefiona dama śledząc spojrzenia Portosa, poznała, że spoczęły one na damie z aksamitną poduszką, Murzynkiem i służebną.

A Portos wciąż przypuszczał szturm: to mrugając, to kładąc palec na ustach, to przesyłając zabójcze uśmiechy, które naprawdę rozjątrzyły przekwitłą piękność.

Ona też, bijąc się niby w piersi, chrząknęła tak groźnie, że wszyscy, nie wyjąwszy damy na czerwonej poduszce, zwrócili się w jej stronę, Portos jednak nie zmienił wcale swej taktyki, zrozumiał dobrze, o co chodzi, lecz udał głuchego.

Dama z czerwoną poduszką jako piękność niezwykła sprawiła wrażenie na damie w czarnym kwefie, która widziała, że ma niebezpieczną rywalkę; ale też nie mniejsze wrażenie wywarła na Portosie, który uznał, że była piękniejsza od damy w czarnym kwefie.

Najbardziej wszakże wzruszony był d'Artagnan.

³⁵³piędź — dawna miara długości, ok. 20 cm; tu: najmniejszy nawet skrawek ziemi. [przypis edytorski]

³⁵⁴kościół Saint-Leu — rzymskokatolicka świątynia znajdująca się w Amiens. [przypis edytorski]

³⁵⁵kwef — zasłona, woal. [przypis edytorski]

Poznał on w niej damę z Meung, Calais i Dover, którą mężczyzna z blizną na twarzy, jego prześladowca, powitał tytułem „milady”.

D'Artagnan, nie tracąc jej z oczu, w dalszym ciągu śledził grę Portosa, która go mocno bawiła; domyślał się, że dama w czarnym kwefie jest prokuratorową z ulicy aux Ours, tym więcej, że kościół Saint-Leu był niezbyt odległy od jej mieszkania.

Wywnioskował więc z tego, że Portos szukał zemsty za swój zawód w Chantilly, kiedy prokuratorowa okazała się tak zacięta, że poskąpiła swojej sakiewki.

Jednakże pośród tego wszystkiego zauważył i to także, iż ładna twarzyczka nie odpowiadała na zalecanki Portosa.

Wszystko więc było złudzeniem; lecz dla istotnej miłości i zazdrości prawdziwej ponad rzeczywistością górują złudzenia i mrzonki.

Po skończonym kazaniu prokuratorowa podeszła do kropielnicy; Portos wyprzedził ją i zamiast jednego palca zanurzył całą rękę.

Prokuratorowa uśmiechnęła się, sądząc, że zdobył się na to dla niej, lecz rychło i okrutnie się zawiodła. Gdy była już o trzy kroki od niego, odwrócił głowę, uporczywie wpatrując się w damę, która powstawszy, zbliżała się z Murzynkiem i służebną.

Kiedy znalazła się tuż przy nim, Portos wyjął z kropielnicy rękę pełną wody. Piękna nabożnisia dotknęła drobnymi paluszkami jego grubej dłoni, przeżegnała się z uśmiechem i wyszła z kościoła.

Tego już było nadto dla prokuratorowej, nie miała już żadnej wątpliwości, że owa dama i Portos zalecają się do siebie.

Gdyby była wielką panią, zemdlaby niezawodnie; lecz jako zwyczajna prokuratorowa przestała na odezwanie się do muszkietera z wściekłością źle pohamowaną:

— Cóż to! Panie Portosie, nie podajesz mi wody święconej?

Na dźwięk jej głosu Portos drgnął jak człowiek zbudzony ze stuletniego snu.

— Pa... Pani!... — wykrzyknął. — To pani? Jakże mąż jej się miewa, kochany pan Coquenard? Czy nadal jest takim sknerą, jakim był? Gdzież ja miałem oczy, żeby nie spostrzec pani w ciągu dwugodzinnego kazania?

— Znajdowałam się o dwa kroki od pana — odparła prokuratorowa. — Lecz nie widziałeś mnie, mając oczy jedynie dla pięknej damy, której podałeś święconą wodę.

Portos udał zakłopotanie.

— A! Pani zauważyłaś...

— Trzeba być ślepą, żeby tego nie widzieć.

— Tak — rzekł od niechcienia — jest to księżna, moja przyjaciółka, z którą bardzo rzadko mogę się spotkać z powodu zazdrości jej męża. Zawiadomiła mnie też, że aby się ze mną zobaczyć, będzie w tym skromnym kościółku w tak oddalonej dzielnicy.

— Panie Portosie — odrzekła prokuratorowa — czy będziesz na tyle łaskaw podać mi na pięć minut ramię? Chętnie bym pomówiła z panem.

— A jakże i owszem, pani — podchwycił Portos, mrugnawszy do siebie samego jak szuler drwiący z partnera, którego udało mu się oszukać.

W tej chwili właśnie przechodził d'Artagnan, goniąc milady; spojrział ukosem na Portosa i zobaczył odbłysek triumfu w jego oczach.

— E! E! — rzekł do siebie, rozumując w duchu moralności niezwykle luźnej, właściwej tej miłej epoce. — Ten będzie miał wyekwipowanie na termin.

Portos, ulegając ciśnieniu prokuratorowej jak łódź pod naciskiem steru, doszedł do klasztoru Saint-Magloire — miejsca mało uczęszczanego, z obu stron zamkniętego kołowrotem. We dnie można tam było spotkać żebraków jedzących i dziatwę³⁵⁶ igrającą.

— A! Panie Portosie!... — wykrzyknęła prokuratorowa, upewniwszy się wpierw, że nikogo prócz zwykłej ludności tam nie było. — A! Panie Portosie! Jak widzę, wielki z pana zdobywca!

— Ja?... Pani!... — przemówił Portos, nadymając się. — Dlaczego?

— A te znaki porozumienia, a woda święcona? Ależ to co najmniej księżniczka krwi, owa dama z Murzynkiem i pokojową!

— Mylisz się pani... mój Boże — odpowiedział Portos — jest to zwyczajna księżna.

³⁵⁶*dziatwa* (daw.) — dzieci. [przypis edytorski]

— A ten laufer³⁵⁷ oczekujący przy drzwiach? A karetą ze stangretem w liberii?
Portos nie widział tego wszystkiego, lecz zazdrosne oko pani Coquenard niczego nie przepuściło.

Żał mu się też zrobiło, iż od razu nie podniósł do rzędu księżniczek krwi damy z czerwona poduszką.

— A! Pieszczoch pięknych pań z ciebie, panie Portosie — mówiła prokuratorowa z westchnieniem.

— Pojmuje pani, iż przy tej urodzie, w jaką uposażyła mnie natura, nie zbywa mi na powodzeniu.

— Mój Boże! Jak ci mężczyźni zapominają prędko! — zawołała dama, wznosząc ku niebu oczy.

— Nie tak jednak jak kobiety, o ile mi się zdaje — odparł Portos — gdyż mogę powiedzieć, iż stałem się pani ofiarą, kiedy ranny, umierający widziałem się opuszczony przez chirurgów; ja, potomek znakomitego rodu, który polegałem na twojej przyjaźni, o mało nie umarłem z ran, a następnie z głodu w podłej oberży w Chantilly, i to bez słówka odpowiedzi na moje palące listy...

— Ależ panie Portosie... — szepnęła prokuratorowa, czując się winna według wielkoświatowych pojęć z owego czasu.

— Który poświęciłem dla ciebie baronową...

— Wiem o tym.

— Hrabinię...

— Panie Portosie!

— Księżną...

— Panie Portosie, bądź wspaniałomyślny!

— Masz pani słuszność, nie będę już kończył...

— To mój mąż ani chciał słyszeć o pożyczce...

— Pani Coquenard... przypomnij sobie twój pierwszy list, który zachowałem wyryty w pamięci.

Prokuratorowa jęknęła głucho.

— Bo też za wielka była suma, której żądałeś.

— Pani Coquenard, dałem ci pierwszeństwo. Gdybym był napisał do księżnej... Nazwiska jej nie wymienię, bo dobrze wiem, co to jest kompromitować kobietę; lecz i to wiem także, iż mogłem być napisać tylko do niej, a przysłałaby mi tysiące.

Dama uroniła łzę.

— Panie Portosie, przysięgam, że ukarałeś mnie straszliwie i jeżeli w przyszłości znajdziesz się w podobnym wypadku, udaj się tylko do mnie.

— Fe!... Pani!... — odezwał się Portos, niby obrażony. — Nie mówmy o pieniądzech, proszę, to poniżające.

— Więc już mnie nie kochasz! — wymówiła prokuratorowa z wolna i smutno.

Portos milczał wyniośle.

— Tak mi odpowiadasz? Rozumiem, niestety!

— Pomyśl, pani, jaką wyrządziła mi obelgę; tkwi ona tu — rzekł Portos, kładąc rękę na sercu i przyciskając je silnie.

— Załagodzę ją, cóż?... Zgoda?... Portosie drogi?

— Wreszcie, cóżem ja żądał od ciebie — ciągnął dalej Portos, dobrodusznie wzduszając ramionami — tylko pożyczki. Ostatecznie nie jestem człowiekiem bez rozumu. Wiem dobrze, że pani nie jesteś bogata, a twój mąż musi dobrze wysysać krew ze swoich klientów dla wyciągnięcia kilku nędznych talarów! O! Gdybyś była hrabiną, margrabiną lub księżną, to co innego, nigdy bym ci tego nie przebaczył.

Prokuratorowa czuła się urażona.

— Dowiedz się, panie Portosie, że moja kasa, jakkolwiek prokuratorowska, jest może lepiej zaopatrzona niż tych twoich arystokratycznych brunetek.

— Wyrządzasz mi podwójną obelgę — rzekł Portos, puszczając jej ramię — bo skoro jesteś bogata, twoja odmowa nie ma usprawiedliwienia.

Uroda, Pochlebstwo,
Próżność

³⁵⁷laufer — sługa biegnący przed karetą i torujący jej drogę. [przypis edytorski]

— Gdy mówię, że bogata — podjęła żywo prokuratorowa, widząc, że zapędziła się zbyt mocno — nie należy brać tego dosłownie. Właściwie nie jestem bogata, ale mam się dobrze.

— Pani, posłuchaj mnie! — rzekł Portos. — Nie mówmy o tym, proszę! Nie poznałaś się na mnie... Wszelkie uczucie między nami wygasło.

— Niewdzięcznik!...

— A! Uskarżaj się, radzę ci!

— Wynos się razem ze swoją piękną księżniczką! Nie zatrzymuję.

— E! Nie jest ona bynajmniej szpetna!

— Panie Portosie, raz jeszcze mnie wysłuchaj, ostatni raz!... Kochasz mnie jeszcze?

— Niestety! Pani — ozwał się ciężko melancholijnym głosem — gdy wybieramy się na wojnę, na której przeczucie mi mówi, że zostanę zabity...

— O! Nie mów tak! — krzyknęła dama, wybuchając łkaniem.

— Coś mi tak mówi!... — ciągnął Portos coraz bardziej ponurym głosem.

— Powiedz lepiej, że znowu się zakochałeś!

— Wcale nie, mówię szczerze. Nic nowego mnie nie wzrusza, a nawet czuję tam, w głębi serca mego, coś, co za tobą przemawia. Lecz, jak wiesz, a może i nie wiesz, za dwa tygodnie zaczyna się wojna złowieszcza; strasznie będę zajęty wyekwipowaniem się moim. Potem czeka mnie podróż do Bretanii³⁵⁸ dla odwiedzenia rodziny i zrealizowania sumy potrzebnej na wyjazd.

Dostrzegł ostatnią walkę, jaką staczała miłość ze skąpstwem.

— A ponieważ księżna, którą widziałeś w kościele, ma dobra przylegające do moich, razem puścimy się w drogę. Wiesz dobrze, iż podróż tak się nie przykrzy, kiedy się ją odbywa we dwoje.

— Czy nie masz przyjaciół w Paryżu? — zagadnęła prokuratorowa.

— Sądziłem, iż mam ich — rzekł Portos, przybierając na nowo wyraz melancholijny — przekonałem się jednak, iż jestem w błędzie.

— Masz ich, masz, panie Portosie — odparła prokuratorowa w uniesieniu, które zdziwiło ją samą. — Przyjdź jutro do nas. Jesteś synem mojej ciotki, a zatem bratem ciotecznym; przybywasz z Noyon w Pikardii, masz kilka spraw w Paryżu, a nie znasz żadnego adwokata. Będziesz pamiętał?

— Jak najwyborniej.

— Przyjdź w godzinie obiadowej.

— I owszem.

— A z moim mężem trzymaj się ostro, bo to stary, przebiegły lis, pomimo siedemdziesięciu sześciu lat.

— Siedemdziesiąt sześć lat! Piękny wiek!...

— Późny wiek, powiedz lepiej, panie Portosie, toteż biedaczysko drogie może zostać mnie lada chwila wdową — ciągnęła prokuratorowa, rzucając na Portosa znaczące spojrzenie. — Na szczęście, zgodnie z intercyzą ślubną, cały majątek przechodzi na żyjącego małżonka.

— Cały majątek? — zagadnął Portos.

— Cały.

— Przewidująca z ciebie kobieta, droga pani Coquenard — rzekł Portos, czule ścisnąc jej rękę.

— A zatem, zgoda między nami, drogi panie Portosie? — zapytała, wdzięcząc się.

— Na całe życie — podobnie odpowiedział Portos.

— Do zobaczenia więc, mój zdrajco.

— Do widzenia, zapominajko moja.

— Do jutra, aniele mój.

— Do jutra, światło mego życia.

ROZDZIAŁ III. MILADY

D'Artagnan szedł za milady niepostrzeżenie.

³⁵⁸ *Bretania* — kraina historyczna i region w płn.-zach. Francji. [przypis edytorski]

Widział, jak wsiadała do karety i słyszał, jak wydała woźnicy rozkaz, ażeby jechał do Saint-Germain.

Niepodobna było gonić piechotą za powozem, który unosiła pędem para dzielnych koni.

Powrócił więc do mieszkania Atosa. Na ulicy de Seine spotkał Plancheta stojącego przed sklepem z ciastkami, w zachwycie nad brioszką³⁵⁹ o smakowitym wyglądzie.

Rozkazał mu osiodłać dwa konie w stajni pana de Tréville, jednego dla siebie, drugiego dla Plancheta, i przyprowadzić je przed mieszkanie Atosa; pan de Tréville oddał bowiem raz na zawsze swoje stajnie na usługi d'Artagnana.

Pan i sługa rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Atos był w domu, smutnie wypróżniając jedną z owych butelek hiszpańskiego wina, które wywiózł z Pikardii. Dał znak Grimaudowi, aby przyniósł drugi kieliszek, co ten spełnił w milczeniu, jak zawsze.

D'Artagnan opowiedział Atosowi, co zaszło w kościele pomiędzy Portosem i prokuratorową i jak ich towarzysz, według wszelkiego prawdopodobieństwa, był już na drodze do wyekwipowania.

— Co do mnie — rzekł Atos w odpowiedzi na to sprawozdanie — jestem spokojny, że moje uzbrojenie nie odbędzie się kosztem płci pięknej.

— A jednak taki z ciebie piękny, gładki mężczyzna i wielki pan, drogi Atosie! Zaręczam, iż nie ma księżniczek ani królowych, których by nie dotknęły twoje miłosne pociski.

— Jakiś ty młody!... — rzekł Atos, wzruszając ramionami.

I kiwnął na Grimauda, aby podał drugą butelkę.

Tymczasem w uchylonych drzwiach ukazała się nieśmiało głowa Plancheta z oznajmieniem, że konie gotowe.

— Co za konie? — zapytał Atos.

— Pożyczone mi przez pana de Tréville dla przejażdżki do Saint-Germain.

— A ty tam po co? — zapytał jeszcze Atos.

D'Artagnan opowiedział mu wtedy o swoim spotkaniu w kościele, że odnalazł kobietę, która wraz z mężczyzną w czarnym płaszczu i z blizną na skroni była jego ustawicznym niepokojem.

— To znaczy, żeś zakochany w niej jak w pierw w pani Bonacieux — rzekł Atos, wznosząc z pogardą ramiona, jak gdyby się litował nad ułomnością ludzką.

— Ja?... Wcale nie! — zawołał d'Artagnan. — Ciekawy jestem tylko wyjaśnienia tajemnicy, jaką się ona otacza. Nie wiem dlaczego, ale mi się zdaje, że ta kobieta, jakkolwiek nieznani sobie jesteśmy, wywiera jakiś wpływ na moje życie.

— Rzeczywiście, masz słuszość — ciągnął Atos. — Nie znam kobiety, której warto byłoby szukać, gdy zginie. Pani Bonacieux zginęła, tym gorzej dla niej, niech się sama odnajdzie.

— Nie!... Mylisz się, Atosie — rzekł d'Artagnan. — Kocham moją biedną Konstancję bardziej niż kiedykolwiek i gdybym wiedział, gdzie się znajduje, choćby to było na końcu świata, poszedłbym wyzwolić ją z rąk nieprzyjacielskich. Lecz nie wiem nic zgoła, a dotąd moje poszukiwania pozostały bez skutku. Cóż chcesz, trzeba się trochę rozerwać.

— Rozrywaj się z miłady, drogi d'Artagnanie, życzę ci z całego serca, jeżeli cię to jeszcze bawi.

— Słuchaj, Atosie, zamiast siedzieć w zamknięciu jak skazany na koź, siadaj na konia i jedź ze mną do Saint-Germain.

— Mój drogi, na konia siadam, gdy go mam, a gdy nie mam, idę piechotą.

— Otóż! Ja siadam, na co się przytrafi — rzekł d'Artagnan, uśmiechając się z mizantropii³⁶⁰ Atosa, która w kimś innym niż on nie podobałaby mu się z pewnością. — Zatem do widzenia, drogi Atosie.

— Do widzenia — odparł muszkieter, dając znak Grimaudowi, aby odkorkował przyniesioną butelkę.

D'Artagnan z Planchetem siedli na konie i ruszyli drogą do Saint-Germain.

³⁵⁹brioszka (fr. *brioche*) — francuska lekko słodka bułka drożdżowa. [przypis edytorski]

³⁶⁰mizantropia (z gr.) — niechęć do ludzi. [przypis edytorski]

Przez drogę nasz młodzieniec myślał o tym, co Atos powiedział o pani Bonacieux. Jakkolwiek nie był zbyt uczuciowy, piękna kramarzowa wpiła mu się głęboko w serce. Gotów był iść na koniec świata, ażeby ją odnaleźć.

Lecz świat ma dużo końców, przez to samo, że jest okrągły; nie wiedział więc, w którą stronę się obrócić.

Tymczasem chciał się dowiedzieć, kim była ta milady. Rozmawiała z mężczyzną w czarnym płaszczu, a więc go znała. Zaś mężczyzna ten, według niego, po raz drugi porwał panią Bonacieux, tak samo jak po raz pierwszy.

D'Artagnan skłamał więc tylko w połowie, co prawie przestaje być kłamstwem, bo poszukując milady, tym samym szukał Konstancji.

Tak zadumany, od czasu do czasu dając koniowi ostrogę, przybył do Saint-Germain. Minął wzdłuż pawilon, w którym dziesięć lat później miał przyjść na świat Ludwik XIV. Wjechał w pustą ulicę, rozglądając się na prawo i lewo, czy nie ujrzy śladu pięknej Angielki, gdy wtem na parterze ładnego domku ukazała się jakaś znajoma postać. Postać ta przechadzała się na tarasie przybranym w kwiaty.

Pierwszy poznał ją Planchet.

— E! Panie — rzekł, zwracając się do d'Artagnana — czy nie przypomina pan sobie tej twarzy, która się tam gapi na wrony?

— Nie — odrzekł d'Artagnan — a jednak przekonany jestem, że nie po raz pierwszy ją widzę.

— Wierzę bardzo. To Lubin, lokaj hrabiego de Wardes, tego samego, co go pan tak dobrze urządził miesiąc temu w Calais, na drodze do letniego mieszkania gubernatora.

— A! Prawda!... Poznaję go teraz. Sądziś, że i on ciebie poznał?

— Wątpię, zanadto był zmieszany owego czasu.

— Kiedy tak, to idź i wciągnij go w gawędkę. A postaraj się dowiedzieć, czy jego pan umarł.

Planchet zsiadł z konia i poszedł prosto do Lubina, który go rzeczywiście nie poznał, poczęli więc jak najprzyjaźniej rozmawiać, a d'Artagnan tymczasem pociągnął konie w wąski przesmyk i okrążywszy dom, zawrócił, aby wysłuchać narady spoza szpaleru leszczyzny.

Po niedługim czasie usłyszał turkot powozu, następnie ujrzał karetę milady. Nie było najmniejszej wątpliwości — ona w niej siedziała.

D'Artagnan położył się na szyi konia, aby wszystko widzieć, nie będąc widzianym.

Milady wychyliła spoza portiery uroczą główkę, otoczoną zwojami złocistych włosów, i dała jakiś rozkaz pokojowej.

Ta rześka i ładna dziewczyna, mogąca mieć dwadzieścia parę lat, prawdziwa subretka³⁶¹ wielkiej damy, zeskoczyła i podążyła prosto na taras, gdzie stał poprzednio Lubin. Tego jednak przed chwilą odwołano do wnętrza domu, tak że Planchet pozostał sam, rozglądając się dokoła, gdzie mu się pan jego podział.

Pokojowa, biorąc go za Lubina, podeszła doń i oddając mu bilecik, rzekła:

— To do waszego pana.

— Do mojego pana? — odparł zdziwiony Planchet.

— Tak, i bardzo pilny. Bierście prędko.

To mówiąc, co tchu zawróciła do karety, wskoczyła na kozioł³⁶², a konie popędziły z powrotem.

Planchet obracał list w ręce; wreszcie, przywykły do biernego posłuszeństwa, zbiegł z tarasu, puścił się w przesmyk i spotkał d'Artagnana, który wypatrzywszy, co zaszło, podążył naprzeciw niego.

— Do pana — rzekł Planchet, podając mu bilecik.

— Do mnie?... Czyś tego pewny?

— Jak to, czy jestem pewny? Subretka powiedziała: „do waszego pana”. Ja nie mam innego, a zatem... O! Ładna bestyjka ta subretka!...

D'Artagnan otworzył liścik i odczytał te wyrazy:

³⁶¹subretka (daw.) — pokojówka. [przypis edytorski]

³⁶²kozioł — siedzenie dla woźnicy w pojeździe konnym. [przypis edytorski]

Osoba, którą obchodzisz więcej, niż wyznać jest w stanie, pragnie dowiedzieć się, kiedy będziesz mógł przechadzać się w lesie. Jutro w hotelu du Champ du Drap d'Or odpowiedzi oczekiwać będzie służący w czarno-czerwonej liberii.

— Ho! Ho!... — rzekł d'Artagnan. — To dosyć niezłe. Widocznie milady i ja troszczymy się zarówno o zdrowie jednej i tej samej osoby. A co! Planchecie, jakże pan de Wardes się miewa? Czy żyje?

— Żyje, panie, i ma się tak, jak można się mieć z czterema pchnięciami szpadą w skórę, bo, nie wymawiając, pan mu ich tyle wpakował. Teraz jest mocno osłabiony, gdyż utracił całą krew. Jak panu powiedziałem, Lubin mnie wcale nie poznał i opowiedział naszą całą historię od początku do końca.

— Bardzo dobrze, Planchetku, jesteś królem lokajów. Siadaj teraz na konia i dopędzimy karetę.

Na to niedużo potrzeba było czasu, w pięć minut niespełna ujrano ją, jak zatrzymała się na zakręcie drogi; bogato ubrany jeździec stał u drzwiczek.

Jego rozmowa z milady była tak ożywiona, że d'Artagnan zatrzymał się po drugiej stronie i nikt prócz subretki nie zauważył jego obecności.

Mówiono po angielsku — językiem, którego d'Artagnan nie rozumiał, lecz po tonie mógł się domyśleć, że piękna Angielka była mocno zagniewana. Wreszcie zakończyła gestem niepozostawiającym wątpliwości co do natury tej rozmowy; było nim uderzenie wachlarzem wymierzone z taką siłą, że ten piękny kobiecy sprzączek rozprysł się w drobne kawałki.

Jeździec wybuchnął śmiechem, który widocznie doprowadził milady do ostateczności.

Wtedy d'Artagnan osądził, że chwila jest stosowna dla wdania się w tę sprawę, podsunął się do samych drzwiczek i w postawie pełnej szacunku, uchylając kapelusza, rzekł:

— Pani, czy pozwolisz ofiarować ci moje usługi?... Zdaje mi się bowiem, że rycerz tu obecny pobudził cię do gniewu. Jedno słowo twoje, pani, a biorę na siebie ukaranie go za przekroczenie wymagań grzeczności.

Przy pierwszych słowach milady obróciła główkę, patrząc zdziwiona na młodzieńca, gdy zaś skończył, odparła poprawną francuszczyzną:

— Z miłą chęcią uciekłabym się pod pańską opiekę, gdyby ten, który się sprzecza ze mną, nie był moim bratem.

— A! Proszę mi zatem darować — odezwał się d'Artagnan. — Pojmuje pani, że nic o tym nie wiedziałem.

— Co temu szpakowi do tego, czemu on się tu wtrąca? — wrzasnął jeździec nazwany przez milady bratem, schylając się do okna drzwiczek. — Czemu sobie nie jedzie z Bogiem?

— Ty sam szpak jesteś, mój panie — rzekł d'Artagnan, skłaniając głowę do grzywy swego wierzchowca, aby tak samo przez okno drzwiczek rzucić jeźdźcowi odpowiedź. — Nie jadę dalej, bo mi się tak podoba.

Jeździec przemówił kilka słów po angielsku do siostry.

— Ja po francusku mówię do pana — przerwał mu d'Artagnan — odpowiedz mi tak samo, proszę. Jesteś pan bratem tej pani, zgoda, lecz, na szczęście, moim nie jesteś.

Sądzić byłoby można, iż milady, lękliwa jak każda kobieta, zechce pośredniczyć w sprzeczce zakrawającej na wyzwanie, aby nie dopuścić wybuchu.

Ona zaś wprost przeciwnie, rozparła się w karecie i z całym spokojem zawołała na woźnicę:

— Ruszaj do pałacu!

Ładna pokojóweczka rzuciła zaniepokojone spojrzenie na d'Artagnana, który wywarł na niej wrażenie piękną powierzchownością.

Kareta pomknęła, a dwaj mężczyźni pozostali, patrząc sobie oko w oko, bowiem już żadna dotykalna zaporą nie stała pomiędzy nimi.

Jeździec cmoknął na konia, aby podążyć za powozem, lecz wrzący już gniewem d'Artagnan zakipiał, poznawszy w nim Anglika, który w Amiens wygrał jego konia i o mały włos nie pozbawił go, dzięki Atosowi, pierścienia z diamentem.

— E! Panie — zawołał — wydajesz mi się większym niż ja szpakiem, bo wyglądasz, jakbyś zapomniał, że mamy z sobą na pieńku.

— A! A! — odezwał się Anglik. — To pan, panie graczu. Jak widzę, nie obejdzie się nigdzie bez ciebie.

— Tak, to ja, a przypomina mi to, że mam rachunek do załatwienia z panem. Zobaczymy, drogi panie, czy równie zręcznie władasz rapierem jak kubkiem od kości.

— Widzisz przecie, mój panie, iż nie jestem przy szpadzie — odparł Anglik — czy chcesz udawać męźnego z człowiekiem bezbronnym?

— Spodziewam się, że w domu nie brak ci szpady, mój panie — odpowiedział Gaskończyk. — A na wszelki przypadek ja mam ich dwie i, jeżeli zechcesz, użyczę ci jednej.

— Nie potrzeba — rzekł Anglik — ja jestem dostatecznie zaopatrzone w narzędzia tego rodzaju.

— Tym lepiej! Zacny mój panie, wybierz więc najdłuższą szpadę i pokaż mi ją dzisiejszego wieczora.

— A gdzież to, jeżeli łaska?

— Poza Luksemburgiem jest urocza miejscowość na podobne schadzki.

— Bardzo dobrze, stawię się.

— O godzinie?

— Szóstej.

— Ale, ale, masz pan zapewne paru przyjaciół?

— Trzech nawet, którzy będą mocno zaszczytzeni, dzieląc ze mną tę partię.

— Trzech?... Wybornie się składa — rzekł d'Artagnan — będzie tylu, ilu potrzeba.

— A teraz, kto pan jesteś? — zapytał Anglik.

— Jestem d'Artagnan, szlachcic gaskoński, gwardzista z oddziału pana des Essarts. A pan?

— Ja jestem lord Winter, baron de Scheffield.

— Jestem więc na usługi, panie baronie — rzekł d'Artagnan — jakkolwiek pańskie nazwisko diablo³⁶³ trudno zapamiętać.

I dając koniowi ostrogę, puścił się galopem drogą do Paryża. Jak zwykle przy podobnych zdarzeniach zajechał prosto do Atosa.

Opowiedział Atosowi wszystko z wyjątkiem listu pana de Wardes. Atos był zachwycony na myśl, że d'Artagnan miał bić się z Anglikiem. Było to jego marzeniem, jak wiemy.

Natychmiast posłano po Portosa i Aramisa i opowiedziano im, co zaszło. Portos dobył szpady i zaczął wymachiwać nią do ściany, przysiadując do ziemi jak tancerz.

Aramis, zajęty tworzeniem poematu, zamknął się w gabinecie Atosa, prosząc, aby mu nie przerywano aż do chwili wzięcia za szpady.

Atos pokazał Grimaudowi na migi, aby przyniósł mu butelkę. D'Artagnan zaś układał w duchu plan, którego wykonanie poznamy z czasem. Za domem obiecywał sobie miłutką przygodę, co zdradzały uśmiechy, które przelatując mu po licach, jakby wtórowały marzeniom.

ROZDZIAŁ IV. ANGLICY I FRANCUZI

O umówionej porze udano się wraz z czterema pachółkami poza Luksemburg na pole, gdzie zwykle pasły się kozy. Atos dał pastuchowi sztukę złota, byle się oddalił.

Pachółkom rozkazano trzymać straż dokoła.

Niebawem gromadka ludzi zbliżyła się w milczeniu do tegoż pola. Przeszli je wzdłuż i połączyli się z naszymi muszkietierami. Następnie, według obyczaju zza morza, przedstawili się sobie wzajemnie. Anglicy byli wszyscy ludźmi na wysokich stanowiskach, zatem dziwaczne imiona swoich przeciwników wzięli za jakiś niesmaczny żart, a nawet ich to trochę zaniepokoiło.

— Z tym wszystkim — odezwał się lord Winter, usłyszawszy nazwiska trzech przyjaciół — nic a nic jeszcze nie wiemy, coście wy za jedni, i ani myślimy bić się z podobnymi indywidualiami³⁶⁴. To jakieś cudaczne imiona...

³⁶³diablo (pot.) — bardzo. [przypis edytorski]

³⁶⁴indywiduum — osobnik; także: człowiek nieznany, niepewny, zwykle podejrzany. [przypis edytorski]

— Nie mylisz się, milordzie — rzekł Atos — są to imiona przybrane.
 — Dlatego właśnie mamy ochotę poznania prawdziwych — odparł Anglik.
 — Graliście z nami w kości, nie dowiadując się wcale, kogo ogrywacie — mówił Atos — i nie przeszkodziło to wam w dodatku zabrać nasze konie?

— To prawda, ale ryzykowaliśmy jedynie pieniądze, tu zaś ryzykujemy naszą krew. Można grać w kości z pierwszym lepszym, a bić się tylko z równym sobie.

— Sprawiedliwie mówisz, milordzie — rzekł Atos.

Wziął na bok jednego z czterech Anglików, tego właśnie, z którym sam miał się potykać, i szepnął mu do ucha swe nazwisko. Portos i Aramis poszli za jego przykładem.

— No, czy panu to wystarcza? — rzekł Atos do swego przeciwnika. — Czy uważasz mnie za godnego do skrzyżowania szpady?

— O! Tak, panie — odparł Anglik, pochylając głowę.

— A teraz, mój panie, może masz ochotę usłyszeć coś jeszcze bardziej interesującego?

— Mianowicie?

— Ja, milordzie, uchodzę za umarłego i mam bardzo ważne powody, aby nie domyślano się, że żyję. Teraz zaś zmuszony będę zabić pana, aby tajemnica moja nie wyszła na jaw.

Anglik patrzył się na Atosa, sądząc, że mówi przechwałki, lecz Atos bynajmniej nie żartował.

— Panowie — rzekł, zwracając się do towarzyszy, jak i do przeciwników — czyście już gotowi?

— Tak — odpowiedzieli Francuzi i Anglicy.

— A więc baczność! — rzekł Atos.

W tej chwili osiem szpad błysnęło w promieniach zachodzącego słońca i walka zaczęła się z zajądłością łatwą do zrozumienia pomiędzy nieprzyjaciółmi z krwi i obrazy. Atos z przeciwnikiem mierzył się z całą zimną krwią, zachowując wszystkie reguły, jak gdyby się znajdował na lekcji ćwiczeń w sali fechtunkowej.

Portos, pomny na zbytnią ufność w siebie przy awanturze w Chantilly, wysilał się na możliwe podejścia i przezorność. Aramis zaś, śpiesząc dokończyć trzeciej pieśni swojego poematu, nacierał gwałtownie jak człowiek niemający czasu do stracenia.

Atos najpierwszy zabił przeciwnika — jedno jedyne pchnięcie i już było po wszystkim. Jak go uprzedził, tak się też i stało; szpada przeszła mu serce. Portos z kolei swojego rywala ściął z nóg — przekłuł mu łydkę na wylot. A że Anglik nie stawiał oporu, tylko oddał szpadę, Portos wziął go na ręce i odniósł do karety. Aramis napadł na swojego tak gwałtownie, że ten, nie mogąc dotrzymać placu³⁶⁵, cofał się z jakieś pięćdziesiąt kroków. Na koniec widząc, że nie podola, odwrócił się i zaczął uciekać, ścigany szyderczymi okrzykami pachółków.

D'Artagnan stosował inną metodę; bronił się tylko i zasłaniał. Na koniec, gdy zmoradował już przeciwnika, silnym i zręcznym ruchem wytrącił mu broń z ręki. Baron widząc, że jest rozbrojony, postąpił w tył kilka kroków, lecz noga mu się poślizgnęła i padł na wznak jak długi.

D'Artagnan poskoczył i przyłożył mu szpadę do gardła.

— Mógłbym cię zabić, mój panie — rzekł do Anglika — lecz daruję ci życie, dla miłości twojej siostry.

Anglik ze swej strony był zachwycony, mając do czynienia ze szlachcicem wyższej natury, uściśnął go też serdecznie, nagadał komplementów muszkieterom, a ponieważ przeciwnik Portosa był już umieszczony w karecie, a przeciwnik Aramisa stchórzył i zemknął³⁶⁶, zajęto się jedynie nieboszczykiem. A gdy Portos i Aramis ściągali z niego ubranie w nadziei, że rana nie okaże się śmiertelna, wypchany złotem worek wypadł mu zza pasa. D'Artagnan podniósł go i podał lordowi Winterowi.

— Cóż, u diabła, mam z tym robić? — rzekł Anglik.

— Oddasz pan jego rodzinie — odpowiedział d'Artagnan.

³⁶⁵dotrzymywać placu (daw.) — nie przegrywać pojedynku. [przypis edytorski]

³⁶⁶zemknąć (pot.) — uciekać. [przypis edytorski]

— Oho! Jego rodzina nie dba o taką bagatelę³⁶⁷! Odziedziczy ona po nim coś lepszego: piętnaście tysięcy luidorów dochodu rocznego. Schowaj pan ten woreczek dla swoich lokajów. — D'Artagnan schował worek do kieszeni.

— A teraz, mój młody przyjacielu, mam bowiem nadzieję, iż pozwolisz mi się tak nazywać — rzekł lord Winter — dziś wieczorem, jeżeli tylko pragniesz, przedstawię cię mojej siostrze, lady Clarick. Chcę koniecznie, aby i ona cię polubiła, a ponieważ ma niejaki wpływ na dworze, może w przyszłości dorzucić słówko za tobą.

D'Artagnan zaczerwienił się z radości i skłonił głową na znak zgody. Tymczasem zbliżył się doń Atos.

— Co myślisz robić z tymi pieniędzmi? — powiedział mu do ucha.

— Myślę oddać je tobie, kochany Atosie.

— A mnie one na co?

— Przecież go zabiłeś, zatem do ciebie należą te pośmiertne lupy.

— Jak to?!... Ja miałbym dziedziczyć po wrogu?... — odrzekł Atos. — Za kogóż mnie masz?

— Jest to zwyczajem na wojnie, dlaczegóż miałyby być niewłaściwe w pojedynku?

— Nawet na polu bitwy nigdy nic podobnego nie robiłem...

Portos wzruszył ramionami. Aramis poruszył ustami, przytakując Atosowi.

— Kiedy tak, dajże te pieniądze lokajom, jak to proponował lord Winter.

— Tak, tak — potwierdził Atos — ale zamiast naszym dajmy ten woreczek lokajom Anglików.

Wziął woreczek i cisnął w ręce stangretowi.

— Masz, trzymaj, to dla ciebie i twoich kolegów.

Ten wybryk hojności u człowieka zupełnie bez grosza uderzył nawet Portosa, a wspinałość Francuza, rozgłoszona przez lorda Wintera i jego przyjaciela, miała powszechnie wielkie uznanie, wyjąwszy u panów Grimauda, Mousquetona, Plancheta i Bazina.

Lord Winter żegnając d'Artagnana, zostawił mu adres siostry: mieszkała na Place Royale pod numerem sześć. Dzielnica ta była naówczas w modzie. Lord obiecał nawet wstąpić, zabrać go i sam osobiście przedstawić. D'Artagnan oznaczył godzinę ósmą wieczorem w mieszkaniu Atosa.

Nasz Gaskończyk marzył obecnie już tylko o milady. Przypominał sobie, jakim szczególnym dotąd trafem kobieta ta zawsze spotykała się z nim i miała wpływ na jego losy.

Przeświadczony był, że jest ona kreaturą³⁶⁸ kardynała, a pomimo to czuł do niej nieprzewyższony pociąg. Nie umiał wszakże określić uczucia, jakie nim owładnęło.

Miał tylko jedną obawę, aby milady nie przypomniwała sobie Meung i Dover i nie poznała go. Domyśliłaby się natychmiast, że należy do stronników pana de Tréville, a więc jest oddany królowi duszą i ciałem, i z niczym by się przed nim nie zdradziła. Intryga miłosna pomiędzy nią i hrabią de Wardes nie obchodziła naszego zarozumiałego młodzieńca, chociaż hrabia był młody, piękny, bogaty i w wielkich łaskach u kardynała. Nie darmo ma się lat dwadzieścia pięć i jest się urodzonym w Tarbes!

D'Artagnan zaczął od tego, że poszedł do siebie i ubrał się w co tylko posiadał najjaśniejszego, następnie wrócił do Atosa i według zwyczaju opowiedział mu wszystko. Atos wysłuchał cierpliwie projektów przyjaciela, pokiwał głową i z niejaką goryczą w głosie zalecił mu ostrożność i przezorność.

— Jakże to — powiedział doń — tylko co postradałeś kobietę, jak sam mówiłeś: dobrą, śliczną, bez zarzutu, i już chcesz lecieć do drugiej?

D'Artagnan czuł, że przyjaciel ma słuszość.

— Kochałem panią Bonacieux sercem, a milady głowę mi zawróciła — rzekł — chcę ją poznać jedynie po to, aby raz wiedzieć naprawdę, jaką rolę odgrywa na dworze.

— Nietrudno odgadnąć jej rolę z tego, coś mi powiedział. To jakaś wysłanniczka kardynała; kobieta niebezpieczna, wciągnie cię w zasadzkę, którą co najmniej głową przypłacisz.

— E! Do diabła, Atosie, zdaje mi się, że zanadto w czarnych kolorach widzisz wszystko!

Mężczyzna, Kobieta

³⁶⁷bagatela — drobnostka. [przypis edytorski]

³⁶⁸kreatura (daw., z łac.) — osoba zawdzięczająca swoją pozycję komuś wpływowemu, wykreowana przez kogoś. [przypis edytorski]

— Mój kochany, nie ufam kobietom, cóż chcesz? Byłem już zdradzony, nie wierzę już, a nade wszystko blondynkom... Mówiłeś, że milady ma jasne włosy?

— Jest najcudniejszą blondynką pod słońcem.

— O! Biedny d'Artagnanie, żałuję cię serdecznie — rzekł Atos.

— Słuchaj, ja chcę tylko zwąchać, co się święci, a jak już będę wiedział, to się usunę.

— Ha! Przewąchuj, skoro chcesz koniecznie — rzekł Atos flegmatycznie.

Lord Winter stawiał się o umówionej godzinie, lecz Atos przedtem usunął się. Lord zastał więc d'Artagnana samego, a że była już ósma, zabrał go ze sobą.

Elegancka karetka czekała przed bramą, a dzielne rumaki dostawiły ich za chwilę na Place Royale.

Lady Clarick przyjęła d'Artagnana uroczyście.

Jej mieszkanie odznaczało się przepychem i chociaż wielu Anglików z powodu wojny musiało wyjeżdżać z Francji, milady, zamiast ich naśladować, kazała odświeżyć swój pałac, co dowodziło, że reskrypt³⁶⁹ ogólny wydalający Anglików jej wcale nie dotyczył.

— Widzisz przed sobą — rzekł lord Winter, przedstawiając siostrze d'Artagnana — młodego szlachcica, od którego zależało moje życie, a który nie skorzystał z przewagi, chociaż byliśmy wrogami podwójnie, bo znieważylem go, a po wtóre jestem Anglikiem. Podziękuj mu, pani, jeżeli masz choć trochę przyjaźni dla mnie.

Milady zmarszczyła lekko brwi; chmurka przeszła jej po czole i uśmiech tak dziwny zaigrał na ustach, że młodzieniec spostrzegłszy te niezrozumiałe oznaki, uczuł coś na kształt dreszczu. Brat nic nie dostrzegł; bawił się z małpką, faworytką milady, ciągnąc ją za kurtkę.

— Witam pana u siebie — odezwała się milady głosem słodziutkim, w sprzeczności z oznakami złego humoru, jaki zauważył d'Artagnan. — Zdobyłeś pan dzisiaj prawo do mej wdzięczności.

Wtedy Anglik zbliżył się i opowiedział milady całe zajście, nie opuszczając najmniejszego szczegółu.

Milady słuchała z wielką uwagą, lecz pomimo widocznego wysiłku woli nie była w stanie ukryć, że opowiadanie to wcale nie jest jej mile.

Krew uderzyła jej do twarzy, a mała nóżka niecierpliwie poruszała się pod fałdami sukni. Lord Winter i tego nie zauważył. Po skończonym opowiadaniu podszedł do stolika, gdzie stała na tacy butelka wina hiszpańskiego, napełnił dwie szklanki i skinął na d'Artagnana, aby przyszedł się napić. D'Artagnan wiedział, że nie może odmówić, bo obrazilby Anglika. Przystąpił do stołu, wziął szklankę, mimo to jednak nie spuszczał z oczu milady i dostrzegł w naprzeciw wiszącym zwierciadle rażącą zmianę jej fizjonomii³⁷⁰.

Myśląc, że nikt na nią nie patrzy, nie ukrywała wewnętrznych uczuć i jej rysy oszpecił wyraz okrucieństwa.

Ze złości gryzła chusteczkę białymi ząbkami. Ładna subretka, którą już zauważył d'Artagnan, weszła do salonu i powiedziała kilka słów po angielsku lordowi Winterowi, on zaś natychmiast przeprosił d'Artagnana, tłumacząc się, że musi odejść z powodu bardzo ważnej sprawy, a siostrze polecił bawić gościa.

D'Artagnan uściskał rękę lorda i powrócił do milady.

Jej twarz z zadziwiającą szybkością przybrała znów łagodny i miły wyraz, jedynie czerwone plamki na chusteczce zdradzały, że usta pogryzła aż do krwi.

A prześliczne były te usteczka, rzekłbyś — z najpiękniejszego koralu. Zaczęła się ożywiona rozmowa.

Milady uspokoiła się na pozór zupełnie. Opowiadała, że lord Winter nie jest jej bratem rodzonym, lecz tylko szwagrem, że ona sama wyszła za mąż za jego młodszego brata, który zostawił ją wdową z maleńkim dzieckiem.

To dziecko było jedynym spadkobiercą lorda Wintera, gdyby się nie ożenił. Wszystko, co mu opowiadała piękna pani, wydało się młodzieńcowi niejasne; nie mógł jednak domyślić się, o co jej mianowicie chodzi. Na koniec, po półgodzinnej rozmowie, d'Artagnan nabral przekonania, iż milady nie jest Angielką, mówiła bowiem po francusku tak poprawnie, że co do tego upewnił się zupełnie.

³⁶⁹reskrypt (daw.) — pisemne rozporządzenie panującego lub zarządzenie władz wyższych. [przypis edytorski]

³⁷⁰fizjonomia — twarz. [przypis edytorski]

D'Artagnan nie szczędził komplementów i plótł bajdy niestworzone. Na wszystkie niedorzeczności, jakie prawił nasz Gaskończyk, milady uśmiechała się dobrotliwie.

Zauważył nareszcie, że wypada pożegnać miłą gospodynię; wstał, uklonił się zamażycie i wyszedł z salonu, uszczęśliwiony przyjęciem.

Na schodach spotkał piękną subretkę, która przechodząc, potrąciła go lekko i rumieniąc się, zaczęła przeproszać głosikiem tak słodkim, że przebaczył jej z łatwością.

Nazajutrz d'Artagnan znów przyszedł z wizytą i przyjęty został jeszcze lepiej niż poprzedniego dnia.

Lord Winter był nieobecny, więc milady sama bawiła gościa przez cały wieczór. Wypytywała go o stosunki, o przyjaciół, skąd pochodzi i czy nie zamysła czasem wejść w służbę kardynała.

D'Artagnan, jak wiadomo, pomimo młodego wieku odznaczał się rozsądkiem i chytrością; przypomniał sobie zaraz podejrzenia, jakie miał względem milady.

Zaczął więc wychwalać Jego Eminencję i zapewniał, że bezwarunkowo wstąpiłby do straży przybocznej kardynała, a nie do królewskiej, gdyby znał tak dobrze pana de Cavois, jak znał pana de Tréville.

Milady zmieniła rozmowę i jak najnaturalniej w świecie zapytała d'Artagnana, czy był kiedyś w Anglii. D'Artagnan odpowiedział, że był rzeczywiście wysłany dla zakupu koni, których cztery sztuki przyprowadził na próbę.

Milady podczas całej tej rozmowy kilka razy aż do krwi przygryzała usta, miała bowiem do czynienia z Gaskończykiem, którego podejść było trudno. O tej samej porze, co dnia poprzedniego, d'Artagnan wyszedł od milady. W korytarzu spotkał znów ładną Ketty. Spojrzała ona takimi oczkami, że trudno się było omylić, co znaczy to spojrzenie. Ale d'Artagnan zanadto był zajęty milady, aby na cośkolwiek innego zwrócić uwagę. Nasz Gaskończyk nazajutrz znowu poszedł do lady Clarick i tak chodził co dzień, a ona przyjmowała go z wzrastającą wciąż czułością.

Każdego też wieczora wychodząc, spotykał na schodach lub w korytarzu piękną subretkę o zalotnym spojrzeniu. Lecz, jak już powiedzieliśmy, d'Artagnan nie zwracał wcale uwagi na natarczywość czulej Ketty.

ROZDZIAŁ V. OBIAD U PROKURATORA

Jakkolwiek świetną rolę Portos odegrał w pojedynku, nie zapomniał jednak o zaproszeniu na obiad do pani prokuratorowej.

Nazajutrz około godziny pierwszej, starannie odświeżony, w ubraniu najparadniejszym, doprowadzonym do możliwego porządku przez Mousquetona, udał się na ulicę aux Ours z miną człowieka podwójnie szczęśliwego.

Wzruszony, z bijącym sercem zbliżał się do celu, lecz nie było to takie uczucie, jakie opanowało d'Artagnana, nie była to niecierpliwść młodzieńczej miłości. Czysto materialny interes burzył jego krew... Nareszcie miał nadzieję przekroczyć tajemniczy próg, wstąpić na nieznane schody, po których jeden za drugim odbyły pielgrzymkę stare dukaty pana Coquenarda.

Ujrzy nareszcie własnymi oczami skrzynię, której obraz widział tyle razy w swych snach; skrzynię długą, głęboką, z kłódkami, zamkami, a w dodatku przytwierdzoną do podłogi śrubami, o której nasłuchał się tyle opowiadań i którą rączki prokuratorowej, wprawdzie trochę chude i suche, lecz niepozbawione wdzięku i elegancji, otworzą nareszcie i ukażą jego zachwyconym oczom jej cudowne wnętrze.

Następnie on, tułacz bez grosza przy duszy, bez domu, żołnierz pędzący życie w oberżach i karczmach, znajdujący się na dobrym jedzeniu i lubiący spijać doskonale wina, a zmuszony kontentować³⁷¹ się cienkuszem³⁷², zasiądzie nareszcie do stołu zastawionego obficie, użyje rozkoszy życia rodzinnego i pozwoli otoczyć się wygodami i staraniami, które posiadają wielki urok dla ludzi zmuszonych obywać się bez nich; tak przynajmniej utrzymują starzy wojskowi.

Jako krewny siadać co dzień przy stole do smacznego obiadku, rozchmurzyć żółte i pomarszczone czoło starego prokuratora, podskubać od czasu do czasu jego młodych

³⁷¹kontentować się (daw.) — zadowalać się. [przypis edytorski]

³⁷²cienkusz — alkohol słabej jakości. [przypis edytorski]

kancelistów³⁷³, wykładając im tajemnice gry w basset³⁷⁴, passe-dix³⁷⁵ i tym podobne i w przeciągu godziny zabrać, jako honorarium przynależne za naukę, ich oszczędności uzbierane z całomiesięcznej pensji — to niesłychanie uśmiechało się Portosowi.

Nasz muszkieter przywodził sobie wprawdzie na pamięć przeróżne plotki, jakie obiegały w owym czasie o notariuszach w ogóle, o ich sknerstwie, odgrzewaniu resztek jedzenia i ściśle zachowywanych postach; ponieważ jednak, pomimo pewnej oszczędności, którą Portos zauważył i która wcale mu się nie podobała, widział prokuratorową dość hojną niekiedy (jak na prokuratorową, ma się rozumieć), spodziewał się zatem zastać dom na przyzwoitej stopie.

Zbliżywszy się jednak do bramy posiadłości pana Coquenarda, nasz muszkieter zaczął trochę powątpiewać. Dostęp do mieszkania nie był wcale zachęcający: ulica cuchnąca i brudna, schody ciemne, bowiem światło wpadało przez okienko zakratowane, wychodzące na mur sąsiedniego domostwa. Na pierwszym piętrze drzwi czarne i niskie, nabijane gwoździami jakby drzwi więzienia.

Portos zapukał, po chwili otworzył mu jeden z dependentów³⁷⁶: blady, wychudzony, z rozczochraną głową, i przywitał ukłonem wyrażającym cześć potrójną: dla wysokiej postaci muszkietera znamionującej siłę, dla stroju wojskowego i dla twarzy różowej, cechującej człowieka lubiącego dobrze jeść i pić.

Za dependentem stał drugi, mniejszy, za nim znów trochę większy, a dalej jeszcze wyrostek dwunastoletni.

Było zatem półczwarta³⁷⁷ dependenta, co na owe czasy oznaczało biuro prokuratora używającego wielkiej wziętości.

Portos miał przyjść o godzinie pierwszej, jednak pani prokuratorowa wyglądała go już od dwunastej, licząc na to, że kochające serce, a może i pusty żołądek kochanka przyprowadzą go wcześniej.

Pani Coquenard ukazała się w drzwiach od pokoju w chwili, gdy jej gość wchodził drzwiami od schodów, i to wybawiło muszkietera z wielkiego ambarasu. Aplikanci bowiem mierzyli go oczami z impertynencką ciekawością, a on nie wiedział na razie, co im powiedzieć, i stał niemy jak pień.

— To mój krewny — zawołała pani prokuratorowa — chodźże, chodź prędzej, panie Portosie.

Nazwisko kuzyna podziało na dependentów i zaczęli chichotać w najlepsze; Portos odwrócił się, spojrzał groźnie i jak za dotknięciem czarnoksiężskiej różdżki twarze wszystkich przybrały obojętny wyraz.

Nareszcie dotarł wraz z panią domu do gabinetu prokuratora, minawszy przedpokój z dependentami i biuro, w którym właściwie powinni byli siedzieć; pokój ten był brudny, ciemny i zawalony starymi papierami. Przeszli biuro, skąd na prawo prowadziły drzwi do kuchni, i na koniec znaleźli się w bawialnym pokoju.

Te wszystkie pokoje wcale nie zachwyciły Portosa.

Rozmowa prowadzona w jednym z nich mogła być słyszana we wszystkich przez poroztwierane drzwi. Przechodząc, zapuścił badawczy wzrok do kuchni i był zmuszony przyznać, że wstydem dla pani prokuratorowej, a za złem dla siebie, że nie dostrzegł tam ani ognia na kominie, ani ruchu i krzątanimy, jakie panują zwykle w tej świątyni obżarstwa podczas szykowania smacznego obiadu.

Pan prokurator, przygotowany zapewne przez żonę do wizyty, nie okazał najmniejszego zdziwienia na widok Portosa, który podszedł rezolutnie i uklonił się z galanterią.

— Podobno jesteście spokrewnieni, panie Portosie — rzekł prokurator, unosząc się z trudnością z trzcinowego fotela, na którym siedział.

Starzec był owinięty w obszerny, czerwony kaftan, pod którym ginęła jego sucha i koścista postać; małe, siwe oczka błyszczały jak robaczki świętojańskie i wraz z wargami poruszającymi się bezustannie skupiały w sobie całe życie obumarłej twarzy.

Kuchnia

Starość

³⁷³kancelista (daw.) — urzędnik w kancelarii. [przypis edytorski]

³⁷⁴basset — dawna gra hazardowa wykorzystująca karty, powstała w XVI w.; należała do bardzo ryzykownych. [przypis edytorski]

³⁷⁵passe-dix — gra losowa z wykorzystaniem kości. [przypis edytorski]

³⁷⁶dependent (daw.) — pomocnik adwokata, notariusza itp. [przypis edytorski]

³⁷⁷półczwarta — trzy i pół. [przypis edytorski]

Na nieszczęście nogi poczynały mu odmawiać posłuszeństwa i nie chciały już nosić starego grata. Zatem od pół roku, gdy i ta dolegliwość przyłączyła się do wielu innych, szanowny prokurator dostał się zupełnie pod władzę małżonki.

Przystął z rezygnacją na kuzynostwo z muszkietierem, bo nie mógł zrobić inaczej. Pan Coquenard, gdyby był młody i rześki, z pewnością uchyliłby się od jakiegokolwiek pokrewieństwa z Portosem.

— Tak, panie, jesteśmy kuzynami — odparł Portos śmiało, choć, co prawda, nie liczył nigdy na entuzjastyczne przyjęcie ze strony męża swej bogdanki³⁷⁸.

— Przez kobiety, zdaje mi się?... — rzekł prokurator złośliwie.

Portos nie zrozumiał przycinka i wziął to za naiwność staruszka, z której śmiał się pod wąsem.

Pani Coquenard dobrze wiedziała, że prokurator naiwnością bynajmniej nie grzeszy i dlatego roześmiała się przymuszenie, a zaczerwieniła się ogromnie.

Odkąd Portos wszedł, stary Coquenard co jakiś czas spoglądał niespokojnie na wielką szafę stojącą naprzeciw dębowego biurka, przed którym siedział. Portos domyślił się, że szafa, choć nie odpowiadała kształtem tej, którą oglądał w swoich snach, musi być jednak błogosławionym naczyniem zawierającym skarby, i wieszował sobie, że rzeczywistość okazała się wyższa i obszerniejsza niż jego marzenie.

Pan Coquenard nie dochodził już bliższego pokrewieństwa z muszkietierem, tylko przenosząc niespokojny wzrok z szafy na Portosa, zapytał:

— Zapewne kochany kuzynek przed wyjazdem na wojnę będzie łaskaw zjeść choć jeden obiadek, wszak prawda, pani Coquenard?

Teraz Portos uczył się dotknięty... w sam żołądek. Widać, że i pani Coquenard ze swej strony także się obruszyła, bo zaraz dodała:

— Mój krewny nie przyszedłby więcej do nas, gdybyśmy go źle przyjęli. A rzeczywistość już tak niedługo będzie w Paryżu i tak mało czasu mu zostaje, aby się z nami nacieszyć, iż musimy go prosić, by wszystkie wolne chwile, jakimi aż do wyjazdu może rozporządzać, zechciał nam łaskawie poświęcić.

— O! Moje nogi! Moje biedne nogi!... Czemuż mnie słuchać nie chcecie?... — mruzczał Coquenard, usiłując się uśmiechnąć.

Pomoc, z jaką pośpieszyła Portosowi w chwili, gdy został zaatakowany w nadziei spożywania smacznych obiadów, przepełniła serce muszkietera szczerą wdzięcznością dla dobrej prokuratorowej.

Niedługo nadeszła godzina obiadowa. Przeniesiono się do sali jadalnej, którą stanowiła duża izba, ciemna i brudna, dotykająca kuchni.

Dependenci czuli z pewnością niezwykłą woń potraw rozchodzącą się po całym domu, ponieważ stawili się z wojskową akuracnością³⁷⁹ i każdy z nich, trzymając w ręku stołek, gotów był usiąść za danym znakiem, a poruszanie szczękami i wciąganie zapachów nosami zwiastowało straszliwe zamiary żarłocstwa.

„Do licha! — pomyślał Portos, patrząc na tych trzech wygłodzonych młokosów, bo wyrostek nie był dopuszczony do honorowego stołu. — Do licha! Ja, na miejscu szanownego kuzynka, nie trzymałbym w domu takich obżartuchów. Wyglądają oni na rozbitków, którzy od sześciu tygodni nic w gębie nie mieli...”

Coquenard, wtoczony z fotelem przez żonę z pomocą muszkietera, zaczął poruszać nosem i szczękami tak samo jak dependenci.

— Ho! Ho! — zawołał. — Pyszna zupa, już sam jej zapach ńęci!

„Co, u diabła, czuje on w tej zupie tak zachwycającego?” — myślał Portos, ujrawszy obfitość bladego i chudego rosółu, po którym gdzieś tam pływały grzanki jak wyspy na archipelagu.

Na znak dany przez panią Coquenard wszyscy z pośpiechem zajęli miejsca.

Pan Coquenard dostał zupę najpierwszy, następnie Portos. Potem pani Coquenard nalala sobie na talerz i rozdzieliła grzanki bez bulionu pomiędzy dependentów.

³⁷⁸ *bogdanka* (daw.) — ukochana. [przypis edytorski]

³⁷⁹ *akuratność* (daw.) — punktualność. [przypis edytorski]

Nagle otworzyły się drzwi sali jadalnej i Portos zobaczył przez nie małego smyka, który nie mogąc należeć do uczty, pożerał suchy chleb, zaprawiając go zapachem idącym z kuchni i sali stołowej.

Po rosole służąca podała kurę gotowaną — zbytek, na którego widok współbiednikom oczy na wierzch powyłaziły.

— Znać zaraz, że moja pani bardzo kocha swoją rodzinę — odezwał się prokurator z tragicznym uśmiechem — z pewnością to na cześć kuzynka zdobyła się na taką znakomitą potrawę.

Biedna kura była chuda i pokryta grubą i twardą skórą, której nie mogły przebić nawet spiczaste kości. Musiano jej zapewne dobrze się naszukać, zanim znaleziono w kącie na grzędzie, gdzie się skryła, aby w spokoju zakończyć mizerny i długi żywot.

„Do diabła! — pomyślał Portos. — To wcale nie jest wesołe, szanuję ja starość niezmiernie, lecz znacznie mniej ją cenię, gdy jest gotowana lub pieczona”.

Obejrzał się dokoła, ażeby zobaczyć, czy wszyscy podzielają jego opinię, lecz zawiódł się zupełnie. Ujrzał bowiem oczy płomienne, którymi pożerano już naprzód tę wspaniałą kurę — przedmiot jego pogardy.

Pani Coquenard przysunęła półmisek do siebie, oderwała zręcznie dwie wielkie, czarne łapy i położyła na talerzu męzowskim, odcięła szyję z głową i odsunęła na bok dla siebie, odjęła skrzydełko dla Portosa i służącej — tej samej, która przyniosła półmisek — oddała kurę prawie nienapoczętą.

Kura powróciła, skąd przysła tak szybko, że Portos nie zdążył nawet pochwycić wrażenia, jakie zawód ten wywołał na obliczach głodnych dependentów.

W miejsce kury ukazał się ogromny półmisek pełen fasoli; sterczało w niej kilka kostek baranich, które z daleka można było wziąć za pokryte mięsem.

Doświadczeni dependenci nie dali się uwieść tym pozorom i ich fizjonomie ze smutnych zamieniły się w zrezygnowane.

Pani Coquenard obdzieliła młodych ludzi tą wspaniałą potrawą z umiarkowaniem godnym dobrej gospodyni.

Przyszła kolej na wino. Z butelki, nader szczupłych rozmiarów, sam prokurator nalał po trochu w szklanki dependentom, sobie nalał niewiele więcej i posunął wino w stronę Portosa i pani Coquenard.

Młodzi ludzie dopełnili szklanki wodą, a upiwszy trochę, znów dolali wody i tak powtarzali ciągle, a przy końcu obiadu zamiast napoju koloru rubinowego mieli coś na kształt bladego topazu³⁸⁰.

Portos obgryzał delikatnie skrzydełko kurze i od czasu do czasu uczuwał rozkoszny dreszcz, czując pod stołem lekkie dotknięcie nóżki prokuratorowej. Wypił jednym haustem wino, skromnie mu nalane, i poznał po smaku, że jest to zieleniaczek³⁸¹ z Montreuil, którym właśnie pogardzają tacy wytrawni znawcy jak on.

Pan Coquenard patrzył ze zgrozą, jak prędko nasz muszkietier połknął to wino, według niego doskonałe.

— Czy będziesz jadł jeszcze fasolę, kochany kuzynku? — zapytała pani Coquenard takim tonem, jakby chciała powiedzieć: wierz mi szczerze, nie jedz już...

„Zjem diabła, jeżeli choć skosztuję” — pomyślał Portos.

A głośno dodał:

— Dziękuję, kochana kuzynko, nie jestem już głodny.

Zapanowała ogólna cisza.

Portos czuł się nieswój i nie wiedział, jaką zrobić minę. Prokurator odezwał się pierwszy, powtarzając kilkakrotnie:

— Winszuję ci szczerze, pani Coquenard. Obiad twój dzisiejszy to uczta prawdziwa; Boże wielki, jakżeż ja się najadłem!

Pan Coquenard zjadł talerz chudego rosółu, dwie łapki kurze i obgryzł kostkę baranią, jedyną, na której była odrobinka mięsa.

Portos przypuszczał, że z niego żartują, pokręcił zatem węża i zmarszczył czoło, lecz nóżka gosposi leciuchnym dotknięciem dała mu znak, aby był cierpliwy.

³⁸⁰topaz — minerał, kamień ozdobny, przezroczysty, niebieskawy lub żółtawy. [przypis edytorski]

³⁸¹zieleniak — młode wino po roku leżakowania. [przypis edytorski]

Ta cisza, ten niby koniec obiadu, niezrozumiały dla Portosa, miał jednak okrutne znaczenie dla biednych dependentów; spostrzegli oni surowy wzrok prokuratora i słodki uśmiech jego połowicy, a wiedząc doskonale, co to znaczy, powstali, ociągając się, złożyli powolutku serwety, nareszcie uklonili się i wyszli.

— Idźcie, chłopcy, wynoście się, a pamiętajcie, że praca najpilniej pomaga trawieniu — rzekł prokurator poważnie.

Wtedy pani Coquenard wstała od stołu i wyjęła z bufetu kawałek sera, maleńki talerzyk konfitur z dyni i placek z miodem i migdałami, który sama upiekła.

Prokurator zmarszczył brwi na widok takiej obfitości. Portos przygryzł usta, zobaczywszy, że to, co jest na stole, nie zastąpi obiadu.

Obejrzał się za półmiskiem z fasolą, lecz półmisek także się ulotnił.

— Stanowczo dzisiaj uczta u nas — wykrzyknął Coquenard — uczta prawdziwa, *epulae epularum*; Lukullus³⁸² przyjmowany przez Lukullusa.

Portos spojrzął na butelkę i projektował sobie najeść się chleba, sera i popić winem, lecz i tu zawód go spotkał, butelka była już pusta, a państwo Coquenard udawali, że tego nie spostrzegają.

„Masz tobie, a tom się złapał — myślał Portos — lecz dotrwajmy do końca”.

Obliznął z rezygnacją łyżeczkę od konfitur i ugryzł kawałek placeka, arcydzieła pani Coquenard.

„No — rzekł w duchu — teraz już ofiara spełniona... O! Gdybym nie miał nadziei zajrzeć razem z panią Coquenard do starej szafy jej mężulka...”.

Pan prokurator po delicjach wspaniałego obiadu, którego nie przestawał nazywać nadzwyczajnym zbytkiem, uczuł potrzebę spoczynku.

Portos miał nadzieję, że drzemka odbędzie się przy stole w tym samym pokoju, lecz przekłety prokurator postanowił inaczej — kazał się zaprowadzić do swego gabinetu i tam póty krzyczał i zrzedził, aż go posadzono naprzeciw szafy, na której podstawach, dla większej pewności, oparł schorzone nogi.

Prokuratorowa zaprowadziła Portosa do sąsiedniego pokoju i zaczęli tam jakoś dochodzić do porozumienia w wielu kwestiach.

— Mógłbyś przychodzić do nas na obiad przynajmniej trzy razy w tygodniu — mówiła pani Coquenard.

— Dziękuję serdecznie — rzekł Portos — nie lubię nadużywać gościnności. A przy tym wiesz przecież, iż muszę pomyśleć o umundurowaniu.

— To prawda — rzekła czuła dama, wzdychając. — A! To nieszczęśliwe umundurowanie!...

— Niestety, tak jest — rzekł Portos. — To mnie jedynie od ciebie oddała.

— Czegóż więc potrzebujesz do kompletnego umundurowania, panie Portosie?

— O! Bardzo dużo różnych rzeczy; muszkietierowie, jak pani wiadomo, są żołnierzami wyborowymi i potrzebują wielu przedmiotów, o których wyobrażenia nie mają tacy gwardziści na przykład albo straż pałacowa.

— Ale mniej więcej oznacz mi wiele...

— Wszystko to może kosztować około...

Portos urwał, wołał bowiem oznaczyć ogólną sumę niż targować się po szczegółóle.

Prokuratorowa słuchała, drżąc cała.

— Ileż to wyniesie? — zaczęła. — Spodziewam się, że nie więcej...

Zatrzymała się; głosu jej zabrakło.

— O! Nie — rzekł Portos — nie przekroczy wcale dwóch tysięcy pięciuset liwrów. Sądzę nawet, iż licząc się dobrze, obszedłbym się dwoma tysiącami.

— Boże wielki! Aż dwa tysiące liwrów — wykrzyknęła — ależ to majątek!

Portos skrzywił się znacząco.

Pani Coquenard domyśliła się, co to znaczy.

Praca

Jedzenie

³⁸²Lukullus (117–56 p.n.e.) — rzymski wódz i polityk; znany z wystawnego trybu życia, m.in. postawił liczne luksusowe rezydencje, założył wiele ogrodów egzotycznych oraz sprowadzał ze Wschodu dzieła sztuki; słynął również jako smakosz, wyprawiający ucztę z najdroższymi i najbardziej wyszukаныmi daniami. [przypis edytorski]

— Pytałam o szczegóły — odezwała się — dlatego jedynie, że mając dużo krewnych i znajomych pomiędzy kupcami, pewna jestem, iż o sto procent taniej wszystkiego dostanę, niż ty zapłacisz, gdybyś sam kupował.

— Aha! O to ci chodziło!

— Tak, najdroższy panie Portosie! Wszak potrzebujesz najpierw konia?

— Tak jest, konia najpierw.

— Otóż ja mam już wierzchowca dla ciebie...

— Naprawdę? — rzekł Portos uradowany. — To już spokojny jestem przynajmniej o konia; potrzeba mi następnie ubrać tego konia, a uprzęż wierzchowca składa się z takich przedmiotów, które jedynie muszkietier sam osobiście może kupić; lecz to wszystko będzie kosztowało najwyżej trzysta liwrów.

— Trzysta liwrów?... Zresztą przypuśćmy już, że trzysta liwrów — powiedziała prokuratorowa, wzdychając.

Portos uśmiechnął się. Trzeba pamiętać, że posiadał pyszne siodło, pochodzące od Buckinghama, zatem trzysta liwrów chciał zdrajca schować do kieszeni.

— Potrzebuję jeszcze — ciągnął dalej — wierzchowca dla lokaja i tłumoka³⁸³ dla siebie. Co się tyczy uzbrojenia, możesz nie myśleć o tym wcale, mam wszystko, co mi potrzeba.

— Chcesz konia jeszcze i dla lokaja? — podjęła wahająco pani Coquenard. — Lecz to zanadto po pańsku, drogi przyjacielu.

— O! Moja pani — rzekł Portos wyzywająco — czy masz mnie za żebraka?

— Nie, kochany panie Portosie, chciałam tylko powiedzieć, że ładny muł wygląda niekiedy zupełnie jak koń i zdaje mi się, że jak ci dostarczę ładniutkiego muła dla Mousquetona...

— Niech będzie muł, kiedy tak chcesz, byleby był tylko dobry — odrzekł Portos. — Co prawda, widziałem ja magnatów hiszpańskich, których całe świty na mułach siedziały... Ale, droga pani Coquenard, rozumiesz to dobrze: muł potrzebuje czapraka, dzwonek...

— Nie martw się o to.

— No, zostaje nam jeszcze waliza.

— O! To najmniejsza, nie kłopotz się tym wcale — zawołała dama — mąż mój posiada pięć czy sześć waliz rozmaitych, wybierzesz sobie najlepszą. Jest tam jedna mianowicie, którą szczególnie lubił brać do podróży i która jest tak ogromna, że świat by w nią można zapakować cały.

— Więc ta waliza jest obecnie pusta? — zapytał Portos naiwnie.

— Bez wątpienia, że pusta — odrzekła prokuratorowa również naiwnie.

— A, moja najdroższa — zawołał Portos — ja potrzebuję walizy dobrze naładowanej!

Pani Coquenard zaczęła znów wzdychać. Moliere nie napisał jeszcze wówczas swego sławnego *Skąpca*. Pani Coquenard zatem uprzedziła Harpagona³⁸⁴.

Na koniec całe umundurowanie zostało omówione w sposób jak wyżej i wypadło, że zacna prokuratorowa przyrzekła dać osiemset liwrów gotówką i dostarczyć konia i muła w dodatku, ażeby miały zaszczyt służyć Portosowi i Mousquetonowi i pomagać im w zdobyciu bogactw i sławy.

Po skończonej umowie Portos pożegnał panią Coquenard. Miała ona wprawdzie ochotę zatrzymać go jeszcze, lecz nie pomogły ani spojrzenia czułe, ani słówka słodkie, Portos wymówił się obowiązkami służby; prokuratorowa zatem była zmuszona ustąpić pierwszeństwa królowi.

Nasz muszkietier powrócił do siebie głodny i okrutnie zły.

ROZDZIAŁ VI. SUBRETKA I PANI

Pomimo wyrzutów sumienia, jak o tym nadmienialiśmy, i mądrych rad Atosa, d'Artagnan z każdą chwilą był bardziej zakochany w milady; odwiedzał ją co dzień i nie ustawał w wyrzaniu uczuć miłosnych.

Zarozumiały Gaskończyk był pewny, że prędzej czy później stałością i bezwarunkowym oddaniem się na usługi zdobędzie serce surowej piękności.

³⁸³tłumok — pakunek podróżny. [przypis edytorski]

³⁸⁴Harpagon — główny bohater komedii Moliera *Skąpiec*. [przypis edytorski]

Pewnego wieczora, gdy przybywał z podniesioną głową, lekki i szczęśliwy jak człowiek spodziewający się co najmniej złotego deszczu, spotkał niespodzianie pokojówkę milady oczekującą na niego przy bramie.

Ładna Ketty tym razem jednak nie poprzestała na czułym spojrzeniu, bo ujęła go delikatnie za rękę.

„Domyślam się — rzekł w duchu d’Artagnan — ma ona zapewne powiedzieć mi coś od swojej pani; może przez nią oznacza mi *rendez-vous*³⁸⁵... bo sama milady osobiście nie śmiałyby, naturalnie, tego uczynić...”

I patrzył wyzywająco na ładną dziewczynę, z miną zdobywcy serc niewieścich.

— Chciałabym powiedzieć panu parę słówek, panie oficerze... — wyszeptła subretka.

— Mów, moje dziecko, mów śmiało — odezwał się d’Artagnan — słucham cię z uwagą.

— Nie mogę w tym miejscu, bo to, co mam panu powiedzieć, jest bardzo ważne i niesłychanie tajemnicze.

— Więc cóż na to poradzić?

— Gdyby pan zechciał pójść ze mną — rzekła Ketty nieśmiało.

— Pójdę, dokąd zechcesz, piękna panienko.

— To chodźmy, proszę pana.

Ketty, która wciąż trzymała d’Artagnana za rękę, poprowadziła go poprzez ciemne i kręte schodki i przebywszy kilkanaście stopni, otworzyła małe drzwiczki.

— Wejdz śmiało, panie oficerze — rzekła — tutaj będziemy sami, będziemy mogli rozmawiać swobodnie; tu nikt nas nie podsłucha.

— Czyżże to pokoik, kochane dziecko?

— To mój własny, proszę pana, a oto drzwi do pokoju mojej pani. Lecz bądź pan spokojny, nie usłyszysz ona rozmowy, nigdy wcześniej niż o północy nie kładzie się do łóżka i wtedy dopiero potrzebuje mojej pomocy.

D’Artagnan rozglądał się dokoła.

Pokoik subretki odznaczał się gustownym umeblowaniem i czystością, pomimo to młodzieniec patrzył zawzięcie na drzwi, które mu wskazała Ketty jako prowadzące do apartamentów milady.

Ketty odgadła, o czym myśli młodzieniec, spuściła więc główkę i westchnęła.

— Kochasz pan bardzo moją panią? — zapytała.

— Kocham więcej, niż mogę wypowiedzieć. O! Ketty, ja po prostu szaleję za nią!

Pokojówka westchnęła znowu i rzekła:

— Niestety!... Panie, szkoda miłości pańskiej...

— Cóż, u diabła, widzisz w tym złego? — zapytał d’Artagnan.

— A to, proszę pana — odparła Ketty — że moja pani nie kocha pana ani odrobinki...

— Jak to? — przerwał d’Artagnan. — Czyżby ci poleciała zawiadomić mnie o tym?

— O nie! Broń Boże; to ja sama przez przyjaźń dla pana postanowiłam odkryć panu prawdę.

— Dziękuję, kochana Ketty, lecz tylko za dobre serce, bo to, coś mi powiedziała, przyznaj sama, nie jest wcale przyjemne.

— To znaczy, że pan nie wierzy, wszak prawda?...

— Trudno uwierzyć, moja panienko, miłość własna nie pozwala...

— Zatem nie wierzysz pan stanowczo?

— Wyznaję, że nie uwierzę, chyba że dasz mi jakiś dowód.

— Cóż byś pan powiedział na ten oto dowód?...

Ketty wyjęła zza gorsu mały bilecik.

— Czy to dla mnie? — zapytał d’Artagnan, chwytając papier.

— Nie, to dla innego!...

— Dla innego?...

— Tak, panie.

— Nazwisko jego!... Nazwisko!... Powiedz mi natychmiast!... Jak się nazywa? — krzyczał d’Artagnan.

— Przeczytaj pan adres.

³⁸⁵*rendez-vous* (fr.) — spotkanie. [przypis edytorski]

— Hrabia de Wardes...

D'Artagnanowi stanęło przed oczyma zdarzenie w Saint-Germain. Krew w nim kipiała i zarozumiały Gaskończyk ruchem szybkim jak myśl rozdarł kopertę pomimo krzyku Ketty.

— O mój Boże!... Co pan robisz najlepszego? — wołała.

— Ja?... Nic nadzwyczajnego, jak widzisz.

I zaczął czytać:

 Nie odpowiedziałeś na mój pierwszy list, co to znaczy?... Czyś chory jeszcze?... Albo może zapomniałeś, jakim wzrokiem patrzyłeś na mnie na owym pamiętnym balu u pani de Guise? Teraz zdarza się dobra sposobność, hrabio!... Skorzystaj z niej koniecznie.

D'Artagnan zbladł śmiertelnie; jego próżność otrzymała niespodziany cios i w nieświadomości młodzieńczej wziął to za zawód w prawdziwej miłości.

— Biedny, kochany panie d'Artagnanie — odezwała się Ketty pocieszająco, ściskając rękę młodzieńca.

— Więc mnie żalujesz, pocziwa dziewczyno? — rzekł d'Artagnan.

— O tak, żałuję z całego serca! Bo ja wiem niestety, co to jest miłość.

— Ty znasz miłość? — zapytał d'Artagnan, przypatrując się pierwszy raz ładnej dziewczynie z niejaką uwagą.

— O! Znam, na moje nieszczęście!

— Otóż, zamiast ubolewać nade mną, pomóż mi lepiej z zemstą na swojej pani...

— Jakiej pan zemsty pragniesz?

— Pragnę ją zwyciężyć, pragnę zastąpić mojego rywala.

— O! Nie myślę panu do tego wcale dopomagać, panie oficerze — odrzekła Ketty pośpiesznie.

— A to dlaczego? — zapytał d'Artagnan.

— Dla dwóch powodów.

— Dla jakich?

— Najprzód, moja pani nie kocha pana wcale...

— Skąd o tym wiesz?

— Pan ją obraził śmiertelnie.

— Ja?... A czymże mógłbym ją obrazić?... Ja, który od chwili poznania leżę u jej nóg niby jakiś niewolnik? Powiedz, proszę cię, powiedz wszystko, co wiesz...

— Jeżeli zdecyduję się wyznać... to jedynie mężczyźnie, który zajrzy do głębi duszy mojej!...

D'Artagnan po raz drugi spojrział na Ketty badawczo.

Dziewczyna była świeża i piękna; niejedna księżna lub królowa oddałaby koronę za podobną urodę.

— Ketty — odezwał się — będę czytał w twej duszy, kiedy tylko zechcesz i jak długo zechcesz... bądź pewna, drogie dziecko.

I pocałował ją na początek, a biedna dziewczyna spłonęła jak wisienka.

— O! Nie — zawołała — pan mnie nie kocha, moją panią pan uwielbia... Powiedziałeś mi to przed chwilą.

— I to dlatego nie chcesz mi odkryć drugiego powodu?

— Drugi powód, proszę pana — zaczęła Ketty ośmielona pocałunkiem, a także razem oczu młodzieńca — drugi powód... że w miłości każdy myśli o sobie...

Teraz dopiero d'Artagnan przypomniał sobie powłóczyście spojrzenia, jakie rzuciła mu Ketty przy owych niby przypadkowych spotkaniach w przedpokoju, na schodach, w korytarzu, dotknięcia rączki za każdym spotkaniem i westchnienia tłumione; a on niebaczny, pożerany chęcią przypodobania się wielkiej pani, nie zwrócił uwagi na pokójkę.

Tak to zwykle bywa, kto na orla poluje, nie dba o szarego wróbelka.

Lecz tym razem nasz Gaskończyk pojął od razu wszystkie korzyści, jakie może osiągnąć, wyszukując przywiązanie Ketty wyznane tak naiwnie, a zarazem tak śmiało. Przez

Miłość niespełniona

Kondycja ludzka

Podstęp, Miłość
niespełniona, Kłamstwo

nią miałby listy przeznaczone dla hrabiego de Wardes; przez nią wiadomości, co się dzieje w domu milady, i swobodne wejście o każdej godzinie dnia i nocy do pokoiku Ketty, przyległego do sypialni milady.

Zdrajca wiarołomny! Poświęcał już w myśli, jak widzimy, biedną dziewczynę, aby osiąść milady, choćby podstępem, a nawet przemocą.

— A więc — odezwał się do dziewczyny — czy chcesz, kochana Ketty, abym dał ci dowód miłości, o której jakbyś jeszcze powątpiewała?

— Jakiej miłości?

— Tej, którą zaczynam dla ciebie uczuwać...

— Ciekawa jestem tego dowodu.

— Czy pozwolisz, abym spędzał z tobą cały ten czas, jaki poświęcałem twojej pani?

— O!... Pozwolę — odrzekła Ketty, klaszcząc rączkami z zadowoleniem — pozwolę z największą chęcią!

— Dziękuję ci, drogie dziecko — rzekł d'Artagnan, sadowiac się w fotelu. — A teraz chodź tu do mnie, ponieważ chcę ci powiedzieć, iż jesteś najpiękniejszą z subretek, jakie widziałem kiedykolwiek!

Zbliżyła się nieśmiało, on zaś długo i tak przekonywająco dowodził swojej miłości, że dziewczynę, która w duszy pragnęła uwierzyć... przekonał nareszcie.

Dziwiło to jednak bardzo d'Artagnana, że Ketty broniła się zawzięcie!

Czas prędko mija na takim zajęciu, gdy jedna strona atakuje, a druga się broni, zwłaszcza kiedy przeciwnikami są młodzi i czują, że ulegną sobie w końcu...

Północ wybiła; zaraz też ozwał się dzwonek w pokoju milady.

— Wielki Boże! — zawołała Ketty. — Moja pani mnie woła. Wychodź pan, wychodź co prędzej!

D'Artagnan podniósł się, udając posłuszeństwo, i zamiast drzwi od schodów otworzył drzwi od wielkiej szafy, i wsunął się pomiędzy suknie i peniuary³⁸⁶ milady.

— Co pan robisz, na miłość boską? — zawołała Ketty.

D'Artagnan, który już przedtem zaopatrzył się w klucz, zamknął się w szafie, nic nie odpowiadawszy.

— Co to jest?... — krzyczała milady głosem cierpkim. — Czy śpisz już i nie słyszysz, że dzwonię?

D'Artagnan usłyszał, jak drzwi od pokoju milady otworzono z hałasem.

— Jestem już, jestem, proszę pani — odezwała się Ketty, biegnąc na spotkanie rozniewanej milady.

Weszły obydwie do pokoju sypialnego, a ponieważ drzwi pozostały otworem, d'Artagnan słyszał jakiś czas łajanie; na koniec pani się uspokoila i rozmowa zesłała na niego właśnie, gdy Ketty rozbierała kapryśną damę.

— Co to znaczy? — mówiła milady. — Nasz Gaskończyk dziś się nie pokazał.

— Jak to, proszę pani — odrzekła Ketty — nie przyszedł?... Czyżby się sprzeniewierzyl, zanim jeszcze otrzymał nagrodę za swoją miłość?

— O! Nie! Przeszkodził mu zapewne pan de Tréville albo pan des Essarts. Znam ja się na tym, moja Ketty, pewna jestem tego młokosa i trzymam go dobrze.

— Co pani myśli z nim zrobić?

— Co ja z nim zrobię?... O, Ketty, bądź spokojna, popamięta on mnie. Jest między nami sprawa, której się nie domyśla nawet... On mnie o mało nie pozbawił zaufania i łaski kardynała... O! Ja się zemszczę.

— Byłam pewna, że pani go kocha.

— Że ja go kocham? Ależ ja go nienawidzę!... Głupi młokos!... Miał w ręku życie lorda Wintera i nie zabił go... pozbawił mnie szlachetnością niedorzeczną trzystu tysięcy liwrów dochodu rocznego!

— To prawda — odezwała się Ketty — pani syn jest jedynym spadkobiercą wuja, a do pełnoletności syna służy pani prawo używania majątku.

D'Artagnan zadrżał, słysząc tę idealną istotę wyrzucającą mu głosem cierpkim, który w rozmowie z nim starała się uczynić łagodnym i czułym, że nie zabił człowieka otaczającego ją przyjaźnią i dostatkiem.

³⁸⁶peniuar — elegancki, poranny kobiecy strój domowy. [przypis edytorski]

— Już bym się była dawno zemściła bez niczyjej pomocy, gdyby kardynał, nie wiem w jakim celu, nie zalecił mi dać jeszcze spokój...

— O tak! Ale pani za to nie oszczędziła młodej kobiety, którą tak kochał.

— Tej kupcowej z ulicy des Fossoyeurs? Czyż on pamięta o niej jeszcze? Ręczę ci, że przy mnie zapomniał o tamtej... Śliczna zemsta, nie ma co mówić!

Zimny pot oblał skronie d'Artagnana. Więc to był potwór, nie kobieta.

Chciał dalej słuchać, lecz milady położyła się do łóżka i rozmowa ustała.

— Możesz odejść — odezwała się — postaraj się tylko, ażebym miała jutro odpowiedź na list, który ci powierzyłam.

— Do pana de Wardes? — rzekła Ketty.

— Ma się rozumieć, że do niego.

— O! — podchwyciła Ketty. — Jego pani zupełnie inaczej traktuje niż biednego pana d'Artagnana.

— Odejdź już — rzekła milady niecierpliwie — wiesz, że nie lubię komentarzy.

D'Artagnan usłyszał zamykanie drzwi i odgłos klucza w zamku, bowiem milady zawsze zamykała się na noc. Ketty też cichuteńko zamknęła na klucz swoje drzwi.

D'Artagnan wyszedł nareszcie z ukrycia.

— O mój Boże — szepnęła Ketty. — Co się panu stało? Czegoś pan tak zbladł okropnie?

— Obrzydliwe, wstrętne stworzenie! — mruczał d'Artagnan.

— Cicho! Cicho! Na miłość boską — prosiła Ketty — wyjdź pan, tylko cienka ściana oddziela mój pokój od milady, słyhać u niej wszystko, co mówimy!

— Dlatego właśnie ani myślę ruszyć się stąd — odpowiedział d'Artagnan.

— Co pan mówi? — rzekła Ketty, czerwieniąc się gwałtownie.

— Albo, jeżeli wyjdę... to trochę później...

Przyciągnął Ketty do siebie; nie było sposobu opierać się dłużej, a zresztą opór sprawiłby hałas, a potrzeba było zachować się cicho! Więc też Ketty uległa...

Mścił się w ten sposób za obojętność i niegodziwość tych słów, że zemsta jest rozkoszą bogów...

Gdyby d'Artagnan miał choć odrobinę uczucia, byłby się zadowolił tą nową zdobyczą, lecz d'Artagnan był ambitny i marzył jedynie o wywyższeniu.

Należy jednak przyznać na pochwałę młodzieńca, że korzystając z przewagi zdobytej nad Ketty, starał się najpierw dowiedzieć o losie pani Bonacieux; biedna dziewczyna przysięgła na krzyż, że nic nie wie, że jej pani nigdy nie odkryła całej prawdy, że może tylko zaręczyć, iż, o ile przypuszcza, pani Bonacieux nie została zamordowana.

Ketty nie wiedziała także, dlaczego milady o mało nie straciła zaufania kardynała, ale d'Artagnan wiedział więcej. Widział on milady na statku zatrzymanym w porcie z rozkazu ministra w chwili, gdy opuszczał Anglię, i domyślał się, że chodzi o brylantowe zapinki. Lecz cała nienawiść milady do niego widocznie miała w tym głównie źródło, że nie zabił jej szwagra i nie przyspieszył w ten sposób chwili objęcia po nim spadku.

Nazajutrz d'Artagnan stawił się u milady o zwykłej porze. Zastał ją w okropnym humorze, widocznie brak odpowiedzi od hrabiego de Wardes tak ją usposobił.

Ketty weszła do salonu, lecz milady nie dała jej się odezwać i odprawiła ją ostro. Pokojówka rzuciła spojrzenie młodzieńcowi, które mówiło: widzisz, co cierpię dla ciebie.

Na schyłku wieczora piękna lwica jednak złagodniała, słuchała uprzejmie wylewu czułości d'Artagnana, a nawet pozwoliła ucałować śliczną rączkę.

D'Artagnan wyszedł miotany sprzecznymi uczuciami. Ponieważ jednak był to chłopak niełatwo dający się w pole wyprowadzić, więc też, umizgając się do milady, ułożył sobie jednocześnie pewien planik.

Przy drzwiach oczekiwała go Ketty i tak samo jak wczoraj pociągnęła do siebie.

Ketty wytrzymała srogie wyrzuty milady za opieszałość i nieakuratne³⁸⁷ wykonywanie poleceń. Piękna pani nie mogła zrozumieć milczenia hrabiego de Wardes i rozkazała pokojówce stawić się u siebie o dziewiątej z rana po list, już trzeci z rzędu.

D'Artagnan wymógł na Ketty obietnicę, że doręczy mu jutro ten list. Biedna dziewczyna przyrzekła kochankowi; szalona miłość nią owładnęła, nie była w stanie odmówić...

³⁸⁷nieakuratny (daw.) — niepunktualny. [przypis edytorski]

Wszystko odbyło się tak samo jak poprzedniego dnia.

D'Artagnan włożył do szafy, milady zadzwoniła, rozebrała się, odprawiła Ketty i zamknęła się na dwa zamki. D'Artagnan zaś, tak jak przeszłej nocy, powrócił do siebie o piątej nad ranem.

O jedenastej przyszła Ketty z listem milady do hrabiego. Tym razem biedne dziecko oddało bilet z własnej woli. Nie próbowała nawet perswazji, należała już duszą i ciałem do swojego pięknego żołnierza.

D'Artagnan otworzył list i czytał, co następuje:

Piszę już trzeci raz, aby powiedzieć, że cię kocham. Strzeż się, abym nie była zmuszona napisać po raz czwarty, że cię nienawidzę! Jeżeli żałujesz swego postępowania ze mną, to dziewczyna, która ci wręczy mój list, powie, w jaki sposób mężczyzna dobrze wychowany może prosić i otrzymać przebaczenie.

D'Artagnan czytając, bladł i czerwieniał na przemian.

— O! Ty ją kochasz zawsze! — rzekła Ketty, która nie spuszczała oczu z twarzy młodzieńca.

— Nie, Ketty, mylisz się, już jej nie kocham, pragnę jedynie zemsty za pogardę, jakiej doznałem.

— Tak, tak, znam ja twoją zemstę, jużś mi o niej wspominał.

— Cóż ci to szkodzi, droga Ketty! Wiesz przecież, że ciebie jedną tylko kocham.

— A ja skąd mogę o tym wiedzieć?

— Zobaczysz, jaką jej sztuczkę wyplątam.

Ketty westchnęła. D'Artagnan usiadł i napisał:

Pani! Wątpiłem do tej chwili, że twoje dwa listy były dla mnie przeznaczone, czułem się bowiem niegodny tak ogromnego zaszczytu. Nadto byłem mocno cierpiący, a w każdym razie wahałem się zaraz odpowiedzieć. Dziś zmuszony jestem uwierzyć mojemu szczęściu i łasce Twojej nieporównanej, ponieważ nie tylko drogocenny bilecik, lecz i służąca Twoja zaręcza, iż posiadam miłość twoją, o Pani! Nie potrzebuję, aby mnie uczono, w jaki sposób otrzymać mogę przebaczenie. Stawię się dziś wieczór o jedenastej i mam nadzieję zasłużyć na rozgrzeszenie. Nie spóźnię się ani o minutę, aby na nowo nie obrazić pani. Ten, którego uczyniłaś najszcześniejszym z ludzi.
Hrabia de Wardes

List ten był fałszem i uchybiał czci niewieściej, a nawet w pojęciu naszym i w świetle obyczajów współczesnych był po prostu haniebny; lecz w owej epoce rządono się innymi prawami, gdy szło o dopięcie celu.

D'Artagnan zresztą z własnych opowiadań milady wiedział, że jest zdolna do zdrady i różnych brudnych postępków, miał też dla niej bardzo mało szacunku.

Nienawidził, pogardzał nią prawie, a pomimo to czuł do niej szalony pociąg... Czy opanowała go namiętność, połączona z pogardą... czy żądza tylko, nie umiał sam z tego zdać sobie sprawy, dość, że pragnął tej kobiety.

Plan d'Artagnana był więc prosty: przez pokój Ketty wejdzie do sypialni jej pani, skorzysta z pierwszej chwili zdziwienia, wstydu, przestachu... i odniesie zwycięstwo; może mu się nie powiedzie, lecz trzeba też liczyć i na szczęśliwy traf.

— Weź to... — rzekł młodzieniec, oddając Ketty zapieczętowany bilecik — wręcz to milady jako odpowiedź hrabiego de Wardes.

Biedna Ketty zbladła śmiertelnie; domyślała się, co zawiera bilet.

— Posłuchaj, drogie dziecko — rzekł d'Artagnan — rozumiesz przecież, że to musi się raz już skończyć w ten lub inny sposób; milady może odkryć, żeś pierwszy bilecik oddała mojemu lokajowi zamiast służącemu hrabiego, że następnie ja listy odpieczętowałem i przeczytałem, a nie hrabia de Wardes, dla którego były przeznaczone; wtedy co będzie? Milady cię wypędzi, a znasz ją przecież doskonale, że na tym nie poprzestanie i będzie się chciała dalej mścić na tobie.

— O Boże! Mój Boże... — biadała Ketty. — I dla kogo ja się na to wszystko narażam?

Kobieta demoniczna,
Pożądanie

— Dla mnie, moja najpiękniejsza — odrzekł młodzieniec — toteż przysięgam ci wdzięczność nieskończoną.

— Powiedz mi przynajmniej, co zawiera ten bilet...

— Milady ci powie...

— O! Ty mnie nie kochasz! — wykrzyknęła Ketty. — O! Ja nieszczęśliwa!

Na taki zarzut jest tylko jedna odpowiedź, na którą... wszystkie kobiety i po wsze czasy zawsze się łapią.

D'Artagnan odpowiedział w taki sposób, że biedna Ketty uwierzyła. Pomimo to zalewała się łzami, zanim zdecydowała się oddać liścik do rąk milady. Na koniec przyrzekła, a jedynie tego pragnął d'Artagnan.

Obiecał jej w nagrodę niedługo zabawić wieczorem u milady, a po wyjściu przyjąć prosto do niej. Obietnica ta osuszyła łzy Ketty i pocieszyła ją ostatecznie.

Miłość niespełniona

ROZDZIAŁ VII. UMUNDUROWANIE ARAMISA I PORTOSA

Od chwili, gdy czterech przyjaciół szukało sposobu należytego wyekwipowania się do zapowiedzianej kampanii, zaprzestali oni bywać u siebie w umówionych dniach jak dotychczas.

Jadali samotnie tam, gdzie ich zastała godzina obiadowa lub gdzie im się udało zjeść darmo.

Słudzy, za przykładem panów, wałęsali się po mieście i każdy zdobywał sobie pożywienie, jak mógł.

Umówiono się jedynie, aby raz na tydzień schodzić się u Atosa około godziny pierwszej, gdyż Atos według przysięgi, jaką sam sobie złożył, nie wychylał się za próg mieszkania.

Dzień, w którym Ketty była u d'Artagnana, był właśnie przeznaczony na takie zebranie i zaledwie dziewczyna opuściła mieszkanie, młodzieniec udał się zaraz na ulicę Férou.

Atosa zastał filozofującego z Aramisem.

Aramis objawiał niejakię chęć powrotu do sutanny.

Atos według raz przyjętego zwyczaju ani namawiał, ani mu odradzał.

Nie lubił udzielać rad, nie będąc proszony, a nawet zapytany ociągał się z odpowiedzią.

— Ludzie w ogóle pytają o radę — mawiał — aby potem robić według swego widzimisie; a jeżeli przypadkiem zastosują się do czyjegoś zdania, to jedynie dlatego, aby potem mieć na kogo narzekać.

Kondycja ludzka

Portos stawił się prawie razem z d'Artagnanem; czterech przyjaciół znalazło się więc w komplecie.

Fizjonomia każdego wyrażała odmienne uczucie: Portosa — spokój i zadowolenie wewnętrzne; d'Artagnana — nadzieję; Aramisa — niepokój; Atosa zaś — obojętność.

Ogólna rozmowa toczyła się już od chwili. Portos dawał właśnie do zrozumienia przyjaciołom, że wysoko położona osoba zajęła się jego umundurowaniem, gdy wtem wszedł Mousqueton.

Przyszedł on prosić Portosa, aby natychmiast wracał do domu, gdzie, jak powiadał z miną strasznie skruszoną, jego obecność jest gwałtownie potrzebna.

— Czy przyniesiono moje umundurowanie? — zapytał Portos.

— Tak i... nie — odrzekł Mousqueton.

— Powiedzże, co się stało?...

— Chodźmy co prędzej, błagam pana.

Portos wstał, pożegnał przyjaciół i udał się za Mousquetonem.

Za chwilę Bazin ukazał się na progu.

— Czego chcesz, mój przyjacielu?... — zapytał Aramis głosem słodkim, jaki zawsze przybierał, gdy go opanowywała myśl powrotu do stanu duchownego.

— Jakiś nieznajomy oczekuje na pana w domu — odpowiedział Bazin.

— Nieznajomy?... Co to może być za człowiek?

— Żebrak, proszę pana.

— Daj mu jałmużnę, kochany Bazinie, i prosz go o modlitwę w intencji biednego grzesznika.

— Kiedy żebrak ten chce koniecznie z panem pomówić i utrzymuje, że pan będzie bardzo kontent³⁸⁸ z jego przybycia.

— Może ma do mnie interes osobisty?

— Tak, tak panie. Jeżeli pan Aramis (to są jego słowa) będzie się ociągał z powrotem, powiesz mu, że przychodzę z Tours.

— Z Tours?... — zawołał Aramis. — Panowie, wybaczcie, muszę was pożegnać, bo człowiek ten z pewnością przynosi mi wieści, jakich oczekuję od dawna.

Zerwał się i wyszedł pośpiesznie.

Zostali tylko Atos i d'Artagnan.

— Sądzę, że nasze zuchy znalazły nareszcie, czego szukały. Jak ci się zdaje, d'Artagnanie? — odezwał się Atos.

— Wiem na pewno, że Portos jest na dobrej drodze... — rzekł d'Artagnan. — A co się tyczy Aramisa, o niego byłem spokojny zawsze. Lecz ty, kochany Atosie, rozdałeś z taką hojnością złoto Anglika, które było twoją prawą własnością, a sam co poczniesz obecnie?

— Cieszę się bardzo, że zabiłem tego głupca, tym więcej, że jest zasługą przed Bogiem zgładzić ze świata Anglika. Lecz gdybym był schował do kieszeni jego pieniądze, ciążyłyby mi one jak wyrzut sumienia.

— Daj spokój, Atosie, mój drogi! Masz, doprawdy, dziwne uprzedzenia...

— Dosyć już o tym, mówmy o czym innym... Ale, ale, pan de Tréville powiedział mi, gdy był łaskaw odwiedzić mnie wczoraj, że utrzymujesz obecnie stosunki z jakimiś podejrzanymi Anglikami, z protegowanymi kardynała.

— To chyba mówił o Angielce, tej właśnie, o której ci wspomniałem.

— A tak! Przypominam sobie, blondynka, z której powodu tyle ci dobrych rad udzieliłem, a ty, ma się rozumieć, nie słuchałeś ich wcale.

— Powiedziałem ci przecież dlaczego...

— Tak, zapewne widzisz w niej jedyną ucieczkę dla pozbycia się kłopotu, jaki masz z umundurowaniem.

— O!... Wcale nie! Ale przekonałem się, że za sprawą tej kobiety pani Bonacieux została porwana i ukryta.

— Rozumiem, mój drogi: chcąc odnaleźć jedną kobietkę, umizgujesz się do drugiej. Masz rację, kochanku, jest to droga najdłuższa, ale za to najprzyjemniejsza.

Widzieliśmy już, z jakim pośpiechem młody muszkieter wybiegł za Bazinem, a raczej go wyprzedził; jednym skokiem znalazł się na ulicy Vaugirard.

Wpadł do siebie i rzeczywiście zastał w pokoju mężczyznę małego wzrostu, o spojrzeniu roztropnym, lecz ubranego w łachmany.

— To pan mnie potrzebujesz?... — zapytał muszkieter.

— Pragnę widzieć się z panem Aramisem. Czy takie jest pańskie nazwisko?...

— Tak, panie, ja nim jestem. Czy masz mi pan coś oddać?

— Tak, jeżeli mi pan pokażesz pewną chusteczkę haftowaną.

— Oto jest — rzekł Aramis, wyjmując z zanadru kluczyk i otwierając szkatułkę hebanową, wysadzaną konchą³⁸⁹ perłową — oto jest, widzisz ją pan.

— Dobrze — rzekł żebrak — a teraz odpraw pan lokaja.

Bazin bowiem, ciekawy dowiedzieć się, czego chce żebrak od jego pana, prawie jednocześnie wszedł do pokoju. Lecz pośpiech ten nie na wiele mu się przydał; na żądanie żebraka pan skinął, aby się usunął, i musiał usłuchać.

Po wyjściu Bazina żebrak obejrzał się szybko dokoła dla pewności, czy ktoś nie patrzy lub nie podsłuchuje. Następnie rozpiął podartą kamizelkę i stary pas skórzany, rozpruł bok kaftana i wyjął zapieczętowany list.

Aramis wydał okrzyk radości na widok herbu na pieczętce, ucałował podpis i z niemal religijną czcią rozłożył ćwiartkę papieru zawierającą, co następuje:

Przyjacielu! Przeznaczenie chce, abyśmy byli rozłączeni jeszcze czas jakiś, lecz piękne dni młodości nie są dla nas stracone bezpowrotnie! Spełń powinność swoją na polu walki; ja spełniam swoją tam, gdzie mnie los postawił.

³⁸⁸kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

³⁸⁹koncha — muszla. [przypis edytorski]

Przyjmij to, co ci oddawca listu doręczy, bądź podczas wojny pięknym i dobrym szlachcicem, jakim zawsze byłeś; kochaj mnie i myśl o mnie... o mnie, która całuje twoje śliczne oczy! Żegnam cię... Do widzenia!

Żebrek pruł ciągle kaftan i wyciągał sztuki złota zza podszewki, aż wyjął sto pięćdziesiąt podwójnych liwrow hiszpańskich i ułożył je na stoliku.

To uczyniwszy, otworzył drzwi, skłonił się i wyszedł, zanim osłupiały ze zdziwienia młodzieniec odważył się do niego przemówić.

Aramis odczytał list po raz drugi i spostrzegł, że było i *postscriptum*³⁹⁰.

P.S. Możesz śmiało przyjąć z uszanowaniem oddawcę listu, ponieważ jest on hrabią i *grandem*³⁹¹ hiszpańskim.

— O sny moje złote! — zawołał Aramis. — Jakież to życie jest piękne! Tak, jesteście jeszcze młodzi! I dla nas jeszcze nastaną dni szczęścia!... O! Twój jestem, twój jedynie, miłość moja, krew, życie moje!... Wszystko, wszystko do ciebie należy! Moja najpiękniejsza! Moja ukochana!

Całował list namiętnie, nie patrząc nawet na złoto błyszczące na stoliku. Bazin zapukał do drzwi; Aramis nie miał już powodu ukrywać się, pozwolił mu zatem wejść.

Lokaj oniemiał na widok złota i zapomniał, że przyszedł oznajmić d'Artagnana, który, zaciekawiony, co to za żebrek zjawił się z interesem tak pilnym, wstąpił po drodze od Atosa do Aramisa.

A że nie miał zwyczaju robić ceremonii z przyjacielem i widział, że Bazin go nie anonduje, wszedł, nie czekając oznajmienia.

— A! Do wszystkich diabłów! Kochany Aramisie, jeżeli to są owoce, jakie ci z Tours przysyłają, powinszuj ode mnie ogrodnikowi, który je hoduje.

— Mylisz się, mój drogi — odrzekł Aramis zawsze dyskretny — to właśnie wydawca mój odesłał mi należność za poemat, który, jak wiesz, napisałem.

— O! O! — rzekł d'Artagnan. — To twój wydawca musi być nadzwyczajnie hojny, mój kochany Aramisie.

— Jak to, proszę pana?! — wykrzyknął Bazin. — Więc za poemat tak drogo płacą? To pan możesz stać się równy panu de Voiture i panu de Benserade. Dumny jestem z mego pana. Poeta to prawie książdz. O! Panie Aramisie, zostań jedynie poetą, błagam cię!

— Bazinie, mój przyjacielu — odrzekł Aramis — niech cię Bóg ma w swojej opiece, lecz, zdaje mi się, że mieszasz się do naszej rozmowy!

Bazin zrozumiał, że odezwał się niewłaściwie, spuścił więc głowę i wyszedł skonfundowany.

— A! — odezwał się d'Artagnan z uśmiechem. — Doprawdy, na wagę złota sprzedajesz swoje utwory. Szczęście ci służy, mój przyjacielu, ale uważaj dobrze, bo zgubisz list, który wygląda ci zza kaftana, a który pochodzi zapewne także od wydawcy.

Aramis zacerwienił się aż do białek oczu, wsunął bilecik i zapiął kaftan pod samą szyję.

— Posłuchaj, kochany d'Artagnanie — odezwał się — jeśli pozwolisz, pójdziemy teraz poszukać naszych przyjaciół, a ponieważ jestem obecnie bogaty, od dziś dnia będziemy mieć obiady wspólne aż do chwili, kiedy któryś z was też się dorobi pieniędzy...

— Na honor! Masz słuszność — rzekł d'Artagnan — służę ci z wielką przyjemnością. Nie jedliśmy już od dawna porządnego obiadu, a ponieważ ja osobiście szykuję się dziś wieczorem na trochę ryzykowną wyprawę, przyznaję, że nie od rzeczy będzie, gdy dodam sobie odwagi kilkoma butelkami starego burgunda.

— Niech będzie burgund; nie czuję wcale do niego odrazy — rzekł Aramis, któremu widok złota rozwił gdzieś myśli o stanie duchownym.

Włożył do kieszeni kilka podwójnych pistoli na bieżące potrzeby, schował resztę do szkatułki hebanowej, inkrustowanej³⁹² konchą perłową, gdzie znajdowała się już chusteczka batystowa — talizman szczęścia i wszelkiej pomyślności.

³⁹⁰*postscriptum* (łac.) — dopisek do listu. [przypis edytorski]

³⁹¹*grand* — arystokratyczny tytuł hiszpański. [przypis edytorski]

³⁹²*inkrustowany* — dekorowany poprzez układanie na powierzchni wzoru, zwykle z wyrafinowanych materiałów w rodzaju masy perłowej czy rzadkich odmian drewna. [przypis edytorski]

Dwaj przyjaciele udali się najpierw do Atosa, który wierny przysiędze niewychodzenia z domu podjął się sprowadzić obiad do swego mieszkania, a ponieważ odznaczał się znajomością urządzania wykwinnych uczt, d'Artagnan i Aramis z wielką chęcią powierzyli mu starania i kłopot o wybór potraw.

Następnie poszli do Portosa, w drodze rozmawiali wesoło i układali najrozmaitsze projekty, gdy na skrócie ulicy du Bac spotkali Mousquetona, który z miną strasznie żalosną pędził przed sobą muła i konia.

D'Artagnan wydał okrzyk zdziwienia pomieszanego z uczuciem niejakiego ukontentowania.

— O! Na Boga, toż to mój konik żółty — zawołał. — Aramisie, spójrz na tego człapaka³⁹³.

— O fe! Co za obrzydliwa szkapa! — rzekł Aramis.

— Otóż, mój kochany — odparł d'Artagnan — na tym koniu przybyłem do Paryża.

— Więc pan zna tego konia? — podchwycił Mousqueton.

— Szczególny kolor — dodał Aramis — nie widziałem nigdy w życiu podobnej maści.

— Wierzę bardzo — podjął d'Artagnan — dlatego też sprzedałem go za trzy talary i z pewnością zapłacono mi jedynie za skórę, bo jego wewnętrzne zalety nie są warte i osiemnastu liwów. Jakim jednak sposobem koń ten znalazł się w ręku Mousquetona?

— O! — zawołał lokaj. — Niech pan o tym lepiej nie wspomina, bo to, proszę pana, jest figiel męża naszej księżnej.

— Co za figiel? Opowiedz, Mousquetonie!

— A to, proszę pana, jesteśmy w wielkich łaskach u pewnej wielkiej damy, księżnej de... przepraszam! Mój pan nakazał mi tajemnicę, nie mogę zatem nazwisk powiedzieć; pani owa zmusiła nas, abyśmy przyjęli na pamiątkę od niej wspaniałego rumaka hiszpańskiego i takiegoż muła. Doprawdy, że chciało się patrzeć bez końca na te cudowne stworzenia! Wtem mąż zazdrosny dowiedział się o wszystkim, przejął w drodze wierzchowce znakomite i zastąpił je tymi oto bydlętami!

— Które odprowadzasz mu z powrotem? — zapytał d'Artagnan.

— A, naturalnie — odrzekł Mousqueton. — Pojmujesz pan, iż nie możemy przyjąć nędznych szkap zamiast wierzchowców, jakie nam przyobiecano.

— Ma się rozumieć, że nie wypada, choć pragnąłbym nieskończenie widzieć Portosa na moim koniu; miałbym przynajmniej wyobrażenie, jak sam wyglądałem, przybywając do Paryża... Nie zatrzymujemy cię, Mousquetonie, ruszaj dalej spełnić rozkaz twego pana. A czy jest on u siebie?

— Jest, proszę pana, lecz w bardzo złym humorze.

Lokaj skierował się w stronę bulwaru Grands-Augustins, a dwaj przyjaciele udali się do nieszczęśliwego Portosa i dzwoniли do jego drzwi zawzięcie. Na próżno jednak — Portos widział, jak przechodzili przez podwórze i nie myślał wcale otwierać.

Mousqueton szedł coraz dalej, przebył Pont Neuf, pędząc ciągle przed sobą obrzydłe wywłoki, i dotarł nareszcie do ulicy aux Ours. Tam zaś, według polecenia swego pana, przywiązał konia i muła do młotka przy drzwiach prokuratora i nie troszcząc się o ich przyszły los, powrócił do Portosa z wiadomością, że jego rozkazy spełnił wiernie.

Po niejakim czasie nieszczęśliwe zwierzęta, które od rana nic nie jadły, narobiły takiego piekielnego hałasu, szarpiąc i stukając młotkiem u drzwi, że prokurator wysłał z kancelarii swego wyrostka, aby dowiedział się od sąsiadów, do kogo należą ten koń i muł czyniący taką wrzawę.

Pani Coquenard poznała od razu swój prezent, tylko nie mogła pojąć, dlaczego go zwrócono z drogi. Niedługo jednak czekała na rozwiązanie zagadki, przybycie Portosa ją oświeciło... Gniew i obraza, błyszczące w oczach muszkietera, pomimo że usiłował hamować się, przejęły śmiertelną trwogą czułą dulcyneę³⁹⁴.

Mousqueton opowiedział swemu panu, iż spotkał Aramisa i d'Artagnana i że ostatni poznał podjezdka, który go przyniósł do Paryża i którego sprzedał za trzy talary.

Portos niedługo zabawił u swej oblubienicy, wyszedł rozsierzdony, wyznaczając jej spotkanie przy klasztorze Saint-Magloire.

³⁹³człapak — bardzo powolny koń. [przypis edytorski]

³⁹⁴dulcynea (iron.) — ukochana. [przypis edytorski]

Pani Coquenard, drżąc cała, pośpieszyła do klasztoru Saint-Magloire. Przeczuwała biedaczka, co ją czekało, i przygotowana była na wymówki straszne. Portos tak jej imponował pańskim ułożeniem!

Wszystko, co człowiek zraniony w miłości własnej jest zdolny wypowiedzieć: srogie wyrzuty, wymówki i przekleństwa, wszystko to spadło na kornie³⁹⁵ pochyloną głowę pani prokuratorowej.

— Niestety!... — odezwała się. — Staralam się zrobić jak najlepiej... Jeden z naszych klientów jest handlarzem koni. Zadłużył się on bardzo w kancelarii męża i nie chciał w żaden sposób zapłacić. Wzięłam w długu konia i muła. Przyrzekł mi niegodziwiec dostarczyć wierzchowce królewskie...

— Otóż, moja pani — rzekł Portos — jeżeli był winien więcej niż pięć talarów, to ten twój handlarz oszukał cię diabelnie.

— Przecie każdemu wolno starać się o tanie kupno — odparła prokuratorowa, starając się usprawiedliwić.

— O! Niezupełnie, szanowna pani. Ci, co szukają taniego towaru, winni pozwolić innym poszukać sobie hojniejszych przyjaciół.

Po tych słowach Portos wykręcił się na pięcie i zamierzał odejść.

— Panie Portosie!... Panie Portosie! — zawołała prokuratorowa. — Moja wina, przynajmniej, nie powinnam była się targować, gdy chodziło o wyekwipowanie tak znakomitego kawalera!

Portos milczał i odsuwał się coraz dalej.

Prokuratorowa widziała go już oczami wyobraźni niknącego niby w obłoku świetlnym, otoczonego księżnymi, margrabinami, które rzucały mu pod nogi pełne wory złota...

— Stój!... Zatrzymaj się, na miłość boską — zawołała. — Poczekaj! Pogadajmy trochę!...

— Rozmowa z panią przynosi mi nieszczęście — odparł Portos.

— Powiedz nareszcie, czego żądasz?

— Nic nie chcę, moja pani, bo z tobą to na jedno wychodzi...

Prokuratorowa zawisła na ramieniu Portosa i w uniesieniu bolesnym zawołała:

— Panie Portosie! Wybacz, ja nie znam się na niczym... Skąd mogę wiedzieć, jaki koń powinien być? Czy ja wiem, co to jest uprzęż na konia?

— Trzeba było mnie to polecić, mnie, bo przecież ja znam się na tym doskonale, moja pani; lecz chciałaś robić oszczędności, pieniądze pożyczać na procent lichwiarski...

— Nie miałam racji, panie Portosie, wyznaję. Teraz naprawię mój błąd, zaręczam słowem honoru!

— W jaki sposób? — zapytał muszkietier.

— Posłuchaj! Dziś wieczorem pan Coquenard udaje się do księcia de Chaulnes na naradę, która potrwa ze dwie godziny co najmniej. Przyjdź zatem do mnie, będziemy sami i wszystko się dobrze ułoży...

— Tak, to lubię! To się nazywa mówić rozumnie, moja droga...

— Przebaczasz mi nareszcie?

— Zobaczymy — odrzekł Portos majestatycznie.

Rozłączyli się, mówiąc:

— Do widzenia wieczorem.

„Do kaduka! — pomyślał Portos, odchodząc w swoją stronę. — Zdaje mi się, iż na koniec zbliżam się przecież do szkatuły starego Coquenarda”.

ROZDZIAŁ VIII. W NOCY WSZYSTKIE KOTY SĄ SZARE

Jakkolwiek dzień jest długi, nadszedł nareszcie wieczór oczekiwany tak niecierpliwie przez Portosa i d'Artagnana.

D'Artagnan, według zwyczaju, stawił się u milady około dziewiątej. Znalazł ją w humorze wyśmienitym; nigdy jeszcze nie był przyjęty tak mile.

Nasz Gaskończyk poznał od pierwszego wejrzenia, że musiała otrzymać jego bilecik i że wpłynął on na jej usposobienie.

³⁹⁵korny — okazujący pokorę i szacunek. [przypis edytorski]

Ketty podała sorbety. Milady i dla niej była uprzejma; uśmiechała się do pokojowej słodziutko. Lecz niestety! Biedna dziewczyna tak była zatopiona w smutku, że nawet nie spostrzegła dobroćliwości swej pani.

D'Artagnan spoglądał na obydwie kobiety, porównywał je w myśli i przyznać musiał, że natura, stwarzając je, pomyliła się okrutnie; wielka pani otrzymała w udziale duszę sprzedajną i podłą, subretka zaś serce i charakter godne księżnej krwi królewskiej.

O dziesiątej milady zaczęła okazywać niepokój i rozdrażnienie.

D'Artagnan wiedział dobrze, z jakiego powodu; spoglądała na zegar, podnosiła się, siadała znów, uśmiechała się do gościa i patrzyła na niego wzrokiem, który mówił wyraźnie: „Jesteś bardzo przyjemny, bez wątpienia, lecz byłbyś daleko miłszy, gdybyś się już wyniósł”.

D'Artagnan wstał z krzesła i wziął kapelusz. Milady podała mu rączkę do ucałowania; młodzieniec poczuł lekkie uściśnięcie i domyślił się, że pochodzi nie z kokieterii, lecz z wdzięczności za to, że odchodził.

— Ona musi go słuchać diabelnie — zamruczał i wyszedł.

Nie spotkał tym razem Ketty ani w przedpokoju, ani na korytarzu, ani nawet w bramie. Sam musiał szukać schodków prowadzących do pokoiku subretki.

Ketty siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach i gorzko płakała.

Słyszała, jak wszedł d'Artagnan, lecz nie podniosła głowy; młodzieniec zbliżył się i ujął ją za ręce. Wtedy, nie mogąc dłużej panować nad sobą, wybuchnęła głośnym płaczem.

Jak to przeczuwał d'Artagnan, milady po odebraniu listu z wielkiej radości opowiedziała wszystko pokojówce, a chcąc ją wynagrodzić za spełnienie polecenia tym razem wiernie i pomyślnie, obdarzyła pieniędzmi.

Wróciwszy do swojej izdebki, Ketty cisnęła woreczek na ziemię, a złoto rozsypało się po kątach.

Strapiona dziewczyna za dotknięciem d'Artagnana podniosła głowę. Aż przeląkł się zmiany, jaka w niej zaszła: twarz, łzami zalana, była trupio blada; załamała rączki błagalnie, nie śmiąc wymówić słowa.

D'Artagnan nie odznaczał się czułością serca, a jednak poruszył go widok niemej boleści, lecz zanadto stały i uparty był w swoich zamiarach i zbyt chodziło mu o dopięcie tego, co przedsięwziął dzisiejszej nocy, aby chciał choć na jotę zmienić postanowienie.

Nie pozostawił też Ketty najmniejszej nadziei, aby go czymkolwiek mogła zmiękczyć, wytłumaczył jej tylko, że to, co zamierza uczynić, jest po prostu jego zemstą.

Wszystko tak się składało, aby ułatwić ten akt zemsty.

Milady, zapewne w celu ukrycia wstydu przed kochankiem, rozkazała Ketty pogasić światła w apartamentach, a nawet w jej własnym pokoiku. Hrabia de Wardes miał wyjść od niej przede dniem, jednak nie chciała, aby się światło paliło.

Po niedługiej chwili usłyszano milady wchodzącą do sypialni. D'Artagnan wskoczył do szafy natychmiast i zaledwie miał czas się zamknąć, gdy dzwonek się odezwał.

Ketty udała się na wezwanie, lecz tym razem zamknęła drzwi za sobą. Pomimo to było słychać prawie wszystko, co mówiono w sypialni, gdyż ściana była cienka.

Milady, upojona radością, kazała powtórzyć Ketty wszystkie szczegóły jej mniemanego widzenia się z hrabią de Wardes: jaką miał minę, gdy odebrał list, jak odpisywał, co wyrażała jego twarz, czy wydawał się bardzo zakochany...

Na wszystkie te pytania biedna Ketty, zmuszona udawać, odpowiadała głosem przytłumionym, na co jej pani nie zwróciła wcale uwagi; szczęście zwykle robi ludzi egoistami.

Gdy wreszcie nadeszła godzina przybycia hrabiego, milady kazała ostatecznie pogasić świece i wprowadzić hrabiego de Wardes, gdy tylko się zjawi.

Ketty nie potrzebowała długo czekać.

Zaledwie d'Artagnan ujrzał przez dziurkę od klucza, że już wszystko pogrążone w ciemnościach, wyskoczył z szafy, wprzód nim pokojówka zdążyła zamknąć drzwi.

— Co to za hałas? — zapytała milady.

— To ja jestem — rzekł d'Artagnan półgłosem — ja, hrabia de Wardes.

— O Boże! Mój Boże! — szepotała Ketty. — Nie mógł nawet doczekać się godziny, którą sam oznaczył!

— To on? — odezwała się milady. — Dlaczego nie wchodzi? Hrabio, drogi hrabio, wiesz przecież, że czekam na ciebie!

Szczęście

Na takie wezwanie d'Artagnan odsunął z lekka Ketty i pośpieszył do sypialni.

Jeżeli wściekłość i boleść może wystawić na męki jakąś duszę, to tym bardziej duszę zakochanego, który pod nie swoim imieniem odbiera przysięgi miłości przeznaczone dla rywala.

D'Artagnan znalazł się w położeniu, jakiego nie przewidywał. Zazdrość szarpała mu serce i cierpiał prawie na równi z nieszczęsną Ketty płaczącą gorzko w sąsiednim pokoju.

— O tak, hrabio — mówiła milady najsłodszy głosem, ściskając go czule za rękę. — O! Tak, szczęśliwa jestem nad wyraz miłością, którą widzę w twoich oczach i słyszę w słowach, ile razy się spotykamy. Ja także kocham cię gorąco. Pragnę, abyś pamiętał o mnie, boję się zapomnienia i dlatego proszę cię, weź to, niech ci mówi o mnie bezustannie.

Zdjęła pierścień z palca i podała d'Artagnanowi.

Przypomniał sobie, że widział u milady ten klejnot; był to wspaniały szafir otoczony brylantami. D'Artagnan wzbraniał się go przyjąć, lecz milady rzekła:

— Zachowaj ten pierścień przez miłość dla mnie... Przyjmując go — dodała głosem wzruszonym — wyświadczasz mi większą przysługę, niż sobie możesz wyobrazić.

„Ta kobieta jest pełna tajemnic” — myślał d'Artagnan i gotów był wyjawić jej wszystko. Otworzył już usta, aby wyznać milady, kim był i że przyszedł jedynie dla dogodzenia uczuciu zemsty, lecz ona zaczęła:

— Biedny, drogi aniele, którego ten potwór Gaskończyk o mało nie zamordował!

Potwór to był właśnie on.

— O! Najdroższy — ciągnęła milady — czy rany boją cię jeszcze?

— O tak! Bołą okropnie — rzekł d'Artagnan, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Bądź pewny — szepnęła milady — ja cię pomszczę! Pomszczę okrutnie.

„Oho! — pomyślał d'Artagnan. — Chwila zwierzeń jeszcze nie nadeszła”.

Potrzebował czasu, by się uspokoić po tej rozmowie, lecz cała zawziętość, z jaką przyszedł, gdzieś się ulotniła.

Ta kobieta posiadała nad nim władzę zadziwiającą, nienawidził i uwielbiał ją jednocześnie; nie przypuszczał nigdy, aby dwa tak sprzeczne uczucia mogły się mieścić w sercu jednego człowieka i tworzyły razem miłość niepojętą, prawie szatańską.

Wybiła pierwsza po północy; nastąpiła chwila rozłączenia. D'Artagnan przy rozstaniu z milady czuł już tylko żal wielki, a w pożegnaniach namiętnych, powtarzanych bez końca, ułożono podobną schadzkę na przyszły tydzień.

Biedna Ketty spodziewała się pomówić trochę z ukochanym, gdy będzie przechodził przez jej pokój, lecz milady przeprowadziła go sama aż do schodów.

Nazajutrz rano d'Artagnan pobiegł do Atosa. Czuł potrzebę wypowiedzenia się przyjacielowi, tak go przerażała nadzwyczajność całej tej awantury.

— Twoja milady — rzekł Atos, wysłuchawszy opowiadania — wydaje mi się istotą bez czci i wiary, pomimo to, oszukując ją, źle czynisz. Teraz, po tym, co się stało, spodziewaj się w niej nieprzyjaciółki strasznej, nieubłaganej...

Atos mówiąc to, przypatrywał się z uwagą szafirowi otoczonemu brylantami, który błyszczał na palcu d'Artagnana w miejsce pierścienia otrzymanego od królowej, a schowanego starannie do pudełka.

— Patrzysz na ten pierścionek?... — rzekł Gaskończyk z dumą, kontent, że pochwalić się może podarkiem drogocennym.

— Tak — rzekł Atos — patrzę, bo przypomina mi nasz klejnot rodzinny.

— Piękny jest, wszak prawda?... — podchwycił d'Artagnan.

— Przepyszny, wspaniały — odrzekł Atos — ale nie przypuszczałem, aby istniały dwa szafiry tak pięknej wody. Czy przehandlowałeś już swój diament?

— O nie!... — odrzekł d'Artagnan. — Jest to prezent od mojej pięknej Angielki, a raczej od mojej pięknej Francuzki; ponieważ, choć jej o to nie pytałem, przekonany jestem, że się we Francji urodziła.

— Więc ten pierścionek pochodzi od milady? — zawołał Atos głosem, w którym było czuć ogromne wzruszenie.

— Od niej. Dała mi go dzisiejszej nocy.

— Pokaż mi ten pierścień — rzekł Atos.

— Oto go masz — odrzekł d'Artagnan, zdejmując pierścionek z palca.

Kobieta demoniczna,
Miłość

Atos przypatrywał się i bladł coraz bardziej; włożył go na czwarty palec lewej ręki, pasował zupełnie tak, jakby dla niego był robiony.

Wyraz gniewu i zemsty odbił się na twarzy Atosa, zwykle tak spokojnej.

— Niepodobna, aby to był ten sam — powiedział — w jakiż sposób znalazłby się w rękach lady Clarick? A jednak trudno znaleźć dwa kamienie tak do siebie podobne.

— Czy znasz ten pierścień?... — zapytał d'Artagnan.

— Zdawało mi się, że go już widziałem, lecz myślę się pewnie...

Oddał klejnot d'Artagnanowi, nie spuszczać go jednak z oczu.

— Słuchaj, d'Artagnanie — odezwał się po chwili — zdejmij pierścionek z palca lub odwróć kamień na wewnątrz, przypomina mi on straszne chwile w życiu i nie mógłbym rozmawiać z tobą swobodnie. Przyszedłeś zasięgnąć rady?... Mówiłeś mi, iż znajdujesz się w nader trudnym położeniu?... Ale, poczekaj no... pokaż mi jeszcze ten szafir, bo tamten, o którym wspomniałem, miał rysę na boku wskutek pewnego wypadku.

D'Artagnan zdjął znów pierścionek i podał Atosowi.

Atos zadrżał.

— Patrz — zawołał — to niepojęte!

I wskazał rysę, o której pamiętał.

— Od kogo dostałeś ten szafir?

— Od mojej matki, która go znów dostała od swojej. Jak ci już mówiłem, jest to stary klejnot rodzinny... przechodzący z pokolenia na pokolenie i strzeżony jak świętość.

— I ty go sprzedałeś?... — zapytał d'Artagnan nieśmiało.

— O, nie — odparł Atos z dziwnym uśmiechem. — Oddałem go dobrowolnie pewnej nocy w uniesieniu miłosnym, tak samo jak i ty go otrzymałeś!

D'Artagnan zamyślił się; odgadywał w duszy milady przepaści czarne i niezgłębione... Nie włożył już pierścionka na palec, schował go do kieszeni.

— Przyjacielu — rzekł Atos, biorąc go za rękę — wiesz dobrze, jak cię kocham, i gdybym miał syna, nie więcej byłby mi drogi. Proszę, wierz memu doświadczeniu, porzuć tę kobietę. Nie znam jej wcale, lecz mam przecucie, głos wewnętrzny mi mówi, że to istota zgubiona i że nad nią ciąży fatalizm zbrodni.

— Masz rację — odparł d'Artagnan. — Posłucham i nie chcę jej już nawet znać. Przyznaję, że mnie samego ta kobieta przeraża.

— A więc będziesz miał dość odwagi?... — przerwał Atos.

— O, będę miał, zaręczam — odpowiedział d'Artagnan. — Od tej chwili sobie postanawiam.

— Otóż, powiem ci, moje dziecko, że dobrze zrobisz — rzekł Atos, ściskając rękę Gaskończyka z prawie ojcowskim uczuciem. — Proś Boga, aby ta kobieta, która choć na krótko wplątała się w twoje życie, nie pozostawiła w nim śladów straszliwych!

Po tych słowach Atos skłonił głowę na pożegnanie, dając do zrozumienia, że chce pozostać sam.

D'Artagnan powróciwszy do siebie, zastał Ketty. Cały miesiąc ciężkiej choroby nie byłby zmienił o tyle biednej dziewczyny, jak ta jedna bezsenna noc spędzona we łzach.

Milady wysłała Ketty do hrabiego de Wardes. Pani ta szalała z miłości niepoohamowanej, radość pozbawiała ją zmysłów; pragnęła co prędzej upewnić się, kiedy znów kochanek przyjdzie do niej...

Biedna Ketty, blada i drżąca, oczekiwała odpowiedzi d'Artagnana.

Atos posiadał wielki wpływ na młodego człowieka. Rady przyjaciela i głos własnego serca nakazały mu stanowczo, aby teraz, gdy zaspokoił już zemstę i zadowolił dumę, opuścił milady zupełnie. Wziął pióro i napisał, co następuje:

Niech pani nie liczy na prędką schadzka ze mną. Od czasu mego wyzdrowienia mam tak dużo zajęć podobnych, że muszę niejaki porządek zaprowadzić. Gdy na panią kolej nadejdzie, będę miał honor zawiadomić ją o tym. Całuję pani rączki Hrabia de Wardes

O pierścionku ani słowa. Czy przemyślny Gaskończyk chciał go zatrzymać jako broń przeciw milady? Albo też, powiedzmy prawdę, pokładał w drogocennym szafirze jedyną nadzieję porządnego wyekwipowania się?

Nie można sądzić ludzi z tamtej epoki według miary dzisiejszej.

To, co uważalibyśmy obecnie jako hańbiące młodego człowieka, w owym czasie było rzeczą prostą i zwyczajną, a młodzi synowie w rodzinie, ponieważ tylko najstarszy dziadzi- czył majątek i tytuły, starali się w buduarach wysoko postawionych dam wyrabiać sobie protekcję i zasilek pieniężny.

D'Artagnan po napisaniu oddał niezapieczętowany list do rąk Ketty, która przeczytała najpierw, nie mogąc nic zrozumieć, a gdy pojęła nareszcie znaczenie biletu, o mało nie oszalała z radości.

Biedaczka nie śmiała uwierzyć swojemu szczęściu, d'Artagnan był zmuszony powtó- rzyć wszystko, co zawierał list, a ona wtedy, pomimo niebezpieczeństwa, jakie groziło jej przy znanej porywczosci milady, pobiegła pędem na Place Royale.

Kobieta, nawet najlepszego serca, nie zna litości nad swoją rywalką.

Milady otworzyła list z równym pośpiechem, z jakim Ketty jej doręczyła.

Po pierwszych przeczytanych wyrazach zzieleniała ze złości, następnie zgmiotła w rękę papier i zwróciwszy się do Ketty z błyskawicą w oczach, zawołała:

— Co to jest, co znaczy ten list?

— To jest odpowiedź na ten, który pani pisała — odrzekła Ketty, trzęsąc się ze strachu.

— Niepodobna!... — krzyczała milady. — Niepodobna, aby szlachcic, człowiek do- brze wychowany, napisał do kobiety takie bezceństwo³⁹⁶!

Nagle zadrżała i zbladła.

— Boże wielki!... — wyrzekła. — Czyżby wiedział?... — I nie dokończyła.

Zgrzytnęła zębami, jej twarz z bladej stała się sina; chciała biec do okna, zaczerpnąć powietrza... nie mogła wyciągnąć ręki, zachwiała się i padła na fotel...

Ketty sądząc, że zemdlą, przyskoczyła i zaczęła odpinać gorset. Milady zerwała się na nogi:

— Czego chcesz ode mnie?... — wymówiła. — Po co mnie dotykasz?

— Pani zemdlą, chciałam ją ratować — odrzekła pokojówka przerażona wyrazem twarzy milady.

— Ja miałabym zemdleć?!... Ja! Cóż ty o mnie myślisz? Gdy mnie znieważą... O! To ja nie mdleję, ja się mszczę wtedy, rozumiesz?

I dała znak Ketty, aby się oddaliła.

ROZDZIAŁ IX. MARZENIA O ZEMŚCIE

Wieczorem milady rozkazała służbie, aby gdy tylko d'Artagnan przybędzie według zwy- czaju, wprowadzono go do niej natychmiast. Czekala jednak daremnie.

Nazajutrz Ketty poszła odwiedzić młodzieńca i opowiedziała mu, co zaszło wczoraj- szego dnia.

D'Artagnan słuchał z uśmiechem; udręczenia milady, złość i jej wstyd to była dlań prawdziwa zemsta.

Drugiego wieczora milady, niecierpliwsza jeszcze, powtórzyła rozkaz dotyczący Ga- skończyka, lecz znów czekała na próżno. Rano Ketty zjawiła się u d'Artagnana, ale nie tak wesola i lekka jak dawniej, przeciwnie — śmiertelnie blada i smutna. D'Artagnan pytał troskliwie, co jej jest; dziewczyna zamiast odpowiedzi podała mu list.

Poznał pismo milady; tylko tym razem adres był wyraźnie do d'Artagnana, a nie do hrabiego de Wardes.

Rozpieczętował i czytał:

Kochany panie d'Artagnanie, niedobrze jest zaniedbywać przyjaciół, a szcze- gólnie, gdy ma się ich opuścić na tak długi czas. Mój szwagier i ja oczeki- waliśmy pana wczoraj i onegdaj³⁹⁷, a pan się nie pokazałeś. Czy dziś wieczór będzie tak samo? życzliwa lady Clarick

— Spodziewałem się tego listu — rzekł d'Artagnan — taki musiał być rezultat. Moje papiery idą w górę, gdy spadają wartości hrabiego de Wardes.

³⁹⁶bezceństwo — haniebne postępowanie, czyn budzący odrazę. [przypis edytorski]

³⁹⁷onegdaj — przedwczoraj. [przypis edytorski]

— Pójdiesz pan? — zapytała Ketty.

— Posłuchaj, drogie dziecię — rzekł Gaskończyk, starając się usprawiedliwić przed sobą samym z niedotrzymania obietnicy danej Atosowi. — Pojmujesz, że byłoby niepolitycznie wcale nie przyjąć tak wyraźnego zaproszenia. Gdybym nie poszedł, milady nie mogąc pojąć, dlaczego przestałem u niej bywać, mogłaby tworzyć rozmaite domysły, a w końcu dojść prawdy. Niebezpieczna to rzecz zadzierać z kobietą tak mściwą, gdy przewidzieć niepodobna, co jest w stanie zrobić w zapędzie złości.

Kobieta demoniczna,
Niebezpieczeństwo

— O mój Boże — rzekła Ketty. — Pan potrafisz tak rzecz przedstawić, iż masz zawsze rację... Zacziesz się znów do niej umizgać, a jeżeli teraz spodobaś się i zdobędziesz jej serce pod własnym imieniem, we własnej postaci... O! To będzie jeszcze gorzej.

Biedna dziewczyna instynktem odgadywała to, co miało nastąpić. D'Artagnan pocieszał dziewczynę, jak mógł, i zapewniał, że oprze się mężnie wszelkim pokusom.

Kazał powiedzieć milady, iż czuje ogromną wdzięczność za jej łaskawość i stawi się na rozkaz, nie odważył się jednak odpisać ze względu na to, że jej wprawne oko mogłoby poznać jego pismo. Punktualnie o dziesiątej d'Artagnan był już na Place Royale. Służba, uprzedzona zapewne, oczekiwała w przedpokoju i zanim zdążył prosić, już jeden z lokajów oznajmił go milady.

— Prosić — rzekła pani domu głosem tak dźwięcznym i przenikliwym, że d'Artagnan słyszał go w przedpokoju.

— Nikogo więcej nie przyjmuję!... Słyszycie? Nikogo!

D'Artagnan obrzucił milady ciekawym wzrokiem. Była błada, a zaczerwienione oczy świadczyły o łzach lub bezsennie spędzonej nocy.

D'Artagnan przysunął się ze zwykłą galanterią; wtedy nadludzkiem wysiłkiem przybrała wyraz spokoju i uprzejmości, choć zapewne nigdy uśmiech tak przyjemny nie gościł na twarzy równie zmienionej.

Na zapytanie d'Artagnana o zdrowie odrzekła:

— Słaba jestem, nawet bardzo słaba...

— W takim razie mogę być natrętny, pani potrzebuje wypocząć... zatem odchodzę...

— Przeciwnie — rzekła milady — zostań, panie d'Artagnanie, twoje mile towarzysztwo pozwoli mi zapomnieć o cierpieniu.

„Oho!... — pomyślał d'Artagnan. — Jeszcze nigdy nie była tak przyjemna, miejmy się na baczności!”

Milady roztoczyła cały swój powab; rozmawiała dowcipnie, uśmiechała się zalotnie, a jednocześnie gorączka, która ją na chwilę opuściła, powracała z całą potęgą, dodając blasku oczom i rozkosznego karminu usteczkom.

D'Artagnan widział znów Circe³⁹⁸, która go na powrót ujęła w zaczarowane sidła.

Miłość szalona, uśpiona na chwilę, zbudziła się w jego sercu... Milady uśmiechnęła się, a on czuł, że oddałby duszę za ten uśmiech...

Miłość

Milady powoli stawała się coraz serdeczniejsza. Zapytała d'Artagnana, czy ma kochankę.

— O! Pani — rzekł młodzieniec z miną najsentymentalniejszą, jaką mógł — jesteś okrutna! Jak możesz pytać mnie o to, mnie... który od ujżenia ciebie oddycham i wzdycham jedynie dla ciebie i przez ciebie!

Milady uśmiechnęła się znacząco.

— Więc pan mnie kochasz? — rzekła.

— Czyż potrzebuję mówić? Czyż pani tego nie widzi?...

— Przynaję... domyśliłam się pańskiej miłości, lecz wiesz zapewne, że harde serce trudno jest zdobyć.

— O!... Przeszkody mnie nie przerażają, boję się jedynie niepodobieństwa.

— Nie ma niepodobieństw dla prawdziwej miłości.

— Tak pani myśli?

— Tak mówię i tak myślę — odparła milady.

Miłość

³⁹⁸ Circe a. Kirke (mit. gr.) — bohaterka *Odysei* Homera, czarodziejka, która towarzyszy Odyseusza zmieniała w świnie. [przypis edytorski]

„O! Do diabła! — pomyślał d'Artagnan. — Śpiewamy na inną nutę... Czyżby ta kapryśnica zakochała się przypadkiem i czyżby miała zamiar obdarzyć mnie znów szafirem, podobnym do tego, jaki wziąłem za hrabiego de Wardes?”

D'Artagnan przysunął się z krzesłem do fotelu milady.

— Ciekawa jestem — rzekła — w jaki sposób dowiódłbyś miłości, o której tak mówisz?

— Gotów jestem na wszystko, na każde żądanie... Czekam rozkazu.

— Nie cofniesz się przed niczym?

— Nigdy! — zawołał d'Artagnan, wiedząc naprzód, że nie ryzykował wiele.

— Zatem pogadajmy trochę — rzekła milady, przysuwając się jeszcze bliżej do młodego chłopca.

— Słucham z uwagą — rzekł tenże.

Milady milczała chwilę zakłopotana, jak gdyby zabrakło jej odwagi. Nareszcie, udając nagle postanowienie, rzekła:

— Mam wroga...

— Ty, pani?... — wykrzyknął d'Artagnan, udając zdziwienie. — Na Boga!... Czyż to możliwe? Taka piękna i taka dobra!

— Wroga śmiertelnego...

— Naprawdę?...

— Nieprzyjaciela, który znieważył mnie okrutnie... między nami jest teraz walka na śmierć... Czy mogę liczyć, że pan mi pomoże?

D'Artagnan zrozumiał, do czego milady zmierza.

— Możesz na mnie liczyć, pani — rzekł z przesadą. — Moje ramię i życie należą do ciebie, równie jak moja miłość.

— A więc — zaczęła milady — ponieważ jesteś szlachetny i zakochany...

Przerwała.

— Cóż dalej?... — zapytał d'Artagnan.

— Co dalej? — ciągnęła milady po chwili milczenia. — Przestań od dziś mówić o niepodobieństwach.

— O! Pani, to szczęście nad siły moje — zawołał d'Artagnan, rzucając się na kolana i okrywając pocałunkami białe rączki, których mu nie broniono.

„Pomścij mnie, zabij niegodnego de Wardes — myślała milady, zaciskając zęby — a potrafię się pozbyć i ciebie, głupcze jakiś, bierne narzędzie w moich rękach!”

„Rzuć się dobrowolnie w objęcia moje, ty, coś się tak bezwstydnie ze mnie naigrawała, obłudnico, niebezpieczna kobieto — myślał ze swej strony d'Artagnan — a potem ja cię też wyśmieję, razem z tym, którego chcesz, abym zabił...”

D'Artagnan podniósł głowę wyzywająco.

— Gotów jestem! — powiedział.

— Zrozumiałeś mnie zatem, kochany panie d'Artagnanie?

— Odgadywać będę chęci twoje ze spojrzenia...

— Gotów więc jesteś użyć dla mnie siły ramienia swego, tak już wślawnego powszechnie?

— Nawet w tej chwili.

— Lecz jakże zapłacę za podobną usługę? Znam dobrze zakochanych młodzieńców, nie lubią oni poświęcać się za darmo.

— Pragnę tylko jednej nagrody, wiesz o tym dobrze, jedynej, godnej mnie i ciebie!

Objął ją ramieniem i przyciągnął delikatnie ku sobie.

Prawie się nie opierała.

— Interesowny młodzieńcze!... — rzekła z uśmiechem.

— O!... — wykrzyknął d'Artagnan uniesiony namiętnością, którą ta kobieta umiała rozniecać w sercach. — Takie szczęście wydaje mi się niemożliwe i boję się, aby nie znikło jak sen, pragnę je jak najprędzej zamienić w rzeczywistość!

— Trzeba najpierw zasłużyć na to mniemane szczęście.

— Co mam czynić? Rozkazuj, pani!...

— Czy na pewno? — rzekła milady z resztką wątpliwości.

— Wymień mi zbrodniarza, który wycisnął łzy z twoich pięknych oczu.

— Kto ci mówi, że płakałam?

Miłość, Młodość

- Zdawało mi się...
- Kobiety z moim usposobieniem nigdy nie płaczą.
- Tym lepiej!... A teraz powiedz mi, jak on się nazywa?
- Pomyśl jednak, że imię jego to moja tajemnica.
- Trzeba przecież, abym ją poznał.
- Tak, masz rację; widzisz, jak ci ufam!
- Uszczęśliwiasz mnie, pani. Jakże on się nazywa?
- Znasz go dobrze.
- Czy być może?
- Tak.

— Czy to jeden z moich przyjaciół? — podjął d'Artagnan wahająco, aby tym lepiej uwierzono w jego nieświadomość.

— A gdyby był przyjacielem, czy cofnąłbyś się wtedy? — zawołała milady i błysk złowrogi zaświecił w jej oczach.

— Nie, nigdy, choćby to był mój rodzony brat! — wykrzyknął d'Artagnan, udając wielki zapal.

Nasz Gaskończyk puszczał się odważnie, wiedział bowiem, do czego dąży.

— Podoba mi się twoje bezwarunkowe poświęcenie — rzekła milady.

— Niestety! Czy za to tylko mnie lubisz? — zapytał d'Artagnan.

— Kocham cię także jedynie dla ciebie samego — rzekła, biorąc go za rękę.

D'Artagnana przeszedł dreszcz. Pałaca gorączka milady przez dotknięcie ręki udzieliła się także młodzieńcowi.

— Więc ty mnie kochasz?... — wykrzyknął. — O!... Gdyby to było prawdą, można by od niej rozum stracić!

Wziął ją w objęcia; nie broniła mu pocałunków, tylko im nie odpowiadała. Jej usta były zimne — zdawało się d'Artagnanowi, że całuje posąg... Był jednak upojony, zelektryzowany miłością. Prawie uwierzył we wzajemność milady; prawie uwierzył w zbrodnię hrabiego. Gdyby de Wardes znalazł się pod ręką, byłby go zabił bez wątpienia.

— Nazywa się... — zaczęła.

— De Wardes, wiem o tym — zawołał d'Artagnan.

— Kto ci powiedział?... — zapytała milady, chwytając go za ręce, i patrzyła mu w oczy, starając się czytać w głębi duszy młodzieńca.

D'Artagnan zrozumiał, że wygadał się niepotrzebnie.

— Powiedz, powiedz natychmiast!... — powtarzała milady. — Skąd o tym wiesz?

— Skąd się dowiedziałem?

— Tak, tak, powiedz.

— Stąd wiem, że de Wardes wczoraj, będąc w towarzystwie, gdzie i ja się znajdowałem, pokazywał pierścień, który, jak mówił, otrzymał od ciebie.

— A! Nędznik!... — zawołała milady.

Nazwa ta dosadna odbiła się, jak można się domyślać, w głębi serca d'Artagnana.

— Co o nim myślisz?... — dodała milady.

— Zemszczę się strasznie na tym nędzniku — mówił d'Artagnan z miną Jafeta³⁹⁹.

— Dziękuję ci, zacny przyjacielu!... A kiedyż mnie pomścisz?

— Jutro, dziś, zaraz; kiedy tylko rozkażesz...

Milady chciała zawołać: natychmiast; rozmyśliła się jednak, gdyż pośpiech taki mógłby być nieprzyjemny dla d'Artagnana.

Oprócz powyższych względów, pragnęła udzielić mnóstwa przestróg, mnóstwa zastrzeżeń obrońcy swojemu, aby mógł uniknąć wyjaśnień wobec świadków hrabiego de Wardes.

D'Artagnan uprzedził ją.

— Jutro zostaniesz pomszczona, albo ja żyć nie będę.

— Nie!... — rzekła. — Pomścisz mnie, lecz sam nie umrzesz. Hrabia jest tchórzem.

— Może z kobietami, lecz nie z mężczyznami; wiem trochę o tym...

³⁹⁹ Jafet — postać biblijna z *Księgi Rodzaju*, jeden z synów Noego; trzej synowie Noego: Sem, Cham i Jafet, dali początek trzem grupom ludów, zamieszkujących trzy części świata i składających się na całą ludzkość, Jafet miał być przodkiem ludów indoeuropejskich. [przypis edytorski]

— Zdaje mi się, że w walce z nim nie mogłeś się uskarżać na brak powodzenia.
 — Powodzenie jest jak kochanka: wczoraj cię kochała, a dziś nie chce znać.
 — To znaczy, że się wahasz?
 — Nie waham się, niech mnie Bóg broni, lecz czy słuszne jest z twej strony wysłać mnie na śmierć możliwą, nie dając nic prócz odrobiny nadziei?

Milady odpowiedziała spojrzeniem, które wyrażało: „Jeżeli o to chodzi, mów śmiało, nie wstydz się”.

Po czym dodała parę wyrazów objaśniających:

— Bardzo słusznie — wyrzekła czule.

— O!... Jesteś aniołem — rzekł młodzieniec.

— Zatem wszystko już ułożone?... — podchwyciła.

— Oprócz tego, o co cię błagam, najdroższa!

— Mówię ci, że możesz zaufać mojemu uczuciu.

— Nie mam czasu czekać.

— Cicho. Mój szwagier nadchodzi, nie chcę, aby cię zobaczył!

Zadzwoniła; weszła Ketty.

— Wyjdź tędy — rzekła, otwierając drzwiczki ukryte w ścianie — i powróć o jedenastej... dokończymy wtedy naszą rozmowę. Ketty wprowadzi cię do mnie...

Biedne dziewczę o mało nie padło z przerażenia, słysząc te słowa.

— Co to znaczy?... Cóż panna stoisz nieruchoma jak statua? Prędkiej, wyprowadź pana; a dziś o jedenastej, rozumiesz!...

„Widać jej schadzki zawsze odbywają się o jedenastej — pomyślał d’Artagnan — taki już jej obyczaj”.

Milady wyciągnęła rękę, którą ucałował gorąco.

— Oho!... — rzekł, odchodząc i nie odpowiadając wcale na wyrzuty Ketty. — Oho! Nie trzeba być głupim, ta kobieta jest skończoną zbrodniarką. Baczość!

ROZDZIAŁ X. TAJEMNICA MILADY

Zamiast udać się za Ketty, która błagała go, ażeby do niej wstąpił, d’Artagnan wyszedł z pałacu, a uczynił to z dwóch powodów — po pierwsze unikał w ten sposób wymówek, oskarżeń i żalów biednej dziewczyny; po drugie pragnął pozostać sam, pragnął wejść w siebie, zajrzeć w głąb własnego serca i zastanowić się nad tą kobietą, która stanęła mu na drodze życia.

Wszelako najjaśniejsze w tej sprawie było, że d’Artagnan kocha szalenie, a ona nie kocha go wcale.

Przez chwilę zdawało mu się, iż najlepiej uczyni, gdy wróci do domu i napisze do milady długi list, w którym wyzna, że on i de Wardes to dotąd jedna i ta sama osoba i że z tego powodu nie może się podjąć zabicia hrabiego, ażeby nie dopuścić się samobójstwa.

Lecz i w nim także siedział demon dzikiej zemsty. Koniecznie pragnął posiadać tę kobietę pod swoim własnym imieniem, a że ten sposób zemsty wydawał mu się nad wyraz słodki, nie chciał się go wyrzec.

Chodził dokoła Place Royale, spoglądając co chwila w okna apartamentów milady, w których przez żaluzje błyszczą światło; widocznie piękna pani nie śpieszyła się tak do sypialni, jak za pierwszym razem...

Na koniec cały pałac pogrążył się w ciemnościach. Razem ze światłem znikła ostatnia wątpliwość z serca d’Artagnana, przypomniał sobie szczegóły ostatniej nocy i z sercem wezbranym, z głową rozpaloną powrócił do pałacu i wbiegł do pokoiku Ketty.

Dziewczyna błada jak trup, drżąc całym ciałem, pragnęła zatrzymać kochanka, lecz milady stała na czatach i posłyszawszy hałas, otworzyła drzwi.

Odbyło się to z bezwstydem i niepojętą czelnością. D’Artagnan nie wierzył swoim uszom i oczom.

— Wchodź prędkiej — rzekła.

Zdawało mu się, że ta cała intryga jest złudzeniem sennej wyobraźni, nie zaś dotykającą rzeczywistością.

Pomimo to rzucił się ku milady, ulegając pociągowi niewytłumaczonemu, jak żelazo pod działaniem magnesu.

Drzwi się za nimi zamknęły. Teraz Ketty rzuciła się na tę zaporę.

Zazdrość, gniew szalony, duma obrażona, wszystkie namiętności w sercu kobiety kochającej bez nadziei popychały ją do odkrycia prawdy... Pomyślała jednak, że zgubi się sama, wyjawivszy, iż pomagała w mistyfikacji i że zdradzała panią... A nade wszystko d'Artagnan będzie dla niej stracony bezpowrotnie.

Ten ostatni wzgląd skłonił ją do milczenia, do tego jeszcze poświęcenia ostatniego.

D'Artagnan zaś znalazł się u szczytu pragnień — nie był to już rywal nienawistny, kochany i przyjmowany w jego osobie, lecz on sam odbierający dowody miłości.

Głos wewnętrzny odzywał się wprawdzie w głębi serca, że jest on jedynie narzędziem zemsty, narzędziem, które głaskano z potrzeby, zanim zada śmierć wrogowi; lecz duma, miłość własna, jakieś szaleństwo kazały milczeć instynktom ostrzegawczym.

Na domiar Gaskończyk nasz, zarozumiały i ufny w sobie, porównywał się z hrabią de Wardes i zapytywał w duchu, dlaczegoż i on nie mógłby być kochany pod własnym nazwiskiem?

Oddał się też cały wrażeniom chwili obecnej. Milady przestała być dla niego kobietą o uczuciach zgubnych, niegodziwych, które przed chwilą przerażały go okrutnie; widział w niej jedynie kochankę czułą, namiętną, oddającą się bez wyrachowania uczuciu, jakie zdawała się podzielać. Upłynęły tak dwie godziny.

Powoli uspokoił się, a milady, która nie miała powodu do uniesień, jak d'Artagnan, pierwsza wróciła do rzeczywistości i zapytała młodzieńca, czy poczynił już przygotowania do jutrzejszego pojedynku, czy postarał się wynaleźć przyczynę, która by koniecznie spowodowała spotkanie pomiędzy nim i hrabią de Wardes.

Lecz d'Artagnan myślał zupełnie o czym innym. Zapomniał się jak głupiec jakiś i odpowiedział naiwnie, że za późno już było, gdy wyszedł wieczorem od milady, do wyzwania na szpady.

Obojętność, jaką okazał dla głównego celu milady, przeraziła ją niezmiernie. Nie ustała więc w podżeganiach i zapytaniach.

Wtedy d'Artagnan, który nie brał nigdy na serio tego niemożliwego pojedynku, postarał się zwrócić rozmowę na inny przedmiot, lecz mu się to nie powiodło.

Milady z żelazną wytrwałością wracała ciągle do swego założenia.

D'Artagnan sądził, że będzie bardzo sprytny i przebiegły, gdy doradzi milady odstąpić od zamiaru zemsty i przebaczyć zupełnie hrabiemu de Wardes. Na samą wzmiankę o tym młoda kobieta zaczęła się trząść i odsunęła się od niego.

— Czyżbyś się bał, kochany d'Artagnanie?... — rzekła głosem cierpkim i drwiącym, który dziwnie zabrzmiał w ciemności.

— Nie myślisz tego, co mówisz, duszo moja droga!... — odrzekł d'Artagnan. — A gdyby przypadkiem hrabia de Wardes nie był tak winny, jak sądzisz?

— W każdym razie — rzekła milady poważnie — znieważył mnie i przez to samo zasłużył na śmierć.

— Więc umrze, kiedyś go na śmierć skazała!... — mówił d'Artagnan serio, tak że milady znów uwierzyła w prawdziwe poświęcenie.

Zaraz też przysunęła się do niego. Nie możemy zaręczyć, jak długa ta noc wydała się milady, lecz d'Artagnan myślał, że najwyżej parę chwil był u niej, gdy dzień zaświtał przez szpary okiennic i powoli rozjaśnił bladym światłem całą alkowę.

Wtedy milady widząc, że d'Artagnan zamierza odejść, przypomniała mu obietnicę pomszczenia jej i zabicia hrabiego de Wardes.

— Gotów jestem to uczynić — rzekł d'Artagnan — lecz chciałbym być jeszcze pewny jednej rzeczy.

— Czego?... — zapytała milady.

— Czy mnie kochasz, najdroższa?...

— Zdaje się, że dałam ci dowody...

— O tak, należę też do ciebie duszą i ciałem!...

— Dziękuję, mój drogi i zacny kochanku!... Lecz tak jak ja dowiodłam ci mojej miłości, tak i ty mi dowiedziesz swojej, nieprawdaż?

— Z pewnością. Ale ponieważ kochasz mnie, jak sama powiadasz, czy nie boisz się o mnie choć trochę?

— Czegóż bym się miała bać?

Kobieta demoniczna

— Wszak mogę zostać niebezpiecznie raniony, nawet zabity...
— Niepodobna — rzekła milady — tyś taki waleczny, władasz szpadą tak znakomicie.
— Czyż nie wolałabyś — ciągnął d'Artagnan — użyć innego sposobu zemsty, który by uczynił spotkanie niepotrzebnym?

Milady patrzyła na kochanka w milczeniu. Błede światło poranku nadawało jej oczom wyraz dziki i straszny.

— Widzę, że obecnie straciłeś już ochotę do walki — rzekła.

— Nie waham się wcale, lecz żałuję szczerze hrabiego de Wardes, odkąd wiem, że przestałaś go kochać... Zdaje mi się, iż utrata twojej miłości jest karą dość okrutną i nie potrzeba obmyślać mu innej...

— Kto ci powiedział, że go kochałam? — zapytała milady.

— Bez wielkiej zarozumiałości mogę wierzyć, że kochasz obecnie innego — powiedział młodzieniec tonem pieszczotliwym — a powtarzam ci, hrabia mnie bardzo interesuje.

— On ciebie obchodzi?

— Tak, mnie...

— A toż dlaczego znów?

— Bo ja jeden tylko wiem...

— Co wiesz?

— Że on, biedny, nie zawinił tak bardzo, jak go posądzasz i jak się może wydawać.

— Doprawdy! — zawołała milady niespokojnie. — Wytłumacz się, bo nie rozumiem wcale, co chcesz powiedzieć.

I patrzyła na d'Artagnana, który trzymał ją w objęciu, a w jej jasnych oczach migwały błyskawice.

— Jestem człowiekiem uczciwym — zaczął d'Artagnan zdecydowany raz już skończyć — i odtąd miłość twoja do mnie należy, i pewny jestem jej zupełnie... Bo do mnie ona należy, wszak prawda?

— Cała, caluteńka!... Ale mów dalej...

— Otóż szczęście mnie zupełnie przekształciło, ciąży mi pewne wyznanie.

— Wyznanie?...

— Gdybym wątpił o twojej miłości, nigdy bym się nie ośmielił; lecz ty mnie kochasz, moja najpiękniejsza? Kochasz? Powtórz mi raz jeszcze.

— Ależ kocham, kocham!

— Gdybym przez zbytek uczucia zawinił względem ciebie, czybyś mi przebaczyła?

— Może!

D'Artagnan próbował z najśladszym uśmiechem, na jaki mógł się zdobyć; zbliżył usta do ust milady, lecz go odepchnęła.

— Chcę usłyszeć wyznanie — rzekła, blednąc — muszę wiedzieć o wszystkim.

— Oznaczyłaś schadzki hrabiemu de Wardes zaszłego czwartku w tym samym pokoju, nieprawdaż?

— Ja?... Wcale nie — rzekła milady głosem obojętnym i nie zmieniając się na twarzy, tak że gdyby d'Artagnan nie miał dowodów dotykanych, byłby się zachwiał w swoim przekonaniu.

— Nie kłam, śliczny aniołku — rzekł ze śmiechem. — Na nic się to nie przyda.

— Dlaczego? Powiedzże na koniec, umieram z ciekawości!...

— O! Uspokój się, najdroższa, nie zawiniłaś względem mnie wcale, już ci przebaczyłem!

— Cóż dalej?!

— De Wardes nie może się niczym pochwalić...

— Dlaczego? Opowiadałeś przecie o pierścionku...

— Ten pierścień, duszo moja, ja go posiadam. Hrabia de Wardes czwartkowy i d'Artagnan dzisiejszy są jedną i tą samą osobą.

Niebaczny spodziewał się, iż po tym wyznaniu nastąpi zdziwienie, pomieszenie i zawstydzenie niejaki; następnie mały wybuch gniewu zakończony łzami. Pomylił się bardzo i prędko się o tym przekonał.

Milady wyprostowała się błada i straszna i odepchnęła d'Artagnana gwałtownym uderzeniem w piersi.

Rozwidniło się już zupełnie.

D'Artagnan starał się powstrzymać ją i uchwycił ręką peniuar z cienkiego indyjskiego muślinu, błagając o przebaczenie, lecz ona wyrwała się gwałtownie, chcąc od niego uciec.

Cienki muślin rozdarł się i obnażył ramiona milady... Na jednym z tych ramion, okrągłych i białych jak kość słoniowa, d'Artagnan, wzruszony niewymownie, spostrzegł i poznał kwiat lilii, oznakę niczym niezmaszaną, wyciśniętą hańbiącą ręką kata.

— Wielki Boże! — wykrzyknął d'Artagnan, puszczając peniuar i prawie martwiejąc z przerażenia.

Dosyc tego było dla milady, czuła się zdradzona tym jednym wykrzyknieniem d'Artagnana.

Zapewne zobaczyli!... Ten człowiek zna obecnie jej tajemnicę!... Tajemnicę straszliwą, o której nikt w świecie nie wie... oprócz *niego*.

Odwróciła się, już nie jak kobieta wściekle zła, lecz jak zraniona pantera.

— A! Nędzniku!... — rzekła. — Zdradziłeś mnie nikczemnie, a teraz znasz moją tajemnicę! Więc umrzesz!

Pobiegła do szkatułki ozdobnej, stojącej na toalecie, otworzyła ją drżącą ręką, wyjęła sztylet w złotej oprawie z ostrzem cienko zakończonym i jednym skokiem rzuciła się na d'Artagnana.

Pomimo znanej odwagi młodzieniec przeląkł się; przeląkł się twarzy zmienionej, oczu rozszerzonych okropnie, bledości śmiertelnej i ust do krwi przygryzionych. Cofnął się do ściany, jak gdyby ujrzał żmiję pelzającą ku sobie... i ręką, zimnym potem oblaną, ujął za szpadę i z pochwy ją wyciągnął.

Milady, na nic nie zważając, darła się do niego i starała się dostać mu do gardła ostrzem, a szpadę wytrącić z ręki.

D'Artagnan nie dopuścił do tego i końcem szpady mierzył raz w oczy, to w piersi kobiety, a zasłaniając się w ten sposób, cofał się ku drzwiom pokoiku Ketty.

Milady przez ten czas rzucała się na niego jak wściekła, rycząc ze złości straszliwie.

Wyglądało to na pojedynek, toteż d'Artagnan odzyskiwał powoli zimną krew.

— Dobrze, piękna pani, doskonale! — mówił. — Lecz, na Boga, uspokój się, albo narysuję ci szpadą drugi kwiat lilii na twojej pięknej buzi...

— Podły! Nikczemny! — syczała milady.

D'Artagnan, szukając ciągle drzwi, trzymał się odpornie.

Słyszac wrzawę i hałas, jaki czynili — on, przewracając meble, ona, aby się dostać do niego, on zasłaniając się przed nią tymiż meblami — Ketty otworzyła drzwi. D'Artagnan jednym skokiem wypadł z sypialni milady do pokoiku służącej i szybki jak błyskawica zamknął drzwi za sobą, oparł się o nie całym ciężarem, a tymczasem Ketty zasuwała rygłe i zapory.

Wtedy milady próbowała wyważyć drzwi zamykające jej drogę, lecz okazało się to nad siły kobiety. Gdy się przekonała nareszcie, że nic nie poradzi, biła ostrzem sztyletu w drzewo, aż jego koniec przechodził na drugą stronę.

Uderzeniom towarzyszyły straszne przekleństwa.

— Prędziej, Ketty, prędziej — rzekł d'Artagnan półgłosem, gdy już obwarowali drzwi. — Wyprowadź mnie z pałacu, bo jeżeli zostawimy jej czas na opamiętanie, każe mnie zamordować lokajom.

— Nie możesz przecie wyjść — rzekła Ketty — jesteś prawie bez ubrania...

— To prawda — odpowiedział, spostrzegłszy dopiero wtedy, w jakim się znajdował kostiumie — to prawda; ubierz mnie, jak będziesz mogła, lecz śpieszmy się. Czy pojmujesz, że tu idzie o życie?!

Ketty pojmowała aż nadto dobrze. Odziała go też prędko w jakąś suknię kraciastą, wsadziła mu na głowę duży kapelus z woalem i dała płaszcz szeroki, pantofle włożył na gołe nogi.

W takim stroju dobra dziewczyna pociągnęła go na schody. Czas już był najwyższy, bowiem milady dzwoniła na gwałt i rozbudziła całą służbę.

Odźwierny właśnie otworzył bramę i przepuścił d'Artagnana w chwili, gdy milady na wpół naga, krzyczała z okna:

— Nie otwierać bramy!

ROZDZIAŁ XI. UMUNDUROWANIE ATOSA

Młodzieniec uciekał, a ona jeszcze mu wygrażała z otwartego okna. W chwili gdy straciła go z oczu, padła zemdlona na podłogę. D'Artagnan był tak dalece wzburzony, że nie troszcząc się i nie myśląc, jak Ketty da sobie radę, przebył pół Paryża, biegnąc ciągle, i zatrzymał się dopiero u drzwi mieszkania Atosa.

Przebiegł podwórze, przeskoczył jednym tchem dwa piętra i pukał do drzwi Atosa, co sił starczyło.

Zbudzony Grimaud przyszedł otworzyć, ledwie rozszerzając zaspane oczy. D'Artagnan wpadł do przedpokoju tak raptownie, że o mało go nie przewrócił.

— Hola!... — zawołał. — Czego chcesz, głupia dziewczyno?

D'Artagnan odrzucił zasłonę i oswobodził ręce spod płaszcza; na widok wąsów i gołej szpady rozespany służący spostrzegł, że ma do czynienia z mężczyzną i pewny był, że to musi być złodziej albo morderca.

— Na pomoc!... Na pomoc!... Ratujcie! — zaczął wrzeszczeć.

— Cicho bądź, potępieńcze! — rzekł młodzieniec. — Czyż mnie nie poznajesz?... Gdzie jest twój pan?

— Pan d'Artagnan!... Czy podobna?

— Grimaudzie — odezwał się Atos, wychodząc z pokoju — zdaje mi się, mój chłopcze, że ośmielasz się rozmawiać.

— A! Panie...

— Cicho!

Grimaud nie odważył się już ust otworzyć, wskazał tylko ręką d'Artagnana. Atos poznał towarzysza i pomimo swej powagi wybuchnął śmiechem szalonym, co usprawiedliwiało dziwaczne przebranie, na które patrzył: kapelusz przekrzywiony, spodnie opadające na pięty, rękawy zakasane i wąsy najeżone ze wzruszenia.

— Nie śmieję się, przyjacielu — zawołał d'Artagnan — na Boga żywego, nie śmieję się, bo klnę się na moją duszę i powtarzam: nie ma się z czego śmiać...

Mówił to uroczyście i ze zgrozą tak rzetelną, że Atos ujął go zaraz za ręce, wołając:

— Możesz ranny, przyjacielu drogi?... Jakiś ty błąd!

— Nie, nie, lecz zdarzył mi się wypadek okrutny. Czy sam jesteś, Atosie?

I d'Artagnan wpadł do pokoju Atosa.

— No, opowiadaj! — rzekł tenże, zamykając drzwi na klucz dla bezpieczeństwa. — Król może nie żyje? Albo zabiłeś kardynała? Widzę, że jesteś strasznie pomieszany. Mów, dusza mi zamiera z niepokoju.

— Atosie — rzekł d'Artagnan, zdejmując kobiece ubranie i zostawszy w jednej koszuli — Atosie, przygotuj się do usłyszenia historii nieprawdopodobnej, niesłychanej...

— Włóż najpierw ten szlafrok — rzekł pocziwy muszkieter przyjacielowi.

— Słucham cię teraz.

— Otóż — odpowiedział d'Artagnan, nachylając się do ucha Atosa i niżając głos — milady ma wypiętnowany *kwiat lilii* na ramieniu.

— O!... — jęknął Atos jak rażony kulą w serce.

— Powiedz mi — ciągnął d'Artagnan — czyś pewny, że *tamta* nie żyje?

— *Tamta*? — powiedział Atos głuchym głosem, że zaledwie go d'Artagnan usłyszał.

— Tak, ta, o której opowiadałeś mi niedawno w Amiens.

Atos westchnął głęboko i ukrył twarz w dłonie.

— Ta, o której mówię — kończył d'Artagnan — ma także dwadzieścia sześć do dwudziestu ośmiu lat.

— Blondynka?

— Tak.

— Czy jasnoniebieskie, dziwnie przejrzyste, rzęsy i brwi czarne?

— Tak.

— Wysoka, dobrze zbudowana. Brak jej zęba bocznego z lewej strony?

— Tak.

— Kwiat lilii mały, czerwony, trochę zatarty jakby od przykładania maści?

— Tak.

— Mówisz jednak, że jest Angielką?...

— Nazywają ją milady, lecz może przecie być Francuzką. A lord Winter nie jest jej bratem rodzonym, tylko szwagrem.

— D'Artagnanie, muszę ją koniecznie zobaczyć!

— Strzeż się, Atosie, strzeż się... Chciałeś ją zabić kiedyś, pamiętaj, że zdolna ci zapłacić podobną monetą, tylko że ona nie chybi...

— Nie będzie śmiała, nie odezwie się, bo by się zdradziła.

— Jest zdolna do wszystkiego!... Czy widziałeś ją kiedyś w gniewie?

— Nie — odrzekł Atos.

— To dzikie zwierzę, tygrysyca, pantera! Atosie, mój drogi! Boję się, czy nie ściągnęłam na nas obojgu nieszczęścia, czy nie rozdrażniłam, nie pobudziłam do zemsty tej okrutnej kobiety!

Opowiedział następnie wszystko: bezrozumną złość milady i jej pogroźki śmierci.

— Masz rację i, na mą duszę, widzę, że gra niewarta świeczki — rzekł Atos. — Szczęśliwie się zdarza, że pojutrze opuszczamy Paryż, idziemy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, na La Rochelle, a gdy wyruszymy w drogę...

— Pójdzie ona na koniec świata za tobą, Atosie, jeżeli cię tylko pozna. Pozwól, przyjacielu, niech ja jeden będę ofiarą zemsty tej strasznej kobiety.

— O!... Mój drogi!... Co mnie obchodzi, że będzie godziła na moje życie — rzekł Atos. — Czy sądzisz, że mi tak bardzo chodzi o to marne istnienie?

— Przeczuję straszną tajemnicę w tym wszystkim... Atosie! Ta kobieta jest szpiegiem kardynała, to pewne!

— Życzę ci zatem, ażebyś się pilnował bacznie. Kardynał może być zachwycony odwagą twoją i sprytem z powodu sprawy londyńskiej; niemniej przeto nienawidzi cię za to, że ci się powiodło. Jawnie o nic cię nie może oskarżyć, a jednak chce wyrzucić zemstę, więc powtarzam ci raz jeszcze, miej się na baczności! Nie wychodź sam nigdy; jedząc, strzeż się trucizny; nie dowierzaj nikomu i niczemu, strzeż się własnego cienia.

— Całe szczęście — rzekł d'Artagnan — że trzeba tylko do pojutrzejszego wieczoru chodzić po Paryżu, bo gdy wyruszymy do armii, spodziewam się, że tam tylko z nieprzyjacielem ojczyzny będzie robota.

— Tymczasem — rzekł Atos — nigdzie cię samego nie puszcę. Wracaj na ulicę des Fossoyeurs, będę ci towarzyszył.

— To wprawdzie bardzo blisko, lecz jakżeż ja pójdę tak, jak jestem ubrany?

— Masz słuszość — rzekł Atos i zadzwonił.

Wszedł Grimaud. Atos pokazał mu na migi, aby poszedł do d'Artagnana i przyniósł ubranie.

— Ależ to wcale nie przyspiesza naszego umundurowania, kochany przyjacielu — rzekł Atos — albowiem, jeśli się nie mylę, zostawiłeś swoje ubranie u milady, która nie będzie na tyle uprzejma, aby ci je zwrócić. Całe szczęście, że posiadasz szafir w pierścionku.

— Szafir do ciebie należy, kochany Atosie. Czyż nie mówiłeś, że to twój klejnot rodzinny?

— Tak, mój ojciec kupił go za dwa tysiące talarów, jak mi to sam opowiadał niegdyś. Dostałem go od matki, a ja, głupi szaleniec, zamiast zachować pierścień jak relikwię świętą, podarowałem tej nędzniczy.

— Zatem, mój drogi, odbierz ten pierścień jako drogą pamiątkę.

— Ja miałbym wziąć ten pierścionek, który był w ręku podłej istoty!... Nigdy, d'Artagnanie. Słuchaj: ten pierścień jest skalany.

— Więc go sprzedaj.

— Sprzedać klejnot! Pochodzący od matki! Przyznaję, że uważałbym to za świętokradztwo.

— No to go zastaw. Pożyczą ci na niego tysiąc talarów co najmniej. Z taką sumą dasz sobie radę w obecnej potrzebie. A później, kiedy pierwsze pieniądze przyjdą, wykupisz z zastawu i wróci on do ciebie czysty, obmyty z plam przeszłych, ponieważ przejdzie przez ręce lichwiarzy.

— Jesteś nieocenionym towarzyszem, mój drogi — rzekł Atos. — Wesolocią nieprzebraną podnosisz z upadku umysł pogrążony w rozpacz. Dobrze, zastawmy ten pierścień, lecz pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Pięćset talarów będzie dla ciebie, pięćset dla mnie.

— Cóż ty sobie myślisz, Atosie, ja nie potrzebuję nawet czwartej części tej sumy, a sprzedawszy siodło, będę już ją posiadał. A przy tym, zdaje się, nie pamiętasz, że i ja mam pierścionek kosztowny.

— Który daleko więcej cenisz niż ja swój; przynajmniej tak mi się zdawało.

— Tak, masz słuszność, ponieważ w okolicznościach nieprzewidzianych może on nas wybawić nie tylko z wszelkiego kłopotu, ale jeszcze i z wielkiego niebezpieczeństwa; to nie jest diament jedynie drogocenny, to zaczarowany talizman.

— Nic nie rozumiem, lecz wierzę temu, co mówisz. Wracając do pierścionka mojego, a raczej do twojego, weźmiesz połowę sumy, którą nam dadzą, albo rzucę go na dno Sekwany⁴⁰⁰ i bardzo wątpię, czy, jak Polikratesowi⁴⁰¹, zwróci go nam jakaś grzeczna i usłużna rybka.

— Kiedy tak, to przyjmuję — rzekł d'Artagnan.

Grimaud powrócił w towarzystwie Plancheta, który niespokojny o swojego pana i ciekawy ujrzeć, co mu się przytrafiło, skorzystał ze sposobności i sam osobiście przyniósł ubranie.

D'Artagnan odział się pośpiesznie, Atos uczynił tak samo. Gdy już obydwaj mieli wychodzić, zwrócił się do Grimauda z takim ruchem, jak człowiek biorący kogoś na cel. Grimaud w tej chwili zdjął muszkiet ze ściany i podążył za panem. Przybyli bez żadnego wypadku na ulicę des Fossoyeurs. Bonacieux stał u progu i patrzył drwiąco na d'Artagnana.

— Ehe! Mój kochany lokatorze! — odezwał się. — Śpiesz się, masz teraz śliczną młodą dziewczynę, która czeka na ciebie, a kobiety, jak ci wiadomo, nie lubią, gdy im każą czekać.

— A! To Ketty! — zawołał d'Artagnan i pobiegł co prędzej do siebie.

Rzeczywiście, na schodkach prowadzących do pokoju siedziało biedne dziewczę przytulone do drzwi, drżąc ze strachu. Skoro tylko go zobaczyła, zawołała:

— Obiecałeś mi opiekę, przyrzekłeś mnie obronić od jej gniewu; pamiętaj, że ty mnie zgubiłeś!

— Przyrzekłem i dotrzymam — odpowiedział d'Artagnan — bądź spokojna, moja Ketty. Ale opowiedz no mi, co się tam działo po moim odejściu?

— Czyż to podobna opowiedzieć? — zaczęła Ketty. — Na jej krzyki cała służba nadbiegła, pani pieniała się ze złości. Jakie są na świecie przekleństwa i wymysły, wszystkie spadły na twoją głowę. Wtedy to przyszło mi na myśl, że przypomni sobie, jak przez mój pokój dostałeś się do jej sypialni i domyśli się, że jestem twoją współpracownicą. Zabrałam więc trochę pieniędzy, jakie miałam, zabrałam co lepsze ubranie i uciekłam co prędzej.

— Biedne dziecię! Cóż ja ci poradzę? Ja sam wychodzę na wojnę pojutrze!

— Rób ze mną, co chcesz, wypraw mnie z Paryża, choćby nawet z Francji.

— Nie mogę cię przecie wziąć ze sobą, idąc oblegać La Rochelle — rzekł d'Artagnan.

— Wiem o tym, lecz możesz umieścić mnie gdziekolwiek na prowincji, u jakiejś znajomej damy, w swoich stronach rodzinnych, na przykład...

— O, moja droga! Tam, gdzie ja się urodziłem, nie trzymają pokojowych, damy same się ubierają. Ale, poczekaj no, zdaje mi się, że poradzimy jakkolwiek. Planchet, ruszaj do pana Aramisa, proś go, niech przyjdzie co prędzej. Powiedz, że mamy coś nader ważnego.

— Aha, rozumiem — rzekł Atos. — Dlaczego jednak nie pošlesz po Portosa? Może by jego margrabina...

— Margrabina, protektorka Portosa, każe się ubierać dependentom swego męża — odparł Atosowi ze śmiechem. — A przy tym Ketty nie chciałaby zamieszkać przy ulicy aux Ours, nieprawdaż, Ketty?

— Wszystko mi jedno, pójdę, dokąd tylko panowie chcecie — odparła Ketty — gdzie bym się mogła dobrze ukryć i nikt by nie wiedział, gdzie jestem.

— Teraz, Ketty, kiedy się rozłączymy i, ma się rozumieć, nie jesteś już o mnie zadowolona...

⁴⁰⁰ *Sekwana* — rzeka w płn. Francji, przepływająca przez Paryż. [przypis edytorski]

⁴⁰¹ *Polikrates* (VI w. p.n.e.) — tyran wyspy Samos w latach 537–522 p.n.e., uważany za uosobienie przekonania o przewrotności fortuny; według legendy próbował przekupić los, wrzucając w morze ulubiony, kosztowny pierścień, ale bogowie zwrócili mu jego ofiarę: pierścień odnalazł się w brzuchu ryby. [przypis edytorski]

— O, panie d'Artagnanie, z bliska czy z daleka, będę cię zawsze kochała...

— Do wszystkich diabłów z taką stałością! — mruknął Atos.

— O! Ja także, droga Ketty — odezwał się d'Artagnan — nie przestanę cię nigdy kochać, bądź pewna. Lecz odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie: czy nie mówiono u was o młodej kobiecie, którą pewnej nocy porwano i która zniknęła bez wieści?

— Poczekaj pan... Lecz, na Boga, panie rycerzu, czyżbyś jeszcze i tę kobietę kochał?

— Nie, nie, jeden z moich przyjaciół za nią przepada. Atos, którego tu widzisz.

— Ja?... — krzyknął Atos takim głosem, jak gdyby na jaszczurkę nadepnął.

— Ty, ty, nie zapieraj się — ciągnął d'Artagnan, ściskając go za rękę. — Wiesz dobrze, jak my wszyscy interesujemy się nieszczęśliwą panią Bonacieux. A Ketty nas nie zdradzi, prawda, moja droga?... Trzeba ci wiedzieć, dziecko kochane, że to żona tego obrzydliwego koczkodana⁴⁰², którego spotkałaś przed domem, idąc do mnie.

— O mój Boże — zawołała Ketty — przypomniałeś mi pan mój przestach, czy on mnie aby nie poznał!

— Więc już widziałeś tego człowieka?

— Przychodził dwa razy do milady.

— To tak? I kiedyż był?

— Mniej więcej dwa tygodnie temu.

— Spodziewałem się tego.

— Wczoraj także przychodził.

— Wczoraj wieczorem?

— Tak, na chwilę przed przyjściem pana.

— Mój drogi Atosie, jesteśmy otoczeni szpiegami! Cóż, Ketty, sądzisz, że cię poznał?

— Nasunęłam wprawdzie na twarz zasłonę, lecz może już przedtem mnie poznał.

— Proszę cię, Atosie, zejść na dół, on cię najmniej z nas wszystkich podejrzewa, i zobacz, czy stoi jeszcze przed drzwiami.

Atos wyszedł i powrócił zaraz.

— Nie ma go nigdzie, a dom zamknięty.

— Poszedł z raportem, poszedł donieść, że wszystkie ptaszki są obecnie razem w klatce.

— Ulotnijmy się zatem — rzekł Atos. — Planchet zostanie i doniesie nam, co nastąpi.

— Chwilkę, przyjacielu. Posłaliśmy po Aramisa, trzeba zaczekać.

— Sprawiedliwie mówisz, czekajmy na Aramisa.

Aramis właśnie wchodził.

Przedstawiono mu rzecz całą i wytłumaczono, że musi jak najrychlej znaleźć miejsce dla Ketty u którejś z wielkich dam, z którymi się przyjaźnił.

Aramis zamyślił się i zaczerwienił okrutnie, a potem rzekł:

— Czy naprawdę zależy ci na tym, kochany d'Artagnanie?

— Będę ci wdzięczny do śmierci.

— Pani de Bois-Tracy zapytywała mnie przez swoją przyjaciółkę mieszkającą na prowincji, czy wypadkiem nie mógłbym jej przysłać osoby godnej zaufania do jej osobistych usług. Otóż, kochany przyjacielu, jeżeli możesz zaręczyć, że ta oto panienka...

— O! Panie — zawołała Ketty — będę wdzięczna i poświęcę się cała na usługi osobie, która da mi możliwość opuszczenia Paryża.

— Skoro tak, kochana panienko — rzekł Aramis — to wszystko będzie dobrze.

Usiadł przy stoliku, napisał parę słów, zapieczętował pierścionkiem i oddał do rąk Ketty.

— Obecnie, moje dziecko — odezwał się d'Artagnan — wiesz, że równie dla nas, jak i dla ciebie niebezpiecznie tutaj zostawać, zatem rozłączmy się... Znajdziemy się kiedyś w lepszych czasach.

— Gdziekolwiek i kiedykolwiek się spotkamy — rzekła Ketty — zastaniesz mnie pan zawsze równie kochającą jak obecnie.

— Przysięga gracza! — mruczał Atos, gdy d'Artagnan odprowadzał Ketty na schody.

Niezadługo młodzi ludzie pożegnali się, przyrzekając zejść się o czwartej u Atosa, i zostawili Plancheta na straży mieszkania.

⁴⁰²koczkodan (pogard.) — brzydka, dziwacznie ubrana osoba. [przypis edytorski]

Aramis powrócił do siebie, zaś Atos i d'Artagnan zajęli się zastawianiem szafira. Jak przewidział nasz Gaskończyk, z łatwością znaleziono amatora, który pożyczył na pierścionek trzysta pistoli. W dodatku Żyd dający pieniądze nadmienił, że gdyby zdecydowano się sprzedać klejnot, bardzo przypadający mu do gustu jako odpowiadający drugiemu, posiadanemu przez niego, natychmiast wyliczyłby na stół pięćset pistoli.

Atos i d'Artagnan z ruchliwością ludzi wojskowych, a w dodatku jako prawdziwi znawcy, w ciągu niespełna trzech godzin zakupili wszystko, co było niezbędne do całkowitego umundurowania dla muszkietera. Przy tym Atos był hojny jak wielki pan do szpiku kości.

Muszkieter wynalazł pod wierzch okazałego konia andaluzyjskiego, czarnego jak heban, o sierści lśniącej, nozdrzach rozdętych, z nóżką suchą i zgrabną, pełnego ognia, i to sześciolatka zaledwie. Obejrzał go okiem znawcy i żadnej wady nie odkrył. Zaceniono mu tysiąc liwów.

Atos odliczył na stół sto pistoli.

Grimaud też dostał konia, przysadzistego i wytrwałego pikardyjczyka, za którego zapłacono trzysta liwów.

Po kupieniu siodła na tegoż konia i zbroi dla Grimauda nie pozostało Atosowi ani szeląga ze stu pięćdziesięciu pistoli. D'Artagnan ofiarował przyjacielowi część sumy, jaka na niego przypadła, z zastrzeżeniem zwrotu, gdy będzie w możliwości oddania.

Atos w odpowiedzi wzruszył ramionami.

— Ile to Żyd dawał za szafir, chcąc go nabyć na własność?... — zapytał.

— Pięćset pistoli.

— To znaczy dwieście pistoli więcej: sto dla ciebie, sto dla mnie. Ależ to majątek, mój przyjacielu. Idź prędkiej do tego Żyda.

— Jak to?... Czyżbyś pragnął...

— Pierścionek ten stanowczo przypominałby mi nader smutne okoliczności. Z drugiej strony, czy będziemy kiedyś w posiadaniu trzystu pistoli, aby go wykupić?... W ten sposób tracimy dwa tysiące liwów. Idź, idź, kochany d'Artagnanie, powiedz mu, że pierścionek należy do niego, i powracaj z dwustu pistolami.

— Namyśl się jeszcze, Atosie...

— Trudno bardzo o gotówkę obecnie, trzeba się poświęcić. Idź, nie czekając, d'Artagnanie. Grimaud będzie ci towarzyszył wraz ze swoim muszkietem.

D'Artagnan powrócił w pół godziny z dwoma tysiącami liwów, bez żadnego wypadku.

Takim zbiegiem okoliczności Atos znalazł pod ręką potrzebne na wyekwipowanie pieniądze, których nie spodziewał się wcale.

ROZDZIAŁ XII. ZJAWISKO

O godzinie czwartej czterej przyjaciele zeszli się już u Atosa. Ogólne zakłopotanie i myśli o umundurowaniu pierzchły bezpowrotnie, fizjonomia każdego zachowała jedynie wyraz osobistych i tajemnych obaw i pragnień. Niestety! Tak zawsze bywa, szczęście chwili obecnej zaćmiewa niepewność przyszłości.

Niespodziewanie ukazał się Planchet, niosąc dwa listy z adresem d'Artagnana. Jeden z nich był to bilecik elegancko złożony, formy podłużnej, z ładną pieczętką zieloną, na której wyciśnięty był gołąbek z gałązką oliwną w dziobku.

Drugi list był wielki, złożony w kwadrat i opatrzony przejmującymi trwogą pieczęciami Jego Eminencji księcia kardynała.

Na widok bileciku d'Artagnan poczuł bicie serca, zdawało mu się, że poznaje, od kogo pochodzi; chociaż tylko raz widział to pismo, utkwilo mu jednak głęboko w pamięci.

Pochwylił maleńki liścik i rozpieczętował żywo; list zawierał, co następuje:

Przechadzaj się w przyszły czwartek od szóstej do siódmej wieczorem po drodze z Chaillot i zagłądaj do wszystkich karet przejeżdżających tamtędy; lecz, jeżeli dbasz o swoje życie i o życie tych, którzy cię kochają, nie mów nic, nie czyn najmniejszego poruszenia, które by pozwalało przypuszczać, iż poznałeś tę, która naraża się na wszystko, aby cię ujrzeć choć na chwilę.

Żołnierz, Handel, Koń,
Pieniądz

Szczęście

List

Podpisu nie było.

— To zasadzka... — rzekł Atos. — Nie idź tam, d'Artagnanie.

— A jednakże pewny jestem, że znam to pismo.

— Może być naśladowane — podjął Atos. — Między szóstą a siódmą wieczorem droga z Chaillot jest najzupełniej pusta. Zarówno bezpiecznie byłoby iść na spacer do lasu Bondy.

— A gdybyśmy poszli wszyscy!... — rzekł d'Artagnan. — Cóż, u diabła, tożby nas nie pożarto wszystkich czterech, a do tego czterech lokajów, konie i broń.

— Będzie to dobra sposobność pokazania się w pełnym rynsztunku — dodał Portos.

— Jeżeli to pisze kobieta — odezwał się Aramis — i jeżeli pragnie być widziana przez ciebie jedynie, pomyśl, d'Artagnanie, iż ją kompromitujesz, sprowadzając nas wszystkich, a to niegodne prawdziwego szlachcica.

— Zostaniemy w tyle — rzekł Portos — on sam zbliży się jedynie.

— Tak, ale strzał z pistoletu może paść z karety bardzo łatwo.

— Ba!... — odparł d'Artagnan. — Mam nadzieję, że mnie nie trafi. Wreszcie obstąpimy karete i zgładzimy ze świata znajdujących się w niej. Zawsze to nieźle, gdy mniej o kilku nieprzyjaciół prześladować nas będzie.

— Ma słuszość — rzekł Portos — wojna to najmiłsza rzecz; trzeba przecie wypróbować naszą broń.

— O tak, zrobmy sobie tę małą uciechę — dodał Aramis tonem słodkim i niedbałym.

— Jak wam się podoba — rzekł Atos.

— Panowie — mówił d'Artagnan — jest już wpół do piątej, zaledwie wystarczy nam czasu do stawienia się na drodze z Chaillot.

— A nadto, gdy za późno wyruszymy — dodał Portos — nikt nas nie zobaczy, a to byłaby wielka szkoda. Dalej, panowie, szykujmy się co rychlej.

— Zapomniałeś o drugim liście — odezwał się Atos. — Zdaje mi się jednak, że pieczęcie wskazują jego ważność i wart przeczytania. Co do mnie, oświadczam ci, kochany d'Artagnanie, że on mnie daleko więcej zajmuje niż ten mały bilecik, któryś tak czule schował w okolicy serca.

D'Artagnan zaczerwienił się i odpowiedział:

— Zobaczymy więc, moi panowie, czego chce ode mnie Jego Eminencja.

Rozpieczętował list i czytał:

Pan d'Artagnan z gwardii królewskiej, z kompanii des Essarts, ma się stawić w Palais-Cardinal dziś wieczorem, o godzinie ósmej. La Houdinière Kapitan gwardii

— Do diabła!... — rzekł Atos. — Otóż mamy *rendez-vous* w zupełnie innym rodzaju, niemniej przeto niepokojące.

— Udam się na drugie, powracając z pierwszego — odezwał się d'Artagnan — jedno jest na siódmą, drugie na ósmą; będzie czas na wszystko.

— Hm! Ja bym nie poszedł — wtrącił Aramis — dobrze wychowany kawaler nie może chybić *rendez-vous* oznaczonego przez damę; lecz szlachcic przezorny może wytłumaczyć się z niestawienia na rozkaz Jego Eminencji nade wszystko, gdy ma powody przypuszczać, że nie o komplementy chodzi.

— Podzielałam zdanie Aramisa — rzekł Portos.

— Panowie — odparł d'Artagnan — odebrałem już raz przez pana de Cavois podobne zaproszenie od Jego Eminencji; nie stawilem się, a nazajutrz spotkało mnie straszne nieszczęście! Moja Konstancja znikła. Niech się teraz stanie, co chce, pójdę.

— Jeżeliś tak postanowił — rzekł Atos — to rób, jak ci się zdaje.

— A Bastylia?... — wtrącił Aramis.

— Ba!... Nie boję się, i stamtąd mnie wydostaniecie — odrzekł d'Artagnan.

— Bez wątpienia — odezwali się Aramis i Portos z zadziwiającą pewnością siebie, jak gdyby to była rzecz zupełnie prosta — bez wątpienia wydostaniemy cię. Lecz tymczasem, ponieważ wyruszamy w pole pojutrze, lepiej byś uczynił, nie narażając się na Bastylię.

— Ja wiem, jak się urządzimy — rzekł Atos — nie odstąpimy go ani na chwilę przez cały wieczór. Przy każdej bramie Palais-Cardinal będzie czekał jeden z nas wraz z trzema

Wojna, Broń

Spotkanie

muszkietierami. Gdy zobaczymy zamknięty powóz ze spuszczoneymi frankami, o podejrzany wyglądzie, wyjeżdżający z bramy, wpadniemy na niego niespodzianie. Dawno już nie mieliśmy sposobności zajrzeć w oczy straży kardynalskiej, a pan de Tréville słusznie mógłby sądzić, że zamarł w nas duch wojowniczy.

— Stanowczo, Atosie — rzekł Aramis — byleś stworzony na dowódcę armii. Jak wam się ten plan podoba?

— Zachwycający! Pyszny!... — powtórzyli chórem młodzi ludzie.

— Zatem — mówił Portos — biegnę do koszar uprzedzić towarzyszy, aby byli gotowi na ósmą wieczorem. Punkt zebrania na placu przed Palais-Cardinal. A wy, panowie, przez ten czas każcie pacholkom posiadać wierzchowce.

— Lecz ja konia nie posiadam — odezwał się d'Artagnan — wezmę chyba od pana de Tréville.

— Nie potrzeba — rzekł Aramis — weźmiesz jednego z moich.

— Ileż ty ich więc masz?... — zapytał d'Artagnan.

— Trzy tylko — odpowiedział Aramis z uśmiechem.

— Mój drogi — rzekł Atos — jesteś z największą pewnością najlepiej uposażonym poetą w całym królestwie Francji i Nawarry.

— Ale, mój drogi Aramisie, co będziesz robił z trzema wierzchowcami? Nie pojmuję nawet, jak mogłeś aż trzy kupować?

— Nie kupowałem bynajmniej. Trzeciego przyprowadził mi dziś rano służący bez liberii i nie chciał powiedzieć, do kogo należy. Utrzymywał, iż dostał rozkaz od swojego pana...

— Albo od pani swojej — przerwał d'Artagnan.

— To wszystko jedno — ciągnął Aramis, czerwieniąc się.

— Tylko poetom zdarzają się podobne wypadki — dodał Atos poważnie.

— W takim razie porozumiejmy się — rzekł d'Artagnan — na którym z dwóch wierzchowców będziesz jeździł: na kupionym przez siebie czy na darowanym?

— Na przyprowadzonym dzisiaj, ma się rozumieć. Pojmujesz, d'Artagnanie, iż nie mogę ubliżyć w ten sposób...

— Nieznanemu ofiarodawcy — podjął d'Artagnan.

— Lub tajemniczej protektorce — dodał Atos.

— Więc ci już niepotrzebny ten, którego kupiłeś?

— Prawie.

— Sam go wybrałeś?

— Z największą ostrożnością, gdyż bezpieczeństwo jeźdźca, jak wiesz o tym dobrze, zależy prawie zawsze od konia!

— Proszę cię, odstęp mi tego wierzchowca za cenę, jaką dałeś za niego!

— Chciałem ci go właśnie ofiarować, kochany d'Artagnanie, zostawiając swobodę zapłacenia mi tej bagatelki, kiedy ci się spodoba.

— Więc ileż kosztuje?

— Osiemset liwrow.

— Oto masz czterdzieści podwójnych pistoli, kochany przyjacielu — rzekł d'Artagnan, wyjmując złoto z kieszeni. — Wiem, że taką monetą płacą ci za twoje poematy.

— Jesteś, jak widzę, kapitalistą?

— Ależ tak, mój drogi, kapitalistą co się zowie⁴⁰³.

I d'Artagnan brząknął resztą pistoli w kieszeni.

— Przyślij siodło do koszar muszkieterskich, a przyprowadzą ci konia razem z naszymi.

— Bardzo dobrze; ale oto piąta godzina niedługo, śpieszmy się...

W kwadrans potem Portos ukazał się na rogu ulicy Férou, na bardzo pięknym rumaku; Mousqueton jechał za nim na koniu owernijskim⁴⁰⁴, małym, lecz także bardzo ładnym. Portos jaśniał radością i dumą.

Koń

Koń

⁴⁰³co się zowie — w całym tego słowa znaczeniu. [przypis edytorski]

⁴⁰⁴owernijski — dotyczący Owernii: górystego regionu w centralnej Francji. [przypis edytorski]

W tym samym czasie Aramis zjawił się z drugiej strony ulicy; dosiadał przepysznego bieguna⁴⁰⁵ angielskiego. Bazin dążył za nim na koniu dereszowatym⁴⁰⁶, trzymając za uzdę silnego meklemburczyka⁴⁰⁷; był to wierzchowiec d'Artagnana.

Dwaj muszkietierowie spotkali się w bramie. Atos i d'Artagnan wyglądali oknem.

— A, do diabła! — rzekł Aramis. — Pysznego masz konia, Portosie.

— Tak — odparł Portos — ten sam, którego miano mi przysłać od razu; złośliwy figiel męża podstawił innego. Ukaralem go też należycie i otrzymałem zadośćuczynienie.

Planchet i Grimaud stawili się także, prowadząc wierzchowce dla swoich panów; d'Artagnan i Atos zeszli na dół, siedli na konie, uszykowali się rzędem z przyjaciółmi i w takim porządku puścili się w drogę; Atos na koniu, którego zawdzięczał swej żonie, Aramis na wierzchowcu podarowanym przez kochankę, Portos na koniu zarobionym od prokuratorowej i d'Artagnan na koniu, którego mu zesłała jego szczęśliwa gwiazda, najlepsza kochanka, jaka może być. Pacholkiwie jechali tuż za nimi.

Przepowiednia Portosa spełniła się, kawalkada sprawiała znakomite wrażenie. Gdyby pani Coquenard znalazła się na drodze Portosa i mogła widzieć, jak wspaniałą miał minę na pysznym ogierze hiszpańskim, byłaby nie żałowała z pewnością talarów wyciągniętych ze szkatuły mężowskiej.

Niedaleko Luwru nasi przyjaciele spotkali pana de Tréville powracającego z Saint-Germain. Zatrzymał ich i winał piękno umundurowania, świetnej zbroi i postawy marsowej⁴⁰⁸, co w mgnieniu oka zgromadziło dookoła nich setki ciekawych.

D'Artagnan, korzystając ze sposobności, opowiedział panu de Tréville o liście z wielką, czerwoną pieczęcią i herbami książęcymi. Rozumie się, że o małym bileciku ani pisał.

Pan de Tréville pochwalił zamiar, który powziął d'Artagnan, i przyrzekł solennie, że gdyby nazajutrz nie pokazał się, potrafi go odnaleźć, gdziekolwiek by się znajdował.

Zegar Samarytanki wydzwonił szóstą; przyjaciele przeprosili pana de Tréville, tłumacząc się umówioną schadzka, pożegnali się i ruszyli w swoją stronę.

Wyciągniętym galopem dopadli drogi z Chaillot. Mrok zapadał, karety przejeżdżały w tę i w ową stronę; d'Artagnan, strzeżony z dala przez przyjaciół, zapuszczał wzrok w głąb powozów i nie mógł dojrzeć żadnej znajomej twarzy.

Na koniec po kwadransie oczekiwania, gdy zmierzchno się zupełnie, ukazał się powóz pędzący cwałem drogą do Sévres⁴⁰⁹; d'Artagnan przeczuł, że w tym powozie musi być osoba, która mu wyznaczyła schadzka. Młodzieniec nie mógł powstrzymać gwałtownego bicia serca... Prawie w tej chwili główka kobieca wyjrzała oknem karety, z paluszkami na ustach, jak gdyby nakazując milczenie lub przesyłając pocałunek. D'Artagnanowi wydarł się z piersi cichy okrzyk radości; tą kobietą, a raczej zjawiskiem, jako że kareta przemknęła z szybkością błyskawicy, była pani Bonacieux.

Nie panując nad sobą i niepomyślnie przestrogi przesłanej w liście, d'Artagnan spiął konia ostrogami i w kilku susach zrównał się z kareta, lecz okno zamknięte, firankę spuszczone, zjawisko znikło bezpowrotnie!

Wtedy d'Artagnan wspomnił słowa listu: „Jeżeli dbasz o życie własne i tych, co cię kochają, udawaj, że nic nie widzisz, że nie poznajesz nikogo”.

Zatrzymał się więc, z obawy nie o siebie, lecz o nieszczęśliwą kobietę, która widocznie naraziła się na okrutne niebezpieczeństwo, wyznaczając mu to spotkanie.

Powóz oddalał się ciągle, pędząc, co koń wyskoczy; wjechał do Paryża i przepadł bez śladu.

D'Artagnan stał na miejscu jak przykuty, nie wiedząc, co myśleć, co począć... Jeżeli to była pani Bonacieux i jeżeli powracała do Paryża, dlaczego to widzenie przelotne, zamiana jedynie spojrzenia i pocałunku w powietrzu? Z drugiej strony, jeżeli to nie ona, co bardzo być mogło, ponieważ o zmroku łatwo się pomylić, więc jeżeli to nie pani Bonacieux, czyż-

⁴⁰⁵*biegun* (daw.) — koń, wierzchowiec. [przypis edytorski]

⁴⁰⁶*dereszowaty* — o maści konia, o koniu: barwy czarnej lub brązowej z domieszką białych włosów. [przypis edytorski]

⁴⁰⁷*meklemburczyk* — koń rasy meklemburskiej, dawniej używanej jako pociągowa lub do celów wojskowych. [przypis edytorski]

⁴⁰⁸*marsowy* — tu: żołnierski; od imienia Marsa, rzymskiego boga wojny. [przypis edytorski]

⁴⁰⁹*Sèvres* — miejscowość i gmina w pln. Francji, przepływa przez nią Sekwana. [przypis edytorski]

by to miał być początek zemsty tej ręki przeciw niemu uzbrojonej, wyzyskującej wpływ kobiety, o której wiadano, że była mu droga nad wszystko?

Trzej towarzysze podjechali do niego. Wszyscy oni widzieli doskonale główkę kobiety wyglądającą z okna powozu, lecz oprócz Atosa żaden z nich nie znał pani Bonacieux. Jego zdaniem była to ona sama, lecz mniej nią zajęty widział też główkę mężczyzny ukrytego w głębi.

— Jeżeli jest tak, jak mówisz — odezwał się d'Artagnan — to bez wątpienia przewożą ją z jednego więzienia, aby osadzić w innym. Czego oni chcą od tej istoty nieszczęśliwej, w jaki sposób będą mógł ją kiedykolwiek odnaleźć?

— Przyjacielu — rzekł Atos poważnie — pamiętaj, iż tylko z nieboszczykami nie można się spotkać na tej ziemi. Wiesz to również dobrze jak ja, wszak prawda? Jeżeli twoja ukochana nie umarła i jeżeli to ją widzieliśmy obecnie, przyjdzie dzień, w którym ją spotkasz. A może nawet, Bóg to raczy wiedzieć — dodał — może nawet prędzej, niżbyś pragnął...

Pół do ósmej wybiło; powóz zatem spóźnił się o dwadzieścia minut na oznaczone spotkanie.

Przyjaciele d'Artagnana przypomnieli mu o wizycie w Palais-Cardinal, nadmieniając wszakże, że ma jeszcze czas cofnąć postanowienie.

Lecz d'Artagnan, uparty i ciekawy, nabił sobie głowę tą wizytą i pragnął usłyszeć, co powie Jego Eminencja. Nic nie mogło skłonić go do zmiany raz powziętego zamiaru. Przybyli na ulicę Saint-Honoré. Na placu przed Palais-Cardinal zastali dwunastu muszkieterów spacerujących w oczekiwaniu na towarzyszy.

D'Artagnan był znany i miał dobrą opinię w prześwietnej kompanii muszkieterów królewskich. Wiedzano bowiem, że przyjdzie czas, w którym zajmie w niej miejsce zaszczytne; traktowano go też jako kolegę. Dlatego muszkieterowie stawili się z ochotą na wezwanie, a że w dodatku chodziło według wszelkiego prawdopodobieństwa o wypłatanie złośliwego figla panu kardynałowi i jego zausznikom, ochoczo brali udział w tej wyprawie.

Atos podzielił ich na trzy oddziały; sam stanął na czele jednego, drugi oddał pod komendę Aramisowi, a trzeci zlecił Portosowi. Następnie każdy z oddziałów umieścił się na czatach naprzeciw trzech bram pałacowych. D'Artagnan zaś wszedł śmiało przez bramę główną.

Jakkolwiek czuł plecy silne poza sobą, młodzieniec nie mógł się pozbyć pewnej obawy, gdy wchodził wolno na wielkie schody pałacowe. Postępek jego z milady wyglądał trochę na zdradę, a pewny był, że istnieją związki tajemne i polityczne pomiędzy tą kobietą a kardynałem; w dodatku de Wardes, któremu tak się przysłużył, był wiernym stronnikiem Jego Eminencji. D'Artagnan wiedział, jak zresztą wszyscy, że kardynał, o ile był straszny dla swoich wrogów, o tyle bardzo przywiązany i łaskawy był dla przyjaciół.

„Jeżeli de Wardes opowiedział kardynałowi całe zdarzenie, o czym nie można wątpić, i w dodatku poznał mnie, co jest bardzo prawdopodobne, mogę się uważać za człowieka z góry potępionego — myślał d'Artagnan, kiwając głową. — Lecz dlaczego czekał aż do dnia dzisiejszego? Ha! To bardzo proste... Milady przedstawiła skargę z minką świętoszki, z którą jej tak do twarzy, iż niepodobna się oprzeć... A mój ostatni postępek przepelnił czarę cierpliwości kardynała...

Szczęśliwie się stało, że moi zacni przyjaciele czekają na dole i nie pozwolą uprowadzić mnie bezkarnie. Jednakże pułk muszkieterów pana de Tréville nie może sam jeden wojować z kardynałem, który rozporządza siłami całej Francji i wobec którego królowa nawet jest bez znaczenia, a król nie ma własnej woli... D'Artagnanie, mój przyjacielu, jesteś waleczny, przezorny, pełen doskonałych przymiotów, lecz z tym wszystkim zginiesz marnie przez kobiety”.

Z tym smutnym wyrokiem wszedł do przedpokoju, oddał pismo oficerowi służbowemu, który go wpuścił do sali poczekalnej, a sam udał się do dalszych apartamentów pałacowych.

W sali tej znajdowało się pięciu czy sześciu ludzi ze straży pana kardynała, którzy poznawszy d'Artagnana i wiedząc, że to on porąbał Jussaca, patrzyli na niego z ukosa i uśmiechali się złowróźnie. Uśmiechy te wydały się d'Artagnanowi złą przepowiednią, ponieważ jednak nasz Gaskończyk niełatwo dawał się nastraszyć, a raczej dzięki dumie

Spotkanie

Kobieta

i zarozumiałości właściwej ludziom pochodzącym z tej prowincji ukrywał, co miał w duszy, zwłaszcza gdy tam było nieco trwogi, wyprostował się więc wyzywająco przed panami gwardzistami, wsparł ręką na biodrze i oczekiwał wezwania w postawie pełnej powagi i godności.

Oficer służbowy powrócił i skinął na d'Artagnana, aby szedł za nim. Młodzieniec spostrzegł, że gwardziści widząc go odchodzącego, szeptali coś pomiędzy sobą i kiwali głowami. Przeszedł korytarz, wielki salon i znalazł się w bibliotece, w której jakiś mężczyzna pisał przy biurku.

Oficer wprowadził go i odszedł, nie wyrzekłszy słowa.

D'Artagnan stał i przypatrywał się piszącemu. Sądził, że ma do czynienia z jakimś sędzią lub prawnikiem przeglądającym akta sądowe. Przekonał się jednak, iż mężczyzna przy biurku wcale nie pisał, lecz poprawiał wiersze nierównej długości, skandując słowa na palcach. Poznał więc, że stoi wobec poety. Po niedługiej chwili poeta zamknął rękopis, na którego okładce było wypisane: *Mirame, tragedia w pięciu aktach*, i podniósł głowę.

Wtedy d'Artagnan poznał, że to kardynał.

Poeta

ROZDZIAŁ XIII. ODMOWA

Kardynał wsparł łokieć na rękopisie, twarz na ręce i patrzył przez chwilę na młodzieńca.

Nikt nie posiadał równie badawczego i głębokiego spojrzenia jak kardynał de Richelieu i d'Artagnan czuł się na wskroś przeniknięty tym wzrokiem.

Nie pokazywał tego jednak po sobie, trzymał kapelusz w ręce i czekał, aż Jego Eminencja raczy przemówić, a jego postawa nie wyrażała ani dumy, ani zbytej uniożoności.

— Panie — odezwał się kardynał — czy jesteś z tych d'Artagnanów, którzy pochodzą z Béarn⁴¹⁰?

— Tak, Wasza Wielobność — odparł młodzieniec.

— Jest kilkanaście rodzin noszących to nazwisko w Tarbes i okolicach; do której z nich należysz?

— Jestem synem tego, który brał udział w wojnach religijnych wraz z wielkim królem Henrykiem, ojcem obecnie nam panującego monarchy.

— Tak, tak, to ten sam... To pan wyruszyłeś przed ośmiu miesiącami ze swoich stron rodzinnych, aby szukać szczęścia w stolicy?...

— Tak, Eminencjo.

— Przybyłeś przez Meung, gdzie cię spokała jakaś nieprzyjemność; nie wiem, co takiego, lecz zawsze coś tam było.

— Eminencjo! — rzekł d'Artagnan. — Oto, co mi się przytrafiło...

— Nie potrzeba, nie potrzeba... — przerwał kardynał z uśmiechem dającym do zrozumienia, iż zna równie dobrze całe zdarzenie, jak ten, co chciał je opowiadać, — byłeś polecony panu de Tréville, wszak prawda?...

— Tak, Eminencjo; lecz właśnie w tej niefortunnej sprawie w Meung...

— List ci zaginał — podjął kardynał — tak, wiem o tym; lecz pan de Tréville jest znakomitym fizjonomistą i ocenia ludzi z pierwszego wejrzenia, a wskutek tej oceny umieścił pana w pułku szwagra swojego, pana des Essarts, pozwalając ci się spodziewać, iż niedługo wstąpisz do muszkietierów.

— Wasza Eminencja jest doskonale powiadomiony — rzekł d'Artagnan.

— Od owego czasu miałeś przeróżne zdarzenia: przechadzałeś się poza zabudowaniami Chartreux w dniu, kiedy byłoby stokroć lepiej, abyś się tam nie znajdował; następnie wraz z przyjaciółmi odbyłeś podróż do wód w Forges; towarzysze zostali po drodze, pan pojechał dalej. Nic dziwnego, ważne sprawy powoływały cię do Anglii...

— Eminencjo! — rzekł d'Artagnan zmieszany. — Jeździłem...

— Na polowanie do Windsoru czy dokąd indziej, nikomu nic do tego... Ja wiem wszystko, mój panie, bo powinienem wiedzieć. Po powrocie przywołany zostałeś przed oblicze znakomitej osoby i miło mi wiedzieć, że zachowujesz pamiątkę, jaką ci dała...

D'Artagnan dotknął ręką diamentu, który dostał od królowej, i odwrócił go szybko; za późno jednak.

⁴¹⁰Béarn — historyczna prowincja francuska w pld.-zach. Francji, na skraju Pirenejów. [przypis edytorski]

— Nazajutrz odwiedził cię pan de Cavois — ciągnął dalej kardynał — i prosił pana, abys przyszedł do mojego pałacu, nie posłuchałeś go i bardzo źle zrobiłeś...

— Eminencjo, obawiałem się... zdawało mi się, że zasłużyłem na nielaskę Waszej Wielebności.

— A to za co, mój panie?... Za to, żeś słuchał rozkazu przełożonych i wypełnił go ze sprytem i odwagą, na jaką może by się nie zdobył nikt inny na twoim miejscu? Zasłużyć miałeś na moją nielaskę, gdy jesteś pochwałą jedynie godzien!... Ja tylko nieposłusznym karzę, a nie takich jak pan, co słuchają... zanadto nawet słuchają... A na dowód, wspomnij datę dnia, w którym wzywałem ciebie i poszukaj w pamięci, co nastąpiło zaraz wieczorem...

— Tak, prawda, przypominam sobie, tego wieczora właśnie uwiezono panią Bonacieux. — D'Artagnan zdrzął. Przypomniał sobie, że przed półgodziną nieszczęśliwa kobieta była blisko niego, przemknęła jak widmo gnane z miejsca na miejsce przez tego samego człowieka, wszechmogącego.

— Na koniec — powiedział dalej kardynał — ponieważ nie słyszałem nic o panu od niejakiego czasu, zapragnąłem wiedzieć, co porabiasz. Nadto należy mi się niejaką wdzięczność od pana; zauważyłeś pewnie, jak we wszystkich okolicznościach miano wzgląd dla ciebie...

D'Artagnan uklonił się z uszanowaniem.

— Otóż — mówił dalej kardynał — nie pochodziło to jedynie z naturalnego poczucia słuszności, lecz jeszcze z powodu planu, jaki nakreśliłem sobie co do pana...

D'Artagnan słuchając, nie mógł wyjść ze zdziwienia.

— Chciałem przedstawić ci mój plan tego właśnie dnia, w którym po raz pierwszy wzywałem pana; nie stawiałeś się, jak wiesz... Masz szczęście, że przez opóźnienie nic nie tracisz, bo dziś dowiesz się o wszystkim. Usiądź pan, proszę, tu przede mną, panie d'Artagnanie; zanadto dobrym jesteś szlachcicem, aby słuchać, stojąc...

Kardynał wskazał młodzieńcowi krzesło, a ten tak był zdumiony tym, co nastąpiło, że aby usiąść, czekał drugiego znaku.

— Jesteś odważny, panie d'Artagnanie — ciągnął kardynał — a co więcej, jesteś przezorny. Lubię ludzi z głową i sercem. Nie przerażaj się — mówił z uśmiechem — ludźmi z sercem nazywam odważnych, nieustraszonych. Lecz uważaj, co powiem: pan, chociaż młody i zaledwie w świat wchodzący, masz już potężnych nieprzyjaciół. Jeżeli strzec się nie będziesz, zgubią cię na pewno!

— Niestety! Eminencjo — odparł młodzieniec — przyjdzie im to z łatwością, albowiem silni są i liczni, gdy ja sam tylko jeden!

— Tak, to prawda, lecz chociaż sam jesteś, dokonałeś już wiele i dokażesz więcej, nie wątpię o tym... Jednakże sądzę, że potrzebujesz przewodnika w karierze awanturniczej, jaką sobie obrałeś, bo jeżeli się nie mylę, przybyłeś do Paryża powodowany zuchwałą myślą zrobienia majątku?

— Jestem w wieku szalonych nadziei, Eminencjo — rzekł d'Artagnan.

— Szalone nadzieje są tylko dla głupców, a ty, mój panie, masz głowę nie dla proporcji. Cóż byś powiedział na przykład o stopniu chorążego w gwardii mojej, a po kampanii o dowództwie pułku?...

— O!... Eminencjo!

— Przyjmujesz, wszak prawda?

— To jest... Eminencjo... — bąkał d'Artagnan, zmieszany.

— Jak to?! Odmawiasz?... — zawołał zdziwiony kardynał.

— Służę w gwardii Jego Królewskiej Mości, Eminencjo, i nie mam powodu być niezadowolony.

— Zdaje mi się — mówił kardynał — iż gwardia moja jest także gwardią królewską, i że kto tylko służy w armii francuskiej, przez to samo służy królowi.

— Wasza Eminencja źle pojął moje słowa.

— Pragniesz znaleźć powód, wszak prawda? Otóż jest: awans, kampania, jaka się zapowiada, sposobność, jaką ci podaje, i masz już tłumaczenie przed światem. A dla ciebie samego: konieczność protekcji silnej i pewnej. Albowiem potrzeba, abys wiedział, mości d'Artagnanie, że ciężkie skargi na ciebie doszły uszu moich, wiem, iż nie wszystkim czas twój w dzień, a także i w nocy, poświęcasz służbie króla...

D'Artagnan milczał; zacerwienił się tylko okropnie.

Odwaga

Nadzieja, Głupiec

— W dodatku — ciągnął kardynał, kładąc rękę na plice⁴¹¹ papierów — czytałem właśnie sprawozdanie dotyczące się pana, lecz przed ukończeniem zapragnąłem pomówić z tobą. Wiem, iż jesteś odważny i zdecydowany na wszystko, a postępowanie twoje, pod dobrym kierunkiem, zamiast cię sprowadzić na złą drogę, może ci zapewnić świetną przyszłość. Zastanów się więc dobrze i zdecyduj się od razu.

— Dobroć Waszej Eminencji przejmuję mnie głęboką wdzięcznością, a poznając wielkość duszy Jego, czuję się jak robak pełzający po ziemi, lecz ponieważ Wasza Łaskawość pozwala mi mówić otwarcie...

Tu się zatrzymał.

— Tak, proszę i pozwalam, mów szczerze...

— A więc powiem Waszej Eminencji, że wszyscy moi przyjaciele służą w muszkietierach i w gwardii królewskiej, nieprzyjaciele zaś, jakimś fatalnym trafem, znajdują się w służbie Waszej Eminencji; byłbym zatem źle przyjęty przez jednych i niedobrze widziany przez drugich, gdybym przyjął to, co mi ofiarowujesz tak łaskawie.

— Czyżbyś uważał, iż za mało ci daję według twojej wartości, mój panie? — rzekł kardynał pogardliwie.

— Przeciwnie!... Wasza Wielebność jest stokroć lepszy dla mnie, niż zasłużyłem. Idziemy oblegać La Rochelle, tam będę walczył pod okiem Waszej Eminencji i jeżeli będę miał szczęście sprawić się w sposób, który zwróci Jego uwagę, to po wojnie będę przynajmniej posiadał jakieś prawo do łaski, co zarazem usprawiedliwi odznaczenie, jakim obecnie chce mnie Wasza Eminencja zaszczyścić. Wszystko powinno mieć swój czas; może później zdobędę prawo oddania się sam na usługi, gdy dzisiaj wyglądałoby, jak gdybym się sprzedał.

— To znaczy, że nie chcesz mi służyć, mój panie — rzekł kardynał tonem oburzonemu, w którym jednak czuć było szacunek — zostań więc wolny i zachowaj swoją nienawiść i sympatie...

— Eminencjo!...

— Dobrze, dobrze — przerwał kardynał — nie mam żalu do pana. Pojmujesz jednak, że bronienie swoich przyjaciół i wynagradzanie ich sprawia dość kłopotu... Jednak dam ci pożyteczną radę: strzeż się i myśl o sobie, panie d'Artagnanie, albowiem z chwilą, gdy wypuszczę cię spod mojej opieki, twoje życie nie będzie warte szeląga.

— Będę baczny, Eminencjo — odparł Gaskończyk z dumną pewnością siebie.

— Pamiętaj zaś w chwili nieszczęścia — rzekł Richelieu z dziwnym akcentem — że to ja sam ciebie szukałem i że robiłem, co było w mojej mocy, aby cię to nieszczęście ominęło.

— Co bądź się stanie — rzekł d'Artagnan, kładąc rękę na piersiach i kłaniając się — będę wdzięczny do śmierci Waszej Eminencji za to, co obecnie dla mnie raczył uczynić.

— Zatem, jak już powiedziałem, panie d'Artagnanie, zobaczymy się po skończonej kampanii. Będę cię miał na oku, bo i ja się tam udaję — ciągnął kardynał, wskazując ręką pyszną zbroję, którą zamierzał przywdziać. — A po powrocie policzymy się!

— A! Eminencjo! — zawołał d'Artagnan. — Oszczędź mi swojej niełaski. Pozostań bierny, jeżeli raczysz uznać, iż postępuję obecnie jak uczciwy człowiek.

— Młodzieńcze — rzekł Richelieu — jeżeli będę mógł raz jeszcze powtórzyć to, co dziś słyszałeś, przyrzekam, że ci to powiem.

Ostatnie słowa kardynała wyrażały okrutną wątpliwość; przeraziły też d'Artagnana bardziej niż groźba, bo były niejako przestroga. Kardynał widocznie starał się uchronić go od grożącego niebezpieczeństwa... Otworzył usta, chciał odpowiedzieć, lecz Richelieu skinął ręką wyniosłe i pożegnał go.

D'Artagnan wyszedł, lecz na progu zachwiał się i mało brakowało, ażeby się nie cofnął. Wspomniał jednak poważną postać Atosa; gdyby się związał z kardynałem, gdyby przyjął, co mu proponował, Atos ręki by mu nie podał... nie chciałby go więcej znać.

Jedynie ta obawa powstrzymała go; taki to jest wpływ rzetelnie wielkiego charakteru na otaczających.

Żołnierz, Przyjaźń

Czas

⁴¹¹plika — pewna liczba kartek złożonych razem. [przypis edytorski]

Młodzieniec wyszedł tymi samymi schodami, które przebył przed godziną. Został przed bramą Atosa i czterech oczekujących na niego muszkieterów, już bardzo zniecierpliwionych.

Uspokoił ich paru słowami, a Planchet pobiegł donieść innym posterunkom, że nie potrzebują dłużej pilnować, ponieważ d'Artagnan cały i zdrowy wyszedł z Palais-Cardinal.

Gdy już znaleźli się u siebie, Atos, Aramis i Portos zapytali o powód tego nadzwyczajnego wezwania. D'Artagnan opowiedział jedynie, że pan de Richelieu kazał się stawić dla zaproponowania mu służby w gwardii ze stopniem chorążego, lecz on nie przyjął tej łaski.

— Dobrze zrobiłeś — zawołali razem Portos i Aramis. Atos zadumał się głęboko i milczał. Lecz gdy zostali sami, powiedział:

— Postąpiłeś, jak powinieneś, d'Artagnanie, lecz kto wie, może źle uczyniłeś...

D'Artagnan westchnął. Słowa przyjaciela odpowiadały jego tajemnej myśli. Coś mu mówiło, że wielkie nieszczęścia czekają go w przyszłości.

Cały następny dzień upłynął na przygotowaniach do wymarszu; d'Artagnan poszedł pożegnać pana de Tréville.

Wierzono jeszcze, że rozłączenie gwardii od muszkieterów będzie jedynie chwilowe; król tegoż dnia miał odbyć narady w parlamencie, a nazajutrz także wyruszyć.

Pan de Tréville zapytał tylko d'Artagnana, czy może mu być w czymś pomocny, na co tenże z dumą odrzekł, że ma już wszystko, co potrzeba.

W nocy zebrali się wszyscy gwardziści pana des Essarts i muszkieterzy pana de Tréville — ci, których łączyła przyjaźń. Rozstawano się z nadzieją zobaczenia, kiedy się Bogu spodoba i jeżeli się Bogu spodoba.

Bawiono się wesoło, hałaśliwie, noc zeszła szybko, bo wiadomo, że tylko nadzwyczajną hulanką i oddaniem się zabawie zagłuszyć można niepokój wewnętrzny.

Nazajutrz rano, na pierwszy odgłos trąbki, przyjaciele rozłączyli się: muszkieterowie pośpieszyli do pałacu pana de Tréville, gwardziści do pana des Essarts. Następnie dowódcy poprowadzili swoje pułki do Luwru, gdzie król miał uczynić przegląd.

Król był smutny i cierpiący, co mu odjęło niemało rycerskiej postawy. Rzeczywiście w przeddzień dostał napadu febry podczas narad parlamentarnych, właśnie gdy sprawował urząd najwyższego sędziego sprawiedliwości.

Pomimo to zdecydowany był wyruszyć za armią wieczorem i teraz uparł się zrobić przegląd osobiście, spodziewając się pokonać chorobę ruchem i zajęciem.

Po przeglądzie jedynie gwardia wyruszyła, muszkieterzy mieli dopiero iść razem z królem, co pozwoliło Portosowi przejechać się jeszcze w swoim pysznym umundurowaniu po ulicy aux Ours.

Prokuratorowa oglądała go jeszcze paradowającego w nowym mundurze i na pięknym rumaku. Nie mogła obojętnie patrzeć, jak mijał jej dom, zanadto go kochała; dała znak, aby zsiadł z konia i przyszedł do niej. Portos wyglądał wspaniale: ostrogi dzwoniły, pancerz błyszczał, a szpada zuchwale objęła się po łydkach. Tym razem dependenci nie zdradzali ochoty do śmiechu. Portos miał minę, jakby za najmniejsze ubliżenie chciał obcinać uszy.

Nasz piękny muszkieter został wprowadzony do pana Coquenarda, którego małe, siwe oczka paliły się złością na widok świetnego kuzynka błyszczącego nowym strojem. Jednak pewne przypuszczenie pocieszało go wewnętrznie; mówiono, że kampania będzie ciężka, wojna krwawa. Miał zatem błogą nadzieję, że Portos nie powróci żywy.

Portos nagadał masę grzeczności panu Coquenardowi i pożegnał się z nim serdecznie. Pan Coquenard ze swej strony życzył mu wszelkich możliwych pomyślności. Co się tyczy pani Coquenard, nie była ona w stanie zapanować nad wzruszeniem i zalała się łzami, lecz nikt nie ośmielił się fałszywie tłumaczyć tej boleści, wiedziano bowiem, że bardzo kocha swoich krewnych, z powodu których nieraz ciężkie utarczki staczała z mężem.

Prawdziwe pożegnanie nastąpiło dopiero w pokoju pani Coquenard, a było rozdzierające...

Dopóki tylko prokuratorowa mogła dojrzeć kochankę, dawała mu znaki pożegnania białą chustką, wychylając się oknem z taką nierozwagą, jakby miała zamiar rzucić się z wysokości i podążyć za najmilszym. Portos przyjmował te oznaki czułości jak człowiek przywykły do podobnych objawów. Dopiero zawracając przy końcu ulicy, uniósł kapelusza w górę na znak pożegnania.

Żołnierz, Zabawa, Rozstanie

Aramis inaczej używał ostatnich chwil — pisał długi list. Do kogo? Nikt o tym nie wiedział. W sąsiednim pokoju Ketty, która jeszcze tego wieczora wyjeżdżała do Tours, oczekiwała na rozkazy.

Atos zaś małymi haustami wypróżniał ostatnią butelkę wina hiszpańskiego. Przez ten czas d'Artagnan maszerował w szeregach swojego pułku.

Na przedmieściu Saint-Antoine odwrócił się i patrzył wesoło na Bastylię; lecz ponieważ przypatrywał się tylko Bastylii, nie widział milady, która siedząc na pysznym koniu izabelowatym⁴¹², wskazywała go palcem dwom ludziom podejrzanego powierzchowności, a ci zbliżyli się do szeregów, aby mu się dobrze przypatrzeć.

Nareszcie pokazali oczami d'Artagnana, a milady skinęła głową, że to właśnie ten sam. Następnie pewna, że się nie pomyła przy wykonaniu jej rozkazów, zacięła konia i znikła jak widzenie.

Dwaj mężczyźni udali się za pułkiem; przy końcu przedmieścia Saint-Antoine dosiedli osiodłanych koni, które oczekując na nich, trzymał za uzdy służący bez liberii.

ROZDZIAŁ XIV. OBLĘŻENIE LA ROCHELLE

Oblężenie La Rochelle było jednym z najdonioślejszych wydarzeń politycznych panowania Ludwika XIII i jednym z największych przedsięwzięć wojennych kardynała. Nie od rzeczy będzie powiedzieć parę słów o owym oblężeniu. Wiele szczegółów z epoki tej wiąże się ściśle z historią, którą zamierzylimy opowiedzieć.

Widoki polityczne, jakie kardynał miał na celu, podejmując oblężenie, były wielkiego znaczenia.

Spomiędzy miast oddanych przez Henryka IV hugenotom w posiadanie, jako miejsca obronne i pewne, pozostała w ich ręku jedynie La Rochelle. Chodziło więc o odebranie tego ostatniego posterunku, o wytopienie gniazda kalwinizmu, żywiołu niebezpiecznego, z którym łączyły się nieustannie fermenty buntownicze lub zbiegowie z wojsk cudzoziemskich. Hiszpanie, Anglicy, Włosi, awanturnicy wszelkich narodowości, błędni rycerze należący do przeróżnych sekt stawali na pierwsze wezwanie pod sztandary protestanckie, organizując się w rozległe stowarzyszenie, którego odnogi rozbiegały się dowolnie po wszystkich punktach Europy.

La Rochelle nabrała nowego znaczenia wskutek upadku innych miast kalwińskich, była zatem ogniskiem niezgody i wygórowanych ambicji. W dodatku port La Rochelle stanowił jedyne otwarte wejście dla Anglików do królestwa francuskiego. Otóż, zamykając go przed nosem Anglii, odwiecznej nieprzyjaciółki Francji, kardynał kończył dzieło rozpoczęte przez Joannę d'Arc⁴¹³ i księcia de Guise.

Toteż Bassompierre, który był jednocześnie protestantem i katolikiem — protestantem z przekonania, a katolikiem jako komandor Orderu Świętego Ducha; Bassompierre — Niemiec z urodzenia, a Francuz sercem, Bassompierre, który miał wyłączne dowództwo przy oblężeniu La Rochelle, mówił do magnatów protestanckich, myślących tak samo jak on:

— Zobaczycie, panowie, że będziemy tak głupi, iż zdobędziemy La Rochelle!

Bassompierre miał rację; bombardowanie wyspy Ré pociągnęło za sobą prześladowanie protestantów w Cévennes; zdobycie La Rochelle było przedmową edyktu nantejskiego⁴¹⁴. Lecz, jak powiedzieliśmy wyżej, obok widoków ministra wyrównywających i upraszczających położenie, których ocena należy do historii, kronikarz zmuszony jest zaznaczyć pewne dążenia człowieka zakochanego i zazdrosnego rywala.

Richelieu, jak wszystkim wiadomo, kochał szalenie królową; czy miłość jego miała po prostu cel polityczny, czy była jedną z tych głębokich namiętności, jakie wzbudza-

⁴¹²izabelowaty — o maści konia: jasnożółtawy, płowy. [przypis edytorski]

⁴¹³Joanna d'Arc (1412–1431) — bohaterka narodowa Francji; podczas wojny stuletniej z Anglią poprowadziła armię francuską do kilku ważnych zwycięstw, twierdząc, że działa kierowana przez Boga; zginęła spalona na stosie. [przypis edytorski]

⁴¹⁴edykt nantejski — akt prawny wydany w 1598 w Nantes przez Henryka IV, kończący trzydziestoletni okres wojen religijnych we Francji między protestantami (hugenotami) i katolikami; edykt ustanawiał wolność wyznania i równouprawnienie obu wyznań, przywracał protestantom prawa polityczne (sprawowanie urzędów) i ekonomiczne; zniesienie edyktu nantejskiego przez Ludwika XIV w 1685 zaowocowało szeregiem represji oraz masową emigracją protestantów z Francji. [przypis edytorski]

ła Anna Austriacka w otaczających, nie możemy twierdzić stanowczo; w każdym razie wiadomo z początków naszego opowiadania, że Buckingham odniósł nad nim w miłości zwycięstwo, a w kilku okolicznościach, mianowicie z powodu zapinek brylantowych, dzięki poświęceniu trzech muszkieterów i niezrównanej odwadze d'Artagnana, zdrwił z kardynała okrutnie.

Chodziło zatem Richelieu nie tylko o uwolnienie Francji od wroga, lecz i o zemstę nad szczęśliwym rywalem. W końcu zemsta powinna była być straszna i głośna, godna człowieka dzierzącego w ręku jako szpadę bojową potęgę całego królestwa.

Richelieu wiedział dobrze, że walcząc z Anglią, walczy z Buckinghamem; że zwyciężywszy Anglię, zwycięży Buckingham, na koniec, iż gdy upokorzy Anglię wobec Europy, upokorzy Buckingham w oczach królowej.

Buckingham zaś, mając przede wszystkim na względzie honor Anglii, żywił jednak obok tego podobne nadzieje jak kardynał; on także gonił za zemstą osobistą. Pod żadnym pozorem nie mógł powrócić do Francji w roli ambasadora, chciał zatem wejść jako zwycięzca.

Dlatego prawdziwą stawką tej wielkiej gry, jaką dwa najpotężniejsze mocarstwa rozgrywały pomiędzy sobą dla przyjemności dwóch zakochanych ludzi, były piękne oczy Anny Austriackiej.

Pierwsze zwycięstwo było po stronie księcia Buckingham: przybył zniemacka pod wyspę Ré, prowadząc dziewięćdziesiąt okrętów i dwadzieścia tysięcy załogi, zaskoczył niespodzianie hrabiego de Toiras⁴¹⁵ rządzącego wyspą w imieniu króla i po krwawej utarczce — wyładował.

Hrabia de Toiras zamknął się w cytadeli Saint-Martin i osadził setką ludzi małą forteczkę nazwaną La Prée.

Wypadek ten przyspieszył decyzję kardynała; nie czekając, zanim król i on sam będą mogli objąć dowództwo nad oblężeniem La Rochelle, co było postanowione od dawna, wyprawił królewskiego brata do kierowania pierwszymi ruchami wojska i rozkazał ściągać na plac boju wszystkie siły wojenne, jakimi mógł rozporządzać.

Do takiego właśnie oddziału, wysłanego jako straż przednia, należał nasz przyjaciel d'Artagnan.

Król, jak już mówiliśmy, miał podążyć za wojskiem zaraz po ukończeniu sądów najwyższych, lecz wychodzącego z izby sądowej 28 czerwca napadła trawiąca febra; pomimo to wyjechał. Niedługo jednak był w stanie walczyć z niemocą, a czując gwałtowne pogorszenie, z wielkim żalem zatrzymał się w Villeroy. Gdzie król stanął, stanęli i muszkieterowie. Wypadło stąd, że d'Artagnan, który był po prostu w gwardii, odłączył się, chwilowo przynajmniej, od swoich dobrych przyjaciół, Atosa, Portosa i Aramis. Rozłąka ta, która była dla niego przykrością jedynie, byłaby się stała niepokojem prawdziwym, gdyby mógł być przeczuć, jak straszne groziły mu niebezpieczeństwa.

Przybył jednak bez żadnego wypadku do obozu naprzeciw La Rochelle około 10 września 1627 roku.

Wszystko tam znajdowało się w tym samym stanie: książę Buckingham i jego Anglicy byli panami wyspy Ré, oblegali w dalszym ciągu, chociaż bez skutku, cytadelę Saint-Martin i forteczkę La Prée, a pierwsze nieprzyjacielskie kroki wobec La Rochelle rozpoczęto z powodu fortu wystawionego z rozkazu księcia d'Angoulême pod bokiem miasta. Gwardia pod dowództwem pana des Essarts obozowała w Minimes.

D'Artagnan — zajęty, jak wiemy, myślą, aby jak najprędzej przejść do kompanii muszkieterów — nie bardzo przyjaźnił się z kolegami; teraz więc był samotny i oddany na pastwę rozmyślań. A nie były to dumania wesołe: od dwóch lat, odkąd przybył do Paryża, plątał się nieustannie w sprawy publiczne, zaś jego interesy osobiste nie posunęły go naprzód ani w miłości, ani w bogactwie.

Jedyna kobieta, jaką ukochał, była to pani Bonacieux i ona właśnie zniknęła bez śladu; i dotąd nie mógł dojść, co się z nią stało. Co do majątku, znaczenia... Jakże się starał o te dobra ziemskie?... Oto on, chudopacholek, zrobił sobie wroga z kardynała, to jest z człowieka, przed którym drżało królestwo potężne, począwszy od króla...

⁴¹⁵hrabia de Toiras, właśc. *Jean Caylar d'Anduze de Saint-Bonnet* (1585–1636) — marszałek Francji, gubernator wyspy Ré. [przypis edytorski]

Ten człowiek mógł go zetrzeć na proch, a jednak tego nie uczynił. Dla umysłu przewidującego, jaki posiadał d'Artagnan, pobłażliwość ta była furtką, przez którą spoglądał w lepszą przyszłość.

Następnie zrobił sobie innego wroga, nie tak strasznego, jak myślał, lecz pomimo to czuł instynktownie, że nie można nim było pogardzać — wrogiem tym była milady.

W zamian zdobył protekcję i życzliwość królowej... ale życzliwość królowej w owym czasie była to jedna więcej przyczyna do prześladowania, a jej protekcja, jak wiadomo, bardzo źle osłaniała, czego dowodem był Chalais i pani Bonacieux.

Z tego więc, co dotąd zyskał, największą wartość — pięć a może sześć tysięcy liwrow — miał brylant, jaki błyszczał mu na palcu; a diament ten, jeżeli d'Artagnan w projektach ambitnych zechce go zachować, aby zapewnić sobie w przyszłości wdzięczność królowej, posiadał, jako że nie mógł być sprzedany, wartość tego kamyka, który wyczuwał pod nogą.

Mówimy tu o kamyku pod nogą, ponieważ d'Artagnan rozmyślał, spacerując samotnie po małej dróżce wiodącej z obozu do wioski d'Angoutin. Rozmyślenia te zawiodły go dalej, niż sądził. Dzień miał się ku schyłkowi, gdy nagle, przy ostatnim błysku zachodzącego słońca, zdało mu się, że widzi poza płotem błyszczącą lufę rusznicy⁴¹⁶.

D'Artagnan posiadał oko wprawne, a umysł nadzwyczaj bystry, zrozumiał od razu, że rusznica nie przyszła tu sama, a ten, co ją trzyma, nie schował się za płot w zamiarach przyjacielskich. Postanowił zatem uciekać na czyste pole, gdy oto z drugiej strony drogi, spoza skały, ukazała się druga rusznica. A więc była to zasadzka!

Młody człowiek rzucił okiem na pierwszą lufę i dostrzegł z niemalym przerażeniem, iż zniżala się w kierunku jego osoby; w chwili gdy ujrzał, że się zatrzymała, padł plackiem na ziemię. W tejże chwili rozległ się strzał, a kula świsnęła mu ponad głową.

Nie było czasu do stracenia, d'Artagnan zerwał się na nogi, a jednocześnie kula z drugiej rusznicy zaryła się w ziemię akurat w tym samym miejscu, gdzie leżał.

D'Artagnan nie był z tych junaków, którzy giną marną śmiercią, byle tylko powiedziano o nich, że nigdy strachu nie znali; w dodatku cóż tu znaczyła odwaga?... D'Artagnan wpadł widocznie w zasadzkę z góry ułożoną.

„Jeżeli padnie trzeci strzał — mówił w duchu — już będzie po mnie”.

I wzięwszy natychmiast nogi za pas, zmykał w kierunku obozu z szybkością Gaskończyków sławnych i znanych ze zręczności w biegu. Pomimo jednak gwałtownego pośpiechu pierwszy ze strzelających, mając czas do powtórnego nabicia fuzji, posłał mu drugi strzał tak celny, że kula przeszła kapeluszu i wyrzuciła w powietrze na jakieś dziesięć stóp⁴¹⁷ odległości.

Ponieważ d'Artagnan nie posiadał drugiego nakrycia głowy, podniósł go zatem z ziemi i nie ustając w biegu, zdyszany i okrutnie błady dopadł swego mieszkania, usiadł, nic nie mówiąc nikomu, i począł na nowo rozmyślać. To zdarzenie mogło mieć trzy przyczyny.

Pierwszą i najprawdopodobniejszą mogła być wycieczka oblężonych, którym uśmiechało się położenie trupem żołnierza z gwardii Jego Królewskiej Mości, boć to zawsze mniej o jednego nieprzyjaciela, a w dodatku ten nieprzyjaciel mógł posiadać woreczek dobrze nadziany złotem.

D'Artagnan zdjął kapeluszu, opatrzył dziurę od kuli i pokiwał głową. Kula nie wypadła z muszkietu. Była to kula z rusznicy. Trafny strzał dawał do myślenia, że broń była specjalnie wybrana. Zatem to nie wojenna zasadzka, ponieważ kula nie zdradzała muszkietu używanego w wojsku.

Mogło to pochodzić także z polecenia kardynała. Pamiętamy, że w chwili, gdy w ostatnim odbłasku słońca spostrzegł lufę skierowaną ku sobie, rozmyślał właśnie nad cierpliwością okazywaną mu przez Eminencję.

Lecz d'Artagnan odpędził tę myśl... Wobec ludzi, których mógł osiągnąć jednym poruszeniem ręki, kardynał rzadko używał takich środków.

Mogła to być jeszcze zemsta milady.

Było to najprawdopodobniejsze... Na próżno starał się przypomnieć sobie fizjonomie lub ubrania morderców; tak szybko uciekał przed nimi, że nic a nic nie zauważył.

⁴¹⁶rusznica — jeden z pierwszych typów ręcznej, długiej broni palnej. [przypis edytorski]

⁴¹⁷stopa — anglosaska jednostka długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

— O! Przyjaciele moi, najmilsi przyjaciele — szeptał d'Artagnan — gdzie jesteście? Jakże mi was brak!

D'Artagnan miał bardzo złą noc. Po kilka razy zrywał się i chwycił szpadę w przekonaniu, że jakiś człowiek zbliża się do łóżka, by go przebić sztyłem. Dzień zaświtał jednakże, ciemności rozproszyły się, nie sprowadziwszy żadnego wypadku. D'Artagnan dobrze czuł, że co się odwlekło, nie minęło bezpowrotnie.

Cały dzień nie opuszczał mieszkania — tłumaczył się przed sobą samym, że czas jest brzydki.

Nazajutrz o dziewiątej z rana uderzono w bębny. Księżę Orleanu⁴¹⁸ objeżdżał stowiska. Gwardia stanęła pod bronią, d'Artagnan zajął miejsce w szeregu.

Księżę przesunął się wolno przed frontem armii; następnie wszyscy wyżsi oficerowie zbliżyli się, aby mu oddać pokłon. Pan des Essarts, dowódca gwardii, podjechał wraz z innymi.

Po niejakej chwili d'Artagnan spostrzegł, że pan des Essarts daje mu znak, by się zbliżył ku niemu; w obawie pomyłki czekał jednak powtórnego znaku od swego dowódcy. Gdy jednak skinienie się powtórzyło, wystąpił z szeregu i stanął się po rozkazy.

— Księżę — rzekł pan des Essarts — potrzebuje odważnych ludzi do niebezpiecznego zlecenia, które okryje chwałą tych, co je wykonają. Dałem ci zatem znak, abyś się zbliżył i był w pogotowiu.

— Dziękuję, mój dowódcu! — odrzekł d'Artagnan, który niczego tak nie pragnął, jak możliwości odznaczenia się pod okiem naczelnego wodza.

Stało się, że z La Rochelle uczyniono wycieczkę pośród nocy i odebrano bastion zdobyty przez królewskich przed zaledwie dwoma dniami, chodziło więc o to, aby podsunąć rekonesans pod same mury dla zbadania, czy bastion ów jest obsadzony wojskiem.

Księżę, nie czekając długo, odezwał się donośnym głosem:

— Potrzebuję do tej sprawy trzech lub czterech ochotników dowodzonych przez człowieka pewnego.

— Jeżeli idzie o kogoś pewnego, mam takiego pod ręką do usług Waszej Księżęcej Mości — rzekł pan des Essarts, wskazując d'Artagnana. — Co do czterech lub pięciu ochotników, niech tylko księżę miłościwy da poznać swe zamiary, a ludzi nie zbraknie.

— Wzywam czterech ochotników, niech się stawia i dadzą zabić razem ze mną! — wyrzekł d'Artagnan, podnosząc szpadę.

Jego dwóch kolegów z gwardii przyskoczyło natychmiast, a dwóch żołnierzy przyłączyło się do nich; wymagana liczba była już gotowa.

D'Artagnan odmówił innym zgłaszającym się, nie chcąc czynić krzywdy tym, którzy mieli pierwszeństwo za sobą.

Nie było wiadomo, czy po wzięciu bastionu mieszkańcy La Rochelle go opuścili, czy zostawili w nim załogę; zatem trzeba było zbadać pozycję z bliska i dowiedzieć się prawdy.

D'Artagnan puścił się z czterema towarzyszami i szedł pod osłoną okopów; dwaj gwardziści szli obok niego, a żołnierze nieco w tyle.

Tak dotarli, kryjąc się w dołach, na jakieś sto kroków od bastionu! Wtedy d'Artagnan odwrócił się i spostrzegł, że dwaj żołnierze zniknęli. Pomyślał, iż ze strachu pozostali za wałem, i szedł dalej, nie oglądając się na nich.

Minąwszy kontrskarpe⁴¹⁹, znaleźli się prawie o sześćdziesiąt kroków od bastionu. Nikogo nie było widać, bastion stał cichy i wydawał się pusty.

Trzej towarzysze stanęli na tej straconej placówce i namyślali się, czy iść dalej, gdy wtem chmura dymu zakryła kamiennego olbrzyma i kilkanaście kul gwizdnęło koło uszu d'Artagnana i jego kolegów. Dowiedzieli się więc, czego chcieli — bastion miał załogę. Stać dłużej w tak niebezpiecznym miejscu nie byłoby wcale roztropnie ani potrzebnie; d'Artagnan z towarzyszami wycofali się, by dokonać odwrotu bardzo podobnego do ucieczki.

Dopadli tak do wału mającego ich zasłonić, gdy wtem jeden z gwardzistów zwałił się na ziemię — kula przeszła mu pierś. Drugi, dotąd nietknięty, uciekał w kierunku obozu.

⁴¹⁸książę Orleanu, właśc. *Gaston Jan Baptysta de France* (1608–1660) — trzeci syn Henryka IV i Marii Medycejskiej, młodszy brat króla Ludwika XIII; nominalny dowódca armii podczas oblężenia La Rochelle w 1628. [przypis edytorski]

⁴¹⁹kontrskarpa — zewnętrzna osłona okopu. [przypis edytorski]

D'Artagnan nie chciał opuścić kolegi i pochylił się, aby go podnieść i zabrać do swoich, lecz w tej chwili strzelono dwa razy; jedna kula roztrzaskała głowę rannego gwardzisty, druga splaszczyla się o skałę, przeleciawszy o dwa cale nad głową d'Artagnana.

Młodzieniec odwrócił się szybko. Atak nie pochodził z bastionu zakrytego wysokim wałem; przyszli mu na myśl dwaj żołnierze, którzy zniknęli, i przypomniał sobie morderców onegdajszych... postanowił przekonać się, co ma o tym sądzić, i upadł na ciało towarzysza jak nieżywy.

Dwie głowy ukazały się ponad opuszczoną fortyfikacją znajdującą się o jakieś trzydzieści kroków — byli to owi dwaj żołnierze. D'Artagnan nie pomylił się. Ci dwaj ludzie poszli za nim z myślą zabójstwa, spodziewając się, że śmierć młodzieńca policzona zostanie na karb nieprzyjaciela.

Ponieważ jednak mógł być jedynie ranny, a potem donieść o ich zbrodni, zbliżyli się, aby go dobić. Na szczęście, zwiedzeni podejściem d'Artagnana, zaniedbali koniecznej ostrożności i nie nabili powtórnie rusznic.

Gdy znaleźli się już o dziesięć kroków, d'Artagnan, który padając, trzymał silnie szpadę w ręce, zerwał się niespodzianie i jednym skokiem był już koło nich.

Podli zbójce zrozumieli, że gdyby uciekli do obozu, nie położywszy trupem młodzieńca, nie omieszkaliby on wydać ich sprawki, postanowili więc natychmiast przejść do nieprzyjaciela. Pierwszy z nich ujął fuzję za lufę i wywinął ją jak maczugę. Wymierzył okrutny cios w samą głowę d'Artagnana, lecz chybił, ponieważ tenże umknął szczęśliwie na stronę, ale ruchem tym dał swobodną drogę bandycie, z czego ten skorzystał i umykał w stronę bastionu. Ponieważ jednak mieszkańcy La Rochelle broniący fortecy nie wiedzieli, w jakich zamiarach człowiek ten do nich przybywa, dali ognia i zabójca padł na ziemię trafiony kulą, która strzaskała mu ramię.

Gdy to się działo, d'Artagnan pochwycił drugiego żołnierza, atakując go szpadą. Walka trwała krótko; nędznik miał na swoją obronę nienabitą rusznicę. Szpada gwardzisty, odpierając razy nieużytecznej broni, opuściła się niespodziewanie i przeszła na wylot udo mordercy, który upadł niezwłocznie, nie mogąc się utrzymać na nogach.

D'Artagnan przyłożył mu koniec szpady do gardła.

— O! Nie zabijaj mnie! — krzyczał zbójca. — Łaski, łaski, panie oficerze! Wszystko panu opowiem!...

— Czy twoja tajemnica warta jest przynajmniej, abym ci życie darował? — zapytał młodzieniec, powstrzymując pchnięcie.

— O! Tak, szczególnie dla pana, jeżeli cenisz swe życie, będąc tak piękny i waleczny i mając z tego względu świetną przyszłość przed sobą.

— Nędzniku! — rzekł d'Artagnan. — Dalej, gadaj prędzej, z czyjego rozkazu chciałeś mnie zamordować?

— Z rozkazu kobiety, której nie znam wcale, lecz którą nazywają milady.

— Mówisz, że jej nie znasz, a skąd wiesz, jak ją nazywają?

— Mój wspólnik ją znał i tak nazywał, bo ona się z nim układała, nie ze mną. On ma nawet list od tej damy w kieszeni, list wielkiego znaczenia dla pana, jak sam opowiadał.

— Dlaczego wziąłeś udział w tym napadzie?...

— Zaproponował mi, abyśmy we dwóch podjęli się tej roboty, i przystałem...

— Cóżście dostali za tę szlachetną wyprawę?

— Sto luidorów.

— Wcale nieźle — rzekł młodzieniec, rozweselony. — Widzę z tego, że coś wart jestem; sto luidorów!... To majątek dla takich nędzników. Nie dziwię się też, że przystałeś, i przebaczam, lecz pod jednym warunkiem!

— Pod jakim? — zapytał żołnierz niespokojny, widząc, że to jeszcze nie koniec.

— Oto pójdziesz i wyjmiesz list z kieszeni twego kamrata⁴²⁰.

— Ależ, panie!... — zakrzyczał bandyta. — Chcesz mnie zabić, tylko innym sposobem; jak możesz żądać, abym szedł po list pod ogniem bastionu?...

— Decyduj się i to szybko, bo klnę się na Boga, zginiesz z mojej ręki!...

⁴²⁰kamrat — towarzysz. [przypis edytorski]

— Łaski! Panie, litości!... W imię młodej damy, którą kochasz... którą masz za umarłą... a która żyje!... — wołał zbójca, podnosząc się na kolana i podpierając ręką, bo siły go opuszczały wraz z utratą krwi.

— Skąd wiesz o kobiecie, którą kocham, kto ci powiedział, że myślę, iż ona nie żyje?...

— To wszystko jest w liście, który mój towarzysz ma w kieszeni.

— Widzisz sam, iż muszę ten list posiść koniecznie. Nie ociągaj się zatem, nie wahaj, bo pomimo odrazy, jaką czuję do zmożenia mej szpady po raz drugi w podłej krwi twojej, przysięgam na honor uczciwego człowieka...

Przy tych słowach d'Artagnan uczynił gest tak groźny, że ranny pomimo osłabienia zerwał się na równe nogi.

— Wstrzymaj się, panie! Wstrzymaj! — zawołał, nabierając odwagi pod wrażeniem strachu. — Pójdę już... pójdę!

D'Artagnan odebrał broń bandycie, kazał mu stanąć przed sobą i pchnął go w stronę współnika, kłując go w plecy końcem szpady.

Straszny był widok nieszczęśliwca znaczącego śladami krwi przebytą drogę, bladego z powodu zbliżającej się śmierci, a pomimo to pragnącego zawlec się niedostrzeżenie do ciała współnika zbrodni leżącego dwadzieścia kroków od niego.

Trwoga tak okrutna malowała się na twarzy bandyty złanej zimnym potem, że d'Artagnan zmiękł i patrząc na niego z pogardą, zawołał:

— Stój! Pokażę ci różnicę pomiędzy człowiekiem odważnym a podłym jak ty tchórzem; zostań, ja sam pójdę!

I krokiem lekkim, baczny na wszystko, obserwując poruszenia nieprzyjaciela i zasłaniając się nierównością gruntu, d'Artagnan dotarł do drugiego żołnierza.

Miał dwa sposoby dojścia do celu — zrewidować mu kieszenie na miejscu lub zabrać go ze sobą, czyniąc puklerz z jego ciała, i dokonać rewizji pod tą osłoną.

D'Artagnan wybrał drugi sposób. Zarzucił jeszcze oddychającego zbója na plecy właśnie w chwili, gdy nieprzyjaciel dał ognia.

Słabe wstrząśnienie, głuchy szmer trzech kul rozdzierających ciało, ostatni jęk i dreszcze konania dowiodły młodzieńcowi, że ten, który pragnął go zamordować, ocalił mu obecnie życie.

D'Artagnan dostał się na powrót poza wał i cisnął trupa obok rannego, bladego już jak nieboszczyk.

Natychmiast zajął się rewizją kieszeni, torby skórzanej, worka, w którym widocznie znajdowała się część sumy, jaką zbój otrzymał; kubek na kości do gry jako też i kości ponumerowane stanowiły całą pozostałość po umarłym. Kubek i kości zostawił, gdzie były, cisnął worek rannemu, a sam z niecierpliwością otworzył torbę...

Pomiędzy papierami bez znaczenia odnalazł następujący list, zdobyty z narażeniem życia:

Ponieważ straciliście ślady kobiety, a ona jest obecnie w klasztorze, bezpieczna i spokojna, dokąd nie powinniście byli jej dopuścić, starajcie się przynajmniej nie chybić człowieka przeze mnie wskazanego, w przeciwnym razie wiecie o tym, że mam rękę długą, nie skryjecie się przede mną, dosięgnę was i drogo zapłacicie za sto luidorów, które otrzymaliście ode mnie.

Podpisu nie było.

Jednakże list pochodził widocznie od miłady.

Schował go starannie jako niezbity dowód i usunąwszy się w miejsce zakryte przez wał ziemny, począł badać rannego. Ten wyznał mu, że podjął się wraz z kolegą, tym samym, który oto już zabity, porwać młodą damę, która miała pewnego dnia wyjeżdżać z Paryża rogatką de La Villette, i że zatrzymawszy się w jakiejś oberży, spóźnili się i powóz przejechał, zanim zdążyli na wskazane miejsce.

— Coście zamierzali uczynić z tą nieszczęśliwą? — zapytał d'Artagnan ze ściśniętym sercem.

— Mieliśmy ją odstawić do pałacu na Place Royale — odrzekł ranny.

— Tak!... Tak!... — mruknął d'Artagnan. — To to samo; mieli ją odwieźć do miłady.

Wtedy zrozumiał z drżeniem, jakie okrutne pragnienie zemsty pchało tę kobietę, aby go zgubić koniecznie, jak i tych, których ukochał, i jak była wtajemniczona w sprawę

dworu królewskiego, skoro potrafiła odkryć wszystko. Wiadomości te zawdzięczała bez wątpienia kardynałowi, swojemu protektorowi.

Lecz pośród tych wszystkich machinacji widoczne było, co go przejęło prawdziwą radością, że królowa odkryła na koniec, w którym więzieniu nieszczęśliwa pani Bonacieux pokutowała za swoje poświęcenie, i wyrwała ją z tej niewoli. I teraz ten bilecik otrzymany od młodej kobiety, ukazanie się jej na drodze z Chaillot, ukazanie się podobne do zjawiska błędnego, wszystko to stało mu się jasne.

Od tej chwili, jak to Atos przepowiedział, odnalezienie pani Bonacieux wydało mu się możliwe; klasztor przecie to nie żadna niezdołana forteca!

Przekonanie to wróciło mu spokój serca i duszy. Nachylił się nad rannym, który śledził niespokojnie przeróżne wrażenia zmieniające jego oblicze, i podał mu rękę.

— No, dalej — rzekł do niego — nie myślę porzucić cię tutaj... Oprzyj się na mnie i wracajmy do obozu.

— Dobrze — odezwał się ranny, nie mogąc pojąć na razie takiej wielkoduszności — ale czy przypadkiem nie każesz mnie tam powiesić?

— Nie, bądź spokojny, masz moje słowo, że oto po raz drugi daruję ci życie.

Zbójca zwlókł się na klęczki i całował na nowo nogi swego wybawiciela. D'Artagnan, nie mając już powodu zostawać dłużej w bliskości nieprzyjaciela, przerwał ten wylew wdzięczności.

Gwardzista, który po pierwszym wystrzale zemknął do obozu, doniósł o śmierci czterech wysłańców. Można wyobrazić sobie zdziwienie i radość ogólną w pułku, gdy d'Artagnan ukazał się cały i zdrowy.

Młodzieniec skomponował naprędce historię o przyprowadzonym przez siebie rannym żołnierzu, jakoby przebity został szpadą w niespodzianej wycieczce z bastionu. Mówił o zgonie drugiego żołnierza i o niebezpieczeństwach, jakie przebyli.

Opowiadanie to przyjęto z uwielbieniem — był to dzień triumfu dla naszego Gaskończyka. Cała armia powtarzała szczegóły tej wyprawy od rana do wieczora, a książę orleański winał mu osobiście.

Na koniec, ponieważ każdy piękny czyn znajduje nagrodę, zatem postępek d'Artagnana miał takie następstwo, że przywrócił mu równowagę umysłu i utracony spokój.

W rzeczy samej, d'Artagnan uważał się już za zupełnie zabezpieczonego, ponieważ z dwóch wrogów jeden już nie żył, a drugi obowiązany mu był i wdzięczny, a przez to samo oddany mu wiernie. Spokój ten dowodził jedynie, że d'Artagnan nie znał jeszcze milady.

ROZDZIAŁ XV. WINO ANDEGAWEŃSKIE

Po wieściach prawie beznadziejnych o zdrowiu króla przyszła wiadomość do obozu, jakoby cokolwiek lepiej się czuł; a ponieważ wiedziano, jak pilnie mu było stanąć osobiście na czele wojska, rozprowadano zatem, że skoro król będzie w stanie wsiąść na konia, wyruszy w drogę natychmiast.

Zaś tymczasem książę, brat królewski, wiedząc, że jego stanowisko jest tymczasowe i że lada chwila zastąpi go książę d'Angoulême, Bassompierre lub Schomberg, którzy już nawet klócili się o dowództwo, nie działał prawie wcale. Tracił czas na małe podjazdy, bojąc się ryzykować i coś przedsięwziąć, aby wypędzić Anglików z wyspy Ré, gdzie szturmowali ciągle do cytadeli Saint-Martin i forteczki La Prée, gdy Francuzi oblegali La Rochelle.

D'Artagnan, jak wspominaliśmy, uspokoił się prawie zupełnie, i jak to zwykle bywa po minionym niebezpieczeństwie, zdawało mu się, że ono już nigdy nie powróci. Została mu tylko jedna troska, i to niemała — brak wiadomości o przyjaciółach.

Pewnego poranku, w miesiącu listopadzie, znalazł rozwiązanie zagadki milczenia warzyszy w liście datowanym z Villeroy:

Panie d'Artagnanie! Panowie Atos, Portos i Aramis po sutym bankiecie wyprawionym u mnie, podchmieliwszy sobie nad miarę, w tak głośny sposób dokazywali, iż naczelnik policji królewskiej, człowiek nader surowy, zmuszony był zamknąć ich na kilka dni w areszcie. Ja zaś spełniam polecenie,

Czyn

Niebezpieczeństwo

jakie mi zostawili, i odsyłam panu dwanaście butelek wina andegaweńskiego⁴²¹ pochodzącego z mojej piwnicy, które pańscy przyjaciele nadzwyczaj polubili i pragną, abyś wypił za ich zdrowie to ulubione wino. Co zrobisz, pozostając z szacunkiem pańskim uniżonym i posłusznym sługą. Godeau, oberżysta i dostawca panów muszkietierów

— A to wybornie! — zawołał d'Artagnan. — Kochani przyjaciele! Myślą o mnie przy zabawie, tak jak ja o nich w zmartwieniu. Z pewnością wypiję za ich zdrowie z całego serca, tylko nie będę pił sam...

Pobiegł do dwóch gwardzistów, z którymi był bardziej zaprzyjaźniony, aby ich zaprosić na wysmienite wino andegaweńskie przywiezione tylko co z Villeroi.

Jeden z kolegów był już zaproszony na ten wieczór, drugi znów na następny, zatem zebranie koleżeńskie oznaczono aż na trzeci dzień.

D'Artagnan powróciwszy, odesłał swoje dwanaście butelek do bufetu gwardzistów z poleceniem, aby je starannie schowano. W dzień uroczystości, ponieważ obiad był zamówiony na godzinę dwunastą, wysłał już o dziewiętej rano Plancheta, aby wszystko przygotował.

Planchet, dumny z wyniesienia do godności marszałka dworu, starał się urządzić ucztę jak człowiek inteligentny i znający się na rzeczy; w tym celu przybrał sobie do pomocy lokaja jednego z gości zaproszonych przez swojego pana, nazwiskiem Fourreau, i jeszcze tego fałszywego żołnierza, który chciał zabić d'Artagnana, a teraz, nie należąc do żadnego pułku, przyjął służbę u Gaskończyka, a raczej u Plancheta, bowiem bardzo przywiązał się do d'Artagnana od chwili, gdy tenże darował mu życie.

Godzina obiadu nadeszła; dwóch zaproszonych przybyło, zajęli miejsca, a potrawy ustawiono na stole. Planchet obsługiwał z serwetą pod pachą; Fourreau odkorkowywał butelki, a Brisemont — tak się nazywał rekonwalescent — przelewał wino do kryształowych karafek, bo ustalo się po zmęczeniu w podróży. Pierwsza butelka miała niejakię męty na spodzie, Brisemont zlał je do szklanki, a d'Artagnan pozwolił mu wypić dla wzmocnienia, ponieważ nieborak⁴²² był jeszcze okrutnie słaby.

Współbiesiadnicy po zjedzeniu zupy zamierzali wychylić pierwsze szklanki wina, gdy nagle rozległ się strzał armatni z fortu Ludwika i z fortu Nowego; natychmiast gwardziści, sądząc, że chodzi o niespodziewany atak ze strony oblężonych lub ze strony Anglików, zerwali się i pochwycili za szpady. D'Artagnan, nie mniej zwinny, uczynił jak oni i wszyscy trzej wybiegli, aby zdążyć na swoje stanowiska.

Zaledwie jednak ubiegli kawałek drogi, a już wiedzieli, co znaczy cały ten ruch i hałas; okrzyki: „niech żyje król!”, „niech żyje kardynał!” rozlegały się dookoła, a bębny biły na wszystkich punktach.

Rzeczywiście król — niecierpliw, jak to już mówiono — dążył bez wytchnienia i przybywał właśnie w tej chwili z całym dworem, prowadząc z sobą dziesięć tysięcy świeżych żołnierzy. Muszkietrzy szli przed nim i za nim. D'Artagnan, stojąc w szeregach swojego pułku, powitał wymownym gestem drogich przyjaciół, oni ścigali go wzrokiem, a i pan de Tréville poznał go od razu.

Po skończonej ceremonii przyjęcia króla czterech przyjaciół znalazło się prędko i uściśkało serdecznie.

— Na Boga! — zawołał d'Artagnan. — Nie można było przybyć bardziej w porę. Mięso na stole nie zdążyło jeszcze ostygnąć! Prawda, panowie? — dorzucił młodzieniec, zwracając się do dwóch gwardzistów i prezentując ich przyjaciółom.

— Oho, jak widzę, bankietujemy tu sobie — rzekł Portos.

— Spodziewam się — dodał Aramis — że nie ma kobiet na waszym obiedzie.

— A czy jest w waszej dziurze wino nadające się do picia?... — zapytał Atos.

— Ależ, na Boga!... Jest wasze własne, drogi przyjacielu — odrzekł d'Artagnan.

— Nasze własne wino? — zawołał Atos zdziwiony.

— Tak, tak, to, coście mi przysłali.

— My przysłaliśmy ci wino?...

⁴²¹andegaweński — pochodzący z Andegawenii: krainy historycznej w zach. Francji, w dorzeczu dolnej Loary. [przypis edytorski]

⁴²²nieborak — nieszczęśnik, biedak. [przypis edytorski]

— Wiecie przecie dobrze, młode wino ze wzgórz andegaweńskich?
 — Tak, wiem doskonale, o jakim winie chcesz mówić.
 — O winie, które najbardziej lubisz.
 — Zapewne, zapewne, jak nie mam szampana albo chambertina⁴²³.
 — Otóż z braku szampana i chambertina przyjmiecie to, jakie jest...
 — A, tośmy sprowadzili winko andegaweńskie, zostaliśmy już smakoszami?... —
 mówił Portos z uśmiechem.
 — Ależ nie, wino to od was pochodzi.
 — Od nas?... — krzyknęli razem trzej muszkietierowie.
 — Czy to ty, Aramisie, przysłałeś to wino? — zapytał Atos.
 — Nie. Może to ty, Portosie?
 — Nie. Pewno to ty, Atosie?
 — Nie.
 — Jeżeli nie wy — rzekł d'Artagnan — to wasz oberżysta.
 — Jaki oberżysta?...
 — Oberżysta Godeau, dostawca muszkietierów.
 — Na honor — przerwał Portos — niech pochodzi skąd chce, wszystko mi jedno.
 Spróbujmy wina, a jeżeli dobre, to pijmy!
 — O, nie! — rzekł Atos. — Nie pijmy wina z nieznanego źródła...
 — Masz rację, jak zawsze, kochany Atosie. Zatem żaden z was nie dawał zlecenia oberżyście Godeau?
 — Nie!... A jednak to niby od nas była ta przesyłka?
 — Oto list! — rzekł d'Artagnan i podał papier towarzyszom.
 — To nie jego pismo! — mówił Atos. — Znam je dobrze. Ja sam przed wyjazdem załatwiałem z nim nasze wspólne rachunki.
 — Cały list fałszywy — odezwał się Portos — nie byliśmy nigdy zamknięci w areszcie.
 — D'Artagnanie — rzekł Atos z wyrzutem — jak mogłeś uwierzyć, żeśmy hałasowali? D'Artagnan zbladł, dreszcz po nim przebiegł...
 — Co ci jest, chłopcze kochany — zawołał Atos tklawie — cóż znowu się stało?
 — Biegnijmy, śpieszmy się, drodzy przyjaciele!... — krzyknął d'Artagnan. — Okropne podejrzenie przyszło mi do głowy! Byłaby to jeszcze zemsta tej kobiety?
 Teraz znów Atos pobladał śmiertelnie.
 D'Artagnan puścił się w kierunku oberży, trzech muszkietierów i dwóch gwardzistów podążyło za nim.
 Gdy tylko weszli do sali jadalnej, ich oczy uderzył widok Brisemonta rozciągniętego na ziemi i wijącego się w strasznych konwulsjach.
 Planchet i Fourreau, biali jak płótno, próbowali wszelkich środków ratunku. Widoczne jednak było, że pomoc na nic się nie przyda; skurczone bólem rysy nieszczęśliwego zwiastowały ostatnie chwile konania.
 — A!... — zawołał, ujrawszy d'Artagnana. — A! To strasne!... To niegodziwe! Pan darował mi niby życie, a teraz mnie otruje!
 — Ja?! — rzekł d'Artagnan. — Ja? Co mówisz, nieszczęsny?
 — Mówię, żeś mi dał wina, żeś kazał je wypić... A! Chciałeś się zemścić w ten sposób... A! To niegodnie z twej strony!
 — Nie wierz temu, Brisemencie, nie wierz. Błagam cię, przysięgam...
 — O! Bóg jest w niebie!... On cię ukarze... Boże mój, Boże, spraw, byś cierpiał kiedyś jak ja obecnie!
 — Na Ewangelię ci przysięgam — zawołał d'Artagnan, nachylając się nad konającym — że nie przeczuwałem wcale, iż wino jest zatrute, i że, jak widziałeś, sam miałem napić się go.
 — Nie wierzę, nie wierzę — wybełkotał żołnierz i skonał w przystępie męczarni.
 — To strasne! Niepojęte! — mrucał d'Artagnan, gdy Portos tłukł butelki z winem, a Aramis dawał rozkaz (trochę spóźniony co prawda), aby sprowadzono spowiednika.
 — O, przyjaciele wierni!... — odezwał się d'Artagnan. — Ocaliliście mi życie; nie tylko mnie, lecz i tym oto panom... Panowie — dodał, zwracając się do gwardzistów

Wino

Trucizna, Wino, Śmierć

⁴²³chambertin — gatunek czerwonego wina francuskiego z Burgundii. [przypis edytorski]

— proszę zachować w tajemnicy to całe zdarzenie, którego byliście świadkami. Osoby zajmujące wysokie stanowiska prawdopodobnie są wmieszane w tę sprawę, a wszystko złe, jak się domyślacie, skupiłoby się na nas.

— O, panie mój! — jękał Planchet na wpół umarły. — O, panie! Jakże ja się szczęśliwie wykręciłem!

— Jak to, hultaju?! — zawołał d'Artagnan. — Więc i ty chciałeś napić się mojego wina?

— Za zdrowie króla, proszę pana; chciałem lyknąć właśnie małą szklaneczkę, lecz Fourreau mi przeszkodził, mówiąc, że mnie wołają...

— Niestety!... — rzekł Fourreau, dzwoniąc zębami ze strachu. — Chciałem go wyprowadzić, a sam się napić.

— Panowie — odezwał się d'Artagnan do gwardzystów — pojmujecie sami, iż nasza uczta byłaby nader smutna po tym, co się stało. Raczcie wybaczyć na dziś, odłóżmy zebranie na później. — Młodzieńcy przyjęli grzecznie przemówienia d'Artagnana i widząc, że przyjaciele pragną pozostać sami, pożegnali się i odeszli.

Skoro nasz Gaskończyk i trzech muszkietierowie pozbyli się świadków, spojrzeli po sobie wzrokiem wyrażającym, iż pojmują całą ważność położenia.

— Naprzód — zaczął Atos — wyjdźmy z tego pokoju. Niedobra to kompania z nieboszczykiem, który skończył gwałtowną śmiercią.

— Planchecie — rzekł d'Artagnan — polecam ci ciało tego biedaka. Pochowaj go w poświęconej ziemi. Popęłił on zbrodnię, to prawda, lecz żałował.

Oberżysta dał im inny pokój, do którego przyniósł jajka na miękko i czystą wodę (Atos sam jej zaczerpnął u źródła). W kilku słowach Portos i Aramis zostali wtajemniczeni w położenie.

— A zatem — rzekł d'Artagnan do Atosa — widzisz, drogi przyjacielu, że to śmiertelna walka.

Atos pokiwał głową.

— Tak, tak — odparł — widzę dobrze. Czy sądzisz, że to znów ona?

— Jestem tego pewny.

— Pomimo wszystko, przyznam ci się, iż jeszcze wątpię.

— A kwiat lilii na ramieniu?

— To jakaś Angielka napiętnowana sromotnie za przestępstwo popełnione we Francji.

— Atosie, to twoja żona, mówię ci — powtarzał d'Artagnan. — Przypomnij sobie, jak rysopis zgadza się dokładnie.

— Byłem pewny, że tamta nie żyje, przecie ją powiesiłem doskonale.

Teraz d'Artagnan kiwał głową.

— Ale teraz powiedz, co robić?... — rzekł młodzieniec.

— To fakt, że niepodobna zostać tak z mieczem wiekuiście wiszącym nad głową — mówił Atos — i trzeba koniecznie, w jakikolwiek bądź sposób, wyjść z tego położenia.

— Lecz w jaki?

— Posłuchaj no, postaraj się dostać do niej i rozmówić. Powiedz jej stanowczo: „Pokój lub wojna! Daję słowo szlachcica, że nic nigdy o tobie nie powiem i nic przeciw tobie nie przedsięwzię, a ty zachowaj względem mnie neutralność. Jeżeli się na to nie zgodzisz, pójdę do kanclerza, do samego króla, sprowadzę kata, podburzę cały dwór przeciw tobie, ogłoszę wszędzie, żeś jest piętnowana, stawię cię przed sądy, a gdy cię wyrokiem uwolnią, w takim razie zabiję cię, klnę się na mój szlachecki honor, zabiję cię, gdzie spotkam, na ulicy, w zaułku, zabiję jak wściekłego psa”.

— Doskonale środek — rzekł d'Artagnan — bardzo mi się spodobał. Lecz jak się do niej dostać?

— Czas, drogi przyjacielu, czas sprowadza sposobną chwilę, a taka chwila to jak zdwojona stawka w grze: im więcej postawisz na kartę, tym więcej wygrasz, jeżeli umiesz czekać...

— Tak, ale czekać otoczonemu przez morderców i trucicieli...

— Ba! — rzekł Atos. — Bóg nas strzegł dotąd i będzie dalej strzegł.

— Nas samych, wierzę temu; zresztą wszakżeśmy mężczyźni, nasza to rola narażać życie, lecz ona!... — dodał półgłosem.

— Co za ona? — zapytał Atos.

Trup

Czas, Gra

— Konstancja.
 — Pani Bonacieux!... A! To prawda — mówił Atos — biedny przyjacielu! Zapomniałem, żeś zakochany.
 — Dowiedziałeś się przecie — odezwał się Aramis — z listu znalezione przy tym lotrze zabitym, że ona w klasztorze przebywa? O! W klasztorze jej bardzo dobrze i spokojnie, a po ukończeniu oblężenia La Rochelle, przyrzekam wam, że ja także...
 — Dobrze! — rzekł Atos. — Dobrze, mój drogi Aramisie, znamy twoje powołanie i uczucia religijne.
 — Jestem muszkietierem tymczasowym jedynie — odparł Aramis pokornie.
 — Widać, że już dawno nie miał listu od kochanki — szepnął Atos — lecz nie zwracajcie uwagi, znamy się przecie na tym.
 — Otóż — rzekł Portos — zdaje mi się, iż wynalazłem bardzo prosty sposób.
 — Jakież to? — zapytał d'Artagnan.
 — Ona jest w klasztorze, powiadacie? — ciągnął Portos.
 — Tak.
 — A więc, jak tylko skończymy z oblężeniem, wykradniemy ją zaraz z klasztoru.
 — Trzeba się wprawdzie dowiedzieć, w którym jest klasztorze.
 — Tak, to prawda — rzekł Portos.
 — Czy nie przychodzi ci na myśl, drogi d'Artagnanie, że to królowa sama oznaczyła klasztor na miejsce schronienia dla pani Bonacieux?
 — Tak przypuszczam.
 — Otóż Portos nam w tym pomoże.
 — W jaki sposób, jeżeli wolno zapytać?
 — Ależ przez swoją margrabinę, księżną czy księżniczkę, ona pewnie ma wpływ na dworze.
 — Cicho sza! — rzekł Portos, kładąc palec na ustach. — Zdaje mi się, że moja margrabina należy do stronników kardynała i dlatego nic nie może wiedzieć...
 — Skoro tak — odezwał się Aramis — ja podejmuję się wywieźć o wszystkim.
 — Ty, Aramisie — krzyknęli razem przyjaciele — ty! W jaki sposób?
 — Przez jałmużnika królowej, z którym jestem w wielkiej przyjaźni... — rzekł Aramis, czerwieniąc się po uszy.

Po tym zapewnieniu czterech przyjaciół, skończywszy skromny posiłek, rozeszli się z obietnicą widzenia się jeszcze tego samego wieczoru. D'Artagnan powrócił do Minimes, a trzech muszkietierów udało się do koszar królewskich, gdzie kazali sobie urządzać mieszkanie.

ROZDZIAŁ XVI. OBERŻA „POD CZERWONYM GOŁĘBNIKIEM”

Król tymczasem, zaledwie przybył do obozu, myślał tylko o tym, aby co rychlej uderzyć na nieprzyjaciela, miał on bowiem większą rację nienawidzić Buckinghama niż kardynał nawet, i czynił przygotowania naprzód do wypędzenia Anglików z wyspy Ré, następnie do przyspieszenia oblężenia La Rochelle. Lecz pomimo najlepszych chęci wszystko się opóźniało z powodu nieporozumień wynikłych pomiędzy panami de Bassompierre i Schombergiem a księciem d'Angoulême.

Panowie Bassompierre i Schomberg piastowali godność marszałków Francji i upominali się o przynależne im prawa dowództwa armii pod rozkazami króla; ale kardynał, w strachu, aby Bassompierre — hugenot w duszy — nie chciał obchodzić się łagodnie z Anglikami i mieszkańcami La Rochelle jako współwynawcami, forytował⁴²⁴ księcia d'Angoulême, którego król, podlegany przez niego, mianował namiestnikiem ogólnym.

Wynikło stąd, iż z obawy, aby panowie Bassompierre i Schomberg nie wycofali się z armii, musiano ustanowić naprędce pojedyncze dowództwa: Bassompierre objął część obozu na północ miasta, począwszy od La Leu aż po Dompierre; książę d'Angoulême na wschód, od Dompierre de Périgny; pan Schomberg na południe, od Périgny aż do Angoutin.

⁴²⁴forytować (daw.) — popierać, faworyzować. [przypis edytorski]

Kwaterna księcia orleańskiego, brata króla, była w Dompierre. Zaś kwaterna królewska to w Étré, to znów w La Jarrie.

Na koniec kwaterna kardynała na piaszczystych wzgórzach wzdłuż brzegów morza, przy moście kamiennym, w prostym domostwie, bez żadnych szańców ani okopów.

W ten sposób brat królewski miał na oku Bassompierre'a, król księcia d'Angoulême, a kardynał pana de Schomberg. Natychmiast po ukończeniu tej organizacji zabrano się do wypędzania Anglików z wyspy.

Ogólne przypuszczenia wróżyły zwycięstwo: Anglicy, którzy przede wszystkim potrzebują dobrego pożywienia, aby być wytrwałymi żołnierzami, a jedli jedynie solone mięso i zepsute suchary, mieli znaczną liczbę chorych w swojej armii; w dodatku morze, straszliwie burzliwe w tej porze roku, na wszystkich wybrzeżach oceanu rozbijało każdego dnia po kilka małych statków i brzeg nadmorski, od szczytu l'Aiguillon aż do okopów fortecznych, po każdym przypływie i odpływie morza pokryty był literalnie szczątkami łodzi żaglowych i strzaskanych szalup. Dlatego nawet ludzie królewscy nie ruszali się z obozu, bo spodziewano się, że lada dzień Buckingham, który siedział na wyspie Ré jedynie przez upór, będzie zmuszony odstąpić od oblężenia.

Ponieważ jednak pan de Toiras doniósł, że w obozie nieprzyjacielskim czynią przygotowania do ponownego ataku, król zatem osądził, że trzeba raz już skończyć i wydał rozporządzenie do bitwy stanowczej.

Nie mamy zamiaru opisywać codziennych wydarzeń i postępów oblężenia, przeciwnie — postanowiliśmy zaznaczyć jedynie wypadki mające związek z historią, którą opowiadamy. Poprzestaniemy zatem na wspomnieniu w kilku słowach, że wyprawa powiodła się świetnie.

Anglicy, wyparci co do nogi, zwyciężeni we wszystkich potyczkach, rozbici w cieśninie pod wyspą Loix, zmuszeni zostali schronić się z powrotem na okręty, pozostawiwszy na placu boju dwa tysiące poległych, pomiędzy którymi dwustu pięćdziesięciu kapitanów i dwudziestu znakomitej szlachty; cztery armaty i sześćdziesiąt sztandarów, które odstawił do Paryża Claude de Saint-Simon i zawiesił z wielką okazałością na sklepieniach w kościele Notre-Dame⁴²⁵. Śpiewano *Te Deum*⁴²⁶ w obozie, a stamtąd echo niesło je po całej Francji.

Kardynał miał zatem swobodę, czasowo przynajmniej, posuwać obleganie miasta, nie obawiając się niczego ze strony Anglików. Lecz — jak tylko co mówiliśmy — był to jedynie chwilowy spokój.

Pochwycono wysłannika księcia Buckingham, nazwiskiem Montaigu, i nabrano pewności co do istnienia przymierza pomiędzy Cesarstwem, Hiszpanią, Anglią i Lotaryngią. Przymierze zawarte zostało przeciw Francji.

Nadto w mieszkaniu Buckingham, które zmuszony był opuścić prędkiej, niż sądził, znaleziono papiery stwierdzające przymierze, a papiery te, jak zapewnia pan kardynał w swoich pamiętnikach, okropnie kompromitowały panią de Chevreuse, a tym samym i królową.

Richelieu znał energię, a nade wszystko zawziętość i nienawiść Buckingham; gdyby liga mocarstw grożąca Francji odniosła zwycięstwo, cały wpływ jego przepadłby bezpowrotnie.

Sam król, słuchający go we wszystkim jak dziecko, nienawidził go tak samo jak dziecko nienawidzi surowego nauczyciela i oddałby go z pewnością na pastwę zemsty osobistej swego brata i królowej. Richelieu byłby zgubiony, a może z nim razem zginęłaby i Francja. Potrzeba się było zatem zabezpieczyć od ciosu tak okrutnego. Widziano też gońców, których liczba co chwila się zwiększała, zmieniających się dniem i nocą w małym domku przy moście kamiennym, gdzie kardynał obrał sobie siedzibę.

Snuli się mnisi, którym habit bardzo źle pasował, i rozpoznać było łatwo, że należeli przede wszystkim do kościoła wojującego. Były kobiety poprzebierane za paziów, którym zawadzał trochę ten kostium, a szerokie poły ubrania nie maskowały dostatecznie kształtów zaokrąglonych; na koniec byli tam chłopcy z rękami usmolonymi, lecz o hdkach i nogach wykwinionych, których czuć było z daleka pańskością i tytułami. Następnie

⁴²⁵ *Notre-Dame* — katedra w Paryżu pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, na wyspie Cite na Sekwanie, jedna z najstarszych świątyń Francji, arcydzieło sztuki gotyckiej. [przypis edytorski]

⁴²⁶ *Te Deum* (łac.) — właściwie *Te Deum laudamus*: Ciebie Boga wysławiamy; hymn kościelny, śpiewany przy szczególnie uroczystych okazjach. [przypis edytorski]

Nienawiść, Dziecko,
Nauczyciel

były tam i wizyty mniej przyjemne, rozeszła się bowiem kilkakrotnie wieść, że chciano zamordować kardynała.

Co prawda nieprzyjaciele Eminencji rozpowiadali, że to on sam nasyłał na siebie tych niby-morderców, aby w danym wypadku użyć prawa odwetu; lecz nie można dawać wiary ani temu, co mówią ministrowie, ani temu, co rozgłaszają ich nieprzyjaciele.

Nie przeszkadzało to jednak kardynałowi, któremu najzawziętsi wrogowie nie zaprzeczali odwagi osobistej do robienia wycieczek nocnych; to dla zakomunikowania księciu d'Angoulême rozkazów wielkiej wagi, to znów dla porozumienia się z królem, nareszcie dla narady z wysłańcami, których nie chciał, aby widziano u niego w domu.

Muszkietierowie zaś, niemający dużo do roboty przy oblężeniu, nie byli wcale krótko trzymani i wiedli życie nader wesołe. A jeszcze łatwiej im to przychodziło, zwłaszcza naszym trzem towarzyszom, że będąc w przyjaźni z panem de Tréville, mieli wolność bawienia do późna poza obozem, a nawet mogli wracać po zamknięciu go, mając na to od niego pozwolenie wyłączone.

Otóż pewnego wieczoru, gdy d'Artagnan stojący na warcie przy okopach nie mógł im towarzyszyć, Atos, Portos i Aramis na swoich bojowych koniach, okryci płaszczami wojskowymi, z rękami na kolbach pistoletów, powracali we trzech z małej oberży, którą Atos wynalazł przed paru dniami na drodze do La Jarrie — oberży nazwanej „Pod Czerwonym Gołębnikiem”. Posuwali się drogą wiodącą do obozu, bacząc uważnie dokoła, aby nie wpaść w zasadzkę. Na jakies ćwierć mili od wioski Boinar zdało im się, że słyszą zbliżający się orszak konny. Natychmiast wszyscy trzej zatrzymali się, stanęli w ścieśnionym szeregu i oczekiwali, zajmując środek drogi.

Po niejakić chwili, ponieważ księżyc ukazał się właśnie spoza chmury, spostrzegli na zakręcie drogi dwóch jeźdźców, którzy na ich widok stanęli także, jakby się namyślając, czy jechać dalej, czy też zawrócić.

Wahanie to nasunęło niejakić podejrzenia trzem przyjaciółom, więc Atos wyjechał kilka kroków naprzód i gromkim głosem zawołał:

— Kto idzie?

— Kto idzie?... Ja pytam — odrzekł jeden z jeźdźców.

— To wcale nie jest odpowiedź! — rzekł Atos. — Kto idzie? Powtarzam. Odpowiadajcie albo damy ognia...

— Strzeżcie się, panowie, namyślcie się dobrze, nim strzelicie! — odezwał się teraz głos dźwięczny, przyzwyczajony widocznie do rozkazywania.

— To jakiś oficer wyższej rangi objeżdżający obóz z patrolem nocnym — rzekł Atos do swoich. — Co panowie zamysłacie czynić?

— Coście za jedni? — mówił ten sam głos tonem rozkazującym. — Odpowiadajcie albo pożałujecie ciężko nieposłuszeństwa.

— Jesteśmy muszkietierowie królewscy — rzekł Atos, coraz bardziej przekonany, że ten, co ich wypytywał, miał do tego prawo.

— Z jakiego oddziału?

— Z oddziału pana de Tréville.

— Zbliżcie się w szeregu i zdajcie sprawę, co tu robicie o tej godzinie.

Trzej towarzysze podjechali z nosami na kwintę, albowiem wszyscy trzej przekonani byli, iż mieli do czynienia z mocniejszymi od siebie; zdali też na Atosa cały kłopot prowadzenia rozmowy.

Jeden z jeźdźców, ten, który z kolei drugi się odezwał, trzymał się na przedzie o jakieś dziesięć kroków od towarzysza. Atos dał znak Portosowi i Aramisowi, aby także zostali w tyle, a sam wysunął się naprzód.

— Wybacz, mój oficerze — zaczął — nie wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia, lecz mogłeś sam zauważyć, iż dobrze pełniły straż.

— Twoje nazwisko? — rzekł oficer, zakrywając płaszczem część twarzy.

— Ależ pan sam, mój panie — mówił Atos, którego to badanie poczyniło burzyć — ależ pan także, proszę, daj mi dowód, iż masz prawo mnie wypytywać.

— Nazwisko twoje? — powtórzył po raz drugi jeździec, opuszczając płaszcz w ten sposób, aby twarz było widać.

— Pan kardynał! — wybuchnął osłupiały muszkietier.

— Nazwisko twoje? — powtórzył po raz trzeci Jego Eminencja.

— Atos — odrzekł muszkieter.

Kardynał skinął na giermka, aby się zbliżył.

— Tych trzech muszkieterów pojedzie za nami — rzekł cichym głosem — nie chcę, aby dowiedziano się, że wyjechałem z obozu, a zabrawszy ich z sobą, będziemy pewni, że nie powiedzą o tym nikomu.

— Jesteśmy szlachtą, Wasza Wielbność — odezwał się Atos. — Zażądaj od nas słowa honoru i nie troszcz się o nic więcej. Potrafimy dochować tajemnicy.

Kardynał zmierzzył przeszywającym wzrokiem śmiałego mówcę.

— Masz znakomity słuch, panie Atosie, ale teraz znów posłuchaj, co powiem: nie przez żadną nieufność proszę, abyście za mną jechali, tylko dla mego bezpieczeństwa. Jeżeli się nie mylę, to z pewnością pańscy dwaj towarzysze to są panowie Portos i Aramis?

— Tak, Eminencjo — mówił Atos, gdy dwaj muszkieterowie zbliżyli się z kapeluszymi w rękach.

— Znam was, panowie — rzekł kardynał — znam was doskonale; wiem, że niezupełnie jesteście moimi przyjaciółmi i przykre mi to bardzo, lecz wiem także, że jesteście dzielni i prawi szlachcice i że można wam zaufać. Panie Atosie, bądź łaskaw udać się za mną, jak i twoi dwaj przyjaciele, a wtedy będę miał eskortę, jakiej i Najjaśniejszy Pan mógłby mi pozazdrościć, jeżeli go przypadkiem spotkamy. — Trzej muszkieterowie skłonili się jednocześnie, najniżej jak mogli.

— Na honor — odezwał się Atos — Wasza Wielbność ma rację, zabierając nas z sobą. Spotkaliśmy na drodze figury nader podejrzane i nawet z czterema z nich mieliśmy zajście „Pod Czerwonym Gołębnikiem”.

— Mieliście panowie zajście, o cóż wam poszło? — rzekł kardynał. — Nie lubię ludzi łatwych do kłótni, wiecie o tym!

— Dlatego też właśnie uprzedzam Waszą Wielbność o tym, co się przytrafiło. Ktoś inny mógłby fałszywie donieść i cała wina spadłaby na nas.

— Jakież były następstwa tej zwady? — rzekł kardynał, marszcząc brwi.

— Oto obecny tutaj mój przyjaciel otrzymał lekkie draśnięcie szpadą w ramię, co mu nie przeszkodzi wcale iść jutro do szturm i wdzierać się na mury, jeżeli Wasza Eminencja rozkaże przypuścić atak.

— Ależ wy nie jesteście z takich, co to pozwalają zadawać sobie rany bezkarnie. No dalej, bądźcie otwarci, moi panowie, poczęstowaliście wy tam dobrze napastników; wyśpiewajcie się, bo wiecie, że mam prawo udzielić rozgrzeszenia.

— Ja, Eminencjo — rzekł Atos — nawet nie wydobywałem szpady, wziąłem tylko wpół tego, z którym miałem do czynienia, i wyrzuciłem przez okno... Zdaje się, iż padając — ciągnął Atos z wahaniem — złamał sobie nogę.

— Aha! — mruknął kardynał. — A pan Portos co porabiał?

— Ja, Eminencjo, wiedząc, że pojedynki są zakazane, porwałem jakąś ławę i zwałem nią jednego ze złodziei... i jak mi się zdaje... krzyż mu przetrąciłem...

— Pojmuję — rzekł kardynał. — A pan co, panie Aramisie?

— Ja, Eminencjo, ponieważ jestem z natury bardzo łagodny i, o czym zapewne Wasza Wielbność nie wie, mam zamiar wstąpić niebawem do stanu duchownego, pragnąłem zatem przeszkodzić bójce i rozłączyć moich towarzyszy, gdy jeden z nędznych napastników podszedł mnie zdradziecko i ranił szpadą w lewe ramię. Wtedy zbrakło mi cierpliwości, wyjąłem też szpadę, a ponieważ w tej chwili łotr znowu napadał, zdaje mi się, iż poczułem, jakoby rzucając się na mnie, nadział się na szpadę, którą się zasłaniałem; wiem tylko, że upadł i że go wyniesiono razem z dwoma jego kompanami.

— A! Do kaduka, moi panowie — rzekł kardynał — trzech ludzi niezdolnych do bitwy z powodu burdy karczemnej, nie próżnujcie, jak widzę. Ale z jakiego powodu powstała kłótnia?

— Ci nędznicy byli pijani — odparł Atos — a widząc, że do oberży przybyła wieczorem kobieta, pragnęli wywalić drzwi i dostać się do niej.

— Drzwi wywalić!... — powtórzył kardynał. — Czegóż od niej chcieli?

— Chcieli zabawić się prawdopodobnie po swojemu — mówił Atos. — Miałem zaszczyt oznajmić Waszej Eminencji, iż nędznicy ci byli pijani...

— A kobieta była młoda i ładna?... — zapytał kardynał z pewną niespokojnością.

— Nie widzieliśmy jej, Eminencjo.

Szlachcic, Tajemnica

Bijatyka, Kłótnia, Karczma,
Kobieta, Pijaństwo

— Nie widzieliście jej?... O! To bardzo dobrze! — żywo podjął kardynał. — Mie-
liście słuszość bronić honoru kobiety, a ponieważ ja także udaję się do oberży „Pod
Czerwonym Gołębnikiem”, przekonam się o prawdzie waszych słów.

— Eminencjo!... — odezwał się wyniośle Atos. — Jesteśmy szlachtą z urodzenia
i nawet dla ocalenia głowy nie splamilibyśmy kłamstwem naszych ust.

— Ja też wierzę wam, moi panowie, i nie wątpię ani na chwilę, lecz — dodał, aby
zmienić przedmiot rozmowy — czy dama ta była zupełnie sama?

— Był tam jakiś mężczyzna zamknięty razem z nią w pokoju — rzekł Atos — po-
nieważ jednak, pomimo hałasów i krzyków, nie ukazał się wcale, można być pewnym, że
jest nikczemnym tchórzem.

— „Nie sądź lekkomyślnie bliźniego twego”, mówi Ewangelia — odparł kardynał.

Atos pochylił głowę.

— A teraz, panowie, dosyć o tym — mówił dalej Richelieu — wiem już, co chciałem
wiedzieć, proszę za mną...

Trzej muszkietierowie stanęli za kardynałem, który zasłoniwszy twarz płaszczem, ruszył
stępa⁴²⁷, trzymając się o jakieś dziesięć kroków przed swoją świtą.

Dojechali niebawem do milczącej i odludnej oberży.

Na dziesięć kroków przed drzwiami kardynał skinął na giermka i na muszkietierów, aby
się zatrzymali; koń osiodłany stał uwiązany do okiennicy zewnętrznej, kardynał uderzył
w nią trzy razy, zapewne w umówiony sposób.

Mężczyzna otulony płaszczem natychmiast wyszedł i zamienił szybko kilka słów z kar-
dynałem; po czym odwiązał konia, wsiadł na niego i puścił się galopem w kierunku Sur-
geres, a może Paryża.

— Prawdą jest, coście mi opowiadali — dodał, zwracając się do trzech muszkietierów
— nie będzie moją winą, jeżeli nasze dzisiejsze spotkanie nie wyjdzie wam na korzyść;
tymczasem proszę za mną.

Oberżysta stał we drzwiach; dla niego kardynał był oficerem odwiedzającym prze-
jezdną damę.

— Czy masz pan jakiś pokój na dole, gdzie by ci panowie mogli zaczekać na mnie
przy dobrym ogniu na kominku? — zapytał kardynał.

Gospodarz otworzył drzwi dużej izby, gdzie właśnie piec stary i popsuty zastąpiono
dużym i doskonałym kominem.

— Mam tę izbę wolną — odpowiedział.

— Dobrze — rzekł kardynał — wejdźcie tam, panowie, i bądźcie łaskawi czekać na
mnie; za pół godziny będę z powrotem.

Gdy nasi muszkietierowie wchodzili do pokoju na dole, kardynał, nie żądając żadnych
objaśnień, wstąpił na schody i szedł śmiało jak człowiek dobrze znający drogę.

ROZDZIAŁ XVII. POŻYTEK Z LUFTÓW PIECA

Widoczne było, iż powodowani jedynie rycerskością i awanturniczym usposobieniem na-
si trzech przyjaciele, nawet tego nie przypuszczając, wyświadczyli przysługę osobie, którą
kardynał zaszczycał swoją szczególną protekcją.

Kto to mógł być mianowicie?... To pytanie zadali sobie trzej muszkietierowie; następ-
nie widząc, iż żadna odpowiedź, jaka im przychodzi, nie zadawała ich bynajmniej, Portos
przywołał gospodarza i kazał przynieść kości do gry.

Portos i Aramis zasiedli zaraz przy stole i zaczęli grać w najlepsze, Atos chodził po
pokoju i rozmyślał.

Chodząc tak i rozmyślając, Atos mijał i znów przechodził koło rozebranego, sterczą-
cego w murze luzu od pieca, którego drugi koniec dotykał pokoju położonego nad nim.
Za każdym razem, gdy mijał ową rurę, słyszał wyraźnie szmer rozmowy, co na koniec
zwróciło jego uwagę.

Zbliżył się zatem i odróżnił parę słów, które, jak sądził, miały wielką doniosłość, skinął
więc na towarzyszy, aby się uciszyli, a sam, pochylony, przyłożył ucho do otworu dolnego.

⁴²⁷stępa — powolny, regularny chód koński; zwykle w zwrocie: jechać stępa albo jechać stępem. [przypis edytorski]

— Słuchaj dobrze, milady — mówił kardynał — sprawa jest wielkiego znaczenia, usiądź no i pogadajmy.

— Milady — mruknął Atos.

— Słucham Waszą Eminencję z jak największą uwagą — odpowiedział głos kobiecy, na którego dźwięk Atos zatrząsł się cały.

— Nieduży statek z załogą angielską, z kapitanem zupełnie mi oddanym, oczekuje na ciebie przy ujściu rzeki Charente⁴²⁸, obok warowni La Pointe; rozwinie on żagle jutro przede dniem.

— Czy mam się tam udać zaraz dziś w nocy?

— Zaraz, natychmiast, to jest, gdy wysłuchasz moich zleceń. Wychodząc stąd, znajdziesz dwóch ludzi przy bramie, służyć ci oni będą za eskortę; ja wpierw się stąd oddalę, ty zaś po mnie w pół godziny.

— Rozumiem, Eminencjo. Wróćmy teraz do posłannictwa, jakie raczysz mi zlecić; a ponieważ pragnę nadal zasługiwać na zaufanie Waszej Eminencji, racz mi wyłożyć jasno i zwięźle, co mam robić, abym nie popełniła omyłki.

Nastała chwilowa cisza. Kardynał widocznie namyślał się, jak mówić, a milady skupiała władze umysłu, aby zrozumieć dokładnie i wyryć sobie w pamięci słowa kardynała.

Atos skorzystał z chwili milczenia i kazał towarzyszom zamknąć drzwi od wewnątrz, a potem przyjąć i słuchać razem z nim.

Muszkietierowie, lubiący wygodę, przysunęli krzesła dla siebie i Atosa. Wszyscy trzej usiedli następnie i przyłożyli uszy do otworu.

— Pojedziesz do Londynu — zaczął kardynał — i udasz się prosto do Buckinghama.

— Ośmielam się zwrócić uwagę Eminencji — rzekła milady — że od czasu sprawy z zapinkami brylantowymi, o którą książe mnie podejrzewał, wystrzega on się mnie okrutnie.

— Tym razem — mówił kardynał — nie idzie wcale o zdobywanie zaufania; powinnaś przedstawić się księciu szczerze i uczciwie jako pośredniczka.

— Szczerze i uczciwie — powtórzyła milady tonem niewypowiedzianie dwuznacznym.

— Tak jest, szczerze i uczciwie — ciągnął kardynał tym samym tonem — całe to rokowanie musi być prowadzone jawnie.

— Wykonam dosłownie polecenia Waszej Eminencji, czekam teraz na rozkazy.

— Pójdiesz do Buckinghama i oznajmisz, że ja cię przysyłam; powiesz mu, iż wiem o wszystkich przygotowaniach przez niego czynionych i wcale ich się nie boję, bo za pierwszym poruszeniem z jego strony zgubię królową bezpowrotnie.

— Czy on uwierzy, iż Wasza Eminencja jest w możności wykonać tę groźbę?

— Uwierzy, bo mam dowody w rękach.

— Potrzeba zatem, abym mu je przedstawiła?

— Bez wątpienia. Powiesz mu także, że ogłoszę doniesienia de Bois-Robert⁴²⁹ i margrabiego de Beautru o spotkaniu się księcia z królową u pani konetablowej⁴³⁰ owego pamiętnego wieczoru, gdy ta pani wydawała bal maskowy. Powiesz mu, że wcale nie wątpię, iż był tam przebrany za Wielkiego Mogoła; kostium ten miał przywdziać kawaler de Guise, a książe odkupił go od niego za trzy tysiące pistoli.

— Dobrze, Eminencjo.

— Opowiesz mu wszystkie szczegóły wejścia i wyjścia nocnego z zamku królewskiego, gdzie się wcisnął przebrany za wróżbiarza Włocha; dodasz także, aby nie wątpił o prawdziwości moich wiadomości, iż miał ukrytą pod płaszczem długą białą szatę, usianą w deseń łez czarnych, głów trupich i kości, na krzyż złożonych. Ponieważ, w razie wypadku niespodzianego, chciał uchodzić za ducha białej damy, ukazującej się, jak wiadomo, w Luwrze przed każdym wypadkiem wielkiej doniosłości.

— Czy to już wszystko, Eminencjo?

⁴²⁸Charente — rzeka w zach. części Francji o długości 360 km, uchodzi do Zatoki Biskajskiej. [przypis edytorski]

⁴²⁹de Bois-Robert, właśc. François le Métel de Boisrobert (1592–1662) — francuski poeta i dramaturg; jego twórczość cenil kardynał Richelieu. [przypis edytorski]

⁴³⁰konetablowa — żona konetabla: naczelnego dowódcy wojsk królewskich we Francji w XI–XVIII w. [przypis edytorski]

— Powiedz mu, że znam także szczegóły spotkania w Amiens, że zrobię z tego małą powiastkę romantyczną, dowcipnie ułożoną, z planem ogrodu i portretami głównych działaczy w awanturze nocnej.

— Powiem mu wszystko.

— Powiedz, że ująłem Montaigu, że trzymam go w Bastylii, że nie znaleziono przy nim żadnego dokumentu, lecz że tortura rozwiąże mu usta i wyda on wszystko, co wie... a nawet to, o czym nigdy nie wiedział.

— Słucham, Eminencjo.

— Na koniec dodaj, że ksiązę miłościwy, opuszczając wyspę Ré, zapomniał w pośpiechu zabrać ze swojego mieszkania pewnego liściku pani de Chevreuse, a liścik ten w dziwny sposób kompromituje królową, wykazując jasno, iż Jej Królewska Mość nie tylko jest zdolna kochać nieprzyjaciół króla, ale w dodatku spiskuje z wrogami Francji. Czy dobrze zapamiętałaś wszystko, co mówiłem?

— Niech Wasza Eminencja osądzi: bal u pani konetablowej, wycieczka nocna do Luwru, wieczór spędzony w Amiens, schwytanie Montaigu, list pani de Chevreuse.

— Dobrze — rzekł kardynał — nic nie brakuje. Masz doskonałą pamięć, milady.

— Jednak — podjęła ta, do której kardynał odezwał się w sposób tak pochlebny — jeżeli pomimo wszystko ksiązę nie ulegnie i będzie w dalszym ciągu groził Francji?

— Ksiązę jest zakochany jak wariat, lub raczej jak mazgaj — ciągnął Richelieu z gorzycą. — Na wzór dawnych błędnych rycerzy wszczął obecną wojnę jedynie po to, aby otrzymać jedno spojrzenie uwielbianej piękności. Gdy przekona się, że wojna ta odbierze honor, a może i wolność władczyni jego myśli, jak się on wyraża, przysięgam ci, że zachwieje się w zamiarach.

— A jednak — mówiła milady z wytrwałością dowodzącą, że chciała zbadać dokładnie sprawę, którą jej polecono — gdyby po tym wszystkim obstawał jeszcze przy swoim?

— Gdyby się jeszcze upierał... nie, nie, to niepodobna...

— To bardzo prawdopodobne — rzekła milady.

— Gdyby trwał przy swoim... — Jego Eminencja zatrzymał się, a po chwili zaczął: — Gdybyś nie zdołała go przekonać, w takim razie położę całą nadzieję w wypadku, w zdarzeniu zmieniającym zwykle postać rządów...

— Gdyby Wasza Eminencja zechciał mi przytoczyć z historii choć jeden podobny wypadek — odezwała się milady — może i ja podzieliłabym także jego zaufanie do przyszłości.

— Więc słuchaj... oto na przykład — rzekł Richelieu — gdy w roku 1610, z podobnej przyczyny, jaka podnieca księcia Buckingham, król Henryk IV, zaszczytnej pamięci, szedł opanować jednocześnie Flandrię i Włochy, aby z dwóch stron następnie uderzyć na Austrię, czyż nie nastąpił wypadek, który Austrię zbawił?... Dlaczegoż by król Francji nie mógł mieć tego szczęścia, co cesarz?

— Wasza Eminencja chce mówić o uderzeniu nożem przy ulicy de la Ferronnerie⁴³¹?

— Tak, właśnie — odparł kardynał.

— Czy Wasza Wielbność nie boi się, że skazanie na śmierć Ravaillaca⁴³² nie odstraszy tych, co mieliby ochotę pójść w jego ślady?

— Po wszystkie czasy i we wszystkich krajach, tam zwłaszcza, gdzie ludność dzieli uczucia religijne, znajdują się fanatycy pragnący stać się męczennikami. Otóż rzeczywiście przypominam sobie w tej chwili, że purytanie⁴³³ wściekli są na księcia Buckingham, a ich kaznodzieje wskazują nań jako na Antychrysta.

— Więc cóż z tego? — przerwała milady.

— Otóż — mówił dalej kardynał tonem obojętnym — wypadaloby teraz, na przykład, znaleźć kobietę piękną, młodą i zręczną, która miałaby powód do zemsty osobistej na księciu. Kobietę taką można by łatwo spotkać; ksiązę jest człowiekiem szczęśliwym do

Więzi

Miłość, Szaleństwo, Wojna

Religia

⁴³¹ulica de la Ferronnerie — ulica w 1. dzielnicy Paryża; 14 maja 1610 podczas przejazdu powozem przez tę ulicę w wyniku ciosów zadanych nożem zginął Henryk IV. [przypis edytorski]

⁴³²Ravaillac, François (1578–1610) — francuski służący i nauczyciel, zabójca Henryka IV; zginął w wyniku publicznej egzekucji. [przypis edytorski]

⁴³³purytanin (z łac. *puritas*: czystość) — wyznawca purytanizmu, ruchu religijnego dążącego do zwiększenia czystości doktrynalnej Kościoła anglikańskiego oraz propagującego wstrzemięźliwy tryb życia; także: człowiek skrajnie przywiązany do zasad, w szczególności moralnych. [przypis edytorski]

kobiet i jeżeli nie budził uczuć miłosnych obietnicami stałości wiecznej, musiał w jednym sercu wzniecić nienawiść przez nieustanne wiarołomstwa.

— Zapewne — rzekła milady chłodno — kobietę taką można by napotkać.

— Otóż kobieta, która by dała w rękę fanatyka nóż Jacques'a Clémenta⁴³⁴ lub Ravaillaca, zbawiłaby Francję.

— Tak, lecz zostałyby współniczką zbrodni.

— A czy zna ktokolwiek współników Jacques'a Clémenta lub Ravaillaca?

— Nie, bo może stali oni zbyt wysoko, aby się ośmielono aż tam ich szukać. Nie podpala się Pałacu Sprawiedliwości⁴³⁵ dla byle kogo, Eminencjo.

— Więc sądzisz, że pożar Pałacu Sprawiedliwości nie był jedynie nieszczęśliwym wypadkiem? — zapytał Richelieu obojętnie, jak gdyby to była kwestia bez żadnego znaczenia.

— Ja, Eminencjo — odpowiedziała milady — ja nic nie sądzę, fakt przytaczam, nic więcej; dodam tylko, że gdybym nazywała się panną de Monpensier lub królową Marią Medycejską⁴³⁶, nie potrzebowałabym być tak ostrożna, jak nazywając się po prostu lady Clarick.

— Słusznie — rzekł Richelieu. — Czegóż więc żądasz?

— Pragnę rozkazu potwierdzającego z góry wszystko, co uznam, iż powinnam uczynić dla dobra Francji.

— Trzeba najpierw znaleźć kobietę, o jakiej mówiłem, która miałaby urazę śmiertelną do księcia.

— Już ją znalazłam — rzekła milady.

— Następnie trzeba wyszukać podłego fanatyka, chcącego służyć za narzędzie sprawiedliwości bożej.

— I to się znajdzie.

— Wtedy — mówił kardynał — dopiero będzie pora wymagać rozkazu, jakiego żądasz obecnie.

— Wasza Eminencja ma rację — rzekła milady — to ja byłam w błędzie, widząc w poleceniu, jakim mnie zaszczyca, coś innego, niż jest ono w rzeczywistości, bo mam tylko oznajmić księciu od Eminencji, że zna wszystkie przebrania, za pomocą których zdołał on zbliżyć się do królowej na balu u pani konetablowej; że Eminencja posiada dowody jego widzenia się z królową w Luwrze, w kostiumie astrologa Włocha; że ukaże się bardzo dowcipny romans o awanturze w Amiens, z planami i portretami; że Montaigu siedzi w Bastylii i tortura przypomni mu, co zapomniał; na koniec, że masz w ręku list pani de Chevreuse kompromitujący ją i królową. Następnie, jeżeli pomimo wszystko ktoś zostanie niezłomny, to ponieważ moja misja tu się kończy, pozostanie mi tylko prosić Boga, aby uczynił cud dla ocalenia Francji. Wszak to mam zrobić, Eminencjo, i nic innego nie przedsiębrać?

— To tylko jedynie — odparł kardynał zimno.

— Obecnie — mówiła milady, nie zwracając uwagi na raptowną oziębłość kardynała — obecnie, gdy już otrzymałam instrukcje od Waszej Eminencji co do postępowania z jego nieprzyjaciółmi, czy pozwoli mi Wasza Wielebność powiedzieć parę słów o moich wrogach?

— Więc pani masz wrogów? — zapytał Richelieu.

— Tak, panie; mam wrogów, przed którymi powinieneś mnie bronić, bo zrobiłam ich sobie, służąc Waszej Eminencji.

— Cóż to za jedni? — zapytał książę.

— Pierwszy to mała kupcowa, znana intrygantka, nazywa się Bonacieux.

— Ona jest przecież zamknięta w więzieniu w Mantes.

— To jest, była tam rzeczywiście, lecz królowa wyjednała rozkaz od króla i przeniosła ją do klasztoru.

⁴³⁴Clément, Jacques (1567–1589) — francuski duchowny katolicki, morderca króla Henryka III Walezego. [przypis edytorski]

⁴³⁵Pałac Sprawiedliwości (fr. Palais de Justice) — zespół budynków na wyspie Île de la Cité na Sekwanie, stanowi siedzibę najważniejszych organów wymiaru sprawiedliwości we Francji. [przypis edytorski]

⁴³⁶Maria Medycejska (1575–1642) — tokańska księżniczka, królowa Francji jako druga żona Henryka IV (od 1600), regentka w okresie małoletności syna, Ludwika XIII. [przypis edytorski]

— Do klasztoru? — zapytał książę.
 — Tak, mam pewną wiadomość, że do klasztoru.
 — Do którego?
 — Nie wiem, tajemnica zachowana jest ściśle.
 — O! Ja będę wiedział!
 — A czy Wasza Eminencja powie mi, w którym klasztorze ta kobieta się znajduje?
 — Nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym tego zrobić.
 — Dziękuję za jedno, lecz mam drugiego wroga, o wiele niebezpieczniejszego niż pani Bonacieux.
 — Któż to jest?
 — Jej kochanek.
 — Jak on się nazywa?
 — O! Wasza Wielebność zna go doskonale — krzyknęła milady uniesiona gniewem — to nasz wspólny zły duch, to on w spotkaniu z gwardią Waszej Eminencji przechylił zwycięstwo na stronę muszkietierów królewskich; to on przebił szpadą trzykrotnie hrabiego de Wardes, wysłańca Eminencji, to z jego winy nie udała się sprawa z brylantami; on to na koniec, wiedząc, że to ja porwałam panią Bonacieux, zaprzysiął mi śmierć.
 — Aha! — rzekł kardynał. — Wiem już, o kim chcesz mówić.
 — Ja mówię o tym łotrze, d'Artagnanie.
 — To dzielny młodzieniec — rzekł kardynał.
 — Dlatego właśnie, że taki dzielny, jest tym niebezpieczniejszy.
 — Trzeba by posiadać dowody jego porozumiewania się z księciem Buckinghamem.
 — Dowody! Mam ich dziesięć!
 — W takim razie to bardzo łatwo, pokaż mi je, a wyślę go do Bastylii.
 — Dobrze Eminencjo! A co potem?
 — Kto się dostanie do Bastylii, nie ma dla takiego przyszłości — rzekł kardynał ponuro. — O! Na Boga, gdyby mi tak łatwo przychodziło pozbywanie się moich wrogów jak twoich osobistych i gdybyś tylko o ukaranie takich prosiła...
 — Eminencjo, sztuka za sztukę, życie za życie, człowiek za człowieka; oddaj mi tego, ja ci oddam tamtego.
 — Nie wiem, co chcesz powiedzieć — odparł kardynał — nawet wiedzieć nie chcę; chcę ci się przysłużyć i nie widzę nic niestosownego w daniu ci tego, czego pragniesz dla ukarania tak nieznacznej osobistości, tym bardziej że, jak powiadasz, d'Artagnan jest bezbożnikiem, pojedynkowiczem i zdrajcą.
 — Pozbawiony czci wszelkiej, Eminencjo... podły...
 — Podaj mi papier, pióro i atrament — rzekł kardynał.
 — Oto jest, Eminencjo.
 Nastąpiła chwilowa cisza, dowodząca, że Richelieu namyślał się, co ma pisać. Atos nie stracił ani słowa z rozmowy, wziął teraz za rękę przyjaciół i pociągnął w drugi koniec pokoju.
 — Czego chcesz? — odezwał się Portos. — Czemu nie pozwalasz nam słuchać dalej?
 — Sza! — rzekł Atos po cichu. — Słyszeliśmy wszystko, co potrzeba. Wreszcie nie bronie wam słuchać, tylko sam muszę stąd wyjść.
 — Chcesz wyjść — rzekł Portos — lecz jeżeli kardynał cię zawezwie, cóż mu odpowiemy?
 — Nie czekajcie, aż mnie zawoła, powiedzcie mu pierwsi, iż wyjechałem na zwiady, ponieważ ze słów gospodarza zrozumiałem, że drogi nie są bezpieczne. Powiem też parę słów giermkowi kardynała. Reszta do mnie należy, bądźcie spokojni.
 — Bądź ostrożny, Atosie! — rzekł Aramis.
 — Nie martwcie się. Wiecie, że mam krew zimną.

Portos i Aramis usiedli z powrotem przy łufie piecowym. Atos zaś wyszedł śmiało, nie kryjąc się wcale, odwiązał konia od kółka przy okiennicy, przekonał kilkoma słowami giermka o potrzebie pojechania naprzód, obejrzał starannie proch na panewce⁴³⁷ pistoletu, wziął szpadę w zęby i poleciał jak potępieniec drogą prowadzącą do obozu!

⁴³⁷panewka — w dawnej broni palnej zagłębienie w tylnej części lufy, na które sypano proch; skrzęsana przez strzelającego iskra padała na proch, który zapalał się i prznosił ogień dalej, przez zapał (otwór prowadzący do lufy) do ładunku umieszczonego w lufie, powodując jego odpalenie. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XVIII. SCENA MAŁŻEŃSKA

Jak to Atos przewidział, kardynał niedługo poczekawszy, zszedł z góry, zajrzał do pokoju, gdzie byli muszkietierowie, i zastał Portosa grającego zawzięcie w kości z Aramisem. Spojrzał szybko po wszystkich kątach sali i przekonał się, że brakuje jednego z muszkietierów.

— Gdzie się podział pan Atos? — zapytał.

— Eminencjo — odrzekł Portos — z opowiadań oberżysty nabrał on przekonania, iż drogi nie są bezpieczne, i pojechał przodem na zwiady.

— A panowie coście przez ten czas porabiali, panie Portosie?

— Ja wygrałem pięć pistoli od Aramisa.

— A teraz, czy jesteście gotowi powracać ze mną razem?

— Jesteśmy na rozkazy Waszej Eminencji.

— Na koń zatem, panowie, bo już późno.

Giermek oczekiwał kardynała przy drzwiach oberży. Potwierdził wszystko, co mówili muszkietierowie z powodu wyjazdu Atosa. Kardynał skinął ręką na znak zadowolenia, wspiął konia i ruszył z równymi ostrożnościami jak wtedy, kiedy tu jechał.

Atos tymczasem pędził, co koń wyskoczy, lecz oddalwszy się tak, iż pewny był, że go nikt nie dojrzy, zwrócił na prawo, objechał dokoła, znalazł się z powrotem o dwadzieścia kroków od karczmy i ukryty w gęstwinie drzew czatował na ukazanie się orszaku. Poznawszy kapelusze z galonami towarzyszy swoich i bramowany złotymi frędzlami płaszcz pana kardynała, poczekał, aż jeźdźcy dotrą do skrzyżowania drogi, a gdy stracił ich z oczu, powrócił cwałem do oberży, gdzie go wpuszczono bez trudności.

— Mój oficer — rzekł Atos do oberżysty — zapomniał o ważnym zleceniu dla damy z pierwszego piętra i przysłał mnie do niej.

— Wejdz pan — odparł gospodarz — jest ona jeszcze w swoim pokoju.

Atos skorzystał z pozwolenia, lekkim krokiem przebiegł schody i dopadł uchylonych drzwi w chwili, gdy milady kładła już kapelusz na głowę. Wszedł do pokoju i zamknął drzwi za sobą. Na odgłos klucza w zamku milady się odwróciła.

Atos stał przy drzwiach owinięty płaszczem, w kapeluszu nasuniętym na oczy.

— Kto pan jesteś? Czego tu chcesz?... — zawołała.

— O! To ona!... — mruknął Atos.

I zrzucając płaszcz oraz podnosząc kapelusz, postąpił ku milady.

— Poznajesz mnie, pani? — zapytał.

Milady zrobiła krok naprzód, następnie cofnęła się, jak gdyby węża ujrzała.

— No, no — mówił Atos — cieszę się, bo widzę, żeś mnie poznała.

— Hrabia de la Fère!... — szeptała milady, blednąc i cofając się do ściany.

— Tak, milady — odrzekł Atos — hrabia de la Fère we własnej osobie, który przybył umyślnie z końca świata, aby mieć przyjemność ujrzeć panią. Usiądź, pani, i porozmawiajmy, jak mówi pan kardynał.

Milady, skamieniała z przerażenia, usiadła, nie wyrzekłszy ani jednego słowa.

— Jesteś szatanem wysłanym z piekła na ziemię!... — rzekł Atos. — Twoja władza jest wielka, wiem o tym; lecz z pomocą Boga ludzie uczciwi dają radę i takim jak ty potworom. Raz już znalazłaś się na mej drodze; byłem pewny, iż pozbyłem się ciebie skutecznie, lecz omyliłem się widać lub może piekło nie chciało cię przyjąć.

Milady, po tych słowach przywodzących okrutne wspomnienia, opuściła głowę z głuchym jękiem.

— Sądziłaś, że nie żyję, prawda? Tak jak ja byłem pewny, żeś umarła. Imię Atosa zastąpiło nazwisko hrabiego de la Fère, tak samo jak lady Clarick zastąpiła Annę de Breuil! Wszak tak się nazywałaś, gdy twój czcigodny brat błogosławił nasz związek?

— Lecz ostatecznie — mówiła milady głosem stłumionym przez strach — co cię sprowadza? Czego chcesz ode mnie? Wiesz zatem, co robiłam?

— Opowiedzieć ci mogę dzień po dniu od czasu, gdyś się zaciągnęła w służbę kardynała.

Uśmiech niedowierzania przemknął po zbiegających się wargach milady.

— Jeśli nie wierzysz, to posłuchaj: ty obcięłaś zapinki diamentowe z ramienia księcia Buckingham; ty kazałaś porwać panią Bonacieux; zakochana w panu de Wardes i sądząc, że z nim spędzisz noc, wpuściłaś pana d'Artagnana; ty także, myśląc, że de Wardes

Kobieta demoniczna

cię oszukał, chciałaś, aby go zabił jego rywal, a kiedy ten rywal odkrył twoją haniebną tajemnicę, pragnęłaś i jego się pozbyć, nasyłając na niego dwóch podłych morderców, a zobaczywszy, że kule nie trafiły, posłałaś zatrute wino wraz z fałszywym listem, aby twoja ofiara sądziła, że wino to pochodzi od przyjaciół. Na koniec dziś w tym pokoju, siedząc na tym samym krześle, przyrzekłaś kardynałowi Richelieu zabić księcia Buckinghama w zamian za dane ci pozwolenie zamordowania d'Artagnana.

Milady stała się teraz sina.

— Chyba szatanem jesteś?... — wyrzekła.

— Może być — odparł Atos. — W każdym razie słuchaj i pamiętaj dobrze, co teraz powiem: zabij sama lub każ zamordować księcia Buckinghama, mało mnie to obchodzi! Nie znam go, w dodatku jest Anglikiem; lecz nie waż się tknąć ani włosa z głowy d'Artagnana, który jest moim wiernym przyjacielem i którego bronić będę albo przysięgam na głowę mojego ojca: zbrodnia ta byłaby twoją ostatnią...

— Pan d'Artagnan ciężko mnie obraził — rzekła milady głucho. — Pan d'Artagnan umrze.

— Nie wiedziałem doprawdy, że panią może coś jeszcze obrażać — rzekł, śmiejąc się, Atos. — A więc on miał nieszczęście ją obrazić i umrze?

— Umrze — odparła milady — najpierw ona, potem on...

Atosa ogarniał szal. Widok tej istoty pozbawionej kobiecości przywiódł mu na pamięć okropne zdarzenia. Wspomnił, że kiedyś w położeniu mniej niebezpiecznym niż obecnie chciał ją poświęcić dla zachowania czystości swego honoru. Powróciło mu palące pragnienie krwi tej kobiety i opanowało jak gorączka. Wstał, wyjął pistolet zza pasa i nabił go...

Milady, blada jak trup, chciała krzyknąć, lecz głos jej zamarł; wydawała jedynie jęki nieludzkie, podobne do chrapania dzikiego zwierza.

Przytulona do ściany, na tle obicia ciemnego, z włosom rozwianym, wyglądała jak obraz trwogi i okrutnego przerażenia. Atos podniósł wolno pistolet, wyciągnął rękę i dotknął lufą czoła milady, następnie głosem spokojnym, zdradzającym nieodwołalne postanowienie, rzekł:

— Pani, oddaj mi natychmiast papier podpisany przez kardynała albo, na mą duszę, w łeb ci wypalę. Zdecyduj się, zostawiam ci sekundę czasu.

Milady widziała po skurczeniu jego twarzy, że strzał padnie; wyjęła szybko papier zza stanika i podała Atosowi.

— Masz — rzekła — i bądź przeklęty!

Atos schował pistolet za pas, wziął papier, aby przekonać się, czy to ten sam, rozwinął go i czytał:

„Z mojego rozkazu i dla dobra państwa okaziciel niniejszego zrobił to, co zrobił.

3 grudnia 1627 roku.

Richelieu”.

— A teraz — rzekł Atos, wdziewając płaszcz i kładąc kapelusz na głowę — teraz, gdy ci żądam wyrwać, zmij jadłowita, kęśaj, jeżeli możesz.

I wyszedł z pokoju, nie obejrzawszy się nawet.

Przy bramie zastał dwóch ludzi trzymających konie w pogotowiu.

— Panowie — rzekł — znacie rozkazy Eminencji; odprowadzicie tę damę do fortecy La Pointe, a nie wolno wam jej opuścić, dopóki nie wsiądzie na pokład okrętu.

Sklonili głowami na znak posłuszeństwa.

Atos zaś skoczył lekko na siodło i ruszył z kopyta. Zamiast jednak udać się drogą do obozu, poleciał przez pola, zatrzymując się od czasu do czasu i nasłuchując.

Nareszcie doszedł go odgłos kopyt końskich. Nie wątpił już, że to kardynał i jego orszak. Wtedy puścił się jeszcze przed siebie, potem zatrzymał się, otarł pot z konia trawą i liśćmi z drzew i stanął w poprzek drogi na dwieście kroków od obozu.

— Kto idzie?... — zawołał, gdy jeźdźcy się ukazali.

— A! To nasz dzielny muszkieter zapewne tam stoi — rzekł kardynał.

— Tak, Eminencjo — odpowiedział Portos — to on.

Kobieta demoniczna,
Szantaż, Szaleństwo

— Panie Atosie — rzekł Richelieu — przyjmij serdeczne podziękowanie za dobrą wolę nam okazaną. Panowie, jesteście już na miejscu, skierujcie się do bramy na lewo, hasło: „Król i Rė”!

Mówiąc to, kardynał skłonił głowę na znak pożegnania, skręcił na prawo i mając giermka za sobą, udał się także do obozu, gdyż tę noc miał tam przepędzić.

— No cóż? — zapytali razem Portos i Aramis, gdy kardynał nie mógł już ich słyszeć.
— Czy podpisał żądany przez nią papier?

— Tak — odrzekł Atos spokojnie — mam go już przy sobie.

Trzej przyjaciele nie odezwali się więcej do siebie, jechali w milczeniu aż do swej kwatery, raz tylko przemówiwszy, gdy straż o hasło pytały.

Posłano natychmiast Mousquetona, aby powiedział Planchetowi, że pan jego jest usilnie proszony, aby, gdy zejdzie z posterunku przy okopach, przybył w tej chwili do mieszkania muszkietarów.

Ze swej strony miłady, jak to Atos przewidział, udała się bez oporu za swymi towarzyszami; miała wprawdzie ochotę kazać się zaprowadzić do kardynała i opowiedzieć mu wszystko, lecz odkrycie prawdy przez nią pociągnęłoby to samo ze strony Atosa — doniosłaby, że Atos ją powiesił, lecz on za to wydalby, że jest napiętnowana.

Zdecydowała się zatem nic nie mówić i wyjechać z zachowaniem wszelkich ostrożności, dokonać ze zwykłą zręcznością trudnego dzieła, którego się podjęła, a następnie, spełniwszy wszystko ku zadowoleniu kardynała, stanąć przed nim i dopomnieć się o pomoc w zemście osobistej.

Wskutek tego postanowienia, po całonocnej podróży, o siódmej rano była już w La Pointe, o ósmej wsiadła na okręt, o dziewiątej tenże okręt z listami polecającymi od kardynała, mając niby płynąć do Bajonny⁴³⁸, podnosił kotwicę i rozwijał żagle ku Anglii.

ROZDZIAŁ XIX. BASTION ŚWIĘTEGO GERWAZEGO

Gdy d'Artagnan stawiał się na wezwanie, zastał trzech przyjaciół zebranych w jednym pokoju. Atos rozmyślał, Portos podkręcał wąsy, Aramis modlił się z prześlicznej książeczki oprawnej w błękitny aksamit.

— Na imię boskie! Panowie — odezwał się — spodziewam się, że to, co usłyszę, warte jest zachodu, w przeciwnym razie uprzedzam: nie daruję wam tego; kazać mi przychodzić, zamiast zostawić w spokoju po nocy spędzonej na szturmie do bastionu, zdobyciu go i następnie zburzeniu... O! Czemuż was tam nie było, panowie, mieliśmy gorącą rozprawę!

— Byliśmy gdzie indziej, tam nie było też wcale zimno — odpowiedział Portos, podkręcając wąsa właściwym sobie sposobem.

— Sza!... — rzekł Atos.

— Oho! — mówił d'Artagnan, zrozumiawszy lekkie zmarszczenie brwi muszkietera.
— Okazuje się, iż mamy znów coś nowego.

— Aramisie — zaczął Atos — byłeś podobno wczoraj na śniadaniu w oberży „Parpaillot?”

— Tak.

— Jakże ci się tam podobało?

— Bardzo niedobre jadłem śniadanie; onegdaj był dzień postny, a zastałem jedynie mięso.

— Jak to może być? — rzekł Atos. — W porcie morskim nie mają ryb?

— Utrzymują — odparł Aramis, zatapiając się na powrót w modlitwie — że tama, którą każe wznosić pan kardynał, wypłasza je na pełne morze.

— Nie o to się pytałem — podjął Atos. — Pytałem, czy byłeś tam swobodny, czy nikt ci nie przeszkadzał.

— Zdaje mi się, że oberża nie jest bardzo uczęszczana; tak, pewny jestem, że dla pogadania na osobności będzie nam wcale niezłe w „Parpaillot”.

— Idźmy więc do „Parpaillot”, bo tutaj ściany są cienkie jak papier.

D'Artagnan, obyty ze sposobem postępowania przyjaciela, nauczył się poznawać z jednego słowa, z gestu, z najmniejszego znaku ważność okoliczności, wziął Atosa pod rękę i wyszedł z nim, nic nie mówiąc. Portos udał się za nimi, gawędząc z Aramisem.

⁴³⁸ *Bajonna* — miejscowość i gmina we Francji, w regionie Nowa Akwitania. [przypis edytorski]

Spotkano w drodze Grimauda. Atos dał znak, aby się zbliżył. Grimaud, według zwyczaju, usłuchał w milczeniu; biedny chłopak zapomniał już prawie, jak się mówi.

Przybyli do oberży „Parpaillot”. Była siódma z rana, zaczynało świtać. Trzech przyjaciół zadysponowało śniadanie i udało się do sali, gdzie, jak zapewniał gospodarz, nikt im nie przeszkodzi.

Na nieszczęście wybrali złą godzinę na schadzkę. Właśnie zabrzmiał poranny bęben, każdy zrywał się po nocnym śnie i aby się wytrzeźwić i rozgrzać, przychodził wychylić kieliszek w oberży; dragoni⁴³⁹, szwajcarzy, gwardziści, muszkietierowie, lekka kawaleria — zmieniali się jak w kalejdoskopie ku wielkiemu zadowoleniu oberżysty, lecz wcale nie na rękę naszym przyjaciołom.

Odpowiadali też bardzo chłodno na powitania, zaczepki i żarty przybywających panów.

— Widzę już — odezwał się Atos — że napytamy sobie tutaj jakiejs dobrej awantury, a nie potrzebna nam wcale w tej chwili. D’Artagnanie, opowiedz nam, coś robił w nocy; my zaś później ci opowiemy.

— Czy w istocie — zaczął jeden z kawalerzystów, przestępując z nogi na nogę ze szklanką wódki w ręce, którą cedził powoli — czy w istocie byliście na wałach tej nocy, panowie gwardziści? Zdaje mi się, że mieliście na pieńku z mieszkańcami La Rochelle?

D’Artagnan spojrział pytająco na Atosa, czy ma odpowiedzieć natrętowi mieszającemu się nieproszony do rozmowy, czy też nie.

— No cóż — odezwał się Atos — czy nie słyszysz, że pan de Busigny raczy przemawiać do ciebie? Opowiedz, co było tej nocy, kiedy panowie tego pragną.

— Podobno bastion zdobyliście? — zapytał szwajcar, który pił rum kuflem od piwa.

— Tak, panie — odrzekł d’Artagnan — mieliśmy ten zaszczyt. Podłożyliśmy nawet pod jeden węgiel baryłkę prochu, która wybuchając, wysadziła go w powietrze, a reszta budynku została porządnie zachwiana.

— Któryż to bastion? — zapytał dragon, trzymając zatkniętą na końcu szpady gęś, którą przyniósł, aby mu ją upieczono.

— Bastion świętego Gerwazego — odparł d’Artagnan — spoza którego mieszkańcy La Rochelle niepokoiли naszych robotników.

— A ciepło tam było?

— O, bardzo! Straciliśmy pięciu ludzi, a oni ośmiu czy dziesięciu.

— *Sacrébleu!*⁴⁴⁰ — wykrzyknął szwajcar, który pomimo obfitego repertuaru wymysłów w języku niemieckim miał zwyczaj kłać po francusku.

— Prawdopodobnie — przerwał kawalerzysta — zaraz dziś rano przyślą pionierów⁴⁴¹ i naprawią bastion.

— Tak, być może — dodał d’Artagnan.

— Panowie! — odezwał się Atos. — Idźmy o zakład.

— A, tak! O zakład! — rzekł szwajcar.

— O jaki? — zapytał kawalerzysta.

— Czekać! — przerwał dragon, zasadzając szpadę jak rozeń na hakach żelaznych wbitych w mur komina. — Domyślam się, o co wam chodzi... Gospodarzu przekłety! Przynoś natychmiast patelnię, nie chcę stracić ani kropelki tłuszczu z tego szacownego ptaszka.

— Masz rację — dodał szwajcar — smalec gęsi wybory jest z konfiturami.

— Dobrze już — rzekł dragon, podstawiając patelnię. — Teraz zobaczymy, o co zakład idzie. Panie Atosie, słuchamy!

— Tak, słuchamy!... — potwierdził kawalerzysta.

— Otóż, panie de Busigny, zakładałam się z tobą — rzekł Atos — że moi towarzysze, panowie Portos, Aramis, d’Artagnan, i ja zjemy śniadanie w bastionie świętego Gerwazego i pozostaniemy tam przez godzinę z zegarkiem w ręku, nie zważając na usiłowania nieprzyjaciela, aby nas stamtąd wysadzić.

Portos i Aramis spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Czy wiesz — szepnął d’Artagnan do ucha Atosowi — że prowadzisz nas na niechybną śmierć?

⁴³⁹ *dragon* (daw.) — żołnierz lekkiej jazdy. [przypis edytorski]

⁴⁴⁰ *Sacrébleu!* (fr.) — psiakrew! [przypis edytorski]

⁴⁴¹ *pionier* (daw.) — inżynier wojskowy. [przypis edytorski]

— Daleko większe niebezpieczeństwo nam grozi — odrzekł Atos — jeżeli tam nie pójdziemy.

— Na honor! Panowie — zawołał Portos, rozwalając się na krześle i podkręcając węża — oto mi zakład co się zowie!

— Przyjmuję — rzekł de Busigny — obecnie idzie tylko o ustanowienie stawki.

— Panów jest czterech — mówił Atos — i nas czterech, zatem obiad na ośmiu. Przystajecie, panowie?

— Z ochotą — odparł de Busigny.

— Doskonale — dodał dragon.

— Zgadzam się — rzekł szwajcar.

Czwarty słuchacz, milczący podczas całej tej rozmowy, i teraz jedynie skinął na znak zgody.

— Śniadanie dla panów gotowe — zawołał gospodarz.

— Przynieś je tutaj — rzekł Atos.

Oberżysta wykonał rozkaz. Atos skinął na Grimauda, wskazał mu duży koszyk w kącie izby i objaśnił gestem, że trzeba zawinąć mięso w serwety.

Grimaud domyślił się zaraz, że chodzi o śniadanie na świeżym powietrzu; wziął koszyk, zapakował mięso, dołożył butelki i cały pakunek przewiesił na ręce.

— Gdzie panowie spożyją swoje śniadanie? — zapytał gospodarz.

— Co ci do tego — rzekł Atos — jeżeli ci zapłacę?

I cisnął majestatycznie na stół dwa pistole.

— Czy dać resztę, panie oficerze?

— Nie; dodaj tylko dwie butelki wina szampańskiego, a reszta za serwety.

Gospodarz zrobił nie tak znów świetny interes, jak myślał z początku, nagroził jednak sobie, kładąc do kosza wino andegaweńskie zamiast szampańskiego.

— Panie de Busigny — odezwał się Atos — czy pozwolisz nastawić swój zegarek według mojego albo mój według twojego?

— Z chęcią — odparł zapytany, wyjmując z kieszeni od kamizelki przepyszny złoty zegarek wysadzany brylantami — obecnie wpół do ósmej.

— Siódma i trzydzieści pięć minut — rzekł Atos. — Wiadomo teraz, że mój zegarek śpieszy się o pięć minut.

Skłoniwszy się zebranym, osłupiałym ze zdziwienia, czterej młodzi ludzie skierowali się ku bastionowi świętego Gerwazego, za nimi postępował Grimaud z koszykiem, nie wiedząc, dokąd idzie, lecz przyzwyczajony do biernego posłuszeństwa nie myślał i teraz wypytywać.

Dopóki znajdowali się w obrębie obozu, nie przemówili ani słowa; w dodatku chmara ciekawych szła za nimi, wiedząc o zakładzie i chcąc się przekonać, jak też nasi przyjaciele wybrną z powziętego zamiaru. Gdy minęli szanice obozowe i znaleźli się w czystym polu, wtedy d'Artagnan, niewtajemniczony w zamiary przyjaciela, osądził, że przyszedł czas dowiedzenia się prawdy.

— Teraz, kochany Atosie — rzekł — bądź łaskaw powiedzieć mi, dokąd idziemy?

— Widzisz dobrze — odparł Atos — że idziemy do bastionu.

— Cóż tam będziemy robić?

— Wiesz przecie, że będziemy jedli śniadanie.

— Dlaczego nie w „Parpaillot”?

— Albowiem musimy pogadać o niesłychanie ważnych sprawach, a tam trudno mieć pięć minut spokojnych z tymi natrętami: wchodzą, wychodzą, kłaniają się, witają, zaczepiają... to nie do wytrzymania. Tutaj przynajmniej — dodał Atos, wskazując bastion — nikt nam chyba nie przeszkodzi.

— Zdaje mi się — rzekł d'Artagnan z roztropnością nieczyniącą ujmy odwadze — iż moglibyśmy znaleźć jakieś oddalone miejsce nad morzem...

— Gdzie by nas widziano naradzających się we czterech, a za kwadrans kardynał już by wiedział przez szpiegów swoich, że spiskujemy...

— Tak, tak — rzekł Aramis — Atos ma rację; *animae adventuntur in desertis*⁴⁴².

— Pustynia byłaby bardzo dobra — odezwał się Portos — lecz trzeba by ją znaleźć.

Szpieg, Pustynia

⁴⁴²*animae adventuntur in desertis* (łac.) — dusze przybywają na pustynię. [przypis edytorski]

Nie ma na świecie takiej pustyni, gdzie by ptak nie przeleciał ponad głową, ryba nie wyskoczyła ponad wodę, a królik nie wybiegł z kryjówki, a ja przypuszczam, że ptak, ryba, królik — wszystko to służy za szpiegów kardynała. Lepiej zatem dotrwać w naszym przedsięwzięciu, przed którym, co prawda, niepodobna się cofnąć bez wstydu. Założyliśmy się, a nikt się nie domyśla, o co nam chodzi, wszyscy są pewni, że dla wygranej przez godzinę będziemy siedzieli w bastionie. Albo nas atakować będą, albo nie. Jeżeli nam dadzą spokój, będziemy mieli aż nadto czasu do rozmowy i nikt nas nie podsłucha, bo zaręczam, że ściany bastionu uszu nie mają. Jeżeli zaś atak do nas przypuszczą, to i tak o interesach naszych pogadamy, a w dodatku, odpierając napaść, okryjemy się chwałą. Widzicie więc, że wszystko wychodzi na naszą korzyść.

— Tak — rzekł d'Artagnan — lecz kula nas nie minie z pewnością.

— E! Mój drogi — odparł Atos — wiesz dobrze, że nie te kule są najstraszniejsze, które pochodzą na wojnie od nieprzyjaciela.

— Zdaje mi się, iż na taką wyprawę trzeba było zabrać nasze muszkiety.

— Głupi jesteś, przyjacielu Portosie. Na co mieliśmy się obarczać nieużytecznym ciężarem?...

— Przydałby się wobec nieprzyjaciela kalibrowy muszkiet, ze dwanaście nabojów i woreczek z prochem.

— A czy nie słyszałeś, co opowiadał d'Artagnan?

— Cóż on mówił? — zapytał Portos.

— D'Artagnan mówił, że przy szturmie tej nocy poległo kilku Francuzów i tyluż mieszkańców La Rochelle.

— Więc cóż z tego?

— Nie miano czasu ich obdrzeć, wszak prawda? Było tam coś pilniejszego do roboty.

— Zatem?

— Zatem zabierzemy ich muszkiety, rożki z prochem i naboje. Zamiast czterech muszkietów i dwunastu kul będziemy posiadali strzelb najmniej piętnaście i ze sto pewnych wystrzałów.

— O, Atosie! — rzekł Aramis. — Jesteś naprawdę wielki!

Portos schylił głowę z uznaniem. Tylko D'Artagnan nie wydawał się przekonany.

Zapewne Grimaud podzielał obawy młodzieńca, bo widząc, że idą prosto do bastionu, o czym dotąd powątpiewał, pociągnął swego pana za połę ubrania.

— Dokąd idziemy? — zapytał gestem.

Atos wskazał bastion.

— Ależ my tam skórę zostawimy — odpowiedział Grimaud na migi.

Atos wznosił rękę i oczy ku niebu.

Grimaud postawił kosz na ziemi, usiadł i kiwał głową.

Atos wyjął pistolet zza pasa, obejrzał, czy dobrze nabity, odwiódł kurek i przyłożył lufę do ucha Grimauda.

Grimaud zerwał się na równe nogi.

Atos pokazał mu, ażeby wziął kosz i szedł przodem.

Doszedłszy w ten sposób do bastionu, czterej przyjaciele stanęli i zwrócili się przodem do obozu.

Przeszło trzystu żołnierzy rozmaitej broni zgromadziło się przed obozem; na boku stali: pan de Busigny, dragon, szwajcar i czwarty, który nic nie mówił.

Atos zdjął kapelusz, włożył na koniec szpady, podniósł do góry i powiewał nim w powietrzu.

Zebrani przed obozem zrobili tak samo, dodając jeszcze głośnie „hurra!”, które aż do nich doszło.

Po czym zniknęli wszyscy czterej we wnętrzu bastionu, gdzie ich już Grimaud wyprzedził.

ROZDZIAŁ XX. NARADA MUSZKIETERÓW

Jak Atos przewidywał, bastion był zajęty jedynie przez poległych Francuzów i mieszkańców La Rochelle.

— Panowie — rzekł Atos, który objął dowództwo nad wyprawą — gdy Grimaud zajmie się przygotowaniem śniadania, zaczniemy od zebrania broni i nabojów. Możemy pomimo to rozmawiać, wykonując tę czynność. Ci panowie — dodał, wskazując na nieboszczyków — nie usłyszą nas.

— Można by ich powrzucać do fosy — rzekł Portos — po obejrzeniu wszakże, czy nie mają czegoś w kieszeniach.

— Tak — rzekł Atos — to należy do Grimauda.

— Dobrze — odezwał się d'Artagnan — niechże Grimaud ich zrewiduje i poprzerzuca za mur.

— Niech Bóg broni — rzekł Atos — oni nam się jeszcze przydadzą.

— Jak to?!... Te trupy nam się przydadzą?... — mówił Portos. — Oho! W głowie ci się pomieszało chyba, drogi przyjacielu.

— Nie sądz lekko myślnie, mówi Ewangelia i pan kardynał — odparł Atos. — Ile tam mamy fuzji?

— Dwanaście — rzekł Aramis.

— Ile nabojów?...

— Setka przeszło.

— W sam raz tyle, co trzeba. Nabijmy broń.

Czterech muszkieterów zabrało się do dzieła. Kończyli nabijać ostatnią fuzję, gdy Grimaud dał znak, iż śniadanie gotowe.

Atos odpowiedział, także gestem, że zrozumiał, i wskazał Grimaudowi rodzaj strzelnicy, gdzie, jak tenże domyślił się, powinien był stanąć na czatach. Żeby jednak osłodzić pacholłkowi przykrość, Atos pozwolił mu zabrać z sobą bochenek chleba, dwa kotlety i butelkę wina.

— A teraz proszę do stołu! — zawołał.

Czterech przyjaciół zasiadło na ziemi z podłożonymi pod siebie nogami jak Turcy na dywanie.

— A!... Nareszcie... — zaczął d'Artagnan. — Teraz jesteś spokojny, że nas nikt nie usłyszy, i mam nadzieję, iż wyjawisz nam swą tajemnicę.

— Pewny jestem, moi panowie, że wystarałem się dla was o przyjemność i sławę jednocześnie — mówił Atos. — Przespacerowaliście się cudownie; oczekuje nas doskonałe śniadanie i pięćset osób tam przed obozem, jak to możecie widzieć przez strzelnice, patrzy na nas i ma za szaleńców lub bohaterów; te dwa gatunki głupców są do siebie bardzo podobne.

— Ależ ten sekret?... — zapytał d'Artagnan.

— Widziałem milady wczoraj wieczorem — odparł Atos.

D'Artagnan niósł właśnie szklankę do ust; gdy usłyszał słowo „milady”, ręka zadrżała mu gwałtownie i postawił wino na ziemi.

— Widziałeś swoją żo...

— Cicho bądź!... — przerwał Atos. — Zapominasz, że ci panowie nie są świadomi moich spraw małżeńskich. Widziałem milady...

— Gdzie, na Boga?

— O dwie mile stąd, w oberży „Pod Czerwonym Gołębnikiem”.

— Kiedy tak, to już po mnie — rzekł d'Artagnan.

— Niezupelnie — podjął Atos — albowiem o tej godzinie powinna ona już była opuścić brzegi Francji.

D'Artagnan odetchnął.

— Ależ powiedzcie, proszę — zapytał Portos — co to za jedna ta milady?

— Prześliczna kobietka — odrzekł Atos, kosztując wina musującego ze szklanki. — O!... Łotr oberżysta! — wykrzyknął. — Wpakował nam wino andegaweńskie zamiast szampańskiego i myśli, że się nie poznamy!... Tak — mówił dalej — prześliczna kobietka, u której d'Artagnan miał łaski, lecz nie wiem, co tam przeszkrobał, dość, że zapragnęła się zemścić. Przed miesiącem nasłala na niego zbójów z muszkietami, przed tygodniem chciała go otruci, a wczoraj zażądała jego głowy od kardynała.

— Jak to?! Żądała mojej głowy od kardynała? — krzyknął d'Artagnan błady z przerażenia.

— Tak — odezwał się Portos — to prawda jak Ewangelia; słyszałem na własne uszy.

Szaleństwo, Bohaterstwo

— I ja także — dodał Aramis.

— Kiedy tak — rzekł d'Artagnan, opuszczając ręce — na nic się nie przyda walczyć dłużej. Lepiej sobie w łeb palnąć od razu.

— To jest ostatnie głupstwo, jakie się robi — mówił Atos — bo nie ma już na nie lekarstwa.

— Ależ nie zdołam wymknąć się tak potężnym wrogom. Najpierw nieznamy z Meung, następnie de Wardes pokłuty przeze mnie szpadą, potem milady, której tajemnice odkryłem, na koniec kardynał, którego zemsta spełza na niczym z mojego powodu.

— Więc jest ich czworo — rzekł Atos — i nas jest czterech, liczba zatem jednakowa... Na Boga!... Jeśli wierzyć pantomimom Grimauda, będziemy mieli do czynienia z daleko większą liczbą nieprzyjaciół. Co tam takiego, Grimaudzie? — zapytał Atos. — Ze względu na ważność okoliczności pozwalam ci mówić, mój przyjacielu. Tylko mów zwięźle, proszę cię. Coś ujrzał?

— Oddział.

— Z ilu osób?...

— Dwudziestu.

— Jacy to ludzie?

— Szesnastu pionierów, czterech żołnierzy.

— Jak daleko są?

— O pięćset kroków.

— Dobrze. Mamy jeszcze czas dokończyć piecyste i wypić za twoje zdrowie, d'Artagnanie.

— Za twoje zdrowie! — powtórzyli Portos i Aramis.

— Niechże będzie za moje zdrowie! Chociaż nie wierzę, aby wasze życzenia przydały się na wiele...

— Ba! — rzekł Atos. — Bóg jest wielki, jak mówią wyznawcy Mahometa, a przyszłość jest w Jego rękach.

Bóg

Następnie wypił wino, postawił szklankę, podniósł się niedbale, wziął pierwszą z brzegu fuzję i stanął przy strzelnicy.

Portos, Aramis i d'Artagnan uczynili tak samo. Grimaud otrzymał rozkaz stania poza panami i nabijania broni.

Niezadługo ujrzeni oddział nieprzyjacielski; wsuwał się on w podkop forteczny stanowiący komunikację pomiędzy bastionem a miastem.

— Do licha! — zawołał Atos. — Warto było ruszać się z miejsca dla dwudziestu hultajów uzbrojonych w motyki i łopaty?! Grimaud mógłby być kiwnąć na nich, aby poszli precz. Jestem przekonany, że byliby nas pozostawili w spokoju.

— Wątpię — rzekł d'Artagnan — bo jakoś odważnie się podsuwają. A jest tam pomiędzy nimi czterech żołnierzy i brygadier z muszkietami.

— Bo nas jeszcze nie spostrzegli — odrzekł Atos.

— Na honor! — odezwał się Aramis. — Wyznaję, iż czuję wstręt do celowania w tych nędznych mieszczan.

— Zły to ksiądz — przerwał Portos — który ma litość dla heretyków!

Ksiądz

— Słusznie mówi Aramis — odezwał się Atos — zaraz ja ich uprzedzę.

— Co ty robisz, u diabła? — zawołał d'Artagnan. — Chcesz dostać kulą, mój drogi?

Atos nie zwrócił uwagi na ostrzeżenie i stanął w otworze muru z fuzją w jednej, a z kapeluszem w drugiej ręce.

— Panowie — przemówił do żołnierzy i robotników, którzy, zdumieni zjawiskiem niespodziewanym, stanęli o pięćdziesiąt kroków od bastionu, a on kłaniał im się grzecznie. — Panowie! Moi przyjaciele i ja zajęci jesteśmy właśnie spożywaniem śniadania tu, w tym bastionie. Otóż wiadomo wam, jak to nieprzyjemnie być odrywaniem od śniadania, i dlatego prosimy panów, jeżeli już koniecznie musicie wziąć się do roboty, abyście zaczekali, aż dokończymy naszego posiłku, lub przyszli trochę później; a może, co byłoby najwłaściwsze, abyście powzięli zbawienną myśl rozstania się z buntownikami i przyszli wypić z nami za zdrowie króla Francji!

— Uważaj, Atosie! — zawołał d'Artagnan. — Czy nie widzisz, że biorą cię na cel?

— Widzę, widzę — rzekł Atos — lecz te mieszczuchy nie potrafią strzelać i nie odważą się zadrasnąć mnie nawet.

Rozległ się odgłos czterech strzałów; kule utkwily w murze koło Atosa — żadna go nie trafiła. Odpowiedziano im w tej chwili, lecz z lepszym skutkiem: trzech żołnierzy spomiędzy napastników padło trupem i jeden robotnik otrzymał ranę.

— Grimaudzie, świeży muszkiet! — mówił Atos, stojąc ciągle na wyłomie.

Grimaud natychmiast posłuchał. Jednocześnie i trzech przyjaciół nabiło broń; dano ognia powtórnie — brygadier i dwóch pionierów padli nieżywi, reszta oddziału zaczęła się cofać.

— Dalej, panowie! Urządźmy małą wycieczkę — rzekł Atos.

Czterej przyjaciele wybiegli z fortu, dotarli aż do pola bitwy, zabrali cztery muszkiety żołnierzom i małą dzidę brygadiera; a przekonani, że uciekinierzy nie oprą się aż w mieście, wrócili do bastionu obciążeni trofeami zwycięstwa.

— Nabijaj broń, Grimaudzie — rzekł Atos. — A my, panowie, wróćmy do śniadania i do naszej poprzedniej rozmowy. Na czymże stanęliśmy?

— Przypominam sobie — odezwał się d'Artagnan — jak mówiłeś, że po żądaniu mojej głowy od kardynała milady opuściła brzegi Francji. Dokądże się udała?

— Do Anglii — odpowiedział Atos.

— W jakim celu?

— Aby sama zamordowała lub kazała zamordować Buckinghama.

D'Artagnan wydał okrzyk zdziwienia i oburzenia zarazem.

— Ależ to haniebne! — zawołał.

— O! — rzekł Atos. — Wierzaj mi, to mnie obchodzi bardzo mało... A teraz, kiedyś skończył nabijanie, Grimaudzie — ciągnął Atos — weź dzidę brygadiera, uwiąż na niej serwetę i zatknij na szczycie bastionu. Niech buntownicy z La Rochelle widzą, iż mają do czynienia z walecznymi i wiernymi żołnierzami króla.

Grimaud usłuchał bez odpowiedzi.

W chwilę potem biały sztandar powiewał nad głowami czterech przyjaciół. Burza oklasków powitała ukazanie się chorągwi; połowa obozu wyległa na wały.

— Jak to?! — podjął d'Artagnan. — Tak mało cię obchodzi, czy ona zabije lub każe zabić Buckinghama? Przecież księżę jest naszym przyjacielem.

— Księżę jest Anglikiem, księżę walczy przeciw nam; niech robi z księciem, co jej się podoba, tyle mnie to obchodzi, co próżna butelka.

Atos cisnął daleko od siebie butelkę, z której właśnie wysączył wino do ostatniej kropli.

— Za pozwoleniem — rzekł d'Artagnan — ja tak nie myślę o Buckinghamie. Dał nam przecież owe piękne konie.

— A nadto prześliczne siodła — dodał Portos, który miał właśnie na sobie płaszcz przybrany galonami ze swojego.

— Wreszcie — odezwał się Aramis — Bóg chce nawrócenia, a nie śmierci grzesznika.

— Amen — podchwycił Atos — wrócimy do tego później, jeśli taka wasza wola. Lecz na razie chodziło mi przeważnie o odebranie tej kobiecie pewnego upoważnienia na okaziciela, jakie wydarła kardynałowi i za pomocą którego miała bezkarnie pozbyć się ciebie, a może i nas wszystkich.

— Ależ to diabeł, nie kobieta — odezwał się Portos, podsuwając swój talerz do Aramisa, który właśnie rozkrawał jedzenie.

— A ten blankiet — rzekł d'Artagnan — pozostał w jej rękach?

— Nie, przeszedł już do moich; choć nie powiem, że z łatwością, bobym skłamał.

— Kochany Atosie! — zawołał d'Artagnan. — Ileż razy już zawdzięczam ci życie.

— Więc to dlatego, żeby wrócić do niej, wyjechałeś sam naprzód? — zapytał Aramis.

— Tak.

— Czy masz ten list kardynała? — zapytał d'Artagnan.

— Oto jest — odparł Atos, wyjmując szacowny papier z kieszeni kaftana.

D'Artagnan rozwinął go drżącymi rękami i czytał:

Z mojego rozkazu i dla dobra państwa okaziciel niniejszego zrobił to, co zrobił. 3 grudnia 1627 roku Richelieu

— W rzeczy samej — odezwał się Aramis — jest to rozgrzeszenie według wszelkich reguł.

— Trzeba podrzeć ten papier — rzekł d'Artagnan, któremu się zdawało, że czyta wyrok śmierci na siebie.

— O! Przeciwnie — przerwał Atos — trzeba go zachować starannie, nie oddałbym tego świstka, gdyby go nawet w zamian nakryto złotem.

— Cóż ona teraz przedsięwzięmie? — zapytał młodzieniec.

— Zdaje mi się — rzekł Atos niedbale — napisze prawdopodobnie do kardynała, że jakiś potępieniec muszkietier, nazwiskiem Atos, wydarł jej przemocą list bezpieczeństwa i poradzi mu, ażeby pozbył się jednocześnie z nim dwóch jego przyjaciół, Portosa i Aramis. Kardynał przypomni sobie, że tych ludzi ciągle spotyka na swej drodze... i pewnego pięknego poranka każe aresztować d'Artagnana, ażeby zaś nie nudził się bardzo w samotności, pošle nas dla jego towarzystwa do Bastylii.

— E! Do licha! — wtrącił Portos. — Twoje żarty wcale nie są zabawne, mój drogi.

— Ja nie żartuję — odparł Atos.

— Wiesz co — dodał Portos — że ukrećić łeb tej przekłętej milady byłoby mniejszym grzechem niż zabijając tych biedaków hugenotów, których cała wina polega na tym, że śpiewają po francusku psalmy, które my śpiewamy po łacinie.

— Cóż na to ksiądz dobrodziej? — zapytał Atos spokojnie.

— Mówię, że podzielam zdanie Portosa — odpowiedział Aramis.

— O! I ja także! — dodał d'Artagnan.

— Co za szczęście, że jest ona daleko — wtrącił Portos — bo tutaj bardzo by nam przeszkadzała.

— Przeszkadza mi ona i w Anglii tak samo, jak i we Francji — rzekł Atos.

— Ona mi wszędzie zawadza — dodał d'Artagnan.

— Ależ miałeś ją w rękach, Atosie — wtrącił Portos. — Dlaczegoś jej nie utopił, nie zadusił albo nie powiesił? Przecież tylko umarli nie powracają.

— Tak sądzisz, Portosie? — odrzekł muszkietier z ponurym uśmiechem zrozumianym tylko przez d'Artagnana.

— Przychodzi mi do głowy... — zaczął d'Artagnan.

— Co takiego? — odezwali się muszkietrzy.

— Do broni! — zawołał Grimaud.

Młodzieńcy zerwali się z miejsc i schwycili fuzje.

Tym razem zbliżał się mały oddziałek złożony z dwudziestu do dwudziestu pięciu ludzi; nie byli to już robotnicy, lecz żołnierze z załogi.

— A gdybyśmy już powrócili do obozu? — odezwał się Portos. — Zdaje mi się, że gra teraz nierówna.

— Niepodobna, a to dla trzech powodów — odparł Atos. — Po pierwsze nie skończyliśmy śniadania, po drugie mamy sobie jeszcze wiele do powiedzenia, i to rzeczy wielkiej wagi, po trzecie brakuje jeszcze dziesięciu minut do oznaczonej godziny.

— Trzeba jednak ułożyć plan bitwy — rzekł Aramis.

— To bardzo proste — odparł Atos. — Skoro nieprzyjacieli zbliży się na odległość strzału, damy ognia. Jeżeli zaś pomimo to będzie się dalej posuwać, damy znów ognia i będziemy tak strzelać, dopóki nabojów starczy. Jeżeli zaś reszta, jaka pozostanie z oddziału, zechce przypuścić szturm, pozwolimy oblegającym dotrzeć aż do fosy, a wtedy zepchniemy im na głowy ten kawał muru, który utrzymuje się jedynie jakimś cudem w równowadze.

— Brawo!... — zawołał Portos. — Ty, Atosie, stanowczo urodziłeś się na dowódcę, a kardynał, który ma się za wielkiego wojownika, niczym jest przy tobie.

— Panowie — rzekł Atos — nie wolno pudłować, proszę was, bierzcie na cel każdy swojego człowieka.

— Mam już mojego — rzekł d'Artagnan.

— I ja mojego — odezwał się Portos.

— Ja także — dodał Aramis.

— Zatem ognia!... — zakomenderował Atos.

Cztery strzały padły jak jeden; czterech ludzi powaliło się na ziemię.

Zabębniiono i mały oddział zbliżał się podwójnym krokiem.

Teraz strzały następowały już nie miarowe, lecz zawsze jednakowo celne.

Kobieta demoniczna,
Grzech, Religia

Nienawiść

Żołnierz, Wojna,
Przywódca

Pomimo to mieszkańcy La Rochelle, jak gdyby wiedzieli o małej liczbie oblężonych, szli naprzód coraz prędzej.

Na trzy strzały dwóch ludzi padało, pozostali jednakże nie zwalniali kroku.

Nieprzyjaciół, gdy się dostali do stóp bastionu, było jeszcze dwunastu do piętnastu. Dosięgły ich ostatnie strzały, lecz nie powstrzymały wcale. Skoczyli do fosy i chcieli wdzierać się na mury.

— Dalej, przyjaciele! — rzekł Atos. — Skończmy od razu. Do muru! Do muru!

Wszyscy czterej z pomocą Grimauda zaczęli pchać kolbami muszkietów kawał muru, który począł chwiać się od wiatru i oderwawszy się od podstawy, spadł z okrutnym łoskotem do fosy. Następnie dał się słyszeć jeden wielki okrzyk, chmura kurzu wzniosła się pod niebiosa i po wszystkim...

— Czyżbyśmy ich zmiażdżyli co do nogi?... — odezwał się Atos.

— Na honor!... Coś na to wygląda — rzekł d'Artagnan.

— Nie — dodał Portos — widzę oto, jak dwóch czy trzech zmyka, utykając na nogi.

W rzeczy samej, kilku biedaków pokrytych krwią i kurzem uciekało drogą ku miastu; tylko tylu pozostało ich z całego oddziału.

Atos spojrział na zegarek.

— Panowie — rzekł — upłynęła już godzina odkąd się tu znajdujemy i zakład już wygrany, lecz trzeba pokazać, co umiemy, a w dodatku d'Artagnan nie opowiedział nam swojego pomysłu.

— Mojego pomysłu? — zapytał d'Artagnan.

— Tak... wszak mówiłeś, że ci dobra myśl przyszła do głowy?

— A! Przypominam sobie: otóż wyruszam do Anglii po raz drugi i idę prosto do Buckinghamu.

— Nie zrobisz tego, d'Artagnanie — rzekł Atos surowo.

— Dlaczego?... Czy już raz tego nie zrobiłem?

— Tak, lecz wtedy nie byliśmy na stopie wojennej, wtedy pan Buckingham był naszym sprzymierzeńcem, a nie wrogiem. To, co chcesz zrobić, wyglądałoby na zdradę.

D'Artagnan uznał słuszność dowodzenia i nic nie odpowiedział.

— Czekajcie — rzekł Portos — zdaje się, że i mnie coś do głowy przychodzi.

— Słuchajmy pomysłu pana Portosa!... — odezwał się Aramis.

— Poproszę pana de Tréville o urlop pod jakimkolwiek pozorem, który wy już wymyślicie; ja nie jestem bardzo sprytny do wynajdywania pozorów, przyznaję... Milady nie zna mnie wcale, zbliżam się do niej, ona mi zaufa, a jak dostanę w ręce piękną panią, to ją uduszę.

— Nieźle!... — odrzekł Atos. — Podobają mi się pomysły Portosa, może bym się nawet zgodził na niego...

— Wstydzicie się!... — przerwał Aramis. — Zabijać kobiety! Nie; posłuchajcie, ja mam prawdziwie dobry pomysł.

— Powiedz, Aramisie — rzekł Atos, który bardzo poważał młodego muszkietera.

— Trzeba uprzedzić królową!

— O! Na honor! To racja — powiedzieli razem Portos i d'Artagnan — nareszcie znaleźliśmy sposób.

— Uprzedzić królową!... — rzekł Atos. — W jaki sposób? Czy mamy stosunki na dworze? Alboż możemy posłać kogoś do Paryża? Zaraz by dowiedziano się o tym w obozie. Stąd do Paryża jest sto czterdzieści mil; nasz list byłby zaledwie w Angers, a my siedzielibyśmy już w więzieniu.

— Jeżeli chodzi o doręczenie listu Jej Królewskiej Mości — odezwał się Aramis, rumieniąc się jak panienka — ja się tego podejmę; znam w Tours pewną osobę, bardzo zręczną...

Aramis umilkł, spostrzegłszy uśmiech Atosa.

— Więc uważasz ten środek za niemożliwy, Atosie? — zapytał d'Artagnan.

— Niezupełnie — odparł Atos. — Chciałem jedynie zwrócić uwagę Aramisa, iż nie może opuszczać obozu i że nikomu zaufać niepodobna; że w dwie godziny po wyprawieniu posłańca policja cała, wszystkie czarne duchy kardynała, będą umieli twój list na pamięć i wpakują do więzienia ciebie i twoją zręczną osobkę.

Morderstwo, Kobieta

— Nie biorąc w rachubę tego — rzekł Portos — że królowa ocali pana Buckingham, ale nas nie zasłoni przed zemstą kardynała.

— Panowie — dodał d'Artagnan — Portos powiedział najświętszą prawdę.

— A! A! Co tam się dzieje w mieście? — przerwał Atos.

— Biją bębny na alarm.

Czterech przyjaciół umilkło i słuchało. Rzeczywiście odgłos bębnowy dochodził wyraźnie.

— Zobaczycie, że oni nam tu cały pułk sprowadzą — rzekł Atos.

— Nie myślisz przecie trzymać się tutaj wobec całego pułku? — zapytał Portos.

— Dlaczego nie?... — przerwał muszkieter. — Mam wielką ochotę; stawilibym czoło całej armii, gdybyśmy byli zabrali z sobą choć tuzin butelek więcej...

— Daję słowo, że słyhać bębny coraz bliżej — rzekł d'Artagnan.

— Pozwól im podejść blisko — mówił Atos — kwadrans drogi oddziela nas od miasta. Więcej to czasu, niż potrzebujemy, ażeby się zastanowić. Jeżeli wyniesiemy się stąd, nie znajdziemy już nigdzie miejsca równie odpowiedniego. A oto właśnie, moi panowie, mnie teraz przychodzi do głowy myśl doskonała.

— Mów...

— Pozwólcie mi wydać Grimaudowi kilka nieodzownych poleceń.

Atos skinął na służącego.

— Grimaudzie — rzekł Atos, wskazując na nieboszczyków koło bastionu — weź tych panów podnieś i ustaw rzędem pod ścianą, włóż im kapelusze na głowy, a fuzje wpakuj im w łapy.

— O! Wielki człowieku!... — wykrzyknął d'Artagnan. — Zaczynam cię pojmować.

— Zrozumiałeś go?... — rzekł Portos.

— A czy ty rozumiesz, Grimaudzie? — zapytał Aramis.

Grimaud dał znak, że wie, o co chodzi.

— Tego tylko potrzeba — rzekł Atos — a teraz powróćmy do mego projektu.

— A jednak i ja bym chciał zrozumieć — przerwał Portos.

— To zbyt proste.

— Tak, tak, zaczynaj; jaki jest twój pomysł? — zawołali razem Aramis i d'Artagnan.

— Milady, ta kobieta, ten potwór, ten szatan, ma szwagra, jakieś mi to mówił, d'Artagnanie.

— Znam go doskonale i zdaje mi się, że nie żywi on wielkiej sympatii dla bratowej.

— Nic w tym złego — rzekł Atos — gdyby ją nawet nienawidził, lepiej by jeszcze było.

— W takim razie mamy to, czego potrzeba.

— A jednak — przerwał Portos — chciałbym koniecznie wiedzieć, co i dlaczego robi Grimaud.

— Cicho, Portosie!... — rzekł Aramis.

— Jak się ten szwagier nazywa?

— Lord de Winter.

— Gdzie się obecnie znajduje?

— Wrócił do Londynu na pierwszą wieść o wojnie.

— Takiego człowieka właśnie potrzebujemy — mówił Atos — jego wypada uprzedzić o wszystkim. Doniesiemy mu, że jego zacna bratowa zamierza spełnić morderstwo i prosić będziemy, żeby ją miał na oku. Spodziewam się, iż jest w Londynie jakiś zakład, w rodzaju magdalenek⁴⁴³ lub sióstr pokutujących; zamknij tam panią bratową i będziemy spokojni.

— Tak — rzekł d'Artagnan — dopóki się stamtąd nie wymknie.

— O! Na honor — mówił Atos — za wiele wymagasz, kochany d'Artagnanie. Dałem, co mogłem, i uprzedzam, że nic lepszego już wymyślić nie potrafię.

— Ja uważam, że nie można wymyślić nic lepszego — rzekł Aramis — uprzedzamy jednocześnie królową i lorda de Winter.

— Dobrze, ale kto zawiezie listy do Tours i do Londynu?

— Ręczę za Bazina.

— A ja za Plancheta — dodał d'Artagnan.

⁴⁴³magdalenki — żeński zakon katolicki założony w XIII w. [przypis edytorski]

— W rzeczy samej — odezwał się Portos — jeżeli nam nie wolno opuszczać obozu, nasi służący mogą to uczynić w każdej chwili.

— Damy im pieniądze — ciągnął Atos. — Macie przecież pieniądze?

Przyjaciele spojrzeli po sobie; chmura smutku osiadła na czołach na chwilę rozjaśnionych.

— Baczność! — krzyknął d'Artagnan. — Widzę punkciki czarne i czerwone poruszające się w oddali. Coś ty mówił o jednym pułku, Atosie? To prawdziwa armia.

— Na honor! Tak jest — potwierdził Atos. — Widzisz ich, hipokrytów obrzydłych! Podchodzą nas cichutko! Hola! Grimaud, skończyłeś robotę?

Grimaud dał znak, że ukończył, i wskazał kilkunastu truposzów poustawianych w malowniczych pozach; jedni stali pod bronią jak na warcie, inni celując z muszkietów, inni znów ze szpadą w ręce.

— Brawo! — rzekł Atos. — Czyni to honor bujnej fantazji.

— Wszystko mi jedno — zaczął znów Portos — chciałbym jednakże zrozumieć...

— Zmykajmy najpierw — rzekł d'Artagnan — potem zrozumiesz...

— Chwilkę, panowie, chwileczkę, niech Grimaud sprzątnie nakrycie.

— Oho! — zawołał Aramis. — Otóż punkciki czarne i czerwone powiększają się nader widocznie; podzielam zdanie d'Artagnana. Sądzę, że nie trzeba tracić czasu.

— Na uczciwość — rzekł Atos — nie mam już nic przeciw rejteradzie⁴⁴⁴. Założyliśmy się o godzinę, siedzieliśmy półtorej. Nie opieram się zatem; wychodźmy, panowie, wychodźmy.

Grimaud już ich wyprzedził z nakryciem w koszu.

Czterech zuchów podążyło za nim i uszli już kawałek drogi.

— A! Do diabła — krzyknął Atos — cośmy uczynili najlepszego?

— Zapomniałeś czegoś? — zapytał Aramis.

— A sztandar, na Boga?! Nie trzeba zostawiać swojej chorągwi, choćby ta chorągiew była jedynie serwetą.

Atos puścił się pędem z powrotem, dopadł bastionu, wdrapał się na platformę i zerwał sztandar, ale mieszkańcy La Rochelle zbliżyli się już na odległość strzału i dali straszny ogień do człowieka, który, jakby dla przyjemności, wystawiał się na strzały. Można by rzec, iż czary jakieś osłaniały Atosa, kule świsnęły dokoła niego, a żadna ani drasnęła. Atos potrząsł sztandarem, zwracając się tyłem do załogi miasta, a salutując wojsku w obozie.

Z dwóch stron powstał wielki krzyk; z jednej był to okrzyk wściekłości, z drugiej uwielbienia.

Druga kanonada nastąpiła po pierwszej; trzy kule trafiły serwetę i dziurawiąc, uczyniły z niej prawdziwy sztandar! Cały obóz wrzeszczał:

— Schodź na dół! Schodź prędzej!

Atos zszedł nareszcie. Przyjaciele oczekiwali go z niepokojem, powitali z radością.

— Chodźmy, Atosie, chodźmy — rzekł d'Artagnan — wyciągajmy nogi. Teraz, kiedyśmy wszystko znaleźli, prócz pieniędzy, byłoby głupio dać się zabić.

Lecz Atos kroczył wciąż poważnie, pomimo nalegań przyjaciół, którzy przekonawszy się wreszcie, że nic nie wskórają, dostosowali się do niego zupełnie.

— Co to jest? — zapytał Portos. — Do czego oni strzelają? Nie słyszę ani gwizdania kul, ani też nie widzę nikogo.

— Walą w naszych truposzów — odparł Atos.

— Ależ oni im nie odpowiedzą?

— Rzeczywiście. Pomyślą, że to zasadzka, i zaczną się naradzać. Wyślą parlamentarza⁴⁴⁵ i kiedy przekonają się, że to jedynie żart, będziemy już daleko. Dlatego nie potrzebujemy męczyć się szybkim chodzeniem.

— A! Teraz zrozumiałem! — rzekł Portos zachwycony.

— No, przecie! — mruknął Atos, wruszając ramionami.

Francuzi widząc naszych przyjaciół powracających wolnym krokiem, nie ustawali w okrzykach uwielbienia.

⁴⁴⁴rejterada — ucieczka. [przypis edytorski]

⁴⁴⁵parlamentarz — dziś: parlamentarzysta, posłaniec wojenny, który z białą flagą symbolizującą pokojowe zamiary idzie do dowódcy wrogu, aby omówić możliwości zawieszenia broni lub kapitulacji jednej ze stron. [przypis edytorski]

Na koniec dała się słyszeć nowa kanonada — tym razem kule płaszczyły się o kamienie na drodze dokoła czterech przyjaciół i gwizdały grobowo około uszu. Mieszkańcy La Rochelle nareszcie zdobyli bastion.

— To bardzo niezręczni ludzie — odezwał się Atos — iluśmy ich tam trupem położyli? Dwunastu?

— Może piętnastu.

— Ilu zmiażdżyliśmy?

— Ośmiu lub dziesięciu.

— A my ani draśnięcia?... O! Co to jest?! Co ci się stało w rękę, d'Artagnanie? Krew, jeśli się nie myłę.

— Bagatela — rzekł d'Artagnan.

— Kula zblakana?

— E! Nie.

— Więc cóż zatem?

Mówiliśmy już, że Atos kochał d'Artagnana jak własne dziecko. Człowiek ten, niezłomny i zamknięty w sobie, okazywał niekiedy młodzieńcowi troskliwość iście ojcowską.

— Nic wielkiego — odparł d'Artagnan — ściana przygniotła mi palec, ten oto z pierścieniem, i kamień zranił mnie do krwi...

— Ot widzisz, jaka to korzyść z posiadania diamentów i strojenia się jak fanfaron⁴⁴⁶ — rzekł Atos z pogardą.

— Jak to? — zawołał Portos. — Diament jest i my się uskarżamy na brak pieniędzy?

— Racja! — rzekł Aramis.

— Nareszcie i Portos podał dobrą myśl.

— Bez wątpienia — odparł Portos dumny z pochwały Atosa — ponieważ jest diament, sprzedajmy go...

— Ależ ten pierścień pochodzi od królowej — przerwał d'Artagnan.

— Tym bardziej — podchwycił Atos. — Królowa ocala pana Buckingham, swego kochanka, to bardzo słuszne; królowa ocala nas, swoich wiernych przyjaciół, nie ma nic moralniejszego. Sprzedajmy zatem diament. Cóż pan opat o tym myśli? Nie pytam o zdanie Portosa, on już je wygłosił.

— Myślę — rzekł Aramis, czerwieniąc się — że jego pierścień nie pochodzi od kochanki, nie jest zatem zakładem miłości. D'Artagnan może go sprzedać.

— Mój drogi, mówisz jak uosobiona teologia. Więc twoim zdaniem?...

— Sprzedać pierścione — odrzekł Aramis.

— Kiedy tak — rzekł d'Artagnan wesoło — sprzedajmy diament i więcej o nim nie mówmy.

Strzelanie z bastionu nie ustawało, lecz mało to obchodziło czterech przyjaciół, albowiem kule już ich nie dosięgały, a mieszkańcy La Rochelle strzelali tylko dla zaspokojenia sumienia.

— Na honor, w sam czas Portos wystąpił ze swoim projektem, bo oto jesteśmy w obozie. Zatem, panowie, ani słowa więcej o tym interesie. Patrz na nas, idą na spotkanie. Zapewne porwą nas na ręce i poniosą triumfalnie.

W rzeczy samej, jak to już mówiliśmy, cały obóz był w ruchu. Z górą dwa tysiące osób przypatrywało się szczęśliwej junakierii czterech przyjaciół, a nikt się nie domyślał jej prawdziwego powodu.

Rozlegały się okrzyki dokoła: „Niech żyje gwardia! Niech żyją muszkietierowie!”

Pan de Busigny podszedł pierwszy do Atosa, uściskał mu ręce i przyznał, że zakład przegrany. Dragon i szwajcar podążyli za panem de Busigny, a za nimi wszyscy ich towarzysze.

Nastąpiły powinszowania, uściski rąk, pocałunki do nieskończoności i wybuchy śmiechu niepohamowanego z powodu niezaradności mieszkańców La Rochelle. Na koniec powstał tak okropny zgiewk, że pan kardynał myślał, iż to bunt chyba; wysłał La Houdinière, kapitana swojej straży, aby dowiedział się, co to znaczy.

Całą rzecz opowiedziano wysłańcowi z ubarwieniem, jak zwykle, pod wrażeniem uniesienia.

⁴⁴⁶fanfaron (pogard.) — zrozumialec. [przypis edytorski]

— No, cóż tam takiego? — zapytał kardynał, ujrawszy La Houdinière.

— A to, Eminencjo — rzekł tenże — że trzech muszkietarów i jeden gwardzista założyli się z panem de Busigny, iż zjedzą śniadanie w bastionie świętego Gerwazego; poszli tam i jedząc, odpierali nieprzyjaciela przez dwie godziny i natłukli ogromną masę mieszkańców La Rochelle.

— Czy dowiedziałeś się, jak się nazywają ci trzej muszkietarowie?

— Tak, Eminencjo.

— Jakże się nazywają?

— Panowie Atos, Portos i Aramis.

— Zawsze ci trzej waleczni!... — mruknął kardynał. — A gwardzista?...

— Pan d'Artagnan.

— Zawsze mój młody zapaleniec!... Stanowczo ci ludzie muszą do mnie należeć.

Wieczorem kardynał rozmawiał z panem de Tréville o porannej wyprawie; cały obóz mówił jedynie o tym.

Pan de Tréville, który słyszał o wszystkim od bohaterów wycieczki, opowiedział ją kardynałowi również ze wszystkimi szczegółami, nie pominawszy epizodu z serwetą.

— Dobrze, panie de Tréville — rzekł kardynał — zachowaj tę serwetę. Każę na niej wyhaftować trzy lilie złote i dam ją jako sztandar dla twego pułku.

— Eminencjo — odrzekł pan de Tréville — będzie to z ujmą dla gwardii; pan d'Artagnan nie należy do mnie, lecz do pana des Essarts.

— No to go sobie zabierz — odrzekł kardynał — niesłuszne jest, aby tych czterech kochających się, dzielnych wojowników nie było razem w jednym pułku.

Tego samego dnia pan de Tréville oznajmił dobrą wieść trzem muszkietarom i d'Artagnanowi i zaprosił ich na śniadanie na następną dzień.

D'Artagnan nie posiadał się z radości.

Wiadomo, iż marzeniem jego życia było zostać muszkietarom.

Trzej przyjaciele także byli niesłychanie uradowani.

— Na honor — rzekł d'Artagnan do Atosa — twój pomysł był wzniosły i, jak przepowiedziałeś, okryliśmy się chwałą, a w dodatku mogliśmy tam porozmawiać o rzeczach wielkiego znaczenia.

— Możemy obecnie i tu się naradzać, a nikt nas nie będzie podejrzewać, albowiem, z pomocą Boga, możemy uchodzić teraz za kardynalistów.

D'Artagnan poszedł złożyć uszanowanie panu des Essarts i oznajmił mu o swoim wyniesieniu.

Pan des Essarts bardzo lubił d'Artagnana i ofiarował mu pomoc pieniężną, ponieważ zmiana kompanii pociągnęła za sobą wydatki na umundurowanie.

D'Artagnan odmówił, lecz korzystając ze sposobności, zostawił mu diament, prosząc, aby go ocenił, gdyż potrzebując pieniędzy, pragnie go sprzedać.

Nazajutrz o ósmej z rana lokaj pana des Essarts wszedł do d'Artagnana i oddał mu woreczek złota, zawierający siedem tysięcy liwrow.

Była to wartość diamentu królowej.

ROZDZIAŁ XXI. INTERESY FAMILIJNE

Tak Atos nazwał obecne zajęcia. Sprawa rodzinna nie podlegała kontroli kardynała ani też nie obchodziła kogokolwiek; można było zajmować się nią otwarcie.

Atos zatem wymyślił określenie: *interesy familijne*.

Aramis poddał⁴⁴⁷ myśl użycia pacholków.

Portos wynalazł sposób wykonania, którym był: *diament królowej*.

Jedynie d'Artagnan nic nie odkrył; on, zwykle najpomysłowszy z nich czterech. Wypada przyznać, że jego paraliżowało samo to słowo... *milady*.

A!... Prawda... Zapomnieliśmy: odkrył on kupca na diament!

Śniadanie u pana de Tréville odbyło się wesoło i przyjemnie. D'Artagnan miał już na sobie mundur. Ponieważ był jednakowego wzrostu z Aramisem, ten zaś, jak wiadomo,

⁴⁴⁷ *poddać* — tu: odpowiedzieć. [przypis edytorski]

hojnie zapłacony przez księgarza, nabywcę poematu, kazał sobie zrobić parę kompletnych ubrań, odstąpił przeto przyjacielowi całe umundurowanie.

D'Artagnan byłby już u szczytu marzeń, gdyby nie myśli o milady, które, na podobieństwo groźnej chmury, zasłaniały mu horyzont.

Po śniadaniu postanowiono zejść się wieczorem w mieszkaniu Atosa i tam ostatecznie naradzić się, co dalej czynić. Nasz Gaskończyk spędził cały dzień na pokazywaniu się w ubraniu muszkieterskim po wszystkich ulicach obozu.

Wieczorem, o umówionej godzinie, czterech przyjaciół znalazło się razem; należało postanowić trzy rzeczy: co napisać do brata milady, co napisać do zręcznej osóбки w Tours i którzy ze służących poniosą te listy.

Każdy zalecał swego.

Atos wychwalał dyskrecję Grimauda, mówiącego tylko wtedy, gdy mu jego pan odsznurował gębę; Portos rozповідаł o sile Mousquetona, który był tak ogromny, że mógł dać radę czterem ludziom zwyczajnego wzrostu; Aramis, ufając zręczności Bazina, wysławiał zdolności swego kandydata; na koniec d'Artagnan pokładał nieograniczoną ufność w odwadze i śmiałości Plancheta i przypominał, jak się popisał w trudnej wyprawie londyńskiej.

Te cztery doskonałości długo walczyły o pierwszeństwo, a ich panowie rozprawiali i starali się dowieść, że każdy ma rację, czego nie będziemy powtarzać z obawy przed nudzeniem czytelnika.

— Niestety — rzekł Atos — ten, którego wysłemy, powinien posiadać cnoty wszystkich czterech.

— A gdzie znaleźć podobnego lokaja?

— Nie ma takiego na świecie — dodał Atos — wiem o tym doskonale; weźcie zatem Grimauda.

— Weźcie Mosquetona.

— Weźcie Plancheta. On jest odważny i zręczny, to dwie najważniejsze zalety.

— Panowie — odezwał się Aramis — nie chodzi tu o to, który z naszych służących jest najdyskretniejszy, najsilniejszy, najzręczniejszy lub najodważniejszy; przede wszystkim trzeba wiedzieć, który z nich najbardziej lubi pieniądze.

— Święta prawda, Aramisie — odparł Atos. — Trzeba liczyć na wady ludzkie, a nie na cnoty. Szanowny książę! Jesteś wielkim moralistą.

— Zapewne — rzekł Aramis — bo nie tylko potrzebujemy być dobrze obsłużeni, aby nam się udało, ale jeszcze musimy się zabezpieczyć od przegranej, bo idzie tu o głowy, i to nie o lokajskie...

— Ciszej, Aramisie!

— Prawda, lokaje wyjdą cali — ciągnął Aramis — ale ich panowie!... Czy nasi służący są nam tak oddani, aby poświęćali swoje życie dla nas? Nie, z pewnością nie...

— Na honor — odezwał się d'Artagnan — ręczyłbym prawie za Plancheta.

— Kiedy tak, kochany przyjacielu, dodaj zatem do jego wierności dobrą sumkę pieniędzy, która zapewniłaby mu dostatek, a wtedy będziesz mógł ręczyć za niego z pewnością.

— O!... Boże wielki!... I tak zostaniecie oszukani — rzekł Atos, wielki pesymista, gdy szło o ludzi. — Przyrzekną wam wszystko, aby dostać pieniądze, a w drodze strach im rozum odbierze. Gdy ich złapią, zastraszą, wygadają najtajniejsze polecenia. Cóż, u diabła?... Przecież nie jesteśmy dziećmi!... Aby dotrzeć do Anglii — Atos zniżył głos — trzeba przebyć całą Francję, zasianą szpiegami i kreaturami kardynała; trzeba paszportu, aby móc wsiąść na okręt; trzeba umieć po angielsku, aby dać sobie radę w Londynie. Przyznam się, że to mi się bardzo trudne wydaje...

— Ależ gdzie tam — rzekł d'Artagnan, który pragnął, ażeby rzecz doszła do skutku — według mnie, przeciwnie, nie ma nic łatwiejszego. Ma się rozumieć, że gdy wypiszemy do lorda de Winter niestworzone rzeczy, okropności o kardynale...

— Ciszej! — przerwał Atos.

— ...o intrygach i tajemnicach stanu — ciągnął d'Artagnan, stosując się do przestrogi — wtedy bez wątpienia czeka nas łamanie kołem; lecz, na Boga, nie zapominaj, że sam mówiłeś, iż napiszemy w sprawie czysto familijnej, po to tylko, aby milady, od chwili

Sluga, Pan

Sluga, Pieniądz, Cnota

Człowiek, Przysięga,
Pieniądz

przybycia do Londynu, uczynił dla nas nieszkodliwą. Ja sam napiszę do niego mniej więcej w tym sensie:...

— Słuchamy — rzekł Aramis, przybierając naprzód minę krytyka.

— „Szanowny panie i drogi przyjacielu...”

— A! Tak: „kochany przyjacielu” do Anglika — przerwał Atos — dobry początek! Brawo, d’Artagnanie! Za to jedno słowo będziesz poćwiartowany, zamiast być łamany kołem.

— No to napiszę tylko: „panie”.

— Możesz nawet napisać: „milordzie” — dodał Atos, dbały o przyzwoitość.

— „Milordzie, czy pamiętasz małą łączkę, gdzie kozy się pasły, w Luksemburgu?”

— Dobryś! Teraz Luksemburg! Pomyśl, że to aluzja do królowej matki! Dowcipniś, ani słowa — rzekł Atos.

— Napiszę więc po prostu: „Milordzie, czy przypominasz sobie łąkę, gdzie ci życie darowano?”

— Kochany d’Artagnanie — odezwał się Atos — nie będziesz nigdy dobrym re-daktorem: „Gdzie ci życie podarowano!”... Fe, to niegodne. Nie przypomina się takiej przysługi uczciwemu człowiekowi. Dobrodziejstwo wymówione staje się obrazą.

Dobro

— O! Mój kochany — przerwał d’Artagnan — nieznosny jesteś i, jeżeli mam pisać pod twoją cenzurą, to, na honor, ani myślę...

— I dobrze zrobisz. Wywijaj muszkietem i szpadą, mój drogi, doskonale się z tych dwóch rzeczy wywiązujesz, lecz pióro oddaj księdzu dobrodziejowi, jemu się ono z prawa należy.

— O tak, rzeczywiście — rzekł Portos — oddaj pióro Aramisowi, on przecie pisuje wypracowania po łacinie!

— Niechże tak będzie — rzekł d’Artagnan — zredaguj ten list, Aramisie. Lecz uprzedzam cię, trzymaj się dobrze, bo i ja potrafię krytykować.

Poeta

— Owszem, krytykuj — odezwał się Aramis z naiwną ufnością w siebie, jaką w ogóle poeci się odznaczają — proszę tylko obeznać mnie ze szczegółami; wprawdzie słyszałem już, że ta pani jest wielkie ladaco⁴⁴⁸ i przekonałem się nawet o tym, słuchając jej rozmowy z kardynałem.

— Mówże ciszej, do wszystkich diabłów! — krzyknął Atos.

— Lecz — ciągnął Aramis — zapomniałem niektórych szczegółów...

— I ja także — dodał Portos.

D’Artagnan i Atos spojrzeli po sobie w milczeniu. Na koniec Atos zbladł okrutnie i uczynił po namyśle gest, który zrozumiał d’Artagnan i zaczął znów mówić:

— Otóż tak trzeba napisać: „Milordzie, twoja bratowa jest zbrodniarką, chciała ona kazać cię zabić, aby odziedziczyć twój majątek. Lecz nieprawnie poślubiła twego brata, ponieważ była zamężna we Francji, gdzie została...”

Piętno

— „Wypędzona przez męża” — przerwał Atos.

— „Ponieważ przekonał się, iż jest napiętnowana” — dodał d’Artagnan.

— Wielki Boże!... — krzyknął Portos. — Więc ona chciała zabić swego szwagra?

— Tak.

— Była zamężna? — zapytał Aramis.

— Tak.

— Jej mąż dostrzegł, że ma kwiat lilii na ramieniu? — zawołał Portos.

— Tak.

Te trzy *tak* Atos wypowiadał głosem coraz to smutniejszym.

— Kto jeszcze widział ten kwiat lilii?... — zapytał Aramis.

— D’Artagnan i ja, a raczej mówiąc ściślej, ja i d’Artagnan.

— Czy mąż tej ohydnej istoty jeszcze żyje?

— Tak, żyje...

— Jesteś tego pewny?

— Jak najpewniejszy.

Nastąpiła chwila grobowej ciszy; każdy czuł się po swoim wzruszony.

⁴⁴⁸ladaco — ktoś niewiele wart, nicpoń. [przypis edytorski]

— Tym razem — zaczął Atos, pierwszy przerywając milczenie — d'Artagnan dał nam doskonały program i to właśnie trzeba najpierw napisać.

— Do diabła! Masz rację — odparł Aramis — ale zredagowanie tego jest nad wyraz trudne. Sam pan kanclerz byłby w kłopotcie, chcąc napisać list w tym sensie, a przecież kanclerz bardzo przyjemnie pisze. Mniejsza jednak o to! Uciszczone się tylko, panowie, zaczynam pisać.

Aramis wziął pióro, zamyślił się chwilę i nakreślił kilkanaście wierszy prześliznym, drobnym, iście kobiecym charakterem; następnie słodkim i powolnym głosem, kładąc nacisk na każde zdanie, czytał, co następuje:

Milordzie! Osoba pisząca te kilka słów miała zaszczyt skrzyżować z panem szpadę na małym placu przy ulicy d'Enfer. Od tego czasu byłeś łaskaw głosić się przyjacielem tej osoby, ona też, wdzięczna za życzliwość, odpłaca się, przesyłając przestrożę i dobrą radę. Już dwa razy o mało nie stałeś się ofiarą zawziętości twojej bliskiej krewnej, którą uważasz za swoją spadkobierczynię, albowiem nie wiesz o tym, iż wprzód, nim zawarła małżeństwo w Anglii, była już zamężna we Francji. Lecz obecnie, za trzecim razem, możesz zostać zwyciężony. Pańska krewna wyjechała z La Rochelle do Anglii w nocy. Jeżeli chcesz przekonać się, do czego jest zdolna, znajdziesz jej przeszłość wypisaną niezamazanym znakiem na jej lewym ramieniu.

Kobieta demoniczna, Piętno

— Otóż to ślicznie napisane — rzekł Atos — masz styl sekretarza stanu, kochany Aramisie. Lord de Winter będzie miał się obecnie na baczności, jeśli tylko ostrzeżenie przyjdzie w porę. A gdyby nawet wpadło w ręce Jego Eminencji, nie może nas skompromitować. Ponieważ jednak służący, którego wysłamy, mógłby nas okłamać i powiedzieć, iż był w Londynie, a dotarł tylko zaledwie do Châtellerault, daj mu zatem razem z listem tylko połowę przyobiecanej sumy, resztę zaś niech dostanie w zamian za przyniesioną odpowiedź. Czy masz swój diament?

— Mam coś lepszego, bo pieniądze. — I d'Artagnan cisnął worek na stół.

Na dźwięk złota Aramis się obejrzał, Portos zadrżał, Atos zaś pozostał obojętny.

— Ile jest w tym woreczku? — zapytał.

— Siedem tysięcy liwrów w luidorach dwunastofrankowych.

— Siedem tysięcy!... — zawołał Portos. — Ten brzydki, mały diament wart był aż tyle?

— Okazuje się — rzekł Atos — ponieważ je tu widzimy, a wątpię, aby nasz przyjaciel d'Artagnan dołożył coś ze swoich pieniędzy.

— Z tym wszystkim, panowie — odezwał się d'Artagnan — zapominamy zupełnie o królowej. Trzeba pomyśleć też o bezpieczeństwie jej ukochanego Buckingham. Winniśmy to naszej królowej.

— Słusznie — rzekł Atos — lecz to do Aramisa należy.

— Cóż mam więc uczynić? — odparł tenże, czerwieniąc się.

— Nic nadzwyczajnego. Napisz drugi list do owej zręcznej osóbkę, która mieszka w Tours.

Aramis znów wziął pióro, zebrał myśli, napisał, co następuje, i poddał ocenie swoich przyjaciół.

„Kochana kuzynko!”

— Aha! — przerwał Atos. — Ta pani, taka zręczna, jest twoją kuzynką?

— Siostrą cioteczną...

— Niechże będzie i tak...

Aramis czytał dalej:

Kochana kuzynko! Jego Eminencja pan kardynał, którego niech Bóg zachowa jak najdłużej dla szczęścia Francji i hańby jej wrogów, zakończy niedługo rozprawę ze zbuntowanymi heretykami La Rochelle. Prawdopodobnie nie otrzymają oni pomocy od floty angielskiej. Zdaje mi się, że pan Buckingham, zaskoczony wypadkiem wielkiej doniosłości, nie będzie w stanie wyruszyć z pomocą. Jego Eminencja jest najznakomitszym politykiem

Przywódca, Władza

czasów przeszłych, teraźniejszych, a prawdopodobnie i przyszłych. Zagasiłby on samo słońce, gdyby mu ono przeszkadzało. Opowiedz o tych szczęśliwych okolicznościach swej siostrze, moja droga kuzynko. Miałem sen, iż ten przekłety Anglik zginął... Nie mogę tylko sobie przypomnieć, czy od żelaza, czy od trucizny; to tylko pewne, iż mi się śniło, że zginął. A wiesz dobrze o tym — moje sny zawsze się sprawdzają. Bądź zdrowa, zobaczymy się niedługo.

— Cudownie! — zawołał Atos. — Jesteś królem poetów, drogi Aramisie, wyrażasz się niezrozumiale jak Apokalipsa, a prawdziwie jak Ewangelia. Pozostaje jedynie napisanie adresu na tym liście.

— Nic łatwiejszego — rzekł Aramis. Złożył elegancko liścik i napisał:

„Do panny Michon, właścicielki składu bielizny w Tours”.

Trzech przyjaciół z uśmiechem spojrzeli na siebie.

— A teraz — rzekł Aramis — pojmujecie, panowie, że tylko Bazin może zanieść ten list do Tours. Moja kuzynka zna go i mu ufa. Każdy inny mógłby popsuć całą sprawę. W dodatku Bazin jest żądny wyniesienia i uczonej; czytał on historię i wie doskonale, iż Sykstus V⁴⁴⁹ został papieżem, chociaż w młodości pasł trzodę chlewną. Otóż, ponieważ ma on zamiar wstąpić do stanu duchownego jednocześnie ze mną, nie wątpi zatem, że zostanie papieżem, a przynajmniej kardynałem. Pojmujecie zatem, że człowiek o takiej ambicji nie da się złapać lub jeżeli zostanie ujęty, pozwoli się umęczyć, ale nic nie wygada.

— Dobrze, dobrze — przerwał d'Artagnan — zgadzam się chętnie na Bazina, lecz proszę o uznanie i dla Plancheta; milady kazała go niegdyś za drzwi wyrzucić, kazała go obić okrutnie. Planchet ma dobrą pamięć i ręczę, że gdy mu się trafi sposobność zemsty, prędzej da się zamęczyć, niż się jej wyrzeknie. Nie mieszam się wcale do twoich interesów w Tours, Aramisie, lecz w Londynie jest moja sprawa osobista. Proszę zatem, aby Planchet tam się udał; był on już tam ze mną i potrafi bardzo poprawnie wypowiedzieć: *London, sir, if you please*⁴⁵⁰, a także: *my master*⁴⁵¹, *lord d'Artagnan*. Widzicie więc, że da sobie radę i tam, i z powrotem.

— Kiedy tak — rzekł Atos — to trzeba dać Planchetowi siedemset liwrow na drogę do Londynu i siedemset, jak powróci; Bazin dostanie trzysta liwrow i trzysta po powrocie. Zmniejszy to nasz kapitał do pięciu tysięcy liwrow, weźmiemy więc każdy po tysiącu i użyjemy, na co nam się spodoba, a tysiąc oddamy do schowania naszemu księżulkowi, aby mieć na nieprzewidziany wypadek lub na wspólne potrzeby. Czy zgadzacie się, panowie?

— Kochany Atosie — rzekł Aramis — mówisz jak Nestor⁴⁵², który był, jak wiadomo, największym mędrcom Grecji.

— Więc już ułożone — ciągnął Atos — Planchet i Bazin pojedą. Nie gniewa mnie to wcale, że Grimaud zostaje przy mnie. Zna już moje zwyczaje, a ja to lubię. Wczorajszy dzień dużo go kosztował, podróż by go dobiła.

Przywołano Plancheta i objaśniono go, co ma robić.

— Schowam list za podszewkę ubrania — rzekł Planchet — i połknę go, gdy mnie złapią.

— Tym sposobem nie będziesz mógł spełnić polecenia — powiedział d'Artagnan.

— Niech mi pan da kopię listu dziś wieczorem, a jutro już będę umiał ją na pamięć.

D'Artagnan spojrział na przyjaciół, jak gdyby chciał im powiedzieć: „A co, nie mówiliście?”.

— A teraz — dodał, zwracając się do Plancheta — masz osiem dni na dostanie się do lorda Wintera, osiem na drogę powrotną, razem dni szesnaście. Jeżeli szesnastego dnia od daty wyjazdu nie powrócisz o ósmej godzinie wieczorem, nie dostaniesz ani grosza, choćbyś powrócił pięć minut po ósmej.

— Skoro tak, to proszę pana o kupienie mi zegarka.

Poeta

Ambicja, Religia, Książd

⁴⁴⁹Sykstus V (1521–1590) — papież w latach 1585–1590, zreformował Kościół katolicki; pochodził z biednej rodziny, był synem rolnika. [przypis edytorski]

⁴⁵⁰*London, sir, if you please* (ang.) — Londyn, pan, bądź łaskaw. [przypis edytorski]

⁴⁵¹*my master* (ang.) — mój mistrz. [przypis edytorski]

⁴⁵²*Nestor* (mit. gr.) — król Pylos, najstarszy uczestnik wojny trojańskiej, symbol wieku i związanego z nim doświadczenia. [przypis edytorski]

— Weź ten — rzekł Atos, dając mu swój z pańską obojętnością — i bądź chłopcem odważnym i uczciwym. Nie zapominaj, że gadulstwem, paplaniem i nieopatrznością narażasz głowę swojego pana, który tak wielką ufność pokłada w twojej wierności, iż zaręczył nam za ciebie. Lecz pamiętaj o tym, że jeżeli z twojej winy nieszczęście spotka d'Artagnana, nie ukryjesz się wtedy przede mną, znajdę cię i rozplątam w kawały.

— O! Panie łaskawy!... — przemówił Planchet, upokorzony podejrzeniem i przerażony poważną i spokojną miną muszkietera.

— A ja — dodał Portos, wytrzeszczając oczy straszliwie — obedrę cię ze skóry.

— O! Panie.

— Ja zaś — odezwał się Aramis głosem słodkim i melodyjnym — ja cię upiekę na wolnym ogniu jak dziki człowiek.

— O! Panie.

Planchet rozplakał się; nie śmiemy twierdzić, czy ze strachu z powodu pogroźek, jakie mu czyniono, czy z rozczulenia na widok jedności czterech przyjaciół.

D'Artagnan uściśnął mu rękę.

— Widzisz, Planchecie — rzekł — ci panowie mówią to wszystko przez przywiązanie do mnie, ale w gruncie rzeczy oni cię bardzo lubią.

— Przysięgam panu — rzekł Planchet — albo zrobię wszystko według rozkazu, albo mnie posiekają na drobne kawałki; lecz i w takim razie żadna moja cząsteczka nie piśnie o tajemnicy.

Postanowiono, iż Planchet wyruszy nazajutrz o ósmej z rana, aby mógł, jak o to prosił, nauczyć się listu na pamięć. Rano, gdy już dosiadł konia, d'Artagnan, który miał zawsze w sercu słabość do księcia Buckinghama, odprowadził Plancheta na stronę i rzekł:

— Słuchaj dobrze, co ci powiem: gdy doręczysz list lordowi de Winter i gdy go już przeczyta, dodasz od siebie te słowa: „Strzeż pan dobrze Jego Wysokości księcia Buckinghama, gdyż chcą go zamordować”. Pamiętaj, Planchecie, że jest to tak ważne a konieczne, iż bez wiedzy moich przyjaciół powierzam ci tę tajemnicę, a nawet za tytuł generała nie napisałbym jej w liście.

— Niech pan będzie spokojny, przekona się pan, iż można na mnie liczyć.

Wskoczył na doskonałego konia, którego miał zostawić o dwadzieścia mil od obozu, a dalej jechać pocztą⁴⁵³, i puścił się galopem, z sercem nieco ściśniętym z powodu potrójnej obietnicy uczynionej mu przez muszkieterów, lecz poza tym pełen otuchy i dobrej myśli.

Bazin wyjechał z rana do Tours; przeznaczono mu tydzień na spełnienie polecenia. Czterech przyjaciół przez czas nieobecności wysłańców więcej niż zwykle miało wyteżony słuch, wzrok i węch. Całe dnie im schodziły na podsłuchiwanie, co mówiono, na szpiegowaniu, co się dzieje u kardynała, i podpatrywaniu, skąd gońcy przybywają. Przestrach, niczym niepokonany, ogarniał ich, ilekroć wezwani zostali niespodzianie dla pełnienia jakiejś czynności z rozkazu kardynała.

Musieli też strzec się zasadzki każdy z osobna; miłady była zjawiskiem, które gdy raz się komuś ukazało, spędzało już sen spokojny z oczu tego człowieka.

W tydzień potem Bazin, czysty i elegancki jak zawsze, uśmiechnięty według zwyczaju, wszedł do oberży „Parpaillot”, gdzie czterej muszkieterowie siedzieli przy śniadaniu, i rzekł, jak mu polecono:

— Panie Aramisie, oto jest odpowiedź pańskiej kuzynki.

Współbiesiadnicy spojrzeli po sobie uszczęśliwieni — połowa zadania zatem spełniona, co prawda krótsza i łatwiejsza.

Aramis, czerwieniąc się mimo woli, wziął list napisany niewprawnym charakterem i nieortograficznie.

— Boże wielki!... — zawołał, śmiejąc się. — Stanowczo tracę nadzieję, nigdy już widać ta biedna Michon nie będzie tak pisała jak pan de Voiture.

— Cóż to za biedna Michon?... — zapytał szwajcar, który rozmawiał właśnie z muszkieterami, gdy list przyszedł.

— O mój Boże! Mała rzecz — odrzekł Aramis — pewna właścicielka składu bielizny, śliczna dziewczyna, którą kochałem serdecznie i którą prosiłem o napisanie kilku słów do mnie na pamiątkę.

⁴⁵³poczta — tu: konie pocztowe, dylizans. [przypis edytorski]

— Do licha!... — zawołał szwajcar. — Jeżeli taka piękna jak jej pismo, nie zazdroścę ci szczęścia, mój towarzyszu.

Aramis przeczytał list i podał Atosowi.

— Zobacz, co ona pisze — powiedział.

Atos rzucił okiem na kartkę i dla odwrócenia wszelkich podejrzeń czytał głośno:

Kochany kuzynku, obydwie z siostrą doskonale odgadujemy sny i nawet boimy się ich okrutnie. Lecz mam nadzieję, że o twoim śnie będzie można powiedzieć: *co sen, to kłamstwo. Adieu!*⁴⁵⁴ Życzymy ci zdrowia, a staraj się, abyśmy od czasu do czasu miały wiadomości od ciebie. Maria Michon

— O jakim śnie ona mówi?... — zapytał dragon, zbliżywszy się podczas czytania.

— Tak, o jakim śnie?... — dodał szwajcar.

— O! Moi panowie — rzekł Aramis — to nic nadzwyczajnego; miałem sen dziwny i opisałem go.

— O tak, to bardzo naturalne opowiadać swoje sny, lecz ja nigdy nie śnię!

— Bardzo pan szczęśliwy — odezwał się Atos, powstając — chciałbym o sobie to samo powiedzieć.

— Nigdy mi się nic nie śni — dodał szwajcar zachwycony, że człowiek taki jak Atos zazdrości mu czegoś — nigdy! O! Nigdy!

D'Artagnan widząc, że Atos się podniósł, uczynił to samo, wziął go pod rękę i wyszedł razem z nim.

Portos i Aramis pozostali jeszcze z dragonem i szwajcarem.

Bazin zaś poszedł i rzucił się spać na pęku słomy, a ponieważ miał bujniejszą imaginację niż szwajcar, śnił zatem, że Aramis został papieżem i kładł mu na głowę kapelusz kardynalski.

Lecz, jak to mówiliśmy, Bazin, powróciwszy szczęśliwie, tylko połowę kłopotu zdjął z głów czterech przyjaciół. Dni oczekiwania bywają nieskończenie długie; d'Artagnan przede wszystkim poszedłby był o zakład, że mają one obecnie czterdzieści osiem godzin. Zapomniał o nieprzewidzianych przeszkodach w podróży morskiej, przesadzał w myśli wszechwładzę milady. Zdawało mu się, że tej kobiecie przedstawiającej mu się w postaci szatana pomaga duch ciemności. Gdy spostrzegł jakiś ruch w obozie lub posłyszał hałas, wyobrażał sobie natychmiast, że to Plancheta złapali, że go prowadzą dla skonfrontowania z nim i z jego towarzyszami. Co więcej — zaufanie pokładane w zdolnościach zacnego Pikardyjczyka zmniejszało się z każdym dniem. Był tak niespokojny, tak niepewny, że uczucia te udzielały się Portosowi i Aramisowi. Jeden tylko Atos zachowywał się biernie, jak gdyby żadne niebezpieczeństwo mu nie groziło, i był pośród rozgorączkowanych przyjaciół chłodny i poważny jak zwykle.

Szesnastego dnia przede wszystkim niepokój tak gwałtowny opanował d'Artagnana, Portosa i Aramisa, że nie mogąc usiedzieć na miejscu, snuli się jak błędne cienie po drodze, którą miał powracać Planchet.

— Doprawdy — mówił im Atos — nie jesteście ludźmi skończonymi, lecz chyba dziećmi, kiedy wam jedna kobieta takiego strachu napędza. O cóż wam chodzi przede wszystkim? Wpakują nas do więzienia? Przecież wyciągną nas i stamtąd; dowodem pani Bonacieux, którą jednak potrafiono uwolnić. Głowy nam utną? Toż co dzień na fortyfikacjach narażamy się z wesołą myślą na gorsze rzeczy, ponieważ kula może nam strzaskać nogę, a przekonany jestem, że chirurg odejmując ją, sprawia nam więcej bólu niż kat, ucinając głowę. Oczekujcie zatem cierpliwie. Za dwie, za cztery, za sześć godzin Planchet będzie tutaj; obiecał, a ja pokładam wielką ufność w obietnicy Plancheta, wydaje mi się on bowiem uczciwym i walecznym chłopakiem.

— A jeżeli nie przyjedzie?... — powiedział d'Artagnan.

— To cóż z tego, jeżeli nie przyjedzie, to widać go zatrzymano, ot i wszystko. Mógł zlecieć z konia, stoczyć się z mostu do wody lub jechał tak szybko, że dostał zapalenia płuc. O!... Panowie!... Trzeba pamiętać, że różne wypadki czyhają na człowieka. Życie jest to różaniec złożony z przeciwności, którego ziarnka filozof przesuwają w rękach z uśmiechem na ustach. Bądźcie filozofami jak ja, moi panowie, siadajcie do stołu i pijmy, nigdy przyszłość nie wydaje się tak różowa, jak gdy patrzy się na nią przez szklankę chambertina.

⁴⁵⁴ *Adieu!* (fr.) — do widzenia! [przypisy edytorski]

Lekarz, Kat

Człowiek, Filozof, Życie
jako wędrówka

— Bardzo dobrze — odrzekł d'Artagnan — mnie już sprzykrzyła się obawa przy picciu i to przypuszczenie, że wino pochodzi z piwnicy milady.

— Wybredny jesteś diabelnie — mówił Atos — taka piękna kobietka!...

— Kobietka piętnowana!... — dodał Portos, grubo się śmiejąc.

Atos zatrząsł się, otarł zimny pot z czoła i wstał także, nie mogąc powstrzymać nerwowego drżenia.

Długi dzień upłynął, wieczór, choć powoli, zbliżał się jednak. Oberże napełniły się gośćmi. Atos, który wziął do kieszeni swoją część ze sprzedaży diamentu, prawie nie wychodził z „Parpaillot”. Znalazł w panu de Busigny, który dał im przewyborny obiad, partnera godnego siebie.

Grali też i pili razem, jak zwykle, gdy siódma wybiła; słychać było przejeżdżające patrole, zmieniające się warty. O wpół do ósmej zatrąbiono capstrzyk⁴⁵⁵.

— Jesteśmy zgubieni — szepnął d'Artagnan do ucha Atosowi.

— Chcesz powiedzieć, że straciliśmy — rzekł Atos, spokojnie wyjmując cztery pistolety z kieszeni i ciskając je na stół. — Dalej, panowie, trąbią na capstrzyk, idźmy spać!

Atos opuścił „Parpaillot” razem z d'Artagnanem. Aramis z Portosem szli pod rękę za nimi. Aramis przeżuwał jakieś wiersze, Portos od czasu do czasu targał wąsy na znak rozpaczy.

Lecz oto nagle, w ciemności, jakiś cień się rysuje, którego kształty są dobrze znane d'Artagnanowi, a znajomy głos odzywa się:

— Przynoszę płaszcz, proszę pana, wieczór mamy chłodny.

— Planchet!... — wykrzyknął d'Artagnan, nie posiadając się z radości.

— Planchet!... — powtórzyli Portos i Aramis.

— No tak... Planchet — dodał Atos — cóż w tym dziwnego?... Obiecał powrócić o ósmej, a właśnie ósma bije. Brawo, Planchecie!... Jesteś słowny i jeżeli kiedykolwiek opuścisz pana swojego, przyjmę cię do służby.

— O!... Nie... nigdy! — zawołał Planchet. — Nigdy nie odstąpię pana d'Artagnana.

I w tej chwili d'Artagnan poczuł, że Planchet wsuwa mu bilecik do ręki. Uszczęśliwiony miał ochotę uściskać wiernego sługę, jak to zrobił, gdy go wyprawiał, lecz zląkł się, aby taka publiczna oznaka czułości dla lokaja nie wydała się podejrzana przechodniom, i zostawił to na później.

— Mam list w ręku! — rzekł do przyjaciół.

— Chodźmy do siebie i przeczytamy — odparł Atos.

Bilet ten palił dłoń d'Artagnana i chciał pośpieszać co prędzej, lecz Atos wziął go pod rękę i młodzieniec musiał iść równie powoli jak jego towarzysz.

Na koniec weszli do namiotu; zapalono lampę, Planchet stanął przy drzwiach, aby nikt nie przeszkodził, d'Artagnan zaś drżącą ręką złamał pieczęć i otworzył tak oczekiwany list.

Zawierał on tylko pół wiersza pisma prawdziwie angielskiego i prostoty prawdziwie spartańskiej.

Thank you, be easy.

Co znaczyło:

„Dziękuję, bądźcie spokojni”.

Atos wziął list z rąk d'Artagnana, zbliżył do lampy i spalił.

Następnie, wołając Plancheta, rzekł mu:

— Obecnie, mój chłopcze, masz prawo upomnieć się o swoje siedemset liwrow, lecz z tego widzisz, iż nie było niebezpieczeństwa, żeś miał przy sobie bilecik tej treści.

— O, ja go tak strzegłem i tylu sposobów użyłem, aby go ukryć! — rzekł Planchet.

— Opowiedz nam to — powiedział d'Artagnan.

— O panie!... To bardzo długie.

— Masz rację, Planchecie — odezwał się Atos — capstrzyk już wytrąbiono, zwróć łoboj to uwagę, gdyby u nas dłużej się świeciło niż w innych namiotach.

— Niechże tak będzie — rzekł d'Artagnan — idźmy spać. Dobranoc, Planchecie, śpij dobrze!

⁴⁵⁵capstrzyk — w wojsku: ustalony sygnał wzywający na apel wieczorny lub do udania się na spoczynek. [przypis edytorski]

- O!... Proszę pana, będę spał spokojnie pierwszy raz od szesnastu dni.
- I ja także! — rzekł d'Artagnan.
- I ja także! — odezwał się Portos.
- I ja także! — dodał Aramis.
- Chcecie wiedzieć prawdę?... To i ja także — zakończył Atos.

ROZDZIAŁ XXII. ZRZĄDZENIE LOSU

Milady, pijana złością, rycząc prawie ze wściekłości jak lwica zamknięta w klatce, była gotowa rzucić się w wodę i powrócić na brzeg morski, nie mogła się bowiem oswoić z myślą, iż d'Artagnan ją znieważył, Atos zaś jej groził; i że opuszcza Francję, nie zemściwszy się na nich. Po niejakiem czasie jej położenie zdało się nie do wytrzymania. Nie dbając zatem o to, co z tego dla niej samej może wyniknąć, poczęła błagać kapitana, aby ją wysadził na ląd. Kapitan zaś, któremu pilno było wyjść z fałszywego położenia, a znajdował się przy tym pomiędzy strażami morskimi z jednej strony angielskimi, z drugiej francuskimi i pragnął jak najprędzej dostać się do Anglii, odmówił stanowczo posłuszeństwa temu, co nazywał kaprysem kobiecym, obiecując pasażerce, która była mu szczególnie polecena przez kardynała, że jeżeli morze będzie spokojne, a Francuzi pozwolą, wysadzi ją w jednym z portów Bretanii, w Lorient lub w Brest.

Tymczasem wiatr dał przeciwnie, morze się wzburzyło, trzeba było lawirować, płynąć w zygzak, nie posuwając się naprzód.

W dziesięć dni po wyjeździe z Charente milady, blada ze zmartwienia i wściekłości, ujrzała rysujące się w sianej mgłę brzegi Finistère⁴⁵⁶. Wylizyła więc, że do przebycia tego kawałka Francji i powrotu do kardynała potrzebowałaby najmniej trzech dni i jeden dzień na wylądowanie, to razem cztery. Dodawszy do tego dziewięć dni podróży, to już trzynaście straconych; trzynaście dni straconych, podczas których tyle ważnych wypadków mogło zajść w Londynie! Pomyślała także, że z pewnością kardynał byłby oburzony jej powrotem, a co za tym idzie, słuchałby z większą uwagą skarg, które by się na nią posypały niż tych, jakie ona zanosiłaby przeciw innym. Pozwoliła też minąć Lorient i Brest, nie zwracając uwagi kapitana, który ze swej strony nie miał zamiaru jej tego przypominać. Tak więc milady płynęła dalej, a tego samego dnia, w którym Planchet wsiadał na okręt w Portsmouth⁴⁵⁷ z powrotem do Francji, wysłanniczka Jego Eminencji wkraczała triumfalnie do portu.

Całe miasto było poruszone; cztery wielkie okręty, tylko co wykończone, spuszczano na morze.

Na wybrzeżu, błyszczący od złota, lśniący według zwyczaju diamentami i innymi drogimi kamieniami, w kapeluszu z białym piórem spadającym na ramię, stał Buckingham otoczony świtą, prawie tak jak on sam świetną.

Był to jeden z tych pięknych, rzadkich dni zimowych, w których nawet Anglia przypomina sobie, iż jest słońce na niebie. Chociaż miało się już pod zachód, jednak promienie słoneczne oblewały purpurą morze i niebo, złociły szczyty domów i pałaców miejskich i paliły się w szybach okien niby odbicie pożaru.

Nareszcie wpłynęli do portu, lecz w chwili gdy zabierano się do zarzucenia kotwicy, mała szkuta⁴⁵⁸, straszliwie uzbrojona, zbliżyła się do statku kupieckiego niby straż porbrzeżna; spuściła łódź, która skierowała się ku drabinie. W łodzi znajdowali się oficer, sternik i ośmiu wiosłarzy. Oficer tylko wszedł na pokład, gdzie go przyjęto z należnymi honorami.

Młody wojskowy przywołał patrona, mówił z nim chwilę i dał do przeczytania papiery, jakie miał przy sobie, po czym na rozkaz kapitana statku stawiała się cała załoga; majtkowie, pasażerowie, wszystkich na pokład przywołano.

Po tym rodzaju apelu oficer wypytywał na cały głos, z jakiego punktu statek odbił, którędy płynął, gdzie do lądu przybijał. Na wszystkie te zapytania kapitan odpowiadał śmiało, bez wahania. Wtedy oficer uczynił przegląd zgromadzonych, a zatrzymując się przy

Zima, Niebo, Morze,
Słońce

⁴⁵⁶ *Finistère* — departament w płn.-zach. Francji, w regionie Bretania. [przypis edytorski]

⁴⁵⁷ *Portsmouth* — miasto i dystrykt na płd. wybrzeżu Anglii w hrabstwie ceremonialnym Hampshire, niegdyś ważny port marynarki wojennej. [przypis edytorski]

⁴⁵⁸ *szkuta* (daw.) — niewielki jednomasztowy statek. [przypis edytorski]

milady, popatrzył na nią uważnie, lecz w milczeniu. Następnie zwrócił się do kapitana, przemówił słów parę i jak gdyby odtąd jemu statek powinien być posłuszny, nakazał obrót, jaki w tej chwili wykonano. Statek ruszył z miejsca, eskortowany przez szkutę, która płynęła równo z nim i zdawała się grozić sześcioma paszczami armat skierowanych w bok okrętu kupieckiego, a łódź z tyłu kołysała się na falach jak słaba lupina.

Podczas gdy młody oficer wpatrywał się w milady, ona także pożerała go wzrokiem. Jednak pomimo wprawy, jaką posiadała ta kobieta z płomiennymi oczami, do czytania w głębi duszy najskrytszych tajemnic ludzkich, natrafiła tym razem na fizjonomię skrytą, z której nie była w stanie nic wybadać. Młody człowiek, wpatrujący się w nią uporczywie, mógł mieć najwyżej dwadzieścia sześć lat, jego twarz była blada, a jasnyniebieskie oczy posiadały zimny odblask stali; wąskie i zaciśnięte usta znamionowały skrytość, wydatny dół twarzy i silnie zarysowana broda uprzedzały o mocy charakteru, który graniczy z uporem.

Gdy znaleziono się w porcie, była już kompletna noc. Gęsta mgła potęgowała ciemności i otaczała nadbrzeżne latarnie kregiem podobnym do tego, jaki okala księżyc przed słońcem. Milady, zwykle tak odważna, drżała mimo woli.

Oficer kazał przenieść pakunki milady i złożyć je do łodzi. Następnie podał jej rękę i prosił, aby z nim poszła.

Spojrzała na niego niedowierzająco.

— Kto pan jesteś? — zapytała. — Dlaczego tak wyłącznie mną się opiekujesz?

— Powinnaś się pani domyślić z mego uniformu. Jestem oficerem marynarki angielskiej — odparł młody człowiek.

— Czyż to leży w zwyczajach oficerów marynarki angielskiej poświęcać się na usługi swych współrodaczek, gdy przybywają do portów Wielkiej Brytanii, i posuwać galanterię do tego stopnia, aby je aż na ląd wysadzać?

— Tak, milady, zwyczaj ten zachowujemy nie dla galanterii, lecz przez ostrożność. W czasie wojennym przybywających cudzoziemców odprowadzamy do hotelu dla nich przeznaczanego, ażeby do czasu zasięgnięcia o nich pewnych wiadomości zostawali pod nadzorem rządu.

Słowa te wymówił z nadzwyczajną grzecznością; pomimo to jednak nie uspokoiły one milady.

— Nie jestem przecież cudzoziemką, mój panie — odezwała się najczystszy akcentem, jaki można słyszeć od Portsmouth aż po Manchester⁴⁵⁹ — nazywam się lady Clarick i takie ostrożności...

— Są ogólne, milady, i na próżno starałabyś się pani ich uniknąć.

— Kiedy tak, więc idę z panem.

Podła rękę oficerowi i zeszła po drabinie do oczekującej łodzi, gdzie ogromny płaszcz rozślany był na samym tyle. Młodzieniec posadził ją na nim, a sam zajął miejsce obok.

— Odbijać! — rzekł do majtków.

Osiem wiosł zanurzyło się w morze jak jedno i łódź poleciała niby na skrzydłach.

Po upływie pięciu minut przybito do lądu. Oficer wyskoczył na brzeg i podał rękę milady. Powóz oczekiwał w bliskości.

— Ekwipaż⁴⁶⁰ ten jest przeznaczony dla nas? — zapytała milady.

— Tak, pani — odparł oficer.

— Czy daleko stąd do hotelu?

— To na drugim końcu miasta.

— Jedźmy zatem — rzekła milady i śmiało wsiadła do powozu.

Towarzysz jej, po dopilnowaniu, aby walizy milady uwiązano za powozem, usiadł przy niej i zamknął drzwiczki.

Natychmiast też woźnica nie czekając rozkazu, ruszył z kopyta i zapuścił się w kręte ulice miasta.

Tak niezwykle przyjęcie dało milady dużo do myślenia. Widząc też, że oficer nieusposobiony jest wcale do rozmowy, wsunęła się w głąb powozu i rozważała wszelkie przypuszczenia, jakie jej przechodziły przez głowę.

⁴⁵⁹Manchester — miasto i dystrykt metropolitalny w płn.-zach. Anglii. [przypis edytorski]

⁴⁶⁰ekwipaż (daw.) — lekki, luksusowy pojazd konny. [przypis edytorski]

Jednak po jakimś czasie, zdziwiona długością drogi, wyjrzała oknem dla przekonania się, dokąd ją wiozą.

Nie widać już było zabudowań. Tylko wysokie drzewa stały przy drodze i przesuwwały się jak złowrogie cienie.

Milady ogarnął strach.

— To już nie miasto! — odezwała się.

Młody człowiek milczał.

— Uprzedzam pana, iż nie pojedę dalej, jeśli mi nie powiesz, dokąd mnie wiesz!

Groźba ta nie spowodowała odpowiedzi.

— O! Tego już za wiele! — krzyknęła milady. — Na pomoc!... Ratunku!...

Nikt nie odpowiedział na wołanie, powóz pędził z jednakową szybkością; oficer siedział nieruchomy jak posąg. Milady spojrzała na niego straszonym wzrokiem, jaki tylko ona posiadała, a który miał przerażającą moc; oczy jej błyszczały w ciemności jak dwa rubiny.

Młody człowiek nawet się nie poruszył. Milady chciała otworzyć portierę i wyskoczyć z powozu.

— Ostrzegam panią — rzekł obojętnie oficer — zabijesz się na miejscu, wyskakując.

Milady usiadła, piniąc się ze złości; oficer spojrzał na nią i zadziwił się, widząc tę twarz tak piękną, zmienioną obecnie, bo wściekłość czyniła ją prawie wstrętą.

Przewrotna kobieta poznała, iż gubi się, pozwalając tak czytać w swej duszy; wypodobziła więc twarz i słodkim głosem zapytała:

— Panie! Na miłość boską, powiedz mi, czy tobie, czy rządowi waszemu lub osobistemu nieprzyjacielowi zawdzięczam gwałt, jakiego się względem mnie dopuszczono?

— Nie jest to żaden gwałt, a to, co panią spotkało, jest wynikiem prostej ostrożności, jaką zmuszeni jesteśmy zachować względem wszystkich przybywających do Anglii.

— Zatem pan wcale mnie nie znasz?

— Pierwszy raz mam zaszczyt panią widzieć.

— I nie masz pan do mnie żadnej nienawiści?...

— Żadnej a żadnej, przysięgam.

Tyle było szczerości, powagi, a nawet łagodności w odezwaniu się młodzieńca, iż milady uspokoiła się.

Na koniec, prawie po godzinie jazdy, powóz zatrzymał się przed żelazną kratą zamykającą stromą drogę wiodącą do ponurego i zupełnie odosobnionego zamku.

Przebyli dwa sklepienia i zatrzymali się w ciasnym i ciemnym dziedzińcu.

Drzwiczki powozu otworzyły się, młody człowiek wyskoczył lekko na ziemię i podał ramię milady, która wsparłszy się na nim, wysiadła — pozornie spokojna.

— Widzę jednak — odezwała się, spojrzawszy dokoła i zwracając następnie oczy na młodego oficera, z najmielszym uśmiechem, na jaki mogła się zdobyć — widzę, że jestem więźniem, lecz to nie może długo trwać; upewnia mnie — dodała — moje czyste sumienie, a pana grzeczność jest mi najlepszą gwarancją.

Pomimo tak pochlebnej przemowy oficer nie odpowiadał; wyjął zza pasa małą, srebrną gwizdawkę podobną do używanych przez nadzorców robotników na statkach wojennych i gwizdnął po trzykroć, za każdym razem inaczej.

Przybiegło kilku ludzi, wyprzęgli konie okryte pianą, a powóz wtoczyli do wozowni.

Wtedy oficer, zawsze z tą samą obojętną grzecznością, prosił milady, aby weszła do domu. Ona zaś, uśmiechnięta ciągle, wzięła go pod rękę i z nim razem przestąpiła próg drzwi niskich, łukowatych, prowadzących poprzez korytarz, oświetlony tylko w głębi, do schodów kamiennych, które szły dokoła sklepień, także kamiennych.

Następnie stanęli przed mocno okutymi drzwiami, młody oficer otworzył je kluczem, który miał przy sobie, i ukazał się pokój przeznaczony dla milady.

Jednym rzutem oka oceniła ona apartament, do którego weszła. Był to pokój ze sprzętami zarówno stosownymi w więzieniu, jak i w zwyczajnym mieszkaniu; jednakże kraty żelazne w oknach i silne zewnętrzne zamki czyniły go stosowniejszym na więzienie.

Cała siła duszy, cała odwaga opuściła na chwilę tę istotę wypróbowaną w przeróżnych okolicznościach; upadła na fotel, skrzyżowała ręce, zwiesiła głowę w przekonaniu, że ujrzy sędziego wychodzącego, aby zacząć badanie. Nie ukazał się nikt prócz kilku marynarzy, którzy przynieśli tłumoki i walizy i wyszli, nic nie mówiąc.

Oficer baczył na wszystko z równym spokojem, jaki milady już poznała; nie wyrzekł ani słowa, a rozkazy wydawał poruszeniem ręki lub za pomocą świstawki.

Rzec by można, iż dla tego człowieka i jego podwładnych mowa ludzka nie istniała lub stała się niepotrzebna.

Na koniec milady nie była w stanie dłużej wytrzymać i przerwała milczenie.

— Na miłość boską, panie! — zawołała. — Co znaczy to wszystko?... Powiedz mi prawdę; nie braknie mi odwagi, znane niebezpieczeństwo mnie nie przerazi... Gdzie ja jestem i co tu znaczę?... Jeśli wolna, na co te kraty, te drzwi okute?... Jeśli więźniem jestem, jakąż zbrodnię popełniłam?

— Jesteś pani w apartamencie dla niej przeznaczonym. Rozkazano mi zabrać panią z okrętu i dostawić do tego zamku; polecenie to wypełniłem z surowością i ścisłością żołnierza, lecz sądzę, iż także z grzecznością szlachcica. Tu kończą się moje obowiązki względem pani, reszta należy do kogo innego.

— Kimże jest ta druga osoba? — zapytała milady. — Czy możesz mi pan powiedzieć jej nazwisko?...

Właśnie w tej chwili usłyszano brzęk ostróg na schodach; słychać było także zbliżającą się rozmowę kilku głosów, która następnie ucichła, i do drzwi podeszła jedna osoba.

— Pani, oto jest ten, o którym mówiłem — rzekł oficer, usuwając się na bok i przybierając postawę pełną szacunku i posłuszeństwa.

Jednocześnie drzwi się rozwarły, na progu ukazał się mężczyzna z gołą głową, ze szpadą przy boku.

Milady zdawało się, że poznaje tego człowieka; wsparła się ręką na fotelu i wyciągnęła szyję, jak gdyby chciała iść na spotkanie rzeczywistości.

Nieznajomy postępował wolno; w miarę jak zbliżał się do światła, milady cofała się mimowolnie. Gdy już nie miała wątpliwości, zawołała przerażona:

— Boże wielki! To mój brat!... Czy to ty jesteś rzeczywiście?

— Tak, piękna pani! — odparł lord Winter z ukłonem na wpół uprzejmym, a na wpół ironicznym. — Ja sam we własnej osobie.

— Więc ten zamek?...

— Jest moją własnością.

— A ten pokój?

— I ten pokój.

— Jestem zatem twoim więźniem?

— Prawie że tak.

— Okrutnie nadużywasz twej władzy.

— Bez deklamacji, moja pani. Usiądźmy proszę i porozmawiajmy, jak przystoi bratu i siostrze.

A zwracając się do drzwi i widząc, że młody oficer oczekuje na rozkazy, rzekł:

— Jestem zadowolony, dziękuję panu. A teraz zostaw nas samych, panie Felton.

ROZDZIAŁ XXIII. ROZMOWA BRATA Z SIOSTRĄ

Podczas gdy lord Winter zamykał drzwi, zapuszczał okiennice i przysuwał krzesło do fotela siostry, milady zadumana puściła wodze domysłom i pojęła, że nie odgadnie tego spisku, dopóki się nie dowie, z kim ma do czynienia. Znała szwagra jako honorowego szlachcica, zapalonego myśliwego, gracza hazardownego, śmiałego i przedsiębiorczego z kobietami, lecz niezdolnego do przeprowadzenia jakiegokolwiek intrygi. Jakim cudem dowiedział się o jej przybyciu i kazał ją pochwycić? Dlaczego teraz jeszcze ją zatrzymuje?

Atos powtórzył wprawdzie niektóre wyjątki z jej rozmowy z kardynałem, nie mogła jednak przypuścić, by zdołał tak szybko i śmiało pokrzyżować jej plany. Bała się owszem, czy jej przeszłe sprawy nie zostały przypadkiem odkryte. Buckingham mógł być domyślić się, że to ona właśnie oderżnęła mu dwie zapinki brylantowe i teraz zechce mścić się za zdradę... Lecz Buckingham niezdolny był używać przemocy wobec kobiety, tym bardziej, jeżeli ta kobieta mogła być posądzona, iż uczyniła to przez zazdrość... Wydało jej się to jednak najprawdopodobniejsze. Była pewna, że chciano zemścić się za przeszłość, nie wiedząc nic o jej teraźniejszym posłannictwie. W każdym razie i na wszelki wypadek

wolała, że wpadła w ręce szwagra, którego miała nadzieję otumanić, niż gdyby miała do czynienia z nieprzyjacielem stanowczym i rozumnym.

— Rozmawiajmy więc, braciszku drogi — rzekła wesoło, zdecydowana wyciągnąć z rozmowy pomimo woli lorda Wintera wszelkie możliwe objaśnienia i do nich zastosować postępowanie w przyszłości.

— Wróciłaś więc do Anglii — rzekł lord Winter — pomimo postanowienia, tyle razy objawianego w Paryżu, iż twoja noga nie postanie na terytorium Wielkiej Brytanii?

Milady odpowiedziała zapytaniem:

— Przede wszystkim wyjaśnij mi, dlaczego kazałeś mnie szpiegować, skąd dowiedziałeś się naprzód nie tylko o moim przybyciu, lecz o dniu, godzinie, a także porcie, do którego przybiję?

Lord Winter przyjął taktykę milady, sądząc słusznie, że skoro jej używała, musi być dobra.

— Ależ ty mi powiedz, kochana siostrzyczko, po co przybyłaś do Anglii?

— Czyż nie domyślasz się, że dla widzenia ciebie?... — odparła milady, nie przeczuwając, jak tą odpowiedzią utwierdza podejrzenia szwagra wzbudzone listem d'Artagnana.

— A! Dla widzenia się ze mną?... — rzekł podejrzliwie lord Winter.

— Bez wątpienia. Cóż w tym dziwnego?

— Nie miałaś innego celu?

— Nie.

— Jedynie dlatego naraziłaś się na przebycie La Manche?

— Dla ciebie tylko.

— Do kaduka! Jakżeś czuła, siostrzyczko moja!

— Czyż nie jestem twoją najbliższą krewną? — zapytała milady słodkim głosem.

— A nawet moją jedyną spadkobierczynią, wszak prawda? — rzekł z kolei lord Winter, patrząc jej w oczy surowo.

Pomimo władzy nad sobą, milady nie mogła powstrzymać drżenia, a że przy ostatnich słowach lord Winter położył rękę na ramieniu siostry, drżenie to nie uszło jego uwagi.

W istocie, cios wymierzony był prosto i trafnie.

Pierwszą myślą milady było, iż Ketty ją zdradziła i opowiedziała baronowi o interesowności, z jaką nie umiała się ukryć przed służącą. Przypomniała sobie, jak niebacznie wyrzucała d'Artagnanowi, że nie zabił jej szwagra.

— Nie rozumiem nic, milordzie — wymówiła, chcąc zyskać na czasie i pragnąc, aby jej przeciwnik mówił. — Co chcesz przez to powiedzieć? Czy twoje słowa mają jakąś ukrytą myśl?

— O mój Boże! Wcale nie — rzekł lord Winter z pozorną dobroduszością — chciałem mnie widzieć i przyjechałaś do Anglii. Dowiaduję się o życzeniu, a właściwie domyślam się, i aby ci oszczędzić przykrości towarzyszących nocnemu przybyciu do portu i fatygi wylądowania, wysyłam jednego z moich podkomendnych na twoje spotkanie. Daję mu powóz, a on przywozi cię do zamku, którego jestem gubernatorem, gdzie co dzień bywam i gdzie, aby dogodzić wspólnemu pragnieniu widywania się, przygotowuję pokój dla ciebie. Cóż w tym więcej jest zadziwiającego nad to, co ty mi opowiadasz?

— Zadziwia mnie jedynie, żeś był zawiadomiony o moim przybyciu.

— To przecież bardzo proste. Czyż nie widziałaś, jak kapitan waszego statku, wchodząc do portu, wysłał przodem małą łódkę z książką legitymacyjną i spisem załogi? Jestem komendantem portu, przyniesiono mi papiery, znalazłem w nich twoje nazwisko. Serce powiedziało mi, coś ustnie potwierdziła, to jest, w jakim celu podjęłaś niebezpieczną podróż w porze najburzliwszego morza. Posłałem więc skutkę na twoje spotkanie. Reszta ci wiadoma...

Milady domyśliła się, że lord Winter mówi nieprawdę, i to ją jeszcze bardziej przeraziło.

— Bracie mój — zaczęła — wszak to księcia Buckinghama widziałam na wybrzeżu wieczorem?

— Jego samego. O! Pojmuję, że ten widok zrobił na tobie wrażenie; przybywasz z kraju, gdzie bardzo się nim zajmują, a wiem także, iż zbrojenie się jego przeciw Francji niepokoi mocno twego przyjaciela kardynała.

— Mego przyjaciela kardynała? — krzyknęła milady, widząc, że i o tym punkcie lord Winter jest dobrze powiadomiony.

— Czyż nie jest twoim przyjacielem? — odparł milord niedbale. — O! Przepraszam, myślałem, że tak jest; powrócimy jeszcze do księcia-milorda, a teraz nie zmieniamy czułego nastroju rozmowy. Mówisz zatem, że przybyłaś, aby się ze mną widzieć?

— Tak.

— Otóż odpowiedziałem ci, iż stanie się zadość twojej woli, będziemy się widywali codziennie.

— Mam pozostać tu wiecznie? — zapytała milady z niepokojem.

— Czy nie wygodnie ci tutaj, droga siostrzyczko? Jeżeli czegoś ci brakuje, rozkaż tylko, a w tej chwili każe ci dostarczyć.

— Nie mam przecież moich kobiet służebnych ani moich ludzi...

— To wszystko się znajdzie, powiedz mi tylko, jak miałaś urządzony dom za pierwszego męża, a choć jestem jedynie twoim szwagrem, tak samo go ci urządzę.

— Za mego pierwszego męża?! — zawołała milady, wpatrzywszy się w lorda.

— Tak, twego męża, Francuza; nie mówię tu o moim bracie. A zresztą, jeżeli zapomniałaś, to ponieważ jeszcze żyje, mógłbym napisać do niego, przysłałby mi potrzebne wskazówki...

Zimny pot wystąpił na czoło milady.

— Żartujesz — wyrzekła głosem złamanym.

— Czyż wyglądam na to? — zapytał lord, powstając.

— A raczej znieważasz mnie — ciągnęła, wspierając się na fotelu i także wstając.

— Ja ciebie znieważam! — rzekł lord Winter z pogardą. — Czyż naprawdę przypuszczasz pani, że to możliwe?

— Mój panie — odezwała się milady — jesteś albo pijany, albo zwariowałeś. Wyjdź pan stąd natychmiast i przyslij mi jakąś kobietę.

— Kobiety nie są dyskretne, moja siostro! Czy nie mógłbym sam ci usłużyć? Tym sposobem nasze tajemnice pozostałyby w rodzinie.

— Zuchwalcze! — krzyknęła milady i jak poruszona sprężyną rzuciła się na lorda oczekującego ją ze skrzyżowanymi rękami, jednak opartymi na rękojeści szpady.

— Oho! — powiedział. — Wiem ja, że masz zwyczaj mordować ludzi, lecz będę się bronił, a uprzedzam cię, moja pani, że chociaż jesteś kobietą...

— O! Widzę, żeś podły do tego stopnia, iż podniesiesz rękę nawet na kobietę...

— Bardzo być może, a w dodatku mam wymówkę: moja ręka nie będzie pierwszą ręką męską, jaka dotknęła się ciebie, tak mi się zdaje przynajmniej.

Lord wskazał z pogardą lewe ramię milady i prawie dotknął go palcem.

Milady jęknęła głucho, cofnęła się w kąt pokoju jak pantera szykująca się do napadu.

— O! Jęcz, krzycz, ile chcesz — zawołał lord Winter — lecz nie próbuj kąsać, bo uprzedzam, że wszystko obróci się przeciwko tobie. Nie ma tu notariusza regulującego naprzód sukcesje, nie ma błędnego rycerza, który by mnie wyzwiał na pojedynek za trzymanie w niewoli pięknej damy; lecz mam pod ręką sędziów, którzy osądzą właściwie bezwstydną kobietę, mającą śmiałość poślubić lorda de Winter, brata mojego starszego, gdy mąż jej pierwszy żyje dotąd. Bądź pani pewna, iż dostaniesz się znów w moc kata, a ten ci drugie ramię przyozdobi.

Oczy milady tak dziko zabłysły, że on, choć mężczyzna i uzbrojony wobec kobiety bezbronnej, uczył dreszcz przerażenia w całym ciele. Pomimo to ciągnął dalej z wzrastającym uniesieniem:

— O tak, pojmuję to, odziedziczywszy mienie po moim bracie, miło by ci było posiadać i mój majątek, lecz mówię ci, możesz mnie kazać zamordować, a na nic się to nie przyda, zabezpieczyłem się stosownie; nie dostaniesz ani szeląga... Czyż nie jesteś już dość bogata, posiadając około miliona? Ale ty nurzasz się w zbrodniach jedynie dla przyjemności, to rozkosz twoja najwyższa spełniać występki po występku! O! Gdyby mi nie chodziło o pamięć brata, zgniłabyś w więzieniu kryminalnym lub wysłałbym cię do Tyburn⁴⁶¹ dla zaspokojenia ciekawości marynarzy. Będę milczał jednak, lecz ty znoś cierpliwie niewolę.

⁴⁶¹ Tyburn — miejsce w Londynie, gdzie dokonywano egzekucji skazańców za wykroczenia przeciw królowi Anglii w okresie od XII do XVIII w. [przypis edytorski]

Za dwa tygodnie wychodzę z armią do La Rochelle, w przeddzień mojego wyjazdu wsadzę cię na okręt i wyślę do naszych kolonii południowych. Dostaniesz towarzysza, który w łeb ci palnie, gdybyś próbowała powrócić do Anglii lub na kontynent.

Milady słuchała uważnie, oczy jej coraz więcej błyszczały.

— Obecnie zaś — mówił dalej lord Winter — pozostaniesz w tym zamku. Mury tu są grube, drzwi dobrze okute, a kraty mocne; w dodatku twoje okno wychodzi wprost na morze. Ludzie mej załogi są mi zupełnie oddani, trzymają straż około twojego apartamentu i strzegą wszystkich przejść prowadzących na dziedziniec, a tam są jeszcze trzy żelazne bramy do przebycia. Straż przy nich jest uprzedzona: jeden krok, jedno słowo lub gest zdradzający chęć ucieczki, a w tej chwili dają ognia do ciebie. Jeśli cię zabiją, mam nadzieję, że trybunały angielskie będą mi wdzięczne, żem je wyręczył. Ah! Rozpogodziłaś czoło, twarz ci się wyjaśniła. „Dwa tygodnie — myślisz sobie — ba! do tej pory wynajdę jakiś podstęp; szatan mi pomoże, znajdę sposób, poświęcę kogoś!... Za dwa tygodnie będę daleko stąd” — mówisz sobie... O! Spróbuj tylko!

Milady poznała, że brat ją odgadł, wpiła paznokcie w ciało, aby się powstrzymać, by nadać twarzy wyraz jedynie bóleści.

Lord Winter ciągnął:

— Oficera dowodzącego w mojej nieobecności widziałas już i znasz go zatem; umie on wypełniać rozkazy, pewny bowiem jestem, że jadąc tu z Portsmouth, próbowałaś go wciągnąć w rozmowę. Jak ci się wydaje? Posąg marmurowy może mu tylko wyrównać? Próbowałaś wiele razy mocy swych wdzięków i, niestety, dużo mężczyzn dało się złapać; spróbuj, radzę, jego ujarzmić, a jeżeli ci się uda, nazwę cię chyba szatanem z piekła rodem.

Podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie.

— Przywołaj pana Feltona — wymówił. — Poczekaj chwilę, zaraz mu cię polecę.

Po tych słowach nastąpiło milczenie; dał się słyszeć chód wolny i miarowy, zbliżający się stopniowo. Następnie z cienia korytarza ukazał się młody wojskowy, którego już znamy, i stanął na progu, oczekując rozkazów barona.

— Wejdz tu, kochany Johnie — rzekł lord Winter. — Wejdz i zamknij drzwi za sobą.

Młody człowiek uczynił to według rozkazu.

— Teraz — rzekł lord — przypatrz się dobrze tej kobiecie: młoda ona i piękna, posiada wszelkie powaby ziemskie. Otóż mówię ci!... To jest potwór, który w dwudziestu pięciu latach spełnił tyle zbrodni, ile tylko możesz wyczytać przez rok w kronikach trybunalskich. Słodki głos uprzedza na jej korzyść; piękność służy za wędkę ofiarom, ciało jej dotrzymuje obietnic, trzeba oddać jej tę sprawiedliwość; będzie próbowała uwieść cię, a może nawet zabić... Wyciągnąłem cię z nędzy, Feltonie, zrobiłem moim adiutantem, ocaliłem życie, wiesz kiedy i w jakiej sprawie... Jestem nie tylko twoim opiekunem, lecz przyjacielem; nie tylko dobroczyńcą, lecz prawie ojcem. Ta kobieta powróciła do Anglii, aby godzić na moje życie; dostałem nareszcie do rąk tę gadzinę!... Otóż przyzwałem cię i mówię: przyjacielu Feltonie... John... dziecko moje! Strzeż mnie, a przede wszystkim strzeż siebie samego przed tą kobietą. Przysięgnij na zbawienie, że będziesz jej pilnować aż do chwili wymiaru sprawiedliwości. Johnie Feltonie, polegam na twoim słowie. Johnie Feltonie, wierzę twojej uczciwości.

— Milordzie — odrzekł młody oficer, spojrzawszy z nienawiścią i pogardą — przysięgam, że stanie się według twojej woli.

Milady słuchała z miną ofiary zrezygnowanej; jej piękna twarz wyrażała słodycz i podanie. Lord Winter zaledwie poznawał rozjątrzoną tygrysyce, którą gotował się pokonać przed chwilą.

— Noga jej nie przestąpi nigdy progu tego pokoju, słyszysz, Johnie — mówił baron dalej — nie wolno jej pisać do nikogo; mówić do ciebie będzie jedynie, jeżeli uczynisz jej ten zaszczyt i odezwiesz się do niej.

— Dosyć, milordzie... przysięgam i dotrzymam.

— A teraz, pani, staraj się pogodzić z Bogiem, ludzie już cię osądzili.

Milady opuściła głowę, niby zdruzgotana ostatnimi słowami.

Lord Winter wyszedł, skinąwszy na Feltona, który udał się za nim i zamknął drzwi na klucz.

Więzienie

Kobieta demoniczna,
Uroda, Przysięga

Po chwili dał się słyszeć na korytarzu ciężki chód żołnierza z marynarki, który trzymał straż z toporem u pasa i halabardą w ręce.

Milady przez kilka minut siedziała spokojnie, spodziewając się, że ją obserwują przez dziurkę od klucza. Następnie podniosła wolno głowę; twarz jej przybrała wyraz straszny, pełen groźby wyzywającej. Wstała, podbiegła do drzwi i słuchała, potem wyjrzała oknem, nareszcie padła na fotel i poczęła rozmyślać.

ROZDZIAŁ XXIV. BACZNOŚĆ, PANOWIE!

Jego Eminencja kardynał oczekiwał wieści z Anglii, lecz nie nadchodziły inne prócz złych i groźnych.

Chociaż La Rochelle była osaczona, choć zwycięstwo zdawało się pewne dzięki przedsięwziętym ostrożnościom, a głównie z powodu tamy morskiej niedającej przystępu statkom do obleżonego miasta, jednak trwać mogła jeszcze długo.

A był to wstyd niemały dla armii królewskiej i niedogodność wielka dla pana kardynała, który nie potrzebował już wprowadzić siał niezgody pomiędzy Ludwikiem XIII i Anną Austriacką, bo to już było zrobione, lecz musiał godzić pana de Bassompierre, poróżnionego z księciem d'Angoulême. Zaś brat króla, który dowodził oblężeniem przy rozpoczęciu, umył ręce od wszystkiego i pozostawił kardynałowi staranie o doprowadzenie go do końca.

Miasto La Rochelle, pomimo niesłychanej wytrwałości komendanta, buntowało się po trosze, okazując chęć poddania; komendant kazał powywieszać wichrzycieli bez sądu.

Środek ten ochłodził zapalone głowy i nakłonił mieszkańców do wytrwania pomimo widma śmierci głodowej. Śmierć ta wydała im się mniej gwałtowna niż zgon na szubienicy.

Ze swej strony, od czasu do czasu, oblegający chwyтали wysłańców z La Rochelle wyprawianych do Buckinghamu lub szpiegów tegoż, starających się dostać do obleżonego miasta.

W jednym, jak i w drugim wypadku sprawa kończyła się szybko: „Na szubienicę!” — mówił kardynał i proces skończony. Zapraszano zwykle króla na ceremonię wieszania. Jego Królewska Mość przybywał słaby i omdlewający i obierał najlepsze miejsce dla przypatrzenia się operacji. To go rozrywało nieco podczas długiego oblężenia, lecz nudził się śmiertelnie pomimo to i ciągle mówił o powrocie do Paryża. Dostyc, że gdyby zbrakło było wysłańców i szpiegów, Jego Eminencja z całą swoją pomysłowością znalazłby się w wielkim kłopotcie.

Czas upływał jednakże, a mieszkańcy La Rochelle się trzymali. Ostatni szpieg, jakiego pojmano, niósł list do Buckinghamu. W liście tym pisano, że miastu grozi zagłada. Lecz zamiast pisać: „Jeżeli nie dacie nam pomocy przed upływem dwóch tygodni, poddamy się bezwarunkowo”, pisano po prostu: „Jeżeli nie przyjdziecie przed upływem dwóch tygodni, pomrzemy wszyscy z głodu”.

Mieszkańcy La Rochelle całą nadzieję pokładali w Buckinghamie. Księżę był ich Mesjaszem. Widoczne było, że gdyby się przekonali, że nie mogą liczyć na Buckinghamu, wraz z tą nadzieją i odwagą ich rozchwiałyby się.

Czekali też niecierpliwie wiadomości z Anglii, które by doniosły, że Buckingham już idzie.

Kwestia zdobycia miasta szturmem, dyskutowana wielokrotnie na radzie królewskiej, odrzucana była zawsze. Przede wszystkim dlatego, że La Rochelle uchodziła za niezdo- bytą, następnie kardynał pomimo wszystkiego, co o nim mówiono, wiedział doskonale, że konieczność rozlewu krwi w tym spotkaniu, gdzie Francuz miał walczyć z Francuzem, była czynem cofającym politykę o sześćdziesiąt lat, a kardynał w owej epoce uchodził za człowieka postępowego. Rzeczywiście, rabunek La Rochelle i wymordowanie trzech do czterech tysięcy hugenotów, którzy by się dali zabić, nie ustępując, przypominałyby zanadto w roku 1628 rzeź świętego Bartłomieja⁴⁶² z roku 1572. W dodatku ten ostateczny środek, jakiemu król, dobry katolik, nie miał nic do zarzucenia, upadał zawsze zbijany

⁴⁶²rzeź świętego Bartłomieja — rzeź dokonana przez katolików w Paryżu w nocy z 23 na 24 sierpnia 1572, której ofiarą padło 3 tys. hugenotów, na czele z ich przywódcą, admirałem Coligny, i która dała sygnał do dalszych rzezi w całej Francji. [przypis edytorski]

argumentem dowódców oblężenia: „La Rochelle jest niezdobyta, można ją wziąć jedynie głodem”.

Kardynał nie mógł się opędzić złym przeczuciom z powodu miłady — i on zrozumiał okrutny charakter tej kobiety, która raz pełzała jak wąż, to znów groźna była jak lwica. Miałażby go zdradzić?... A może umarła?... Znał ją bowiem dosyć, by wiedzieć, że czy z nim trzyma, czy jest przeciw niemu, czy jako przyjaciółka, czy jako wróg, nie siedziała by spokojnie bez przyczyny. Lecz skąd biorą się przeszkody?... Tego nie mógł się domyślić.

Zresztą miał podstawę, by liczyć na nią — odgadywał w przeszłości tej kobiety straszne tajemnice, jakie tylko pod cieniem jego purpury ukryć się mogły, i czuł dobrze, że była mu oddana dlatego, że czuła się bezpieczna pod tak wszechwładną opieką.

Postanowił prowadzić wojnę sam, nie oglądając się na pomoc obcą. Budował w dalszym ciągu sławną tamę mającą za cel ogłodzenie La Rochelle. Zwrócił wzrok na nieszczęśliwe miasto, zamykające w swych murach tyle zapału i tyle bohaterstwa, a przywodząc na pamięć słowa Ludwika XI, swego poprzednika w polityce, jak on sam był poprzednikiem Robespierre’a⁴⁶³, powtarzał maksymę kuma Tristana: „Dziel, a będziesz panował”.

Przywódca

Henryk IV oblegając Paryż, kazał ciskać przez mury miasta chleb i żywność; kardynał kazał rzucać świstki papieru, na których wystawiał mieszkańcom La Rochelle, że postępowanie ich dowódców jest egoistyczne i barbarzyńskie. Wodzowie mieli zboża pod dostatkiem, a nie dzielili się z nikim.

Przyjęli za zasadę, że nic nie znaczy śmierć kobiet, dzieci i starców, niech tylko ludzie zdolni do obrony murów będą silni i zdrowi.

Dotychczas, bądź przez poświęcenie, bądź przez niemożność przeciwdziałania, maksyma ta, nie będąc uznana ogólnie, przeszła jednakże z teorii w praktykę; rzucane kartki zachwiały ją teraz. Na kartkach było wypisane, że dzieci, kobiety i starcy, którym pozwalamo umierać z głodu, są to dzieci, żony i ojcowie obrońców miasta. Słuszne by zatem było, aby rozdzielano równo pożywienie i w jednakowym położeniu jednakową zasadę w ogóle przyjęto.

Odezwy te odniosły oczekiwany skutek — skłoniły znaczną liczbę mieszkańców do pojedynczego porozumienia się z armią królewską.

Lecz w chwili gdy kardynał ujrzał już owoce swego pomysłu i radował się, że go użył, jeden z mieszkańców La Rochelle zdołał prześlizgnąć się przez strażę królewską, a tylko Bóg jeden wie, jakim cudownym sposobem, tak wielka była czujność Bassompierre’a, Schomberga i księcia d’Angoulême, pilnowanych znów przez kardynała. Otóż jeden z mieszkańców La Rochelle, powtarzamy, dostał się do miasta, a powracał z Portsmouth, i opowiedział oblężonym, że widział tam wspaniałą flotę gotową rozwinąć żagle w przeciagu kilku dni.

Co więcej, Buckingham zawiadomił prezydenta miasta, że na koniec wielka liga przeciw Francji doszła do skutku, a całe państwo zostanie jednocześnie zajęte przez armie: angielską, cesarską i hiszpańską. List ten odczytywano na placach publicznych, kopie rozlepiano po rogach ulic, a nawet ci, którzy zaczęli rokować z królewskimi, zerwali układy, postanawiając czekać pomocy tak szumnie zapowiedzianej.

Te niespodziewane wypadki popyły szyki Richelieu i zmusiły go wbrew woli do zwrócenia oczu na drugi brzeg kanału, w stronę, gdzie działała miłady.

W tymże czasie, wolna od wzruszeń i kłopotów swego prawdziwego dowódcy, armia królewska pędziła wesołe życie. Nie brakło żywności w obozie, a tym bardziej pieniędzy; pułki rywalizowały w zuchwałstwie i wybrykach wesołości. Łapać szpiegów, wieszać ich, robić hazardowne wycieczki na tamę lub na morze; obmyślać szalone projekty i wykonywać z zimną krwią, takie były zajęcia skracające armii długie dni; długie nie tylko dla oblężonych, trawionych głodem i niepokojem, lecz i dla kardynała, który ich ścisłał blokadą jak obręczą żelazną, aby nie dopuścić pomocy ani posiłków.

Żołnierz

Czasami, gdy kardynał, zawsze na koniu jak ostatni z żandarmów, wodził zamyślony wzrok po fortyfikacjach postępujących nie tak szybko, jak pragnął, które wznosili pod jego rozkazami inżynierowie zwolani z całej Francji, i gdy przy takim objeździe napotkał

⁴⁶³Robespierre, Maximilien de (1758–1794) — jeden z przywódców Rewolucji Francuskiej, czołowa postać klubu jakobinów; Robespierre’a zwykło się uznawać za symbol krwawego terrorku i dyktatury rewolucyjnej. [przypis edytorski]

muszkietera z kompanii pana de Tréville, zbliżał się i patrzył pilnie na niego, a poznawszy, że to nie jeden z czterech towarzyszy, zapuszczał gdzie indziej bystry wzrok i myśl potężną.

Pewnego dnia, toczony śmiertelną nudą, straciwszy nadzieję układów z obłączonym miastem, bez żadnej wieści z Anglii, kardynał wyjechał z obozu bez celu, jedynie w towarzystwie Cahusaca i de La Houdinière, a postępując wzdłuż brzegów morskich, marzył, wpatrując się w ogrom oceanu.

Jadąc tak wolno, stanął na wzgórzu, z wysokości którego ujrzał poza płotem siedmiu ludzi wyciągniętych na piasku, a dokoła nich próżne butelki.

Czterej z nich byli to nasi muszkietierowie oczekujący widocznie na głośnie czytanie listu, jaki jeden z nich tylko co odebrał. Ten list musiał być bardzo ważny, skoro skłonił ich do porzucenia kart i kości leżących nieopodal na bębnie.

Trzech ludzi było zajętych odkorkowywaniem ogromnej butelki wina z Collioure; byli to służący tych panów.

Kardynał, jak wspomnieliśmy, był w złym usposobieniu, a wtedy nic go tak nic gniewało jak wesołość innych. Dziwne miał uprzedzenie, że to, co go gniewa i martwi, sprawia otaczającym przyjemność. Skinął więc na La Houdinière'a i Cahusaca, by się zatrzymali, sam zaś zsiadł z konia i podsunął się do wesołej kompanii, bardzo mu podejrzanej, w nadziei, że piasek stłumi odgłos kroków, a płot osłoni go i że pochwyci choć kilka słów rozmowy, jak się zdawało interesującej nadzwyczaj. Gdy był już o dziesięć kroków, rozpoznał narzeczce gaskońskie, a ponieważ wiedział już, że to muszkietierowie, nie wątpił, iż trzech spośród nich są to, jak ich nazywano, *nierozłączni*, to jest: Atos, Portos i Aramis.

Łatwo pojąć, jak pragnął usłyszeć, o czym rozmawiają. Oczy zaświeciły mu dziwnym blaskiem i jak kot skradł się do płotu.

Nie pochwycił jeszcze słowa, gdy naraz odezwał się dźwięczny głos zwracający uwagę muszkietierów.

— Bacność, oficer nadchodzi! — zawołał Grimaud.

— Odzywasz się, głupcze jakiś? — rzekł Atos, unosząc się na łokciu i wzrokiem piorunując Grimauda.

Grimaud nie dodał ani słowa, wskazał tylko palcem w kierunku kardynała i jego eskorty.

Muszkietierowie zerwali się na nogi i skłonili się z szacunkiem.

Kardynał penił się ze złości.

— Panowie muszkietierowie — rzekł — każą się pilnować, jak widzę! Czyżby się bali napadu Anglików?... Lub też prości muszkietierowie uważają się za wyższych oficerów?

— Eminencjo — odparł Atos, on jeden bowiem zachował zimną krew w tym wypadku — muszkietierowie, gdy nie są na służbie, piją i grają w kości, a wtedy są oficerami wyższymi dla swych lokajów.

— Lokaje — mrucał kardynał — którzy mają rozkaz ostrzegać panów o zbliżeniu kogokolwiek, to nie są lokaje, to po prostu warta.

— Wasza Eminencja ma jednak dowód, iż gdyby nie ta ostrożność, bylibyśmy narażeni na niemożność złożenia mu uszanowania i podziękowania za to, że raczył przyłączyć do nas d'Artagnana. D'Artagnanie, ty, któryś właśnie pragnął wyrazić swą wdzięczność Eminencji, zbliż się i korzystaj ze sposobności.

Wszystko to wypowiedziane zostało z powagą i zimną krwią odznaczającą Atosa w chwilach niebezpieczeństwa, a razem z wyszukaną grzecznością dającą mu pozór godności iście królewskiej.

D'Artagnan wyjąkał parę słów podziękui, które zamarły mu na ustach pod groźnym spojrzeniem kardynała.

— Wszelako, moi panowie — ciągnął kardynał, nie odstępując od myśli pierwotnej i nie zważając, co Atos mówi — nie lubię ją, aby prości żołnierze, dlatego że służą w pułku uprzywilejowanym, udawali wielkich panów; karność wojskowa jest dla nich taka sama jak dla wszystkich.

Atos pozwolił kardynałowi skończyć, a skłaniając głowę na znak zgody, zaczął mówić:

— Eminencjo, nie zapomnieliśmy karności wojskowej. Nie będąc dziś na służbie, sądziliśmy, iż wolno nam zabawić się według upodobania. Gdybyśmy jednak mieli szczęście otrzymać polecenie osobiste Waszej Eminencji, gotowi jesteśmy do posłuszeństwa

Gniew

Pan, Sługa

natychmiast. Widzi Wasza Dostojność — mówił dalej Atos, marszcząc brwi, albowiem ten rodzaj indagacji⁴⁶⁴ zaczynał go niecierpliwic — iż, aby gotowymi być na wypadek alarmu, jesteście tu nawet z bronią.

Wskazał na cztery muszkiety ustawione obok bębna z kartami i kośćmi.

— Wasza Dostojność raczy wierzyć — dodał d'Artagnan — pośpieszylibyśmy na Jego spotkanie, gdybyśmy przypuszczali, że to on zbliża się ku nam z tak małą eskortą.

Kardynał gryzł usta ze złości.

— Czy wiecie, panowie — rzekł — na co wyglądacie tak zawsze razem, uzbrojeni i strzeżeni przez lokajów? Wyglądacie na spiskowców.

— O! Co do tego Wasza Eminencja ma rację — odezwał się Atos — spiskujemy, jak to już można było widzieć, lecz jedynie przeciw mieszkańcom La Rochelle.

— O! Panowie umiecie politykować!... — rzekł kardynał, marszcząc brwi. — Znalezłoby się w waszych głowach dużo rzeczy, o których nie wiemy, gdyby można tam czytać, jak to wy czytaliście ten list schowany za moim nadejściem.

Atosowi krew uderzyła do twarzy, przystąpił do kardynała i rzekł:

— Zdaje się, iż rzeczywiście podejrzewasz nas, Eminencjo, i że podlegamy prawdziwej indagacji, jeżeli tak, to niech Wasza Wielebność raczy powiedzieć, o co chodzi, a będziemy przynajmniej wiedzieli, czego się trzymać.

— A gdyby to było badanie?... — odparł kardynał. — Nie tacy jak wy podlegali mi, panie Atosie, i musieli odpowiadać.

— Mówiłem już, Eminencjo, racz pytać, gotowi jesteście odpowiadać.

— Co to był za list, który miałeś czytać, panie Aramisie, a który schowałeś?

— List od kobiety, Eminencjo.

— O! Pojmuję — rzekł kardynał — trzeba być dyskretnym z taką korespondencją; jednakże można ją pokazać spowiednikowi, a wiecie zapewne, że ja otrzymałem święcenia.

— Eminencjo — odezwał się Atos ze spokojem tym straszniejszym, że narażał głowę, odpowiadając w ten sposób — list od kobiety, lecz nie nosi podpisu ani *Marion de Lorme*, ani *pani d'Aiguillon*.

Kardynał zbladł śmiertelnie, oczy mu dziko zabłyśły, odwrócił się, niby chcąc coś rozkazać La Houdinière'owi i Cahusacowi. Atos widział to poruszenie i posunął się do muszkietów, na które trzech przyjaciół patrzyło już z minami ludzi, którzy nie dadzą się wziąć łatwo.

Kardynał był samotrzeć⁴⁶⁵; muszkieterów razem z lokajami było siedmiu. Pomyślał zatem, że partia nierówna, tym bardziej iż miał to przekonanie, że Atos i jego towarzysze spiskują rzeczywiście, więc nagłym zwrotem opanował gniew i roześmiał się wesoło.

— No, no — zawołał — jesteście mężni młodzieńcy, zuchwali przy blasku słońca, wierni w ciemnościach. Dobrze jest być strzeżonym, jeżeli drugich strzeże się uczciwie. Panowie, pamiętam tę noc, kiedyście mnie przeprowadzali do „Czerwonego Gołębnika”. Gdyby było jakieś niebezpieczeństwo na drodze, w którą się udaję, prosiłbym, abyście ze mną jechali, lecz ponieważ nie mam się czego obawiać, zostańcie, gdzie jesteście, dokończcie butelki i wasz list. *Adieu*, panowie.

Dosiadł konia podanego przez Cahusaca, pożegnał ich ręką i odjechał.

Młodzi ludzie, stojąc nieruchomo, ścigali go wzrokiem i milczeli, aż im znikł z oczu.

Następnie spojrzeli po sobie.

Wszyscy mieli miny przerażone, czuli dobrze, iż pomimo łaskawego pożegnania kardynał odjechał z furją w duszy.

Tylko Atos uśmiechał się wzgardliwie.

— Grimaud za późno nas ostrzegł! — zawołał Portos, chcąc na kimś wyładować swoją złość, gdy kardynał już nie mógł ich słyszeć.

Grimaud chciał się tłumaczyć.

Atos położył palec na ustach i Grimaud zamilkł.

— Aramisie, czy byłbyś oddał list? — zapytał d'Artagnan.

— Byłem zdecydowany — odrzekł Aramis głosem słodziutkim — gdyby zażądał był listu, podać mu jedną rękę, a drugą przebić go szpadą na wylot.

⁴⁶⁴indagacja (z łac.) — dopytywanie się, wypytywanie. [przypis edytorski]

⁴⁶⁵samotrzyć (daw.) — sam z dwoma towarzyszami; we trójkę. [przypis edytorski]

— Spodziewałem się tego — rzekł Atos — i stanąłem pomiędzy nim a tobą. Kardynał jest bardzo nieostrożny, odzywając się w ten sposób do ludzi; można by myśleć, że miał w życiu do czynienia jedynie z kobietami i dziećmi.

— Kochany Atosie — rzekł d'Artagnan — podziwiam cię, lecz pomimo to my nie mieliśmy racji...

— Jak to?! My nie mieliśmy racji! — przerwał Atos. — Czyż to powietrze, którym oddychamy? Czyj ocean, na który patrzymy? Czyj piasek, na którym leżeliśmy? Do kogo należy list twojej kochanki? Czy do kardynała? Na honor, ten człowiek wyobraża sobie, że cały świat należy do niego. Staliście teraz, jękając się, osłupiali, upokorzeni jak przed Bogiem; rzecz by można, że Bastylię ujrzełicie lub że Meduza⁴⁶⁶ zamieniła was w kamienie. Kochasz kobietę, którą kardynał kazał uwięzić, chcesz ją wydostać z jego rąk; jest to partia, jaką rozgrywasz z Jego Eminencją. Ten list, to twoje atu⁴⁶⁷; po cóż pokazywać atu przeciwnikowi? Tak się nie robi. Niech sam odgadnie, i owszem! O!... My odgadujemy doskonale jego zamiary.

— W rzeczy samej, bardzo rozsądnie to powiedziałaś, Atosie — rzekł d'Artagnan.

— Niechże nie będzie więcej mowy o całym zdarzeniu i niech Aramis czyta list kuzynki od miejsca, w którym kardynał nam przerwał.

Aramis wyjął list z kieszeni, towarzysze przysunęli się, a lokaje zajęli się na powrót butelką z winem.

— Przeczytałaś zaledwie parę wierszy, zacznij od początku — rzekł d'Artagnan.

Kochany kuzynku! Jestem zdecydowana jechać do Stenay⁴⁶⁸, gdzie moja siostra umieściła naszą kuzynkę w klasztorze karmelitek. Biedne dziecko pogodziło się z losem, przekonana jest bowiem, że tam tylko znajdzie zbawienie duszy. Sądzę jednakże, jeżeli nasze interesy rodzinne ułożą się po myśli, wtedy powróci ona do tych, których tak bardzo kocha, tym bardziej iż wie o tym, że myślą o niej bezustannie. Oczekując tej zmiany, nie bardzo się martwi, pragnie jedynie listu od narzeczonego. Wiem, że ten rodzaj kontrabandy⁴⁶⁹ z trudnością przechodzi kraty klasztorne, lecz dałam ci już dowód zręczności w tej mierze, drogi kuzynku, i teraz podejmę się z ochotą zlecenia. Moja siostra przekazuje ci podziękowanie za twoją stałą pamięć o niej. Miała bardzo przykre chwile do przebycia, lecz uspokoiła się trochę na koniec, wysłała bowiem wiernego sługę tam, dokąd wiesz, aby pilnował jej interesów. *Adieu*, kochany kuzynku, pisz do nas, jak możesz najczęściej, to jest, gdy będziesz miał pewność, że twoje listy dojdą do naszych rąk. Całuję cię serdecznie. Maria Michon

— O! Ileż ja ci zawdzięczam, drogi Aramisie! — zawołał d'Artagnan. — Moja kochana Konstancja! Mam na koniec wiadomość o niej; żyje, jest bezpieczna w klasztorze, jest w Stenay! Atosie, powiedz mi, gdzie leży Stenay?

— Kilka mil od granicy Alzacji, w Lotaryngii⁴⁷⁰; jak tylko oblężenie się skończy, możemy wybrać się w te okolice...

— Niedługo to nastąpi, mam nadzieję — odezwał się Portos. — Dziś rano powieszono szpiega, który zeznał, że mieszkańcy La Rochelle zjadają już skórę z trzewików. Przypuśćmy, że zjadłszy skórę, wezmą się do podeszew, to niedługo nie pozostanie im nic innego, jak zjadać się wzajemnie.

— Biedni głupcy! — rzekł Atos, wypróżniając szklankę doskonałego bordeaux⁴⁷¹, które choć nie posiadało w owej epoce dzisiejszej sławy, niemniej na nią zasługiwało. — Nieszczęśliwi, bezrozumni! Jak gdyby religia katolicka nie była najkorzystniejszą i najprzyjemniejszą ze wszystkich wyznań! A jednak — dodał, smakując z upodobaniem wino — to dzielni ludzie... Aramisie, co ty, u diabła, robisz? — ciągnął Atos. — Chowasz ten list do kieszeni?

⁴⁶⁶Meduza (mit. gr.) — jedna z trzech siostr Gorgon, miała na głowie węże zamiast włosów, a jej wzrok mógł przemienić w kamień tego, kto na nią spojrzał. [przypis edytorski]

⁴⁶⁷atu — atu. [przypis edytorski]

⁴⁶⁸Stenay — miejscowość i gmina we Francji, w regionie Grand Est. [przypis edytorski]

⁴⁶⁹kontrabanda — przemyt. [przypis edytorski]

⁴⁷⁰Alzacja i Lotaryngia — pñ.-wsch. regiony Francji. [przypis edytorski]

⁴⁷¹bordeaux — wino z okolic francuskiego miasta o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

— Trzeba go spalić — rzekł d'Artagnan — a nawet kto wie, czy pan kardynał nie ma sposobu wygrzebywania tajemnicy z popiołów?

— Z pewnością go posiada — odparł Atos.

— Cóż zatem chcesz zrobić z tym listem? — zapytał Portos.

— Zbliź się, Grimaudzie — zawołał Atos.

Grimaud wstał i słuchał.

— Za karę, że odezwałeś się bez pozwolenia, mój przyjacielu, zjesz natychmiast ten kawałek papieru; następnie w nagrodę usługi, jakąś nam oddaś, wypijesz tę oto szklankę wina. Masz najpierw list; dalej! Gryź prędko.

Grimaud uśmiechnął się i z oczami utkwionymi w szklankę, którą Atos napełnił winem, pożył papier i połknął go...

— Brawo, panie Grimaudzie! — rzekł Atos. — Teraz bierz i pij. Możesz nie dziękować.

Grimaud w cichości połykał bordeaux, lecz jego wzrok wzniesiony w niebo był bardziej wymowny przez cały czas miłego zajęcia.

— A teraz — rzekł Atos — jeżeli tylko panu kardynałowi nie przyjdzie dowcipna myśl otworzenia żołądka Grimaudowi, to, jak mi się zdaje, możemy być prawie spokojni.

Przez ten czas Jego Eminencja odbywał dalej samotną przejażdżkę, mrużąc pod wąsami:

— Ci ludzie muszą do mnie należeć; muszą, stanowczo!

ROZDZIAŁ XXV. PIERWSZY DZIEŃ NIEWOLI

Powróćmy do milady, którą straciliśmy z oczu, zatrzymawszy się na brzegach Francji.

Odnajdujemy ją w położeniu rozpaczliwym, w jakim ją pozostawiliśmy; w przepaści czarnych rozmyślań, czarnych jak piekło, u drzwi którego prawie zostawiła nadzieję — bowiem pierwszy raz ogarnęło ją zwątpienie, pierwszy raz się lękała.

Po dwakroć zwykle szczęście jej nie dopisało, po dwakroć odkryto ją i zdradzono, a obydwa razy rozbiło się jej powodzenie o ten geniusz fatalny, zesłany przez Boga na jej pogńębienie. D'Artagnan zwyciężył ją, tę siłę w złym niewyciężoną.

Nadużył miłości, upokorzył dumę, oszukał ambicję, a teraz oto gubi ją bezpowrotnie, czyha na swobodę, życiu jej nawet zagraża. Co więcej, zdarł z niej maskę, którą się osłaniała i pod którą była tak silna!

D'Artagnan odwrócił od nienawistnego jej Buckinghama (bo nienawidzi go jak wszystko, co kiedyś kochała) burzę grożącą mu od Richelieu z powodu królowej.

D'Artagnan udawał hrabiego de Wardes, dla którego miała jedną z tych fantazji zwierzęcych, niepohamowanych, jakim podlegają kobiety jej charakteru. D'Artagnan zna straszną tajemnicę i żyje jednak, a przysięgła przecież, że każdy, kto ją pozna, musi umrzeć...

Na koniec, w chwili gdy zdobyła wyrok od kardynała, za pomocą którego była pewna zemsty na nieprzyjacielu, wydarto jej ten wyrok, a teraz znów d'Artagnan wepchnął ją do więzienia i przyczynił się do tego, że zostanie wysłana do Botany Bay, do ohydneho Tyburn, za Ocean Indyjski!

To wszystko to na pewno jego sprawa. Skądże by mogło przyjść tyle nieszczęść? Tylko on mógł lordowi de Winter odkryć jej straszną przeszłość, poznaną dziwnym zarządzeniem losu... On zna jej szwagra i napisał do niego bez wątpienia. Jakaż nienawiść wzbiera w jej sercu, gdy siedzi nieruchoma z oczami pałającymi, utkwionymi w pusty pokój. Co chwila z piersi wydobywa się stłumiony jęk, a wtóruje mu loskot bałwanów morskich rozbijających się z rykiem jak rozpacz wieczna a bezsilna o podnóża skały, na której stoi ponury zamek.

W głowie roją się tysiączne plany zemsty: nad panią Bonacieux, Buckinghamem, a nade wszystko nad d'Artagnanem!

Tak, lecz chcąc się mścić, trzeba być wolną. Więzień chcący się wydostać na swobodę musi przebić mury, wyłamać kraty, wyrwać podłogi. To wszystko jest możliwe dla silnego i cierpliwego mężczyzny, lecz nie dla nerwowej i słabej fizycznie kobiety. W dodatku potrzeba na to czasu, miesięcy, całych lat, a ona... ona ma dwanaście dni, jak jej zapowiedział lord Winter, okrutny dozorca więzienny. Jednak, gdyby była mężczyzną,

Kobieta demoniczna

Więzień, Wolność, Zemsta

próbowałyby wszystkiego, może by się udało uwolnić. Oh! Po co Stwórca się pomylił i duszę męską i silną dał kobiecie słabej i delikatnej?! Pierwsze chwile niewoli były straszne; szarpała się, trzęsła, nie mogąc powstrzymać objawów kobiecej słabości.

Powoli uspokajała się, pokonała wybuchy szalonego gniewu, drżenie nerwowe ustało i rozmyślała, siedząc beczynn timer jak wąż znużony, gdy odpoczywa.

— Dosyć tego, byłam szalona, unosząc się w ten sposób — rzekła do siebie, patrząc w lustro odbijające pałający wzrok, jakim przypatrywała się sobie. — Dosyć gwałtów i krzyków, to właśnie dowód słabości. W ten sposób nigdy nie postawiłam na swoim. Gdybym użyła siły z kobietą, może byłaby słabsza ode mnie, lecz ja walczę z mężczyzną i powinnam o tym pamiętać... Walczmy zatem jak kobieta; moja siła jest właśnie w słabości...

Następnie dla przekonania, jakie zmiany może nakazać swojej twarzy, przybierała po kolei od wyrazu złości, wykrzywiającej rysy, aż do najczulszego, tkliwego i najponętniejszego uśmiechu.

Potem rozpuściła włosy i ułożyła tak, aby podnosiły piękność twarzy. Na koniec zadowolona szepnęła:

— Nie ma nic straconego... Zawsze jestem bardzo piękna...

Wieczór się zbliżył, godzina ósma wybiła, milady spostrzegła łóżko zasłane. Pomyślała, że kilka godzin spoczynku nie tylko umysł odświeży, lecz doda blasku śnieżnej płci. Przed położeniem się jednak powzięła inne postanowienie.

Słyszała, iż mówiono o kolacji, a że od godziny przeszło zamknięta już była, spodziewała się zatem, że niebawem przyniosą jej posiłek. Nie chciała tracić czasu i postanowiła od chwili obecnej zbadać położenie, studiując charaktery ludzi, którym straż nad nią powierzono.

Światło ukazało się przez drzwi; zwiastowało ono powrót dozorców. Milady rzuciła się co prędzej na fotel, głowę w tył przechyliła; piękne włosy rozpuszczone sięgały podłogi, pierś na pół odkryta wyglądała spod koronek sukni, ręką jedną trzymała się za serce, drugą bezwładnie spuściła ku ziemi.

Otworzono zamki, drzwi na zawiasach zgrzytnęły, do pokoju weszło kilka osób.

— Postawcie ten stół — dał się słyszeć głos, po którym milady poznała Feltona.

Wykonano rozkaz bezzwłocznie.

— Przyniescie tu światło i każcie zmienić wartę — mówił Felton.

Milady domyśliła się po tym rozkazie, że ludzie jej usługujący byli żołnierzami.

Polecenie Feltona wykonano szybko i w milczeniu, co dawało dobre wyobrażenie o karności, w jakiej trzymał podwładnych. Na koniec Felton, który dotąd nie patrzył na milady, zwrócił się do niej.

— A!... — wyrzekł. — Ona śpi; to dobrze, po przebudzeniu zje kolację.

I zawrócił się ku wyjściu.

— Panie poruczniku — odezwał się jeden z żołnierzy, mniej surowy niż jego dowódca — ona nie śpi...

— Jak to nie śpi?... — rzekł Felton. — Cóż robi zatem?

— Zemdlą; patrz pan, jaka biała leży i bez oddechu!

— Masz rację — przyznał Felton, przyjrząwszy się milady z daleka. — Idź, donieś lordowi de Winter, że ta pani zemdlą, ja nie wiem, co na to poradzić, ponieważ nie przewidzieliśmy tego wypadku.

Żołnierz wyszedł, a Felton usiadł przy drzwiach i czekał, nic nie mówiąc. Milady posiadała dar widzenia poprzez rzęsy, nie otwierając oczu wcale. Widziała, że Felton jest obrócony tyłem, i przez jakieś dziesięć minut patrząc na niego, przekonała się, że jej nieczuły dozorca nie odwrócił się ani razu.

Przyszło jej na myśl, że z przybyciem lorda Felton umocni się jeszcze w obojętności. Pierwsza próba nie udała się; co robić, liczyła na jeszcze inne sposoby, podniosła też głowę, otworzyła oczy i westchnęła lekko.

Na odgłos ten młody oficer odwrócił się nareszcie.

— A! Obudziłaś się, pani — rzekł — niepotrzebny więc tu już jestem. Jak pani będziesz czego potrzebować, proszę zadzwonić.

Kobieta demoniczna,
Szaleństwo, Siła, Fałsz,
Uroda

— O Boże, mój Boże! Jakże cierpiałam!... — wymówiła milady głosem harmonijnym, jakim czarodziejki starożytne usidlały tych, których zgubić postanowiły.

Felton się podniósł.

— Podadzą pani posiłek trzy razy na dzień — powiedział — o dziewiątej rano, pierwszej z południa i ósmej wieczorem. Jeżeli to nie podoba się pani, oznacz inne godziny, a pod tym względem zastosujemy się do twoich życzeń.

— Czyż zawsze mam być sama jedna w tym wielkim i ponurym pokoju?... — zapytała milady.

— Będziesz pani miała od jutra kobietę do usług, która stawi się na każde zawołanie.

— Dziękuję panu — odpowiedziała milady pokornie.

Felton skłonił się lekko i skierował ku drzwiom. Gdy miał próg przestąpić, lord Winter ukazał się na korytarzu wraz z żołnierzem, który go uwiadomił⁴⁷² o zemdleniu milady. Lord trzymał w ręku flakon z solami trzeźwiącymi.

— Co tu się dzieje?... — zapytał drwiąco, ujrawszy milady na nogach, a Feltona wychodzącego. — Czy nieboszczka już zmartwychwstała?... Na Boga, Feltonie, mój synu, czy nie widzisz, że mają cię za nowicjusza i odgrywają przed tobą pierwszy akt komedii, której dalszy ciąg będziemy mieli przyjemność ujrzyć w przyszłości?

— Tak też myślałem, milordzie — rzekł Felton — lecz ponieważ to kobieta, więc, jako człowiek dobrze urodzony, chciałem okazać względy należne płci, nie już przez szacunek dla niej, lecz dla siebie samego.

Milady przeszedł dreszcz. Słowa Feltona ścięły jej krew w żyłach.

— Zatem — mówił lord Winter — te piękne włosy do ziemi rozpuszczone i te spojżenia omdlewające nie zwiodły cię, ty człowieku z kamiennym sercem?

— Nie, milordzie — odrzekł obojętnie młodzieniec. — Wierz mi, potrzeba daleko więcej sztuki i kokieterii, aby mnie oszukać.

— W takim razie, mój dzielny poruczniku, zostawmy milady, niech szuka innych sposobów, a sami chodźmy na kolację. Bądź spokojny! Ma ona płodną imaginację, drugi akt komedii nastąpi niebawem po pierwszym.

Z tymi słowami lord Winter wziął pod rękę Feltona i śmiejąc się, zmierzał ku drzwiom.

— O! Znajdę, co ci potrzeba — mruczała milady przez zęby — bądź pewny, biedny mnichu niedoszły! Znajdę sposób, biedny żołnierzu nawrócony, który wykroileś sobie mundur z habitu!

— Ale, ale — dodał lord Winter, zatrzymując się na progu — droga milady, niech ci ten zawód apetytu nie psuje. Spróbuj kurczęcia i ryb, nie kazałem ich zatruć, słowo honoru. Mam dobrego kucharza, a ponieważ nie dziedziczy po mnie, pokładam w nim zupełną ufność. Ufaj mu więc także. *Adieu*, kochana siostrzyczko, zobaczymy się przy powtórnym zemdleniu.

Tego już było za wiele dla milady. Zaciśnęła ręce kurczowo, zgrzytnęła zębami i utkwiała ponury wzrok w drzwi zamykające się za lordem i Feltonem. Gdy została już sama, napadł ją nowy paroksyzm rozpaczy. Spostrzegła na stole nóż, zerwała się i schwyciła go. Niestety! Spotkało ją okrutne rozczarowanie — ostrze było tępe, z miękkiego srebra...

Rozległ się głośny śmiech, drzwi się roztworzyły.

— Aa!... — wołał lord Winter. — Aaa! Widzisz, dzielny Feltonie, czy ci nie mówiłem? Ten nóż był przeznaczony dla ciebie; dla ciebie, moje dziecko, ona by cię nim przebiła. Jest to jeden z jej sposobów pozbywania się ludzi, którzy jej zawadzają. Gdybym cię posłuchał, dałbym jej nóż stalowy i ostry; a wtedy już po Feltonie! Byłaby ci gardło poderżnięta, a potem wszystkim, których by napotkała na swej drodze. Spójrz no, Johnie, jak ona doskonale umie trzymać nóż.

Rzeczywiście, milady wciąż trzymała w zaciśniętej ręce srebrny nóż, lecz ostatnie słowa, zawierające najwyższą zniewagę, odebrały jej siłę... nóż upadł na ziemię.

— Prawdę mówiłeś, milordzie — rzekł Felton z głęboką pogardą — masz rację, jak zawsze, to ja byłem w błędzie.

I obydwaj opuścili pokój. Lecz teraz milady słuchała uważniej niż za pierwszym razem, dopóki ostatnie echo kroków nie ucichło w głębi korytarza.

Kobieta

Kobieta demoniczna,
Szaleństwo

⁴⁷²uwiadomić — poinformować. [przypis edytorski]

— Jestem zgubiona — mruzczała — zgubiona bezpowrotnie... Jestem w mocy ludzi zimnych, okrutnych; nie zdobędę ich sobie, to posągi z brązu czy z granitu. Zrozumieli mnie, odgadli i opancerzyli się stosownie na wszystkie moje pociski... Niepodobna jednak, aby to się miało skończyć tak, jak oni pragną...

Milady zasiadła do stołu, jadła z apetytem, wypila trochę wina hiszpańskiego i poczuła, że odwaga jej powróciła.

Przed udaniem się na spoczynek przeszła w pamięci każde słowo, każde stąpnienie, gest, poruszenie, aż do milczenia swoich interlokutorów⁴⁷³, a z tego przeglądu ścisłego wypadło, że Felton, pomimo pozorów, łatwiejszy był do podejścia niż lord Winter.

Jedno przede wszystkim przychodziło jej na pamięć.

„Gdybym cię był posłuchał” — powiedział lord do Feltona.

Zatem Felton ujmował się za nią, skoro Winter nie chciał go usłuchać.

— Słaby jest czy silny — powtórzyła milady — człowiek ten ma jednak iskrę litości w duszy; z tej iskry rozniecę pożar, który go pochłonie. Co się tyczy tamtego, on zna mnie dobrze; lęka się i wie, czego może się spodziewać, jeżeli kiedykolwiek z rąk jego się wydostanę. Nie warto zatem próbować z nim czegokolwiek. Felton to co innego; młody jest, naiwny, czysty i wydaje się cnotliwy; na tego mam sposób pewny...

Milady położyła się i zasnęła z uśmiechem na ustach; widząc ją śpiącą, rzekłbyś — młode dziewczę śniące o wieńcu z kwiatów, którym ma nazajutrz główkę przyozdobić.

ROZDZIAŁ XXVI. DRUGI DZIEŃ NIEWOLI

Milady śniła, że dostała na koniec d'Artagnana, że patrzy na jego śmierć i właśnie widok krwi nienawistnej, płynącej spod topora katowskiego, wywołał na te usteczka prześlicznych uśmiech. Spała, jak śpi więzień kołysany pierwszą nadzieją wolności.

Nazajutrz, gdy zajrzano do pokoju, leżała jeszcze w łóżku. Felton zatrzymał się na korytarzu. Przyprowadził właśnie kobietę, o której wczoraj wspomniał. Kobieta przystąpiła do łóżka, ofiarując usługi. Milady była zwykle blada, wygląd jej zatem mógł oszukać każdego, co ją po raz pierwszy zobaczył.

— Mam gorączkę — rzekła — całą noc długą spędziłam bezsennie, cierpię straszliwie. Czy będziesz litościwszą niż ci, którzy mnie wczoraj odwiedzali? Niczego nie pragnę, tylko pozwolenia na pozostanie w łóżku.

— Czy chce pani, abym przywołała doktora? — odpowiedziała kobieta.

Felton słuchał rozmowy, lecz się nie odzywał.

Milady rozważyła, że im więcej ludzi będzie koło niej, tym więcej będzie roboty z ich rozczulaniem, a lord Winter czujność podwoi. Doktor wreszcie może poznać, że choroba udana, a milady po przegraniu pierwszej partii drugiej przegrać nie chciała.

— Na co wołać doktora — rzekła — ci panowie zdecydowali wczoraj, że moja choroba jest komedią, tak samo byłoby i dzisiaj; od wczorajszego wieczoru mieli dość czasu, aby doktora uprzedzić.

— A więc — rzekł Felton zniecierpliwiony — niech pani sama powie, jakiego chce lekarstwa.

— O mój Boże, czyż ja wiem? Czuję się chora, ot i wszystko; dajcie mi, czego chcecie, mało mnie to obchodzi.

— Poproście lorda de Winter — rzekł Felton, znudzony ciąglem narzekaniem.

— O! Nie, nie! — krzyknęła milady. — Nie wołajcie go, błagam pana, zdrowa jestem, nic mi nie trzeba, niech nie przychodzi.

Tyle było pośpiechu, tyle wymowy pociągającej w tym okrzyku, że Felton pomimo woli wszedł do pokoju.

„Aha, przyszedł” — pomyślała milady.

— Jednakże, jeżeli pani cierpi *rzeczywiście* — odezwał się — pošlemy po doktora, a jeżeli pani nas zwodzi, ha! tym gorzej dla niej, my przynajmniej z naszej strony nie będziemy mieli sobie nic do wyrzucenia.

Milady nie odpowiedziała, tylko przechyliwszy na poduszkę śliczną główkę, zaczęła głośno łkać.

⁴⁷³interlokutor — rozmówca. [przypis edytorski]

Felton patrzył przez chwilę ze zwykłą obojętnością; nareszcie, widząc, że kryzys się przeciąga, wyszedł z pokoju; za nim wyszła i kobieta. Lord de Winter nie ukazał się.

— Zdaje mi się, że zaczynam pojmować jasno — szeptała milady z dziką radością, nakrywając się prześcieradłami, by ukryć przed oczami mogącymi ją podpatrywać wybuch zadowolenia.

Dwie godziny upłynęły.

— Czas już wyzdrowieć — rzekła — wstawajmy i starajmy się otrzymać jakąkolwiek korzyść z dnia dzisiejszego; mam tylko dni dziesięć, a dziś wieczorem dwa już upłyną.

Nazajutrz rano przyniesiono milady śniadanie; pewna była, iż niebawem przyjdą zabrać stół i że wtedy zobaczy Feltona.

Nie omyliła się; Felton wszedł i nie zważając, czy milady jadła już, rozkazał wynieść stół, który zwykle przynoszono nakryty i zastawiony.

Felton został jeszcze; w rękę trzymał jakąś książkę.

Milady, wyciągnięta w fotelu obok kominka, piękna, blada, z wyrazem rezygnacji na twarzy, wyglądała jak święta dziewica oczekująca męczeństwa.

Młody człowiek zbliżył się i rzekł:

— Lord de Winter, będąc sam katolikiem jak i ty, pani, pomyślał, iż brak modlitw i obrządków twojego wyznania może być pani przykry; zgadza się zatem, abyś pani choć przeczytała każdego dnia *mszę swoją*; a oto książka zawierająca cały rytuał.

Widząc minę, z jaką Felton położył książkę na stoliczku obok niej, słysząc głos, jakim wymówił słowa „*swoją mszę*”, i uśmiech wzgardliwy, towarzyszący tym słowom, milady podniosła głowę i patrzyła na niego uważnie.

Wtedy z włosów zaczesanych gładko, z ubrania skromnego do przesady, z czoła gładkiego jak marmur, lecz jak tenże twardego i nieprzeniknionego, domyśliła się w nim jednego z tych ponurych purytanów, jakich spotykała tak często na dworze króla Jakuba⁴⁷⁴, jak i na dworze króla Francji, gdzie pomimo wspomnienia nocy świętego Bartłomieja przebywali niekiedy, szukając schronienia. Przyszło jej nagle jedno z tych natchnień, jakie miewają tylko ludzie genialni w chwilach stanowczych, decydujących o losie całego życia.

Te dwa słowa: „*msza swoją*” i uważne spojrzenie na Feltona objaśniły ją o całej ważności odpowiedzi, jaką zamierzała dać.

Z szybkością sobie właściwą znalazła ją gotową:

— Ja? — rzekła z równą pogardą, jaką zauważyła w głosie Feltona. — Ja mam od czytywać *mszę swoją*? Lord de Winter, katolik skażony, wie doskonale, że nie jestem tego wyznania co on, a to są zapewne nowe sidła, które na mnie zastawia.

— Jakieżże religii pani jesteś? — zapytał Felton ze źle ukrytym zdziwieniem.

— Wyznam to — zawołała milady, udając egzaltację — lecz wyznam w dniu, w którym już dosyć wycierpię za moją wiarę.

Spojrzenie Feltona odkryło milady, jaki wyłom zrobiła w jego przekonaniach.

Młody oficer pozostał jednak milczący i nieruchomy; wzrok jego mówił jedynie.

— Jestem w rękach nieprzyjaciół moich — ciągnęła z entuzjazmem właściwym purytanom — czy mnie Bóg mój wybawi, czy zginę dla Boga mojego, wszystko mi jedno! Oto odpowiedź, którą, proszę, zanieś pan lordowi de Winter. A co do tej książki — dodała, wskazując ją końcem palca z daleka, jak gdyby się obawiała splamić dotknięciem — możesz ją pan zabrać i użyć dla siebie; bez wątpienia bowiem jesteś podwójnym współnikiem lorda Wintera, współnikiem w prześladowaniu i współnikiem w herezji.

Felton nie odpowiedział, zabrał książkę z tym samym uczuciem pogardy, jak kiedy ją przyniósł, i wyszedł zamyślony.

O piątej wieczorem przyszedł lord Winter; milady miała czas przez dzień cały nakreślić plan postępowania; przyjęła go też jak kobieta czująca, że przy niej zwycięstwo.

— Zdaje się — rzekł baron, siadając na fotelu naprzeciw milady i wyciągając niedbale nogi przed ogniem — zdaje się, że popełniliśmy małą apostazję⁴⁷⁵!

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że od naszego ostatniego widzenia się zmieniliśmy religię. Czyś

Religia, Modlitwa

Religia

⁴⁷⁴Jakub I Stuart (1566–1625) — król Szkocji (od 1567) i Anglii (od 1603), pierwszy król Anglii z dynastii Stuartów; jego faworytem był książę Buckingham. [przypis edytorski]

⁴⁷⁵apostazja — odstępstwo od wiary. [przypis edytorski]

pani przypadkiem nie wysła trzeci raz za mąż, za protestanta?

— Wytłumacz się, milordzie — odparła uwięziona z powagą — oświadczam, iż nie rozumiem wcale słów twoich.

— To znaczy, że nie masz żadnej religii; wolę cię nawet taką — rzekł drwiąco milord.

— Z pewnością, że przypadałoby to bardziej do twoich przekonań.

— O! Przyznaję, iż mi to wszystko jedno.

— Choćbyś się nie przyznał do religijnej obojętności, poznać ją łatwo po rozwiązłym życiu i twoich występkach.

— Co! Ty mówisz o rozpuszcie, pani Messalino⁴⁷⁶!... Ty, lady Makbet⁴⁷⁷!... Albo mnie słuch myli lub też jesteś bardzo bezczelna!...

— Mówisz w ten sposób, bo wiesz, że nas podsłuchują, mój panie — odrzekła wyniośle milady — chcesz podburzyć przeciwko mnie dozorców i prześladowców moich!

— Dozorców!... Prześladowców!... O, pani, zanadto patetycznie się wyrażasz; wczorajsza komedia zamienia się w tragedię, jak widzę. Mniejsza o to, za osiem dni znajdziesz się pani na właściwym miejscu, a wtedy skończy się moje zadanie.

— Zadanie haniebne! Bezbożne!... — odparła milady z uniesieniem ofiary wyzywającej sędziego.

— Na honor! Sądzę, że ta hultajka dostaje wariacji. No, no, uspokój się zacna purytanko, w przeciwnym razie w lochu cię zamknę. Prawdopodobnie wino szampańskie poszło ci do głowy?... Uspokój się, to przejdzie bez śladu i szkodliwych następstw.

Lord Winter wyszedł, klnąc straszliwie, co w owym czasie było przyzwyczajeniem wysokiej szlachty.

Felton znajdował się rzeczywiście za drzwiami i nie stracił ani słowa z prowadzonej rozmowy.

Milady wiedziała, co robi.

„Idź, idź — mówiła w myśli do szwagra — zbliża się stanowcza chwila, lecz ty się dowiesz o wszystkim, stary głupcze, gdy będzie już poniewczasie⁴⁷⁸”.

Zaległa cisza, znów upłynęły dwie godziny, przyniesiono kolację. Milady odmawiała głośno modlitwy, jakich nauczyła się od zażartego purytanina, starego sługi swego drugiego męża.

Była jak w zachwyceniu i udawała, że nie słyszy, co się koło niej dzieje. Felton skinął, by jej nie przeszkadzano, i wyszedł po cichu razem z żołnierzami.

Milady wiedziała, że ją obeserwują, odmawiała też modlitwy do końca i zdawało się jej, że żołnierze będący na warcie przestali chodzić, tylko słuchali jej głosu.

Tego właśnie pragnęła; po ukończeniu nabożeństwa powstała, usiadła przy stole, zjadła trochę i piła jedynie wodę.

W godzinę potem żołnierze zabrali stół i nakrycie, lecz tym razem Felton im nie towarzyszył.

„Obawia się więc za często mnie widywać...” — pomyślała i odwróciła się do ściany, by ukryć uśmiech triumfu mogący ją zdradzić.

Po niejakej chwili cisza zaległa stary zamek, słychać było jedynie nieustający szmer fali morskiej; wtedy głosem harmonijnym i dźwięcznym zaczęła śpiewać pierwszą strofkę psalmu znanego i najczęściej ulubionego przez purytanów:

Boże! Odwracasz się od nas,
Pozostawiasz własnym siłom,
Lecz w chwilach niedoli
Wyciągasz ku nam prawicę wszechmocną.

Wiersz nie był dobry, nie było w nim miary ni rymu, lecz purytanie nie znali się na poezji.

⁴⁷⁶*Messalina, Valeria* (ok. 17–48) — trzecia żona rzymskiego cesarza Klaudiusza, znana z urody i licznych kochanków; skazana na śmierć za spisek przeciwko mężowi. [przypis edytorski]

⁴⁷⁷*lady Makbet* — postać z dramatu *Makbet* autorstwa Williama Shakespeare'a (1564–1616); żona tytułowego bohatera, która nakłania go do królobójstwa w celu przejęcia władzy w Szkocji. [przypis edytorski]

⁴⁷⁸*poniewczasie* — za późno. [przypis edytorski]

Milady śpiewając, nasłuchiwała; straż zatrzymała się jak skamieniała. Mogła zatem osądzić, iż uczyniła wrażenie.

Śpiewała dalej zawzięcie z niewymownym uczuciem; zdawało jej się, że śpiew rozlega się daleko pod sklepieniami i jak urok magiczny miękczy serca jej stróżów.

Okazało się jednak, że żołnierz na warcie, zapewne zagorzały katolik, otrząsnął się z wrażenia i zawołał przez drzwi:

— Uciszyć się pani nareszcie, śpiew twój smutny jak *De profundis*⁴⁷⁹, a połączony z przyjemnością stania na warcie staje się nie do wytrzymania.

— Milczeć!... — odezwał się poważny głos, po którym rozpoznała Feltona. — Nie mieszaj się w nieswoje rzeczy, błażnie! Czy masz rozkaz nie pozwalać śpiewać tej kobiecie?... Nie. Kazano ci pilnować, kazano strzelać do niej, gdyby chciała uciekać. Strzeż jej zatem; zabij, gdy będzie trzeba, lecz nie zmieniaj rozkazów, jakie otrzymałeś.

Radość niepohamowana rozjaśniła oblicze milady i jak błyskawica przemknęła po twarzy, lecz udając, że nie słyszy rozmowy, z której każde słówko zapamiętała, zaczęła znów, nadając głosowi urok, rozciągłość i dźwięk, którymi ją sam szatan obdarzył:

W nagrodę łez i niedoli,
Za wygnanie i kajdany,
Mam tylko młodość i modlitwę,
I Boga, który cierpienia policzy.

Cudowny głos nadawał prostym wierszom psalmu wyraz i urok, jakie purytanie najzapamiętalsi rzadko znajdowali w śpiewach swych braci; Feltonowi też zdawało się, że słyszy śpiew anioła pocieszającego trzech Hebrajczyków rzuconych na spalenie w piec gorejący.

Milady ciągnęła dalej:

Lecz dzień wyzwolenia nadejdzie dla nas;
O Boże mocny, Boże sprawiedliwy;
A gdy i tego odmówisz nam biednym,
Przyjmijemy cierpienie i śmierć z ręki Twojej.

Ostatnią strofkę okrutna czarodziejka oddała z takim uczuciem porywającym, że młody oficer nie był w stanie słuchać dłużej; otworzył drzwi gwałtownie i ukazał się na progu błądzący jak zawsze, tylko oczy mu ogniem pałały.

— Dlaczego pani śpiewasz — odezwał się — i po co takim głosem rozdzierającym?

— Przebac pan — rzekła milady łagodnie — zapomniałam, że pieśni moje źle brzmią w tym domu. Obraziłam pana jako katolika, lecz, przysięgam, nieumyślnie; przebac mi winę, wielką zapewne, lecz mimowolną.

Milady była piękna. Mówiąc to, uniesienie religijne, w jakim zdawała się być pogrążona, nadawało jej fizjonomii taki nieziemski wyraz, iż olśniony Felton sądził, że widzi teraz anioła, którego przedtem jedynie słyszał.

— Tak, pani — odpowiedział — zakłócasz spokój ludzi mieszkających w zamku.

Biedny szaleniec nie spostrzegł, iż ta odpowiedź bez związku odkrywa milady głębię jego duszy.

— Nie będę już śpiewała — rzekła milady, spuszczać oczy z pokorą i rezygnacją.

— Tego nie żądam; śpiewaj pani, tylko nie tak głośno, a głównie podczas nocy...

Z tymi słowami, czując, że dłużej nie potrafi być surowy, młody człowiek oddalił się pośpiesznie.

— Dobrze zrobiłeś, panie poruczniku — odezwał się żołnierz — te psalmy zakłócają spokój duszy... można się jednak do nich przyzwyczaić; ona głos ma taki piękny!

ROZDZIAŁ XXVII. TRZECI DZIEŃ NIEWOLI

Felton przyszedł nareszcie... lecz tego nie dosyć; potrzeba, aby sam z nią pozostał; a milady nie wiedziała jeszcze, jakiego sposobu użyć, aby tego dokazać.

Trzeba na koniec rozruszać go, uczynić rozmowniejszym, aby móc do niego także

⁴⁷⁹ *De profundis* (łac.) — z głębin, otchłani; słowa te rozpoczynają *Psalm 130*. [przypis edytorski]

wprost przemówić; bo milady wiedziała, że jej głos ma urok nieprzeciętny, że nikt mu się nie zdoła oprzeć.

Pomimo tylu ponęt mogło jej się nie udać, bo Felton był uprzedzony o wszelkich pokusach z jej strony.

Zaczęła też odtąd obserwować go pilnie, każde słowo, spojrzenie, gest każdy, a nawet oddech przyśpieszony, mogący uchodzić za westchnienie, nie uszły jej uwagi. Krótko mówiąc, uczyła się wszystkiego, jak to czyni zręczny aktor, któremu dano rolę, jakiej jeszcze nie grał.

Łatwiej było dać sobie radę z lordem de Winter; od wczoraj też nakreśliła plan zamierzonego postępowania: milczeć z godnością w jego obecności, od czasu do czasu oburzyć go udaną pogardą lub znieważającym słowem, zmusić do pogroźek i gwałtów, aby lepiej uwydatnić swoją rezygnację; taki był jej projekt. Felton będzie świadkiem i choć się nie odezwie, lecz zobaczy...

Rano jak zwykle przyszedł Felton; milady pozwoliła mu zająć się przygotowaniem śniadania, nie zwracając się wcale do niego. Zdawało jej się, że w chwili wyjścia miał zamiar przemówić, poruszył nawet ustami, lecz powstrzymał się i wyszedł.

Okolo południa ukazał się lord de Winter.

Dzień był piękny, błyśnięcie słońca przedzierało się przez kraty więzienne, oświecając, lecz nie grzejąc, jak to bywa w Anglii.

Milady patrzyła przez okno, udając, że nic nie słyszy.

— O!... — odezwał się lord Winter. — Po komedii graliśmy tragedię, a teraz przyszła kolej na melancholię.

Uwięziona nie odpowiedziała.

— Tak... tak... — ciągnął lord Winter — rozumiem; chciałabyś się wydostać na wybrzeże, wsiąść na okręt i pruć szmaragdowe fale; pragnęłabyś na łądzie lub na wodzie urządzić mi zasadzkę, jedną z tych, które tak doskonale potrafisz obmyślać. Cierpliwości!... Cierpliwości, moja pani! Za cztery dni znajdziesz się na wybrzeżu, potem na pełnym morzu; za cztery dni bowiem uwolnię Anglię od twej obecności.

Milady złożyła rączki, a piękne oczy w niebie utkwiała:

— Boże!... Boże wszechmocny!... — wyrzekła z anielską słodyczą. — Przebaczone temu człowiekowi, jak ja mu przebaczam!...

— Módl się, módl, przeklęta — zawołał lord — prosz Boga o przebaczenie dla mnie, bo przysięgam ci, że jesteś w rękach człowieka, który tobie nigdy nie przebaczy...

Z tymi słowami opuścił pokój.

Gdy otwierał drzwi, milady spostrzegła Feltona, jak chował się, aby nie być przez nią widziany.

Wtedy padła na kolana i głośno mówiła:

— Boże, mój Boże!... Ty wiesz, dla jak świętej sprawy znoszę cierpienia; dodaj mi siły, o Boże wielki!

Drzwi cicho się uchyliły. Piękna pokutnica udając, że nic nie słyszy, modliła się dalej.

— Boże mścicielu!... Boże dobroci!... Czyż pozwolisz, aby się spełniły ohydne zamiary tego człowieka?!

Niby dopiero teraz usłyszała kroki Feltona, zerwała się szybko, zarumieniła jak gdyby zawstydzona, iż ją widziano klęczącą.

— Nie lubię przerywać modlitwy — rzekł Felton poważnie — niech pani nie wstaje, zaklinam panią.

— Skąd pan wie, że ja się modliłam — mówiła milady głosem przez łkanie przerywanym — mylisz się pan, nie modliłam się wcale.

— Myślisz pani zatem — odrzekł Felton poważnie, lecz słodko zarazem — iż czuję się w prawie przeszkadzać istocie stworzonej, gdy korzy się przed Stworzycielem? O, niech Bóg uchwali! Winowajca powinien żałować za grzechy; choćby nawet zbrodnię popełnił, nietykalny jest dla mnie, gdy modli się do Boga.

— Ja?!... Posądzona o zbrodnię? — rzekła milady z uśmiechem, który by anioła rozbroił w dniu sądu ostatecznego. — Ja!... Zbrodniarką!... Mój Boże... Ty wiesz, czy nią jestem... Powiedz pan, że jestem skazana, potępiona, to będziesz miał rację. Ale wiesz pewnie, że Bóg kocha cierpiących i pozwala niekiedy, aby skazywano niewinnych.

Wina, Grzech, Modlitwa

Bóg, Kara, Cierpienie

— Czyś pani potępiona niesłusznie, niewinna lub męczennica — odparł Felton — to jeden powód więcej do błagania Boga; i ja sam modlić się będę za ciebie.

— O!... Ty jesteś sprawiedliwy — zawołała milady, do nóg mu się rzucając — dłużej już nie wytrzymam, lękam się, iż sił mi zbraknie w chwili walki, gdy będę musiała wyznać moją wiarę; wysłuchaj więc błagania kobiety przywiedzionej do rozpacz. Oszukują pana, nie wierz im, tu chodzi o co innego, ja tylko o jedną łaskę proszę, a jeśli mnie wysłuchasz, błogosławić cię będę na tym i na tamtym świecie.

— Mów pani z moim przełożonym — rzekł Felton — na szczęście nie polecono mi przebaczać ani karać; wyżej ode mnie postawieni dostali od Boga tę władzę.

— Z panem... z panem tylko chcę mówić. Wysłuchaj mnie... nie przyczyniaj się do mej zguby, do hańby!...

— Jeżeli zasłużyłaś pani na ten wstyd i hańbę, trzeba ją znieść z pokorą, ofiarując to Bogu.

— Co pan mówisz!... O!... Nie zrozumiałeś mnie! Mówię o hańbie, a ty myślisz, że mówię o karze za nią, o więzieniu lub śmierci!... O!... Dałby Bóg, żeby tak było! Cóż dla mnie znaczy śmierć lub niewola!

— Teraz ja pani nie rozumiem!

— Lub udajesz, że nie rozumiesz!... — odparła milady z uśmiechem powątpiewania.

— Nie, pani, na honor żołnierski, na wiarę moją przysięgam!

— Jak to? Więc nie domyślasz się pan zamiarów lorda de Winter?

— Nie wiem o niczym.

— Niepodobna... Pan, jego powiernik?...

— Pani, ja nigdy nie kłamię.

— O!... Mogłeś pan sam odgadnąć.

— Nie staram się odgadywać... czekam, aż mi powiedzą, a prócz tego, co mówił przy pani lord de Winter, z niczym mi się nie zwierzał.

— Nie jesteś zatem jego współnikiem — zawołała milady z akcentem prawdy w głosie — nie wiesz, że przeznacza mi hańbę... przewyższającą w okropności najstraszniejszą karę na ziemi?

— Mylisz się, pani — rzekł Felton, czerwieniąc się. — Lord de Winter jest niezdolny do podobnej zbrodni.

„Dobrze — pomyślała milady — nie wie, o co chodzi, a już nazywa to zbrodnią!” — i głośno dodała:

— Przyjacieli pozbawionego czci jest zdolny do wszystkiego.

— Kogo pani nazywasz czci pozbawionym?... — zapytał Felton.

— Czyż jest w Anglii dwóch ludzi godnych tego imienia?

— Chcesz pani mówić o Jerzym Villiersie? — zapytał Felton, a wzrok mu zapalał.

— Którego poganie niewierni nazywają księciem Buckinghamem — odparła milady.

— Nie przypuszczałam, aby znalazł się w Anglii choć jeden prawdziwy syn tej ziemi, któremu by trzeba było tak długiego tłumaczenia dla poznania, o kim chcę mówić.

— Ręka Stwórcy cięży nad nim i nie uniknie kary zasłużonej.

Felton wyraził jedynie opinię, jaką książkę miał u rodaków; nawet katolicy nazywali go zdziercą, łupieżcą i rozwiązyłem, a purytanie po prostu szatanem.

— O!... Boże, mój Boże!... — wołała milady. — Zrozumiejsz pan na koniec, iż błagając cię o ukaranie tego człowieka, nie pragnę zemsty mnie przynależnej, lecz oswobodzenia narodu jęczącego pod jego przemocą!

— Znasz go pani zatem?... — zapytał Felton.

„Nareszcie zapytuje” — pomyślała milady u szczytu radości.

— O!... Tak!... Znam go na moje nieszczęście! — powiedziała i załamała ręce w paroksyzmie boleści.

Felton czuł, że siły go opuszczają, i postąpił ku wyjściu. Milady nie spuszczała go z oczu, poskoczyła za nim i powstrzymała.

— Panie!... — krzyknęła. — Łaski!... Miłosierdzia!... Wysłuchaj mej prośby: oddaj nóż wydarty przez mego prześladowcę, bo on wie, jaki użytek z niego zrobię... O! Wysłuchaj mnie do końca!... Ten nóż... Daj go na jedną chwilę, przez litość daj mi go!... Całuję twoje nogi!... Zamkniesz sam drzwi, bo ja nie godzę na twoje życie!... Jakże mogłabym

Przyjaźń

powziąć myśl podobną... Ty!... Jedyne istoty sprawiedliwe, dobre i litościwe, jaką napotkałam... Ty!... Mój zbawco prawdopodobnie. Daj na chwilę ten nóż, na jedną minutę, zwrócę ci go przez szparę we drzwiach. Na jedną minutę, panie Feltonie, a ocalisz moją cześć niewieścią!...

— Chcesz się zabić!... — krzyknął Felton przerażony, zapominając wyrwać ręce z objęć uwięzionej. — Chcesz się zabić?

— Tak, panie — rzekła milady, zniżając głos i padając bezsilna na ziemię — wydałam moją tajemnicę! On wie wszystko!... Mój Boże, jestem zgubiona!

Felton stał nieruchomy, nie wiedząc, co robić.

„Wątpi jeszcze, waha się — myślała milady — nie dość prawdziwie odegrałam rolę”.

W korytarzu rozległ się szelest. Milady poznała chód lorda de Winter.

Felton także poznał i postąpił ku drzwiom.

Milady rzuciła się za nim:

— O!... Ani słowa — rzekła głosem stłumionym — ani słowa przed tym człowiekiem, co ci mówiłam, albo będę zgubiona, i ty... ty...

Ponieważ zbliżano się, uchyliła ze strachu, aby nie usłyszano głosu; następnie z gestem przerażenia położyła piękną rączkę na ustach Feltona.

Młody człowiek odsunął delikatnie milady, a ona padła wyczerpana na sofę.

Lord de Winter minął drzwi i słychać było, że poszedł w inną stronę.

Felton, jak śmierć bladej, stał przez chwilę, nasłuchując, a gdy odgłos kroków uchlił zupełnie, odetchnął ciężko jak zbudzony ze snu i wybiegł z pokoju.

— A!... — mówiła milady, słysząc, że Felton poszedł w przeciwną stronę niż lord Winter. — Na koniec! Do mnie już należysz!...

Następnie zachmurzyła czoło.

— Jeżeli opowie lordowi — mówiła — jestem zgubiona... Lord dobrze wie, że ja sobie życia nie odbiorę, da mi nóż w rękę w jego obecności i wtedy przekona go, że ta straszna rozpacz była tylko komedią...

Przystąpiła do lustra i napawała się swoim widokiem; nigdy jeszcze nie była tak piękna.

„Mogę być spokojna — pomyślała — on nic nie powie...”.

Wieczorem razem z kolacją przyszedł lord de Winter.

— Panie — rzekła milady — czy obecność twoja jest koniecznym dodatkiem do mojej niewoli? Czy nie mógłbyś mi oszczędzić dodatkowej tortury, jaką mi sprawiają odwiedziny twoje?

— Jak to?... Droga siostrzyczko!... — rzekł Winter. — Czyż nie słyszałem na własne uszy, jak te śliczne usteczka, tak srogie obecnie, zapewniały mnie, że przybyłaś do Anglii, aby się nacieszyć moim widokiem i że w tym celu jedynie naraziłaś się na chorobę morską, burzę, niewolę!... Otóż jestem, ciesz się, kochanko; tym razem jednak odwiedziny moje nie są bez powodu...

Milady zadrżała, sądziła, że Felton się wygadał. Nigdy w życiu ta kobieta, która doświadczyła tyle wrażeń przeróżnych, nie czuła tak silnego bicia serca.

Siedziała na fotelu, lord Winter przysunął drugi i usiadł obok, następnie wyjął z kieszeni papier i rozłożył powolnie.

— Otóż — rzekł do niej — mam zamiar pokazać ci pewien rodzaj paszportu, jaki ci będzie służył za numer porządkowy na resztę życia.

I zwracając oczy z milady na papier, czytał:

— „Rozkaz odstawienia do...” Nazwa miejsca niewpisana — przerwał de Winter. — Pozwalam ci wybierać, byleby tylko znajdowało się ono o jakieś tysiąc mil ode mnie, z ochotą je wpiszę. Zaczynam więc:

„Rozkaz odstawienia do... tak zwanej Karoliny Backson, a piętnowanej z wyroku sądów królestwa francuskiego i uwolnionej po odciernieniu kary. Skazana jest na przebywanie w miejscu wyżej wymienionym i nieoddalanie się z niego dalej niż na trzy mile. W razie zamiaru ucieczki zostanie ukarana śmiercią. Będzie pobierać pięć szylingów dziennie na mieszkanie i życie”.

— Rozkaz ten mnie nie dotyczy — rzekła chłodno milady — ponieważ nie na moje nazwisko jest wydany.

Próżność, Uroda

— Czyż pani masz jakie nazwisko?

— Mam to, jakie mi nadał twój brat.

— Jesteś w błędzie, mój brat był tylko drugim mężem, a pierwszy żyje jeszcze... Powiedz mi jego nazwisko, wpiszę je w miejscu nazwiska Karoliny Backson. Nie?... Nie chcesz?... Milczysz uparcie? Dobrze! Będziesz skazana pod imieniem Karoliny Backson.

Milady nie odezwała się; siedziała jak martwa; tylko tym razem nie było to udane, lecz prawdziwe przerażenie.

Widziała wyrok, sądziła, że go wykonają natychmiast, że lord Winter przyspieszy deportację, że skazana jest na wyjazd w tej chwili...

Zatem wszystko stracone... Lecz myśląc tak, rzuciła okiem na papier i spostrzegła, że nie ma żadnego podpisu.

Nie mogła ukryć radości z tego powodu.

— Tak, tak — rzekł lord Winter, który widział, co się z nią dzieje — szukasz podpisu i mówisz sobie: „Nie wszystko stracone, bo akt niepodpisany; pokazują mi go, aby zastraszyć...”. Otóż mylisz się, moja pani; jutro ten wyrok poślę do księcia Buckingham, pojutrze wróci do mnie, podpisany jego ręką i opatrzony pieczęcią, a w dwadzieścia cztery godziny, ja ci to zaręczam, zacznie się jego wykonanie. Żegnam panią, oto wszystko, co miałem ci powiedzieć.

— A ja ci powiadam, mój panie, że nadużycie władzy, że to wygnanie pod obcym nazwiskiem jest podłością...

— Czy wolisz być powieszona pod własnym nazwiskiem? Wiesz o tym, że prawa angielskie są surowe dla frymarczących⁴⁸⁰ małżeństwem. Powiedz otwarcie. Pomimo że nazwisko moje, a raczej mego brata, wmieszane jest w tę sprawę, narażę się na skandal procesu publicznego, aby tylko być pewnym, że uwolnię się od ciebie.

Milady nie odpowiadała, lecz zbladła jak trup.

— O!... Widzę, że wolisz się przejechać. Masz pani rację; stare przysłowie powiada, że podróże kształcą młodość. Na honor, dobrze pani robisz, boć mimo wszystko życie jest niezłe... Dlatego też nie życzę sobie, żebyś mnie go pozbawiła. Pozostaje nam jeszcze kwestia pięciu szylingów. Jestem trochę skąpy, nieprawdaż? A to dlatego, ażebyś nie mogła przekupić straży!... A! Prawda, pozostają ci jeszcze wdzięki, masz czym uwodzić. Próbuj, pani, jeżeli cię nie zniechęcił zawód, jaki cię spotkał u Feltona, próbuj używania sztuczek tego rodzaju.

„Felton nic nie powiedział — myślała milady — zatem nie wszystko stracone...”.

— A teraz do widzenia pani, przyjdę jutro oznajmić o wyjeździe posłańca.

Lord powstał, skłonił się ironicznie i wyszedł.

Milady odetchnęła; miała jeszcze cztery dni przed sobą; cztery dni wystarczą do uwiedzenia Feltona.

Straszna myśl przyszła jej do głowy. Lord Winter może wysłać Feltona z wyrokiem do podpisania, wtedy Felton się wymknie, a tu, ażeby dopiąć celu, trzeba go mieć przy sobie.

Jednakże jedna rzecz ją uspokajała: Felton nic nie powiedział lordowi.

Nie chciała okazać, że przeraziły ją groźby lorda, zatem zabrała się do jedzenia.

Następnie, jak poprzedniego dnia, uklękła i modliła się głośno.

Tak samo jak wczoraj żołnierz przestał chodzić i słuchał pod drzwiami.

Za chwilę usłyszała lekkie kroki zbliżające się z głębi korytarza i zatrzymujące się przy drzwiach.

— To on — rzekła do siebie i zaczęła śpiewać ten sam psalm, który wczoraj tak rozegzaltował Feltona. Pomimo że jej słodki, pełny i dźwięczny głos rozbrzmiewał bardziej harmonijnie i przejmująco niż zawsze, drzwi się nie rozwarły.

Milady zdawało się, że widzi w małym otworze pałający wzrok młodzieńca; nie wiadomo, czy była to rzeczywistość, czy złudzenie, to tylko pewne, iż znalazł dość siły, by nie wejść do pokoju. Jednak gdy skończyła śpiewać, usłyszała głębokie westchnienie i cichy chód oddalający się jak gdyby z żalem.

⁴⁸⁰frymarczyć (daw.) — kupczyć, handlować. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ XXVIII. CZWARTY DZIEŃ NIEWOLI

Nazajutrz, gdy Felton wszedł do milady, zastał ją stojącą na fotelu. W rękę trzymała sznur skręcony z chusteczek batystowych, podartych na pasy i powiązanych.

Na odgłos otwieranych drzwi milady zeskoczyła lekko na ziemię i starała się ukryć za sobą improwizowaną linę, którą trzymała w ręce.

Młodzieniec był bledszy niż zwykle, a oczy zaczerwienione od bezsenności świadczyły o nocy spędzonej w gorączce.

Na czole widniała niezwykła surowość.

Zbliżył się powoli ku milady, siedzącej teraz, i biorąc koniec sznura, który przez niewagę lub umyślnie był źle ukryty, zapytał surowo:

— Co to jest, proszę pani?

— To?... Nic... — odparła milady z bolesnym uśmiechem. — Nuda jest śmiertelnym wrogiem więźniów. Nudziłam się i bawiło mnie splatanie tej liny.

Felton spojrział na ścianę pokoju, przed którą zastał milady stojącą na tym samym fotelu, na którym siedziała obecnie. Ponad jej głową spostrzegł wbity w mur pozłaczany hak do wieszania ubrania i broni.

Zadrżał, a milady, pomimo spuszczonej oczu, widziała to dobrze.

— Czemu przypisać, że zastałem panią stojącą na fotelu? — zapytał.

— Co to pana może obchodzić? — odpowiedziała.

— Pragnę wiedzieć koniecznie.

— Nie pytaj mnie pan — rzekła uwodzicielka — wiesz dobrze, że nam, prawdziwym chrześcijanom, nie wolno jest mówić nieprawdy.

— Otóż ja powiem, co pani robiłaś, a raczej, co zamierzałaś zrobić: chciałaś dokończyć fatalnego dzieła, jakie masz na myśli. Pamiętaj pani jednak, że jeżeli nasz Bóg zabrania kłamstwa, daleko surowiej zabrania samobójstwa.

— Gdy Bóg widzi istotę cierpiącą niesłusznie, mającą do wyboru samobójstwo lub hańbę, wierz mi, panie — mówiła milady tonem głębokiego przekonania — że Bóg przebacza samobójstwo, bo jest ono wtedy męczeństwem.

— Mówisz pani za wiele lub za mało; na Boga, wytłumacz się jaśniej!...

— Mamże panu opowiadać moją niedolę, abyś to uważał za bajkę? Mamże zwierzać się z zamiarów, abyś doniósł o nich memu prześladowcy? Nie, panie. A przy tym cóż cię może obchodzić życie lub śmierć biednej skazanej?... Odpowiadasz tylko za ciało moje... wszak prawda?... I bylebyś przedstawił trupa, którego uznają za mnie, nic więcej od pana żądać nie będą... A może nawet dostałbyś podwójną nagrodę!...

— Ja... pani, ja?... — zawołał Felton. — Przypuszczasz, że wziąłbym nagrodę za życie twoje?... O!... Nie myślisz tego, co mówisz.

— Pozwól mi zrobić, co chcę, Feltonie, pozwól mi — rzekła milady, unosząc się. — Każdy żołnierz powinien być ambitny, wszak prawda? Jesteś porucznikiem, otóż za moim pogrzebem będziesz szedł już jako kapitan.

— Cóż zawiniłem — odrzekł Felton złamany — że obarczysz mnie pani taką odpowiedzialnością przed ludźmi i Bogiem? Za kilka dni będziesz daleko stąd, twoje życie nie będzie pod moją strażą i — dodał z westchnieniem — wtedy zrobisz z nim, co będziesz chciała.

— A więc tak — zawołał milady, jakby nie mogła powstrzymać oburzenia — pan, człowiek religijny, którego zowią sprawiedliwym, pan pragniesz tylko jednej rzeczy: nie odpowiadać za moją śmierć.

— Strzec powinienem życia pani i strzec go będę.

— Czy pojmujesz pan swoje zadanie? Jest ono okrutne, jeśli jestem winna, lecz jakże nazwiesz je, gdy Bóg osądzi, żem niewinna?

— Żołnierzem jestem i spełniam rozkazy.

— Czy myślisz, że w dzień Sądu Ostatecznego Bóg odłączy katów zaślepionych od sędziów niesprawiedliwych?... Nie chcesz, bym zabiła ciało, a pomagasz temu, który chce zabić moją duszę?

— Powtarzam pani — podjął Felton zachwiany — żadne niebezpieczeństwo ci nie grozi... rękę za lorda de Winter jak za siebie samego.

— Biedny szaleńcze — zawołała milady — ośmielasz się ręczyć za drugiego, gdy

Więzień, Nuda

Samobójstwo, Bóg

Żołnierz

Kondycja ludzka

nawet najmędrsi według Boga wahają się ręczyć za siebie samych! On staje po stronie mocniejszego i szczęśliwszego, aby zgnębić słabą i nieszczęśliwą!

— Niepodobna, pani, niepodobna — mówił Felton, czując w głębi serca prawdę tego argumentu — dopókiś uwięziona, nie otrzymasz przeze mnie wolności; dopóki żyjesz, nie stracisz przeze mnie życia.

— Tak! — krzyknęła milady. — Lecz stracę to, co mi jest droższe niż życie, stracę honor, Feltonie; i to ty! ty odpowiesz przed Bogiem i ludźmi za mój wstyd i niesławę.

Tym razem Felton, pomimo obojętności prawdziwej czy udanej, nie mógł oprzeć się tajemnemu wpływowi, jaki już nim oświadczył. Patrzył na kobietę piękną, jasną jak najczystsze marzenie, na przemian we łzach tonącą lub groźną; wytrzymać naraz wpływ piękności i boleści zanadto było dla fanatyka, zanadto dla głowy zapalanej, sekciarskiej, dla serca płonącego miłością nieba i pożeranego nienawiścią do ludzi.

Milady spostrzegła pomieszenie, odczuła płomień żądz palący krew w żyłach młodego ascety i na podobieństwo umiejętnego wodza, który w chwili gdy nieprzyjaciół słabnie, uderza na niego z okrzykiem zwycięstwa, podniosła się, piękna jak bóstwo starożytne, natchniona jak dziewica chrześcijańska, z ręką w górę wzniesioną, z szyją odkrytą, z włosami rozpuszczonymi, ściągając skromnie drugą ręką suknię na piersiach i z ogniem w spojrzeniu, który już pobudził zmysły młodego purytanina, szła prosto do niego i podniesionym głosem, z akcentem wstrząsającym, śpiewała:

Wydaj Baalowi⁴⁸¹ jego ofiarę,
Lwom na pożarcie ją oddaj,
Odpowiesz za to przed Bogiem!...
Wołam do niego z otchłani...

Felton stał jak wryty.

— Kto ty jesteś? — zawołał, składając ręce. — Czy wysłanniczką Boga? Czy piekło cię wydało? Czyś anioł, czy szatan, na imię ci Eloa czy Astarte⁴⁸²?

— Czyś mnie nie poznał, Feltonie?... Nie jestem ani aniołem, ani szatanem; jestem córką tej ziemi i siostrą twoją, jednej z tobą wiary.

— Tak!... Tak!... — rzekł Felton. — Wątpiłem jeszcze, lecz teraz wierzę.

— Wierzysz... a jednak spiskujesz z synem Beliala⁴⁸³, którego nazywają lordem de Winter!... Wierzysz, a pozostawiasz mnie w mocy nieprzyjaciół, nie tylko moich, lecz Anglii i Boga?... Wierzysz, a wydajesz mnie temu, co świat gorszy herezją i życiem rozwiązyłem, temu Sardanapalowi⁴⁸⁴ ohydnemu, którego zaślepieni zwą księciem Buckinghamem, a prawowierni Antychrystem nazywają.

— Ja miałbym cię wydać Buckinghamowi? Ja? Co mówisz?...

— Mają oczy — zawołała milady — a nie będą widzieli, mają uszy, a nie będą słyszeli!⁴⁸⁵

— Tak, tak — rzekł Felton, trąc ręką czoło złane potem jakby dla odpędzenia ostatnich wątpliwości — tak, słyszę ten głos w moich snach; tak, poznaję rysy anioła ukazującego mi się podczas bezsennych nocy i mówiącego do mojej duszy: „Uderz śmiało, zbaw Anglię, zbaw siebie samego, albowiem umrzesz, nie prześląwszy Boga!”. Mów, mów, pani! — zawołał Felton. — Teraz już cię rozumiem.

Błyskawica okrutnej radości, szybka jak myśl, błysnęła w oczach milady.

Felton dojrzał zabójcze światło i zadrżał, zdawało mu się, że ujrzał głębię serca tej kobiety.

Przyszły mu na myśl przestrogi lorda Wintera, powaby milady i jej pierwsze próby uwiedzenia, gdy tylko przybyła. Cofnął się, spuścił głowę, lecz patrzył jak oczarowany przez tę dziwną istotę. Jego oczy nie mogły oderwać się od jej oczu.

⁴⁸¹*Baal* — semickie bóstwo; władca świata, bóg życiodajnego deszczu i burzy; co roku stawał do walki z bogiem śmierci Motem, w wyniku której ginął, a następnie odradzał się na wiosnę. [przypis edytorski]

⁴⁸²*Astarte* a. *Asztarte* — fenicka i kananejska bogini miłości, płodności oraz wojny. [przypis edytorski]

⁴⁸³*Belial* — jeden z upadłych aniołów, szatan. [przypis edytorski]

⁴⁸⁴*Sardanapal* — legendarny ostatni król Asyrii, żyjący w przepychu, zniewieściał i dekadencji władca, który swymi działaniami doprowadził do upadku państwa. [przypis edytorski]

⁴⁸⁵*Mają oczy, a nie będą widzieli, mają uszy, a nie będą słyszeli!* — Mk 4, 10–13. [przypis edytorski]

Milady spostrzegła wahanie. Pomimo pozorów egzaltacji zachowała zimną krew. Felton nie zdążył przemówić, a ona, czując, że nie zdoła dalej utrzymać się w roli tak trudnej, opuściła ręce i głowę zwalczona niby słabością kobiecą.

— O nie — rzekła — ja nie potrafię zostać Judytą uwalniającą Betulię od Holofernesa. Miecz sprawiedliwości przedwiecznej za ciężki dla mego ramienia. Pozwól mi uniknąć hańby przez śmierć... pozwól mi zostać męczennicą. Nie żądam wolności, jak by to zrobiła występna, ani zemsty, jak bezbożna. Pozwól mi umrzeć, tego tylko pragnę. Proszę cię, błagam na kolanach; pozwól mi umrzeć, a moje ostatnie westchnienie będzie błogosławieństwem dla zbawcy!

Na ten głos słodki i błagalny, na spojrzenie nieśmiałe Felton znowu się zbliżył.

Powoli czarodziejka przybrała się we wszystkie swoje powaby, a tymi były: piękność, słodycz, łzy, a nade wszystko powab rozkoszy mistycznej, najniebezpieczniejszy ze wszystkich powabów.

— Niestety! — rzekł Felton. — Jedno tylko jest w mojej mocy: żałować pani, jeżeli dowiedziesz, że jesteś ofiarą przemocy. Jesteś chrześcijanką, jednej ze mną religii; czuję pociąg do ciebie, ja, który dotąd kochałem tylko mego dobroczyńcę; ja, który w życiu napotykałem jedynie zdrajców bezbożnych. Lecz ty, pani, tak piękna, tak na pozór czysta, skoro lord de Winter prześladował cię tak okrutnie, musiałaś chyba spełnić niesłychane zbrodnie!

— Mają oczy — powtórzyła milady z wyrazem bezmiernej boleści — a nie będą widzieli; mają uszy, a słyszeć nie będą.

— Więc powiedz mi, pani! — zawołał młody oficer. — O! Powiedz wszystko!...

— Mam ci zwierzyć moją hańbę?! — krzyknęła milady z rumieńcem wstydu na twarzy, bo często bywa, że zbrodnia jednego jest wstydem dla drugiego. — Ja, kobieta, mam opowiadać mężczyźnie?! O! — ciągnęła, zakrywając rączką cudne oczy. — O! Nigdy, nigdy bym nie mogła!

— Jak to? Mnie, bratu? — dodał Felton.

Milady patrzyła na niego długo z wyrazem, który młody człowiek wziął za niedowierzanie, a który był tylko badaniem i chęcią ujarznienia.

Teraz Felton złożył ręce błagalnie.

— Więc zaufam bratu! — rzekła milady. — I znajdę odwagę!...

Naraz dały się słyszeć kroki lorda Wintera; lecz tym razem okrutny szwagier milady nie postąpił jak wczoraj, nie minął drzwi więzienia, lecz zatrzymał się, przemówił do straży i wszedł do pokoju.

Felton miał czas odskoczyć na bok i lord zastał go w przyzwoitym oddaleniu od uwięzionej.

Baron wszedł powoli i patrzył bacznie na młodego człowieka i jego towarzyszkę.

— Coś bardzo długo, Johnie, siedzisz tutaj, czy ta pani opowiadała ci o wszystkich swoich zbrodniach?... W takim razie nie dziwiłbym się długości posiedzenia.

Felton przeraził się, a milady czuła się zgubiona, jeżeli nie przyjdzie z pomocą mieszanemu purytaninowi.

— O! Lękasz się, żeby ci się ofiara nie wymknęła — rzekła — otóż zapytaj twego godnego pomocnika, o jaką łaskę prosiłam go właśnie.

— Żądałaś łaski?... — zapytał baron podejrzliwie.

— Tak, milordzie — odrzekł młody człowiek.

— Jakiejże to łaski? Powiedz no.

— Żądała noża, który miała mi oddać za chwilę przez okienko we drzwiach — odpowiedział Felton.

— Jest więc tu ktoś ukryty, któremu ta miła osóbką chce gardło poderznąć? — rzekł lord Winter z pogardą.

— Ja jestem — odparła milady.

— Dałem ci do wyboru Amerykę i Tyburn — mówił lord — wybierz Tyburn, milady; wierz mi, postronek⁴⁸⁶ pewniejszy od noża.

Felton zbladł, wspomniał, iż gdy wszedł tutaj, milady właśnie sznur w rękę trzymała.

⁴⁸⁶postronek — mocny, gruby sznur. [przypis edytorski]

— Masz rację — rzekła — myślałam już i o tym — i dodała stłumionym głosem: — I pomyślę jeszcze...

Felton poczuł dreszcz przebiegający go aż do szpiku kości. Prawdopodobnie lord Winter to spostrzegł.

— Nie dowierzaj jej, Johnie — powiedział. — John, mój przyjacielu, zaufałem ci bezwarunkowo, miej się na baczności! Uprzedziłem cię przecie!... A wreszcie odwagi, mój chłopcze, za trzy dni uwolnimy się od tego stworzenia. Tam, dokąd ją pošlę, nie będzie już szkodziła nikomu.

— Czy słyszysz go? — zawołała milady, wybuchając tak, aby baron myślał, że wzywa na świadka niebo, a Felton wziął to do siebie.

Purytanin opuścił głowę w zadumie.

Baron wziął oficera za rękę, pociągnął za sobą, nie spuszczać wzroku z milady, dopóki się drzwi za nimi nie zamknęły.

— Widzę — rzekła uwięziona, pozostawszy sama — że dużo mam jeszcze do zrobienia. Winter ze zwyczajnego głupca przemienił się w przezornego nad wyraz; co to znaczy chęć zemsty i jak to pragnienie jej kształci człowieka! Felton zaś waha się jeszcze! Nie jest on taki, jak ten przeklęty d'Artagnan! Purytanin uwielbia tylko czyste dziewice, uwielbia je ze złożonymi rękami. Muszkieter kocha kobiety, kocha, ściskając w objęciach.

Jednakże milady oczekiwała niecierpliwie, pewna, że dziś jeszcze zobaczy Feltona. Na koniec w godzinę po scenie przez nas opisaną usłyszała cichą rozmowę, następnie drzwi się otworzyły i Felton się ukazał.

Młodzieniec wszedł prędko, zostawiając drzwi otwarte, i dawał znaki milady, by się nie odzywała. Twarz miał okrutnie zmienioną.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytała.

— Słuchaj — odparł Felton po cichu — oddaliłem straż, aby zostać u ciebie i rozmówić się bez niczyjej wiedzy. Baron opowiedział mi straszną historię...

Milady kiwała głową i uśmiechała się jak zrezygnowana ofiara.

— Albo jesteś wcielonym szatanem — ciągnął Felton — albo baron, mój dobroczyńca, mój ojciec, jest potworem. Znam cię od czterech dni, jego kocham od dwóch lat; mogę zatem wahać się, któremu z was wierzyć. Nie przerażaj się, ja potrzebuję dowodów. Dziś po północy przyjdę tutaj, a pani mnie przekonasz...

— Nie, Feltonie, nie, mój bracie, to za wielkie poświęcenie z twojej strony. Czuję, ile cię to kosztuje... Jestem już zgubiona, nie gub się razem ze mną... Mój zgon będzie wymowniejszy niż życie, a milczenie trupa przekona stokroć bardziej niż słowa uwięzionej.

— Milcz, pani! — krzyknął Felton. — Nie mów do mnie w ten sposób. Przyszedłem po to, abyś mi przyrzekała na honor, abyś przysięgła na wszystko, co najświętsze, że nie będziesz godziła na swoje życie.

— Nie mogę przyrzekać — rzekła milady. — Mam za wiele szacunku dla przysięgi i musiałabym jej dotrzymać.

— Przyrzeknij zatem tylko do chwili, aż się zobaczymy. Jeżeli potem będziesz jeszcze pragnęła śmierci, zostawię ci swobodę, a nawet sam przyniosę broń, jakiej pragniesz.

— Przyrzekam! Będę czekała na ciebie...

— Przysięgnij!

— Przysięgam na imię Boga naszego... Czyś zadowolony?...

— Dobrze, do widzenia dziś w nocy!

Wybiegł z pokoju, zamknął drzwi i oczekiwał z bronią żołnierską w ręku, jak gdyby straż pełnił w zastępstwie warty.

Żołnierz powrócił, a Felton oddał mu broń.

Wtedy przez otwór w drzwiach milady dojrzała, jak młodzieniec przeżegnał się nabożnie i poszedł w głąb korytarza.

Ona zaś powróciła na miejsce z uśmiechem pogardy na ustach, bluźniąc przeciw Bogu, na którego imię przysięgała, a którego nie znała i nie umiała kochać.

— Oszałały fanatyk! — mówiła. — Moim Bogiem jest ten, który mi dopomoże w zemście.

Religia, Żołnierz, Kobieta

Śmierć, Trup, Więzień

Bóg, Zemsta

ROZDZIAŁ XXIX. PIĄTY DZIEŃ NIEWOLI

Milady jednak zwyciężyła w poławie, a to podwajało jej energię. Łatwo dotąd zwyciężała ludzi światowych, których wychowanie dworskie pociągało w zastawione sieci. Milady pięknnością podbijała zmysły, a zręcznością i sprytem działała i zwyciężała stronę moralną. Lecz obecnie miała do zwalczania naturę zamkniętą w sobie i niedostępną z powodu surowości obyczajów; religia i prywatnie⁴⁸⁷ uczyniły z Feltona człowieka nieczulego na zwyczajne pokusy. Głowę miał nabitą planami rozległymi, nieokreślonymi i egzaltowanymi, nie było tam miejsca dla miłości i zachcianek zmysłowych, tych uczuć, jakie podsyca próżnowanie i zepsucie. Milady z udaną cnotą zrobiła już wyłom w wyobrażeniach człowieka uprzedzonego straszliwie, a urodą swoją w sercu i uczuciach człowieka skromnego i czystego. Przyznawała sama, że najtrudniejszym zadaniem, jakie miała w życiu, było właśnie podbicie młodzieńca opancerzonego fanatyzmem. Pomimo to przez cały wieczór napadało ją zwątpienie; nie wierzyła sobie ani losowi. Nie wzywała Boga, wiemy o tym, lecz ufała w moc złego, w tę nieskończoną potęgę rządzącą w życiu ludzkim, której, według baśni arabskiej, dosyć jednego ziarnka granatu dla odbudowania świata zburzonego.

Milady, umiejętnie przygotowana na przyjęcie Feltona, marzyła, co przyniesie jutrzejszy dzień. Wiedziała, że ma już zaledwie dwa dni, że gdy tylko Buckingham podpisze wyrok (a podpisze go tym łatwiej, że było tam nazwisko fałszywe, i nie domyśli się nawet, o jaką kobietę chodzi), baron natychmiast wsadzi ją na okręt. Wiedziała także, że kobiety skazane na zesłanie mają dużo mniej powabu niż kobiety uważane za cnotliwe, otoczone blaskiem wielkiego świata podnoszącym ich urodę, będące w modzie, bogate, a w dodatku pochodzenia arystokratycznego. Kobieta skazana na karę hańbiącą może być jeszcze piękna, lecz nie może już zostać znakomita. Jak wszyscy ludzie rozumni, milady wiedziała, jakie otoczenie przypada najlepiej jej naturze i upodobaniom. Czula odrazę do ubóstwa, pogarda świata przejmowała ją strachem. Milady królowała otoczona dworem; potrzebowała koniecznie zadowolić dumę. Rządzenie istotami bez znaczenia było dla niej poniżeniem, nie zaś przyjemnością. Z pewnością powróciłaby z wygnania, nie wątpiła o tym nawet na chwilę. Lecz jak długo to wygnanie mogło trwać?

Dla natury czynnej i ambitnej, jaką posiadała, dni, w których się nie wznosi, są dniami feralnymi! Jakże nazwać zatem dni, w których się zstępuje na dół! Stracić rok, dwa, trzy lata to cała wieczność; powrócić wtedy, gdy d'Artagnan, szczęśliwy i triumfujący, otrzyma już wraz z przyjaciółmi zasłużoną nagrodę od królowej za oddane usługi, były to przypuszczenia, których taka kobieta jak milady znieść nie była w stanie. Burza, która się wewnątrz niej srożyła, podwajała zawziętość i rozbiłaby mury więzienia, gdyby siły fizyczne odpowiadały moralnym.

W dodatku pobudzało ją jeszcze do czynu wspomnienie kardynała. Co mógł myśleć, co powiedzieć o jej milczeniu kardynał niedowierzający, niespokojny, podejrzliwy; kardynał, jej jedyna podpora, jedyny protektor w teraźniejszości i główny czynnik powodzenia i zemsty w przyszłości? Znała go, wiedziała, że po powrocie, po bezowocnej podróży, choćby nie wiadomo jak opowiadała o więzieniu, przebytych cierpieniach, kardynał odpowie ze spokojem sceptyka silnego władzą i geniuszem: „Trzeba było nie dać się podejść”.

Wtedy milady zbierała całą energię, wymawiając w myśli nazwisko Feltona, jedyne światelko przebłykujące w piekle, do którego się dostała; i jak wąż rozwijający pierścienie, by się przekonać o swej sile, otaczała naprzód Feltona tysięcznymi podejściami bujnej imaginacji.

Czas upływał. Godziny, jedna za drugą, zdawały się budzić zegar, a każde uderzenie młotka spiżowego odzywało się w sercu uwięzionej. O dziewiątej lord de Winter przyszedł jak zwykle, obejrzał okno i żelazne kraty, zbadał posadzkę, ściany, kominek i drzwi, a podczas tej długiej rewizji ani on, ani milady nie przemówili do siebie.

— No, no — rzekł baron, odchodząc — nie uciekniesz jeszcze tej nocy!

O dziesiątej Felton przyszedł rozstawić straż; milady poznała go po chodzie. Odgadwała, jak kochanka odgaduje wybranego sercem, a pomimo to nienawidziła go i pogardzała słabym fanatykiem.

⁴⁸⁷prywatnie — ograniczenie, obywatnie się bez czegoś. [przypis edytorski]

Umówiona godzina jeszcze nie nadeszła, Felton nie wszedł. Dwie godziny później, gdy północ wybiła, zmieniła się warta. Teraz milady oczekiwała niecierpliwie.

Po upływie dziesięciu minut Felton nadszedł.

— Słuchaj — rzekł młody człowiek do sztyldwacha⁴⁸⁸ — pod żadnym pozorem nie oddalaj się od tych drzwi; wiesz, że przeszłej nocy milord ukarał żołnierza, który opuścił stanowisko na chwilę, a jednak to ja sam przez krótką nieobecność jego czuwałem w zastępstwie.

— Wiem o tym — odparł żołnierz.

— Polecam ci baczność jak największą. Ja zaś — dodał — wejdę dla obejrzenia powtórnego pokoju tej kobiety, która, jak się zdaje, ma samobójcze zamiary i której mam rozkaz pilnować.

— Dobrze — szepnęła milady — surowy purytanin zaczyna kłamać.

Żołnierz uśmiechnął się tylko.

— Do licha! Panie poruczniku — powiedział — niewielkie to nieszczęście dostać takie polecenie, nade wszystko, jeżeli milord upoważnił cię pilnować jej nawet w łóżku.

Felton poczerwieniał i w innej okoliczności byłby złażał żołnierza za podobny żart, lecz teraz nieczyste sumienie nie pozwoliło mu otworzyć ust.

— Jeżeli cię zawołam, wchodź natychmiast; jeżeli przyjdzie ktoś inny, ty zawołaj mnie.

— Dobrze, panie poruczniku.

Felton udał się do milady, ona zerwała się z siedzenia.

— Jesteś więc? — zawołała.

— Przyrzekłem przyjść — odpowiedział Felton — i dotrzymałem słowa.

— Jedną rzecz mi jeszcze obiecałeś.

— Co takiego? Na Boga — rzekł młody człowiek, który pomimo panowania nad sobą czuł, że kolana uginają się pod nim i pot kroplisty występuje na czoło.

— Przyrzekłeś przynieść nóż i zostawić go po naszej rozmowie.

— Nie wspominaj o tym, pani. Nie ma tak rozpaczliwego położenia, które by upoważniało istotę stworzoną na obraz i podobieństwo boskie do odebrania sobie życia. Zastanawiałem się i przekonałem, że nie mogę pomagać do takiego grzechu.

— A! Zastanawiałeś się — rzekła uwięziona, siadając na fotelu i śmiejąc się pogardliwie — i ja także się zastanawiałam.

— Nad czym?

— Że nie mam nic do powiedzenia człowiekowi niedotrzymującemu danego słowa.

— O Boże! Mój Boże — wyszeptał Felton.

— Możesz pan odejść, nic mu nie powiem.

— Oto jest nóż! — rzekł Felton, wyciągając z kieszeni broń obiecaną, którą wahał się dotąd dać w ręce milady.

— Pokaż pan...

— Co chcesz uczynić, pani?

— Honorem ręczę, że oddam za chwilę, położysz go tylko na stole i staniesz pomiędzy nim i mną.

Felton podał nóż milady, ona obejrzała pilnie oprawę i spróbowała ostrza na palcu.

— Dobrze — rzekła, oddając — nóż jest z doskonałej stali; wierny z ciebie przyjaciel, Feltonie.

Młody człowiek odebrał nóż i, według umowy, położył go na stoliku. Milady spostrzegła to z ukontentowaniem.

— A teraz posłuchaj pan!

Zalecenie było niepotrzebne. Felton stał przed nią i oczekiwał niecierpliwie.

— Feltonie! — zaczęła milady z powagą i melancholią. — Feltonie, gdyby siostra twoja, córka twojego ojca powiedziała ci:

„Młoda i na nieszczęście piękna wpadłam w zasadzkę i oparłam się; otoczono mnie matnią niegodziwości; próbowano gwałtu, ale oparłam się; bluźniono przeciw religii, jaką wyznaję, przeciw Bogu, którego wielbię, bo przyzywam go na pomoc, oparłam się jednak; wtedy znieważono mnie, a nie mogąc zgubić mej duszy, postanowiono splamić na zawsze ciało moje, na koniec...”

⁴⁸⁸sztyldwach (daw.) — żołnierz stojący na warcie. [przypis edytorski]

Milady przerwała i gorzki uśmiech ukazał się na jej ustach.

— Na koniec — rzekł Felton — co z tobą zrobiono?

— Postanowiono pokonać mój upór podejściem. Pewnego wieczora domieszano mi do wody silnego narkotyku; zaledwie skończyłam skromny posiłek, uczułam ociążałość napadającą mnie stopniowo. Chociaż nic nie podejrzewałam, jednak strach mnie ogarnął i walczyłam ze snem zamykającym mi oczy; wstałam, chciałam biec do okna, wołać na pomoc, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Wyciągnęłam ręce, próbowałam mówić, lecz tylko słowa bez związku wydobywały się z zacieśnionego gardła... Zdrętwiałam cała... chwyciłam się krzesła, czując, że padam, lecz i ta podpora okazała się bezskuteczna; upadłam na kolana, chciałam się modlić... język mi zeszywniał... Bóg opuścił mnie widąc w tej chwili... osunęłam się na podłogę i zasnęłam twardym snem...

Co się stało podczas snu mego i jak długo trwał, nic nie wiem; jedno tylko przypominam sobie, iż obudziłam się w pokoju okrągłym, zbytkownie umeblowanym, do którego światło wpadało przez otwór w suficie.

Zresztą żadne drzwi nie prowadziły do niego; rzekłbyś, więzienie wspaniałe.

Długo nie mogłam zdać sobie sprawy, gdzie się znajduję, jak i ze wszystkich szczegółów wyżej przytoczonych; mój umysł walczył bezskutecznie z ciężkim snem, z którego nie byłam w stanie się otrząsnąć. Miałam niejasne wspomnienie przebytej przestrzeni, turkotu powozowego, snów strasznych i czułam wyczerpanie sił fizycznych.

Wszystko to majaczyło ciemno i niewyraźnie w głowie tak, że zdawało się dotyczyć jakiejś innej osoby, związanej ze mną fantastycznym podobieństwem.

Stan, w jakim się znajdowałam, był trudny do pojęcia, myślałam, że znowu śnię.

Podniosłam się, chwyciłam na nogach; moje ubranie leżało na krześle. Nie pamiętałam, czy się rozbierałam i kładłam do łóżka...

Wtedy z wolna rzeczywistość stanęła przede mną, pełna przypuszczeń obrażających skromność dziewiczą.

Znajdowałam się w nieznanym domu. O ile mogłam wnosić ze słońca, dzień już był na schyłku! Więc to wczoraj wieczorem straciłam przytomność; sen zatem trwał blisko całą dobę. Co się działo ze mną podczas tego długiego snu?

Ubrałam się najprędzej, jak mogłam. Ociążałość w członkach dowodziła, że działanie narkotyku jeszcze nie ustało.

Pokój był najwidoczniej przygotowany dla kobiety, a nawet najbardziej wymagająca kokietka musiałaby czuć się zadowolona z tego otoczenia.

Nie ja pierwsza, z pewnością, dostałam się do tego pysznego więzienia, lecz pojmujesz, Feltonie, im piękniejsze było więzienie, tym większą obawą mnie przejmowało.

Na próżno szukałam wyjścia, badałam ściany, nigdzie żadnego śladu... Co najmniej dwadzieścia razy obeszłam pokój, szukając, zawsze na próżno. Nareszcie wyczerpana padłam na fotel jak nieżywa.

Przez ten czas ściemniło się, a z ciemnością rosło me przerażenie; bałam się zostać na miejscu, zdawało mi się, że na każdym kroku czyha na mnie zguba.

Pomimo że od wczoraj nic nie miałam w ustach, wcale nie czułam głodu.

Żaden głos z zewnątrz nie dochodził, nic, z czego mogłabym obliczyć czas. Przeczynałam tylko, że musi być około ósmej wieczorem, a że to było w październiku, zatem zapadła już czarna noc.

Naraz zadrżałam — drzwi na zawiasach skrzypnęły, okno w górze zajaśniało, rzucając snop światła do pokoju, i ujrzałam z przerażeniem mężczyznę stojącego o parę kroków przede mną.

Stolik z parą nakryć i przygotowanym jedzeniem znalazł się cudownym sposobem na środku.

W mężczyźnie tym poznałam tego, co mnie od roku prześladował, co zaprzysiągł mnie pościć i który, odezawszy się, dał mi do zrozumienia, że należałam do niego zeszłej nocy.

— Podły!... — mruknął Felton.

— O!... Tak, podły — zawołała milady, widząc, jak całą duszą młody oficer słucha tej historii. — O! Tak, podły! — powtórzyła. — Sądził, iż dosyć było zwyciężyć mnie w śnie głębokim, abym zgodziła się na hańbę i następnie z własnej woli należała do niego; przychodził ofiarować mi bogactwa w zamian za moją miłość...

Więzienie

Cały ogrom pogardy, jaki może wezbrać w sercu kobiety, popłynął z moich ust w obelżywych słowach...

Człowiek ten musiał być przyzwyczajony do podobnych wyrzutów, bowiem słuchał spokojnie z uśmiechem, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Następnie, myśląc, że skończyłam, zbliżył się, poskoczyłam do stołu, porwałam nóż i przyłożyłam go do piersi.

„Uczyń jeden krok więcej — zawołałam — a oprócz hańby będziesz mieć moją śmierć na sumieniu”.

W moim spojrzeniu, w głosie, w całej postaci była bez wątpienia taka prawda, jaka przekonywa dusze najbardziej zepsute; zatrzymał się bowiem...

„Twoją śmierć!... — powiedział. — O! Nie, jesteś zanadto przyjemną kochanką, abym w ten sposób chciał cię postradać, gdyś zaledwie jeden raz należała do mnie. Do widzenia, moja piękna! Poczekam z drugą wizytą na łaskawsze usposobienie”.

Po tych słowach dał znak gwizdnięciem. Światło zniknęło, znalazłam się pogrążona w ciemnościach. Drzwi znów obróciły się na zawiasach, potem rozjaśniło się w pokoju, lecz znalazłam się już sama.

To była straszna chwila. Nie wątpiłam już o swojej niedoli, wszystko pierchło wobec rozpaczliwej rzeczywistości: byłam w mocy człowieka, którego nie tylko nienawidziłam, lecz którym pogardzałam; człowieka wążącego się na wszystko, który dał mi już miarę, do czego jest zdolny.

— Lecz któż on był? — zapytał Felton.

— Spędziłam noc na krześle, drżąc przy najmniejszym hałasie. Około północy lampa zagasła i znów znalazłam się w ciemności. Lecz noc przeszła, mój prześladowca nie dawał znaku życia. Rozwidniło się; stół z nakryciem gdzieś przepadł, został mi tylko nóż w ręce.

W nożu tym złożyłam całą nadzieję.

Byłam śmiertelnie zmęczona, bezsenność paliła mi oczy. Nie śmiałam zmrużyć oka przez całą noc, dopiero dzień dodał mi odwagi. Rzuciłam się na łóżko, nie rozłączając się z nożem, który włożyłam pod poduszkę.

Obudziwszy się, zastałam znów stolik nakryty.

Tym razem, pomimo strachu, pomimo udręczenia, poczułam okrutny głód. Od czterdziestu ośmiu godzin nie miałam nic w ustach, zjadłam więc kawałek chleba i trochę owoców. Wspomniawszy narkotyk, jaki wypiłam z wodą, nie dotknęłam się stojącej na stole, lecz napełniłam szklankę wodą tryskającą z fontanny umieszczonej obok toalety. Pomimo tej ostrożności niepokój mnie ogarnął; tym razem jednak obawy okazały się nieuzasadnione — spędziłam dzień, nie doświadczwszy niczego takiego, czego się obawiałam. Wypróżniłam karafkę do połowy, aby nie spostrzeżono mojej nieufności.

Nadszedł wieczór, a z nim ciemności. Mój wzrok zaczął się przyzwyczajać, mogłam rozróżniać przedmioty i widziałam stolik zapadający się w podłogę; po kwadransie może ukazał się znówu zastawiony potrawami, a po chwili lampa oświeciła mój pokój.

Postanowiłam jeść jedynie pokarmy, do których nie można domieszać substancji usypiających; parę jaj i trochę owoców wystarczyło mi w zupełności, następnie napiłam się wody z opiekuńczej fontanny.

Po wypiciu połowy szklanki poczułam, że ma inny smak niż rano; przestałam pić, ogarnęło mnie podejrzenie.

Wylałam resztę z odrazą i czekałam zlaną potem z przestachu. Zapewne jakiś niewidzialny świadek obserwował mnie i skorzystał z mojej ufności, aby tym pewniej doprowadzić swój plan do skutku.

Nie upłynęło pół godziny, a już poczułam działanie narkotyku; ponieważ jednak tym razem wypiłam tylko pół szklanki, nie poddawałam się długo i zamiast usnąć, wpadłam w półsen pozwalający rozumieć, co się działo dokoła... lecz nie miałam siły bronić się ani uciekać.

Zawlokłam się do łóżka, aby poszukać jedynej obrony — zbawczego noża, lecz nie byłam w stanie dojść do celu, padłam na kolana, uczepliwszy się rękami kolumny podpierającej łóżko, wtedy pojęłam, że jestem zgubiona bez ratunku...

Felton zbladł okrutnie, dreszcz konwulsyjny przeszedł go całego.

— Najokropniejsze jednak było — ciągnęła milady głosem zmienionym, jak gdyby jeszcze obecnie czuła niebezpieczeństwo grożące w owej strasznej chwili — najstras-

niejsze to, że moja dusza czuwała, a chociaż ciało było pogrążone we śnie, widziałam, słyszałam wszystko; prawda, że wydawało mi się to jakby snem, ale tym bardziej było przerażające.

Widziałam światło unoszące się w górę i pozostawiające mnie w ciemności; następnie słyszałam znane mi już skrzypnięcie drzwi, choć je dopiero dwa razy słyszałam.

Czułam instynktownie, że zbliżano się do mnie. Powiadają, że nieszczęśliwy zbłąkany w puszczech Ameryki czuje także zbliżanie się jadowego węża.

Zebrałam wszystkie siły, próbowałam krzyknąć; wysiłkiem woli zerwałam się nawet, lecz upadłam zaraz... i upadłam w objęcia mojego prześladowcy.

— Powiedz mi pani, kto był ten człowiek?... — zawołał młody oficer.

Milady widziała, jak jej opowiadanie przejmuje Feltona, jak cierpi nad każdym szczegółem, nie chciała mu jednak oszczędzić tortury. O ile więcej zakrwawi mu serce, o tyle pewniej go zwycięży. Mówiła dalej, udając, że nie słyszy zapytania, a może osądziła, że nie czas jeszcze na odpowiedź.

— Tym razem jednak już nie ciało nieczułe, bez życia niecny uwodziciel trzymał w objęciach... Mówiłam ci już: nie mogłam władać sobą, pozostało mi wszakże poczucie niebezpieczeństwa. Broniłam się z całych sił i z pewnością, pomimo osłabienia, długo się opierałam, ponieważ słyszałam, jak zawołał:

„Przekłete purytanki! Wiedziałem dobrze, że potrafią znużyć swych oprawców, lecz sądziłem, że z kochankami nie są tak odporne”.

Niestety! Opór desperacki nie mógł trwać długo, czułam, że siły mnie opuszczają i tym razem nie ze snu mojego skorzystał niegodziwiec, lecz z omdlenia...

Felton wydał głuchy jęk; kroplisty pot spływał mu z czoła, a ręka pod ubraniem szarpała piersi.

— Pierwszą myślą, jaka mi przyszła po wróceniu do przytomności, było poszukać pod poduszką noża, którego nie miałam siły przedtem wydostać. Do obrony mi nie posłużył, więc chciałam, aby przynajmniej zmazał moje winy.

Lecz gdy poczułam nóż w ręce, Feltonie, straszna myśl przyszła mi do głowy. Przystęgam ci wszystko wyjawić, obiecałam prawdę i powiem ją, choćby mnie miała zgubić.

— Przyszła ci myśl zemsty nad tym człowiekiem, wszak prawda?... — zawołał Felton.

— A więc tak!... — rzekła milady. — Myśl to niegodna chrześcijanki, wiem o tym. Podsunął mi ją pewnie wieczny nieprzyjaciel duszy, co, jak lew rozjuszony, krąży bezustannie dokoła człowieka; on mi ją pewnie podszeptał. Cóż ci mam więcej powiedzieć?... — ciągnęła milady tonem kobiety przyznającej się do zbrodni. — Myśl ta mnie opanowała i nie mogłam jej odpędzić od siebie... Za tę chęć zabójstwa ponoszę teraz karę...

— Mów, pani, mów dalej — przerwał Felton — pilno mi usłyszeć, jakieś się zemściła...

— O!... Postanowiłam zrobić to jak najprędzej; nie wątpiłam, że mój prześladowca powróci nocy następnej.

W biały dzień nie miałam się czego obawiać.

Gdy nadeszła godzina śniadania, nie wahałam się jeść i pić, wieczorem za to postanowiłam udawać, że spożywam kolację, lecz nic do ust nie brać — posiłek ranny miał zatem ochronić mnie od głodu wieczorem.

Jedynie szklankę wody ukryłam z mojego śniadania, bo pragnienie mi dokuczało.

Dzień cały upłynął, lecz nie przyniósł zmiany w powziętym postanowieniu. Starałam się tylko, aby moja twarz nie zdradziła zamiarów tajemnych, nie wątpiłam bowiem, że mnie obserwują; kilka razy nawet uśmiech zagościł na moich ustach... Feltonie! Nie mam odwagi wyznać ci, do jakiej myśli się uśmiechałam... odwróciłbyś się ode mnie ze wstrętem...

— Mów, pani, mów dalej — rzekł Felton — widzisz, że słucham i pragnę dowiedzieć się końca...

— Wieczorem wszystko odbyło się jak zwykle; kolacja zjawiała się po ciemku, następnie lampa zajaśniała i usiadłam do stołu.

Zjadłam jedynie parę owoców. Udawałam, że nalewam wody z karafki, a piłam tylko tę, którą rano schowałam; przemieniłam ją zresztą tak szybko i zręcznie, że gdyby nawet szpiedzy nasadzeni patrzyli, nie mogliby powziąć najmniejszego podejrzenia.

Po kolacji udałam ociężałość jak dnia poprzedniego; lecz tym razem, jak gdybym upadała ze zmęczenia lub jak gdybym się już oswoiła z niebezpieczeństwem, powlokłam się do łóżka, zrzuciłam ubranie i położyłam się...

Znalazłam teraz nóż pod poduszką i śpiąc niby, ściszałam go w ręce konwulsyjnie.

Dwie godziny minęły, nikt nie przychodził. Tym razem, o mój Boże, kto by to przewidział wczoraj! Zaczynałam się bać, że może nie przyjdzie!

Na koniec lampa uniosła się w górę i znikła w otworze sufitu; pokój zaległy ciemności, lecz wysilałam się, żeby je przebić wzrokiem. Przez jakiś czas cicho było; słyszałam tylko bicie własnego serca.

Błagałam nieba, ażeby przyszedł nareszcie. Naraz usłyszałam znany mi szelest drzwi otwieranych; usłyszałam, pomimo grubości dywanu, skrzyp podłogi; dostrzegłam, pomimo ciemności, cień zbliżający się do łóżka.

— Śpiesz się, pani! Śpiesz się! — przerwał Felton. — Czyż nie widzisz, że każde twoje słowo pali mnie jak olów roztopiony!

— Wtedy — mówiła milady — zebrałam wszystkie siły, przywiodłam na pamięć, że wybiła godzina zemsty, a raczej sprawiedliwości. Wyobrażałam sobie, że jestem drugą Judytą; usiadłam z nożem w ręce i gdy już blisko wyciągnął ręce, szukając swojej ofiary, wtedy, z krzykiem bóleści i rozpacz, uderzyłam go w piersi.

Nędznik!... Wszystko przewidział: pierś miał opancerzoną stalową siatką, nóż tylko się obsunął!

„A! A!... — zawołał, chwytając mnie za rękę i wrywając broń, która mi tak źle posłużyła. — Chcesz mi życie odebrać, piękna purytanko! To coś więcej niż nienawiść, to niewdzięczność! No, no, uspokój się, piękne dziecko! Sądziłem, żeś się już udobruchała. Ja nie jestem tyranem trzymającym kobiety przemocą. Nie kochasz mnie. Byłem tak zarozumiały, że sądziłem inaczej; obecnie się przekonałem... Jutro będziesz wolna”.

Miałam tylko jedno życzenie... ażeby mnie zabił.

„Strzeż się! — powiedziałam. — Moja wolność to twoja hańba”.

„Wytłumacz się jaśniej, piękna Sybillo⁴⁸⁹!”

„Tak, bo skoro tylko stąd wyjdę, opowiem wszystko, opowiem, jakiego gwałtu dopuściłeś się na mnie, jak mnie więziłeś. Opowiem o tym pałacu przeznaczonym dla rozpusty; zajmujesz wysokie stanowisko, milordzie, lecz drż! Ponad tobą jest król, ponad królem jest Bóg!”

Chociaż mój prześladowca panował nad sobą, zatrząsł się jednak z gniewu. Nie mogłam widzieć wyrazu twarzy, lecz czułam drżenie ramienia, na którym rękę trzymałam.

„Skoro tak, nie wyjdiesz stąd nigdy!” — powiedział.

„Bardzo dobrze! — zawołałam. — Wtedy miejsce moich cierpień stanie się także moim grobem. Umrę tutaj! A przekonasz się wtedy, że widmo oskarżające straszniejsze jest jeszcze niż groźby żyjącej!”

„Nie pozostawię ci żadnej broni”.

„Jest jedna, jaką rozpacz uczyniła przystępną każdej istocie mającej odwagę jej użyć... Zamorzę się głodem”.

„Posłuchaj — rzekł nędznik — czyż pokój nie jest lepszy od takiej wojny? Powracam ci wolność natychmiast, ogłaszam i wychwalam twoją cnotę, nazywam cię Lukrecją⁴⁹⁰ Anglii...”

„A ja cię nazywam Sekstusem⁴⁹¹, wydaję twoje zbrodnie przed ludźmi, jak już oskarżyłam cię przed Bogiem. A gdy będzie potrzeba, abym jak Lukrecja krwią podpisała akt oskarżenia, podpiszę go z ochotą”.

„A! A!... — odezwał się mój wróg tonem szyderyczym. — To zupełnie zmienia postać rzeczy. Na honor! Zważywszy wszystko, bardzo ci tu dobrze, niczego ci nie braknie, a jeżeli umrzesz z głodu, to będzie jedynie twoja wina”.

⁴⁸⁹Sybilla (mit. gr; mit. rzym.) — wieszczka przepowiadająca przyszłość. [przypis edytorski]

⁴⁹⁰Lukrecja (VI w. p.n.e.) — legendarna córka rzymskiego patrycjusza, pohańbiona przez syna etruskiego króla popełniła samobójstwo, co doprowadziło do wybuchu powstania, obalenia monarchii i powołania republiki rzymskiej. [przypis edytorski]

⁴⁹¹Sekstus Tarkwiniusz — według tradycji syn ostatniego króla rzymskiego pochodzenia etruskiego, Tarkwiniusza Pysznego; goszcząc krewniaka, pohańbił jego żonę Lukrecję, która popełniła samobójstwo. [przypis edytorski]

Po tych słowach oddalił się. Słyszałam, jak zamknął drzwi, a ja pogrzyżłam się nie tyle w rozpacz, przyznając, jak we wstydzie, że się nie zemściłam. Dotrzymał słowa. Upłynął dzień i noc i nie pokazał się... Ja także dotrzymałam obietnicy, nie jadłam i nie piłam wcale. Postanowiłam, jak mu to powiedziałam, umrzeć z głodu. Cały dzień i całą noc modliłam się, błagając Boga, aby mi przebaczył samobójstwo.

W drugą noc drzwi się znów otworzyły. Leżałam na podłodze, siły zaczynały mnie opuszczać.

Słyszając szelest, uniosłam się na rękach.

„No i cóż? — odezwał się dobrze mi znany głos. — Czy uspokoiliś się trochę i opłacisz wolność obietnicą milczenia? Ja jestem władcą łaskawym i choć nie lubię purytanów, oddaję im jednak sprawiedliwość, jak i purytankom, jeżeli są ładne. No dalej, przysięgnij mi na ten krzyż; więcej niczego nie żądam”.

„Ja mam przysięgać?! — zawołałam, powstając, gdyż na ten wstrętny głos odzyskałam siły. — Otóż przysięgam na krzyż Zbawiciela, że żadna obietnica, żadna groźba, tortura nie zmusi mnie do milczenia. Przysięgam, że okrzyczę cię wszędzie jako zbójcę, łotra bez honoru, jako podłego rozpustnika. Przysięgam, że jeżeli kiedyś uwolnię się stąd, będę błagać cały świat o zemstę nad tobą”.

„Strzeż się! — rzekł groźnie. — Mam ja sposób nieomylny, którego użyję tylko w ostateczności, aby ci zamknąć usta lub przynajmniej, aby cię uczynić o tyle nieszkodliwą, że nikt nie będzie wierzył twoim słowom”.

Zebrałam wszystkie siły, aby mu odpowiedzieć wybuchem śmiechu. Poznał, że odtąd będzie między nami wieczna wojna; wojna na śmierć.

„Posłuchaj — rzekł — zostawiam ci jeszcze tę noc i jutrzejszy dzień, namyśl się. Przrzeknij, że będziesz milczała, a bogactwa, szacunek, dostojeństwa nawet będą twym udziałem. W przeciwnym razie skazę cię na hańbę”.

„Ty!... — krzyknęłam. — Ty?”

„Na hańbę wieczną, niezmazaną!”

„Ty?...” — powtórzyłam.

O! Feltonie, myślałam, że ten człowiek zmysły postradał.

„Tak, ja!...” — odparł.

„A!... Zostaw mnie — powiedziałam — wychodź, jeżeli nie chcesz, abym na twoich oczach roztrzaskała głowę o mur!”

„Wychodzę — odrzekł — chcesz tego, a więc do jutra wieczorem!”

„Do jutra!...” — odpowiedziałam i padłam na ziemię, gryząc kobierzec z wściekłości...

Felton oparł się o krzesło. Milady spostrzegła z szatańską radością, że może mu zbraknąć sił przed końcem opowiadania.

ROZDZIAŁ XXX. SCENA Z TRAGEDII KLASYCZNEJ

Po chwili przerwy milady ciągnęła opowiadanie:

— Już prawie od trzech dni nic nie jadłam ani piłam, cierpiałam niesłychane tortury. Chwilami mgła zasłaniała mi oczy i ciążyła na czole; był to początek obłądzenia.

Z nadejściem wieczoru tak osłabłam, iż co chwila omdlewałam, a za każdym razem dziękowałam Bogu, bo sądziłam, że już umieram.

Podczas jednego z tych omdleń posłyszałam otwieranie drzwi; przerażenie wróciło mi przytomność.

Wszedł mój prześladowca, za nim jakiś zamaskowany człowiek; i on także miał maskę na twarzy, lecz poznałam go po chodzie, po głosie, po postawie nakazującej szacunek, jaką piekło mu pewnie dało na zgubę i nieszczęście ludzi.

„No, cóż? — zapytał. — Zdecydowałaś się nareszcie wykonać przysięgę, jakiej wymagałem?”

„Wiesz o tym, purytanie mają tylko jedno słowo; moje słyszałeś, a mianowicie, że będę dochodziła krzywdy na ziemi przed Trybunałem Boskim!”

„Zatem obstajesz przy swoim?”

„Przysięgam przed Bogiem, który mnie słyszy, że będę wzywać cały świat na świadka twej zbrodni, dopóki nie znajdę mściciela”.

„Jesteś nierządnicą — zawołał grzmiącym głosem — i jako taka poniesiesz karę! Zbezczeszczone w oczach świata, do którego się odwołujesz, spróbuj go przekonać, że nie jesteś ani występna, ani szalona!”

Następnie, zwracając się do człowieka, który mu towarzyszył:

„Zbliź się, kacie — rzekł — i czyni swoją powinność!”

— O!... Nazwisko jego!... — zawołał Felton. — Powiedz mi jego nazwisko!...

— Wtedy, pomimo krzyków, pomimo oporu mojego (dorożumiewałam⁴⁹² się bowiem, że chodziło o coś gorszego niż o śmierć nawet) kat porwał mnie, przewrócił na podłogę, obezwładnił silnymi rękami i wtedy to, łkając boleśnie, wzywając Boga, który mnie nie słyszał, wydałam naraz jęk okrutny z bólu i wstydu. Żelazo rozpalone, żelazo katowskie odbiło się na moim ramieniu. Patrz! — rzekła milady, podnosząc się z godnością królowej. — Patrz, Feltonie, jakie wymyślono nowe męczeństwo dla dziewczyny młodej, niewinnej, a pomimo to ofiary zwierzęcej namiętności człowieka bez sumienia. Naucz się znać lepiej serca ludzkie i odtąd bądź mniej powolny w służeniu za narzędzie niesprawiedliwej zemsty...

Szybkim ruchem rozpięła suknię, rozdarła batystę okrywającą łono i, zaczerwieniona udanym gniewem i niby zawstydzona, pokazała młodemu człowiekowi znak niczym niezatarty, który hańbił to śliczne ramię.

— Ale — krzyknął Felton — to jest kwiat lili!...

— W tym właśnie jest cała podłość — odrzekła milady. — Gdyby to było piętno angielskie!... Trzeba by dowieść, jaki sąd je nakazał, a ja wtedy odwołałabym się do wszystkich trybunałów królestwa; lecz piętno francuskie... o!... Takie mnie rzeczywiście hańbiło.

Blady, nieruchomy, przybity straszonym wyznaniem, olśniony nadludzką pięknnością tej kobiety obnażającej się bezwstydnie, co on uważał za wzniosłe, Felton upadł na kolana przed nią, jak czynili pierwsi chrześcijanie przed czystymi, świętymi męczennicami, które prześladowania cesarów skazywały na krwawe igrzyska w cyrkach. Nie widział piętna hańbiącego, widział jedynie pięknność.

— Przebacz!... O!... Przebacz!... — wołał.

Milady czytała w jego oczach: „Kocham! Kocham!”

— Co mam przebaczyć? — zapytała.

— Przebacz, że pomagałem twoim prześladowcom!...

Milady podała mu rączkę.

— Taka piękna!... Taka młoda!... — wołał Felton, okrywając tę rączkę pocałunkami.

Felton był purytaninem; puścił rękę kobiety, aby całować jej nogi. Obecnie już jej nie kochał, uwielbiał ją...

Gdy ochłonął trochę, gdy milady odzyskała zimną krew, której, co prawda, nigdy nie traciła; gdy nareszcie zakryła skromnie przed nim powaby, aby ich pragnął goręcej, wyrzekł:

— A!... Obecnie o jedno jeszcze pytam! O nazwisko prawdziwego kata, według mnie bowiem jest tylko jeden, bo ten drugi to jedynie ślepe narzędzie!

— Jak to... mój bracie?!... — zawołała milady. — Czy potrzeba, żebym ci go nazwała, nie odgadłeś sam dotąd?

— Co?... — odparł Felton. — On?... Znów on?...

— Prawdziwym winowajcą... — przerwała milady — jest ciemieżca Anglii, prześladowca prawowiernych, podły przeniewierca honoru kobiecego; ten, który dla fantazji zepsutego serca każe przelewać krew Anglikom, co dziś proteguje protestantów, a jutro ich zdradzi...

— Więc to Buckingham!... — wykrzyknął Felton.

Milady zakryła twarz rękami, jak gdyby nie mogła bez wstydu słyszeć tego nazwiska.

— Buckingham katem tej anielskiej istoty!... — wołał Felton. — I Tyś go nie spiorunował! O Boże!... Pozwoliłeś mu zostać wielkim, czczonym, wszechwładnym na naszą zgubę!

— Bóg opuszcza tych, co sobie nie pomagają — rzekła milady.

Bóg

⁴⁹²dorożumiewać się (daw.) — domyślać się. [przypis edytorski]

— Więc on chce ściągnąć na swoją głowę karę przeznaczoną dla przeklętych! — ciągnął Felton z wzrastającą egzaltacją. — Chce, aby zemsta ludzka uprzedziła sprawiedliwość boską!

— Ludzie lękają się go i przebaczą.

— O!... Ja — rzekł Felton — ja go się nie boję i nie będę go oszczędzał!...

Milady uczuła w duszy radość piekielną.

— W jaki sposób lord de Winter, mój opiekun, mój ojciec, wmieszany jest w to wszystko?...

— Posłuchaj, Feltonie — odparła milady — pomiędzy podłymi i godnymi pogardy znajdują się jeszcze ludzie wyżsi i szlachetni. Miałam narzeczonego; kochaliśmy się wzajemnie; serce miał jak ty, Feltonie, jak ty był prawdziwym człowiekiem. Przyszłam do niego i opowiedziałam wszystko; znał on mnie dobrze i ani na chwilę nie wątpił. Był to wielki pan i pod każdym względem stał na równi z Buckinghamem. Nic nie mówił, tylko przypasał szpadę, narzucił płaszcz i udał się wprost do pałacu Buckingham.

— Tak, tak — rzekł Felton — rozumiem. Chociaż z ludźmi podobnymi nie szpady używać trzeba, lecz sztyletu...

— Buckingham w przeddzień wyjechał wysłany jako ambasador do Hiszpanii, gdzie miał prosić o rękę infantki⁴⁹³ dla króla Karola I, wówczas jeszcze księcia Walii, nie zastał go więc i powrócił z niczym.

„Posłuchaj — rzekł do mnie — człowiek ten wyjechał i w ten sposób uniknął na razie mojej zemsty, lecz my się połączymy, jak to już było postanowione, a potem zdaj na lorda de Winter troskę o honor jego i jego żony”.

— Lorda de Winter? — wykrzyknął Felton.

— Tak — odparła milady — lorda de Winter. A teraz powinieneś wszystko zrozumieć, wszak prawda? Buckingham cały rok bawił w Hiszpanii. Na tydzień przed jego powrotem lord de Winter umarł nagle, a ja zostałam jego jedyną spadkobierczynią. Kto był winien jego śmierci? Bóg wszystkowiedzący wie i to zapewne, ja nie obwiniam nikogo!...

— O!... Co za straszne rzeczy! — wołał Felton.

— Lord de Winter umarł, nie powiedziawszy nic bratu. Okrutną tajemnicę ukrywał przed światem, aż do chwili, gdy miała spaść jak piorun na głowę winowajcy. Twój opiekun był niechętny małżeństwu starszego brata z ubogą dziewczyną. Czułam to dobrze, że nie mogę spodziewać się opieki od człowieka zawiedzionego w nadziei otrzymania dziedzictwa. Wyjechałam więc do Francji z postanowieniem spędzenia tam reszty życia. Lecz całe moje mienie znajduje się w Anglii, komunikacja z powodu wojny jest utrudniona, zabrakło mi zatem funduszy i zostałam zmuszona powrócić. Sześć dni temu wylądowałam w Portsmouth!

— Cóż dalej? — zapytał Felton.

— Co dalej? Buckingham oto dowiedział się zapewne o moim powrocie, mówił z lordem de Winter, który zawsze był do mnie uprzedzony, i nagadał mu, że jego bratowa jest nierządnicą, kobietą piętnowaną... Lord de Winter uwierzył wszystkiemu tym łatwiej, że leżało to w jego interesie. Rozkazał mnie przytrzymać, sprowadził tutaj i oddał pod twoją straż. Reszta ci wiadoma: pojutrze skazuje mnie on na wygnanie, na deportację... pojutrze strąca mnie pomiędzy zbrodniarki. O!... Spisek dobrze uknuty, podstęp zręczny, zabije moją cześć na zawsze! Widzisz sam, iż winnam umrzeć... Feltonie!... Feltonie!... Daj mi ten nóż!

Przy tych słowach, jak gdyby traciła siły, milady pochyliła się słaba i omdlewająca w ramiona młodego oficera, który pijany miłością, oburzeniem i nieznaną żądzą objął ją, przycisnął do serca, drżąc pod oddechem cudownych usteczek, pod dotknięciem drgającego łona.

— Nie, nie — mówił — ty będziesz żyła, otoczona szacunkiem, czysta. Będziesz żyć, aby upokorzyć wrogów.

Milady niby odpychała go rączką, lecz wzrokiem wabiła. Felton nie potrzebował już zachęty, trzymał ją w objęciach i błagał jak bóstwo.

⁴⁹³infantka — hiszpański tytuł córki królewskiej. [przypis edytorski]

— O!... Śmierci... śmierci!... — wołała słabym głosem i przymykając oczy. — Śmierć przenoszę nad hańbę. Feltonie, bracie, przyjacielu, zaklinam cię!

— Nie — zawołał Felton — nie, ty będziesz żyła i będziesz pomszczona!

— Feltonie, ja sprowadzam nieszczęście na tych, co mnie otaczają! Opuść mnie, Feltonie, pozwól mi umrzeć!

— Umrzemy więc razem! — zawołał, przyciskając usta do ust uwięzionej.

Dało się słyszeć pukanie do drzwi; tym razem milady naprawdę go odepchnęła.

— Czy słyszysz?... — rzekła. — Ktoś nadchodzi, podsłuchano nas!... Już po wszystkim, jesteście zgubieni!

— Nie — rzekł Felton — to tylko straż daje mi znać, że nadchodzi patrol.

— Biegnij zatem i sam otwórz...

Felton usłuchał; zaprzedał już tej kobiecie ciało i duszę.

W drzwiach ukazał się sierżant dowodzący patrolem.

— Co się stało? — zapytał porucznik.

— Kazałeś mi, panie, otworzyć na wypadek, gdybym słyszał wołanie o pomoc — odezwał się żołnierz — a zapomniałeś zostawić mi klucz; słyszałem niezrozumiałe krzyki, chciałem otworzyć drzwi, lecz były zamknięte od wewnątrz, zatem przywołałem sierżanta.

— Ja też stawiałem się natychmiast — dodał sierżant.

Felton, nieprzytomny, obłąkany prawie, stał, nie mogąc wydobyć głosu. Milady zrozumiała, że musi ratować sytuację, pobiegła do stołu i schwyciła nóż.

— Jakim prawem zabraniasz mi umrzeć?... — zawołała.

— Boże wielki!... — krzyknął Felton, widząc nóż błyszczący w jej ręce.

Właśnie w tej chwili ironiczny śmiech rozległ się na korytarzu. Lord, zwabiony hasłem, w szlafroku, bez szpady, stanął na progu.

— A!... A!... — odezwał się. — Jesteśmy, jak widzę, w ostatnim akcie tragedii. A co, Feltonie, przekonałeś się, dramat przechodził wszystkie fazy, jakie ci przepowiedziałem... Bądź jednak spokojny, obejdzie się tu bez rozlewu krwi.

Milady zrozumiała, że będzie zgubiona w opinii Feltona, jeśli nie da dowodu szybkiej i strasznej odwagi.

— Mylisz się, milordzie, krew tu popłynie i niech ta krew spadnie na tych, którzy doprowadzili do tego!...

Felton wydał okrzyk przerażenia i rzucił się ku niej, za późno jednak, milady ugodziła w pierś nożem.

Lecz trafił on szczęśliwie, przyznać musimy, bardzo zręcznie, w bryklę⁴⁹⁴ żelazną, jaką w owej epoce osłaniała jak pancerz piersi kobiet, ześlizgnął się, rozdzierając suknię, i zadrasnął ukosem ciało pomiędzy żebrami.

Jednak suknia w tej chwili splamiła się krwią. Milady padła na wznak, udając zemdloną. Felton wyrwał jej nóż.

— Spójrz, milordzie — rzekł ponuro — ta kobieta, oddana pod moją opiekę, odebrała sobie życie!

— Uspokój się, Feltonie — rzekł lord — ona się nie zabiła, szatani nie umierają tak łatwo; uspokój się, idź do mnie i czekaj tam...

— Ależ, milordzie...

— Idź, rozkazuję ci.

Na takie polecenie zwierzchnika Felton był posłuszny, lecz wychodząc, ukrył nóż na piersiach.

Lord de Winter przywołał jedynie kobietę usługującą milady.

A że rana pomimo jego podejrzeń mogła być rzeczywiście niebezpieczna, posłał natychmiast służącego na koniu, aby sprowadził doktora.

ROZDZIAŁ XXXI. UCIECZKA

Jak to lord de Winter przewidział, rana milady nie była niebezpieczna; skoro tylko została sama z kobietą przywołaną przez barona, która rozbierała ją pośpiesznie, uznała za właściwe otworzyć oczy.

⁴⁹⁴brykla (daw.) — stalowa lub fiszbinowa listewka w gorsecie. [przypis edytorski]

Potrzeba było jednak grać rolę słabej i cierpiącej; nie było to trudne dla tak wytrawnej komediantki. Oszukała też kompletnie prostą kobietę, która pomimo usilnej prośby milady uparła się, że będzie przy niej siedzieć całą noc. Lecz obecność dozorczyńi nie przeszkadzała milady rozmyślać.

Nie ulegało wątpliwości, że Felton został przekonany i należał do niej zupełnie. Gdyby anioł z nieba zstąpił i potępił milady, on, w takim usposobieniu jak obecnie, wziąłby go za wysłańca z piekła.

Milady uśmiechała się, myśląc o tym, albowiem Felton był teraz jej jedyną nadzieją, jedynym sposobem ocalenia. Lord de Winter może go jednak podejrzewać, może nad nim czuwać...

Około czwartej z rana zjawił się doktor; rana już się zasklepiła, doktor nie mógł zbadać jej głębokości, poznał tylko po pulsie chorej, iż jest bardzo mało znacząca.

Rano milady pod pozorem, że całą noc nie spała i potrzebuje spoczynku, odprawiła kobietę czuwającą przy niej. Spodziewała się zobaczyć Feltona w porze śniadania, lecz Felton nie przyszedł. Czyż jej obawy się sprawdziły?

Miałaby Felton nie dopisać w chwili stanowczej? Tylko jeden dzień jej pozostał: lord de Winter oznajmił, że odstawi ją na okręt dnia dwudziestego trzeciego, a oto poranek dwudziestego drugiego.

Pomimo to czekała cierpliwie do południa.

Obiad przyniesiono jej o zwykłej godzinie. Milady ujrzała wtedy z trwogą niesłychaną, że już inni żołnierze jej pilnują.

Zapytała nieśmiało, co się dzieje z Feltonem. Odpowiedziano, że Felton przed godziną wyjechał gdzieś na koniu.

Starła się dowiedzieć, czy baron znajduje się w zamku; żołnierz odpowiedział, że tak i że ma rozkaz uprzedzić go, jeżeli uwięziona pragnęłaby z nim pomówić.

Milady odparła, że czuje się zbyt słaba w tej chwili, a jej jedynym życzeniem jest samotność.

Żołnierz wyszedł, pozostawiając obiad na stole. Feltona oddalono, straż zamieniono, nie ufano więc Feltonowi.

Był to okrutny cios dla uwięzionej.

Zostawszy sama, podniosła się. Łóżko, na którym leżała przez ostrożność, a także, aby myślano, że jest ciężko ranna, piekło ją jak gorący trzon. Rzuciła okiem na drzwi — baron kazał przybić deskę w miejscu, gdzie było okienko. Bał się z pewnością, aby przez otwór nie uwiodła straży jakąś szatańską sztuczką.

Milady uśmiechnęła się; mogła zatem nie hamować uniesień, bo jej nie obserwowano. Biegała po pokoju jak furiatka lub jak tygrysica zamknięta w żelaznej klatce.

Gdyby choć nóż zostawiono, byłaby pomyślała z pewnością nie o zabiciu siebie samej, lecz tym razem o zamordowaniu barona.

O szóstej wieczorem wszedł lord Winter uzbrojony kompletnie. Człowiek ten, uważany dotąd przez milady za szlachcica dosyć głupkowatego, stał się znakomitym dozorcą więziennym. Jedno spojrzenie na milady odkryło mu stan jej duszy.

— Oho!... — powiedział. — Nie zabijesz mnie dziś jeszcze, moja pani; nie masz już broni, a przy tym ja mam się na baczności. Zaczęłaś przewracać w głowie biednemu Feltonowi. Poddawał się już twoim szatańskim wpływom, lecz chcę go ratować; nie ujrzy cię więcej, wszystko skończone. Zbierz swoje manatki, jutro wyjedziesz. Ustaliłem odjazd na dzień dwudziesty czwarty, lecz myślę, że im prędeż, tym pewniej. Jutro w południe będę już miał w rękach wyrok na ciebie podpisany przez Buckinghama. Jeżeli piśniesz słówko do kogokolwiek bądź, nim wsiądziesz na okręt, mój sierżant roztrzaska ci głowę, taki ma rozkaz; jeżeli zaś na okręcie przemówisz do kogoś bez pozwolenia kapitana, tenże kapitan każe cię w morze wrzucić! Do widzenia! Jeszcze jutro zobaczę cię i pożegnam na wieki!

To powiedziawszy, baron się oddalił.

Milady słuchała tych pogroźek z uśmiechem pogardy na ustach, ale ze straszną wściekłością w sercu.

Podano kolację; milady czuła potrzebę pokrzepienia sił, nie wiedziała, co może stać się w nocy, która zapowiadała się groźnie. Straszna też burza wybuchła około dziesiątej wieczorem. Milady doznała ulgi, widząc, że stan natury odpowiada temu, co się dzieje

Więzień, Szaleństwo

Burza, Natura, Piorun

w jej duszy. Pioruny huczały w powietrzu, jak wściekłość w jej głowie; zdawało jej się, że fala, przelatując, muska jej czoło jak wierzchołki drzew, które pochyla i odziera z liści.

Naraz usłyszała stuknięcie w szybę, a przy świetle błyskawicy spostrzegła twarz mężczyzny poza kratami.

Poskoczyła do okna i otworzyła.

— Felton! — krzyknęła. — Jestem ocalona!

— Tak — rzekł Felton — lecz cicho, na Boga! Potrzebuję czasu na przepiłowanie kraty. Uważaj tylko, aby cię nie dostrzeżono przez otwór we drzwiach.

— O!... To dowód, że Bóg jest z nami, Feltonie — odparła milady — zabili dziś otwór deską...

— To dobrze, Bóg im rozum odebrał! — rzekł Felton.

— Cóż mam robić?... — zapytała.

— Nic, nic, zamknij okno. Połóż się spać lub przynajmniej połóż się do łóżka w ubrani; jak skończę, zastukam w szybę. Lecz czy będziesz w stanie iść za mną?

— O! Tak!

— A twoja rana?

— Boli mnie jeszcze, lecz nie przeszkodzi w ucieczce.

— Bądź gotowa na pierwsze wezwanie.

Milady zamknęła okno, zgasła lampę i według zalecenia Feltona wsunęła się pod koldrę. Pośród huku burzy słyszała zgrzyt piły o żelazo.

Tak leżała godzinę, bez tchu prawie, oblana potem, z sercem zamierającym ze strasznej obawy na każdy najmniejszy ruch, jaki dochodził z korytarza. Są w życiu godziny długie jak lata. Nareszcie Felton zastukał.

Milady wyskoczyła z łóżka i pobiegła otworzyć. Dwie kraty wypilowane dawały możliwe przejście.

— Czy jesteś gotowa?... — zapytał Felton.

— Tak... Czy mam zabrać coś z sobą?

— Złoto, jeżeli je posiadasz.

— Na szczęście nie zabrano mi tego, co miałam.

— Tym lepiej, bo ja użyłem swego na wynajęcie barki.

— Weź to — rzekła, podając mu worek luidorów, który Felton wziął i rzucił go na dół pod mur.

— Teraz — rzekł — czy chcesz wyjść?

— Jestem.

Milady stanęła na fotelu i przesunęła się do połowy ciała przez okno; ujrzała młodego oficera wiszącego nad przepaścią na drabinie sznurowej.

Pierwszy raz w życiu zlekła się jak prawdziwa kobieta. Przepaść ją przeraziła.

— Spodziewałem się tego — rzekł Felton.

— To nic, to nic!... — odparła milady. — Zejdę z zamkniętymi oczami.

— Czy ufasz mi, pani?

— O! Jeszcze się pytasz?!

— Złóż ręce na krzyż; tak, dobrze.

Związał jej ręce chustką, a potem z wierzchu mocnym sznurem.

— Co robisz?... — zapytała milady zdziwiona.

— Załóż mi ręce na szyję i nie bój się niczego.

— Stracisz równowagę i spadniemy w przepaść oboje.

— Bądź spokojna, jestem marynarzem.

Nie było chwili do stracenia; milady zarzuciła ręce na szyję Feltonowi i dała się wyciągnąć przez okno.

Młody człowiek zaczął schodzić powoli z drabiny. Pomimo ciężaru dwojga ciał huragan bujał nimi w powietrzu. Naraz Felton stanął.

— Co się stało?... — zapytała milady.

— Cicho — rzekł Felton — słyszę nadchodzących.

— Odkryto nas!

Nastąpiła chwilowa cisza.

— Nie — rzekł Felton — to nic nie znaczy.

— A ten szmer?

Czas

- Patrol idzie zwyczajną drogą.
- Którędy będzie przechodzić?
- Pod naszymi nogami.
- Spostrzegą nas.
- Nie, bo już się nie błyska.
- Potrąca o koniec drabiny.
- Na szczęście jest za krótka o sześć stóp.
- Nadchodzą już, mój Boże!
- Cicho!

I oboje pozostali zawieszani, bez ruchu, bojąc się odetchnąć, o dwadzieścia stóp ponad ziemią, gdy żołnierze przechodzili pod nimi, śmiejąc się i rozmawiając głośno.

Patrol przeszedł, słychać było odgłos oddalających się kroków i coraz cichszy szmer głosów.

— O! Teraz — odezwał się Felton — jesteśmy ocaleni.

Milady westchnęła i zemdląła.

Felton nie przestawał opuszczać się. Gdy poczuł już koniec drabiny i próżnię pod nogami, ucpił się silnie rękami i tak zstąpił na ostatni szczebel, następnie zwił w powietrzu, puścił drabinę i stanął na ziemi. Nachylił się, podniósł woreczek ze złotem i ujął go w zęby.

Potem wziął milady na ręce i oddalił się szybko w przeciwną stronę niż patrol. Niedługo zmienił kierunek, zszedł na dół pomiędzy skałami i przybywszy na brzeg morza, gwizdnął donośnie.

Odpowiedziano mu podobnie. W pięć minut potem ujrzał barkę wiosłowaną przez czterech ludzi.

Statek zbliżył się do wybrzeża, ale nie mógł dotrzeć do lądu; Felton wszedł po pas w wodę, nie chcąc powierzyć nikomu drogiego ciężaru.

— Dalej, odbijaj — rzekł Felton — i płynąć jak najspieszniej.

Czterech ludzi rzuciło się do wiosł, lecz morze było zanadto wzburzone, aby mu mogli podołać.

Noc ciemna i burzliwa osłoniła płaszczem uciekających, nie widać było lądu, a tym bardziej niepodobna było dojrzeć barki z wybrzeża.

Podczas gdy łódź oddalała się popychana siłą wiosł, Felton odwiązywał sznur, a potem chustkę krępującą ręczki milady. Następnie, gdy ręce były już wolne, zaczerpnął wody morskiej i zlał jej całą twarz.

Milady westchnęła i otworzyła oczy.

— Gdzie jestem?... — wyrzekła.

— Ocalona — odparł młodzieniec.

— Ocalona! Ocalona!... — zawołała. — Tak jak widzę niebo, widzę morze! Powietrze, którym oddycham!... Wszystko mówi mi o wolności. A! Dzięki... dzięki ci, Feltonie!

Młodzieniec przycisnął ją do serca.

— Co to się stało z moimi rękami? — zapytała milady. — Mam takie uczucie, jak gdyby były zgruchotane.

— Niestety!... — rzekł Felton, patrząc na te śliczne ręczki i kiwając głową z rozrzewnieniem.

— O! To nic nie znaczy!... — zawołała milady. — Przypominam sobie teraz wszystko!

Potem zaczęła szukać dokoła siebie.

— On jest tam — rzekł Felton, trącając nogą worek ze złotem.

Zbliżano się do statku stojącego na pełnym morzu. Majtek na straży odezwał się; odpowiedziano mu z barki.

— Co to za statek?... — zapytała milady.

— Ten, który nająłem dla ciebie.

— Dokąd on mnie zawiezie?

— Dokąd zechcesz, bylebyś kazała wysadzić mnie na ląd w Portsmouth.

— Co masz do czynienia w Portsmouth?... — zapytała.

— Muszę wykonać polecenie lorda de Winter — odrzekł z zagadkowym uśmiechem.

— Jakie polecenie?

— Czyż nie rozumiesz?

Wolność, Ucieczka,
Więzień

— Nie; wytłumacz mi, proszę...

— Nie ufał mi, więc zapragnął sam cię pilnować, a mnie wysłał do Buckinghamu, żeby podpisał twój wyrok na deportację.

— Jeżeli ci nie ufał, jak mógł ci powierzyć ten wyrok?

— Myślał, że nie wiem, co wiozę.

— To prawda. Jedziesz więc do Portsmouth?

— Muszę się śpieszyć. Jutro dwudziesty trzeci i Buckingham odpływa z flotą.

— Jutro już?... A dokąd się udaje?

— Do La Rochelle.

— Nie powinien odpłynąć!... — zawołała milady, zapominając zwykłej roztropności.

— Bądź spokojna — odparł Felton — nie odpłynie...

Milady zadrżała z radości; czytała w głębi serca młodego człowieka; śmierć Buckinghamu wypisana tam była wyraźnie.

— Feltonie... — rzekła — jesteś wielki jak Juda Machabeusz⁴⁹⁵! Jeśli umrzesz, ja umrę z tobą razem; to wszystko, co powiedzieć ci mogę.

— Cicho!... — rzekł Felton. — Już przybyliśmy.

Przybijano do statku. Felton wstąpił pierwszy na drabinę i podał rękę milady, a majtkowie ją podtrzymywali, ponieważ morze było jeszcze bardzo wzburzone.

— Kapitanie — przemówił Felton — oto osoba, o której ci mówiłem, odprowadzisz ją z całą troskliwością do Francji.

— Za cenę tysiąca pistoli — odrzekł kapitan.

— Wyliczyłem ci już pięćset.

— Prawda — rzekł kapitan.

— Oto jest drugie pięćset — odezwała się milady, biorąc worek ze złotem.

— Nie — rzekł kapitan — teraz nie wezmę. Dałem słowo temu młodemu panu; drugie pięćset pistoli należy mi się dopiero po przybyciu do Boulogne.

— A przybędziemy tam?

— Cali i zdrowi — rzekł kapitan — zaręczam honorem Jakuba Buttlera.

— Dobrze więc! — rzekła milady. — Jeżeli dotrzymasz słowa, to nie pięćset, a tysiąc pistoli dostaniesz ode mnie.

— Niech żyje piękna pani! — zawołał kapitan. — I niech Bóg raczy zsyłać często tak zacne osoby, abym mógł im usłużyć!

— A tymczasem — rzekł Felton — płyn z nami do małej zatoki... o której ci już mówiłem.

Kapitan w odpowiedzi wydał stosowne rozkazy, a około siódmej z rana mały statek zarzucał kotwicę w oznaczonej zatoce.

Ze swej strony milady utwierdziła Feltona w powziętym zamiarze; spostrzegła jednak niebawem, że młody fanatyk potrzebował raczej, aby miarkowano⁴⁹⁶ jego zapał.

Ułożono, że milady będzie oczekiwać Feltona do dziesiątej; jeżeli o tej godzinie nie będzie z powrotem, wyruszy sama.

Wtedy, przypuszczając, że będzie wolny, podąży do Francji i tam połączy się z nią w klasztorze karmelitek w Béthune.

ROZDZIAŁ XXXII. CO SIĘ DZIAŁO W PORTSMOUTH 21 SIERPNIĄ 1628 ROKU?

Felton pożegnał milady jak brat siostrę, gdy idzie na niewinną przechadzkę, to jest, całując ją w rękę.

Wydawał się spokojny jak zwykle, oczy mu tylko błyszczały gorączkowo; czoło miał bledsze, zęby zaciśnięte, a głos ostry i urywany zdradzał burzę wewnętrzną.

Stojąc na czółnie⁴⁹⁷ odwołującym go do brzegu, patrzył ciągle na milady, ona też z pokładu ściagała go wzrokiem. Oboje byli pewni, że unikną pogoni — zwykle dopiero o dzie-

⁴⁹⁵Juda Machabeusz — jeden z przywódców żydowskiego powstania Machabeusz przeciwko Seleucydom w latach 167–160 p.n.e. [przypis edytorski]

⁴⁹⁶miarkować — hamować emocje. [przypis edytorski]

⁴⁹⁷czółno — łódź wydrążona z jednego pnia. [przypis edytorski]

wiątej przychodzono do pokoju milady, a zamek oddalony był od Londynu o trzy godziny drogi.

Felton wysiadł na brzeg, wszedł na pagórek, pożegnał milady po raz ostatni i zwrócił się w stronę miasta.

Zaczął biec w stronę Portsmouth ukazującego przed nim szczyty wieżyc i domów we mgle porannej.

Idąc szybko, Felton przypominał sobie wszystkie oskarżenia pod adresem ulubieńca Jakuba VI i Karola I, wysunięte na skutek dwuletnich rozmyślań i długiego pobytu wśród purytanów.

Porównywał publiczne zbrodnie wszechwładnego ministra, zbrodnie świetne, europejskie, jeżeli można się tak wyrazić, ze zbrodniami prywatnymi i nieznanymi, o jakich milady mu opowiadała, i doszedł do wniosku, że z dwóch ludzi, z jakich składał się Buckingham, gorszy był ten, który działał w ukryciu. Uczucie nieznanne, nowe a gorące, przedstawiało mu oskarżenia podłe i wymyślone przez lady de Winter tak, jak widzimy przez szkło powiększające atomy niedostrzeżone, powiększone do rozmiarów przerażających.

Szybkość biegu rozpalala mu krew; myślał, że pozostawia za sobą wystawioną na zemstę okrutną kobietę, którą kochał, a raczej czcił jak świętą, wzruszenia przebyte, zmęczenie obecne — wszystko podniecało umysł ponad zwykle uczucia ludzkie.

Stanął w Portsmouth około ósmej rano; cała ludność była w ruchu; bębniiono w porcie i na ulicach; oddziały wojska, przeznaczone na okręty, schodziły ku morzu.

Felton przyszedł do Pałacu Admiralicji zły potem i okryty kurzem. Twarz, zwykle blada, czerwienila się od gorąca i gniewu. Straż pałacu zabroniła mu wstępu. Felton zawołał na dowodzącego i wyjmując z kieszeni opieczętowany papier, powiedział:

— Pilne zlecenie od lorda de Winter.

Wiedziano, że lord de Winter posiadał zaufanie Jego Wysokości, zatem dowodzący strażą wydał rozkaz przepuszczenia Feltona, co tym łatwiej poszło, że młody człowiek miał na sobie mundur marynarki wojskowej.

W tej samej chwili, gdy nareszcie dostał się do przedsionka, wchodził tam człowiek okryty kurzawą, zmęczony, bez tchu prawie, który przed bramą pałacową zsiadł z konia upadającego także z wycieńczenia.

Felton jednocześnie z nowo przybyłym zwrócił się do Patryka — ulubionego pokojowca księcia.

Felton wymienił lorda de Winter, a nieznajomy nie chciał powiedzieć, kto go przysłał, i utrzymywał, że jedynie księciu może to oznajmić.

Każdy z nich żądał, aby wpięrow go wpuszczono.

Patryk wiedział, że lord de Winter miał interesy służbowe i stosunki przyjaźni z księciem, dał zatem pierwszeństwo przybyłemu w jego imieniu. Drugi musiał czekać, a wiodoczne było, jak przeklinał w duszy opóźnienie.

Pokojowiec prowadził Feltona przez wielką salę, gdzie oczekiwali deputowani z La Rochelle z księciem de Soubise na czele, i wpuścił go do gabinetu, w którym Buckingham, wyszedłszy z kąpeli, kończył się ubierać, z wielką starannością i elegancją jak zawsze.

— Porucznik Felton — rzekł Patryk — przysłany przez lorda de Winter.

— Od lorda de Winter! — powtórzył Buckingham. — Niech wejdzie.

Felton wszedł. Buckingham właśnie zrzucił na kanapę szlafrok lamowany złotem, aby przywdziać spencer⁴⁹⁸ z aksamitu niebieskiego, cały perlami wyhaftowany.

— Dlaczego lord sam nie przybył? — zapytał Buckingham. — Oczekiwałem go dziś rano.

— Poleciał oznajmić Waszej Wysokości — odparł Felton — iż przykro mu to bardzo, lecz zmuszony jest osobiście strzec swego zamku.

— Tak, tak — rzekł Buckingham — wiem o tym, ma tam jakąś uwięzioną.

— O tej uwięzionej właśnie chciałem mówić Waszej Wysokości.

— Mów zatem!

— To, z czym przyszedłem, mogę tylko wam, milordzie, powiedzieć.

⁴⁹⁸spencer (daw.) — krótka kurtka. [przypis edytorski]

— Zostaw nas, Patryku — rzekł Buckingham — lecz nie oddalaj się, przywołam cię za chwilę.

Patryk wyszedł.

— Jesteśmy sami — odezwał się Buckingham — zaczynaj, panie.

— Milordzie — rzekł Felton — baron de Winter pisał do Waszej Miłości z prośbą, abyś podpisał wyrok deportacji na młodą kobietę, Karolinę Backson.

— Tak, panie, a ja odpowiedziałem, ażeby przyniósł mi go lub przysłał takowy, to go podpiszę.

— Oto jest, milordzie.

— Daj mi go pan, proszę.

Biorąc pismo z rąk Feltona, rzucił okiem na papier. Przekonawszy się, że to ten właśnie, jakiego się spodziewał, położył na stole, wziął pióro i zamierzał podpisać.

— Wybacz, milordzie — rzekł Felton, wstrzymując księcia — czy Wasza Miłość wie, że nazwisko Karoliny Backson nie jest prawdziwym nazwiskiem tej kobiety?

— Tak, panie, wiem o tym — odparł książę, maczając pióro w kałamarzu.

— Zatem Wasza Wysokość zna jej prawdziwe nazwisko? — zapytał Felton ostrym głosem.

— Znam je...

Książę zbliżył pióro do papieru.

Felton zbladł okrutnie.

— I znając jej prawdziwe nazwisko, książę jednak podpisze?...

— Z pewnością — rzekł Buckingham — podpisałbym nawet dwa razy.

— Nie mogę w to uwierzyć — ciągnął Felton głosem coraz bardziej ostrym i urywanym — aby Wasza Wysokość wiedział, że chodzi tu o lady de Winter...

— Wiem doskonale, choć dziwi mnie niezmiernie, że i pan wiesz o tym.

— I książę miłościwy podpisze bez wyrzutu sumienia?

Buckingham spojrział z dumą na młodzieńca.

— Czy wiesz, mój panie — rzekł do niego — że zadajesz dziwne pytania i że jestem bardzo naiwny, skoro ci odpowiadam?

— Odpowiadaj, mości książę — mówił Felton — okoliczności są ważniejsze, niż możesz przypuszczać.

Buckingham pomyślał, że młody człowiek przysłany przez lorda de Winter odzywał się w ten sposób w jego imieniu, więc nieco złagodniał.

— Bez najmniejszego wyrzutu — mówił — lord wie tak jak i ja, że milady de Winter jest bardzo występna i że przez skazanie na deportację czyni się jej prawie łaskę.

Książę dotknął piórem papieru.

— Nie podpiszesz tego wyroku, milordzie — rzekł Felton, przysuwając się do księcia.

— Ja nie podpiszę?... — rzekł Buckingham. — A to dlaczego?...

— Bo zastanowisz się, milordzie, i oddasz sprawiedliwość milady.

— Najlepsze dla niej uznanie to zesłanie do Tyburn — mówił Buckingham — milady jest zbrodniarką.

— Mości książę, milady jest aniołem, wiesz dobrze o tym, i ja żądam jej uwolnienia.

— Oho! — przerwał Buckingham. — Czyś oszalał, że śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób?

— Milordzie, wybacz! Mówię, jak mogę; i staram się panować nad sobą. Jednak, milordzie, pomyśl dobrze nad tym, co zamierzasz uczynić, i strzeż się, abyś nie przebrał miary.

— Czyż mnie słuch nie myli?... Boże miłosierdzia!... Zdaje się, że on mi śmie grozić?

— Nie, milordzie, proszę jeszcze i powiadam ci: jedna kropla wody jest dostateczna, aby przepelnić czarę; na pozór mały błąd może ściągnąć karę na głowę dotąd oszczędzaną pomimo zbrodni bez liku.

— Panie Feltonie! — rzekł Buckingham. — Wyjdiesz stąd i udasz się do aresztu wojskowego w tej chwili.

— Wysłuchasz mnie do końca, milordzie. Uwiodłeś młodą dziewczynę, znieważyłeś ją, splamileś; napraw swą winę, wypuść ją na wolność, nic więcej nie będę wymagał.

— Nie będziesz wymagał?... — rzekł Buckingham, patrząc na Feltona ze zdziwieniem i wymawiając dobitnie te słowa.

Kara, Woda

— Milordzie — ciągnął Felton, egzaltując się własnymi słowami — strzeż się, cała Anglia jest już znużona twoimi występkami. Milordzie, nadużyłeś władzy królewskiej, którą posiadłeś bezprawnie, wstrętny jesteś ludziom i Bogu. Stwórca ukarze cię później, lecz ja uczynię to jeszcze dziś.

— O! Tego już za wiele!... — krzyknął Buckingham i posunął się ku drzwiom.

Felton zagroził mu drogę.

— Proszę pokornie — powiedział — podpisz pan rozkaz uwolnienia lady de Winter; pomyśl, że to kobieta, którą pozbawiłeś czci.

— Odsuń się, mój panie — rzekł Buckingham — albo zawołam ludzi i każę cię zakuć w kajdany.

— Nie zawołasz — przerwał Felton, zasłaniając sobą dzwonek umieszczony na gerydonie⁴⁹⁹ inkrustowanym srebrem — strzeż się, milordzie, albowiem znajdziesz się w ręku Boga mściciela!

— W ręku szatana, chciałeś powiedzieć — zawołał Buckingham, podnosząc głos, aby zwrócić uwagę służby, lecz wprost jej nie przyzywając.

— Podpisz, milordzie, podpisz uwolnienie lady de Winter — rzekł Felton, podsuwając papier księciu.

— Przemocą? Żartujesz chyba! Hola, Patryku...

— Podpisz, milordzie!...

— Nigdy!

— Nigdy?

— Do mnie!... — krzyknął książę i jednocześnie porwał za szpadę.

Felton nie dał mu czasu na wyjęcie jej z pochwy; trzymał na piersiach otwarty nóż, którym milady się zraniła, i jednym skokiem był już przy księciu.

Właśnie w tej chwili Patryk wszedł do sali, wołając:

— Milordzie! List z Francji!...

— Z Francji!... — krzyknął Buckingham, zapomniawszy o wszystkim, na myśl, od kogo list ten może pochodzić.

Felton skorzystał z tego i zagłębił mu nóż w boku po samą rękkość.

— A! Zdrajco!... — jęknął Buckingham. — Zabijeś mnie...

— Na pomoc! — wrzasnął Patryk.

Felton powiódł wzrokiem dokoła, szukając, którędy by uciec, a widząc drzwi wolne, wpadł do sąsiedniego pokoju, w którym oczekiwali, jak to już mówiliśmy, deputowani z La Rochelle, przebiegł go pędem i rzucił się na schody.

Na pierwszym stopniu napotkał lorda de Winter, a ten, widząc go bladego, pomieszanego, ze śladami krwi na ręku i twarzy, schwytał go za kark, wołając:

— Wiedziałem, ale odgadłem za późno o jedną minutę!... O! Ja nieszczęśliwy...

Felton nie opierał się. Lord de Winter oddał go w ręce straży, która czekając dalszych rozkazów, wyprowadziła mordercę na taras zamkowy z widokiem na morze, lord zaś pobiegł do gabinetu Buckinghamama.

Na krzyk księcia, na wołanie Patryka, człowiek, którego Felton spotkał w przedpokoju, wpadł także do gabinetu.

Zastał księcia rozciągniętego na sofie, przyciskającego ranę stygnącą ręką.

— La Porte — mówił książę gasnącym głosem — La Porte, czy ty od niej przybywasz?

— Tak, mości książę — odrzekł wierny sługa Anny Austriackiej — lecz może za późno.

— Cicho... La Porte!... Mogą cię usłyszeć. Patryku, nie wpuszczaj tu nikogo. O! Niech dowiem się, co ona pisze! Boże! Boże mój! Umieram!...

Książę zemdlął.

Pomimo to lord de Winter, deputowani, szef poselstwa, oficerowie pałacowi Buckinghamama wdarli się do gabinetu; dokoła rozległy się krzyki rozpaczcy.

Wieść bolesna, napelniając pałac jękami i żalem, przedostała się niezadługo i na miasto.

⁴⁹⁹ *gerydon* (fr. *guéridon*) — mały stolik, zazwyczaj okrągły, przeznaczony do odkładania drobiazgów. [przypis edytorski]

Wystrzał armatni oznajmił, że zaszło coś nowego i niespodziewanego.

Lord Winter darł włosy z głowy.

— Spóźniłem się o minutę — jęczał — o jedną minutę! O Boże! Mój Boże! Co za nieszczęście!

Okolo siódmej z rana powiedziano mu, że drabina jest uwiązana u jednego z okien zamkowych. Pobiegł natychmiast do pokoju milady, zastał go pustym, ujrzał okno otwarte, kraty przepiłowane. Przypomniał sobie ustne polecenie, jakie przesłał mu d'Artagnan przez swojego wysłańca, zadrżał na myśl o księciu, pobiegł do stajni i nie czekając, aż mu osiodłają konia, wskoczył na pierwszego lepszego, popędził cwałem, zeskoczył z niego w podwórzu pałacowym, wpadł na schody i na pierwszym stopniu, jak to już mówiliśmy, napotkał Feltona.

Księżę jednak nie umarł jeszcze — omdlenie przeszło, otworzył oczy, a nadzieja wstała w serca otaczających.

— Panowie!... — odezwał się. — Zostawcie mnie z Patrykiem i La Porte'em. A! To ty, de Winter?... Przysłałeś mi dziś rano oryginalnego szaleńca, patrz, co ze mną zrobił!

— O, milordzie!... — zawołał baron. — Nie pocieszę się nigdy...

— Źle zrobisz, mój kochany de Winter — mówił Buckingham, podając mu rękę — nie znam człowieka, który byłby godnym, aby go drugi żałował przez całe życie!... Lecz zostaw nas, proszę cię.

Baron wyszedł, zanosząc się od płaczu.

W gabinecie pozostał tylko śmiertelnie ranny księżę, La Porte i Patryk.

Poszukiwano wszędzie doktora, nie mogąc go znaleźć.

— Będziesz żył, milordzie, będziesz żył — powtarzał, klęcząc obok sofy, wierny sługa Anny Austriackiej.

— Co ona do mnie pisze? — pytał słabym głosem Buckingham, cały zlany krwią, pokonując straszne bóle, aby mówić o ukochanej. — Co ona pisze? Czytaj mi jej list.

— O! Milordzie!... — załkał La Porte.

— Bądź posłuszny, La Porte!... Czy nie widzisz, że nie mam czasu do stracenia?...

La Porte złamał pieczęć i umieścił pergamin przed oczami księcia, lecz Buckingham na próżno wysilał wzrok.

— Czytajże — wymówił — czytaj prędzej... ja nie widzę już... czytaj!... Niezadługo może... nie usłyszę nic i umrę, nie dowiedziawszy się, co ona pisze.

La Porte nie wzdragał się dłużej i czytał:

Milordzie! Ponieważ od czasu, jak cię poznałam, cierpiałam dla ciebie i przez ciebie, zaklinam cię, jeżeli dbasz o mój spokój, zaprzestań strasznych uzbrojeń przeciw Francji i daj pokój wojnie, o której mówią głośno, że powodem jawnym do niej jest religia, a po cichu, że miłość twoja dla mnie jest powodem ukrytym. Wojna ta może być nie tylko przyczyną wielkich katastrof dla Francji i Anglii, lecz i dla ciebie, milordzie, może stać się nieszczęściem, po jakim byłabym niepoczyszona. Strzeż twego życia, któremu grozi niebezpieczeństwo, a które droższe mi się jeszcze stanie od chwili, gdy nie będę zmuszona widzieć w tobie wroga mej ojczyzny. Kochająca cię Anna

Buckingham zatrzymał siłą woli uciekające życie dla wysłuchania listu, ale po skończeniu go doznał gorzkiego rozczarowania.

— I nie masz nic innego do powiedzenia mi od niej?... — zapytał.

— O tak, mości księżę; królowa kazała mi powiedzieć, żebyś czuwał nad sobą, albowiem została zawiadomiona, że chcą cię zamordować.

— I to już wszystko, wszystko?... — przerwał Buckingham niecierpliwie.

— Kazała także powiedzieć, że kocha księcia zawsze jednakowo.

— A!... — rzekł Buckingham. — Chwała Bogu, śmierć moja zatem nie będzie dla niej śmiercią obcego...

La Porte płakał rzewnie.

— Patryku — wymówił księżę — przynies szkatułkę, w której były brylantowe zapinki.

Patryk przyniósł żądany przedmiot. La Porte poznał, że należał on kiedyś do królowej.

Człowiek

— Podaj także białą torebkę atlasową, gdzie jej cyfry wyhaftowane są perłami.

A gdy i to podano, powiedział:

— Weź to, La Porte, oto jedyne pamiątki, jakim miał od niej, ta szkatułka srebrna i te dwie litery. Zwrócisz to Jej Królewskiej Mości, a jako ostatnie wspomnienie — poczęł szukać dokoła czegoś drogiego — oddasz jej...

Szukał ciągle, lecz wzrok przyćmiony mgłą śmierci dojrzał jedynie nóż wypadły z rąk Feltona, ociekły purpurową krwią na ostrzu...

— Oddasz jej ten nóż — rzekł książę, ściskając La Porte'a za rękę.

Włożył jeszcze torebkę do szkatułki srebrnej, dołączył nóż i dał znak La Porte'owi, że nie może już mówić.

Porwały go ostatnie konwulsje, nad którymi nie był już w stanie zapanować, i zsunął się z sofy na posadzkę.

Patryk zaczął krzyczeć.

Buckingham chciał uśmiechnąć się ostatni raz, lecz śmierć zatrzymała jego myśl i wyryła na czole wyraz szczęścia, jak przy pierwszym pocałunku miłosnym.

W tej chwili wszedł przerażony nadworny doktor księcia. Znajdował się już na pokładzie okrętu admirałskiego i musiano go aż stamtąd sprowadzić.

Stanął nad księciem, ujął go za rękę, potrzymał chwilę i puścił.

— Nic nie pomogę — powiedział — on już nie żyje...

— Nie żyje, nie żyje!... — wołał Patryk.

Na ten okrzyk tłum powrócił do sali, a stąd się rozproszył, siejąc dokoła popłoch i trwogę.

Skoro tylko lord de Winter przekonał się, że Buckingham nie żyje, pobiegł natychmiast do Feltona będącego pod strażą na tarasie pałacowym.

— Nędzniku — rzekł do młodego człowieka, który od chwili zadania śmierci księciu odzyskał spokój i zimną krew, jakie mu pozostały już do śmierci — coś uczynił?!

— Zemściłem się — odpowiedział.

— Ty!... — zawołał baron. — Powiedz raczej, żeś był narzędziem tej przeklętej kobiecy; lecz ja teraz ci przysięgam, że to jej ostatnia zbrodnia.

— Nie rozumiem, co pan mówisz — odrzekł Felton spokojnie — nie wiem, o kim mówisz, milordzie. Zabiłem Buckinghama, ponieważ odmówił po dwakroć podpisania mojej nominacji na kapitana. Ukarałem go za niesprawiedliwość i na tym koniec.

De Winter osłupiały patrzył na ludzi krępujących Feltona, sam nie wiedząc, co sądzić o podobnej zatwardziałości.

Była jednak pewna rzecz rzucająca cień na pogodne czoło Feltona.

Oto w każdym szmerze, jaki go dochodził, naiwny purytanin rozpoznawał kroki milady biegnącej, by rzucić się w jego objęcia, oskarżyć się i zginąć razem z nim.

Naraz zatrzęsł się cały i utkwiał wzrok w czarny punkt na morzu, ponad którym wznosił się taras. Orlim wzrokiem marynarza rozpoznał tam, gdzie inny by widział tylko mewę bujającą ponad tonią, żagle małego statku kierującego się do brzegów Francji.

Zbladł, uchwycił się za serce pękające z bólu i zrozumiał nareszcie podłą zdradę.

— Milordzie, błagam o ostatnią łaskę!... — rzekł do barona.

— Czego żądasz?... — zapytał tenże.

— Która godzina?

Baron wyjął zegarek.

— Dziewiąta za dziesięć minut — powiedział.

Milady przyspieszyła odjazd o półtorej godziny; skoro tylko usłyszała strzał armatni zwiastujący nieszczęsny wypadek, wydała rozkaz podniesienia kotwicy.

Statek żeglował w niebieskim przestworzu, oddalając się szybko od brzegu.

— Bóg chciał tego — rzekł z poddaniem się fanatyk, nie mogąc jednak oderwać oczu od statku, na którego pokładzie widział pewnie biały cień tej, dla której poświęcił życie.

De Winter patrzył w kierunku jego wzroku, widział rozpacz na twarzy młodzieńca i odgadł wszystko.

— Ty sam teraz poniesiesz karę, nędzniku — rzekł lord de Winter do Feltona, którego uprowadzano, a on ciągle jeszcze patrzył się na morze — lecz klnę się na pamięć brata, tak mi drogiego, że twoja współniczka nie ujdzie mej zemsty. — Felton spuścił głowę i milczał. De Winter zaś zbiegł gwałtownie ze schodów i udał się do portu.

Śmierć

ROZDZIAŁ XXXIII. WE FRANCJI

Król angielski, Jakub I, dowiedziawszy się o śmierci Buckinghama, zląkł się, aby straszna wieść nie zniechęciła oblężonych w La Rochelle. Starał się, jak mówi Richelieu w swoich pamiętnikach, ukryć ją przed nimi, jak tylko da się najdłużej, i w tym celu rozkazał pozamykać wszystkie porty w państwie, bacząc starannie, aby żaden okręt nie wydostał się na morze, dopóki armia zgromadzona przez Buckinghama nie wyruszy. Podjął się, w związku ze śmiercią wodza, sam osobiście dopilnować odjazdu.

Posunął ostrożność do tego stopnia, że zatrzymał w Anglii posłów duńskich, którzy mieli już pozwolenie na powrót do kraju, i posła holenderskiego, który miał odprowadzić do portu Flessingue⁵⁰⁰ okręty z Indii, które Karol I rozkazał zwrócić.

Rozkaz został wydany pięć godzin po wypadku, to jest o drugiej po południu, gdy już dwa statki wypłynęły z portu.

Jeden z nich, jak wiadomo, uwoził milady, która nie wątpiła o tym, co się stało, a w czym utwierdził ją jeszcze widok czarnej chorągwi zawieszanej na szczycie masztu okrętu admirałskiego.

Co się tyczy drugiego statku, powiemy później, kto nim wypłynął i w jaki sposób wydostał się z portu.

W obozie pod La Rochelle nie zaszło nic nowego. Król tylko, jak zawsze zresztą, nudził się śmiertelnie, a może nawet jeszcze bardziej w obozie niż gdziekolwiek indziej. Postanowił zatem udać się incognito do Saint-Germain i tam spędzić dzień świętego Ludwika. Wezwał kardynała, by mu zorganizował eskortę z jedynie dwudziestu muszkieterów. Kardynał, któremu nuda królewska udzielała się także niekiedy, dał z wielką radością urlop swemu dostojnemu adiutantowi, a ten przyobiecał wrócić do obozu około 15 września. Pan de Tréville, zawiadomiony przez Eminencję, spakował manatki, a choć nie znał przyczyny, wiedział, że jego przyjaciele mają gorącą chęć, a nawet potrzebę nieodzowną powrócić do Paryża; ich też wyznaczył do eskorty królewskiej.

W kwadrans po panu de Tréville czterej młodzieńcy wiedzieli już o postanowieniu; ich pierwszych zawiadomił dowódca. Wtedy d'Artagnan ocenił w pełni łaskę kardynała, że go na koniec przeniósł do muszkieterów. Gdyby nie ta okoliczność, byłby zmuszony pozostać w obozie, a jego towarzysze wyjechałyby sami.

Czytelnicy domyślają się, że gwałtowna chęć powrotu do Paryża miała źródło w obawie o panią Bonacieux, której groziło spotkanie z milady w klasztorze w Béthune; z milady, jej śmiertelną nieprzyjaciółką. Toteż, jak mówiliśmy, Aramis napisał bezzwłocznie do Marii Michon, owej właścicielki składu bielizny w Tours, mającej także wysokie stosunki, aby wyjednała u królowej upoważnienie dla pani Bonacieux do opuszczenia klasztoru i udania się do Lotaryngii lub Belgii. Nie czekano długo na odpowiedź; już dziesięć dni później Aramis odebrał list tej treści:

Kochany kuzynku! Posyłam ci upoważnienie mojej siostry, z którym odbierzesz z klasztoru w Béthune naszą pocziwą dziewczynkę, bo, jak mówisz, powietrze klasztorne jej nie służy. Moja siostra z wielką przyjemnością udziela ci tego pozwolenia, ponieważ kocha serdecznie tę dziewczynę i przyrzekła jej nadal swoją opiekę. Całuję cię Maria Michon

Do listu dołączono upoważnienie w tych słowach:

Przełożona klasztoru w Béthune wyda w ręce oddawcy niniejszego biletu nowicjuszkę, która wstąpiła do klasztoru na moje polecenie i pod moją opieką. W Luwrze, 10 sierpnia 1628 roku Anna

Można sobie wyobrazić, jak stosunki pokrewieństwa Aramisa ze szwaczką nazywaną królową siostrą pobudzały wesołość i dowcip młodych ludzi, lecz Aramis, zaczerwieniwszy się kilkakrotnie na grube żarty Portosa, prosił przyjaciół, aby dali spokój, oświadczając, że w przeciwnym razie nie użyje nigdy pośrednictwa swojej kuzynki w tego rodzaju interesach.

⁵⁰⁰ *Flessingue* — dziś: Vlissingen, gmina i miasto w pld.-zach. części Holandii, położone na dawnej wyspie Walcheren (prowincja Zelandia); w XVII w. było ważnym portem. [przypis edytorski]

Nie było odtąd wzmianki o Marii Michon pomiędzy muszkietierami, którzy wreszcie posiadali już to, o co im najwięcej chodziło, mianowicie rozkaz wypuszczenia pani Bonacieux z klasztoru karmelitek w Béthune.

Wprawdzie rozkaz nie miał żadnej wartości, dopóki siedzieli w obozie pod La Rochelle, to jest na drugim końcu Francji. D'Artagnan zamierzał właśnie prosić pana de Tréville o urlop i powiedzieć mu otwarcie, jak gwałtownie pragnie wyjechać, gdy dostał zawiadomienie, jak i trzech jego towarzysze, że król wyjeżdża do Paryża z eskortą złożoną z dwudziestu muszkietierów i że oni do tej liczby należą.

Pomimo pośpiechu i chęci przybycia do Paryża na dwudziestego trzeciego król szukający rozrywki w nudach zatrzymywał się od czasu do czasu dla śledzenia lotu srok. Nabrał on kiedyś gustu do tego sportu w towarzystwie de Luynes⁵⁰¹ i zachował go przez całe życie. Gdy król się zatrzymywał, na dwudziestu muszkietierów szesnastu cieszyło się z odpoczynku i zabawy, czterech zaś przeklinało w duszy opóźnienie.

Zwłaszcza d'Artagnan z niecierpliwości dostał ciągłego dzwonienia w uszach, co Portos tłumaczył w ten sposób:

— Pewna bardzo wielka dama powiedziała mi, iż to znaczy, że mówią o tobie.

Nareszcie orszak minął Paryż dwudziestego trzeciego w nocy. Król podziękował panu de Tréville i pozwolił rozdać urlopy na cztery dni, z warunkiem, że żaden z wybranych nie ukaże się w miejscu publicznym pod karą zamknięcia w Bastylii.

Cztery pierwsze urlopy, jak można się domyśleć, dostały się naszym czterem przyjaciółom. A nadto Atos otrzymał od pana de Tréville sześć dni zamiast czterech.

— O mój Boże! — mówił d'Artagnan niewątpiący nigdy o niczym. — Zdaje mi się, że za wiele zadajemy sobie ambarasu dla rzeczy tak prostej. Przez dwa dni zajeździwszy dwa lub trzy konie (mniejsza o liczbę, mam przecie pieniądze), jestem w Béthune, oddaję przełożonej list królowej, zabieram swój skarb najdroższy i ukrywam nie w Lotaryngii ani w Belgii, lecz w Paryżu, gdzie będzie najbezpieczniej, dopóki mianowicie pan kardynał jest pod La Rochelle. Następnie po skończonej kampanii, trochę przez protekcję kuzynki, trochę w nagrodę naszych zasług osobistych, otrzymamy od królowej, czego tylko będziemy pragnęli. Zostańcie tutaj i nie trudźcie się na próżno; ja z Planchetem aż nadto wystarczymy na taką łatwą wyprawę.

Na to Atos odparł spokojnie:

— My także mamy pieniądze, bo nie przepiłem jeszcze zupełnie resztek z diamentu, a Portos i Aramis nie zdążyli przejeść. Potrafimy także zamordować po jakieś cztery konie. Pamiętaj jednak, d'Artagnanie — dodał głosem ponurym, na dźwięk którego młodzieniec zadrżał — pamiętaj, że Béthune jest miastem, gdzie kardynał rozkazał zatrzymać się tej kobiecie, a gdzie ona jest, nieszczęście sprowadza nieodzownie. Gdybyś miał sprawę z czterema mężczyznami, puściłbym cię samego, ale masz do czynienia z tą kobietą, jedźmy zatem we czterech, dalby Bóg, abyśmy nawet z pomocą służących naszych byli w dostatecznej liczbie!

— Przerażasz mnie, Atosie — zawołał d'Artagnan. — Czegóż się obawiasz, na Boga?

— Wszystkiego! — odparł Atos.

Wieczorem dwudziestego piątego wjeżdżali do Arras. Gdy d'Artagnan miał właśnie zsiąść z konia przed oberżą „Pod Żółtą Broną”, aby wypić szklankę wina, jakiś jeździec wyjeżdżał z dziedzińca stacji pocztowej, gdzie zmieniał konia, i skręcił w wielkim pędzie na drogę wiodącą do Paryża. W chwili gdy wyjeżdżał z bramy na ulicę, wiatr uniósł płaszcz, jakim był okryty pomimo sierpniowego ciepła, i zerwał mu kapelusz z głowy, który podróżny złapał w powietrzu i nacisnął gwałtownie na oczy. D'Artagnan patrzył na tego człowieka; naraz zbladł i wypuścił szklankę.

— Co panu jest?... — rzekł Planchet. — Panowie, chodźcie prędzej, pan mój zachorował!

Wszyscy trzech przyjaciele przybiegli i zastali d'Artagnana, który zamiast chorować, leciał już do konia.

— Co to jest? Dokąd, u diabła, tak lecisz?... — krzyknął Atos.

Plotka

Pieniądz, Pijaństwo

⁵⁰¹ Luynes, Charles d'Albert de (1578–1621) — faworyt króla Ludwika XIII, mianowany parem oraz konetabblem Francji; pasjonat myślistwa. [przypis edytorski]

— To on!... — wołał d'Artagnan blady z wściekłości i zlany potem na czole. — To on! Puszczajcie mnie, muszę go dopędzić!

— Co za on?... — zapytał Atos.

— On, ten człowiek!...

— Jaki człowiek?

— Ten przeklęty, ten mój zły duch, którego zawsze spotykam, gdy mi nieszczęście grozi. On towarzyszył tej okrutnej kobiecie, gdym ją spotkał pierwszy raz, jego to szukałem, gdy wyzwalałem naszego przyjaciela, Atosa; jego widziałem tego samego dnia rano, gdy uwięzili panią Bonacieux! I teraz go widziałem, to był on we własnej osobie! Poznałem go, gdy wiatr mu płaszcz uniósł!

— Tam do diabła! — rzekł Atos zamyślony.

— Na koń, panowie, na koń! Pędźmy za nim, a złapiemy go z pewnością.

— Mój drogi — odezwał się Aramis — pomyśl, że pojechał w przeciwną stronę, nie tam, dokąd my się udajemy; że ma konia świeżego, a nasze pomęczone, i co za tym idzie, zabijemy swoje, a jego nie dogonimy. Porzućmy go, d'Artagnanie, a śpieszmy ratować kobietę.

— Panie! Panie!... — wołał chłopiec stajenny, biegnąc za nieznanym. — Hola! Panie! Papier jakiś wyleciał z pańskiego kapelusza!

— Przyjacielu — rzekł d'Artagnan — pół pistola za ten papier!

— Na uczciwość! Proszę pana, oddam z przyjemnością!

Chłopak, uszczęśliwiony z dobrego interesu, powrócił na podwórze oberży; d'Artagnan rozłożył papier.

— No, cóż tam jest?... — pytali towarzysze, stając koło niego.

— Tylko jedno słowo! — odparł d'Artagnan.

— Tak — rzekł Aramis — jest to nazwa wsi lub miasta.

— *Armentières* — przeczytał Portos. — *Armentières*? Nie znam wcale!

— Ta nazwa jest napisana jej ręką!

— No, no, schowajmy starannie ten świstek — rzekł d'Artagnan — może nie na próżno wydałem ostatniego pistola. A teraz dosiądźmy koni, przyjaciele, i ruszajmy w drogę.

Czterej towarzysze ruszyli galopem drogą do Béthune.

ROZDZIAŁ XXXIV. KLASZTOR KARMELITEK W BÉTHUNE

Wielcy zbrodniarze posiadają jakiś talizman pomagający im zwalczać przeszkody i omijać niebezpieczeństwa, aż do czasu, gdy urażona Opatrzność nareszcie zawyrokuje: tu się rozbijesz, tu koniec bezbożnemu powodzeniu.

Zbrodniarz

Tak było z milady — przesunęła się pomiędzy przednimi strażami morskimi dwóch narodów nieprzyjacielskich i przybyła do Boulogne bez wypadku.

Wysiadając w Portsmouth, milady była Angielką uciekającą przed prześladowaniem Francuzów z La Rochelle; gdy wylądowała w Boulogne po dwudniowej przeprawie, podała się za Francuzkę prześladowaną w Portsmouth przez Anglików żywiących nienawiść dla Francji.

Milady posiadała prócz tego najsukuteczniejszy z paszportów — piękność, pozory wielkiej damy i hojność, z jaką rozrzucała pistole.

Stary gubernator portu, z przyjaznym uśmiechem i dworskimi manierami, uwolnił ją od wymaganych formalności i jeszcze pocałował w rękę. W Boulogne zatrzymała się tylko tyle czasu, ile trzeba było do oddania na pocztę następującego listu:

Do Jego Eminencji kardynała de Richelieu, w obozie pod La Rochelle
Niech Wasza Eminencja będzie spokojny, Jego Wysokość książę de Buckingham nie wyruszy do Francji. Boulogne, dnia dwudziestego piątego, wieczór Milady de Winter P.S. Według życzenia Waszej Eminencji udaję się do klasztoru karmelitek w Béthune, gdzie będę czekać Jego rozkazów.

Rzeczywiście milady tego samego wieczora udała się w drogę. Noc ją zaskoczyła — zatrzymała się i przespała w oberży przy drodze. Nazajutrz o piątej z rana wyjechała,

a w trzy godziny później była już w Béthune. Zapytała o klasztor karmelitek i poszła tam natychmiast.

Przełożona wyszła na jej spotkanie; milady okazała list kardynała; przełożona wyznała jej pokój i przysłała śniadanie.

Wszystko, co przeszło, zatarło się w umyśle tej kobiety, a spojrzeniem utkwionym w przyszłość widziała znaczenie i dostatki, jakie spłyną na nią od kardynała, któremu służyła tak wiernie i szczęśliwie, że nawet nazwisko jej nie zostało wmieszane w te krwawe dzieje. Namiętności coraz inne pożerając ją, nadawały jej egzystencji pozór obłoków płynących po niebiosach, odbijających na przemian błękit, to znów czerwoność ognistą lub matową czarność burzy, a pozostawiających na ziemi jedynie zniszczenie.

Po śniadaniu przełożona przyszła do niej w odwiedzinie; tak mało jest rozrywek w klasztorze, że zaczęła kobiecie pilno było poznać nową pensjonarkę.

Milady pragnęła podobać się; łatwo to przyszło kobiecie naprawdę sprytniej; starała się być przyjemna, a była zachwycająca i zupełnie podbiła poczciwą przełożoną zajmującą rozmową, pełną niespodzianych zwrotów, oraz wdziękiem i ułożeniem.

Przełożona pochodziła ze szlacheckiej rodziny, lubiła też przede wszystkim opowiadania o dworze królewskim, tak rzadko dochodzące do krańców państwa, a nade wszystko z taką trudnością przedostające się poza mury klasztorne, na którego progach milkną echa światowe.

Milady była wtajemniczona w intrygi towarzystw arystokratycznych, pośród których obracała się od pięciu lat.

Opowiadała zakonniczy o światowych zwyczajach dworu francuskiego oraz krańcowej dewocji samego króla.

Wyrecytowała kronikę skandaliczną panów i pań dworskich, których przełożona знаła doskonale z nazwiska; naszkicowała lekko miłostki królowej i Buckinghama, mówiąc jak najwięcej, żeby coś wyciągnąć ze słuchaczki.

Przełożona słuchała, uśmiechała się, lecz milczała.

Milady widząc, że ten rodzaj opowiadania bardzo ją bawi, ciągnęła dalej, tylko zwróciła rozmowę na kardynała.

Przeszkadzało jej jedynie to, że nie wiedziała, czy przełożona jest rojalistką, czy stroniczką kardynała; starała się też zachować umiarkowanie. Zakonnica ze swej strony trzymała się jeszcze ostrożniej, skłaniając głowę pokornie, ile razy nowo przybyła wspominała o Jego Eminencji.

Milady zaczęła przypuszczać, że zanudzi się na śmierć w klasztorze, postanowiła więc zaryzykować cośkolwiek, by wiedzieć następnie, czego się trzymać.

Chcąc poznać, jak daleko sięga dyskrekcja dobrej zakonnicy, poczęła naprzód ogródkowo, a potem już wyraźnie obmawiać kardynała, opowiadała o stosunkach miłosnych ministra z panią d'Aiguillon, z Marion Delorme⁵⁰² i jeszcze z kilkoma paniami znanymi ze swobodnego życia.

„Dobrze — myślała milady — gustuje w mojej rozmowie. Jeżeli jest kardynalistką, to przynajmniej nie fanatyczką”.

Przeszła wtedy do opisu prześladowań osobistych nieprzyjaciół kardynała. Przełożona przeżegnała się, nie potwierdzając ani nie przecząc.

Utwierdziło to milady w przekonaniu, że zakonnica więcej jest rojalistką niż stroniczką kardynała.

Prawiła też dalej, nie oszczędzając go wcale.

— Jestem bardzo nieświadoma w tych sprawach — rzekła na koniec zakonnica — lecz, choć oddalone od dworu, obce interesom tego świata, mamy jednak smutny przykład tego, co pani opowiadasz; jedna z naszych pensjonarek cierpiała okrutnie z powodu zemsty i prześladowań kardynała.

— Jedna z waszych pensjonarek? — zawołała milady. — O mój Boże! Jakże jej żałuję!

— Masz pani słuszność, albowiem godna jest politowania; więzienie, groźby, najgorsze obejście, wszystko to wycierpiała. Może jednak — dodała przełożona — pan kardynał miał słuszne powody postępować w ten sposób, a choć ona wygląda na anioła, nie zawsze

Dwór

Uroda

⁵⁰²Delorme, Marion (1613–1650) — francuska kurtyzana znana z romansów z ważnymi mężczyznami; uważa się, że jej kochankiem był m.in. kardynał Richelieu. [przypis edytorski]

można sądzić ludzi z powierzchowności.

„Oho! — pomyślała milady. — Może ja tu coś odkryję, jakoś mi się wiedzie”.

I starała się przybrać wyraz niewinności i słodczy anielskiej.

— Niestety! — mówiła. — Wiem o tym. Powiadają, że nie trzeba ufać fizjonomii, lecz czemuż wierzą ludzie, jeśli nie temu najpiękniejszemu dziełu Stwórcy? Co do mnie, może całe życie będę oszukiwana, lecz zawsze zaufam osobie, której twarz budzi we mnie sympatię.

— Zdaje się pani zatem — powiedziała zakonnica — że ta młoda kobieta jest niewinna?

— Pan kardynał nie zawsze karze za zbrodnie — odrzekła — są cnoty, które prześladowuje zawzięciej od złych skłonności.

— Pozwól, pani, że wyrażę zdziwienie...

— Co panią zadziwia? — rzekła milady naiwnie.

— To, co pani mówi.

— Czyż mówię coś niepodobnego do prawdy? — zapytała milady z uśmiechem.

— Jesteś pani przyjaciółką kardynała, ponieważ przysłał cię tutaj, a jednak...

— A jednak źle o nim mówię — rzekła milady, kończąc myśl przełożonej.

— To jest, nic dobrego o nim nie powiedziałaś.

— Bo ja nie jestem przyjaciółką — odparła, wzdychając — lecz ofiarą kardynała.

— Cóż znaczył list, w którym polecił mi panią?

— Jest to rozkaz dla mnie, bym tu siedziała jak w więzieniu, aż każe mnie stąd zabrać jednemu z satelitów⁵⁰³ swoich...

— Dlaczegoż pani nie próbowałaś uciekać?

— Dokądże bym poszła? Sądzisz pani, że jest na ziemi kącik, gdzie by kardynał nie był w stanie dosięgnąć, jeżeli tylko zechce wyciągnąć rękę? Gdybym była mężczyzną, może by to się udało, lecz cóż chcesz, by uczyniła kobieta? Młoda pensjonarka, jaką macie u siebie, czyż próbowała uciekać?

— Nie, to prawda; lecz co innego, zdaje mi się, zatrzymuje ją we Francji — uczucie serdeczne.

— O! — rzekła milady, wzdychając. — Jeżeli kocha i jest kochana, nie może nazwać się nieszczęśliwą.

— Tak więc — mówiła przełożona, patrząc z wzrastającym zajęciem — to jeszcze jedną nieszczęsną prześladowaną mam przed sobą?

— Niestety! Tak — odparła.

Zakonnica popatrzyła bacznie na milady, jak gdyby jej myśl nowa przyszła do głowy.

— Jesteś może nieprzyjaciółką naszej świętej wiary?

— Ja? — zawołała milady. — Ja? Protestantką?... O nie! Świadczę się Bogiem, który nas słyszy; przeciwnie, jestem gorliwą katoliczką!...

— Kiedy tak — rzekła przełożona z uśmiechem — uspokój się, pani. Miejsce, w jakim się znajdujesz, nie będzie dla ciebie więzieniem. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, byś polubiła niewolę. Co więcej, znajdziesz tu młodą kobietę prześladowaną, bez wątpienia, wskutek jakiejś intrygi dworskiej, osobę bardzo przyjemną i zajmującą.

— Jak się nazywa?

— Polecił mi ją ktoś wysoko postawiony, pod imieniem „Ketty”. Nie starałam się dowiedzieć nic więcej.

— Ketty! — krzyknęła milady. — Jak to? Czy pani jesteś pewna?

— Że się każe tak nazywać? Tak, pani. Czy ją znasz?

Milady uśmiechnęła się do siebie na myśl, że ta kobieta może być jej dawną pokojową. Wspomnienie tej dziewczyny obudziło wściekłość w milady, a przypomnienie zemsty zmieniło jej rysy; lecz prawie natychmiast przybrała wyraz spokoju i dobroci, jaki ta kobieta o stu twarzach potrafiła na rozkaz przywołać.

— Kiedyż będę mogła zobaczyć tą panią, dla której czuję już wielką sympatię? — zapytała.

Uroda

Miłość

Kobieta demoniczna

⁵⁰³satelita — sojusznik. [przypis edytorski]

— Dziś wieczorem — rzekła przełożona — a nawet i prędej. Od czterech dni jesteś pani w podróży, jak sama mówiłaś z rana; potrzebujesz zatem odpoczynku. Połóż się pani i zaśnij trochę; obudzimy cię, gdy obiad podadzą.

Chociaż milady obeszłaby się bez spania, podtrzymywana podnieceniem, jakie nowa awantura nastroczała jej sercu chciwemu intrygi, zgodziła się jednak na propozycję przełożonej. Od dwóch tygodni przeszła tyle różnorodnych wrażeń, że choć ciało żelazne nie upadało ze znużenia, umysł potrzebował spoczynku.

Pożegnała więc przełożoną i położyła się kołysana przyjemnie projektami zemsty, do jakich naturalnie usposobiło ją imię Ketty.

Przypomniała obietnicę, prawie nieograniczoną, jaką dał jej kardynał, jeżeli uda jej się to, co przedsięwzięła. Dokonała wszystkiego, zatem d'Artagnan należał do niej!

Tylko jedna rzecz ją przerażała... wspomnienie męża, hrabiego de la Fère, o którym słyszała, że nie żyje, lub przynajmniej wydalil się z kraju, a którego spotkała pod nazwiskiem Atosa, najlepszego przyjaciela d'Artagnana!

A ponieważ był przyjacielem d'Artagnana, zapewne pomagał mu w intrygach, wskutek czego królowa obróciła wniwecz zamiary Jego Eminencji. Jako przyjaciel d'Artagnana musiał być koniecznie wrogiem kardynała; z pewnością zatem uda jej się za jednym zamachem wtrącić w przepaść Atosa razem z młodym muszkietierem.

Rozkoszne marzenia o zemście ukołysały nareszcie do snu milady.

Obudził ją słodki głos usłyszany obok łóżka. Otworzyła oczy i ujrzała przełożoną w towarzystwie młodej kobiety o cudnych blond włosach i o delikatnej cerze. Wpatrywała się w nią z wyrazem dobroci i ciekawości zarazem.

Twarz młodej osoby nieznana była milady; obydwie badały się wzrokiem z drobiazgową uwagą, zamieniając zwykłe powitanie; obydwie były znakomicie piękne, lecz urodą odmienną.

Jednak milady uśmiechnęła się triumfująco, zobaczywszy, że ma wyższość nad młodą kobietą przez ułożenie i arystokratyczne maniery. Co prawda strój nowicjuszek ujmował dużo powabu nowo przybyłej.

Przełożona przedstawiła je wzajemnie, a po tej formalności, ponieważ obowiązek wzywał ją do kościoła, zostawiła młode kobiety same.

Widząc milady w łóżku, nowicjuszka chciała iść za przełożoną, lecz ta ją zatrzymała.

— Jak to? — rzekła. — Zaledwie panią ujrzałam i już pragniesz mnie opuścić? A ja tak liczyłam na twoje towarzystwo przez czas mojego pobytu w klasztorze!

— O, proszę pani — odpowiedziała nowicjuszka — chciałam odejść, bo sądziłam, że nie w porę przyszłam; pani spałaś, jesteś zmęczona...

— Czegóż więcej można wymagać — rzekła milady — jak słodkiego przebudzenia? A to mnie właśnie spotkało z pani łaski! Pozwólże mi kosztować tej przyjemności.

Wzięła ją za rękę, przyciągnęła i posadziła na fotelu obok łóżka. Nowicjuszka usiadła.

— Mój Boże — powiedziała — ja to jestem prawdziwie nieszczęśliwa, oto już blisko sześć miesięcy siedzę tu zamknięta, bez najmniejszej rozrywki; pani przybywasz, twoja obecność i towarzystwo stałyby się przyjemnością niezrównaną, ale cóż, kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa wyjdę już z klasztoru.

— Jak to?! Wyjeżdżasz stąd niebawem?

— Tak się spodziewam przynajmniej — odrzekła, nie starając się bynajmniej ukryć widocznej radości.

— Dowiedziałam się, że pani cierpiałaś przez kardynała — podjęła milady — byłby to jeden powód więcej do wspólnej sympatii.

— Więc to prawda, co mi powiedziała dobra przełożona, że także jesteś ofiarą tego złośliwego klechy?

— Cicho! — przerwała milady. — Nawet tutaj strzeżmy się wspominać w ten sposób kardynała; cała moja niedola, wszystkie nieszczęścia moje spowodowało niebaczne odezwanie się o nim do kobiety, którą uważałam za przyjaciółkę serdeczną. Czy pani także jesteś ofiarą zdrady?

— Nie — odparła nowicjuszka — jestem ofiarą poświęcenia się dla kobiety, którą kochałam, dla której życie bym oddała tak samo dzisiaj, jak i wtedy.

— A która cię teraz opuściła, czy tak?

— Myślałam tak w istocie, lecz od kilku dni przekonałam się, iż byłam niesprawiedliwa względem pani, i Bogu za to dziękuję. Zanadto cierpiałam, sądząc, że o mnie zapomniała. Lecz ty, pani — ciągnęła nowicjuszka — wydajesz się wolna i gdybyś chciała uciekać, tylko od ciebie to zależy...

— Dokąd chcesz, abym poszła? Bez przyjaciół, bez pieniędzy, w obcym kraju, bo nigdy w tej stronie Francji nie byłam.

— Oh! — zawołała nowicjuszka. — Przyjaciół znajdziesz pani wszędzie, gdzie się tylko pokażesz, wydajesz się dobra, a jesteś przy tym cudownie piękna!

— Pomimo to — podjęła milady z anielską słodyczą w głosie — jestem sama i prześladowana.

— Posłuchaj, pani — przerwała nowicjuszka. — Miej ufność w Bogu; nadchodzi zawsze chwila, kiedy nasze dobre uczynki jedną nam miłosierdzie Stwórcy. Może i teraz szczęściem będzie dla ciebie, pani, znajomość ze mną. Choć nic nie mogę i nic nie znaczę, lecz gdy stąd wyjdę, będę mieć przyjaciół wszechwładnych, którzy upomniawszy się teraz o mnie, upomną się i o ciebie.

— Mówiłam, że jestem sama — rzekła milady w nadziei, że nowicjuszka wygada się ze wszystkim, gdy będzie ciągle mówiła o sobie — lecz to nie znaczy, abym i ja nie miała znajomości w wyższych sferach. Lecz cóż z tego, oni sami drżą przed kardynałem; królowa nawet nie śmie się opierać straszному ministrowi. Mam dowody, że Najjaśniejsza Pani pomimo dobroci serca była zmuszona oddać na pastwę zawziętości Jego Eminencji tych, którzy jej wiernie służyli.

— Wierz mi, pani, może się zdawać niekiedy, że królowa zapomina o wiernych sobie, lecz to jedynie pozory: im więcej są prześladowani, tym więcej o nich myśli, i bardzo często w chwili, gdy najmniej się spodziewają, otrzymują dowody jej pamięci.

— Niestety! — rzekła milady. — Chcę temu wierzyć; królowa taka dobra!...

— Więc znasz pani tę piękną i szlachetną królową, skoro mówisz o niej? — zawołała nowicjuszka z zapalem.

— To jest... — odparła milady zaskoczona znienacka — nie mam zaszczytu znać jej osobiście, lecz znam dużo jej przyjaciół od serca: znam pana de Putange, w Anglii znam pana Dujarta, znam także pana de Tréville.

— Znasz pani pana de Tréville! — zawołała nowicjuszka.

— Nawet bardzo dobrze.

— Dowódcę muszkietarów królewskich?

— Tak, dowódcę muszkietarów królewskich.

— O! Kiedy tak, staniemy się nie tylko znajomymi, lecz przyjaciółkami prawie; znasz pani pana de Tréville, to pewnie bywałeś u niego?

— Bardzo często — rzekła milady, która wszedłszy na drogę kłamstwa i fałszu, nie mogła się już cofnąć.

— Musiałas tam pani widywać niektórych muszkietarów?

— Wszystkich, których zwykle przyjmuje — odparła milady, coraz bardziej zaciękwiona.

— Wymień mi pani ich nazwiska; przekonam się, czy to są i moi znajomi.

— Oto — rzekła milady zmieszana — znam pana de Souvigny, pana de Courtivron, pana de Ferussac.

Nowicjuszka słuchała pilnie, następnie widząc, że milady się zatrzymała, rzekła:

— Czy znasz pani szlachcica nazwiskiem Atos?

Milady zbieła jak pościel, na której leżała, i chociaż umiała panować nad sobą, wydała dziki krzyk, chwyciła za rękę swoją interlokutorkę i przeszła ją wzrokiem.

— Co pani jest? Na Boga! — zapytała biedaczka. — Czy powiedziałam coś, co cię zraniło?

— Nie, nie, zdziwiło mnie to imię jedynie, bo znałam tego szlachcica i wydało mi się dziwne, że spotykam kogoś, kto także go zna.

— O tak! Znam go doskonale, i nie tylko jego, lecz znam jeszcze jego przyjaciół: panów Portosa i Aramis!

— Doprawdy? I ja także ich znam! — zawołała milady, uczuwszy chłód w głębi serca.

— Ponieważ ich pani znasz, wiesz zapewne, jacy to zacni i dobrzy koledzy; czemu nie udasz się do nich, kiedy potrzebujesz pomocy?

Bóg, Dobro, Miłosierdzie

Sługa, Pan, Pozycja społeczna

— To jest... — jąkała milady — nie jestem związana przyjaźnią z żadnym, znam tych panów z opowiadania jednego z ich przyjaciół, pana d'Artagnana.

— Znasz pana d'Artagnana! — krzyknęła nowicjuszka, chwytając milady za rękę.

Następnie, spostrzegłszy dziwny wyraz oczu milady, rzekła:

— Wybacz pani, lecz jakie są wasze stosunki?

— Tylko przyjacielskie — odparła milady zmieszana.

— Zwodzisz mnie, pani. Byłaś jego kochanką.

— To pani nią byłaś! — zawołała z kolei milady.

— Ja? — rzekła nowicjuszka.

— Tak, pani. Wiem teraz, kto jesteś: jesteś panią Bonacieux.

Młoda kobieta cofnęła się przerażona.

— Nie zapieraj się! Odpowiadaj! — kończyła milady.

— A więc tak... pani! — rzekła nowicjuszka. — Czyż jesteśmy rywalkami?

Teraz milady zapłonęła dzikim ogniem; gdyby pani Bonacieux zazdrość nie zaślepiła, byłaby uciekła ze strachu.

— Dalej, mów, pani — ciągnęła pani Bonacieux z energią, o jaką trudno ją było posądzić — czy byłaś, czy jesteś jego kochanką?

— O! Nie, nie — zawołała milady z akcentem prawdy w głosie — nie jestem i nie byłam nigdy!

— Wierzę ci — rzekła pani Bonacieux — lecz dlaczego tak się przeraziłaś?

— Jak to, czyż nie rozumiesz? — odparła milady, której przytomność umysłu i spokój powróciły.

— Jakże mam rozumieć, kiedy o niczym nie wiem?

— Nie rozumiesz tego, że pan d'Artagnan był moim przyjacielem i miał we mnie powiernicę?

— Czy doprawdy?

— Czyż nie pojmujesz, że wiem o wszystkim: o porwaniu ciebie z ustronnego domku w Saint-Germain, o rozpaczach jego i jego przyjaciół, o bezowocnych poszukiwaniach do chwili obecnej? Jakże chcesz, żebym się nie dziwiła, kiedy niespodzianie znalazłam się razem z tobą; z tobą, o której tak często rozmawialiśmy, którą on kocha z całej duszy i którą nauczył i mnie kochać, chociaż cię nigdy nie widziałam! O! Droga Konstancjo, znalazłam cię nareszcie i patrzę na ciebie!...

Milady wyciągnęła ręce do pani Bonacieux, a ta, przekonana tym, co słyszała, widziała odtąd w kobiecie uważanej przed chwilą za rywalkę jedynie szczerą i oddaną przyjaciółkę.

— O! Przebac mi, przebac! — zawołała, skłaniając głowę na ramię milady. — Ale ja go tak bardzo Kocham!

I tak trzymały się w objęciach czas jakiś. Gdyby siły fizyczne milady odpowiadały wielkości jej nienawiści, byłaby na śmierć udusiła panią Bonacieux w tym uścisku.

Nie mogąc zadusić, uśmiechnęła się do niej.

— Kochana moja, śliczna moja — mówiła — co za radość! Pozwól, niech się na ciebie napatrzę.

Mówiąc to, rzeczywiście pożerała ją wzrokiem.

— Tak; to ty jesteś! Jakże mi wiernie cię opisał, poznaję cię doskonale!

Biedna kobieta nie przypuszczała nawet, jakie okropne myśli gnieźdzą się poza tym czołem czystym, co wyrażają oczy błyszczące, w których czytała jedynie współczucie.

— Wiesz zatem, ile wycierpiałam — odezwała się pani Bonacieux — ponieważ opowiedział ci także o swojej boleści; lecz cierpieć dla niego to jeszcze szczęście!

Milady odparła machinalnie:

— Tak, to szczęście.

Myślała zupełnie o czym innym.

— A teraz — ciągnęła pani Bonacieux — moje męczarnie skończone; jutro, dziś wieczorem może zobaczę go.

— Dziś wieczorem?... Jutro?... — zawołała milady obudzona z marzeń. — Co mówisz? Czy spodziewasz się wiadomości od niego?...

— Jego samego się spodziewam.

— D'Artagnan przyjedzie tutaj?

— Tak, d'Artagnan.

— Niepodobna, on jest przy kardynale w obozie pod La Rochelle i powróci dopiero po wzięciu tego miasta.

— Tak pani sądzisz, lecz dla d'Artagnana, dla mojego zacnego i prawego rycerza, nie ma nic niemożliwego!

— Nie mogę temu uwierzyć.

— Przeczytaj pani to! — rzekła pod wpływem dumy i radości niebaczna kobieta, podając list do rąk milady.

„Pismo pani de Chevreuse — pomyślała milady. — Byłam pewna tych stosunków”.
I czytała chciwie podany bilecik:

Drogie dziecię, bądź gotowa: *nasz przyjaciel* odwiedzi cię wkrótce i wybędzie z więzienia, gdzie byłeś ukryta dla bezpieczeństwa. Przygotuj się do drogi i ufaj nam zawsze. Nasz szlachetny Gaskończyk okazał się waleczny i wierny jak zawsze. Powiedz mu, że zasłużył na wdzięczność za daną przestrożę.

— Tak, tak — rzekła milady — list jest stanowczy. Czy wiesz, co to za przestroga?

— Nie. Domyślam się tylko, że pewnie uprzedził królową o jakiejś nowej machinacji kardynała.

— Tak, to najpewniej! — rzekła milady, spuszczać głowę w zamyśleniu.

Naraz usłyszały tętent konia pędzącego galopem.

— O!... — krzyknęła pani Bonacieux, biegnąc do okna. — Czyż to już on przybywa?

Milady leżała w łóżku obezwładniona niespodzianką; od nawału wrażeń, wypadków nieoczekiwanych nawet jej się w głowie pomieszało!

— On!... On!... — mruczała. — Czyżby naprawdę? — I leżała z oczami utkwionymi w sufit.

— Niestety!... To nie on — odezwała się pani Bonacieux — to jakiś mężczyzna nieznajomy zbliża się do klasztoru; tak, zatrzymuje konia przed bramą, dzwoni...

Milady wyskoczyła z łóżka.

— Jesteś pewna, że to nie on?... — zapytała.

— O, tak, najpewniejsza.

— Może go nie poznałaś?...

— Dostyc mi ujrzyć pióro na kapeluszu i jego brzeg płaszcza, abym go poznała!

Milady ubierała się śpiesznie.

— Powiadasz, że ten mężczyzna przyjechał tutaj?

— Tak, już wszedł.

— To do ciebie lub do mnie.

— Mój Boże!... Jakżeś pani wzburzona!...

— Tak, przyznaję, nie posiadam twojej ufności, obawiam się wszystkiego od kardynała.

— Cicho!... — rzekła pani Bonacieux. — Już nadchodzą...

Przełożona weszła do pokoju.

— Czy to pani przybyłaś z Boulogne?... — zapytała milady.

— Tak, to ja — odparła, starając się zapanować nad wzruszeniem — kto taki chce się ze mną widzieć?

— Jakiś mężczyzna, ale wzbrania się powiedzieć swego nazwiska, przybywa wprost od pana kardynała.

— W takim razie niech wejdzie, proszę pani.

— O Boże!... Boże!... — rzekła pani Bonacieux. — Czyż znowu jaka zła nowina?!

— Boję się tego.

— Odchodzę, lecz jak tylko ten nieznajomy odjedzie, pozwolisz pani, powrócę.

— Proszę, bardzo proszę.

Przełożona i pani Bonacieux wyszły.

Milady została z oczami utkwionymi w drzwi; za chwilę posłyszała brzęk ostróg na schodach, nareszcie drzwi się rozwarły i nieznajomy stanął na progu.

Milady krzyknęła — był to hrabia de Rochefort, duszą i ciałem zaprzędany Jego Eminencji.

ROZDZIAŁ XXXV. DWIE ODMIANY SZATANÓW

— A!... — wykrzyknęli jednocześnie Rochefort i milady. — To ty?...

— Tak, to ja.

— Przybywasz?... — zapytała milady.

— Spod La Rochelle. A ty?

— Z Anglii.

— Cóż Buckingham?

— Nie żyje lub śmiertelnie ranny; wyjeżdżałam właśnie, nic odeń nie uzyskawszy, gdy jakiś fanatyk go zabił.

— A!... — odezwał się Rochefort. — Oto, co się nazywa szczęśliwy traf, który ucieszy niezmiernie Jego Eminencję! Czy mu już doniosłaś?...

— Pisałam z Boulogne. Lecz w jaki sposób ty się tu znalazłaś?

— Jego Eminencja, zaniepokojony, wysłał mnie do ciebie.

— Nie straciłam czasu na próżno.

— O! Byłem tego pewny.

— Wiesz, kogo tu spotkałam?

— Nie.

— Zgadnij?

— Nie potrafię.

— Młodą kobietę, którą królowa uwolniła z więzienia.

— Kochankę tego smarkacza, d'Artagnana?

— Tak, panią Bonacieux, o której schronieniu kardynał nie mógł się dowiedzieć.

— Więc znów szczęśliwy traf mogący iść w parze z tamtym; pan kardynał doprawdy jest człowiekiem uprzywilejowanym.

— Wyobraź sobie moje zdziwienie — ciągnęła milady — gdy ta kobieta stanęła przede mną.

— Czy ona wie, kto ty jesteś?

— Nie.

— Więc uważa cię za obcą?

Milady roześmiała się.

— Jestem jej najlepszą przyjaciółką.

— Na honor — rzekł Rochefort — tylko ty jedna, hrabino, jesteś zdolna tworzyć cuda.

— Dobrze się stało — powiedziała milady — bo wiesz, co się tu dzieje?

— Nie.

— Przyjadą po nią jutro lub pojutrze z rozkazem królowej.

— Doprawdy! A któż taki?

— D'Artagnan i jego przyjaciele.

— Przekonany jestem, że oni póty dokazywać będą, aż dostaną się do Bastylii narzeczcie.

— Dlaczego od dawna ich tam nie zamknięto?

— Co chcesz?!... Pan kardynał ma jakąś słabość do tych ludzi, czego ja pojąć nie mogę.

— Doprawdy?

— Tak.

— Rochefortcie, powiedz mu tylko to, że w oberży „Pod Czerwonym Gołębnikiem” ci czterej podsłuchali naszą rozmowę; powiedz mu, że po jego odjeździe jeden z nich wszedł do mnie i wydał mi przemocą list bezpieczeństwa, który dostałam od kardynała; powiedz, że kazał uprzedzić lorda de Winter o moim wylądowaniu w Portsmouth; że ledwie nie obrócili wniwecz całej mojej sprawy, jak to uczynili ze sprawą zapinek diamentowych; powiedz, że spomiędzy czterech tylko dwóch należy się obawiać, d'Artagnana i Atosa; trzeci, Aramis, jest kochankiem pani de Chevreuse, temu trzeba darować życie, znamy jego tajemnicę, więc może być użyteczny; co się tyczy czwartego, Portosa, to słaba głowa, zarozumiała i głupi, nie warto się nim zajmować.

— Skądże się tu wzięli wszyscy czterej, bo powinni być w tej chwili pod La Rochelle?

— I ja tak myślałam, lecz list, który pani Bonacieux odebrała od konetablowej i który — była na tyle niemądra — dała mi do przeczytania, przekonał mnie, że są wszyscy w drodze do klasztoru, aby ją porwać.

— Co tu począć, u diabła?

— Cóż ci kardynał polecił co do mnie?

— Kazał zabrać depesze piśmienne lub ustne, wracać pocztą jak najspieszniej, a skoro się dowie, czego dokazałaś, osądzi, co masz dalej robić.

— Więc ja mam tu pozostać?

— Tutaj lub gdziekolwiek w tych stronach.

— Czy nie możesz zabrać mnie z sobą?

— Nie; mam rozkaz wyraźny; w okolicy obozu poznano by ciebie, a to, jak pojmujesz, kompromitowałoby kardynała.

— Będę zatem oczekiwała na dalsze rozkazy tutaj lub gdzieś niedaleko.

— Powiedz mi tylko, gdzie się obrócisz, ażebym mógł cię znaleźć.

— Prawdopodobnie tu nie będę mogła pozostać. Czy zapomniałeś, że moi wrogowie wkrótce przybędą?

— A! To prawda! Lecz w takim razie ta mała kupcowa wymknie się Jego Eminencji.

— Ba! — rzekła milady z uśmiechem sobie właściwym. — Pamiętaj, że jestem jej najlepszą przyjaciółką...

— Prawda; mogę zatem powiedzieć kardynałowi, że co do tej kobiety...

— Niech będzie spokojny.

— Nic więcej?...

— Zrozumie on, co to znaczy.

— Domyśli się, że... A teraz co ja mam zrobić?

— Wracać jak najprędzej; sądzę, że wiadomości, jakie wieziesz, warte są pośpiechu.

— Mój powóz zepsuł się, gdy wjeżdżałam do Lillers.

— A to przewybornie!...

— Dlaczegoż?...

— Potrzebuję twojego powozu.

— A jakże ja pojedę?...

— Konno, mój panie.

— Dobrze ci mówić; sto mil przeszło.

— Cóż to wielkiego?

— Ma się rozumieć, że pojedę. A potem?

— Potem, przejeżdżając przez Lillers, odeślesz mi powóz i rozkażesz służącemu, aby mi był posłuszny.

— Dobrze.

— Masz zapewne przy sobie jakieś pismo od kardynała?

— Mam pełnomocnictwo.

— Pokażesz je przełożonej i dodasz, że przyslesz po mnie dziś albo jutro i że powinnam się udać z osobą przybywającą w twoim imieniu.

— Dobrze, rozumiem.

— Wyrażaj się ostro do przełożonej, mówiąc o mnie.

— A toż znów po co?

— Jestem przecie ofiarą prześladowaną przez kardynała. Muszę zyskać zaufanie pani Bonacieux.

— Masz rację. Napisz mi tylko dokładny raport o twoich czynnościach.

— Opowiedziałam ci wszystko, pamięć masz doskonałą. Powtórz, coś usłyszał. Papier możesz zgubić.

— Masz rację, jak zawsze, chcę tylko wiedzieć, gdzie cię odnaleźć, żeby na próżno w okolicy nie szukać.

— To prawda, poczekaj no...

— Może chcesz mapy?

— O, znam te strony doskonale.

— Byłaś już tutaj kiedy?

— Tu się wychowałam.

— Będziesz zatem oczekiwała?

— Zaraz, zaraz, pomyślę trochę... A!... Otóż mam: w Armentières.

— Co to jest Armentières?

— Małe miasteczko nad rzeką Lys; w razie czego przeprowię się tylko za rzekę i jestem już za granicą.

— Ale chyba tylko w razie niebezpieczeństwa?...

— Ma się rozumieć...

— A wtedy jak się dowiem, gdzie jesteś?

— Czy tobie lokaj potrzebny?...

— Nie.

— A czy to pewny człowiek?

— Wypróbowany.

— Zostaw mi go, nie zna go tu nikt. Pozostanie w miejscu, skąd się oddalę, i doprowadzi cię tam, gdzie będę.

— Mówisz zatem, że oczekiwać będziesz w Armentières? Napisz mi to na kawałek papieru, gdyż boję się zapomnieć; przecie nazwa miasteczka nie może cię skompromitować, wszak prawda?

— Kto wie?... Lecz mniejsza o to — rzekła milady, pisząc na półarkuszu papieru — kompromituję się...

— Dobrze — rzekł Rochefort, biorąc papier, który złożył i schował w kapelusz — chociażbym go zgubił, zrobię, jak dzieci mają zwyczaj robić; będę powtarzał przez całą drogę: *Armentières*. Czy to wszystko?

— Tak sędzę.

— Zastanówmy się: Buckingham nie żyje lub ranny śmiertelnie; twoja rozmowa z kardynałem podsłuchana przez czterech muszkieterów; lord de Winter zawiadomiony o twoim przybyciu do Portsmouth; d'Artagnana i Atosa zamknąć w Bastylji; Aramis kochankiem pani de Chevreuse; Portos głupiec; pani Bonacieux odnaleziona; przysłać ci powóz jak najspieszniej; mojego lokaja zostawić do twego rozporządzenia; zrobić z ciebie ofiarę kardynała, aby przelożona nie powzięła jakichś podejrzeń; Armentières nad rzeką Lys. Czy wszystko?

— Doprawdy, kochany hrabio, cudowną masz pamięć. Ale, ale, dodaj jedno jeszcze...

— Co takiego?...

— Zauważyłam przesłiczny lasek dotykający ogrodu klasztornego; powiedz, że wolno mi po nim spacerować. Kto wie, może będę zmuszona wyjść tylnymi drzwiami?

— Myślisz o wszystkim.

— A ty zapominasz o jednej rzeczy...

— O czym?

— Nie pytasz, czy mam pieniądze.

— Ile żądasz?...

— Wszystko, co masz przy sobie.

— Mam około pięciuset pistoli.

— Ja posiadam tyleż. Z tysiącem pistoli można wiele dokonać. Dalej, wypróżnij kieszenie.

— Oto masz...

— Dziękuję. A ty odjeżdżasz?

— Za godzinę, zjem tymczasem cokolwiek.

— Wybornie... *Adieu*, hrabio!

— *Adieu*, hrabino.

— Poleć mnie względem kardynała.

— A ty mnie łasce szatana.

W godzinę potem Rochefort pędził, co koń wyskoczy, a pięć godzin później miął Arras. Czytelnicy wiedzą już, jak go d'Artagnan poznał i jak z tego powodu obawy muszkieterów wzrosły i dodały im podniety do dalszej podróży.

ROZDZIAŁ XXXVI. KROPLA PRZEPEŁNIAJĄCA CZARĘ

Zaledwie Rochefort wyszedł, pani Bonacieux wbiegła i zastała milady rozpromienioną.

— No cóż — odezwała się — stało się, czegoś się obawiała? Dziś wieczorem lub jutro kardynał przyśle po ciebie?

— Kto ci o tym powiedział, moje dziecię?... — zapytała milady.

— Słyszałam z własnych ust tego pana.

— Usiądź tu przy mnie — rzekła milady.

— Już jestem.

— Poczekaj, przekonam się, czy nas kto nie podsłuchuje.

— Na co te wszystkie ostrożności?

— Dowiesz się zaraz.

Milady poszła, otworzyła drzwi, wyjrzała na korytarz, po czym dopiero wróciła i usiadła obok pani Bonacieux.

— Zatem — rzekła — dobrze odegrał swoją rolę?

— Kto taki?

— Ten rzekomy wysłannik kardynała.

— Więc on tylko grał rolę?

— Tak, moje dziecię.

— Więc ten człowiek?...

— Jest moim bratem — rzekła milady, zniżając głos.

— Twoim bratem?... — krzyknęła pani Bonacieux.

— Tobie jednej powierzam tę tajemnicę, moja droga; jeżeli powiesz o niej komukolwiek, zgubisz mnie bezpowrotnie, a może i siebie w dodatku.

— O! Mój Boże!

— Powiem ci zaraz, co znaczy to wszystko: brat mój, jadąc tutaj, żeby mnie zabrać gwałtem, jeśli by tego było potrzeba, spotkał w drodze wysłańca kardynała (który także po mnie dążył) i jechał ciągle za nim. Aż nareszcie w miejscu jakimś pustym i odludnym dobył szpady i zażądał od niego papierów, w jakie był opatrzony; ten chciał się bronić... brat mój go zabił.

— To okropne — rzekła pani Bonacieux, drżąc cała.

— Jedyne w ten sposób mógł zdobyć papiery... Zabrał pismo kardynalskie, przedstawił się tutaj jako przysłany od niego, a teraz za parę godzin najdalej przyśle ekwipaż po mnie niby z polecenia Jego Eminencji.

— Rozumiem, ten powóz będzie od brata twojego.

— Tak, ale to jeszcze nie wszystko. Czy sądzisz, że list, który otrzymałaś, pisała pani de Chevreuse?

— Więc co?

— Jest on podrobiony.

— Jak to?

— Nie od niej on pochodzi; to zasadzka, żebyś nie stawiała oporu, gdy przyjdą po ciebie...

— Przecież to d'Artagnan przyjdzie?

— Nie wierz temu. D'Artagnan i jego przyjaciele są pod La Rochelle, nie wolno im wyjeżdżać z obozu.

— Skąd wiesz o tym?

— Brat spotkał emisariuszy kardynalskich w przebraniu muszkietierów. Zamierzali wywołać cię do bramy. Porwaliby cię i odstawili z powrotem do Paryża.

— O mój Boże! Tracę zmysły w tym chaosie... Czuję, że gdyby tak dłużej potrwało, rozum bym straciła.

— Czekaj no...

— Co takiego?

— Słyszę stuk kopyt końskich...

Milady otworzyła okno i skinęła na panią Bonacieux, aby się zbliżyła. Młoda kobieta podeszła ku niej.

Rochefort właśnie przejeżdżał.

— *Adieu*, braciszku — zawołała milady.

Jeździec podniósł głowę, zobaczył obydwie kobiety i nie zatrzymując konia, ukłonił się z galanterią.

Szaleństwo

— Poczciwy Jerzy!... — powiedziała milady, zamykając okno, a twarz jej wyrażała smutek i przywiązanie.

— Kochana moja — odezwała się pani Bonacieux — przebacz, że ci przerywam! Lecz, na miłość Boską, poradź, co mam robić? Masz więcej doświadczenia, mów!

— Najpierw — odparła milady — może się myłę, może d'Artagnan wraz z przyjaciółmi rzeczywiście przybędą cię oswobodzić.

— O!... To za wielkie szczęście dla mnie!

— W takim razie byłaby to kwestia czasu jedynie, rodzaj wyścigów, kto pierw tu przybędzie. Jeżeli twoi przyjaciele, jesteś uratowana; jeżeli zaś zausznicy kardynała, pojmujesz, żeś zgubiona.

— O tak, zgubiona bez ratunku! Co robić więc, co robić?

— Znalazłby się sposób bardzo prosty...

— Jaki? Powiedz mi!

— Czekać ukryta w tych stronach i w ten sposób przekonać się, co za jedni przybędą tu upominać się o ciebie.

— Ale gdzie czekać?

— Nic łatwiejszego. Ja sama myślę o ukryciu się o jakieś kilka mil stąd i czekaniu, aż brat przyjedzie... Wiesz co? Zabiorę cię ze sobą... Razem się ukryjemy i razem będziemy oczekiwać...

— Mnie stąd nie wypuszczą, jestem prawie jak w więzieniu.

— Ponieważ przypuszczają, iż wyjeżdżam z rozkazu kardynała, nie pomyślą, że masz ochotę iść ze mną.

— Więc cóż mam zrobić?

— Ot tak: powóz stanie przed bramą, będziesz się niby ze mną żegnała i wejdiesz na stopień, by mnie uściskać raz ostatni; służący mego brata będzie już uprzedzony, da znak pocztylionowi i ruszymy galopem...

— A jeżeli d'Artagnan przyjedzie?

— Czyż nie dowiemy się o tym?

— W jaki sposób?

— Bardzo prosty. Odeślemy służącego do Béthune, zamieszka naprzeciw klasztoru. Jeżeli zobaczy wysłańców kardynała, nie ruszy się z miejsca; jeżeli d'Artagnana i jego towarzyszy, przyprowadzi ich do nas.

— O! Tak, tak, masz rację; wszystko będzie dobrze, jak najlepiej, lecz nie oddalajmy się bardzo od klasztoru.

— O jakieś kilka mil najwyżej; osiadziemy przy granicy, a na wypadek trwogi uciekniemy z Francji.

— A teraz co robić?

— Zrób jedną rzecz...

— Jaką?

— Powiedz tej poczciwej przełożonej, że pragniesz ze mną razem jadać, abyśmy jak najwięcej były z sobą...

— O! Bardzo dobrze!... W ten sposób będziemy ciągle razem.

— Idź zaraz i poproś... ja czuję się zmęczona.

— Idę, najdroższa, a gdzie się znów spotkamy?

— W tym pokoju, za godzinę.

— Tutaj, za godzinę?... O! Jakaś ty dobra, jak ja ci jestem wdzięczna.

— Jakżebym mogła nie zajmować się tobą? Gdybyś nawet nie była piękna i miła, czyż nie jesteś kochana przez jednego z moich najlepszych przyjaciół?

— D'Artagnan ci za mnie podziękuje.

— I ja się tego spodziewam. A teraz, kiedy wszystko ułożone, żegnam cię...

Młode kobiety rozstały się z uśmiechem na ustach.

Milady powiedziała prawdę — czuła się zmęczona, głowa jej ciążyła; nie zdołała jeszcze uporządkować zamiarów i stąd w jej umyśle powstało zamieszanie.

Odczuwała potrzebę samotności. Nie widziała jasno przeszłości, lecz wystarczyło jej trochę ciszy i spokoju, aby projekty niewyraźne nabrały formy stanowczej.

Najpilniejsze było, jak na teraz, porwanie pani Bonacieux i trzymanie w bezpiecznym miejscu, a dopiero w razie gwałtownej potrzeby użycie jej jako zakładniczki. Milady zaczęła obawiać się wyniku strasznego pojedynku, w którym z jednej strony wchodziła w grę wytrwałość jej wrogów, z drugiej jej osobista nienawiść i zawziętość.

W dodatku przeczuwała, tak jak przeczuwa się nadchodzącą burzę, że koniec jest bliski, a będzie przerażający.

Najważniejsze dla niej, jak to już powiedzieliśmy, było posiadać w swej mocy panią Bonacieux, a tym samym i życie d'Artagnana. Więcej to znaczyło nawet niż jego życie, bo było to życie kobiety przez niego ukochanej. Był to jedyny środek, w razie niepowodzenia, do otrzymania dobrych warunków ugody.

Postanowiła zatem, że panią Bonacieux, nic niepodejrzewającą, zabierze ze sobą, ukryje w Armentières, a tam łatwo ją przekona, że d'Artagnan wcale nie przybył do Béthune.

Najdalej za dwa tygodnie Rochefort powróci; przez dwa tygodnie zatem będzie rozmyślać, w jaki sposób zemścić się nad nienawistnymi jej muszkietierami. Nie znudzi się wcale, dzięki Bogu, będzie miała najmilsze zajęcie, jakie tylko może mieć kobieta z jej charakterem, to jest przeżywanie zemsty. Marząc tak, przypatrywała się położeniu ogrodu i starała się zapamiętać jego rozkład.

Milady, jak dobry generał, obliczała naprzód szanse zwycięstwa, jak i porażki, chcąc mieć pewność tak w razie ataku, jak i odwrotu.

Po upływie godziny usłyszała słodki głos; to pani Bonacieux ją przywołała. Dobra przełożona przystała na wszystko i zaraz na początek miały jeść razem kolację. Gdy weszły w podwórze, jakiś powóz stanął przed bramą.

Milady zatrzymała się.

— Czy słyszysz?... — zapytała.

— Słyszę turkot powozu.

— To mój brat przysłał po nas.

— O mój Boże!

— Odwagi, kochanko!...

Dzwonek odezwał się u bramy klasztornej.

— Idź do twego pokoju — powiedziała do pani Bonacieux — masz pewnie jakieś kosztowności, które byś pragnęła zabrać.

— Mam listy od niego.

— No to idź, zabierz je i wracaj do mnie, zjemy trochę naprędcę; wypadnie nam może jechać późno w noc, zatem trzeba się posilić.

— Boże wielki!... — rzekła pani Bonacieux, kładąc rękę na piersiach. — Serce mi tak bije, nie mogę się z miejsca ruszyć.

— Bądź mężna, pomyśl, że za kwadrans będziesz wolna, pomyśl, że wszystko to dla niego robisz.

— O! Tak, wszystko dla niego. Tym jednym słowem wróciłaś mi odwagę; idź już, przyjdę za chwilę do ciebie!

Milady pobiegła do siebie, zastała już lokaja Rocheforta i powiedziała mu, co ma robić.

Miał czekać przy bramie. Gdyby przypadkiem nadjechali muszkietierowie, powóz powinien zmykać co prędzej, objechać dookoła klasztor i czekać na milady w małej wiosce po drugiej stronie lasku. W takim razie milady przejdzie lasek piechotą i dotrze do wioski. Powiedzieliśmy już, że milady znała wybornie te okolice Francji.

Jeżeli zaś muszkietierowie nie nadjadą, wszystko stanie się według ułożonego planu, pani Bonacieux wejdzie do powozu i milady uwiezie ją w ten sposób.

Pani Bonacieux wróciła. Milady, ażeby nie wzbudzić w niej podejrzeń, powtórzyła służącemu ostatnie instrukcje.

Zadała kilka pytań o stan ekwipażu; był to powóz zaprzężony w trzy dzielne konie z pocztylionem na koźle; lokaj Rocheforta pojedzie przodem w roli kuriera.

Niesłusznie milady obawiała się podejrzeń pani Bonacieux; biedna kobiecina zanadto była czysta i prawa, by mogła kogoś posądzać o przewrotność, w dodatku nazwisko lady de Winter, słyszane od przełożonej, było jej zupełnie obce i nie przypuszczała, aby ta kobieta mogła kiedykolwiek wywierać wpływ na jej życie.

Kobieta demoniczna,
Zemsta

— Wszystko już gotowe — rzekła milady po odejściu lokaja. — Przełożona nie domyśla się niczego i wierzy, że przyjechano po mnie z woli kardynała. Służący poszedł wydać ostateczne rozkazy; zjedz cokolwiek, wypij trochę wina i jedźmy już.

— Tak — rzekła pani Bonacieux machinalnie — tak, jedźmy już...

Milady posadziła ją przy stole, nalala kieliszek wina hiszpańskiego i podsunęła kawałek kurczęcia.

— Widzisz, jak nam okoliczności sprzyjają; noc oto zapada, o świtanu będziemy już w naszym schronieniu. Nikt nie domyśli się nawet, gdzie jesteśmy. No, no, otrząśnij się z apatii, zjedz cokolwiek.

Pani Bonacieux zjadła parę kawałków i umoczyła usta w kieliszku.

— Dalej, kochanko — rzekła milady, biorąc kieliszek — zrób tak jak ja...

Lecz gdy miała dotknąć ustami, jej ręka zatrzymała się nieruchomo — doleciał ją z oddalenia odgłos zbliżającego się orszaku, a jednocześnie słychać było rżenie koni.

Odgłos ten spłoszył jej radość, tak jak szum burzy spędza z powiek sen rozkoszny. Zbladła i pobiegła do okna, gdy pani Bonacieux powstała drżąc i aby nie upaść, trzymała się krzesła. Nic nie było widać, tylko odgłos kopyt końskich stawał się coraz wyraźniejszy.

— O! Mój Boże!... — rzekła pani Bonacieux. — Co znaczy ta wrzawa?

— Przybywają obrońcy nasi lub nieprzyjaciele — odparła milady z okrutną zimną krwią — zostań, gdzie jesteś, a ja ci powiem, co zobaczę...

Pani Bonacieux stała milcząca, nieruchoma jak posąg.

Wrzawa stawała się coraz głośniejsza, orszak znajdował się o jakieś sto pięćdziesiąt kroków najwyżej; nie było go tylko widać z powodu zakrętu drogi.

Jednak tętent dolatywał coraz wyraźniej, można było prawie poznać ilość koni po odgłosie podków na drodze.

Milady wyteżęła wzrok z całej siły.

Nagle na skrócie drogi ujrziała kapelusze błyszczące od galonów i pióropusze igrające z wiatrem; najpierw dwóch... potem pięciu, nareszcie ośmiu jeźdźców naliczyła... Jeden z nich pędził przodem na długość dwóch koni...

Milady jęknęła głucho. W jeźdźcu poznała d'Artagnana.

— O! Boże mój!... — zawołała pani Bonacieux. — Co tam zobaczyłaś?

— Mundury straży kardynalskiej; nie mamy ani chwili do stracenia — krzyknęła milady. — Uciekajmy! Uciekajmy!

— Tak, tak, uciekajmy!... — powtórzyła pani Bonacieux, nie mogąc kroku postąpić, bo przykuta była do miejsca przerażeniem.

Jeźdźcy właśnie przejeżdżali pod oknem. Milady próbowała wziąć ją na ręce i wynieść, lecz nie mogła poradzić.

Usłyszała turkot powozu umykającego za ukazaniem się muszkieterów; następnie rozległo się kilka strzałów.

— Ostatni raz cię wzywam, czy pójdziesz ze mną?... — krzyknęła milady.

— O! Mój Boże! Mój Boże! Widzisz przecie, że nie mam siły; widzisz, że nie mogę na nogach się utrzymać... uciekaj sama!...

— Uciekać sama? Ciebie zostawić? Nie, nie, nigdy! — wołała milady.

Naraz wyprostowała się, groźny ogień zabłysnął w jej oczach; pobiegła do stołu i wpuściła w szklankę pani Bonacieux zawartość pierścienia, który otworzyła szybko.

Było to czerwone ziarnko, które rozpuściło się natychmiast.

Ujęła szklankę pewną ręką.

— Wypij — rzekła — to wino doda ci sił, wypij prędko.

Przytknęła szklankę do ust młodej kobiety, a ta wypila bez oporu.

— A! Nie tak pragnęłam się zemścić — rzekła milady z uśmiechem szatańskim, stawiając szklankę na stole — lecz, na honor, trzeba robić, co można!

Po tych słowach uciekła z pokoju.

Pani Bonacieux patrzyła, nie mogąc już iść za nią. Było z nią jak z tymi, którzy śnią, że ich ścigają, a oni na próżno wysilają się, aby powstać na nogi.

Tak przeszło kilka minut, wrzawa okrutna przysuwała się do drzwi; pani Bonacieux czekała na powrót milady.

Kilka razy, z trwogi zapewne, zimny pot zlewał jej pałające czoło.

Truczna, Kobieta
demoniczna, Zemsta

Nareszcie usłyszała zgrzyt żelaznej kraty, głośna rozmowa zbliżała się coraz bardziej i była pewna, że słyszy powtarzane swoje imię. Krzyknęła radośnie i rzuciła się do drzwi, bowiem poznała głos kochanka.

— D'Artagnan! D'Artagnan! — wołała. — Czy to jesteś ty? Tutaj, chodź tutaj!

— Konstancjo! Konstancjo — odpowiedział młodzieniec — gdzie jesteś? Na Boga!

W tejsze chwili drzwi celi rozwarły się raptownie; kilku mężczyzn wbiegło do pokoju; pani Bonacieux upadła na fotel prawie nieprzytomna.

D'Artagnan cisnął na ziemię pistolet, dymiący jeszcze, i rzucił się na kolana przed ukochaną; Atos swój założył za pas, a Portos i Aramis chowali szpady do pochew.

— O! D'Artagnan! Mój najdroższy! Przybyłeś na koniec, nie zawiodłeś mnie, ty wierny mój przyjacielu.

— Tak, tak, Konstancjo, jesteśmy już razem!...

— O! *Ona* ciągle mówiła, że nie przyjedziesz, ja jednak nie traciłem nadziei, nie chciałam uciekać. O! Jak dobrze zrobiłam, jak jestem szczęśliwa!

Na ten wyraz *ona* Atos, który siedział spokojnie, zerwał się na nogi.

— *Ona?* Co za *ona?* — zapytał d'Artagnan.

— Moja towarzyszka, która z przyjaźni chciała mnie uchronić od prześladowania; ta sama, która wzięła was za straż kardynalską i właśnie tylko co uciekła...

— Twoja towarzyszka! — zawołał d'Artagnan, blednąc jak płótno. — O jakiej towarzyszce mówisz?

— O tej, której powóz stał przed bramą, która mówiła, że jest twoją przyjaciółką i że zwierzyłeś się jej ze wszystkiego.

— Jak ona się nazywa? — wołał d'Artagnan. — Na Boga! Czy znasz jej nazwisko?

— O! Wiem, słyszałam, jak o niej mówiono, czekaj... to dziwne... o mój Boże!... Ciemno mi przed oczami...

— Do mnie, przyjaciele! Do mnie! Ręce jej lodowacieją — zawołał d'Artagnan — mdleje, wielki Boże, straciła przytomność!...

Podczas gdy Portos z całych sił wołał o pomoc, Aramis podbiegł do stołu po szklankę wody; zatrzymał się jednak, widząc straszną zmianę na twarzy Atosa, który stojąc obok stołu z włosom najeżonym, błędnym wzrokiem patrzył w jedną ze szklanek i zdawał się być pod wpływem okrutnych podejrzeń.

— O! — mówił Atos. — Nie, to niepodobna! Bóg nie dopuściłby do podobnej zbrodni.

— Wody! Wody! — krzyczał d'Artagnan.

— Nieszczęśliwa kobieta! — szepnął Atos.

Pani Bonacieux otworzyła oczy, wilgotne od pocałunków d'Artagnana.

— Przychodzi do siebie! — zawołał młodzieniec. — Dzięki ci, Boże!

— Pani — odezwał się Atos — pani, na imię Boskie, powiedz, kto pił z tej szklanki?

— Ja, panie... — odpowiedziała głosem gasnącym.

— Kto nalewał wino?

— *Ona*.

— Co za *ona?*

— A!... Przypominam sobie, hrabina de Winter...

Czterech muszkietarów krzyknęło jednocześnie, lecz Atos najgłośniej. Właśnie w tej chwili twarz pani Bonacieux stała się biała i przejrzysta, boleści straszne porwały ją... upadła na ręce Portosa i Aramisa. D'Artagnan w rozpacz nieopisanej porwał za rękę Atosa.

— Jak to? — rzekł. — Przypuszczasz... — łkanie zatamowało mu głos.

— Wszystkiego się spodziewam — odparł Atos, przygryzając do krwi usta, by nie jęknąć.

— D'Artagnanie! D'Artagnanie!... — zawołała pani Bonacieux. — Gdzie jesteś? Wiesz, że umieram!

D'Artagnan opuścił rękę Atosa i podbiegł do niej. Śliczna twarzyczka młodej kobiety pokryła się trupią bledością, oczy jak szklane patrzyły, nie widząc, konwulsyjne drżenie wstrząsnęło ciałem, kroplisty pot wystąpił na czoło.

— Na miłość Boską, biegnijcie, wołajcie ludzi. Portos! Gdy *ona* poda komuś truciznę, nie ma już lekarstwa...

Trucizna, Śmierć

— Ratujcie! Ratujcie!... — szeptała pani Bonacieux.

Po czym zebrawszy ostatnie siły, ujęła w dłonie głowę młodzieńca, popatrzyła w oczy, jak gdyby pragnęła oddać mu duszę, i płacząc, przycisnęła usta do ust jego.

— Konstancjo! Droga Konstancjo!... — wołał d'Artagnan.

Lekkie westchnienie poczuł na ustach... to dusza Konstancji, czysta i kochająca, powracała do nieba...

D'Artagnan już tylko trupa trzymał w objęciach...

Nareszcie krzyknął przeraźliwie i padł na ziemię sztywny i blady, równie jak jego ukochana! Portos płakał, Aramis pięścią wygrażał niebu, Atos się przeżegnał.

Właśnie w tej chwili jakiś mężczyzna stanął we drzwiach, prawie tak blady jak wszyscy zgromadzeni w pokoju. Potoczył okiem dokoła, ujrzał panią Bonacieux nieżywą, a d'Artagnana zemdlonego. Trafił na chwilę osłupienia następującą po wielkich katastrofach.

— Nie omyliłem się — powiedział — oto pan d'Artagnan i jego trzech przyjaciele, panowie Atos, Portos i Aramis!

Przyjaciele patrzyli na nieznanego zdziwieni. Wszystkim trzem zdawało się, że go znają.

— Panowie — ciągnął nowo przybyły — poszukujecie również jak ja kobiety, która — dodał z gorzkim uśmiechem — była tu z pewnością, bo widzę oto ślady jej przejścia...

Trzech przyjaciele oniemieli; głos i twarz nieznanego budziły w nich niejasne wspomnienia.

— Panowie — mówił dalej — ponieważ nie chcecie poznać człowieka, który wam po dwakroć życie zawdzięcza, zmuszony jestem dopomóc waszej pamięci: jestem lord de Winter, szwagier owej kobiety...

Atos wstał i podał mu rękę.

— Witaj, milordzie — powiedział — domyślam się, że z nami trzymasz...

— Wyruszyłem w pięć godzin po niej z Portsmouth — odparł lord de Winter — przybyłem do Boulogne za późno; w Saint-Omer chybiłem tylko pięć minut; na koniec w Lillers straciłem jej ślad. Szukałem wszędzie w okolicy, pytałem napotkanych w drodze. Widziałem was, pędzących galopem, poznałem pana d'Artagnana... Wołałem na was, nie odpowiedzieliście. Chciałem was dopędzić, lecz mój zmęczony koń ustawał. Pomimo pośpiechu przybyliście jednak za późno.

— Przypatrz się, milordzie — rzekł Atos, wskazując panią Bonacieux nieżywą i d'Artagnana, którego Portos i Aramis starali się ocucić.

— Czy oboje nie żyją? — zapytał chłodno lord de Winter.

— Nie, na szczęście — odrzekł Atos — pan d'Artagnan jedynie zemdlął.

— A! Tym lepiej — rzekł de Winter.

— D'Artagnan otworzył oczy, wyrwał się z rąk Portosa i Aramisa jak szalony, rzucił się na ciało kochanki.

Atos powstał i uroczystym krokiem podszedł do przyjaciela. Ucisnął czule zanoszącego się od płaczu i rzekł głosem poważnym a serdecznym.

— Przyjacielu, bądź mężny. Kobiety oplakują umarłych, mężczyźni mszczą się za nich...

— O!... Tak — rzekł d'Artagnan — jeżeli idzie o pomszczenie śmierci tego anioła, jestem gotów pójść z tobą!

Atos skorzystał z chwili odwagi, jaką nadzieja zemsty natchnęła nieszczęśliwego młodzieńca, i skinał na Portosa i Aramisa, aby poszli po przelożoną.

Spotkali ją na korytarzu, wzruszoną i wylęklą wobec tylu niespodzianych wypadków. Przywołała kilka zakonnice, które wbrew regule klasztornej znalazły się w obecności aż pięciu mężczyzn od razu.

— Szanowna pani! — przemówił Atos, biorąc d'Artagnana pod rękę. — Twoim staniom polecamy zwłoki tej nieszczęśliwej kobiety. Była aniołem na ziemi, a teraz jest pewnie aniołem w niebie. Pochowaj ją, pani, jak siostrę klasztorną. Wrócimy kiedyś pomodlić się na jej grobie.

D'Artagnan ukrył twarz na piersiach przyjaciela i wybuchnął płaczem.

— Płacz — rzekł Atos — płacz!... Serce pełne miłości, ognia i życia! Niestety, jakżebym pragnął móc zapłakać tak jak ty!

Kobieta, Mężczyzna,
Zemsta

I wyprowadził przyjaciela czuły jak ojciec, pocieszający jak duchowny, a wielki jak człowiek, który dużo w życiu wycierpiał.

Poszli wszyscy w pięciu do miasta Béthune, aż zatrzymali się przed pierwszą napotkaną oberżą.

— Czy nie udamy się w pogoń za tym potworem? — zapytał d'Artagnan.

— Później — odparł Atos — muszę jeszcze załatwić niektóre sprawy.

— Jeżeli się nam wymknie — przerwał młodzieniec — to z twojej winy jedynie...

— Odpowiadam za nią — rzekł Atos.

Tak wielka była wiara d'Artagnana w słowa przyjaciela, że opuścił głowę i nic nie mówiąc, udał się za nim do oberży.

Portos i Aramis spojrzeli na siebie, nie rozumiejąc tej pewności Atosa. Lord de Winter sądził, że mówi on tak, aby ulżyć boleści d'Artagnana.

— A teraz, panowie — rzekł znów Atos, gdy go zapewniono, że w oberży jest pięć wolnych pokoi — rozejdźmy się. D'Artagnan potrzebuje samotności, aby się wypłakać i przespać. Ja biorę na siebie odpowiedzialność za wszystko, bądźcie zatem spokojni.

— Zdaje mi się jednak — przemówił lord de Winter — jeżeli mamy wystąpić przeciw hrabinie, do mnie to należy — jest ona bowiem moją bratową.

— Mnie bardziej to dotyczy — rzekł Atos — bo ona jest moją żoną...

D'Artagnan uśmiechnął się. Poznał, że Atos jest pewny zemsty, skoro wyjawił swoją tajemnicę.

Portos i Aramis spojrzeli na siebie bladzi z przerażenia.

Lord de Winter zaś myślał, że Atos zmysły postradał.

— Idźcie, panowie, do siebie — rzekł Atos — a mnie pozwólcie działać. Widzicie teraz, że jako mąż mam do tego niezaprzeczone prawo. D'Artagnanie, jeżeli nie zgubiłeś, oddaj mi papier, który wypadł z kapelusza owemu jeźdźcowi; na nim wypisana jest nazwa wioski...

— A!... — zawołał d'Artagnan. — Rozumiem, nazwa wypisana jej ręką.

— Poznajesz teraz — rzekł Atos — że jest Bóg w niebie!

ROZDZIAŁ XXXVII. CZŁOWIEK W CZERWONYM PŁASZCZU

Gniew i wściekłość Atosa przybrały charakter łagodniejszy, znamionujący w całym blasku zdolności umysłowe tego człowieka zaprawdę wyższego.

Pochłonięty cały ważnością uczynionej obietnicy i przyjętej odpowiedzialności, ostatni poszedł do swego pokoju. Poprosił gospodarza o mapę prowincji, w której się znajdowali, i oglądał ją szczegółowo. Przekonawszy się, że cztery drogi prowadzą z Béthune do Armentières, przywołał czterech pacholków.

Planchet, Grimaud, Mousqueton i Bazin stawili się natychmiast i otrzymali polecenia jasne i szczegółowe.

Mieli wyjechać nazajutrz przede dniem i udać się do Armentières, każdy inną drogą. Planchet, jako najsprytniejszy, powinien był jechać tą, którą udał się powóz.

Atos wziął do pomocy lokajów, ponieważ ci nie wzbudzają takich podejrzeń jak panowie i znajdują więcej sympatii u tych, których się wypytują.

Co więcej, milady znała muszkietarów, a nie widziała nigdy pacholków, a przeciwnie — oni znali ją doskonale.

Wszyscy czterej powinni byli zjechać się razem w Armentières o jedenastej rano; jeżeliby odkryli schronienie milady, trzech pozostanie, by jej pilnować, czwarty powróci i zaprowadzi czterech przyjaciół na miejsce.

Po wyjściu służących Atos wstał i wyszedł. Była już dziesiąta. Widocznie poszukiwał kogoś, aby o coś zapytać. Podszedł do zapóźnionego przechodnia i powiedział kilka słów; zapytany cofnął się przerażony, nic nie odpowiedział, tylko wskazał ręką. Atos dawał mu pół pistola, żeby szedł z nim, lecz odmówił.

Atos zapuścił się we wskazaną ulicę, doszedł do placu i znów się zatrzymał. Ponieważ tutaj spodziewał się spotkać kogoś, czekał zatem. Rzeczywiście, po chwili zjawił się jakiś człowiek. Atos powtórzył pytanie, lecz tak samo i tutaj trafił na upór — zapytany nie chciał mu towarzyszyć, ograniczył się tylko do wskazania ręką.

Szedł zatem we wskazanym kierunku i znalazł się na przedmieściu położonym z przeciwnej strony niż ta, którą wjechali do miasta. Tu znów nie wiedział, dokąd się udać.

Na szczęście spotkał żebraka, któremu obiecał talara. Żebrak na widok monety zdecydował się pójść.

Gdy doszli do skrzyżowania ulicy, wskazał mu w oddaleniu opuszczone domostwo. Atos udał się w tamtą stronę, a żebrak wziął jałmużnę i uciekł najprędzej, jak mógł.

Muszkietier okrążył dom kilka razy, zanim odszukał drzwi pomalowane na czerwono, równie jak cały budynek. Było ciemno, grobowa cisza panowała w mieszkaniu.

Zapukał do drzwi. Usłyszał niewyraźny szmer, uchylono je i wysoki, blady mężczyzna z czarnym zarostem stanął na progu. Zamienili kilka słów po cichu i mężczyzna dał znak, że Atos może wejść. Muszkietier skorzystał z pozwolenia.

Człowiek, którego Atos tak długo i z takim trudem poszukiwał, wprowadził go do swego laboratorium, gdzie właśnie zajęty był składaniem i umocowywaniem żelaznym drutem kości szkieletu.

Korpus był już gotowy, głowa jedynie leżała na stole.

Otoczenie wskazywało, że gospodarz domu uprawia nauki przyrodnicze: były tam słoje z węzłami, wysuszone jaszczurki, pęki ziół dziko rosnących i wonnych zapelniały kąty pokoju. Człowiek ten żył samotnie w opuszczonym domku.

Na zaproszenie gospodarza Atos usiadł obok niego.

Wtedy wyjaśnił mu, jakiej usługi wymaga, lecz nieznajomy cofnął się ze wstrętem i stanowczo odmówił. Atos dobył kawałek papieru, na którym było nakreślone parę słów, u spodu zaś podpisał i wielką pieczęć.

Przeczytawszy pismo, nieznajomy zobaczył podpis i pieczęć i skłonił się na znak, że jest gotów do posłuszeństwa.

Atos podniósł się, uklonił i wyszedł. O świcie przyszedł doń d'Artagnan z zapytaniem, co robić.

— Czekać — odpowiedział Atos.

Niedługo przelożona klasztoru przysłała z zawiadomieniem, że pogrzeb odbędzie się w południe. O trucicielce nic nie wiadano; musiała jednak uciekać przez ogród, rozpoznano bowiem ślady na piasku, furtkę ogrodową znaleziono zamkniętą, a klucz od niej widać zabrała.

W godzinie oznaczonej lord de Winter i czterech muszkietierów udali się do klasztoru; wszystkie dzwony były w ruchu, kaplica otwarta, a kraty zamknięte.

Pośrodku chóru wystawiono zwłoki ofiary przybrane w strój nowicjuszek. Po bokach chóru, poza kratami, zebrały się zakonnice i nie widząc nikogo, i same będąc niewidziane, łączyły swój śpiew ze śpiewem księży.

U progu kaplicy d'Artagnan zachwiał się i obrócił, szukając wzrokiem Atosa, lecz Atos znikł bez śladu.

Wierny swej myśli przewodniej kazał się on zaprowadzić do ogrodu i idąc za lekkimi śladami na piasku, dotarł do furtki prowadzącej do lasu, kazał ją otworzyć i zapuścił się w gęstwinę. Wtedy potwierdziły się jego przypuszczenia — powóz tędy przejeżdżał.

Atos szedł jakiś czas z wzrokiem utkwionym w ziemię. Od czasu do czasu napotykał krwawe plamy, jakie zapewne pochodziły albo z rany zadanej człowiekowi poprzedzającemu powóz lub może któryś z koni otrzymał ranę od strzału muszkietierów. Po trzech kwadransach takiej drogi, o pięćdziesiąt kroków od Festubert, napotkał dużą plamę krwi i grunt stratowany kopytami końskimi. Pomiędzy tym laskiem i kawałkiem ziemi znów ukazywały się ślady kobiecych nóg — powóz zatem zatrzymał się tutaj.

Tutaj więc milady wyszła z lasu i wsiadła do powozu.

Zadowolony z odkrycia potwierdzającego podejrzenia Atos powrócił do oberży, gdzie oczekiwał już Planchet.

Wszystko stało się według przepowiedni Atosa.

Planchet jechał tą samą drogą, widział krwawe plamy i także poznał miejsce, gdzie stanęły konie.

Lecz dotarł dalej niż Atos, bo do wioski Festubert, i pijąc tam w oberży, bez pytania dowiedział się, że dnia poprzedniego o wpół do dziewiątej rano jakiś człowiek towarzyszący damie jadącej powozem pocztowym był zmuszony zatrzymać się tamże, nie będąc w stanie jechać dalej. Opowiadał on, że złodzieje napadli ich w lesie, przy czym został

Samotnik

Pogrzeb

raniony. Dama zmieniła konie na poczcie i pojechała dalej. Planchet odszukał pocztylionia i dowiedział się, że tenże odwiózł damę do Fromelles, skąd udała się do Armentières. Planchet pojechał bliższą drogą i o siódmej rano był także w Armentières.

Była tylko jedna oberża za stacją pocztową. Planchet udał się tam jako lokaj szukający służby. Rozgadał się z miejscowymi ludźmi i dowiedział się, że jakaś pani przybyła sama jedna o jedenastej wieczorem, wzięła pokój w oberży, kazała przywołać gospodarza i oświadczyła, że pragnie zamieszkać tutaj jakiś czas.

Planchet nie dopytywał się więcej. Pobiegł na umówione miejsce, zastał trzech pacholków na czatach, kazał im pilnować wszystkich drzwi oberży, a sam udał się do Atosa, któremu właśnie kończył zdawać relację, gdy jego przyjaciele powrócili. Byli smutni i zamysleni, nawet słodka twarz Aramis pokryła się chmurą.

— Co teraz będziemy czynić? — zapytał d'Artagnan.

— Czekać — odpowiedział Atos.

Bez odpowiedzi zawrócili i poszli każdy do siebie.

O ósmej wieczorem Atos rozkazał posiodłać konie i uprzedzić lorda de Winter i swoich przyjaciół, że powinni gotować się do wyprawy.

Za chwilę cała piątka stanęła pod bronią. Obejrzeni i ponabijali muszkiety. Atos wyszedł ostatni.

— Cierpliwości!... — rzekł. — Brakuje jeszcze kogoś.

Wszyscy obejrzeni się dookoła, nie mogąc poznać, kogo by im brakowało. Atos wskoczył na siodło.

— Czekajcie na mnie — powiedział — zaraz powrócę.

I ruszył z kopyta. Za kwadrans powrócił w towarzystwie mężczyzny z maską na twarzy, owiniętego w ogromny, czerwony płaszcz.

Lord Winter i trzech muszkieterów spoglądali po sobie. Żaden z nich nie mógł objaśnić drugiemu, bo żaden nie wiedział, kim jest ten mężczyzna. Pomyśleli jednak, że tak powinno być, skoro Atos tak postanowił.

O dziewiątej udali się drogą, którą powóz przejeżdżał.

Straszny był widok tych sześciu ludzi pędzących w milczeniu, pogrążonych w rozmyślnościach, jak rozpacz cichych, jak przeznaczenie nieubłaganych.

ROZDZIAŁ XXXVIII. WYROK

Noc była ciemna i burzliwa, horyzont okrył się chmurami, ani jedna gwiazdka nie widniała.

Noc

Przejechali w ciszy wioskę Festubert, a gdy przybyli do Herlies, Planchet, dowodzący orszakiem, zawrócił na prawo. Lord de Winter, Portos i Aramis próbowali zawiązać rozmowę z mężczyzną w czerwonym płaszczu, lecz ten na zapytania pochylał tylko głowę z szacunkiem i milczał.

Nasi podróżni domyślili się, że nieznajomy miał powód zachowywać incognito, i przestali go zaczepiać.

Ruszyli cwałem. Niedaleko za Fromelles burza wybuchła z wściekłością; okryli się płaszczami i ostatnie trzy mile przebyli podczas najstraszniejszej ulewy.

D'Artagnan zdjął kapelusz i zrzucił płaszcz; przyjemność sprawiała mu woda spływająca po gorącym czole i po całym ciele wstrząsanym dreszczem gorączkowym.

Gdy mijali Goskal i zawracali do poczty, jakiś człowiek wystąpił z cienia drzew i z palcem na ustach stanął na środku drogi. Atos poznał Grimauda.

— Co słyhać? — krzyknął d'Artagnan. — Czyżby uciekła z Armentières?

Grimaud kiwnął głową. D'Artagnan zgrzytnął zębami.

— Cicho, d'Artagnanie — przemówił Atos. — Ja wziąłem wszystko na siebie, do mnie należy wybadać Grimauda.

— Gdzież ona jest? — zapytał.

Grimaud wyciągnął rękę w kierunku rzeki Lys.

— Daleko stąd?

Grimaud podniósł palec wskazujący, na pół zgięty.

— Sama?...

Grimaud znów kiwnął głową.

— Panowie!... — rzekł Atos. — Ona jest sama, o pół mili stąd, w stronę, gdzie płynie rzeka.

— Prowadź nas, Grimaudzie — odezwał się d'Artagnan.

Grimaud poszedł przodem. Po pięciu minutach natrafili na strumień i przebyli go wplaw.

— Czy tam? — zapytał Atos.

Grimaud pokręcił głową przecząco.

— Cicho zatem! — rzekł Atos.

Pojechali dalej. Znow błyskawica rozdarła chmury. Grimaud wskazał ręką mały, odosobniony domek o sto kroków od przewozu⁵⁰⁴. Świeciło się w jednym oknie.

— Jesteśmy u celu — rzekł Atos.

W tej chwili podniósł się z rowu jakiś cień, to Mousqueton; wskazywał ręką oświetlone okno.

— Ona jest tam — powiedział.

— Gdzie Bazin? — zapytał Atos.

— Gdy ja strzegę okna, on pilnuje drzwi.

— Dobrze — rzekł Atos — wierni z was słudzy.

Zeskoczył z konia, oddał lejce Grimaudowi; postąpił do okna, reszcie kazał otoczyć drzwi.

Żywopłot wysoki na kilka stóp okalał domostwo. Atos przeskoczył go i stanął pod oknem bez okiennic.

Przy świetle lampy widać było kobietę otuloną szarym płaszczem, siedzącą na stolku przy ogniu dogasającym. Łokcie oparła na brudnym stole, a głowę ukryła w dłoniach białych jak kość słoniowa.

W tejże chwili koń zarżał... milady podniosła głowę, zobaczyła bladą twarz w szybie okna i krzyknęła!...

Atos widząc, że jest poznany, pchnął okno kolanem, aż szyby posypały się po ziemi, i jak duch zemsty stanął w izbie. Milady do drzwi się rzuciła; bleśszy i groźniejszy jeszcze niż Atos d'Artagnan stał już na progu.

Milady cofnęła się z okrzykiem.

D'Artagnan sądząc, że chce uciekać, i bojąc się, aby znow nie uszła, wyjął pistolet; Atos go powstrzymał.

— Schowaj broń — rzekł — trzeba osądzić tę kobietę, a nie zamordować. Chwilkę cierpliwości, d'Artagnanie, a będziesz zadowolony. Panowie, wejdźcie, proszę.

Wszedł lord de Winter, Portos, Aramis i człowiek w czerwonym płaszczu. Czterech pacholków strzegło drzwi i okna. Milady padła na krzesło, z rękoma jakby odegnać chciała marę straszną. Poznała szwagra i krzyknęła przeraźliwie.

— Czego żądacie?... — zawołała.

— Żądamy — rzekł Atos — Karoliny Backson, która najpierw nosiła nazwisko hrabiny de la Fère, następnie lady de Winter, baronowej Scheffield.

— To ja nią jestem — mruknęła wylekła — czego chcecie ode mnie?...

— Pragniemy osądzić cię według zbrodni twoich — rzekł Atos. — Wolno ci bronić się i niewinnic, jeżeli potrafisz. Panie d'Artagnanie, wystąp najpierwszy jako oskarżyciel.

D'Artagnan wysunął się naprzód.

— W obliczu Boga i ludzi — powiedział — oskarżam tę kobietę, iż otruła Konstancję Bonacieux zmarłą wczoraj wieczorem.

Obrócił się do Portosa i Aramisa.

— Świadczy — odezwali się razem muszkietierowie.

D'Artagnan mówił dalej.

— W obliczu Boga i ludzi oskarżam tę kobietę o zamiar otrucia mnie samego winem przysłanym z Villeroi wraz z listem fałszywym, jakoby pochodziło od moich przyjaciół, a winem tym otrul się człowiek nazwiskiem Brisemont.

— Świadczy — rzekli jednym głosem Portos i Aramis.

— W obliczu Boga i ludzi oskarżam tę kobietę, że namawiała mnie do zabicia barona de Wardes, a ponieważ nie mam na to świadka, osobiście zaświadczam. Skończyłem.

⁵⁰⁴przewóz — przystań nad rzeką lub jeziorem. [przypis edytorski]

D'Artagnan odszedł na bok z Portosem i Aramisem.

— Na ciebie kolej, milordzie! — rzekł Atos.

Baron stanął na środku pokoju.

— Przed Bogiem i ludźmi — rzekł — oskarżam tę kobietę o zamordowanie księcia Buckingham.

— Księżę Buckingham zamordowany?! — krzyknęli jednym głosem zgromadzeni.

— Tak — odpowiedział baron — zamordowany! Odebrałem wasze ostrzeżenie, kazałem zatrzymać tę kobietę i oddałem pod straż wiernego sługi... Obałamuciła tego człowieka, włożyła mu sztylet do ręki, kazała zabić księcia. W tej chwili może i Felton płaci głową za zbrodnię tej furii piekielnej.

Sędziowie oniemieli, słysząc o zbrodniach nieznanym im jeszcze.

— To nie wszystko — ciągnął lord de Winter — brat mój, który ją uczynił spadkobierczynią swoją, umarł nagle na dziwną chorobę, po jakiej na całym ciele zostają plamy sine. Siostrze, powiedz, skutkiem czego mąż twój umarł?

— Okropność! — zawołali Portos i Aramis.

— Zabójczyni Buckingham, zabójczyni Feltona, zabójczyni brata mego, żądam sprawiedliwości nad tobą i oświadczam, jeżeli mi jej nie wymierzają, sam tego dokonam.

Lord de Winter stanął obok d'Artagnana, ustępując miejsca innemu oskarżycielowi.

Milady opuściła głowę na ręce i starała się zebrać rozpierzchłe myśli.

— Na mnie teraz kolej — odezwał się Atos, drżąc, jak lew drży na widok jadowego węża. — Pojąłem za żonę tę kobietę, gdy była młodą dziewczyną, wziąłem ją pomimo woli całej mojej rodziny; otoczyłem dostatkiem, dałem moje nazwisko. Aż pewnego dnia przekonałem się, że jest napiętnowana: ta kobieta ma wypalony kwiat lilii na lewym ramieniu!

— O!... — zawołała milady, powstając. — Gdzie jest trybunał, co wydał wyrok nikczemny, gdzie człowiek, który go wykonał?... Nie znajdziecie jednego ani drugiego!

— Milcz! — odezwał się głos jakiś. — Ja na to odpowiem!

I człowiek w czerwonym płaszczu zbliżył się także.

— Kto ty jesteś?... Kto ty jesteś? — krzyknęła milady skamieniała ze strachu, a włosy na głowie powstały jej jak żywe.

Wszyscy spojrzeli na tego człowieka, nikt go nie znał prócz Atosa, który także ze zdziwieniem patrzył, nie przypuszczając, że i ten należy do sprawy, jaką właśnie sądzili. Nieznajomy stanął naprzeciw milady i zdjął maskę z twarzy. Milady patrzyła czas jakiś z wzrastającą trwogą na twarz bladą, okoloną czarnym zarostem, na twarz obojętną i zimną jak kamień. Naraz zawołała, podnosząc się i cofając do ściany:

— O!... Nie, nie, to widmo piekielne!... To nie on!... Ratunku! Ratunku! — krzyczała głosem dzikim, odwracając się, jakby przez ścianę uciec pragnęła. — Kat miasta Lille! — zawołała milady, czepiając się rękami muru, aby nie paść na ziemię.

Wszyscy ustąpili na stronę, człowiek w czerwonym płaszczu został sam na środku izby.

— Łaski!... Łaski!... Przebaczenia — krzyczała nędznica, padając na kolana.

Nieznajomy czekał, aż się uciszy.

— Powiedziałem panom, że mnie poznała! — zaczął. — Tak, jestem katem miasta Lille, a oto moja historia:

Ta kobieta była swego czasu młodą dziewczyną, równie piękną jak obecnie. Była zakonnicą w klasztorze benedyktynek w Templemar. Młody ksiądz z sercem niewinnym i pełnym wiary sprawował służbę kapelana klasztorowego; postanowiła zbałamucić go i dokonała swego... o!... Ona by świętego uwiodła...

Oboje wykonali śluby święte, nieodwołalne; stosunek ich zatem nie mógł trwać długo, a odkryty, mógł ich zgubić. Wymogła na nim, że uciekną w dalekie strony; do wykonania zamiaru, do przeniesienia się w inną część Francji, potrzeba było pieniędzy. Ksiądz skradł kielichy złote i posprzedawał; a gdy już wszystko przygotowali do ucieczki, wysłedzono ich i wpakowano do więzienia oboje.

W tydzień potem uwiodła syna dozorczy i wydostała się na wolność. Księdza skazano na dziesięć lat w kajdany i na piętnowanie. Byłem katem miasta Lille, jak powiedziała już ta kobieta, i musiałem piętnować winnego... a ten nieszczęśliwy... był moim bratem!...

Przysiągłem wtedy, że ta, co go zgubiła, współniczka, co go do zbrodni popchnęła,

Kobieta demoniczna,
Ksiądz, Kuszenie

Piętno, Kat, Zemsta

otrzyma taką samą karę...

Nie wiedziałem, gdzie się ukryła, lecz ścigałem ją, pochwyciłem, związałem i wpa-
liłem na ramieniu znak upadający, tak jak mojemu bratu ...

Powróciwszy do Lille, dowiedziałem się, że brat mój umknął także, a mnie posądzono
o współnictwo i zamknięto w więzieniu, dopóki się on nie znajdzie.

Nieszczęśliwy brat nie wiedział nic o wyroku; połączył się z kochanką, uciekli razem
do Berry, a tam otrzymał małe probostwo... Ona uchodziła za jego siostrę...

Właściciel dóbr, gdzie było probostwo, ujrzał tę niby siostrę, zakochał się i zapragnął
ją poślubić. Wtedy ona porzuciła przez siebie zgubionego dla drugiego, którego zgubić
miała... i została hrabiną de la Fère.

Wszyscy spojrzeli na Atosa, który właśnie tak się nazywał, a on dał znak, że to, co kat
mówi, jest prawdą.

— Mój brat — ciągnął tenże — oszalały z rozpaczy, postanowił skończyć życie odarte
przez nią ze czci i szczęścia. Powrócił do Lille, a dowiedziawszy się, że mnie skazano za
niego, oddał się sam w ręce sprawiedliwości i tegoż wieczora powiesił się w więzieniu.

Oto zbrodnia, o jaką ją oskarżam, oto przyczyna, dla której jest piętnowana.

— Panie d'Artagnanie — rzekł Atos — jakiej kary żądasz dla tej kobiety?

— Kary śmierci — odparł d'Artagnan.

— Milordzie de Winter — ciągnął Atos — jakiej kary żądasz dla tej kobiety?

— Kary śmierci.

— Panowie, Portosie i Aramisie, wy, którzy jesteście sędziami, jaką jej karę przezna-
czacie?

— Karę śmierci — wyrzekli obydwaj głosem grobowym.

Atos wyciągnął ku niej rękę.

— Karolino Backson, hrabino de la Fère, milady de Winter, twoje zbrodnie znu-
żyły ludzi na ziemi i Boga w niebie. Módl się, jeżeli potrafisz, albowiem skazana jesteś
i umrzesz...

Na te słowa, niepozostawiające żadnej nadziei, milady powstała i chciała mówić, lecz
siły ją opuściły. Poczula silną rękę chwytającą ją za włosy i ciągnącą nieubłaganie jak
przeznaczenie. Nie próbowała się opierać i wyszła popychana przez kata.

Lord de Winter, d'Artagnan, Atos, Portos i Aramis podążyli za nimi. Pachołkowie
poszli za śladem panów, a izba została pusta, z oknem wybitym, z drzwiami na oścież
otwartymi i z lampą kopczą na stole.

ROZDZIAŁ XXXIX. ŚMIERĆ MILADY

Północ była prawie, księżyc poszczerbiony i krwawy po burzy minionej wschodził po-
za miasteczkiem Armentieres i oświecał ponuro domy i czarną sylwetkę dzwonnicy ze
szczytem przejrzystym.

Na wprost rzeka Lys toczyła wody, a światło księżyca barwiło je kolorem miedzi
roztopionej. Poza rzeką las odwieczny sięgał konarami obłoków i tworzył z nimi ponurą
całość.

Na lewo majaczył opustoszały młyn, w którego ruinach puszczyk odzywał się złowro-
go.

Przy drodze rosły rzadkie drzewa, niskie i nieforemne, i wydawały się jak karły zło-
śliwe, czyhające na podróżnych i w tej godzinie duchów.

Od czasu do czasu horyzont oświecała błyskawica, to znów wąż ognisty jak olbrzymi
miecz przecinał chmury, czarny las i wodę.

Powietrze duszne, bez wiatru, prawie przygniatało; dokoła cisza grobowa, droga ośli-
zła po deszczu i ziola wydające zapach odurzający.

Dwóch służących prowadziło milady, trzymając ją pod ręce, kat szedł tuż za nią, a lord
de Winter, d'Artagnan, Atos, Portos i Aramis postępowali za katem.

Planchet i Bazin szli na ostatku. Prowadzono milady w stronę rzeki. Usta miała za-
mknięte, lecz oczy mówiły z nieopisaną wymową, błagając każdego, co na nią spojrział.

W pewnej chwili przemówiła cicho do pachołków.

Samobójstwo

Sąd, Kat

— Tysiąc pistoli dla każdego z was za ułatwienie ucieczki. Jeżeli zaś oddacie mnie waszym panom, to pamiętajcie!... Mam niedaleko mścicieli, którzy każą drogo zapłacić za moją śmierć.

Grimaud zawahał się. Mousqueton drżał cały.

Atos posłyszał głos milady, przysunął się szybko, lord de Winter uczynił to samo.

— Odpędź tych ludzi — powiedział — mówią do nich, nie można im ufać.

Przywołano Plancheta i Bazina na miejsce Grimauda i Mousquetona.

Nad brzegiem rzeki kat przystąpił i związał milady ręce i nogi.

Wtedy wybuchnęła, krzycząc:

— Podli! Nędzni zbóje!... Znęćacie się nad bezbronną kobietą; strzeżcie się, chociaż mi pomoc doraźna nie nadejdzie, będę jednak pomszczona...

— Tyś nie kobieta — rzekł Atos chłodno — nie należysz do rodzaju ludzkiego, tyś szatan zbiegły z piekła, którego wyprawimy tam, skąd przyszedł.

— O! Wy cnotliwi!... — odparła milady. — Pamiętajcie! Każdy, który dotknie jednego włosa z mej głowy, będzie także mordercą.

— Kat ma prawo zabijać, nie stając się przez to mordercą — rzekł człowiek w czerwonym płaszczu, uderzając ręką po mieczu — jest tylko ostatnim sędzią; *Nachrichter*⁵⁰⁵, jak powiadają Niemcy, nasi sąsiedzi.

A ponieważ mówiąc to, krępował ją, milady krzyknęła po kilkakroć dzikim głosem, który rozległ się ponuro dokoła i zginął w głębi lasu.

— Jeżeli jestem winna, jeżeli spełniłam zarzucane zbrodnie — ryczała milady — prowadźcie mnie przed trybunał, nie macie prawa sędzić i potępiać!

— Proponowałem Tyburn — rzekł lord de Winter — czemuż nie chciałaś?

— Bo nie chcę umierać!... — ryknęła, szarpiąc się. — Bo za młoda jestem na to!...

— Ta, którą otruliś w Béthune, była młodsza, a jednak umarła — odezwał się d'Artagnan.

— Wstąpię do klasztoru!... Zostanę zakonnica — rzekła milady.

— Byłaś w klasztorze — przerwał kat — i wyszłaś z niego na zgubę mojego brata.

Milady jęknęła przeraźliwie i padła na kolana.

Kat wziął ją pod ręce i chciał zanieść do łodzi.

— O Boże mój!... — zawołała. — Boże mój! Więc chcesz mnie utopić?

Krzyczała tak rozdzierająco, że d'Artagnan, najzawziętszy z początku, nie mógł już słuchać; usiadł na suchym pniu, zatkał uszy rękami, a jednak słyszał wciąż skargi i groźby.

Znać było zaraz, że d'Artagnan jest najmłodszy...

— O! Nie mogę patrzeć na te okropności — mówił — nie mogę pozwolić, aby kobieta skończyła w ten sposób!

Milady usłyszała i nadzieja w nią wstąpiła.

— D'Artagnanie! D'Artagnanie! — zawołała. — Wspomnij, że cię kochałam!

Młodzieniec powstał i podszedł ku niej.

Atos dobył szpady i zastąpił mu drogę.

— Jeśli krok jeden postąpisz, skrzyżujemy szpady.

D'Artagnan padł na kolana i modlił się.

— No dalej — mówił Atos — panie kacie, czyń swoją powinność.

— Z chęcią, panie łaskawy — odparł kat — albowiem przysięgam, jakem prawowierny katolik, tak mam przekonanie, że jestem sprawiedliwy, spełniając wyrok na tej kobiecie.

— To dobrze.

Atos zbliżył się do milady.

— Przebaczam ci — rzekł — wszystko złe, jakieś mi wyrządziła; przebaczam przyszołość złamaną, honor stracony, miłość splamioną i zbawienie, którego nie dostąpię z powodu rozpacz, w jakąś mnie pogrążyła. Umieraj w pokoju.

Lord de Winter przystąpił.

— Przebaczam ci — powiedział — otrucie brata, zabójstwo księcia Buckingham; przebaczam śmierć nieszczęśliwego Feltona i wszystkie zamachy na moją osobę. Umieraj w pokoju.

Kobieta demoniczna

Kat

⁵⁰⁵*Nachrichter* (niem.) — kat. [przypis edytorski]

— A ja proszę — rzekł d'Artagnan — przebacz, pani, że przez zarozumiałość i podejście niegodne szlachcica wywołałem twoją zawziętość. Ja w zamian przebaczam ci śmierć ukochanej i okrutną zemstę nade mną, przebaczam i płacę nad tobą... Umieraj w pokoju.

— *I am lost!*⁵⁰⁶ — mruknęła milady po angielsku. — *I must die!*⁵⁰⁷.

Stała o własnych siłach, wyprostowała się i patrzyła dokoła płomiennym wzrokiem. Nic nie ujrzała.

Nadstawiała uszu... — nic nie usłyszała.

Otoczona była jedynie wrogami.

— Gdzież mam umrzeć?... — zapytała.

— Po drugiej stronie rzeki — odpowiedział kat.

Wprowadził ją do łodzi i sam miał wsiadać, gdy Atos podał mu woreczek z pieniędzmi.

— Weź pan — rzekł — to zapłata za czynność twoją; niech wiedzą wszyscy, że postępujemy, jak należy.

— Dziękuję — odpowiedział kat. — A teraz niech zbrodniarka pozna, że nie rzeźmiosło moje, lecz spełniam powinność świętą.

I cisnął pieniądze w głąb rzeki. Łódka sunęła wolno oświecona bladym obłoczkiem. Widać było, jak przybiła do brzegu; dwie postacie rysowały się czarno na tle horyzontu.

Milady podczas przeprawy zdołała rozwiązać powróż krępujący nogi, dopłynąwszy do brzegu, wyskoczyła z łódki i poczęła biec szybko.

Rozmiękły grunt utrudniał ucieczkę, poślizgnęła się i padła na kolana. Straciła odwagę; pojęła na koniec, że niebo odmawia jej pomocy.

Ujrzano wtedy z przeciwnego brzegu kata podnoszącego powoli ręce. Blask księżycy odbił się w ostrzu szerokiego miecza... ręce opadły... nastąpił zgrzyt stali i krzyk ofiary... potem tułów bez głowy osunął się na ziemię. Kat zdjął i rozpostarł swój czerwony płaszcz, złożył na nim ciało, dorzucił głowę, związał mocno, wziął na plecy i wsiadł do łodzi. Na środku rzeki stanął i unosząc w górę ciężar, zawołał:

— Spełniła się sprawiedliwość boska!

Po czym cisnął trupa w nurty Lys.

W trzy dni potem czterech muszkietierów wróciło do Paryża; nie przedłużyli urlopu wcale i tego samego wieczora poszli złożyć wizytę panu de Tréville.

— No cóż, kochani panowie — pytał zacny dowódca — czy udała się wycieczka, dobrzeście się zabawili?

— Wyśmienicie! — odpowiedział Atos za siebie i za swoich przyjaciół.

ROZDZIAŁ XL. ZAKOŃCZENIE

Dnia szóstego następnego miesiąca król, wierny obietnicy danej kardynałowi, wracał z Paryża do La Rochelle odurzony wieścią o zamordowaniu księcia Buckingham.

Królowa, chociaż uprzedzona, że człowiekowi przez nią ukochanemu grozi niebezpieczeństwo, gdy doniesiono jej o jego zgonie, zawołała niebacznie:

— To fałsz! Przecież pisał do mnie!

Nazajutrz musiała uwierzyć strasznej nowinie. La Porte, jak wszyscy, zatrzymany w Anglii z rozkazu Karola I, przybył nareszcie i doręczył królowej ostatni smutny upominek od Buckingham.

Radość króla była wielka; nie ukrywał jej wcale wobec królowej. Ludwik XIII, jak wszyscy ludzie słabego charakteru, nie odznaczał się szlachetnością ani delikatnością uczuć. Przeczynał, że z powrotem do obozu popadnie znów w niewolę kardynała; a jednak powracał.

Dlatego też orszak królewski smutno wyglądał.

Nasi czterej przyjaciele jechali obok siebie milczący, z pospuszczanymi głowami.

Atos tylko niekiedy prostował się, oczy mu świeciły, a gorzki uśmiech zjawiał się na ustach, lecz za chwilę, podobnie jak przyjaciele, wpadał w głęboką zadumę.

Gdy przybyli do jakiegokolwiek miasta i odprowadzili króla do przygotowanego mieszkania, usuwali się do kwatery lub do oberży i szeptali tylko pomiędzy sobą.

⁵⁰⁶*I am lost* (ang.) — Zginęłam! [przypis tłumacza]

⁵⁰⁷*I must die* (ang.) — Muszę umrzeć. [przypis tłumacza]

Pewnego dnia, gdy zostali tak w przydrożnej oberży, jakiś mężczyzna jadący konno od La Rochelle stanął przed karczmą, aby wypić szklankę wina, i spojrzął do wnętrza izby, gdzie przy stole siedzieli muszkietierowie.

— Hola! Panie d'Artagnanie — zawołał — czy to ciebie tam widzę?

D'Artagnan podniósł głowę i aż krzyknął z radości.

Człowiek, którego nazywał swym duchem prześladowczym, nieznajomy z Meung i z ulicy des Fossoyeurs z Arras wołał na niego. Dobył szpady i rzucił się do drzwi.

Tym razem, zamiast uciekać, nieznajomy zsiadł z konia i postąpił na spotkanie d'Artagnana.

— A! Panie — rzekł młodzieniec — mam cię nareszcie, nie ujdiesz mi teraz.

— Nie mam wcale tego zamiaru, bo właśnie pana poszukuję; w imieniu króla aresztuję cię!... Proszę oddać mi szpadę, uprzedzam, że chodzi tu o pańską głowę.

— Któż pan jesteś? — zapytał d'Artagnan, zniżając broń, lecz nie myśląc oddawać.

— Jestem kawaler de Rochefort — odpowiedział nieznajomy — koniuszy kardynała de Richelieu, i mam rozkaz odprowadzić pana do Jego Eminencji.

— Powracamy właśnie do Jego Eminencji — rzekł Atos, zbliżając się — można zatem zaufać panu d'Artagnanowi na słowo, iż uda się prosto do La Rochelle.

— Mam rozkaz odstawić go pod strażą do obozu.

— My sami pilnować go będziemy, mój panie, pod słowem honoru. Ale dajemy również szlacheckie słowo, że pana d'Artagnana samego nie puścimy.

Rochefort rzucił okiem w głąb izby, widział, że Portos i Aramis stanęli przy drzwiach; był na lasce muszkietierów.

— Panowie! — odezwał się. — Jeżeli pan d'Artagnan odda szpadę i zareczy słowem honoru, zadowolę się przyrzeczeniem panów, iż go odprowadzicie do kwatery kardynała.

— Masz pan moje słowo — rzekł d'Artagnan — a w dodatku oddaję szpadę.

— Lepiej to nawet dla mnie — dorzucił Rochefort — ponieważ muszę dalej jechać.

— Jeżeli do milady — odezwał się Atos — to na próżno, nie znajdziesz jej pan...

— Cóż się z nią stało? — zapytał żywo Rochefort.

— Wróć pan do obozu, dowiesz się tam o wszystkim.

Rochefort po namyśle postanowił usłuchać rady Atosa i zawrócił wraz z nimi. Ruszono więc w drogę.

Nazajutrz o trzeciej po południu stanęli w Surgères.

Kardynał oczekiwał tu Ludwika XIII.

Minister i król przesadzali w czułościach i winszowali sobie szczęśliwego wypadku, który uwolnił Francję od zajadłego wroga, buntującego przeciw niej całą Europę. Po czym kardynał, uprzedzony przez Rocheforta o aresztowaniu d'Artagnana i pragnący zobaczyć się z nim co rychlej, pożegnał króla, zapraszając, by obejrzał tamę morską, tylko co ukończoną.

Powróciwszy wieczorem do kwatery przy moście kamiennym, kardynał zastał przy drzwiach d'Artagnana bez broni i trzech muszkietierów uzbrojonych. Tym razem, ponieważ siłę miał po swej stronie, spojrzął na nich groźnie i dał znak ręką, by d'Artagnan udał się za nim.

— Czekamy na ciebie — odezwał się Atos tak, by go kardynał usłyszał.

Eminencja zmarszczył brwi, przystanął na chwilę, nareszcie poszedł, nie wyrzekłszy słowa. D'Artagnan poszedł za nim, przyjaciele pilnowali drzwi. Kardynał wszedł do gabinetu i skinął na Rocheforta, aby wyprowadził d'Artagnana.

Rochefort uczynił według rozkazu, po czym się oddalił.

D'Artagnan został sam na sam z kardynałem; po raz drugi stawał przed Richelieu, a sądził, że po raz ostatni.

Richelieu stał wsparty o kominek, tylko stolik przedzielał go od młodzieńca.

— Wiedz o tym, mój panie — powiedział — że z mego rozkazu zostałeś aresztowany.

— Tak mi powiedziano, Eminencjo.

— Czy wiesz za co?

— Nie, Eminencjo, ponieważ jedyna rzecz, za którą mogłoby to nastąpić, nie jest jeszcze wiadoma Waszej Eminencji.

Richelieu spojrzął bacznie na młodego człowieka.

— Hola! — zawołał. — Co to ma znaczyć?

— Jeżeli, Eminencjo, raczysz mnie oświecić, jakie zbrodnie mi zarzucają, powiem następnie, czego dokonałem.

— Zarzucają ci zbrodnie, jakie zgubiły wyżej od ciebie postawionych, mój panie!

— Jakież to, Eminencjo? — zapytał d'Artagnan ze spokojem wprawiającym w podziw nawet kardynała.

— Zarzucają ci, żeś korespondował z wrogami ojczyzny, podchwyciłeś tajemnice stanu, że starałeś się pokrzyżować plany dowódcy.

— Któż mi to zarzuca, Eminencjo? — zapytał d'Artagnan, który był pewny, że oskarżenie wyszło od milady. — Czy kobieta piętnowana i sądzona kryminalnie, mająca jednego męża we Francji, drugiego w Anglii, kobieta, która otruła tego drugiego i mnie samego chciała otruć?...

— Co to znaczy? — krzyknął kardynał. — O jakiej kobiecie mówisz?

— O milady de Winter — odparł d'Artagnan — o której zbrodniach Wasza Eminencja nie wiedziałaś bez wątpienia, kiedyś ją zaszczycał swoim zaufaniem.

— Jeżeli jest ona zbrodniarką, zostanie ukarana.

— To już zrobione, Eminencjo.

— Kto ją ukarał?

— My...

— Czy jest uwięziona?

— Nie żyje...

— Nie żyje?... — powtórzył kardynał, nie mogąc dać temu wiary. — Czyś ty powiedział, że ona nie żyje?

— Po trzykroć nastawała na moje życie. Przebaczalem jej, w końcu zabiła kobietę, którą kochałem!... Wtedy ja i moi przyjaciele pojмалиśmy ją, osadziliśmy i ukaraliśmy.

D'Artagnan opisał otrucie pani Bonacieux w klasztorze karmelitek w Béthune, sąd, jaki uczynili nad milady, i egzekucję na brzegu rzeki Lys. Kardynał niełatwo czymś się przerażał, zadrżał jednakże.

Lecz naraz, pod wpływem jakby myśli tajemnej, oblicze Jego Eminencji, groźne dotąd, rozjaśniło się i przybrało wyraz pogodny.

— A zatem — rzekł głosem łagodnym, niestosownym do ostrych słów, jakie wypowiadał — przybraliście rolę sędziów, zapominając, że ci, co nie posiadając prawa, karę wymierzają, równają się zabójcom.

— Eminencjo, przysięgam, że nie myślę bronić mojej głowy. Poniosę karę, jaką mi Wasza Łaskawość przeznaczy. Nie dbam o życie, a zatem śmierci się nie boję.

— Wiem o tym, jesteś człowiekiem odważnym — rzekł kardynał prawie z uczuciem — mogę ci zatem oznajmić, że będziesz sądzony, a nawet skazany...

— Kto inny odpowiedziałby, że ma w kieszeni ulaskawienie, ja zaś powiem jedynie: rozkazuj, Eminencjo, jestem przygotowany na wszystko.

— Masz ulaskawienie?

— Tak, Eminencjo.

— Z czym podpisem? Z królewskim?

Ostatnie słowa kardynał wymówił z pogardą.

— Z podpisem Waszej Eminencji.

— Z moim? Zwariowałeś chyba, mój panie!

— Wasza łaskawość pozna zapewne swoje pismo.

D'Artagnan podał kardynałowi drogocenny papier wydarty milady przez Atosa i dany przyjacielowi, aby mu służył za tarczę.

Eminencja wziął papier i czytał wolno i dobitnie.

Z mojego rozkazu posiadacz tego papieru uczynił to, co uczynił. W obozie pod La Rochelle, 5 sierpnia 1628 roku Richelieu

Po przeczytaniu kardynał popadł w zadumę.

„Rozmyśla, jaki rodzaj śmierci wybrać dla mnie — mówił do siebie d'Artagnan. — Otóż, na honor!... Zobacz, jak umiera prawdziwy szlachcic”.

Richelieu rozmyślał ciągle i obracał papier w ręce.

Na koniec podniósł głowę, wlepił orli wzrok w tę twarz uczciwą, otwartą i rozumną, wyczytał w rysach łzami pooranych cierpienia, jakie znosił od miesiąca, i pomyślał po raz

Sędzia, Kara

trzeci, a może i czwarty, że to dwudziestojednoletnie dziecko ma długą przyszłość przed sobą, a jego przedsiębiorczość, odwaga i rozum pod dobrym kierunkiem mogą przynieść dużo korzyści.

Z drugiej znów strony zbrodnie, chęć panowania i spryt piekielny milady przerażały go już nieraz... Uczuwał radość z pozbycia się współpracownicy tak niebezpiecznej.

Podarł powoli papier, który mu d'Artagnan oddał z takim zaufaniem.

„Oho! Zginąłem!” — myślał młodzieniec. Pochylił się nisko przed kardynałem, jak człowiek, który mówi: „Dziej się wola Twoja, Panie”.

Richelieu podszedł do stołu i nie siadając, napisał kilka wierszy na pergaminie, w dwóch trzecich już zapisanym, i położył swoją pieczęć.

„To wyrok na mnie — pomyślał d'Artagnan. — Oszczędza mi nudów w Bastylji i rozwlekłego procesu. To bardzo grzecznie z jego strony”.

— Zabrałem list bezpieczeństwa — odezwał się kardynał — lecz daję ci natomiast inny... Brakuje nazwiska w tym dyplomie, sam je musisz dopisać.

D'Artagnan wziął papier nieśmiało i spojrział. Była to nominacja na namiestnika w kompanii muszkietierów.

— Ekscelecjo! — zawołał, padając do nóg kardynałowi. — Życie moje do ciebie należy, rozporządzaj nim według woli... Nie zasłużyłem na łaskę, jaką mi wyświadczasz. Posiadam trzech przyjaciół zasłużeńszych, godniejszych...

— Zaczynasz z ciebie chłopak, d'Artagnanie — przerwał kardynał, klepiąc go po ramieniu, uszczęśliwiony, że zwałczył nareszcie niesforną naturę. — Zrób z dyplomem, co ci się podoba. Pamiętaj jednak, że chociaż nazwisko nie jest wymienione, *ja daję go tobie*.

— Nie zapomnę nigdy!... — odparł d'Artagnan. — Wasza łaskawość może być pewny...

Kardynał odwrócił się i zawołał:

— Rochefort!

Hrabia musiał być tuż, bo wszedł natychmiast.

— Rochefortcie — mówił kardynał — oto pan d'Artagnan, którego zaliczam odtąd do moich przyjaciół. Podajcie sobie ręce i życie w zgodzie, jeżeli wam życie mile.

Rochefort i d'Artagnan pocałowali się końcem ust; kardynał mierzył ich okiem badawczym. Wyszli jednocześnie.

— Spotkamy się jeszcze, prawda, mój panie?

— Kiedy tylko pan zechcesz — rzekł d'Artagnan.

— Znajdzie się sposobność — dodał Rochefort.

— Co mówicie?... — zawołał za nimi kardynał.

Rochefort i d'Artagnan uśmiechnęli się do siebie, ścisnęli za ręce i pokłonili Jego Eminencji.

— Zaczynaliśmy się już niecierpliwic — rzekł Atos, gdy d'Artagnan powrócił.

— Otóż jestem, drodzy przyjaciele! — odparł d'Artagnan. — Nie tylko wolny, lecz nawet w łaskach...

— Opowiesz nam wszystko?

— Dziś wieczorem.

O zmroku d'Artagnan udał się do Atosa, którego zastał wypróżniającego butelkę wina hiszpańskiego, co religijnie spełniał każdego wieczora. Opowiedział mu, co zaszło pomiędzy nim i kardynałem.

— Masz, kochany Atosie — powiedział, wyjmując dyplom z kieszeni — to ci się sprawiedliwie należy.

— Przyjacielu — odrzekł Atos — dla Atosa to za wiele, dla hrabiego de la Fère za mało. Schowaj dyplom dla siebie... Niestety, Bóg widzi, żeś go drogo okupił.

D'Artagnan pożegnał Atosa i udał się do Portosa.

Zastał go we wspólnym ubraniu, lśniącym od haftów złocistych, przeglądającego się w lustrze.

— A! A!... — zawołał Portos. — To ty, drogi przyjacielu, jak uważasz, czy dobrze mi w tym ubraniu?

— Doskonale — odparł d'Artagnan — lecz przyszedłem zaproponować strój, w jakim ci będzie jeszcze lepiej.

— Jakiż to? — zapytał Portos.

— Mundur namiestnika muszkietierów.

I znów opowiedział spotkanie z kardynałem, a wyciągając dyplom z kieszeni, rzekł:

— Weź to, mój drogi — rzekł — wypisz swoje nazwisko i bądź dla mnie łaskawym szefem.

Portos spojrział na dyplom i ku wielkiemu zdziwieniu młodego człowieka oddał mu go z powrotem.

— Tak — powiedział — pochlebiałoby mi to bardzo, lecz nie mógłbym tą łaską cieszyć się długo. Podczas naszej wyprawy do Béthune mąż mojej księżnej rozstał się z tym światem. A zatem, drogi przyjacielu, ponieważ szkatuła nieboszczyka wyciąga ku mnie ręce, żenię się z jego wdową. Właśnie przymierzam ubranie ślubne, zachowaj dla siebie namiestnikostwo, mój kochany...

I oddał dyplom d'Artagnanowi.

Młodzieniec poszedł do Aramisa.

Zastał go na kolanach przed ołtarzykiem, z czołem wspartym na otwartej księżce do modlitwy.

Po raz trzeci wyciągnął dyplom z kieszeni.

— Przyjacielu nasz, światło nasze, opiekunie i protektorze niewidzialny — powiedział — przyjmij ten dyplom, zasłużyłeś na niego więcej niż ktokolwiek mądrością i radami, jakie nam zawsze na dobre wychodziły.

— Niestety! Drogi przyjacielu — rzekł Aramis — ostatnie wypadki zniechęciły mnie zupełnie do świata i do służby wojskowej. Moje postanowienie tym razem jest niewzruszone: po ukończeniu oblężenia wstąpię do lazarystów⁵⁰⁸. Zatrzymaj dyplom dla siebie, rzemiosło wojskowe przystoi ci najlepiej, będziesz dzielnym i przedsiębiorczym dowódcą.

D'Artagnan ze łzami wdzięczności i radością w sercu powrócił do Atosa. Zastał go przy stole oglądającego pod światło ostatnią lampkę madery⁵⁰⁹.

— Otóż widzisz — odezwał się — oni także odmówili!... Bo nikt nad ciebie nie jest godniejszy tego zaszczytu.

Atos wziął pióro, wypisał na dyplomie nazwisko d'Artagnana i podał mu z uśmiechem.

— Nie będę już miał koło siebie przyjaciół — rzekł młodzieniec — nic, nic, tylko gorzkie wspomnienia...

Opuścił głowę, a łzy zalały mu twarz.

— Młody jesteś — przemówił Atos — twoje gorzkie wspomnienia mogą jeszcze zamienić się na słodkie...

EPILOG

La Rochelle, pozbawiona pomocy floty angielskiej i wojska przyobiecane przez Buckinghamama, poddała się po całorocznym oblężeniu i 28 października 1628 roku podpisano kapitulację.

Król powrócił do Paryża tegoż roku. Przyjmowano go triumfalnie, jak gdyby zwyciężył wrogów, nie zaś Francuzów.

D'Artagnan objął swoje stanowisko. Portos rzucił służbę i w ciągu roku ożenił się z panią Coquenard.

Kufer, tyle pożądanym, zawierał osiemset tysięcy liwrow.

Mousqueton otrzymał wspaniałą liberię i dostąpił satysfakcji, o jakiej całe życie marzył, to jest, stał poza kareta łożoną.

Aramis, po odbyciu podróży do Lotaryngii, przepadł gdzieś nagle, a nawet przestał korespondować z przyjaciółmi. Dowiedziano się później przez panią de Chevreuse, która powiedziała o tym dwóm czy trzem kochankom swoim, iż oblókł habit w jednym z klasztorów w Nancy.

Bazin został braciszkiem klasztornym.

Atos służył w muszkietierach pod rozkazami d'Artagnana aż do roku 1631, kiedy w następstwie podróży do Turenii także porzucił służbę pod pretekstem, że odziedziczył niewielki majątek. Grimaud poszedł za Atosem.

⁵⁰⁸lazarysta — członek Zgromadzenia Misjonarzy, założonego w Paryżu w 1625 przez Wincentego à Paulo, powołanego do pracy misyjnej, szkolnictwa i opieki nad chorymi w małych miejscowościach. [przypis edytorski]

⁵⁰⁹madera — wino portugalskie. [przypis edytorski]

D'Artagnan bił się trzy razy z Rochefortem i trzy razy go ranił.

— Zabiję cię prawdopodobnie przy czwartym spotkaniu — powiedział, podnosząc go z ziemi.

— Lepiej będzie dla mnie i dla ciebie, jeżeli przestaniemy na tym, co jest — odrzekł raniony. — Cóż, u diabła, nie domyślasz się, że jestem przyjacielem twoim? Od pierwszego pojedynku bowiem, gdybym był szepnął słówko kardynałowi, mógłbym cię być na tamten świat wysłać.

Uścisnęli się tym razem naprawdę serdecznie.

Planchet otrzymał od Rocheforta stopień sierżanta.

Pan Bonacieux żył spokojnie, nie wiedząc nic, co się stało z żoną, i nie martwiąc się tym wcale.

Pewnego dnia przyszło mu do głowy, aby przypomnieć się kardynałowi. Richelieu kazał mu odpowiedzieć, że postara się, aby mu odtąd na niczym nie zbywało.

I rzeczywiście, nazajutrz pan Bonacieux, wyszedłszy z domu wieczorem o siódmej, aby się udać do Luwru, nie pokazał się już więcej na ulicy des Fossoyeurs. Dobrze poinformowani utrzymywali, że dostał mieszkanie i utrzymanie w jednym z zamków królewskich na koszt wspaniałomyślnego kardynała de Richelieu.

Koniec⁵¹⁰

⁵¹⁰Dalszy ciąg opowiadania o „Trzech Muszkietierach” znajdą czytelnicy w romansie pod tytułem: *W dwa-
dzieścia lat później*. [przypis autorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/aleksander-dumas-trzej-muszkietierowie/>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Dumas, Trzej Muszkietierowie, Tom I, Tom II, Nakładem Biblioteki Rodzinnej, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Reprodukacja cyfrowa tomu pierwszego została wykonana przez Bibliotekę Śląską z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BŚ. Publikacja drugiego tomu na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Paulina Dubielecka, Piotr Kowalik.

ISBN 978-83-288-0593-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.